# SAMOCHODEM PRZEZ STANY POŁUDNIOWE

Tegoż Autora:

POLACY W AMERYCE.
Szkic o Wychodztwie.
Poznań 1921.
SAMOCHODEM PRZEZ STANY ZJEDNOCZONE. — 2 tomy.
Wrażenia z tury krajoznawczej.
Miejsce Piastowe, 1934.
ŚWIATŁA I CIENIE
Wrażenia z podróży do Polski.
Druk "Pittsburczanina", Pittsburgh, Pa. 1935.
Wyczerpane.

Nr 1624 618

Ks. S. A. Iciek

# SAMOCHODEM PRZEZ STANY POŁUDNIOWE

Opis podróży samochodowej przez stany południowe, Meksyk, osady polskie we Florydzie i Teksasie, oraz niektóre parki narodowe.

Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki

Drukiem
WARE RIVER NEWS PRINT
Ware, Mass., U.S.A.

Copyright, 1937
By REV. S. A. ICIEK
Norwich, Conn., U. S. A.

Nakładem Autora

WARE RIVER NEWS PRINT
Ware, Mass., U.S.A.

Autor w parku narodowym Rocky Mountain National Park. Dwie mile ponad poziomem morza.

*W dowód szczerej wieloletniej przyjaźni i z wdzięczności za życzliwość zawsze mi okazywaną, niniejszą pracę poświęca Państwu Bolesławowi i Helenie Gośniewskim*

AUTOR.

# DO CZYTELNIKA

Przed dwoma laty na półkach księgarń w Polsce i w Stanach Zjednoczonych ukazała się moja dwutomowa książka p. t.: "Samochodem przez Stany Zjednoczone." Czteromiesięczna tura samochodem była wyczerpująca fizycznie i . . . finansowo. Zebranie materiału i napisanie w języku polskim książki przez człowieka w Ameryce urodzonego i wychowanego a do pracy autorskiej nie przygotowanego także sprawiło mi dużo trudności. Najgorzej jednak było z nakładem i drukiem. Tylu doznałem zawodów, tyle bólów z tym książkowym "porodem," że gotów byłem złamać pióro i więcej nie pisać. Arcymiły pisarz i humorysta polski p. Kornel Makuszyński, kiedy się z nim spotkałem w tym czasie w Polsce, zrozumiał moją "rodzicielską" tragedię, gdyż jak sam mówił: "znał ten ból, bo sam był matką."

Były jednak chwile radosne. Najwybitniejsi krytycy, dziennikarze i setki czytelników, tyle wypowiedziało słów pochwały, tyle nadesłało listów z uznaniem, tyle do zbolałego serca wlało kojącej oliwy i zachęty do dalszej pracy, że zczasem minęły przykre wspomnienia a wstąpiła do duszy nowa otucha i chęć do dalszej pracy autorskiej.

Pragnę za te słowa uznania wywdzięczyć się przez doręczenie Czytelnikowi drugiej książki turystycznej p. t. "Samochodem przez Stany Południowe." Jest to jakoby trzeci tom uzupełniający poprzednie. Przedtem zwiedzałem i opisałem stany północno-środkowe. W tej zaś turze samochodowej opisuję stany południowe, może Polakom mniej znane od tamtych ale nie mniej ciekawe i malownicze.

Każdy stan, do którego po raz pierwszy "wjeżdżamy," jak to uczyniłem w poprzedniej pracy turystycznej, w krótkości opisuję, podając jego ważniejsze wypadki historyczne, pochodzenie nazwy stanu, jego topografię, ludność, bogactwa i inne ważne a ciekawe szczegóły. Jeżeli jednak w książce "Samochodem przez Stany Zjednoczone" już to uczyniłem, teraz ograniczam się tylko do opisu wypadków, które się w danej miejscowości wydarzyły. Czytelnik chcący sobie wyrobić jakie takie pojęcie o całości kraju, powinien i jedną i drugą książkę przeczytać.

Korzystając z poprzedniego doświadczenia, pragnę uprzyjemnić tę podróż tym, którzy ją w wygodnym fotelu odbędą. Gdzie mogę, opisuję ważniejsze zdarzenia historyczne jak również wyjątkowe krajobrazy i cuda natury. Niekiedy zaplątała się do opowieści jakaś wesoła krotochwila gdyż i nadal chcę się trzymać zasady, aby Czytelnika — "uczyć i bawić."

Czyniąc przygotowania do podróży, jak również przy pisaniu niniejszej książki turystycznej, starałem się jak najlepiej zaznajomić z historią, topografią, kulturą i zasobami każdego stanu, przez który podróżowałem. Chcę podać jak najwięcej "treści" ale tak ujętej, by lektura Czytelnika nie nużyła ale jak najbardziej — zaciekawiała.

Zabrałem ze sobą parę aparatów fotograficznych. Niemal że wszystkie ilustracje są zrobione z moich zdjęć. Zamieszczam jak najwięcej obrazków, gdyż nawet najmniejszy obrazeczek daje Czytelnikowi daleko lepsze i dokładniejsze pojęcie o danej miejscowości niż cała strona druku. Powiększa to wprawdzie koszt nakładu, ale równocześnie podnosi wartość książki, dając tem większą przyjemność czytającemu. Z tysiąca zdjęć wybrałem najpiękniejsze i najodpowiedniejsze.

Koszta podróży i nakład książki wynosiły ponad pięć tysięcy dolarów, suma, na którą sobie pozwolić nie mogę. Dzięki tylko doraźnej pomocy mych parafian oraz przyjaciół, którzy się zapatrują na tę pracę z punktu obywatelskiego i narodowego, mogłem ją uskutecznić. Nawet najzagorzalszy idealista w obecnych warunkach nie może sobie pozwolić na to, aby książki pisać, za druk płacić a potem jeszcze prosić ludzi by je kupowali. Dlatego też niniejszem składam publiczne podziękowanie mym parafianom i tym wszystkim, którzy się w jakikolwiek sposób finansowo i moralnie przyczynili do wydania tej pracy.

Towarzyszył mi w podróży a często autem kierował mój wieloletni przyjaciel i kolega a zarazem kapelan armii polskiej ks. Antoni Wojcieszczuk. Przez kilka tygodni jechała także z nami pani Feddema. W podróży spełniała bardzo sprawnie rolę "ministra spraw wewnętrznych," co z wielu względów było wielce pożądanem.

Ażeby uniknąć nieporozumień i nieszczęść, jakie mnie spotkały z drukiem poprzedniej książki, niniejszą drukowałem w Ware, Mass. Miałem więc sposobność nietylko przeprowadzić korektę, ale także dopilnować rozkładu książki a co jeszcze ważniejsze odpowiedniego zamieszczenia licznych ilustracyj. W miarę jak pisałem, drukarnia rozdział za rozdziałem drukowała. Niniejszy wstęp jest więc prawdziwym "wstępem," gdyż go pisałem przed napisaniem książki, tego wymagała drukarnia.

Chcę tu jeszcze spełnić jeden wdzięczny obowiązek a mianowicie: podziękować p. Ernestowi Liljenowi, który będąc dziennikarzem w czasopismach polsko-amerykańskich, mimo nawału pracy, podjął się i bardzo skrupulatnie przeprowadził korektę zastosowując się do nowoczesnej pisowni polskiej. Przyznam się, że z gramatykami i pisowniami jestem zawsze "na bakier" i dlatego tembardziej wdzięczny jestem światłemu Redaktorowi za jego cenną współpracę.

Teraz czeka na ciebie, miły Czytelniku, mój samochód. Jest to maszyna szybka, solidna, nowa a przestronna, tak przestronna — jak serce Autora, które od dziecka szczerze ukochało cały naród polski. Oczywiście że na pierwszem miejscu posadzę najwyższych dostojników Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej tak cywilnych jak i wojskowych. Tuż obok umieszczam krytyków i dziennikarzy, niby ludzi po fachu, a przy nich zaś profesorów, nauczycieli, miłe i sympatyczne Czytelniczki i całą Polonię Amerykańską, boć ona żyje w tej naszej kochanej a przecudnie pięknej Ameryce. Poczesne miejsce oddaję także duchowieństwu jako, że sam w tym zawodzie już trzydzieści dwa lata pracuję. Poproszę by zajęli miejsce obok mnie nasi kochani harcerze i harcerki. Często spotykałem ich w Polsce, w obozach przy jeziorach, w górach, w miastach, gdy w skromnem ubrańku harcerskiem, z torbą na plecach, ze słońcem w sercu, radowali się wszyscy młodem życiem w wolnej i potężnej Polsce.

Przy samem kole sadzam naszą kochaną młodzież polską, tych czupurnych a pełnych życia i energii studentów i studentki. Niech czytają. Jeżeli im się to spodoba, jeżeli ich ta lektura zachęci do tem energiczniejszej pracy nad sobą, w zdobywaniu wiedzy i w niesieniu kultury polskiej, tem większa będzie dla mnie radość i nagroda za podjęte trudy.

Wszyscy gotowi?!. . . Jedziemy!. . .

KS. S. A. ICIEK
Norwich, Conn.

MUZEUM
Im. Kazimierza Pułaskiego
Winiary k/Warki

ROZDZIAŁ I.

# WYJAZD

## New Rochelle - Pole Bitwy - Cztery Stany

Rok 1936-ty w swych początkach porządnie dał się nam we znaki. Zima chwyciła nas w swe mroźne objęcia, ścięła rzeki i jeziora, pokryła wody tak grubą taflą lodu, że jeszcze z końcem maja utrudniała żeglugę na wielkich jeziorach.

Po nadzwyczajnych mrozach nastąpiły jeszcze groźniejsze wylewy. Gwałtowne roztopy, niebywałe deszcze spowodowały katastrofalne powodzie. Tysiące ludzi znalazło się bez dachu nad głową a szkody przekroczyły setki milionów dolarów. Dużo polskich rodzin, szczególnie w Pennsylwanii i Connecticut, poniosło olbrzymie straty.

Na dobitkę naszych nieszczęść w południowych stanach huragany jednym zamachem zmiotły całe miasteczka, czyniąc wielkie szkody w majątku a także straty w ludziach. Latem zaś w całym kraju panowały niebywałe posuchy i straszne upały.

Pierwsze klęski minęły i... nadeszła wiosna. Ziemia pokryła się kobiercem zieleni; drzewa strzeliły ku niebu pękami liści i kwiatów; ptactwo się rozśpiewało a cała natura uderzyła ogromną symfonią barw i dźwięków. W tej bujnej porze roku nadeszła chwila naszego odjazdu.

Po czułych i bardzo miłych pożegnaniach w kościele i na sali z mymi parafianami, którzy nietylko życzyli mi "szczęśliwej podróży", ale także doręczyli tak niezbędne "środki" do jej odbycia, ruszyłem z Norwich dnia 11-go maja.

O wczesnej godzinie odprawiłem nabożeństwo o szczęśliwą podróż. Jeszcze mgły poranne przysłaniały stare miasto, gdy jego wąskiemi i krętemi ulicami nowe, wszelkimi przyborami wyładowane auto—prowadzone przez autora niniejszej książki—ruszyło w kilkumiesięczną podróż po południowych kresach Stanów Zjednoczonych.

Jedziemy raźno, gdyż znakomite drogi o tej godzinie są niemal pozbawione wszelkiego ruchu kołowego. Szybko mijamy park stanowy "Devil's Hop Yard" i za niespełna półtorej godziny jesteśmy w New Haven. Stąd coraz powolniej przedzieramy się do Bridgeport i Stamford. Tu już trzeba zwolnić, gdyż coraz częściej wypada mijać liczne samochody lub czekać na sygnały, przy krzyżówkach dróg

"Devils Hop Yard", blisko Norwich

umieszczone. Możesz przekroczyć bezkarnie niejedno prawo amerykańskie, jeżeli jednak niebacznie miniesz lampę, gdy jej czerwone światło każe ci stanąć, to ci taki figiel bezkarnie nie ujdzie. Za chwilę na motocyklu dogoni cię policjant, każe zjechać na bok i szczęśliwyś, jeżeli ci tylko wypali kapitułę; gorzej, gdy zaprowadzi do sądu. Więc też uważamy na lampy sygnałowe, na policjantów, na tysiące aut, wozów, przechodniów i wszelkich innych drogowych impedimentów, aby się mimo tych przeszkód dostać do Nowego Jorku na pożegnalne śniadanie do Polskiego Konsulatu.

Stawiliśmy się, punktualnie na godzinę drugą, chociaż trzeba było część podróży odbyć koleją. W towarzystwie państwa Gruszków i Szygowskich względnie Konsula Generalnego i Konsula oraz kilku innych gości spędziliśmy parę godzin na miłej pogawędce. Koleją wróciliśmy do New Rochelle, gdzie wypoczywało nasze auto, bagażami wypełnione aby jechać, na obiad pożegnalny, w gościnne progi państwa Gośniewskich.

Staro-szlacheckie rodziny Zawadzkich i Gośniewskich herbu Szeliga od wieków zamieszkiwały na Litwie w okolicach Wilna. Jak mi objaśniał miły gospodarz domu, p. Bolesław, to jego dziadek sąsiadował z rodziną Piłsudskich i często o ojcu Marszałka wspominał. Dobra i majątki na Litwie po powstaniu styczniowem skonfiskowali

Moskale. Do Stanów Zjednoczonych państwo Gośniewscy wyemigrowali przed czterdziestu laty i, jak wszyscy nasi emigranci, tu szukali szczęścia. Fortuna, która podobno kołem się toczy, sypnęła im z rogu obfitości, chociaż do złota dodała nie małą dozę piołunu i goryczy w postaci chorób i przedwczesnej śmierci jednej z córek.

Zajeżdżamy przed wspaniałą rezydencję naszych miłych gospodarzy i wieloletnich przyjaciół. Tu się spotyka już nie staropolską ale wprost magnacką gościnę. Staropolską, szlachecką kulturę wyczuwa się tak u rodziców jak i dwóch miłych córek, pani doktorowej Stefanii Składzień i pani "Florci," która swego czasu jako tancerka na scenie laury zbierała.

Nie będę nawet wspominał tych przeróżnych marcepanów, jakiemi nas raczono. Szeroko znana jest "Jama Michalikowa" w Krakowie, taksamo szeroko jest znana mała "jamka" u państwa Gośniewskich, w której nas darzono przeróżnemi zakąskami, wódeczkami sprowadzonemi z czterech krańców świata, no i skończyło się na wspaniałym bankiecie z musującym szampanem i przemówieniami. Jedynie wzgląd na zdrowie i odpowiedzialność za powodzenie tej tury samochodowej nie pozwoliły mi jak należy korzystać z tej nader miłej i pod wszelkim względem hojnej uczty. To jednak nie obowiązywało mego współtowarzysza podróży i wielo letniego przyjacie'a ks. Wojcieszczuka i innych gości. Idąc po północy na spoczynek mimowoli powiedziałem; "This is the end of a perfect day" — Koniec szczęśliwego dnia.

Panie Gośniewska, Feddema, Składzień i wnuczek "Tadzio" Składzień.

Chciałem wprawdzie o rychłej porze wyruszyć w dalszą podróż, aby uniknąć wielkiego ruchu kołowego, jaki się zawsze wśród dnia napotyka w Nowym Jorku, ale moje pobożne życzenia tylko życzeniami pozostały. Po tak miłym festynie, po tak królewskim obiedzie i serdecznej pogawędce, która się po północy skończyła, któż mógł się z wygodnej pościeli zerwać i do dalszej podróży przygotować?! Spało wszystko do dziesiątej godziny. Już jedenasta dochodziła, zanim opuściliśmy gościnne progi tej zacnej a szczeropolskiej rodziny. Pani Gośniewska zaopatrzyła nas bardzo sowicie w prowianty nawet parę butelek wódeczności swe szyjki z kosza wytykało. Miła pani Składzieniowa, córka państwa Gośniewskich, wskoczyła do swego auta, zabrała rodziców i dużym Cadillakiem szczęśliwie przeprowadziła nas

niemal do mostu Waszyngtona. Nastąpiły ostatnie pożegnania, wskazówki jak się do mostu dostać, serdeczny uścisk dłoni, miły uśmiech i ruszyliśmy śmiało w dalszą drogę.

Za kwadrans byliśmy na moście, jednym z największych wiszących mostów na świecie. Przed stu pięćdziesięciu laty w tem miejscu z wielkim trudem przeprawiał Waszyngton niedobitki swej armii po dotkliwych klęskach doznanych na Long Island i w tej okolicy. Teraz bez trudu tysiące,—co ja mówię—dziesiątki tysięcy, gdyż liczba waha się między trzydziestu a czterdziestu tysiącami aut—w ciągu jednej doby przejeżdżają tym mostem czy w tę czy w ową strone. Zapłaciliśmy pół dolara za "przepustkę" i śmiało ruszamy w dalszą drogę znaczoną "U. S. Nr. 1". Prowadzi ona turystę od Portland, Maine, przez Boston, Mass., Nowy Jork, N. Y., Waszyngton, D. C., wzdłuż Oceanu Atlantyckiego aż do południowej Florydy. Dla przyspieszenia a zarazem dla ułatwienia wielkiego ruchu kołowego jaki tu dzień i noc panuje, zbudowano szeroki bulwar łączący miasto Jersey City z Newarkiem. Nazywa się ta nowocześnie urządzona autostrada "Pulaski Skyway." Każdy Polak doznaje uczucia dumy, gdy popatrzy na żelazną tablicę z tym napisem na pierwszym stalowym łuku umieszczoną. Może tędy ciągnął Kazimierz Pułaski ze swą kawalerią, w której nawet służył żyd polski. Walczył pod Germantown i Brandywine, nawet do stanów południowych się zapędził, gdzie też pod Sawanną w ataku na redutę nieprzyjacielską zginął za niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Trzymając się jedynki niby charty tropu zająca, w niespełna godzinę przejechaliśmy Newark, Elizabeth, Rahway, Perth Amboy, South Amboy, wszystko miasta portowe i przemysłowe. W każdem z nich znajdziesz duże osady polskie i wielu przedsiębiorczych rodaków. Aż lżej człowiek odetchnął, gdy się z tej wściekłej gmatwaniny bulwarów, lamp, policjantów, aut pasażerskich i ciężarowych wydostał na szerokie podmiejskie drogi. Zamiast ślepie wytrzeszczać na drapacze chmur, na stacje z gazoliną, na sklepy z jarzynami i ubraniami, człowiek nareszcie popatrzał na zielone łąki i żywicą pachnące lasy świerkowe.

Chociaż co do obszaru New Jersey jest jednym z najmniejszych stanów, zato co do ludności jest jednym z najgęściej zaludnionych w całym kraju. Rzeka Delaware stanowi jego granicę zachodnią. Zaś Ocean Atlantycki i rzeka Hudson tworzą jego granicę wschodnią. Ziemie lekkie, piaszczyste, żwirowate, świadczą że tu kiedyś Neptun niepodzielnie panował. Topograficznie stan tworzy szeroką równinę w wielu miejscach pokrytą małą sośniną, upstrzoną niewielkiemi fermami a gdzieniegdzie moczarami, w których przed laty gnieździło się ptactwo wodne i lęgły się miliardy jadowitych owadów; szczególnie komary odznaczały się straszliwą zajadłością.

Pierwszym krótkim postojem było ruchliwe miasteczko Freehold jakie pięćdziesiąt mil na południe od Nowego Jorku. Mój towarzysz podróży coraz częściej się zamawiał o jakiś posiłek, nęcił go ten kosz z prowiantami a szczególnie spokoju mu nie dawały butelki do kosza włożone. Mnie więcej intrygowało samo miasteczko, gdyż w tej okolicy w walce o niepodległość, Waszyngton stoczył zwycięską bitwę z Anglikami. Bitwa przeszła do historii jako "Battle of Monmouth".

Stanąłem przed ratuszem i na ławce wypoczywających mieszczan zapytałem się, gdzie jest pole bitwy. Powiedzieli mi, że pomnik ku czci bohaterów tej walki jest o blok od środka miasta a samo pole bitwy znajduje się jakie trzy mile poza miastem. Skręciliśmy na prawo i za parę minut, w cieniu rozłożystych klonów, wygodnie na ławce usadowieni z apetytem spożywaliśmy smaczne przekąski przez panią Gośniewską dla nas przygotowane i podziwialiśmy wysoki granitowy pomnik. U podstawy z czterech stron były bronzowe płaskorzeźby, niektóre dosyć udatne, przedstawiające poszczególne ważniejsze wypadki bitwy. Obejrzałem to detalicznie, zrobiłem kilka zdjęć, a spakowawszy resztę zapasów ruszyliśmy za miasto na pole bitwy.

Zauważyłem na ulicy robotnika, który mi na Polaka zakrawał, więc też zaraz do niego po polsku — gdzie tu droga na pole bitwy?! Popatrzał na nas i drogę wskazał. Wprawdzie nie był to Polak ale jeden z naszych sąsiadów — litawuszkas. Pal sześć, może się znów kiedyś zbratamy i wszystko pójdzie starym trybem.

Na początku roku 1778-go wojska angielskie pod wodzą generała Clintona zajmowały Filadelfię, naówczas stolicę rebeliantów. W czerwcu dowódca angielski otrzymał rozkaz, aby opuścił Filadelfię i cofnął się przez New Jersey do Nowego Jorku. Odwrót był trudny, gdyż na jego kolumny napadały podjazdy nieprzyjacielskie, żołnierze padali ze znużenia a w dodatku jadowite komary wprost torturowały nieszczęśliwych wojaków. Eksperci wojskowi twierdzą, że 2000 żołnierzy angielskich zginęło z ran i chorób w tym odwrocie. Waszyngton, dowiedziawszy się o przemarszu Anglików, zwołał radę wojenną i postanowił ich napaść a jeżeli możliwe zniszczyć wojsko i nie dopuścić do połączenia z główną bazą jaką naówczas było miasto Nowy Jork.

Generał Charles Lee otrzymał rozkaz aby dnia 28-go czerwca 1778-go roku zaatakował ariergardę Clintona w okolicy Monmouth. Początkowo nagły atak wywołał popłoch w szeregach angielskich, ale po dłuższej walce, jeszcze po dziś dzień niewiadomo z jakich powodów, wojska kontynentalne zaczęły w popłochu uciekać. Jedni przypisują to zdradzie generała, inni go uniewinniają. Podczas sromotnej ucieczki nadciągnął generał Waszyngton z głównemi siłami. Wstrzymał popłoch, sprawił szeregi, sklął na fest generała, i kazał mu z powrotem

atakować. W bitwie odznaczył się generał Greene, przyjaciel naszego Tadeusza Kościuszki i generał Anthony Wayne, boć chwilowo zdawało się, że Anglicy naszym sprawią lanie. Straszliwa gorączka może więcej dokuczyła walczącym niż kule armatnie i karabinowe. Dosyć na tem, że po zaciętej całodniowej walce Anglicy z pola ustąpili i tak nocą do Nowego Jorku szorowali, że nasi nie mogli ich dopędzić.

Cały rezultat bitwy był ten, że Anglicy stracili 300 zabitych, dużo rannych i stu wziętych do niewoli. Po stronie amerykańskiej padło 69 żołnierzy i 160 rannych. Bohaterką bitwy, która przeszła do historii Stanów Zjednoczonych, została młoda Irlandka Molly Pitcher. Podczas walki nosiła walczącym i rannym żołnierzom wodę z pobliskiej studni; mąż jej jako artylerzysta zginął od kuli nieprzyjacielskiej. Molly Pitcher rzuciła wtenczas na stronę kubeł z wodą, zajęła miejsce męża i walczyła do końca bitwy.

Tablica na polu bitwy pod Monmouth.

Tablice przydrożne opisują poszczególne wypadki z bitwy a tuż przy torach kolejowych z pewnym pietyzmem przechowują studnię, z której dzielna bohaterka czerpała wodę dla spragnionych żołnierzy.

Po zwiedzeniu pola bitwy, na którem teraz złocą się łany pszenicy, ciągną się bogate winnice i zagony warzywne, wróciłem do miasta i "dziewiątką" ruszyliśmy w dalszą drogę do miasteczka Lakewood. Cały brzeg morski od Atlantic Highlands aż do Cape May jest, że tak się wyrażę, zapaskudzony letniskami i plażami kąpielowemi. Jedne są bardzo luksusowe i eksklusywne, inne zaś schlebiają każdemu, kto ma grosz w kieszeni. Asbury Park i dalej na południe położone Atlantic City stanowią główną atrakcję dla amatorów morskich kąpieli z powodu bardzo łagodnego klimatu, jakim się szczyci stan New Jersey.

Lakewood, przez które przejeżdżamy, prócz bogatych rezydencyj naszych milionerów, posiada także olbrzymi hangar dla sterowców. Ponieważ z tym niemieckim wynalazkiem hrabiego Zeppelina nie mieliśmy szczęścia, bo jedne przepadły na oceanie, inne się rozpuknęły w powietrzu, więc też hangar jest próżny. Teraz używają go Niemcy, którzy swymi zeppelinami tu zajeżdżają, niby do własnego garażu. W tym właśnie dniu odleciał do Niemiec ich nowy kolos napowietrzny "Hindenburg". Tysiące aut tu przez parę dni zajeżdżało, aby ten nowy cud "kultury" niemieckiej podziwiać. Gdy się Niemcy dowiedzieli, że jadę do Lakewood ze strachu uciekli, zapewne się obawiali, abym im tego balonu nie podpalił.

Milę czy dwie za miastem, po prawej stronie drogi, widnieje napis; "Chester Fedor, Real Estate, For Sale from 1 to 100,000 acres" czyli — "Czesław Fedor, Nieruchomości na sprzedaż od jednego do stu tysięcy akrów". Toć to mój dobry znajomy, więc też zawracam na podwórze. Telefonem ściągnęliśmy go z biura i znów rozpoczyna się arcymiła gościna z Czesiem, który swego czasu zbierał pieniądze i przyczynił się do założenia szkoły rękodzielniczej w Ostrołęce. Tu go losy życia przypędziły. Ożenił się i przez pewien czas prowadził bardzo wzorowe gospodarstwo hodowli indyków, a że to pedant, więc też z różnych stron zjeżdżali się hodowcy drobiu, aby studiować jego metody chowania i karmienia wspaniałych okazów naszego "narodowego" ptaka. Nawet rząd polski, zdaje się że podczas wystawy Poznańskiej, dał mu złoty medal i dyplom za jego pracę w tej dziedzinie. Zarzucił jednak hodowlę indyków a teraz założył dużą winnicę. W piwnicy pokazywał mi rzędy całe beczek napełnionych doskonałemi winami. Przypuszczam, że gdyby do Polski posłał kilkanaście beczek dobrego wina to urzędnicy do których rąk dostałyby się owe delicje, obdarzyliby go nie jednym ale kilkunastu złotymi medalami i dyplomami.

Przeszedł wojnę światową; przeszedł rewolucję bolszewicką; patrzał na sceny, od których włosy bieleją; widział jak codziennie bolszewicy rozstrzeliwali karabinami maszynowymi dziesiątki swych więźniów. Przed śniadaniem stawiali ich w szeregu, gdyż i on znalazł się w tym obozie koncentracyjnym, nieszczęśliwcy wyciągali losy i szli na stracenie. Poza winnicą p. Fedor zajmuje się kolonizacją wygnańców i uciekinierów rosyjskich. W tych lasach świerkowych, w tych małych zagrodach i gospodarstwach, trudniących się hodowlą drobiu, znalazłbyś dziś arystokratów rosyjskich, spotkałbyś dawnych oficerów tej kiedyś świetnej carskiej armii. Teraz, zdala od ojczyzny, zdala od swych rodzinnych majątków, hodują kury, uprawiają ogrody warzywne i pracują na ciężki kawałek chleba!. . O tak, dużo mógłby opowiedzieć "Cześ", a jeszcze więcej powiedzieliby ci, których wojna i rewolucja wyrzuciła poza oceany.

Czesław Fedor przy aucie autora.

Mimo próśb Czesia i Stasi, jego sympatycznej żony, by zostać na noc, ruszamy w dalszą drogę, gdyż chciałem się jak najprędzej dostać w strony mniej znane a tem więcej ciekawe. Zaopatrzywszy się w paliwo, szybko suniemy naprzód wśród sosnowych lasków i dużych piaszczystych ferm oddanych niemal całkowicie hodowli drobiu. Ła-

godny klimat, żwirowaty grunt znakomicie się nadaje do tej gałęzi gospodarstwa, tembardziej, że Nowy Jork i sąsiadujące z nim miasta stanowią olbrzymi rynek zbytu na jajka i kurczęta. Niektóre z tych kurzelni mają po kilkadziesiąt tysięcy kur, przeważnie białe włoskie kury - Leghorns, jeżeli chodzi o produkcję jaj. Tam zaś gdzie idzie o sprzedaż jaj a zarazem kur na mięso przeważają rasy cięższe a więc Rhode Island Reds, lub też szare Plymouth Rocks. Warto zwiedzić takie przedsiębiorstwo a szczególnie te w których każda kura zajmuje osobną klatkę, ma miseczkę z pokarmem i świeżą wodą—niby więzień. W ten sposób hodowca ma ścisłą kontrolę co do pożywienia a zarazem produkcji jaj każdej kury. Z chwilą gdy kura nie znosi tylu jaj ile się od niej wymaga idzie na rzeź a inna jej miejsce zajmuje.

Cały brzeg atlantycki od Nowego Jorku aż hen na południe przypomina w strzępy potarganą koronkę. Poza lądem stałym, niby małe forpoczty a czasem długie wały, ciągną się tysiące wysepek na których w sezonie letnim turyści spędzają wakacje. Największem i najlepiej znanem letniskiem jest oczywiście Atlantic City, nad brzegiem oceanu na dużej wyspie ulokowane. Pierwsi wycieczkowcy, przed pięćdziesięciu laty, doznawali tu więcej bólu niż przyjemności, gdyż okoliczne moczary roiły się od jadowitych komarów, które ani w dzień ani w nocy ludziom spokoju nie dawały. Wieczorem palono ognie i ludzie się poprostu wędzili, aby się bronić przed tymi jadowitymi owadami. Teraz stosunki się zmieniły. Osuszono bagna, zbudowano śliczne bulwary, betonowe drogi. Kilka mil nad brzegiem oceanu ciągnie się szeroki chodnik, słynny "board walk" po którym kiedyś elita amerykańska paradowała. Nad wodą, w górę strzelają kadłuby ogromnych hoteli, dużych sal na zjazdy, kasyn, teatrów i wszelkiego rodzaju karkołomnych rozrywek dla starszych i dzieci. Z chwilą gdy Żydzi zaczęli tu zaglądać, Atlantic City straciło swój ton i ekskluzywność, chociaż nie wiele ucierpiało na popularności, gdyż, jak wskazuje statystyka, piętnaście milionów ludzi tu zjeżdża co roku, by używać wywczasów i morskich kąpieli.

Przejechaliśmy miasto poto jedynie by móc powiedzieć, że byliśmy w Atlantic City. Właściciele nadmorskich posiadłości budują szerokie bulwary, piękne parki, tereny do gry w golfa, wygodne hotele i zajazdy, jednem słowem robi się wszystko, by tu ściągnąć jak najwięcej turystów. Zakwaterowaliśmy się na noc w sąsiedniem miasteczku Pleasantville.

Zwykle wieczorem przeglądałem mapy i przygotowywałem marszrutę na następny dzień. Czasem robiliśmy kilka lub kilkanaście mil, ale to rzadko; zwykle całodzienna podróż wynosiła od dwustu do trzystu mil a czasami daleko więcej.

Już o dziewiątej rano wszystko było "reisefertig". Walizy zapakowane, pościel, koce i poduszki w nieprzemakalne płótno zwinięte,

kuchnia polowa i prowianty na swem miejscu i z ochotą ruszyliśmy w dalszą podróż, która tego dnia była o tyle ciekawsza, iż dwa razy płynęliśmy okrętem i jechaliśmy przez cztery stany bo New Jersey, Delaware, Maryland i Wirginię.

Z początku pędziliśmy wzdłuż oceanu przez Ocean City a od Clermont skręciliśmy na zachód. Stare to osiedla chociaż może niezbyt bogate, gdyż grunta są stosunkowo słabe. Millville i Bridgeton są jedyne większe miasteczka, w których znajdują się duże huty i fabryki szkła. W małej wiosce Pennsville, kiedyś posiadłość Williama Penna, czekaliśmy dobre pół godziny na prom, by nas przewiózł na drugi brzeg szerokiej spławnej rzeki Delaware.

Wjechaliśmy na szeroką autostradę zwaną "Du Pont Highway." Droga z betonu, środkiem klomby i drzewa. Miasteczek nie wiele i nie duże, farmerzy trudnią się ogrodnictwem. Często mijamy duże sady owocowe, szczególnie brzoskwinie, grusze i jabłonie tu dobrze obradzają. Coraz częściej zauważyłem małe, biedne chaty murzyńskie a będzie ich więcej im dalej na południe pojedziemy. Dotąd sięgało niewolnictwo i piętno swe tu pozostawiło. Może ci ludzie nie są dziś niewolnikami pod względem fizycznym ale napewno są w ciężkiej niewoli ekonomicznej.

Miasteczko Dover jest stolicą stanu Delaware. Niewielkie wprawdzie, boć i stan mały. Amatorzy starych zabytków z przyjemnością spędziliby tu dzień cały, ja jednak pod tym względem lubię tylko stare wina a resztę to. . . młode. Więc też nie zatrzymuję się w tej miłej w zieleni drzew tonącej mieścinie tylko jadę dalej, by zdążyć na ostatni okręt z Cape Charles do Norfolk przez zatokę Chesapeake. Miałem ochotę "kropnąć" się jakie 80 mil na godzinę, tylkom się bał, żeby jaki policjant na motocyklu się za mną nie puścił a ze zasady lubię być w zgodzie z policją, rządem, biskupem i własnem sumieniem. Nad wieczorem dotarliśmy do Cape Charles a po kolacji dosłownie wjechaliśmy na okręt, by się przeprawić przez głęboką zatokę Chesapeake Bay do portowego miasta Norfolk we Wirginii. W trzech dniach, mimo długich przestanków, zrobiliśmy 589 mil.

ROZDZIAŁ II

# KARTA DZIEJOWA

## Pierwsi Koloniści - Pocahontas - Monitor i Merrimac

Zanim przepłyniemy z przylądka Karola do przylądka Henryka a względnie od Cape Charles do Cape Henry, chcę się cofnąć o 330 lat niemal do tej pierwszej kartki dziejowej Zachodniego Kontynentu, gdyż po historycznych płyniemy wodach. . . .

W niedzielę, dnia 26-go kwietnia 1607-go roku, po cztero-miesięcznej a bardzo burzliwej i uciążliwej podróży zawinęły do tej wielkiej zatoki trzy małe angielskie okręty. Największy z nich "Sarah Constant" miał zaledwo sto ton pojemności, "Godspeed" był o połowę mniejszy a trzeci "Discovery" możnaby nazwać małą szkutą, gdyż zaledwie dwadzieścia ton registrował. O wschodzie słońca, widząc ponętną zatokę, okręty okrążyły piaszczysty cypel i zarzuciły kotwicę w zacisznej przystani teraz noszącej miano Lynhaven.

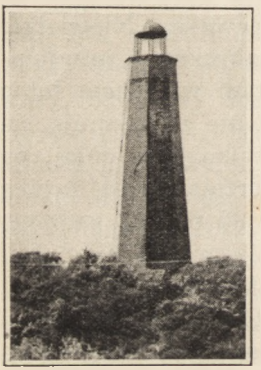

Latarnia Morska na Cape Henry

Zaglądali tu już przedtem Hiszpanie i nazwali zatokę "Santa Maria." Indianie zaś dali jej miano Chesapeake czyli "matka wód". Ta nazwa po dziś dzień się zachowuje.

Dowódcy wyprawy Newport, Gosnold, i Wingfield wraz z trzydziestu współtowarzyszami dobili łodziami do brzegu i puścili się w głąb tego nieznanego, dziewiczego, a tak pięknego kraju. Dzień był pogodny, ciepły, słoneczny. Klimat przypominał najpiękniejsze okolice Europy, Azji i Afryki. Nie napotkali gór, ale uderzały ich przecudne, drzewem kryte pagórki, rozkoszne doliny, szumiące strumyki, spławne rzeki, głębokie, przed burzami zabezpieczone zatoki.

Jednakowoż niezbyt pomyślnie zakończył się ten pierwszy dzień angielskich kolonistów. Czujni Indianie zauważyli "biało-skrzydłe" łodzie, pilnie obserwowali Tassantassów czyli "blado-licych cudzoziemców." Niby pantery śledzili ich kroki, i czołgali się niby węże, aby znienacka wypuścić na nich swe śmiercionośne strzały. Dwóch przybyszów odniosło rany i krwią swoją zbroczyło ziemię Wirginii, która w następnych wiekach tyle krwi ludzkiej w siebie wsiąknęła. Trud-

noby nam było zliczyć te stosy ofiarne, jakie tu w walkach o wolność i w wojnie domowej na tysiącach pól bitew złożono.

Po kilkudniowym wypoczynku, posunięto się w głąb kraju. Chociaż można było znaleść daleko dogodniejsze, bezpieczniejsze i zdrowsze okolice, założono pierwszą stałą osadę angielską na niewielkiej, bagnistej wysepce. Osada, wyspa i rzeka ku czci angielskiego monarchy James I, otrzymały jego imię a więc James River, James Island i Jamestown.

Prócz licznej załogi okrętowej stu czterech kolonistów wybrało się w tę uciążliwą podróż. Co zostało przy życiu zabrało się do budowy domów i ostrokołów, by się zabezpieczyć przed napaścią czerwonoskórych tubylców. Chociaż emigranci pochodzili z lepszych a nawet zamożniejszych rodzin, jednakowoż całą drogę między sobą się kłócili a jeden z późniejszych bohaterów kapitan John Smith wylądował w kajdanach.

W następnych paru latach przybyło znów kilkuset kolonistów tak, że liczba sięgała niemal pięciuset dusz. Zaprowadzono tu rodzaj komunizmu. Wszyscy nibyto pracowali dla dobra całej osady, dzielili się żywnością i odzieżą, każdy z kolei stał na warcie, by przypadkowo Indianie ich nie napadali. Nadszedł czas głodu i moru. Chociaż można było obsiać pola; można było sadzić warzywa i siać pszenicę; można było się zaopatrzyć w zwierzynę a rzeki przepełnione były rybami, to mimo tej obfitości natury, koloniści faktycznie z głodu i od chorób a niekiedy od strzał Indian padali jak muchy.

Gdyby nie nadspodziewana pomoc nowej ekspedycji pod wodzą lorda De La Warre, cała kolonia, zniknęłaby bez śladu, tak, jak poprzednio zmarniała kolonia, założona przez wybitnego angielskiego pisarza, żołnierza i męża stanu sir Walter Raleigha.

Anglicy, dowiedziawszy się o nadzwyczajnych bogactwach jakie z Ameryki przywozili ich zawzięci wrogowie, Hiszpanie, postanowili także szukać szczęścia a przedewszystkiem złota i krótszej drogi morskiej do Chin. W roku 1584-tym za inicjatywą Raleigha wyekwipowano dwa okręty, które przypłynęły do brzegów amerykańskich i spędziły około sześciu tygodni badając wybrzeże, skrzętnie poszukując za złotem. Wprawdzie nie znaleziono złota, ale zato cudy "niewidy" opowiadano o tym ciekawym, przepięknym kraju i tutejszych czerwonoskórych mieszkańcach. Żeglarze przywieźli do Anglii większe zapasy "zielska", które tubylcy zwali "tobacio" i palili we fajkach na długich cybuchach. Ponieważ liściom tytoniu przypisywano wielkie zalety lecznicze, dlatego też w krótkim czasie palenie tytoniu bardzo się rozpowszechniło. Przez następne sto kilkadziesiąt lat tytoń zastępował kolonistom pieniądze i stał się najważniejszym eksportem Wirginii.

Opowiadają, że gdy służąca Raleigha po raz pierwszy widziała swego pana palącego tytoń i puszczającego nosem kłęby dymu, wylała nań dzban piwa, przypuszczając, że się zapalił. Gdy w kilkanaście lat później prowadzono go na stracenie, popróbował ostrza topora i powiedział: "to bardzo ostre lekarstwo na wszystkie moje dolegliwości."

Otóż ów sir Walter, co przed królową Elżbietą rzucił swój atłasowy płaszcz do błota, by ona sobie nóżek nie zabrudziła, wysłał drugą, znacznie większą ekspedycję, która się osiedliła na wyspie Roanoke przy brzegu obecnej Północnej Karoliny. Wyprawa nie miała powodzenia. Część emigrantów zginęła z chorób, nędzy i od "tomahawków" Indian a reszta wróciła z kapitanem Drakie'm do Anglii i po nich w Ameryce nie pozostało ani śladu.

Ten sam los spotkałby kolonistów z Jamestown, boć już spakowali swe manatki i ruszyli w drogę do Anglii. Zanim jednak wypłynęli na morze, szczęśliwym trafem natknęli się na flotę lorda De La Warre, składającą się z pięciu okrętów suto wyposażonych w żywność, odzież i kilkaset nowych kolonistów. Zawrócili do starej siedziby. Nowy komisarz energicznie zabrał się do pracy, zgromił leniuchów, zachęcił słabych do czynu, ponaprawiał bramy i ostrokoły, odbudował walące się chaty, zabrał się do uprawy roli. Jednem słowem tchnął nowe życie w tę pierwszą na kuli ziemskiej kolonię angielską. Duża zatoka, rzeka i stan Delaware są jakoby pomnikiem, trwalszym od spiżu, tego wielkiego pioniera. Tu zaznaczyć wypada, że Anglia zawsze miała wyjątkowych żeglarzy, zdolnych dyplomatów, wielkich mężów stanu, jednem słowem ludzi, którzy w trzech wiekach uczynili z niej największe mocarstwo kolonialne na kuli ziemskiej. Jamestown był początkiem tego kolonialnego imperium. Po kilku latach nadano kolonii "charter" dający mieszkańcom prawo nabywania gruntu i wolność sumienia. Od tej chwili rozpoczyna się rozkwit angielskiej osady.

Jedną z najciekawszych postaci wśród pierwszych kolonistów był już poprzednio wspomniany kapitan Jan Smith, typowy "soldier of fortune." Jeżeli można dać wiarę jego opowiadaniom to już w stosunkowo młodym wieku dużo podróżował, walczył z Saracenami, awanturował się po całej Europie a gdy się dowiedział, że przygotowują wyprawę do Ameryki zgłosił się na ochotnika. Lubiał się chełpić i przechwalać ze swych czynów i nic dziwnego że wylądował w kajdanach.

Jako człowiek wojskowy objął dowództwo nad załogą tej skromnej osady i dzielnie bronił jej przed napadami tubylców. Często zapuszczał się okrętami i łodzią w głąb kraju; badał rzeki i zatoki; zapoznawał się z terenem; zaznajamiał się z Indianami; prowadził z nimi handel wymienny, a jak zwykle, dla kolonistów i samego Smitha bardzo korzystny.

Z kilku współtowarzyszami wyruszył nasz ruchliwy bohater w głąb kraju rzeką Chickahominy, nad której błotnistemi brzegami 250 lat później przelało się tyle krwi bratniej w wojnie domowej. Fatalnie zakończyła się ich ekspedycja. Czyhający Indianie pomordowali jego towarzyszy a Smitha, jako przewódcę, zabrali do niewoli, by go przyprowadzić przed groźne oblicze Powhatana wodza Algonquinów.

Przy boku ojca czekała na przybycie jeńca jego młoda córeczka Matacka co w narzeczu indiańskiem oznacza "źródło wśród wzgórz". Ponieważ Indianie nie zawsze wyjawiali swe prawdziwe imiona, więc też wobec białych przybyszów przybrała miano Pocahontas.

Gdy piękna Indianka ujrzała młodego, smukłego a w swej niewoli łagodnego jeńca zapałała doń przedziwną sympatią. Sześć tygodni trzymano go pod strażą i deliberowano nad tem, co z nim uczynić, a przedewszystkiem w jaki sposób go stracić. Mataoka zaczęła go cichaczem odwiedzać. Pokryjomu przynosiła mu gorące kukurydzane placki, pieczone na rozpalonych kamieniach, on jej nożykiem wystrugiwał zabawki, objaśniał busolę, której się wielce dziwowali Indianie, uczył ją wyrazów angielskich i opowiadał o swych ciekawych przygodach. W sercu młodej Indianki rozpalał się dziwny płomień miłości...

Okrutny wuj Mataoki przekładał jej ojcu Powhatanowi, że białego wodza Werowance należy zamordować a osadę bladych twarzy zniszczyć; w przeciwnym razie biali zniszczą Indian, których Wielki Duch na tych urodzajnych ziemiach osiedlił. Nie pomogły prośby i błagania młodej Indianki. W oznaczonym dniu wyprowadzono niewolnika, rzemieniami przymocowano do skały by go stracić. Wojownicy indiańscy twarze pomalowali czerwoną glinką, szerokiem kołem, niby ludzkim wieńcem, otoczyli swą ofiarę i groźnie potrząsając krwawymi maczugami, rozpoczęli swój hymn wojenny i pieśń śmierci. Stopniowo zacieśnił się ów śmiertelny pierścień wojowników, coraz bliżej głowy Smitha wywijały krwawe maczugi i błyszczały kamienne noże, zdawało się, że już nic nie uratuje dzielnego emigranta. W tem młoda Indianka przedziera się przez złowrogi pierścień, odpycha na stronę swego dzielnego i szlachetnego brata Nantaquausa, który swego przeciwnika zabrał do niewoli, rzuca się na pierś ofiary, otacza swemi rękoma jego głowę i każe się razem z nim zamordować, gdyż go sobie wybiera za męża! To był pierwszy z wielu tysięcy "squaw men". Głos zamarł w piersi wojowników, wstrzymali wzniesione maczugi, stanęli niby bronzowe posągi.

Czyż ten ciekawy incydent nie przypomina poniekąd starego słowiańskiego zwyczaju i naszego herbu Nałęcz?

Po tym dramatycznym wypadku brat Mataoki Nantaquausa załadował łódź żywnością, a więc: mieloną kukurydzą, dzikimi indykami, zwierzyną i nią odesłał jeńca z powrotem do Jamestown. Często tam zaglądała, młoda, urodna, a jak łania żwawa Mataoka z towarzyszkami, by odwiedzić swego jasnookiego Werowance, który ją zawsze z niekłamaną radością witał, darzył pieszczotliwymi słowami, przynosił korale, jedwabne wstążeczki i przeróżne łakocie.

Zajadły Opecancanough nie dał za wygraną. Nie mógł przeboleć tego, że córka Powhatana (w Waszyngtonie jest hotel tej nazwy) uratowała życie wodzowi bladych twarzy. Urządził spisek, by napaść osadę białych i wszystkich jej mieszkańców wymordować co do nogi. Dowiedziała się o tem Mataoka. W nocy, cichaczem opuściła swój wigwam, wskoczyła do kajaku i jak strzała pomknęła po falach szerokiej Pamunkey (rzeka York) do osady białych i przestrzegła swego białego Werowance i jego współrodaków o grożącem niebezpieczeństwie. Uratowała mu życie przed maczugami dzikich wojowników, skrycie ratowała całą osadę od śmierci głodowej a teraz ostrzegła ją przed masakrą Algonquinów.

Gdy jesienną porą krzewy i drzewa pokryły się purpurą i złotem, Nantaquausa przyniósł swej siostrze smutną nowinę. Proch, którego używają blade twarze przemówił grzmotem, a jej Werowance został straszliwie poparzony i, aby mu wzrok uratować, zabrali go hen za morza do jego rodzinnego kraju. Gwałtowny ból targnął jej młode serce; zgasł urok jej twarzy i młoda Indianka pogrążyła się w głębokim smutku i beznadziejnej tęsknocie za swym kochankiem, który się nawet z nią nie pożegnał.

Ojciec odesłał ją do jednego z sąsiednich plemion, zamieszkującego w głębi kraju nad porohami rzeki Potomac, gdzie się obecnie wznosi stolica kraju miasto Waszyngton. Zabrakło osadnikom żywności, którą im dostarczała młoda Indianka. Obawiali się nietylko głodu, ale pozbawieni wpływów i opieki Mataoki oczekiwali napaści Algonquinów. Przekupstwem za miedziany kocioł wydostali ją od plemienia Japazawa, przywiedli do Jamestown z zapewnieniem, że się jej nic nie stanie, ale jej ojciec miał ją wykupić i złożyć białym hojne dary zapewne w żywności. (To byli pierwsi "kidnaperzy"). Powhatan, sachem (wódz) Algonquinów otrzymawszy wiadomość o porwaniu ulubionej córki strasznym zawrzał gniewem i zaprzysiągł, że mimo swej wielkiej miłości dla najukochańszego dziecka, żadnych podarków białym nie pośle.

Młoda Indianka, ochłonąwszy z przerażenia, nieśmiało zapytała, co się stało z jej jasnookim Werowance, kapitanem Smithem. Powiedziano jej, że umarł i już go więcej nie zobaczy.

Po pewnym czasie przyjęła chrzest według rytuału kościoła anglikanskiego i otrzymała imię Rebeki. Nauczyła się po angielsku, na reszcie pokochała i wyszła zamąż za Jana Rolfa, pierwszego plantatora tytoniu w Ameryce. Solenna i radosna to była chwila, gdy młoda Indianka, przybrana w bogate suknie strojna w kolorowe paciorki, tak miłe sercu każdej Indianki, z białym welonem na głowie według zwyczaju angielskiego, z bratem Nantaquausem przy boku, trzymającym dary od ojca Powhatana, oddała swą rękę białemu osadnikowi. Stary Powhatan, wódz Algonquinów, zrezygnował ze swego urzędu, osiadł w pobliżu plantacji Rolfa, często zaglądał do mieszkania swej córki i bawił się z małym wnuczkiem.

Rolfowi jako plantatorowi dobrze się powodziło. Po paru latach zabrał żonę i synka, by odwiedzić swe rodzinne okolice. Ubrano Pocahontas w bogate europejskie szaty i jako indiańską księżniczkę przedstawiono na dworze królewskim. Królowa bardzo jej była rada, ale zato król James I, nie bardzo łaskawem okiem patrzał na związek małżeński Anglika z córką indiańskiego wodza. Ale dziwować się nie można, boć i teraz rodzice nie bardzo łaskawem okiem patrzą na swe synowe lub też na swych zięciów.

Gdy okręt był gotów do dalekiej podróży, w Londynie wybuchła straszna zaraza ospy. Ofiarą padła także Pocahontas. W śmiertelnej malignie widziała dziewicze lasy uroczej Wirginii, cicho płynące, głębokie a rybne rzeki, po których wprawnie, cicho i szybko wiosłowała do osady białych, by zobaczyć swego niebieskookiego Werowance. Jak przez sen widziała dymy indiańskich wigwamów, licznych, czerwoną glinką pomalowanych bojowników indiańskich szykujących się na polowanie lub wyprawy wojenne, widziała swego staruszka ojca, gdy niecierpliwie ze swego wigwamu nad rzeką Chickahominy wyczekiwał powrotu córki i wnuczka. Tak zapatrzona w swe młode lata, w rodzinne strony, odeszła w zaświaty, tam — gdzie są odwieczne "pola polowań" — happy hunting grounds — dzielnych Algonquinów, boć tam nie dozna zawodów i krzywd jakich nieraz doznawali jej pobratymcy od białych osadników! . .

W starej dzielnicy Londynu — Gravesend, nad brzegiem szerokiej Tamizy, jest kościół pod wezwaniem św. Tomasza. W sanctuarium, pod kamienną posadzką, złożono na wieczny spoczynek zwłoki Pocahontas. Na ścianie widnieje marmurowa tablica podobna do tych, co się widzi w starych polskich kościołach, a na niej taki napis: "Ten kamień przypomina księżniczkę Pocahontas lub Mataokę, córkę potężnego amerykańskiego indiańskiego wodza Powhatana. Delikatna i ludzka, była opiekunką i przyjaciółką pierwszych angielskich kolonistów, których uratowała, broniła i wspomagała. Po przyjęciu Wiary Chrześcijańskiej w r. 1613-tym otrzymała na Chrzcie św. imię Rebeka

i wkrótce potem wyszła zamaż za Jana Rolfa. Umarła w Gravesend i pochowano ją w tem miejscu 21-go marca 1617-go roku."

A teraz przerzucimy kartę historii o 250 lat po przybyciu pierwszych osadników angielskich nad brzegi zatoki Chesapeake. Na zegarze dziejów zatrzymamy się chwilę nad datą 8-go i 9-go marca 1862-roku. Już od dwóch lat w krwi bratniej pławi się Ameryka. Już od dwóch lat pola, lasy, wzgórza i bagniste rzeki stały się terenem walki bratobójczej, coraz liczniejsze, coraz większe powstają kurhany poległych.

Dnia 8-go marca 1862-go roku o godzinie jedenastej rano sześć okrętów wojennych stanowiących flotę południowców przypłynęło do Hampton Roads (ujście rzeki James do zatoki Chesapeake), by zaatakować daleko liczniejszą flotę stanów północnych—unijną. Na czele konfederatów płynął duży, opancerzony okręt "Merrimac-Wirginia". Dowódca południowców komodor Franklin Buchanan w te odezwał się słowa do swych podkomendnych: "Marynarze, za parę minut będziecie mieli sposobność okazać wasze przywiązanie dla naszej sprawy. Pamiętajcie, że macie walczyć w obronie waszej ojczyzny i waszych rodzin. Konfederacja spodziewa się, że każdy z was spełni swój obowiązek. Do broni!"

"Merrimac" kształtem przypominał podłogę na obu końcach uzbrojoną ostrymi, stalowymi dziobami. Na tej platformie, czy podłodze wystającej zaledwo parę stóp ponad wodę, zbudowano jakoby silnie opancerzoną skrzynię, szerszą u dołu a węższą ku górze. Na obu końcach i w bocznych ścianach umieszczono rząd armat. Ponieważ cały okręt był pokryty stalowym pancerzem na kilka cali grubości i to w dodatku skośnie umieszczonym, pociski z największych ówczesnych armat ślizgały się po tej pochyłości nie wyrządzając najmniejszej szkody.

W parę minut po wydaniu rozkazu, kapitan okrętu skierował stalowy dziób w najtęższego przeciwnika, okręt "Cumberland", uzbrojony dwudziestu czterema gwintowanymi armatami i 300 ludźmi załogi. "Merrimac" nawet nie odpowiadał na strzały okrętów i bateryj nadbrzeżnych, które go formalnie ale bezskutecznie zasypywały, gradem kul. Dziobem przebił swego antagonistę a ponadto jedną salwą wywalił tak dużą dziurę, że śmiało możnaby w nią wozem wjechać. Załoga okrętu się nie poddała, waliła z armat dopóki okręt z rozwiniętym gwiaździstym sztandarem nie poszedł na dno zatoki. W przeciągu godziny nie pozostało znaku po tym wspaniałym okręcie.

Następną ofiarą był okręt "Congress", którego zapędzili na mieliznę, okręt podpalono i załoga się poddała. Następnie z kolei zaatakował mniejsze okręty "Roanoke", "St. Lawrence" i "Minnesota", które nie mogąc podołać w stal zakutemu antagoniście cofnęły się na

mieliznę, by uniknąć losu tamtych. Po odniesionym zwycięstwie "Merrimac" odpłynął na przeciwny brzeg, by następnego dnia przygotować się do dalszej walki.

Nocne mroki złowrogim blaskiem oświecały palący się "Congress". Od czasu do czasu w powietrze strzelały snopy iskier, gdy na pokładzie z hukiem pękał pozostawiony granat. O północy ognie doszły do prochowni. Nastąpił wybuch: wysoko strzeliły kłęby dymu i ognia, rozwalił się kadłub okrętu, cicha zatoka pokryła się płonącymi belkami. Wkrótce po wybuchu poszedł na dno "Congress". Ciemna, cicha noc rozstawiła swe smętne straże. . . .

W niedzielę, 9-go marca, gdy mgły poranne jeszcze pokrywały spokojne wody, "Merrimac" ruszył na przeciwną stronę zatoki, by dokończyć swe dzieło zniszczenia.

Z soboty na niedzielę nadeszła unistom pomoc. Z Nowego Jorku przybył oryginalny, opancerzony okręt, wyglądem przypominający deskę na której przymocowano krąg szwajcarskiego sera. Południowcy nazwali go "cheese box" — pudło na ser. Konstruktorem "Monitora", bo tak się ten prototyp nowoczesnych krążowników nazywał, był Szwed John Erickson.

Wywiązała się zacięta czterogodzinna walka między dwoma opancerzonymi okrętami. Możnaby powiedzieć, że to była walka Dawida z Goliatem. Pancerna wieża (turret) "Monitora" wciąż się obracała i z dwóch gwintowanych armat, na bardzo bliską metę, niby potężnym obuchem, waliła w grube, stalą pokryte ściany "Merrimaca". Ten zaś dokładał wszelkich starań, by celnymi strzałami strącić, rozbić lub w jakiś sposób uszkodzić tę ogniem ziejącą wieżę. O mało, że im się nie udało nadziać małego antagonistę na dziób okrętu, jednakowoż tamci w czas spostrzegli grożące niebezpieczeństwo i uniknęli śmiertelnego ciosu.

Po czterogodzinnej a poniekąd bezskutecznej walce mały "Monitor" ustąpił z placu boju. Dwudniowa walka jakiej przedtem nie stoczył żaden okręt wojenny, dała się także we znaki "Merrimakowi" a szczególnie złamany dziób przy pierwszym spotkaniu z okrętem "Cumberland" nie dał im spokoju. Do wnętrza okrętu sączyła się woda, której nie można było na poczekaniu zatamować. W każdym razie, było to wielkie zwycięstwo dla floty południowców. W dwudniowej bitwie "Merrimac" zniszczył dwa okręty wojenne, uszkodził i zapędził na mieliznę lub też pod ochronne mury fortu Monroe trzy inne okręty liniowe, z których każdy posiadał komplet 550 marynarzy i po 40 armat ciężkiego kalibru, pozatem przepędził kilka mniejszych kanonierek i dał się we znaki "Monitorowi". Innemi słowy, pancernik południowców z załogą 350 marynarzy i dziesięciu armatami pokonał przeciwnika mającego komplet 2960 marynarzy i 220 armat. Straty po

stronie konfederatów wynosiły siedmiu zabitych i 108 rannych. Tak się skończyła pierwsza w historii bitwa pancerników.

Oficerowie francuscy i angielscy, co na tę walkę patrzeli, przekonali się, że te dwa okręty kompletnie zmieniły taktykę wojenną na morzu. Jeden z angielskich redaktorów powiedział, że przed bitwą miała Anglia 149 okrętów bojowych, po bitwie, ani jednego, któryby mógł stawić czoło któremukolwiek z tych dwóch okrętów.

Na wodach zatoki Chesapeake, po której teraz płyniemy, rozpoczęła się nowa era dla okrętów wojennych. Każdy nowoczesny okręt bojowy, z armatami umieszczonymi w pancernych wieżach, kopiuje tylko małego "Monitora."

Południowcy mimo chwilowego zwycięstwa, nie mogli zapanować nad silniejszym przeciwnikiem i dlatego sami własny okręt zatopili. "Monitor", poszedł na dno morza podczas burzy tam, gdzie zwyciężeni i zwycięzcy znajdują wspólny grób!

Gdyśmy opuszczali Cape Charles miało się już ku zachodowi. Duże, złociste słońce wiosenne rzucało na ląd i wody smugi ciepłych, jasnych promieni, uwydatniając swym blaskiem profile drzew, domów, portu i na kotwicach lekko kołyszących się okręcików i łodzi rybackich.

Mijamy latarnie morskie, czerwone buoye i głuche monotonne dzwony ostrzegawcze, których ponury ton, niby jęk, płynie daleko po spokojnych falach wielkiej zatoki. Czasem mijamy łódź rybacką lub też hen na oceanie ukaże się długa wstęga czarnego dymu, zwiastun, że zdala płynie nieznany nam parowiec.

Za okrętem używanym do przewozu aut i pasażerów, leci kilkanaście mew, szukających żeru. Z piskiem rzucają się na każdy odpadek z okrętu. W wodzie zaś, co chwila, wyskakują na powierzchnię lekkimi, pełnymi wdzięku łukami duże, ciemne delfiny. Cóżby to była za walka, gdyby człowiek taką rybę chwycił na wędkę!

Stopniowo słońce, ta wielka latarnia kontynentów i mórz, gasło a cicha noc, niby czuła matka, brała w swe objęcia i tuliła do snu spracowaną ziemię, wzburzone morza i strudzonych ludzi. . . Wielkie i tragiczne wydarzenia na zatoce noc pokryła całunem wspomnień!....

Zdala ukazały się światełka portowego miasta Norfolk. Ono także nieraz ucierpiało od pożogi wojennej. Anglicy je swego czasu zburzyli a nasi także mu nie folgowali. Za kwadrans zawijamy do portu. Spuszczają na grubych łańcuchach pomosty i długim rzędem rusza z okrętu gromada samochodów i turystów, jedni do swych domostw, inni do hoteli a my tuż za miastem znaleźliśmy wygodne domki turystyczne. Dwa dni tu zakwaterowaliśmy się zwiedzając te historyczne, ciekawe i piękne okolice.

ROZDZIAŁ III.

## Norfolk - Hampton Institute - Yorktown - Williamsburg

Rano pojechaliśmy zwiedzić historyczne brzegi przylądka Henryka. Wygodna, betonowa droga, tuż nad oceanem, wiedzie nas na miejsce wśród piaszczystych dun, porosłych małą sośniną i morskiem sitowiem. Na samym cyplu przylądka na pamiątkę pierwszych osadników, którzy tu wylądowali, zbudowano granitowy krzyż a na nim umieszczono bronzową tablicę, z napisem że tu 8-go kwietnia 1607-go roku wylądowali pierwsi angielscy osadnicy.

Jakie sto kroków od brzegu stoi stara latarnia morska, jedna z pierwszych na Zachodnim Kontynencie. Przy niej zbudowano drugą wraz ze stacją meteorologiczną, z której codziennie wysyłają raporty o pogodzie i nadchodzących burzach, a jest ich tu poddostatkiem. Stara, mchem pokryta wieża ma w sobie pewien urok, boć to jest historyczny zabytek, którego rząd i przeróżne patriotyczne organizacje strzegą przed zębem czasu i ręką wandala.

Ileż to huraganów przetrwała owa latarnia morska?!... Ileż to rozbitków patrzało na jej migotliwe światełko, gdy szli na dno oceanu?... Ileż to okrętów, kierując się za jej promykiem, szczęśliwie zawinęło do portu?!... Oj dużo mogłaby nam powiedzieć ta stara latarnia morska.

Cóż za ciekawe i ważne wypadki rozegrały się w promieniu światła tej morskiej lampy?! W sierpniu 1781-go roku 28 bojowych okrętów francuskich pod dowództwem admirała hrabiego de Grasse tu przybyło ze San Domingo i dnia 6-go września rozgromiło flotę angielską. To zwycięstwo zadecydowało o losach armii generała Cornwallisa w Yorktown.

Najciekawszą polską książkę możnaby napisać o manewrach floty i strategicznych posunięciach armii francuskiej pod wodzą Lafayetta i amerykańskiej pod dowództwem Waszyngtona. Może kto inny to kiedyś uczyni. Te posunięcia strategiczne były tak znakomicie uplanowane i tak skrupulatnie wykonane, że Anglikom nic innego nie pozostało jak tylko złożyć broń. Pod Yorktown Anglicy stracili na zawsze swą pierwszą a zarazem najbogatszą kolonię — Stany Zjednoczone.

Obejrzałem jak należy pomnik, przeczytałem napisy, odfotografowałem latarnię i nawet nadbrzeżne forty, chociaż to jest przeciwko jedenastemu przykazaniu boskiemu i rządowemu, które brzmi jak następuje: "Pamiętaj, abyś żadnych twierdz, armat, okrętów wojennych (a w Polsce nawet stacyj kolejowych) nie fotografował, jeżeli nie chcesz dostać kopniaka w odwrotną stronę medalu". W Niemczech, jak Czesi mowią, gotowi ci za to toporem "odchlasnąć hlawiczku". Taki już ze mnie niepoprawny zbereżnik, że kiedykolwiek wlazłem do fortu to zaraz wyjąłem aparat i co najciekawszego fotografowałem a co gorsza w książce zamieściłem. Nie czynię tego z jakiejś przewrotności i wrodzonego szpiegostwa, ale raczej jako człowiek życzliwy chcę przestrzec flotę i armię polską, aby nam wojny nie wypowiedziały i tych historycznych brzegów nie napadły, boć "gorące" otrzymałyby przyjęcie. Niektóre z naszych armat, jak mnie zapewniali ludzie wojskowi, walą na trzydzieści mil i trudnoby się było nieprzyjacielowi wedrzeć do zatoki Chesapeake.

Poza linią fortów i dużych haubic zmontowanych na wagonach kolejowych, ciągną się piękne, piaszczyste plaże morskie. Zapraszają turystę wygodne hotele, nęcą pola do gry w golfa i wabią urocze domki bogaczy. Obok surowego buldoga wojennego, szczerzącego stalowe kły w postaci dalekonośnych armat, swobodnie igrają beztroskie dzieciaki i kąpią się amerykańskie nimfy w kostiumach takich, że już nic wyobraźni ludzkiej nie pozostawiają.

Miasto Norfolk a z niem sąsiadujące Newport News dla turysty nic ciekawego nie przedstawia. A jednakowoż są tu bardzo "ciekawe" obiekty natury wojskowej. Niejeden szpieg dałby za to trzonowy ząb, gdyby mu się udało zaglądnąć do stoczni okrętów wojennych i spenetrować konstrukcję naszych najnowszych kolosów morskich, czy też zdradliwych submaryn. Stocznie, składy z olejem, węglem, żywnością, amunicją i wszelkim sprzętem wojennym przedstawiają grube miliony dolarów. Cały rejon jest silnie ufortyfikowany. Tu bowiem jest główna baza floty wojennej. W pobliżu fortu Monroe znajduje się także jedno z naszych olbrzymich lotnisk wojskowych. Zatoka Chesapeake jest główną bramą wodną do stolicy państwa. Już się to drugi raz nie przytrafi, by Anglicy, czy którzykolwiek inni nieprzyjaciele, bezkarnie tu wjechali, popłynęli do Waszyngtonu i spalili miasto, jak to się stało w roku 1812-tym.

Zwiedziliśmy doki i urządzenia portowe. Wpuszczono nas na okręt wojenny "Wyoming", pokazano trochę armat a pełno tam było tego sprzętu wojennego i to w rozmaitych kalibrach od trzynastocalówek do karabinów maszynowych. Z każdego kąta jakaś "spluwa" ci w ślepie zaglądała. Okręt "Wyoming" kosztował 35 miljonów dolarów ale w pojęciu marynarzy to już staruszek. Gdyby przyszło do bitwy

to nowszym kolosom by nie "zdierżył" i w krótkim czasie, poszedłby na dno oceanu. Nowe udoskonalenia nawet z najlepszych okrętów bojowych czynią w kilku latach, stare rudery, za które narody jednak zapłaciły setki milionów dolarów. Czy kiedy przestaniemy się zbroić i podatkami narody obciążać?!. . . .

Po obejrzeniu miasta, historycznych zabytków i bazy okrętów wojennych, przeprawiliśmy się promem przez szeroki pas wody zwany Hampton Roads. W tym miejscu odbyła się zacięta walka pierwszych w świecie pancerników o której w poprzednim rozdziale wspomniałem.

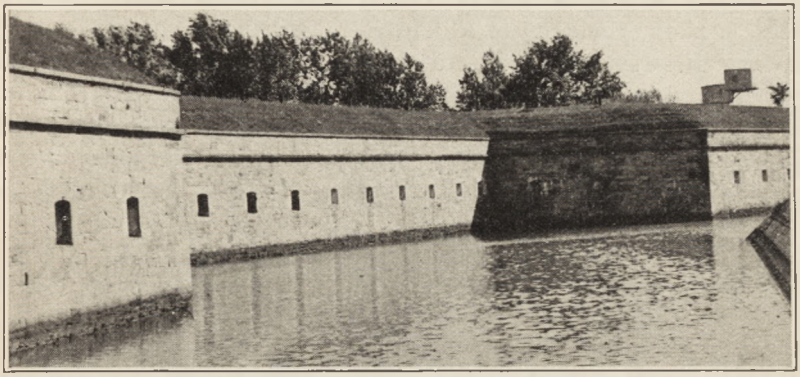

Forteca Monroe

Jak zwykle, wdałem się w rozmowę z kilku pasażerami, pytając ich o ciekawe, historyczne zabytki lub miejsca, które warto zobaczyć. Amerykanie, wobec turystów, są zawsze grzeczni, a szczególnie, jeżeli się rozchodzi o ich stan, czy miasto. Na zasadzie, że każda liszka swój ogon chwali, więc i ci opowiadali o poszczególnych fortach, o miasteczkach, polach bitew, lotniskach, przedewszystkiem kazali zwiedzić starą i szeroko znaną szkołę dla murzynów — Hampton Institute.

Za niecałe pół godziny przepłynęliśmy zatokę. Zajechaliśmy na chwilę do fortu Monroe, by chociaż tylko pobieżnie zwiedzić starą, historyczną twierdzę. Po wojnie domowej, kilka lat więziono w niej, jako "buntowszczyka" i przestępcę politycznego Jeffersona Davisa, prezydenta stanów południowych. Można się było wówczas bez tych ekscesów obyć, a tem łatwiej dałoby się zagoić rany, zadane walką domową, niestety tak nie było.

Po drugiej wojnie z Anglią w roku 1812-1813, w której dostało się nam porządne lanie, rząd postanowił zbudować szereg potężnych fortów, aby nieprzyjaciel już więcej nie mógł wtargnąć do wnętrza kraju. Zaproszono tu wybitnego francuskiego inżyniera, by przygotował plany na cały szereg twierdz od Maine aż do Florydy. Duża, ponura warownia, przypominająca poniekąd Cytadelę Warszawską,

jest jedną z kilkunastu twierdz, zbudowanych w tym czasie. O jej zdobycie nie pokusili się południowcy, mimo zwycięstwa nad flotą północnych, niemal że pod jej murami.

Jaką milę za twierdzą wjeżdżamy w bramy wielkiego zakładu naukowego Hampton Institute. Tam się kształcą przyszli wodzowie i nauczyciele murzynów. Ich ojcowie, czy dziadowie, przybyli do "wolnej" Ameryki zakuci w kajdany, jako niewolnicy. Sprzedawano ich na bloku, taksamo, jak bydło pociągowe.

Szeroka, starannie utrzymana droga prowadzi wśród szpalerów iglastych drzew i pięknych klombów do tego niezwykłego zakładu naukowego. Szkoła posiada sto kilkadziesiąt akrów ziemi, tuż nad brzegiem zatoki. Jej założenie datuje się od czasu wojny domowej. Wtenczas jeden z dowódców, generał Samuel Armstrong, powziął myśl ufundowania zakładu naukowego dla swych żołnierzy a byłych niewolników. Zbudowano tu sto trzydzieści pięć większych i mniejszych gmachów szkolnych, w których się kształci ponad tysiąc chłopaków i dziewcząt. Oj, na dobrą ziemię padło ziarno rzucone ręką generała, dowódcy pułków murzyńskich. Poznał on i pokochał prostą duszę czarnucha i postanowił rzucić do niej trochę światła i wiedzy.

Audytorium w Hampden Institute

Na ten cel oddał własną skromną fortunę, kołatał o fundusze w stanach północnych, ćwiczył w śpiewie chóry murzyńskie, a te zaś, objeżdżając większe miasta, dawały koncerty i kolektowały pieniądze na budowę zakładu. Z tych skromnych początków powstała dziś wielka instytucja naukowa. Tu zaznaczyć wypada, że poza Hampton Institute murzyni mają jeszcze inne znane szkoły, mianowicie, Tuskegee

w Alabamie, Fisk University w Tennessee i Howard University w Waszyngton, D. C. Tam kształcą się na lekarzy, dentystów, adwokatów, jednym słowem profesjonalistów murzyńskich.

W gmachu administracyjnym dano mi młodego murzyna za przewodnika. Był to chłopak może dwudziestoletni, grzeczny, inteligentny, wszędzie nas oprowadził i wszystko objaśnił. Na ścieżkach i w klasach pilnie obserwowałem studentów i studentki. Rzucała się w oczy ta różnica między zwykłym "niegramotnym" murzynem a młodzieżą, co od kilku, a może kilkunastu lat rosła w atmosferze szkolnej. Wszystko grzeczne, poważne a nawet niektóre murzynki . . . powabne, boć i ten szczegół nie uchodzi uwagi waszego — cicerona.

Zakład pracuje w dwóch kierunkach. Każdy student przechodzi kurs ogólno-oświatowy a więc: uczy się przedmiotów wykładanych w zwykłych szkołach wyższych, czyli "high schools," a częstokroć biedaczysko zaczyna od szkoły elementarnej. Pozatem — i to uważam za bardzo ważne — każdy uczeń wybiera sobie fach lub profesję, w której dalej się kształci i ćwiczy. Te specjalności obejmują niemal całą gamę nauk. A więc: jest zwykły kurs handlowy, przygotowujący zastępy stenografistek, buchalterek i innych pracowniczek biurowych. Pozatem idzie muzyka, szkoła dramatyczna, szkoła tańców (murzyni mają nadzwyczajny dar do muzyki, harmonii, śpiewu i tańców). Posiadają tu doskonale postawiony kurs klasyczny, przygotowujący zastępy murzyńskich nauczycieli i nauczycielek. Poza przedmiotami w klasach, każdy student, pod okiem swych profesorów, uczy malców i przechodzi wyszkolenie praktyczne, jak ma prowadzić szkołę wiejską i jak się ma obchodzić z małymi "czekoladkami," bo tak tu nazywają malców murzyńskich.

Bardzo gruntowne są kursa fachowe jak n. p. krawiectwo męskie i damskie. Młody murzyn uczy się jak ma sukno kroić, jak szyć i to nie zwykłą siermięgę ale całe garnitury a więc, ubrania, mundury, smokingi i stroje wieczorowe tak dla mężczyzn, jak i dla kobiet.

Prowadzi nas miły student do innej sali. Tam znów uczą jak malować szyldy, jak urządzać wystawy w oknach wielkich sklepów itp. Z kolei wiedzie nas do działu stolarskiego. W tym jestem silny, niemal, że "spec", bo przecież sam fach ten z wielkim zamiłowaniem uprawiam. Dlatego mogłem tym lepiej ocenić nietylko pierwszorzędne urządzenie pracowni, nowoczesne maszyny ale także podziwiać znakomicie przez uczniów wykończoną robotę stolarską. Tu nie wystarczy wiedzieć jak deski piłować, lub gwoździe wbijać. Studenci rysują plany na budowy, robią desenie mebli, poznawają poszczególne okresy czy architektury czy też wzorów sprzętu domowego, następnie w drzewie te projekty wykonują. Nawet zauważyłem dużo ciekawych i oryginalnych robót stolarskich. W Polsce podobny instytut zwiedziłem

w małej wiosce na kraju puszczy Białowieskiej, ale tam kształcą tylko we fachu stolarskim. Tu zaś uczą się tapicerstwa, naprawy mebli, jednym słowem wszyskiego, co wchodzi w zakres tej pracy.

Przechodzimy do kuźni, w której uczą kowalstwa a więc: jak konie kuć, jak obręcze na koła zaprawiać, jak wykuwać różne sprzęty ze sztangi żelaznej. Tu też umieszczono cały szereg obrabiarek i innych maszyn używanych do toczenia metalów, do naprawy samochodów, do montowania elektrycznych silników. Przy nas uczniowie manipulowali acetylinowe lampy, spajając duże sztangi żelaza. Tu nawet robią wozy, a ze sprzedaży tychże, studenci otrzymują pewną sumę na swe wydatki, reszta idzie na zakupno materiału i pokrycie kosztów zakładu.

Kancelarie i sale wykładowe w Hampden Institute

W innym znów gmachu, z wykładem nauczyciela, jest połączona praktyka jak n. p. zakładać wodociągi, ustawiać i łączyć wanny, umywalki, i jak wykonywać roboty plumbiarskie. Oglądaliśmy przeróżne gatunki murów z cegły i kamienia, kilka okazów kominków angielskich, bo polskich pieców kaflowych tu nie znają.

Dziennikarstwo i drukarstwo to także fach, od lat dobrze mi znany. Z przyjemnością więc oglądałem różne modele linotypów, pras drukarskich począwszy od dużych, skomplikowanych maszyn do drukowania gazet, książek i miesięczników aż do małych, pospiesznych gordonek. W obszernej i znakomicie we wszelkie maszyny wyposażonej drukarni, na ścianie pod zegarem, zauważyłem ten napis: "It is always time to do good printing" — "Zawsze jest czas na wykonanie dobrej roboty drukarskiej." Sądze, że zawsze powinien być czas na dobre wykonanie każdego zadania i pracy. Tu chłopcy nietylko się

uczą, ale drukują całe stosy miesięczników, tygodników i przeróżnych wydawnictw, które dziesiątkami tysięcy rozchodzą się po kraju, aby publiczność zaznajomić z działalnością zakładu a przytem, zbierać ofiary na szkołę. Zapewne dużo tej szkolnej "bibuły" idzie do domów murzyńskich i zachęca młodzież do nauki, uświadamia starszych, pouczając ich o obowiązkach obywateli Stanów Zjednoczonych. Te wydawnictwa dają wyszkolenie inteligentniejszym studentom w pracy literackiej i redaktorskiej.

Powiedziałby niejeden, że już to, co powyżej opisałem, tworzy dużą szkołę, ale to dopiero początek. Zakład posiada sto kilkadziesiąt akrów gruntu. Rola odłogiem tu nie leży, stanowi może najważniejszy dział całego zakładu. Studenci uczą się tu agronomii w całym tego słowa znaczeniu. Zaznajamiają się z różnymi gatunkami gleby, co ona może wydać, jak hodować przeróżne rośliny, krzewy, drzewa owocowe, jak je rozmnażać, wyprowadzać nowe gatunki, jak szczepić oraz jakich używać trucizn na tępienie szkodliwego robactwa, a tego mamy w Ameryce poddostatkiem.

Z zakładem są połączone wzorowo prowadzone "kurzalnie". Najulubieńszą potrawą murzyna stanowią kurczęta pieczone i melony, (arbuzy), więc tu ich uczą: jak prowadzić według najnowszych metod gospodarstwo drobiu. Kurs ten obejmuje wszystko od wylęgania kurcząt aż do ich ewentualnej rzezi i pieczenia. W oborach znajdziesz rasowe bydło, dostarczające zakładowi nabiału, masła a czasem pieczeni. W wykształceniu przyszłych rolników, chlewy z nierogacizną także odgrywają niepoślednią rolę. Prócz nauki teoretycznej chłopacy zajmują się trzodą, bydłem i drobiem a więc, karmią, doglądają, robią obserwacje, uczą się oceniać gatunki i wydajność każdego bydlęcia. Prócz teorii, wszędzie zastosowują tu, tak ważną stronę praktyczną wyszkolenia.

Dla dziewcząt są tu działy i to bardzo obszerne o gospodarstwie domowym. W to wchodzi szycie, gotowanie, czyszczenie, dekoracja, jednym słowem: jak zakładać i jak prowadzić "ognisko domowe". Jest tu osobny dział pielęgniarstwa i t. zw. "social work" tak dziś niezbędny wśród biednych, nietyle czarnych, ale ciemnych mas murzynów, o których na innym miejscu jeszcze wspomnę. Murzynki częstokroć są świetnymi kucharkami, a wiele z nich, tu się tego fachu nauczyło. Nie tylko, że uczą się, jak mają piec i gotować, ale każda z kolei idzie z nauczycielką do miasta, czyni zakupy, poznaje artykuły spożywcze, ich ceny, gatunki, jednym słowem: jak ma prowadzić "ekonomię domową," jak oszczędzać pieniądz, aby był "wilk syty i koza cała" a w tym wypadku, aby murzyn i małe "czekoladki" miały co jeść, w czym chodzić i aby im bieda nie doskwierała.

Zbyt długo wzięłoby opisać wszystko co tu się widzi. Zakład stale się rozwija. Wciąż budują nowe gmachy i sale wykładowe. Może to nie luksusowe zabudowania któregokolwiek z naszych wielkich uniwersytetów, ale są to budynki przestronne, solidnie zbudowane i wygodne. To ważne, że plany i wszelkie roboty wykonują sami studenci, szkoła płaci tylko za materiał. Studenci-robotnicy się kształcą a równocześnie opłacają swe wyszkolenie i otrzymują po kilka dolarów na osobiste wydatki.

Z natury nie jestem zazdrosny, ale gdym te gmachy obejrzał, gdym się cośkolwiek zapoznał z owocną pracą murzyńskiego zakładu, mimowoli ślepie, niby żbikowi, z zazdrości mi pozieleniały. Myślą wpadłem do naszych, bardzo nielicznych a nader skromnych uczelni polskich. Przed 50-ciu laty, nasi pierwsi pionierzy-biedacy pobudowali Seminarium Polskie w Detroit, obecnie przeniesione do Orchard Lake. Związek, przed 25-ciu laty kupił stary hotel i założył Szkołę Związkową, która parę lat temu się spaliła i teraz z mozołem i wielkim wysiłkiem buduje murowany zakład, o którym później więcej napiszę. Mamy niewielkie kolegium św. Jana Kantego w Erie, jest jeszcze szkoła wyższa w Chicago i liceum w Buffalo a pozatem, nic więcej. Polskie zakonnice w Buffalo, Chicago i innych miastach mają wprawdzie wyższe szkoły dla dziewcząt, nie ustępujące innym amerykańskim zakładom, ale jak na czteromilionową Polonię, nie mamy się czym chwalić. Wprawdzie, pobudowaliśmy dużo kościołów i szkół parafialnych: mamy kilkanaście stowarzyszeń asekuracyjnych, ale dotąd nie zdobyliśmy się na jeden duży zakład naukowy, któryby nam dostarczał fachowo wyszkolonej inteligencji świeckiej, mówiącej i myślącej po polsku. Seminarium Polskie jest skazane na zagładę, przez episkopat amerykański, należałoby je więc czymprędzej przerobić na zakład dla fachowego wykształcenia młodzieży świeckiej. Szkoła Związkowa prowadzi dobrą robotę ale to mało i upłynie jeszcze dużo czasu, zanim staniemy na poziomie tego, co mieć powinniśmy i co nam jest koniecznie potrzebne, a co już mają murzyni.

Kilkanaście mil od Hampton, na małym płaskowzgórzu, niedaleko ujścia rzeki York, jest stara, mała, senna mieścina — Yorktown. To małe osiedle niezatartymi zgłoskami zapisało się w historii Stanów Zjednoczonych. Tu bowiem 19-go października 1781-go roku, wojska amerykańskie i francuskie wzięły do niewoli armię angielską pod wodzą generała Cornwallisa. Tu się zakończyła wojna o niepodległość. Rozpoczęła się w okolicach Bostonu i w Lexington, Concord i Bunker Hill, sięgnęła od mroźnych wzgórz Quebek'u aż hen do słonecznej Sawanny, gdzie szerokolistne palmy i czerwono-białe oleandry pokryły groby — zwyciężonych i zwycięzców! . .

Zanim atoli dojedziemy do tej historycznej mieściny, znów na momencik zaglądnijmy do historii, aby się cośkolwiek zaznajomić z wypadkami i kampanią wojenną, jaką w tej okolicy prowadził młody ale zdolny francuski generał — Lafayette.

Już od czterech lat przewalała się burza wojny po Zachodnim Kontynencie. Zmienne były jej losy. Raz uśmiechało się nam zwycięstwo, to znów czarna rozpacz ogarniała serca walczących, zanim blaskiem triumfu zajaśniał Yorktown. Jego promienie nie zgasną, dopóki sztandar gwiaździsty będzie łopotał nad krajem co tu wywalczył swą niepodległość.

Chociaż ochotnicy z Wirginii od samego początku walczyli o wolność; chociaż Waszyngton, Morgan, Lee i tylu innych dowódców tu się rodziło, jednakowoż Anglicy dopiero w maju 1779-roku wysłali na wody Chesapeake'u silną flotę wojenną i kilka tysięcy wojska, aby załatwić się z powstańcami. Jednym z dowódców ekspedycji angielskiej był nasz "bohater-zdrajca" Benedykt Arnold, rodem z Norwich, Conn. Chciałbym kiedyś coś więcej o nim napisać. Zajadli Anglicy szeroko i głęboko zapuścili swe niszczycielskie zagony. Pa'ili wsie i miasteczka. Zabrali plantatorom około trzydzieści tysięcy murzynów, zniszczyli dobytku za jakie piętnaście milionów dolarów, co na owe czasy przedstawiało kolosalną sumę. Nie zdołali jednak uśmierzyć powstańców — przeciwnie, wszystkich przeciwko sobie zjednoczyli i każdy, kto mógł, wstępował do szeregów.

Zwycięstwo Amerykanów w Karolinie pod Kings Mountain, znakomite manewry Lafayetta, zacięty opór barona Steubena i innych wodzów, zniewoliły generała Cornwallisa do ściągnięcia swych sił nad brzeg morski. Z polecenia naczelnego wodza w Nowym Jorku, Cornwallis skoncentrował swe siły w Yorktown, w tej myśli, że nadejdą okręty i zabiorą całą ekspedycję do Nowego Jorku. Clinton jednakowoż wojsk tych na czas nie wycofał, popełniając tymsamym fatalny błąd strategiczny. Dzięki jego ślamazarności, cała armia angielska, licząca jakie dziesięć tysięcy żołnierzy, dostała się do niewoli.

W sierpniu 1781-go roku do miasteczka Newport, w Rhode Island, przypłynęła fregata francuska "Concorde" z depeszą, że dowódca floty francuskiej, hrabia de Grasse, wyruszy z San Domingo 3-go sierpnia i popłynie do zatoki Chesapeake, by pospieszyć z pomocą Amerykanom i swym współrodakom, walczącym pod wodzą Lafayetta. W Newport, między innymi wybitnymi gośćmi był także nasz Kościuszko. Nasz rodak brał czynny udział w walkach na południu i zapewne kierował robotami inżynierskimi, przy zdobyciu Yorktown, jak to uczynił pod Saratogą. W każdym razie, czytałem, że on oddał ostatni strzał pod Yorktown.

Zapewne Lafayette wraz z Waszyngtonem przeprowadzili ten genialny plan strategiczny i tak zesynchronizowali akcję sił lądowych i morskich, iż w potrzask chwycili armię angielską. Flota francuska przypłynęła do Cape Henry 28-go sierpnia 1781-go roku. De Grasse przywiódł 28 okrętów bojowych i 3500 żołnierzy. Piątego września zwyciężył flotę angielską, która, zostawiając na łasce losu Cornwallisa, sama, mocno poturbowana, czymprędzej odpłynęła do Nowego Jorku.

Lafayette w międzyczasie złączył oddziały i zaciągi ochotnicze dorównując liczebnie swemu antagoniście, który przed paru miesiącami się chełpił, że "tego chłopaka pochwyci." Tymczasem "chłopak" w kozi róg go zapędził.

Aby zatrzymać generała Clintona w Nowym Yorku, Waszyngton roztrąbił po Nowej Anglii, że atakuje miasto. Oczywiście dowiedział się o tym wódz angielski, dlatego siedział spokojnie i czekał na mniemany atak. Waszyngton zaś bardzo szybkimi marszami poprowadził swe wojsko przez Filadelfię do Yorktown. Z Lafayettem otoczyli nieprzyjaciela a flota francuska zablokowała mu drogę od morza.

Dnia 28-go września szesnaście tysięcy wojsk amerykańsko-francuskich pod wodzą głównodowodzących, generała Rochambeau i Waszyngtona, rozpoczęło oblężenie. Otoczono obóz i fortyfikacje angielskie ogromnym półkolem, zatoczono na pozycje ciężkie armaty okrętowe, budowano zasieki i wały. Przypuszczam, że Kościuszko w tej pracy, jako inżynier, rej wodził. Ciężka artyleria rozpoczęła atak 9-go września. Ogień jej, w miarę montowania nowych baterii, stopniowo zwiększano. Armaty nad brzegiem rzeki umieszczone zniszczyły kilka okrętów angielskich, następnie szturmem zdobyto ich dwie najsilniejsze reduty. Clinton, widząc grożące niebezpieczeństwo, chciał się przedrzeć na przeciwną stronę rzeki, ale gwałtowna burza mu w tym przeszkodziła. Nie mając żadnej drogi wyjścia, złożył broń 19-go października 1781-go roku. Tak zakończyła się sześcioletnia walka o niepodległość.

Rząd Stanów Zjednoczonych z tego małego półwyspu, utworzonego przez rzekę James, York i zatokę Chesapeake robi park narodowy. Ten niewielki skrawek ziemi zawiera dla nas najcenniejsze pamiątki historyczne. Tu wylądowali pierwsi angielscy koloniści; w uroczej wiosce Williamsburg była pierwsza stolica kolonii Wirginia; w Yorktown zakończyła się walka o niepodległość. Niemal, że na każdym kroku stąpamy po ziemi bogatej w legendę historyczną, przytym hojnie zbroczoną krwią ludzką. Jeżeli o Polsce jeden z papieży powiedział: że "gdyby ktoś ścisnął garść ziemi, popłynęłaby z niej krew męczenników za wiarę," to tym więcej możnaby powiedzieć to samo o Wirginii, gdyż obficie trysnęłaby tu krew bohaterów, przelana za wolność!

W Yorktown odrestaurowano wszystkie historyczne domy. Na reduty zatoczono stare działa, poustawiano tablice z objaśnieniami, w którym miejscu były pozycje angielskie, a gdzie półkolem ciągnęły się okopy francuskie i amerykańskie. W ważniejszych pozycjach umieszczono bronzowe tablice a nad całym terenem dominuje wspaniały granitowy pomnik, ku czci zwycięstwa w walce o niepodległość.

Zwiedziliśmy pole bitwy i dom, w którym podpisano artykuły kapitulacji angielskiej, a były one takie same jak te, które Anglicy podyktowali naszym, gdy zajęli Sawannę. Obejrzeliśmy stare baterie francuskie, miejsca, w których szturmem zdobywano pozycje angielskie, jednym słowem, nic nie uszło naszej uwagi a i aparaty fotograficzne były w robocie. Po należytym zwiedzeniu tak historycznego zakątka i po krótkiej refleksji nad tym, co się tu działo przed stu sześćdziesięciu laty, ruszyliśmy w dalszą drogę do miasteczka Williamsburg, bardzo uroczej a, dzięki milionom Rockefellera, kompletnie odrestaurowanej pierwszej stolicy Wirginii.

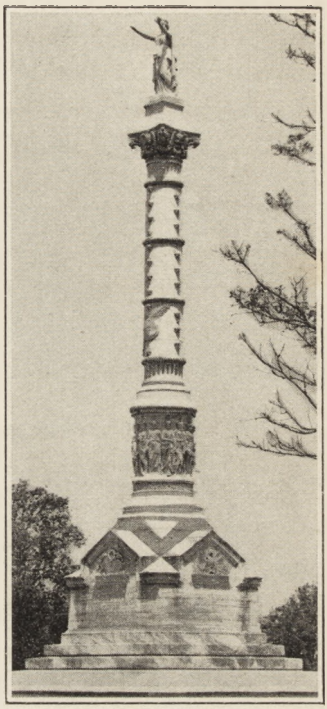

Pomnik na polu bitwy pod Yorktown

Jeszcze do niedawna miasteczko było starą, zaniedbaną i zapomnianą mieściną, przez której zapadłe uliczki, stare domy, a przedewszystkim przez pierwszy kapitol i przez drugie najstarsze kolegium w Ameryce, tyle przesunęło się historii, tylu wybitnych, zasłużonych a w dziejach Ameryki nieśmiertelnych ludzi tu żyło. Pastor protestanckiego zboru nazwiskiem Goodwin, mając dużo wolnego czasu, zaczął badać dzieje nietylko swej parafii "Bruton Parish Church" ale także całej mieściny i okolicy. Zwrócił się do krezusa naftowego Jana D. Rockefellera z prośbą, aby się zajął tą pierwszą stolicą, tą historyczną świątynią Stanów Zjednoczonych. Widocznie, że projekt przypadł do gustu sędziwemu bogaczowi. Wybrano komisję ekspertów, którzy szukali po Londynie i Paryżu oryginalnych planów, szkiców, opisów i na podstawie tychże całe miasteczko odbudowali.

Główną atrakcję wioski, drzemiącej wśród rosochatych wiązów i symetrycznych klonów, stanowi ratusz a właściwie kapitol — The House of Burgess. Tu, przed wojną o niepodległość, zbierali się ówcześni gubernatorzy i posłowie, by radzić nad sprawami Wirginii. Obok

jest stare kolegium "William and Mary" a opodal powojem pokryty zbór protestancki "The Bruton Parish Church," którego pastor tak wielce się przyczynił do odbudowy gmachu i całego miasteczka.

Za opłatą półdolarowego wstępu, starsze panie w strojach kolonialnych a więc: w obcisłych stanikach, bufiastych spódnicach i dziwacznych czepkach na głowach, oprowadzały turystów po gabinetach i salach starego a właściwie powinieniem powiedzieć — zupełnie odbudowanego kapitolu. Jak na owe czasy, tak architektura jak i wewnętrzne bogate urządzenie zaciekawiają turystę. Nawet znalazło się kilka starych sprzętów, cośkolwieczek archiwów, lamp, jednym słowem—do kilkunastu antyków dorobiono resztę gmachu.

Pierwszy Kapitol w Ameryce

Stare kolonialne domy, których tyle napotyka się w Nowej Anglii, mają swój szczególniejszy urok. Może nigdzie tak ze sobą nie harmonizują jak w Williamsburg. Wszystkie na biało malowane, z zielonymi okiennicami i framugami, opasane zielenią rosochatych drzew. Przed każdym domem są staroświeckie ogródki w których nasturcje, róże i inne bogato barwne kwiaty wdzięczą się do turysty w wiosennym słońcu.

Patrząc na schludne uliczki, obszerne a zamożne i luksusowe domy z dużymi kuchniami i jadalniami, gdyż sztuka kulinarna w starej historycznej Wirginii doszła do wysokiego stopnia doskonałości, mimowoli człowiek puszcza wodze wyobraźni i wraca do dawnych dziejów!

W dni świąteczne, lub podczas wyborów widziało się tu bogate, czterokonne pojazdy zamożnych plantatorów, zajeżdżające, czy to do kościoła, czy do sądu, czy też do któregoś z urzędników a najczęściej do wygodnej karczmy — Raleigh's Tavern. Tam, przy szklance grzanego angielskiego piwa, kieliszku madery lub gorącego "grogu", koloniści żywo rozprawiali o polityce, o nadużyciach gubernatorów angielskich i o sprawach bieżących. Gdy z niejednej czupryny już się doskonale "kurzyło" padały wtenczas słowa buntu i zachęty do walki o wolność.

Zobaczyłbyś wysokiego, od ospy zeszpeconego a pełnego arystokratycznej gracji Waszyngtona, gdy tu zajeżdżał ze swą nadobną żoną a do niedawna ciepłą a bogatą wdówką Martą Custis. Powoził

końmi stangret murzyn, boć wszyscy już wtenczas mieli za służbę murzynów-niewolników. Ona robi zakupy a on spieszy do "tawerny" na kieliszek i pogawędkę. Do stołu przysiada się zamyślony o wysokim czole, z europejską erudycją Tomasz Jefferson, za chwilę wchodzi żywy, energiczny, pełen entuzjazmu a dzielny mówca Patrick Henry, ten sam co na zebraniu wypowiedział te pamiętne słowa; "Dajcie mi wolność, albo dajcie mi śmierć!"... Ileż to godzin przepędzili w tej miłej mieścinie ci, z których pierwszy stał się wodzem armii kontynentalnej i dał miano jego—stolicy kraju. Drugi, Tomasz Jefferson, ułożył naszą konstytucję i także był prezydentem rzeczypospolitej. Trzeci—słowem zachęcał do walki. . .

Już dawno odeszli z areny życiowej! . . Każdy chlubnie spełnił swe zadanie i nieśmiertelnymi głoskami zapisał się w kronikach narodu. Tu jednak wciąż żyją w pamięci, bo tu chodzili, tu pracowali, tu przygotowywali plany do walki o niepodległość, tu zakładali podwaliny silne i trwałe naszej konstytucji i naszego życia politycznego. Ziarno siane ich roztropną reką wydało tak wspaniałe plony!

Wstąpiłem do antykwarni, aby zakupić kilka pocztówek. Tam przypadkowo dowiedziałem się od staruszka właściciela, że w tym domu w roku 1776-tym założono "Klub Pułaskiego". Do tego klubu należała wówczas elita miasta i profesorowie kolegium William i Mary. Wskazówka czasu sto sześćdziesiąt lat odliczyła od chwili założenia klubu. Już dawno odeszli w zaświaty jego wybitni i patriotyczni założyciele, ale klub po dziśdzień istnieje i, jak wonczas tak i teraz, jego członkowie żywo dyskutują i debatują nad sprawami politycznymi i ekonomicznymi.

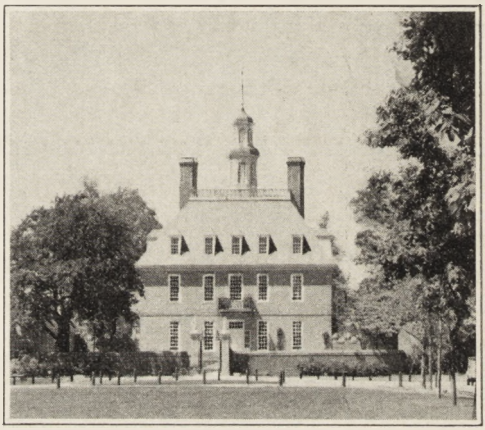

Kolegium William and Mary

Przeszła tędy pożoga wojny o niepodległość. Niby wzburzona fala waliła o te zaciszne domy i urodzajne pola wojna domowa. Wszystko minęło! . . . Pozostały cmentarze i mogiły poległych! . . . Na polach bitew wyrosły krzyże i pomniki, a stary Williamsburg śni o swej chwale i swych wielkich synach! . . .

ROZDZIAŁ IV.

## Bitwy pod Richmond - Petersburg - Dwie Karoliny.

Gdy to piszę, leży przede mną duża, historyczna mapa stanu Wirginia. Na niej są oznaczone główne drogi jak również historyczne miejscowości, w których się urodzili lub zmarli wielcy wodzowie i mężowie stanu. Na krzyż złożone szable oznaczają pola bitew. Przeliczyłem je wszystkie. Niektóre może były tylko większymi potyczkami, inne zaś, to bitwy na wielką skalę prowadzone, albowiem w nich padły dziesiątki tysięcy zabitych i rannych. W takiej bitwie pod Cold Harbor generał Ulysses S. Grant, wódz armii unijnej, chciał szturmem zdobyć silne pozycje południowców i w godzinie stracił około piętnaście tysięcy ludzi. Tu po raz pierwszy południowcy zastosowali t. zw. "szybki ogień." Najlepsi strzelcy stali ukryci poza okopami a następne szeregi nabijały i podawały im broń. Generał Grant później tego ataku żałował. Ale wracam do rachunku pól bitew, i naliczyłem ich 180. Czy jest gdziekolwiek inny skrawek ziemi, na którym, w tylu bitwach płynęło tyle krwi ludzkiej? Wątpię.

Drogi, wiodące turystę do pięknego miasta Richmond, stolicy Wirginii, stanowią jakoby arterie, którymi w tę i w ową stronę maszerowały ongiś setki tysięcy żołnierzy. Za czasów Waszyngtona tędy szły wojska angielskie, francuskie i amerykańskie. Kilkadziesiąt lat później, w jedną i w drugą stronę przelewały się fale "niebieskich i szarych" — the Blue and the Gray — bo od niebieskich mundurów nazywali wojska północnych stanów "the Blue," a od szarych nazywali południowców "the Gray."

Śmierć gęsto przerzedziła szeregi bohaterów wojny domowej a wiek pochyla ku ziemi jej ostatnich weteranów. Ci co się wsławili bohaterstwem na tysiącach pól bitew od Pennsylwanii, Maryland i Wirginii aż hen do Teksasu a nawet do New Meksyko, wkrótce staną do ostatniej pobudki, by rozłożyć swe ogniska obozowe na polach Marsowych. . .

W roku 1862-gim głównodowodzący wojsk północnych generał George B. McClellan rozpoczął swą niefortunną "Peninsular Campaign" czyli "kampanię półwyspu." Okrętami przewieziono do zatoki Chesapeake dużą, dobrze wyekwipowaną i wyćwiczoną armię. Według z góry obmyślanego planu, miała się ona posuwać w głąb kraju wąskim

pasem, utworzonym przez rzeki York i James, by od wschodu uderzyć na Richmond, stolicę południowców, i ostatecznie zakończyć wojnę. Kilka tygodni trzeba było zdobywać Yorktown, następnie walczono zawzięcie o Williamstown, miasteczko w poprzednim rozdziele opisane. Po długich walkach, gdyż wiosenne roztopy i wylewy przemarsz utrudniały, zbliżyli się Yankiesi pod mury Richmondu. Byli już tak blisko, że w niedzielę słyszeli głos dzwonów kościelnych, zwołujących wiernych na modlitwę.

Piszę o bitwach pod Richmondem z tego względu, że przypominają mi poniekąd pociągnięcia strategiczne bitwy pod Warszawą. Zdawało się, że za parę tygodni uniści zdobedą Richmond. Bronił go generał Johnston, ale padł ranny na polu walki. Jego miejsce zajął jeden z najlepszych strategików ówczesnych, generał Robert E. Lee. Miał on przytym do pomocy wodzów tej miary, co generał "Stonewall" Jackson, "Jeb" Stuart i A. P. Hill, nie wymieniając wielu innych zdolnych oficerów.

Jedna z armii południowców, pod wodzą generała Tomasza "Stonewall" Jacksona, operowała wówczas w dolinie rzeki Shenandoah, zagrażając naszej stolicy. To była ich armia — manewru, czyli wypadu. Żeby ją zaszachować, federalni z konieczności trzymali w rezerwie jedną armię na obronę Waszyngtonu. W oznaczonym czasie, według znakomicie obmyślanego planu, Jackson czym prędzej przetransportował swe wojska pod Richmond i uderzył na flank sił unijnych, zadając im dotkliwe klęski.

Armia generała Jacksona przypomina poniekąd armię polską pod wodzą ś. p. Marszałka Piłsudskiego, atakującą flank i tyły bolszewików, powodując ich klęskę.

Dnia 25-go czerwca 1862-go roku, sztab południowców, składający się z generałów Lee, Jackson, Longstreet, Magruder i Hill przygotował szczegóły bitwy. W siedmiodniowej walce całkowicie zniweczono wielomiesięczne zdobycze generała McClellana. Nawet kilkakrotnie zdawało się, iż skończy się całkowitą klęską wojsk unijnych. Jedynie znakomite wyćwiczenie, odwaga żołnierzy i zdolność głównego wodza w walce defensywnej oraz w prowadzeniu odwrotu, uratowała go od całkowitego rozgromienia.

Generał A. P. Hill przekroczył rzekę Chicahominy i rozpoczął ofensywę jakie pięć mil na wschód od miasta Richmond. We czwartek 26-go czerwca 1862-go roku uderzył na prawe skrzydło wojsk unijnych pod Mechanicsville. Szturmem wyrugowano z pozycyj najeźdźcę, i przepędzono go do Gains Mill, następnie Cold Harbor, Fair Oaks, White Oak Swamp, Seven Pines aż hen do Malvern Hill. W kilku wypadkach, gdyby było więcej czasu i noc nie przeszkodziła dalszej walce — zabrakło biedakom żydowskiego feldmarszałka Jozuego, co

słońce zatrzymał — gdyby jeszcze można było zdobyć niektóre drogi i mosty, którymi cofała się armia unijna, skończyłoby się taką klęską jaką ponieśli Moskale pod Warszawą. W każdym razie, te siedm dni bezustannej walki, zapisały się złotymi literami w kronikach południowców. Mniejsze siły, kiepsko nieraz wyekwipowane, ale pod znakomitymi dowódcami z szaloną brawurą odrzuciły od stolicy silniejszego nieprzyjaciela i dały mu straszliwe cięgi. Można powiedzieć, że rok 1862-gi był z całej czteroletniej wojny najpomyślniejszy dla południowców. Ile tysięcy żołnierzy poległo w tej bratobójczej walce, ilu odniosło rany i zginęło w bagnach i moczarach, to chyba tylko sam anioł śmierci może powiedzieć. Na kredyt jednych i drugich to wypada nadmienić, że nie brakowało im bohaterstwa i poświęcenia. W bitwie pod Gains Mill odznaczyła się dywizja Irlandczyków pod wodzą generała Meaghera. "Ajrysze" walczyli po stronie unistów.

Szybko mijamy te ongiś krwawe pola walki i tylko liczne tablice przydrożne objaśniają turyście, kto z kim, a względnie, które dywizje, czy korpusy, w tym miejscu walczyły.

Nie zatrzymaliśmy się tu (chociaż pola bitew lubię zwiedzać) ale spieszyliśmy do Richmond. Nawet nie będę opisywał tego pięknego miasta, bogatego w pomniki i wspomnienia. Wirginię jak i jej stolicę szczegółowo opisałem w mej poprzedniej książce turystycznej "Samochodem przez Stany Zjednoczone" i do niej Czytelnika posyłam. [1]

Każdy, kto może, powinien zwiedzić to stare, a w historyczne wspomnienia tak bogate miasto. Szeroki bulwar, Monument Avenue, pod żadnym względem nie ustępuje najpiękniejszym ulicom świata. Co parę ulic, na wysokich cokołach wznoszą się artystyczne, bronzowe pomniki wielkich wodzów południowców. Chociaż nie dopięli celu i dziś wielu z południowców przyznaje, że lepiej iż się tak stało, jednakowoż lud okazał swą wdzięczność tym, co w ofierze życie oddali — "przegranej sprawie"! Chociaż wielu z generałów południowców zginęło na polu walki, jednak żyją w posągach i sercach swych współobywateli.

Po bardzo krótkim postoju, opuszczamy Richmond i szeroką drogą spieszymy do sąsiedniego miasta Petersburg. Jeszcze za studenckich czasów pragnąłem je zwiedzić a to ze względu na zacięte walki, długie oblężenie i wyjątkowe pole bitwy, które przeszło do historii jako "bitwa krateru" — The Battle of the Crater. Chciałem koniecznie zobaczyć ten krater.

Teraz miasto Petersburg może nie jest ciekawe. Widzi się szablonowe sklepy, fabryki, składy na tytoń, boć w okolicach tytoniu

1 "Samochodem przez Stany Zjednoczone" tom 2-gi, "Wirginia"

jesteśmy, a poza tym nic nadzwyczajnego. Raczej, obserwując ludzi i sunące auta, wracam myślą do ostatnich dni wojny domowej i widzę przed sobą strzępy tej kiedyś wielkiej, dzielnej, zwycięskiej armii generała Lee'a. . .

Po dwóch latach wojny, znów tu wróciła północna fala, pod wodzą generała Granta. Ani męstwo żołnierzy, ani strategiczne zdolności wodzów nie mogły powstrzymać zbliżającej się katastrofy. Niby ol-

Krater

brzymim stutysięcznym taranem walił Grant w coraz to cieńsze, w coraz to słabsze linie południowców. Po zaciętych walkach w "Campaign of the Wilderness", szerokim łańcuchem okopów otoczył silnie obwarowane i mężnie bronione miasta Richmond i Petersburg. Miesiące całe trwały te tytaniczne zmagania. Wreszcie federalni przedarli się w kilku miejscach przez pozycje południowców. Trzeba było opuścić Petersburg i Richmond.

Dnia 2-go kwietnia 1865-go roku była niedziela, dzień jasny, pogodny, świąteczny. . . Już dziesięć miesięcy w ogromnym półkolu grały armaty. W tym dniu jednak stopniowo milkły baterie konfederatów. Wśród ludności krążyły pogłoski, że trzeba będzie miasto ewakuować. W nocy, przez trzy mosty, na rzece Appomattox, szybko i sprawnie cofało się trzydzieści tysięcy wojska konfederatów. Najprzód szła piechota, za nią szeregi kawalerii a na końcu turkotały

armaty i jaszczyki z amunicją. O trzeciej rano pozostała tylko ariergarda, której zadaniem było: zniszczyć fortyfikacje, wysadzić w powietrze prochownie, zdemolować mosty i spalić wszelkie zapasy, aby się nie dostały do rąk zwycięzców.

W pewnych odstępach czasu, wśród nocnej ciszy, rozlegał się straszny huk w powietrze wysadzanych fortów; okoliczne wzgórza, niby wulkany buchały ogniem i kłębami dymu. Przez miasto szybkim krokiem cofały się już ostatnie ariergardy. . . Jeden z cofających się żołnierzy wspierał na ramieniu swego ciężko rannego towarzysza. Widząc, że wszelka pomoc dla rannego była już daremna, złożył biedaka na schodach starego kościoła. Na postrzępionym i krwią zbroczonym mundurze położył kartkę z napisem: "proszę mnie pochować" — P'ease bury me.

Rano, za cofającymi się konfederatami spieszyły długie, nieprzerwane linie żołnierzy federalnych. Niechcący, defilowali przed ostatnim, nieznanym obrońcą Petersburga, który pod drzwiami starego kościoła przyjął defiladę i czekał na swój pogrzeb. . . Wśród starych, zapadłych grobów i zmurszałych pomników już dawno wyrosła bujna trawa na grobie nieznanego żołnierza i ostatniego obrońcy miasta. . .

Może jakie dwie mile za miastem, na małym wzgórzu, znajduje się słynne pole bitwy, znane w historii Stanów Zjednoczonych jako — "bitwa krateru". Nie mogąc szturmem zdobyć pozycyi konfederatów pod miasteczkiem Petersburg, Grant rozpoczął formalne oblężenie, które trwało niemal do końca wojny. Żołnierze z Pennsylwanii, przeważnie górnicy, obeznani z podkładaniem min, powzięli myśl wykopania głębokich tuneli pod okopy nieprzyjacielskie. Złożono do nich cztery tysiące funtów prochu i 30-go lipca 1864-go roku całą pozycję wysadzono. Wyleciały w powietrze armaty, amunicja i trzystu obrońców.

Eksplozja była tak straszna, że nawet żołnierze federalni zostali nią zaskoczeni i nie wykonali zamierzonego ataku jak należało. Przypuszczano, że po silnym bombardowaniu i wysadzeniu miny zrobi się wyłom w pozycjach obrońców i wśród popłochu można się będzie wedrzeć do miasta. Coś nie dopisało, ktoś sprawę pogmatwał. Krater wprawdzie zajęto i osadzono żołnierzami murzyńskimi, wcale nie nadającymi się do trzymania tak ważnej pozycji.

Konfederaci pod wodzą generała Mahone zorganizowali kontratak. Wśród mgły, przyczołgali się niespostrzeżeni do brzegu krateru. Z nadzwyczajną zajadłością i brawurą, na białą broń, zaatakowali murzynów. "Bez pardonu" — poszedł rozkaz wśród zajadłych wirgińczyków. Niby tysiączne śmiercionośne, zimne żądła pławiły się ostre bagnety w ciałach walczących. Murzyni w panicznym strachu uciekli z tego kotłującego się dołu, pełnego potrzaskanych armat,

trupów, połamanych karabinów, poszarpanych ciał, ociekających krwią ludzką. Własną piersią i męstwem południowcy zatamowali wyłom. Tysiące legło na tym polu bitwy.

Już zgórą siedmdziesiąt pięć lat minęło od chwili, gdy na tym wzgórzu tak obficie lała się krew żołnierzy. Krater stał się grobem i pomnikiem dla tysięcy bohaterów. Z walczących już niewielu pozostało przy życiu, boć ta niestrudzona kosiarka — śmierć, niemal wszystkich ustawiła w śmiertelnych szeregach.

Na polu tak hojnie krwią ludzką zroszonym wyrosły potężne dęby, symbole siły i męstwa tych, co tu o swe ideały i przekonania do ostatniego tchu życia walczyli. Natura kobiercem zieleni i kwiatów pokryła rany, Matce Ziemi przez ludzi zadane. Rząd zrobił z tego niewielkiego wzgórza — "pomnik narodowy". Zbudowano muzeum. W nim turysta może oglądać broń i wszelki sprzęt wojenny tu używany i na polu bitwy porzucony. Ku czci generała Mahone i jego żołnierzy, bohaterów tej i wielu innych bitew, zbudowano pomniki, postawiono straże. . . Panuje tu niezmącona cisza. Tylko dęby dębom a jodły jodłom szepcą modlitwę leśną, kołysząc do snu wiecznego tysiące poległych. . . .

Po kolacji puściliśmy się w dalszą drogę do Charleston, dużego portowego miasta w Południowej Karolinie. Chcąc się tam następnego dnia dostać, trzeba było jeszcze przed wieczorem odbyć jakie pięćdziesiąt mil drogi.

Chata murzyńska

Teraz wjeżdżamy w rejon stanów południowych. Mimowoli da się zauważyć, że wojna domowa tak zmiażdżyła te stany ekonomicznie iż dotąd nie zdołały się całkowicie podnieść z druzgocącej klęski. Miasteczka małe, schludne ale nie bogate. Ziemia może urodzajna, tylko nie tak uprawiana, jak w stanach północnozachodnich. Ani tu nie zauważysz tych trzód bydła, ani tych stogów pękatych, ani tych wielkich beczek (silos) do kukurydzy kiszonej, a którą bydło z wielkim apetytem zjada. Nie widzisz tu tych maszyn nowoczesnych, tych pługów ciągniętych traktorami. Wszystko jakieś jeszcze prymitywne, ubogie. Myślałbyś, że to inny kraj, a przecież jesteśmy zaledwo sto kilkadziesiąt mil od Waszyngtonu.

Wszędzie spotykamy murzynów. Przy drogach, w polu, pod lasem widać ich małe, obdarte domy; ich chaty może nigdy farby nie widziały. Gonty są często z dachu wichurą zdarte; deszcz leje się do wnętrza. We framugach okien, zamiast szyb, widzisz niekiedy tekturę, szmaty lub też deski. Drzwi częstokroć wiszą na bakier, bo zawiasy

poobrywane. Zdaleka widać, że i wewnątrz nie lepiej. W chacie stoi mały brudny piec kuchenny, trochę prostych sprzętów domowych, kilka żelaznych łóżek, pokrytych brudnymi materacami i kocami. Tu się gnieździ robactwo i czarna, ludzka nędza. . .

Na polach przeważnie orzą w muły. Ziemię uprawiają murzyni na "spółkę" z białymi właścicielami. Pewną część zbiorów otrzymuje czarny robotnik a resztę zabiera plantator. Tak jeden jak i drugi cierpi niedostatek. Ziemia pozbawiona nawozów coraz to mniejsze wydaje plony, bo mało bydła, a na sztuczne brak pieniędzy. Jeżeli się przytym weźmie pod uwagę fakt, że ceny na bawełnę i inne produkty jak dotychczas były niskie, zrozumiemy, dlaczego w ostatnich latach bieda wszystkim tu porządnie doskwierała. To mnie uderzyło, iż częstokroć w tych opuszczonych, nędznych chatach, bez najmniejszych nowoczesnych udogodnień, mieszkali także biali osadnicy. Widać, że to mazgaje i lenie. Zapewne brak im jakiej takiej inicjatywy i ochoty do pracy. Wszyscy się tu żywią kukurydzanymi plackami i czarnym syropem wyciskanym z trzciny cukrowej. Może zapracują tylko tyle, aby kupić kawy, cukru i innych najpotrzebniejszych artykułów spożywczych, a pozatym, trochę przyodziewku.

Jadąc przez stany południowe, częstokroć, przy drogach, zauważyłem gatunek świń zwanych "razor backs". Przypominają wyglądem dzikie świnie a podobno mają to być potomkowie pierwszych okazów nierogacizny sprowadzonej tu z Hiszpanii. Uczciwy farmer w Iowie, czy Illinois, nie trzymałby za darmo takiego warchlaka, bo to tylko ryj, uszy i ogon a ponadto długa szczecina; są one więcej podobne do zgłodniałych chartów aniżeli do uczciwych świń. Jestem święcie przekonany, że z takich "chudziaków" nie wyrabiają w Polsce tych smacznych szynek, którymi się teraz rozkoszuje cała Ameryka. Powiadają tutejsi farmerzy, że jednak wolą ten gatunek od rasowych, gdyż nie potrzeba ich tyle karmić i pielęgnować co tamte, bo od małego prosięcia same sobie dają radę. Po lasach, na pastwiskach i przy drogach długimi ryjami rudują co mogą. Na jesień farmerzy to trochę podkarmią i już pieczeń gotowa.

Kiedy i do którego miasteczka zawinął pierwszy okręt z niewolnikami, dokładnie już nie pamiętam. Było to jeszcze przed naszą wojną o niepodległość. Czytałem gdzieś, że Waszyngton wymieniał niewolników za rum a może i za inne towary. W każdym razie, była to nieszczęśliwa godzina dla nas jak i dla murzynów. Niemcy mają u siebie kłopot z zachowaniem "czystości" rasy teutońskiej, gdyż po wojnie Francuzi posłali do Nadrenii kilka pułków murzyńskich i dzięki temu, trochę potomstwa niemieckiego się cośkolwieczek. . . . "umurzyniło." Cóż tu dopiero powiedzieć o Stanach Zjednoczonych, w których zamieszkuje kilkanaście milionów murzynów i to po całym

kraju rozrzuconych?! Wprawdzie niewielu ich jest w stanach północnych, ale zato na południu, gdziekolwiek kamieniem rzucisz napewno w "nygra" trafisz.

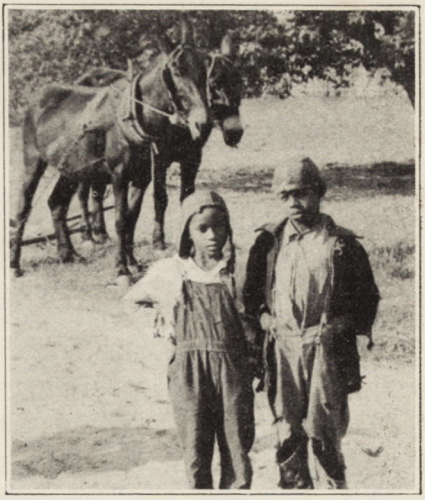

Mali murzyni

Mają tu dla nich wyjątkowe prawa i surowe ograniczenia. Dla murzynów są osobne przedziały w tramwajach i pociągach, osobne szkoły, osobne miejsca dla zabaw a nawet osobne . . . ustępy. Im źle i nam z nimi niewygodnie. Przeważnie są to ludzie powolni a nawet powiedziałbym do pracy leniwi chociaż wytrzymali. Gdy już kilkanaście lub kilkadziesiąt dolarów zapracuje, rzuca robotę i używa wywczasów. Ich ulubioną rozrywką jest: zabawa w kostki. Gry hazardowe zawsze ich do siebie zwabią a gdy już ostatniego dolara straci dopiero wtenczas szuka zajęcia. Są jednak wyjątki. We wszystkich wielkich miastach spotyka się murzynów z uniwersyteckim wyszkoleniem a niektórzy dorobili się nawet poważnej fortuny. Z przyjemnością wsłuchiwałem się w te miękkie a z murzyńska wymawiane wyrazy z akcentem południowców. Jest to, jakoby osobny, a bardzo ciekawy dialekt.

Murzynki przy pracy

Na noc zakwaterowaliśmy się w niewielkim hoteliku w miasteczku Emporia, blisko granicy Południowej Karoliny. Następnego dnia chcieliśmy dotrzeć do portowego a historycznego miasta Charleston. Więc też wstaliśmy rychlej, bo już o siódmej, gdyż do wieczora trzeba było zrobić 375 mil.

Ciche, zaspane miasteczko jeszcze było spowite w mgły poranne, gdy nasze auto ruszyło w dalszą drogę. Jechaliśmy w kierunku południowym drogą Nr. 301, przez Weldon, Enfield do Rocky Mount. W Weldon przekroczyliśmy szeroką, mętną rzekę Roanoake.

Na śniadanie zatrzymaliśmy się w miasteczku Rocky Mount. Kazałem równocześnie mechanikowi przeglądnąć maszynę, by czasu w drodze nie tracić. Apetyt wyśmienity, bośmy naczczo za niespełna półtorej godziny zrobili sześćdziesiąt mil. Drogi wszędzie doskonałe.

Jesteśmy po raz pierwszy w stanie Północnej Karoliny. Podaję tu garść ciekawych wiadomości jak to czyniłem pisząc mą poprzednią pracę turystyczną: "Samochodem przez Stany Zjednoczone."

Początkowo, cały obszar ciągnący się wzdłuż Atlantyku od Florydy aż do Wirginii nazywano — "Karoliną". Później podzielono go dla lepszej wygody kolonistów, na dwa stany—Północną i Południową Karolinę. To ciekawe, że Anglicy nazwali ten kraj Karoliną ku czci swego króla Karola II-go, Francuzi, którzy także swe kolonie tu założyli, nazwali go Karoliną ku czci swego króla Karola IX-go.

Północna Karolina tym się chełpi, iż w jej granicach, na małej wysepce Roanoke, założono pierwszą osadę angielską. Zapoczął ją wybitny Anglik, Sir Walter Raleigh, o którym już poprzednio wspomniałem. Stołeczne miasto nosi jego miano. Nie miał szczęścia Sir Walter, gdyż jedna wyprawa za drugą poszły na marne. Kolonistom nie chciało się pracować. Swarzyli się między sobą a przytem kłócili się z Indianami. Gdy zabrakło żywności, bo tubylcy odmówili im prowiantów, angielscy "setlerzy" głodem przymierali.

Pierwsza wyprawa przybyła do brzegów Karoliny w roku 1584-tym. Na małej wysepce do której przypłynęli, jak notują osadnicy w swych kronikach, znaleźli dziewięć domów, otoczonych ostrokołem. Kto te domy pobudował, kto tu mieszkał, co się z nim stało, nikt nie wie. Pierwsza osada z głodu i chorób zmarniała, a co zostało przy życiu, kapitan Drake zabrał z powrotem do Anglii. Po trzech latach, Raleigh znów wysłał ekspedycję pod wodzą gubernatora Jana White'a. Ta sama powtórzyła się historia co z poprzednią. Widocznie byli to lenie, trutnie i draby ostatnie. Zamiast uprawiać rolę, szukali oni za złotem i bili się z Indianami. Druga z rzędu osada tem się tylko chełpi, że w niej przyszło na świat pierwsze białe dziecko i to w dodatku dziewczynka. Na imię dano jej Virginia Dare. Co się z nią stało, nikt nie wie. Po założeniu osady gubernator White odpłynął do Anglii po zapasy i po więcej kolonistów.

Gdy po kilku latach wrócił do osady z zapasami już nikogo tam nie zastał. Opustoszałe domy i porozwalane ostrokoły były niemymi świadkami tragedii. Ponieważ nawet ciał nie znaleziono, przypuszczają że osadników zabrali Indianie. Może starszych wymordowali a młodzież włączyli do swych plemion. Tylko na drzewie znaleziono wycięte C-R-O-A-T-A-N, ale co to miało znaczyć nikt tego dotąd odcyfrować nie potrafił. Więc tu znów historia stawia wielki znak zapytania.

Dopiero w roku 1660-tym, nad rzeką Chowan, w pobliżu zatoki Albemarle powstały trwałe kolonie angielskie. Liczne nadbrzeżne wysepki, zaciszne zatoki morskie stały się główną kwaterą morskich piratów. Z tych skrytek czynili wypady przeważnie na bogate galeony hiszpańskie, wiozące srebro i złoto z Meksyku do Hiszpanii. Zdobytym łupem częstokroć dzielili się z urzędnikami i gubernatorami. Właściwie był to graft tylko innego rodzaju. Jeden z piratów Edward Teach otrzymał miano "czarnobrodego." Ale tak długo dzban wodę nosi, aż się ucho nie urwie. Gubernator Wirginii, któremu widocznie ów pirat dał się porządnie we znaki, wysłał wojenne okręty na poskromienie bandyty i te się bardzo prędko z nim załatwiły. Banderą korsarzy zwykle była czarna flaga z trupią głową. Nowocześni bandyci, wobec tamtych, są tylko parodią. Któryż z nich może sobie na zbrojny okręt pozwolić?' Najwyżej w Chinach znajdzie się jaki taki pirata, ale to już nie te ciekawe postacie, o których czytaliśmy na szkolnej ławie.

Północna Karolina ma cośkolwiek ponad pięćdziesiąt dwa tysiące mil kwadratowych obszaru, a blisko trzy i pół miliona ludności. Stołeczne miasto Raleigh nazwano ku czci angielskiego męża stanu, o którym mowią, że "oddał swą fortunę, ale nie oddał siebie samego." Jego wyprawy spełzły na niczem, a sam zginął z ręki kata. Czyż nie tak się dzieje, gdy ludzie w jakieś przedsiębiorstwo, czy sprawę, chociażby najlepszą, wkładają tylko pieniądze a nie oddają jej serca?!. . .

Karolina jest przeważnie stanem rolniczym. Bawełna i tytoń stanowią jej najważniejsze produkty. Za tymi idzie budulec, terpentyna i żywica wydobywane z drzew sosnowych.

Jechaliśmy przez miasteczka Rocky Mount, Wilson, Dunn, Fayetteville i Lumberton. Jakie dwadzieścia mil za Lumberton przekroczyliśmy granicę Karoliny Południowej. Te same drogi, ten sam krajobraz, ci sami murzyni i ta sama bieda. To tylko odmienne, że przy drodze napotykamy coraz więcej drzew, szczególnie dębów, pokrytych długimi wiechciami "hiszpańskiego mchu." Tak bowiem te rośliny nazywają. Pęki tej ciekawej rośliny podobnej do wiechci siana a żyjącej powietrzem i wilgocią,—gdyż często zauważyłem ją na drutach telegraficznych i słupach przydrożnych daje drzewom przy drogach a szczególnie w parkach smętny urok. Mech hiszpański napotykaliśmy we wszystkich stanach południowych aż hen do Teksasu.

Południowa Karolina była kiedyś częścią tej niezbadanej, kwiecistej o uroczym klimacie—Florydy. Tu też docierały okręty słynnych odkrywców hiszpańskich—Ponce de Leona i Menendeza. Za Hiszpanami przypłynęli tu Francuzi pod wodzą dzielnego kapitana Jana Ribault. Prześladowanie Hugenotów we Francji zniewoliło admirała de Coligny, szampiona dyssydentów, do szukania w Ameryce odpo-

wiednich kolonii dla swych współwyznawców. Pierwsi osadnicy francuscy zapuścili swe szlaki wzdłuż rzeki św. Wawrzyńca i założyli miasta Quebec i Montreal. Ponieważ klimat kanadyjski jest bardzo ostry, dlatego Coligny szukał okolic w których warunki więcej odpowiadałyby klimatowi francuskiemu.

Ribault szczęśliwie dotarł do brzegów północnej Florydy. Po kilkudniowym pobycie wyruszył dalej na północ i założył osadę Port Royal. Okoliczne ziemie przejął na rzecz Francji i nazwał ja Karoliną, na cześć króla Karola IX-go. Francuzi wylądowali w Port Royal 27-go maja, 1572-go roku. Wszystkim spodobała się okolica, klimat i przystań. Mniemali, że tu wkrótce zrobią fortunę i przysporzą sławy swej ojczyźnie. Ribault pozostawił tu 29-ciu osadników sam, zaś wrócił do Francji. Z osadnikami francuskimi stało się to samo, co było z kolonistami angielskimi. Nie chciało się im pracować; kłócili się między sobą; zamordowali swego wodza, a gdy się kończyły zapasy żywności, zbudowali skutę i puścili się z powrotem do Francji. Przypadkowo napotkał tych nieszczęśliwców okręt angielski, część odstawił do Francji a resztę zabrał do Anglii. Tak się zakończyła pierwsza wyprawa francuska.

W roku 1670-ym przybyła w te okolice ekspedycja angielska. Ponieważ im się w Port Royal nie podobało, popłynęli nieco na południe i założyli osadę przy zbiegu rzek Cooper i Ashley i nazwali ją Charlestown.

Karolina Południowa obejmuje trzydzieści jeden tysięcy mil kwadratowych a ludności nie całe dwa miliony. Topograficznie, stan przedstawia olbrzymią równinę ciągnącą się wzdłuż oceanu. Jednakowoż idąc w głąb kraju, teren się wznosi stopniowo dosięgając najwyższego punktu, w paśmie górskim Blue Ridge Mountains. Południowa Karolina była jednym z pierwszych stanów, który podjął oręż przeciwko Anglii w wojnie o niepodległość. Przeszło sto pięćdziesiąt potyczek i bitew stoczono w tym stanie. Jednym z ważniejszych, było zwycięstwo pod King's Mountain. Były to przeważnie walki podjazdowe. Zapewne nasz Pułaski ze swą kawalerią także w nich brał udział. Karolina była także pierwszym stanem, który się odłączył od unii, przeprowadzając odpowiednią uchwałę 20-go grudnia, 1860-go roku. Pierwsze strzały wojny domowej także padły w tym stanie, gdy dnia 9-go stycznia, 1861-go roku nadbrzeżne forty w Charleston ostrzeliwały federalny okręt aprowizacyjny "Star of the West."

Pod względem rolnictwa bawełna zajmuje tu pierwsze miejsce. Szczególnie na niektórych nadbrzeżnych wysepkach hodują znakomity gatunek bawełny zwanej—"sea island." Włókna jej są bardzo delikatne i od zwykłej bawełny znacznie dłuższe; częstokroć uchodzą za

jedwab. Twierdzą, że z funta tej bawełny potrafią uprząść nić sto pięćdziesiąt mil długą. W ostatnich kilku latach, także stale wzrasta, hodowla owoców. Do innych stanów co roku stąd wysyłają dwadzieścia pięć tysięcy wagonów przeróżnych owoców. Także tytoń zajmuje w rolnictwie poczesne miejsce a jego wydajność dochodzi do stu tysięcy funtów na rok.

Południowa Karolina jest także bardzo bogata w pewne gatunki glinki, zwanej "kaolina" a używanej do wyrobu papieru. Stan posiada wprost niewyczerpane złoża pięknych marmurów. Terpentyna, żywica i drzewo a szczególnie drzewo sosnowe t. zw. "yellow pine" do niedawna przedstawiały 60 procent jego dochodów. Teraz już wytrzebiono wielkie lasy. Głębokie zatoki i brzegi morskie obfitują w przeróżne gatunki ryb. Karolina dostarcza nam 20 procent ostryg a ponadto wysyła do innych krajów duże ilości ostryg, ryb i krewetek.

Zrobiliśmy od rychła rana do wieczora trzysta sześćdziesiąt dwie mile. Przejechaliśmy część Wirginii, całą Północną i część Południowej Karoliny. Znaleźliśmy na krańcu miasta bardzo wygodne, wprost luksusowe kabiny. Zatrzymaliśmy się w tej wygodnej kwaterze przez niedzielę.

Szybko minął pierwszy a tak ciekawy tydzień naszej podróży.

ROZDZIAŁ V.

## Charleston - Sawanna - Fort "Pułaski".

Do Charlestonu zajechaliśmy w sobotę wieczorem, gdy już się dobrze szarzało. Zakwaterowaliśmy się w bardzo luksusowych domeczkach turystycznych, bo dla turystów są tu wygodne, czyściutkie łóżka, kuchenki elektryczne i gazowe piecyki, kąpiele z zimną i gorącą wodą, radio—wprost komfort w całym słowa tego znaczeniu. Warto w takiej "kępie" i rok cały zamieszkać. Więc też z przyjemnością rozłożyliśmy się tu obozem na dwa dni, a to z tego względu, że kwatera wygodna, miasto ciekawe, przytym jutro niedziela—pierwsza w podróży—a zawsze pamiętam o tym, że trzeba "dzień święty święcić."

Moim obowiązkiem przez cały czas podróży było dowiadywać się, gdzie jest kościół katolicki, o którym czasie są msze św., no i ewentualnie zawieźć siebie i towarzyszów podróży na nabożeństwo. Ten obowiązek sumiennie spełniałem i ku zbudowaniu wszystkich kanoników, dziekanów, sufraganów i wyższych dostojników Kościoła zaznaczam, że przez cały czas podróży ani razu nie opuściliśmy mszy w niedzielę. Jeszcze jedną uwagę podaję na temat nabożeństw i to także ku pożytkowi i zbudowaniu duchowieństwa w Polsce. Mówię—w Polsce—bo w Ameryce księża jej nie potrzebują. Mianowicie: wszędzie msze św. były punktualnie na oznaczoną godzinę, kazania krótkie i do rzeczy, a całe nabożeństwo nigdy nie przeciągało się ponad jedną godzinę; częstokroć trwało tylko trzy kwadranse. Tak też jest i w Norwich, gdzie autor niniejszej książki od lat dwunastu sprawuje obowiązki duszpasterskie i to samo niemal w każdej parafii, w całych Stanach Zjednoczonych.

Pojechaliśmy zatym na mszę św. do katedry "na dziewiątą." Katedra, dosyć skromny, murowany budynek, znajduje się w śródmieściu. W niedzielę, zwłaszcza latem, miasta amerykańskie są zwykle puste, bo każdy wyjeżdża na wieś; sklepy zamknięte i nie napotyka się tej ciżby aut i samochodów ciężarowych, które w dni powszednie sprawiają tyle kłopotu turyście w obcym mieście. Więc też po mszy swobodnie jeździliśmy wzdłuż i wszerz miasta, oglądając stare a gustowne domy, jeszcze z czasów przedwojennych; bo mowa oczywiście o wojnie domowej. Szczególnie z punktu architektonicznego na uwagę turysty zasługują dwa protestanckie kościoły: św. Filipa

i św. Michała, zbudowane w 1681-ym roku. Tu też znajduje się jedyny kościół hugenotów, boć oni właściwie byli w tych okolicach pierwszymi osadnikami.

Największą jednak dla mnie atrakcją był piękny, chociaż niewielki park miejski, tuż nad brzegiem oceanu. Niewiele rozkoszowałem się tu pięknymi pomnikami, kwiatami i bujnie rosnącymi palmami, boć to znajdziesz w każdym mieście na południu; natomiast, starałem sobie w pamięci odtworzyć tragiczne chwile wojny, która się w tym miejscu rozpoczęła przed 75-ciu laty. Jak ongiś, tak i dziś, na krawędzi parku, z paszczami wystawionymi ku morzu, na ciężkich podłożach, leżą duże armaty forteczne. Są to już tylko historyczne zabytki, bolesne pamiątki krwawej tragedii—czteroletniej wojny domowej, o której już tylokrotnie w poprzednich wspomniałem rozdziałach. Zresztą jak o tym nie pisać, kiedy się jest—że tak powiem—w sercu tej bratobójczej walki?! Tu się ona rozpoczęła. Z tych dziś niemych, zaśniedzianych b a t e r y j nadbrzeżnych padły pierwsze strzały.

Pomnik w "Parku Baterii"

Zatrzymałem auto, wyszedłem — jak zwykle z nieodstępnym aparatem—aby ten "Park Baterii"— Battery Park —należycie odfotografować, zwiedzić, a raczej odtworzyć sobie w pamięci to, co się tu działo. Przy niedzieli niewielu było gości, a że to w dodatku dzień pogodny, ciepły, więc też każdy z tutejszych mieszkańców wyjeżdżał za miasto, by się jakoś zabawić i, jak jest w zwyczaju u Amerykanów, w samochodzie dzień święty święcić. Tem lepiej dla mnie. Nikt mi tu nie przeszkadza w zadumie. Z parku roztacza się przed turystą wprost cudowny widok na morze. Na niebie suną lekkie chmurki, w zatoce, na kotwicy, spokojnie drzemie stary żaglowiec ze zwiniętymi żaglami. Hen na horyzoncie, wśród lekkiej mgły morskiej, można gołym okiem dostrzec jakiś czarny punkt i nad nim powiewający sztandar gwiaździsty. To Fort Sumter.

Przyznam się, że jestem niepoprawny. Co chwilę trudzę czytelnika jakimiś opowiadaniami historycznymi. Ale cóż zrobić, skoro po historycznej stąpamy ziemi?!...

Na kilka lat przed wybuchem wojny domowej, sprawy ekonomiczne i polityczne rozpalały i dzieliły umysły obywateli amerykańskich. Ludzie w stanach północno-zachodnich i wschodnich byli święcie

przekonani, że nie możemy istnieć, jako naród "pół wolny a pół niewolniczy." Stany południowe zaś, gdzie niewolnictwo było przyjęte, nie godziły się na to zapatrywanie, grożąc, że jeżeli im niewolników odbiorą, względnie uwolnią, wówczas z unii wystąpią i stworzą własną republikę. Gdyby ktoś głębiej w sprawę tę wglądnął, odkryłby, że najważniejszą kością niezgody były warunki ekonomiczne. Mieli południowcy niewolników czarnych, mieli nasi, szczególnie w uprzemysłowionej Nowej Anglii, we fabrykach, niewolników białych. Boć czyż to nie niewola, jeżeli robotnik pracuje we fabryce płótna od wczesnego ranka do późnego wieczora i zarabia pięć dolarów na tydzień?! Jeżeli mu jeszcze żona pomagała, zarabiała ona wówczas trzy dolary tygodniowo, dzieci od 9-go roku życia za cały tydzień pracy otrzymywały od 75 centów do półtora dolara, starsze nieco więcej od tych smarkaczy. A więc nic innego, jak .... niewola. Co ciekawsze, że niektórzy fabrykanci byli święcie przekonani, iż długie godziny pracy były korzystne dla robotnika, bo .... "wieczorem nie miał on czasu się upić, a dziewczęta, zamiast się z kawalerami po nocach włóczyć i Boga obrażać, siedziały w domu, by trochę wypocząć", gdyż trzeba ze świtem stanąć przy krosnach. Więc też na północy bogacili się fabrykanci, a na południu — plantatorzy.

Ostatecznie sprawę "secesji" czyli oderwania się stanów południowych od unii i sprawę niewolnictwa postawiono na ostrzu miecza. Wybór Lincolna, jednego z największych i najszlachetniejszych prezydentów, przyspieszył wybuch walki orężnej. Stany południowe wypowiedziały posłuszeństwo i, jako oddzielny rząd, przejmowały wszelkie urządzenia wojskowe, zapasy amunicji i nadbrzeżne fortyfikacje. Oficerowie pochodzący z tych stanów podawali się do dymisji w armii federalnej i przyjmowali stanowiska w organizacjach stanowych. Nie wszystkie garnizony i nie wszyscy oficerowie byli jednak zwolennikami secesji. Jednym z takich był major Robert Anderson, komendant twierdzy nadbrzeżnej, a unieśmiertelnionej w wojnie o niepodległość fortu Moultrie. Ponieważ nie można było bronić twierdzy przed atakiem od lądu, więc z całym garnizonem składającym się z 75-ciu żołnierzy, przeprawił się do nowego, jeszcze nie całkowicie wykończonego fortu Sumter, zbudowanego na małej wysepce, pięć mil od Charleston.

Gubernator Pickens zażądał od komendanta, aby złożył broń, czego ten oczywiście odmówił. Nastąpiły pertraktacje. On swoje i oni swoje. Nareszcie przestali gadać ludzie, a rozpoczęły rozmowę armaty. Dnia 12-go kwietnia, o godzinie 3:30 rano, major Anderson otrzymał od generała Beauregard polecenie, aby w przeciągu godziny kapitulował, bo w przeciwym razie rozpocznie bombardować fortecę. O godzinie 4:30, 12-go kwietnia, 1861-go roku, te to baterie, przy których teraz stoimy, otworzyły ogień. W przeciągu 24-ch godzin

2500 pocisków wpadło do fortu, czyniąc poważne szkody, chociaż tak we fortecy, jak w nadbrzeżnych bateriach, dziwnym zbiegiem okoliczności, nie zginął ani jeden żołnierz. Widząc, że dalsza obrona była bezcelowa, major Anderson, 14-go kwietnia opuścił fort z honorami wojskowymi, zabrał sztandar i załogę, poczym odpłynął do Nowego Jorku. Fortecę zajęli południowcy i czym prędzej naprawili wyrządzone szkody.

Ponieważ z portu Charletońskiego szły szybkie transportowce z bawełną i innymi towarami do Anglii, za które kupowano tam amunicję, uniści postanowili port zablokować i zająć nadbrzeżne forty. W kwietniu 1863-go roku do brzegów przypłynęła flota wojenna, pod wodzą admirała Dupont'a i zaczęła ostrzeliwać twierdze, szczególnie fort Sumter. Ale takiego doznali przyjęcia z dział fortecznych, że mocno poturbowani opuścili zatokę, po to tylko, by za parę miesięcy znów wrócić.

Następna wyprawa w celu zdobycia nadbrzeżnych fortów i miasta Charleston przybyła tu w lipcu. Zajęła niektóre pozycje nad brzegiem morza, by stamtąd gradem kul zasypywać południowców, broniących tej historycznej twierdzy. Od lipca do końca grudnia 1864-go roku dano około trzydzieści tysięcy strzałów, z tych niemal dwadzieścia tysięcy trafiło w mury lub też wpadło do wnętrza warowni, którą niemal kompletnie zdemolowano. Straty oblężonych wynosiły 45 zabitych, a 165-ciu rannych. Chociaż kilkakrotnie pod ochroną okrętów wojennych lądowano wojska, by fortecę zająć, jednakowoż oblężeni odpędzili atakujących i to z wielkimi stratami. Dopiero w lutym 1865-go roku, gdy do Charleston przybyła armia pod wodzą generała Williama Tecumseh Shermana, południowcy fort ewakuowali, a 14-go kwietnia 1865-go roku, czyli po czterech latach — wrócił generał Anderson z honorami i ceremoniami wojskowymi i rozwinął nad twierdzą tę samą chorągiew, którą cztery lata przedtem z sobą zabrał. Sumter — to nasz amerykański Douaomont, którego tak jedni, jak i drudzy z zaciekłością bronili.

Po czteroletniej walce na potrzaskane lawety, na podziurawione mury forteczne wrócił sztandar gwiaździsty jak również wrócił on do tych stanów, które w czteroletniej a bratobójczej walce zbrojną rękę przeciwko niemu podniosły. Tego samego dnia, gdy nad fortem Sumter wywieszono z powrotem sztandar gwiaździsty, padł ostatni — i może najboleśniejszy strzał w ciągu całej wojny domowej, trafiając w serce prezydenta Lincolna. Na stosie ofiarnym legł ten najszlachetniejszy żołnierz, który mógł ukoić rany narodu. Szalony czyn aktora Wilkes Bootha, gdy w teatrze z okrzykiem "Sic semper tyrannis" strzelił do prezydenta, był daleko większą tragedią dla konfederatów, niż dla stanów północnych. Z powodu tej zbrodni, szowiniści północni, zwani "carpet baggerami" — od walizek, w których nosili

ubranie, przez lata całe — wraz z murzynami, pastwili się nad zwyciężonymi. Zemsta ta przypomina znęcanie się Moskali nad Polakami za powstanie styczniowe.

W roku 1680-tym przybył do Jamestown pierwszy holenderski okręt, załadowany niewolnikami. Za niewolnictwo, nemezys dziejowa ukarała nas czteroletnią wojną, a na ogromny stos ofiarny rzuciła także tego, który potargał pęta niewoli!....

Teraz sztandar amerykański w powiewie wiatrów morskich łopoce nad odbudowanym fortem, jak również niepodzielnie panuje nad stanami, które mu ongiś wypowiedziały posłuszeństwo i prowadziły bratobójczą walkę. Głębokie i bardzo bolesne rany zadane czteroletnią wojną powoli się zabliźniają. Pozostaje po nich tylko piękne, bohaterskie wspomnienie "przegranej sprawy", za którą niemal milion ludzi życie oddało.

Po południu puściliśmy się z ks. Antonim na zwiedzenie nadmorskich okolic, szczególnie starego, historycznego fortu Moultrie, który w początkach wojny o niepodległość, porządnie dał się Anglikom we znaki. Obronę tej twierdzy i odparcie floty angielskiej, poczytują za jedno z pierwszych zwycięstw oręża rewolucjonistów.

Przejechaliśmy długi a bardzo wysoki most na rzece Cooper. Zapłaciliśmy należne cło i wśród szpaleru pięknych palm jechaliśmy na długą, wąską wyspę, Isle of Pines. Mieszkańcy Charlestonu zwykle spędzają święta nad brzegiem oceanu, w tym uroczym zaciszu, wśród palm i wonnych sosen. Napotkaliśmy tu moc aut wycieczkowców, a w morzu pełno pluskającej się młodzieży i dziatwy. Przecież to dopiero pierwsza połowa maja! W Nowej Anglii nikt o takich rozrywkach nie myśli, chyba aż dopiero z końcem czerwca i na początku lipca. Tu jednak klimat i ciepłe wody potężnego Golfsztromu dają mieszkańcom bardzo długi sezon kąpielowy.

Opodal, nad samym brzegiem wody, jest fort Moultrie. Długie, nowoczesne armaty z paszczami wystawionymi na morze, z zamkami pokrytymi grubym nieprzemakalnym płótnem, silne betonowe wały i w ziemi umieszczone magazyny świadczą że to nie jakaś historyczna relikwia, ale raczej nowoczesna forteca, przeznaczona do obrony portu sawańskiego, gdyż i tu w czasie wojny domowej grały armaty. Jak zawsze, gruntownie obejrzałem, co ciekawszego odfotografowałem. Jako że prochownie na kłódki pozamykane, a armat i tak nikt nie ukradnie, więc też turyści chodzili swobodnie po wałach, zasiekach i armatach, a żołnierze zajęci byli baseballem, co w czasie pokojowym jest naszym ulubionym polem walki i atletycznych popisów.—Warto, aby w Polsce dla młodzieży zaprowadzono popisy baseballowe; a to najlepiej potrafiliby urządzić nasi młodzi polsko-amerykańscy (akcent na amerykańscy) księża, gdyż baseball jest im daleko milszy od książki.

Najwięcej zaciekawił mnie tu grób wodza indiańskiego Osceoli, znajdujący się tuż poza fortem, przy bramie wjazdowej. Gdy patrzymy na miejsce spoczynku indiańskiego bohatera Asse-he-ho-tara, mimowoli ręka podnosi się do czapki i człowiek staje na "baczność" przed nieustraszonym wodzem i bohaterem pokrzywdzonego plemienia Seminolów, który tu umarł jako więzień. Później spotkamy resztki tego plemienia w południowej Florydzie.

Osceola urodził się w roku 1804-tym, nad brzegami rzeki Chattachootchee, w stanie Georgia. Ojcem jego był Anglik, William Powell, a matką córka indiańskiego wodza. Już w młodości znienawidził on białą rasę, gdyż całkiem słusznie dopatrywał się w niej wrogów swego plemienia. Szybko zdobył on wpływy wśród Indian i stał się ich wodzem.

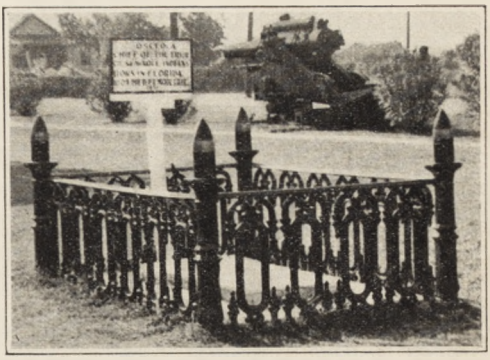

Grób Osceoli

Rząd nasz chciał tę połać kraju oddać białym kolonistom, a ponieważ Indianie im dokuczali, chciano tychże wytransportować na bezwodne pustynie Arizony, czy innego zachodniego stanu, gdzie są tylko piaski, kaktusy i żarem słońca spalone pustynie. Szczep Seminolów był przyzwyczajony do palm, wód, rzek, ryb, mórz, jednym słowem— do klimatu i roślinności zupełnie odmiennej od tej, gdzie ich chcieli wysłać biali urzędnicy.

Wyobrażam sobie tego młodego, atletycznie zbudowanego Indianina z przydomkiem "Czarny napój" w tym momencie, gdy mu ajent indiański, generał Thompson, podsunął do podpisania umowę rządową, na mocy której on wraz ze swym plemieniem miał opuścić te ziemie. Widzę okiem wyobraźni, jak ów Indianin, którego paliła krzywda ze strony białych — a miał wiele powodów do nienawiści,— wyrwał z zanadrza nóż i w drobne kawałki pociął ów niecny dokument. Taki był jego podpis! Za to, że generał Thompson czy jeden z jego oficerów uwiódł mu młodą żonę, Osceola, napadł w nocy na kwaterę, własnoręcznie zamordował generała i jego adjutantów, a swych krzywdzicieli! To rozumiem! To jest odwaga i poczucie własnej godności!

Wybuchła więc długa i kosztowna wojna z plemieniem Seminolów, w której zginęło kilka tysięcy żołnierzy; a były takie wypadki, że Indianie kiepsko uzbrojeni znosili całe oddziały wojsk naszych. Historycy nazywają te boje — "masakrą", ale gdy biali do szczętu

wymordowali Indian, a takich wypadków w naszej historii było dużo, nasi usłużni historycy nazywają to .... "zwycięstwem nad krwiożerczymi Indianami." Niech więc żyje Osceola! — boć żyje on dziś w tradycji narodu, jako bohater i szampion wolności!!! Podstępem — gdyż pod słowem honoru ręcząc za jego całość — wezwał Osceolę do siebie generał Tomasz Jessup na naradę, a gdy ten się stawił, ufając słowu białego wodza, Jessup znienacka otoczył go żołnierzami, zabrał do niewoli i zakutego w kajdany wrzucił do lochu fortecy Moultrie, gdzie zmarł 30 stycznia 1838-go roku.

Wojna ze szczepem Seminoles trwała sto lat, boć nie tak dawno dopiero podpisano z nimi traktat pokojowy. Osceola zginął w więzieniu, ale szczep jego po dziś dzień zamieszkuje we Florydzie. Rozmyślnie tu przyjechałem, aby zobaczyć ten grób, otoczony żelaznym płotem, aby siebie i czytelnika pokrzepić na duchu i zachęcić — gdy tego zajdzie potrzeba — do walki o wolność i sprawiedliwość! W kajdanach umarł Osceola, ale Indianin, któregośmy podstępem do niewoli zabrali, któregośmy skrzywdzili w jego własnym ognisku domowym, żyje w tysiącznych nazwach wiosek, ulic, parków i miejscowości. — Na samą myśl, jak haniebnie z nim postąpiono, rumieni się twarz każdego uczciwego Amerykanina. Jeszcze raz powtarzam, — bohaterowi, szampionowi i wodzowi Seminolów — cześć!!

Charleston, rości sobie pretensje do sławy z wielu względów, głównie z punktu historycznego. Tu już w roku 1775-tym, wywieszono flagę amerykańską, a zerwano angielską. Przy forcie Moultrie odniesiono pierwsze zwycięstwo nad Anglikami; z tego portu, w roku 1784-tym, wysłano pierwszy ładunek bawełny do Anglii. W Manchester powstały największe tkalnie na świecie tylko dzięki naszej bawełnie. Tu, podczas wojny domowej, z powodzeniem użyli południowcy pierwszej w świecie submaryny, a nazwali ten prototyp nowoczesnych nurów "Hunleys Boat." Tu założono pierwsze muzeum w Ameryce, jeden z pierwszych teatrów, jedno z najstarszych kolegiów. Ale może najciekawszym jest fakt, że w r. 1830 z Charlestonu do sto mil odległego miasteczka Hamburg zbudowano — jak na owe czasy — "najdłuższą linię kolejową na całym świecie." Gdy w roku 1830-tym wypróbowano pierwszą lokomotywę, "Best Friend," jeden z pasażerów, w swym wprost nie do opisania zachwycie tak się o tej przecudownej podróży wyraził: — "Jechaliśmy za koniem, który żyje ogniem, oddycha parą, a karmi się drzewem. Lecieliśmy na skrzydłach wiatru, z wprost niesłychaną szybkością, bo od piętnastu do dwudziestu mil na godzinę. Pędziliśmy naprzód niby płonąca rakieta, rzucaliśmy płomienie i skry na wszystkie strony."

Bogu dzięki, teraz jedziemy już nieco szybciej, gdyż nasze pospieszne pociągi robią sto kilkanaście mil na godzinę, a nawet wasz "piszący szofer" często siedmdziesiątkę, a niekiedy ośmdziesiątkę

trzymał za ogon, gdy się drogi ku temu nadawały. Teraz tak szybko pędzimy przez życie, że zwykły anioł nie może nas dogonić i tylko anioł śmierci — zdaje się z całego anielskiego zastępu najszybszy — każdego z nas z łatwością dopędzi i za czupurny łeb przed tron Najwyższego Sędzi, w oznaczonym czasie dostawi. Niema nawet obawy, aby się kiedyś spóźnił.

Z Charlestonu do Sawanny prowadzi doskonała droga, Nr. 17-ty. Ponieważ zaledwie sto kilkanaście mil dzieli te dwa stare, sławne miasta, więc się też nawet zbytnio nie spieszyliśmy. W okolicy Sawanny, w czasie wiosennym, t.j. gdzieś w lutym, marcu, a nawet kwietniu, warto zwiedzić cudne ogrody cyprysowe i ogrody azalii. Przed stu laty sprowadzono je z Chin i stały się one teraz ulubionym kwiatem południowców. W niektórych miastach sadzą całe szpalery azalii. Na wiosnę, okrywają się pękami czerwonych i blado-różowych kwiatów. Niestety, przybyliśmy już za późno, aby je podziwiać.

Sawanna posiada szczególny urok dla każdego Polaka. Dotąd bowiem zapędziła swe szlaki kawaleria rewolucjonistów, której dowódcą i twórcą był nasz rodak, bohater dwóch światów, gen. Kazimierz Pułaski. Ilu Polaków z nim tu przybyło, ilu walczyło, ilu zginęło, nikt dokładnie powiedzieć nie może. Pewni jesteśmy, że było ich kilkunastu, może nawet kilkudziesięciu, a zapewne niektórzy życie swe za sprawę wolności amerykańskiej oddali.

Sawanna jest jednym z najstarszych miast w stanach południowych. Położona na południowym brzegu rzeki tejże nazwy stanowiącej granicę między Karoliną Południową a Georgią. Znany odkrywca hiszpański De Soto, przybył w te okolice w roku 1540-tym i on zapewne dotarł aż tu z awanturniczymi rodakami. Na obszarach tych zamieszkiwały ówczas silne szczepy indiańskie Creeks i Cherokees. W urodzajnych dolinach sadzili kukurydzę i tytoń, w rzekach łowili ryby, w lasach i górach zaopatrywali się w zwierzynę. Dopiero w roku 1732-im rząd angielski przygotował większą wyprawę, polecając jej, aby w tych okolicach założyła "Kolonię Georgii w Ameryce." Miało to być schronisko dla dłużników i różnych prześladowanych dyssydentów. W następnym roku przybył tu na czele dosyć licznej ekspedycji James Oglethorpe; rozłożył obóz na małym wzgórzu, przy rzece, i energicznie zabrał się do budowy domów. Miał on ze sobą zdolnego inżyniera, nazwiskiem Bull, — herbu byk — boć tak to pożyteczne bydlę zowie się po angielsku. — Wymierzono szerokie ulice, a przy głównej drodze — Bull ave.; co parę kwadratów urządzono przestronne skwery, na których później budowano piękne pomniki ku czci pionierów i bohaterów miasta i stanu.

Na jednym właśnie z tych małych śródmiejskich parków, zwanym Monterey Square, wśród zieleni drzew, palm i kwiatów, strzela ku niebu obelisk kilkadziesiąt stóp wysoki, zbudowany ku czci naszego

rodaka, Kazimierza Pułaskiego. Ten właśnie pomnik był magnesem, wiodącym nas do tego pięknego miasta. Na granitowym pomniku, z jednej strony masywnego cokołu, umieszczono płaskorzeźbę, przedstawiającą śmiertelnie rannego Pułaskiego z szablą w ręce, spadającego z konia. Na przeciwnej zaś stronie wyryto nazwisko i datę śmierci — d. 11-go października, 1779-go roku. Dziewiątego października padł Pułaski ciężko ranny na polu bitwy; zabrano go na statek wojenny "Wasp," a dwa dni później umarł. Zdaje się, że podczas szarży na baterie Anglicy nabili armaty drobnymi kulami złączonymi z sobą łańcuszkami, aby tem skuteczniej zmiatać szeregi nieprzyjacielskie. Jeden z takich "chain shots" trafił naszego bohatera w bok, powodując śmiertelną ranę.

Pomnik
Kazimierza Pułaskiego

Skrupulatnie i to ze wszech stron obejrzałem cały pomnik. Zrobiłem kilka zdjęć, by pomnik i wszystko co z życiem Pułaskiego jest tu złączone czytelnikowi przedstawić. Tuż obok, na rogu ulicy, jest "Hotel Pułaski," więc i tam zaglądnęliśmy, by choć wypić po szklance piwa. Następnie pojechaliśmy za miasto, na pole bitwy, na miejsce, gdzie była owa pamiętna angielska reduta, o którą rozbiły się najzacieklejsze ataki powstańców i gdzie w brawurowej szarży swej kawalerii, grzęznącej w moczarach, Pułaski odniósł ranę śmiertelną. Jadąc za wskazówkami, przytem dopytując się o pole bitwy, wyjechaliśmy na przedmieścia Sawanny. Nic już nie pozostało z dawnych szańców i fortów. Okolica nie ciekawa i biedna, gdyż na polach napotykamy skromne chaty murzyńskie. Tylko przy drodze wiodącej mimo pola bitwy, znajduje się na marmurowym pomniku tablica bronzowa z opisem walki i z podaniem faktu, że tu padł "Count" Pułaski i sierżant Jasper. Czytając opis, dowiaduję się, że ów odważny sierżant, wdarł się na szańce nieprzyjacielskie zatknął sztandar amerykański i w jego obronie zginął.

A teraz, chociaż na momencik przeniesiemy się do . . . Warszawy, do hotelu Bristol i to w roku 1922-im, boć tam byłem wtedy świadkiem jakoby epilogu bohaterskiej śmierci generała Kazimierza Pułaskiego, najmłodszego i jedynego z generałów amerykańskich, który wówczas na polu walki życie oddał za wolność Ameryki. Tu mimo-

chodem wyprzedzam opis mej podróży, notując, że ku końcowi niniejszej tury byłem w Wilkes Barre, Pennsylwania, gdy tam zainicjowano zbiórkę na pomnik Pułaskiego. Poza waszym ciceronem przemawiał także p. Margiotti, prokurator generalny stanu Pennsylwania. W swej mowie wypowiedział słowa, które mnie bardzo uderzyły: "Uważam", mówił Margiotti, z pochodzenia Włoch, "że Pułaski był nawet większym od Waszyngtona, albowiem Waszyngton walczył o własny kraj i został jego prezydentem. Pułaski walczył za cudzą wolność i był najwyższej rangi oficerem w armii amerykańskiej, który padł na polu bitwy." Miło mi było usłyszeć słowa pochwały z ust wysokiego urzędnika stanu Pennsylwania, wypowiedziane na cześć naszego bohatera. Ale wróćmy teraz do Warszawy.

Rzeźba na pomniku Pułaskiego

Będąc w stolicy Rzeczypospolitej, przypadkowo dowiedziałem się, że wrócił z niewoli bolszewickiej jeden z lotników amerykańskich, kapitan Cooper. We Lwowie poznałem się z miłymi oficerami "Kościuszkowskiej eskadryli," a w Ameryce przez pewien czas pracowałem w akcji ratowniczej, z jej komendantem, pułkownikiem Fauntleroy'em. Więc też pospieszyłem do Bristolu, aby się zapoznać z kapitanem Cooperem, a w razie potrzeby, służyć mu jakąś doraźną pomocą. Kapitan Cooper bardzo był wycieńczony niewolą, pomocy finansowej nie potrzebował, gdyż zdaje się dosyć zamożna rodzina zaopatrzyła go w pieniądze, a zpowodu wycieńczenia karmił się tylko mlekiem. Mocno zaciekawił mnie ów amerykański ochotnik, gdyż był to typ niezwykły. Lotnik znakomity, odważny, przytym niepospolity ideowiec. Zapytałem się go, dla czego wstąpił na ochotnika do Eskadry kościuszkowskiej? Taką mi dał na to odpowiedź: "Mój pradziadek służył w kawalerii amerykańskiej pod wodzą generała Kazimierza Pułaskiego. W pamiętnej bitwie pod Sawanną śmiertelnie rannego wodza z pola walki uniósł i doglądał mój pradziadek. Uważałem to za mój święty obowiązek spłacić dług krwi, jaki wobec Polski zaciągnęła Ameryka. Dlatego, gdy po zakończeniu wojny światowej tworzyła

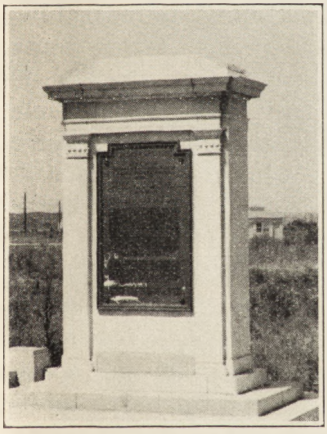

Tablica pamiątkowa na polu bitwy

się Eskadra kościuszkowska, za inicjatywą waszego wielkiego męża stanu p. Padarewskiego, zgłosiłem się na ochotnika. Służyłem na froncie, dostałem się do niewoli i dzięki odważnymu koledze polskiemu, wydostaliśmy się z bolszewii do Łotwy, a stamtąd przybyłem do Warszawy." Krótka opowieść, a jednak ile się w niej mieści szlachetnego sentymentu i wdzięczności! Ten to incydent przyszedł mi na myśl, gdy stałem na tym dziś zaniedbanym polu bitwy, a tak drogim sercu każdego Polaka.

Wróciliśmy do pięknego, ruchliwego, w pamiątki i stare zabytki bogatego miasta. Sawanna liczy ponad sto tysięcy mieszkańców. Głęboka rzeka tworzy w tym miejscu dogodny port morski, z którego do różnych części świata wysyłają bawełnę, żywicę, terpentynę, drzewo i inne produkty. Z tego portu, w 1819-tym roku, odpłynął do Anglii pierwszy parowiec "Savannah"; model jego znajduje się w muzeum miejskim.

Sawanna rozmaite przechodziła koleje. W roku 1778-tym miasto zajęli Anglicy, zabierając do niewoli załogę amerykańską. Następnego roku, w październiku wojska amerykańskie z pomocą floty i wojsk francuskich chciały miasto odebrać. Ponieważ jednak z atakiem się ociągano, Anglicy zdążyli się dobrze obwarować. W bitwie zginęło 800 naszych żołnierzy wraz z Pułaskim i wyżej wspomnianym bohaterskim sierżantem Jasperem.

Podczas wojny domowej przedarł się dotąd generał William Tecumseh Sherman w swym sławnym "marszu do morza."—Syn jego wstąpił do zakonu Jezuitów. — Przeciął on na pół stany konfederatów, a idąc szerokim szlakiem, wszystko niszczył i palił. Jeszcze teraz południowcy o tym przemarszu nie zapomnieli. Ostatnio ukazała się ciekawa książka o tym okresie wojny domowej, a tytuł jej jest: "Gone with the Wind." Tak — "z wiatrem" poszły te ciekawe postacie historyczne . . . ci obrońcy, ci ludzie ze stali, a pełni poświęcenia! . . . Zostały po nich pomniki, szańce na przedmieściach i zapisane karty dziejów i powieści. . .

Na noc zakwaterowaliśmy się poza miastem w kabinach. Po kolacji, jak jest u mnie w zwyczaju, udałem się na pogawędkę z innymi turystami i przypadkowo spotkałem człowieka, który zwiedził każdy zakątek Stanów Zjednoczonych. Wziąłem go na pytki, aby go trochę skontrolować, czy czasem nie blaguje, więc pytałem o te stany i miejscowości, które dobrze znałem. Przekonałem się, że tam był i prawdę mówił. Zwiedził nietylko trzydzieści kilka stanów, w których i ja byłem, a'e i te, w których nie byłem. A potym mi opowiadał, jak to w wojnie światowej wstąpił do kanadyjskiej armii na ochotnika i walczył pod Vimy Ridge. I ja tam byłem, tylko oczywiście parę lat później. Wywiązał się między nami następujący dialog.

— Byłeś w Paschendaele?

— Byłem.

— Byłeś w Ypres?

— Byłem.

— Byłeś w Newport?

— Byłem, a nawet zrobiłem zdjęcie tamy, którą Belgowie otworzyli, by Niemców wytopić.

Gdy mnie już tak przez dłuższy czas indagował, a były miejsca, w których on był, a ja nie byłem, więc nareszcie ja przeszedłem do kontrofensywy i buch na niego z pytaniami:

— Byłeś w Suwałkach?

— Nie byłem.

— Byłeś w Augustowie?

— Nie byłem.

— Byłeś, jak ja, z polskimi dziennikarzami we Lwowie, Wilnie, Grodnie, Wigrach i Sejnach?

Gdym mu tak zarecytował trochę polskich miast, biedak zbladł. A więc ja ostatnią szarże tyrustyczną puszczam na skonfudowanego wędrowca, który mi chciał swą wiedzą zaiwanić:

— A w Samostrzelu byłeś?!. . .

— What did you call that town? — Jak nazwałeś to miasto?

— Chciał wymówić Samostrzel i przy wielkim wysiłku ząb trzonowy mu wyleciał. Więc ja huzia na niego i gadam mu:

— Ty zapewne w twej wielkiej nieświadomości nie wiesz gdzie to jest i co się tam stało?

— Jak mam wiedzieć?!

Więc też mu na rozum tłumaczę, że mój dziadek się w Samostrzelu urodził. Nareszcie przekonałem go, że on jeszcze nigdzie nie był i nic nie widział, chociaż nasi chłopi ten frazes zupełnie inaczej stawiają i bardziej lapidarnie się wyrażają.

Na koniec powiedziałem mu:—Jeżeli chcesz jeszcze raz się przede mną chwalić najprzód jedź do Polski, a potem gadaj z uczciwym "turystą!" Niczym diabeł Twardowskiego, który przez dziurkę od klucza czmychnął, gdyż mój skonfundowany turysta przez pole do swego "trejlera" umknął i już go więcej nie widziałem.

Rano pojechaliśmy zwiedzić starą, historyczną twierdzę — Fort Pulaski. Ruszyliśmy ku morzu piękną drogą, wysadzaną palmami i oleandrami, zwaną "Victory Highway." Rzeka Sawanna poniżej miasta usypała długą, wąską, wyspę, podobną poniekąd do szponu koguta i dlatego nazwali ją pierwsi osadnicy "Cockspur Island." Na samym cyplu wyspy zbudowano twierdzę dla obrony miasta i pierwszych kolonistów. Stare warownie zniszczyły burze i śladu po nich

nie pozostało. Ta, która nosi miano naszego bohatera, jest już trzecią z rzędu. Nawet i tę, armaty unistów w kwietniu 1862 roku, zamieniły w kupę gruzów, a ząb czasu byłby ją do reszty zniszczył. Teraz jednak rząd federalny zabrał się do jej odrestaurowania. Już od paru lat, kilkuset robotników, pracuje przy jej naprawie, aby z niej uczynić "pomnik," a właściwie zabytek narodowy.

Droga - "Victory Highway"

Zajechaliśmy na oznaczone miejsce, gdzie trzeba było chwilę czekać na małą motorówkę, która w kwadransie przewiozła nas przez szeroką, mętną rzekę, do starego fortu. Kilkuset ludzi pracowało przy upiększeniu wyspy, sadzeniu drzew, budowie dróg, przystani, jednym słowem nad udogodnieniem przyjazdu i pobytu na tej wąskiej, długiej wyspie i w starym forcie. Przypuszczam, że gdy to wszystko skończą, nie tylko wycieczkowcy z Sawanny, ale dużo turystów z dalszych stron tu się zatrzyma, by wśród ciszy wypocząć, by tu się zabawić, i puścić wodze zadumie...

Weszliśmy do starego fortu, już niemal całkowicie odrestaurowanego. W kilku miejscach naumyślnie zostawiono wyłomy zrobione w grubych murach przez artylerię oblężniczą, kapitana Q. A. Gilmora. Tu bowiem po raz pierwszy zastosowano ogień z armat gwintowanych, używanych przy końcu wojny, tak na okrętach wojennych, jak i przy demolowaniu fortec. Nazywały się one od wynalazców — Parrott rifles.

Kazamaty "Fortu Pułaskiego"

Dla wygody robotników i turystów spuszczono pomost przez fosę, napełnioną wodą. Za rowem był szeroki wał z ziemi usypany, a dopiero na nim wznosiły się wysokie, a od siedmiu do jedenastu stóp grube mury z cegły. Plany na budowę fortu przygotował Francuz, generał Simon Bernard, główny inżynier Napoleona. Przybył on tu na zaproszenie rządu i podał projekty na cały szereg bardzo silnych, a jak na ówczesny stan finansowy kraju dosyć kosz-

townych fortyfikacji. Fort jest dwa piętra wysoki. Łuki i wiązania z cegły są bardzo silnie i misternie robione, aby mogły wytrzymać wstrząs wystrzałów, a także uderzenia kul armatnich. Fort posiadał dwa rzędy armat: jedne w silnych kazamatach, zabezpieczone przed ogniem nieprzyjacielskim, a drugie — powyżej "en barbette". Ile tego żelaziwa tu było, nie wiem, ale zdaje się, że jak na owe czasy uważali fort ten za bardzo trudny, wprost niemożliwy do zdobycia. Jednakowoż 11-go kwietnia, 1862 roku, po 30 godzinnym bombardowaniu z nowoczesnych gwintowanych armat, okazało się, że nawet tej grubości mury nie wytrzymały ataku. Poharatano mury, zdemolowano dużo armat, a granaty coraz gęściej waliły w magazyn prochu. Widząc, że dalsza walka jest bezcelowa, gdyż kule z armat fortecznych najmniejszej szkody nie wyrządzały atakującym, bo padały do bagien nadbrzeżnych i nie eksplodowały, 11 kwietnia poddano fort wraz z 385 żołnierzami, 40 armatami i 40 tysiącami funtów prochu. Przez pewien czas twierdza ta służyła za więzienie, a później całkowicie ją zaniedbano. Budowa kosztowała okrągły milion dolarów. Dosyć słono — ale mamy inne forty daleko droższe, a wcale nie lepsze.

Oprowadzał nas młody, grzeczny urzędnik i wszystko jak mógł objaśniał. Zresztą, nic tak ciekawego nie znajdziesz w starych fortach. Pytałem się go, czy w Sawannie zamieszkują Polacy? Mówił, że jest jakich pięć rodzin polskich i że narzeczona jego jest Polką. Życzyłem mu szczęścia w pożyciu małżeńskim, zalecając, aby się uczył po polsku, przy czym opowiadałem mu dużo o Polsce. Jeżeli w stanach północnych niewiele wiedzą o Polsce i o Polakach, to tu jeszcze mniej. Może w Sawannie mogą cośkolwiek o Pułaskim powiedzieć, ale o Piłsudskim — już zgoła nic.

Po zwiedzeniu twierdzy mieliśmy jeszcze dużo czasu zanim łódź odpłynęła, więc też z ks. Wojcieszczukiem poszliśmy nad brzeg rzeki i długo wpatrywaliśmy się w jej mętne fale, w jej niskie, drzewem i palmą porosłe brzegi. Zdawało nam się, że wśród mgły, nad falami rzeki i pobliskiego oceanu unosiła się bohaterska postać Kazimierza Pułaskiego, gdy z podniesioną szablą pędził do ataku na szańce nieprzyjacielskie. Zatrzymał się w pędzie i zwrócił ku nam, my zaś jako ludzie wojskowi, zasalutowaliśmy przed wodzem-rodakiem, który swe młode życie — niby wonne kadzidło, rzucił na stos ofiarny amerykańskiej wolności. Zdaliśmy mu raport, że Polska jest teraz wolna, że jest potężna, że stale wzrasta w siły i swym rozwojem i tężyzną narodową imponuje całemu światu; że ma silną i dzielną armię, która pod murami Warszawy w puch rozbiła watahy nieprzyjacielskie, że i teraz, jak ongiś za jego czasów, przoduje innym swą niezrównaną kawalerią. Na ową wiadomość, jako że sam niezrównanym jeźdźcem był i w podziw wprawiał swą jazdą towarzyszów broni, uśmiechnął się do nas bohater "dwóch światów." Na twarzy jego zajaśniał radosny

uśmiech, a od rany w boku bił blask nadziemski, gdyż rany śmiertelne na polu bitwy odniesione, niby najpiękniejsze ordery, lśnią od pereł łez i rubinów krwi bohaterskiej za sprawę i wolność ludów przelaną.

Wpatrzeni w nieśmiertelnego ducha polskiego bojownika za wolność ludów, chcieliśmy uczcić ten jego nieznany grób morski, boć tu, w tym miejscu, przy huku armat francuskich i amerykańskich, złożono jego ciało do grobu. Grobem jest mu ocean, który jak jego sława, sięga do wszech krańców kuli ziemskiej. Może mętne fale rzeki Sawanny, co płyną nad jego mogiłą, docierają także do brzegów Bałtyku i do Gdyni, Helu i polskich brzegów, by szmerem drzemiących wód opowiadać pokoleniom polskim o jego czynach, ideałach i bohaterskiej śmierci! . . .

Rzeka Savanna i vyspa Cockspur

Mimowoli z serc naszych wyrwała się ta piękna piosenka żołnierska, którą chcieliśmy uczcić miejsce spoczynku "wodza i ojca kawalerii amerykańskiej" i zanuciliśmy:

Rozkwitnęły pęki białych róż.
Wróć, Kazieńku, wróć z wojenki, wróć;
Wróć, ucałuj jak za dawnych lat,
Dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat...

Kazieńkowi nic nie trzeba już,
Bo mu kwitną pęki białych róż.
Pod Sawanną, gdzie w wojence padł,
Kwitnie przy pomniku biały róży kwiat.

ROZDZIAŁ VI.

## Cmentarz Bonaventure - Georgia - Terpentyna - Floryda.

Po zwiedzeniu starej, pamiątkowej fortecy, noszącej miano naszego bohatera, wróciliśmy na główną drogę, wiodącą nas na południe — do Florydy. Jadąc, zauważyłem tablicę i drogowskaz do słynnych ogrodów — Wormsley Gardens, a że już cośkolwiek o tym miejscu czytałem, więc też skręciliśmy do byłej plantacji, aby zobaczyć, co oni tam mają ciekawego do pokazania. Zapłaciliśmy po pół dolara, a młody murzyn, któremu jeszcze dodatkowo "kwoderka" wtremoliłem, pokazał nam stare, mchem porosłe drzewa, dom drewniany, w którym mieszkało kilka pokoleń plantatorskiej rodziny, stare domki niewolników, a po zatym nic więcej. Szkoda było czasu i "wstępnego." Może warto tu zaglądnąć na wiosnę, gdy kwitną azalie, ale teraz, podczas posuchy, nie widzę sensu oglądania starego ogrodu. Tu nas zatym nabrali i nic więcej.

Zato kilka mil dalej, zajechaliśmy na cmentarz Bonaventure. Czytelnicy gotowi sobie pomyśleć, że "szofer piszący" wciąż ich oprowadza po cmentarzach, gdy im się wcale na cmentarz nie spieszy. Nikt nie chce tam iść, a tembardziej na stałe ... zamieszkać. Ten cmentarz jednakowoż należy do wyjątków. Na innych cmentarzach można oglądać wspaniałe pomniki lub groby zasłużonych ludzi. Tu zaś natura w przecudowny sposób upiększyła to ostatnie miejsce spoczynku.

Może nigdzie nie znajdziesz tak wspaniałych dębów, uginających się pod wiechciami hiszpańskiego mchu, jak na tym cmentarzu. Wyobrażam sobie, że coś podobnego można było oglądać w starożytnym Babilonie, słynnym ze swych przecudnych ogrodów. Przed wielu laty była w tym miejscu plantacja, którą później zamieniono na cmentarz. Przy ulicach cmentarnych posadzono szpalery dębów, te zaś korzeniami sięgając po żywność do zmurszałych trumien, wyrosły na imponujące drzewa. Zapewne nastąpiła tu dziwna przemiana ciał nieboszczyków; zapomocą procesów chemicznych przeistoczyły się w piękne, rosochate drzewa, przypominające zdaleka jakieś przedziwnego kształtu płaczące wierzby.

Tak tu miło, spokojnie, zacisznie ... Chciałoby się wyjść z auta, oprzeć o jakiś stary, zmurszały pomnik i w tym półmroku śnić o życiu

pozagrobowym ... Słynny przyrodnik, John Muir, autor bardzo wielu ciekawych książek o naszych parkach narodowych, nie mając centa przy duszy, tu nocował. Za łoże służył mu gruby kobierzec liści, a do snu kołysał go poszum drzew, świergot ptactwa i śpiew słowików. Miejscami rosochate gałęzie, pokryte mchem, paprocią, a nawet młodymi palmami — palmettos — tworzą cudnej piękności baldachimy, rozpinające się nie tylko nad zacisznymi grobami, ale także nad każdym, kto tu przyjdzie na wypoczynek, czy zadumę. Jan Muir tak pisał o tym, jednym z najpiękniejszych cmentarzy w Ameryce: — "Bonaventure nazywają cmentarzem, miastem umarłych, ale groby są tu całkiem bezradne, wobec tego ogromu życia. Zapas ożywiającej wody, śpiew ptactwa, wspaniały rozpęd kwiatów, niezmącony spokój, imponujący majestat dębów, przeznaczają, to miejsce grobów na najulubieńsze miejsce dla Stwórcy, pełne życia i światła." — Nie pomniki bogate, chociaż i tych tu pełno; nie kwiaty i klomby, ludzką ręką pielęgnowane, nie zielenią pokryte trawniki, ale raczej ten imponujący majestat natury w spoczynku dodaje temu cmentarzowi, na którym wiele pokoleń spoczywa, jakiegoś przedziwnego, majestatycznego uroku. To miejsce cośkolwiek przypomina stare aleje Łyczakowskiego cmentarza we Lwowie.

Cmentarz Bonaventure

Jesteśmy teraz w stanie Georgia (Dżordzia) Historia pierwszych kolonistów tego stanu niczym się nie różni od przygód niemal wszystkich białych osad wzdłuż Atlantyku. Koloniści widocznie podzielali zdanie generała Shermana, który prowadził wojny z Indianami. Kolo-

niści ci, jak i generał Sherman, byli zapewne święcie przekonani, że "tylko zabity Indianin jest dobrym Indianinem" — "the only good Indian is a dead one". Tubylcy oczywiście mieli te same poglądy o białych intruzach, więc gdzie mogli, głodzili ich, torturowali i mordowali.

Pierwszym z białych odkrywców, który się po tych kniejach włóczył, szukając złota i drogi do Pacyfiku, był Hernando de Soto, odkrywca rzeki Mississippi. Przybył on w te okolice około roku 1540-go. Z początku Indianie bardzo grzecznie się obchodzili z intruzami. Młoda indiańska księżniczka obficie zaopatrzyła ich w żywność, a nawet odstąpiła im kilkanaście szałasów, by tu mogli wypocząć, a jeżeliby chcieli—na stałe się osiedlić. Hiszpanom wpadły w oczy perły i muszle, którymi Indianie ozdabiali swe szyje i ramiona. A że tej biżuterii było dużo w rzekach i strumykach, więc też Indianie darzyli swych gości całymi koszami takich ozdób. Hiszpanie natomiast, odpłacając się niewdzięcznością za serdeczne przyjęcie, zabrali ową księżniczkę, złupili co się dało i poszli dalej szukać fortuny, a zapewne "krzewić" Wiarę św., bo pod tym względem byli to ludzie "bardzo gorliwi." Wyprawa skończyła się dla intruzów tragicznie. Wielu zginęło od strzał Indian, innych wybiły choroby i trudy podróży. De Soto umarł nad brzegiem rzeki Mississippi i w jej nurtach go pochowano. Ma przynajmniej ten zaszczyt, iż uważają go za jej odkrywcę. Nic zresztą w tym wielkiego, bo ktokolwiek idący ze wschodu na zachód czy też w przeciwną stronę, musiałby rzekę Mississippi gdzieś przekroczyć, gdyż płynie ona niemal od granicy kanadyjskiej, aż do zatoki Meksykańskiej, dzieląc kraj na dwie części.

Wzdłuż brzegów Atlantyku, na terytorium obecnej Georgii, pozakładali Hiszpanie małe osiedla dla swych ziomków; zbudowali kilkanaście kościółków i misyj; sprowadzili swych księży, by nawracali Indian na wiarę katolicką. Ze zrozumiałych powodów ta praca apostolska szła bardzo powoli. Czerwonoskórzy mieszkańcy serdecznie znienawidzili także religię i tych, którzy im ją na ostrzu miecza podawali. W roku 1597-ym, wódz Indian, Juan wywołał rewolucję przeciwko białym osadnikom. Spalono kościoły i kaplice, kilku z księży, a także osadników zamordowano. Tak się skończyły "apostolskie" wysiłki Hiszpanów.

Dopiero generał James Oglethorpe, w roku 1733-im, założył tu pierwsze trwałe podwaliny dla kolonistów angielskich. Przedewszystkim uczciwie się obchodził z Indianami. Zjednał sobie starego wodza. Tomo-czi-czi i całe plemię Yamacrawsów. W jednym z małych parków w Sawannie, umieszczono duży kamień z bronzową tablicą ku czci tego Indianina, gdyż w tym miejscu pono go pochowano. — On to bowiem otoczył swą opieką pierwszych angielskich założycieli miasta.

Opowiadają, że Tomo-czi-czi przyniósł generałowi Oglethorpe'owi

skórę bawolą, ozdobioną orlą głową i piórami. Był to dar symboliczny, który przybyszowi Indianin objaśnił w ten sposób: "Orzeł" — mówił wódz Tomo-czi-czi — "oznacza szybkość, a bizon — siłę. Anglicy posiadają siłę bizona, a szybkość orła, gdyż jak orzeł przelecieli przez wielkie wody na białych skrzydłach swych okrętów, a jak owego stepowego bizona, (bawołu) nic ich nie może powstrzymać. Pióra orle są miękkie i oznaczają dobroć, zaś skóra bizona jest ciepła i oznacza — opiekę. Niech więc przybysze angielscy będą dla nas dobrzy i niech nas otaczają swą opieką." — Czy nie piękna symbolistyka i czy nie ładny to sentyment, pochodzący z serca "dzikiego" Indianina?

Georgia otrzymała swą nazwę na cześć króla angielskiego, George'a II-go. Georgia należy do "trzynastu kolonii," które wywalczyły nam niepodległość. Liczy niemal sześćdziesiąt tysięcy mil kwadratowych obszaru i posiada trzy miliony ludności. Miastem stołecznym jest Atlanta. Strasznie zniszczyli je w wojnie domowej uniści, gdy wśród ustawicznych walk tędy się do morza przedzierali.

Zatrzymaliśmy się na chwilę w pięknym lesie żółtych sosen, przesiąkniętym wonią żywicy, aby spożyć nasze przekąski wśród poszumu iglastych drzew. Niemal że wszystkie większe i mniejsze drzewa miały naciętą korę, w kształcie litery — V. Tą raną do podstawionych naczyń sączył się sok drzewny, z którego wydobywano w dystylarniach terpentynę i smołę zw. "pine tar." Używają tej "sosnowej smoły" do wyrabiania lekarstw, skutecznych na zaziębienie i kaszel. Reszta twardej masy po dystylacji tworzy żywicę, którą w przemyśle znów przetapiają na smołę.

Jesteśmy w środowisku terpentyny. Sawannę nazywają — "miastem terpentyny" i wysyłają stąd do wszystkich części świata setki tysięcy beczek żywicy i terpentyny. Bardzo lubię zapach sośniny, żywicy, a nawet terpentyny, używanej przeważnie do rozcieńczania farb.

Terpentyna jest także bardzo skutecznym, chociaż mało używanym środkiem, do przyspieszenia ruchu . . . nogowego. Jestem mocno przekonany, że gdyby ś. p. Marszałek w swym "wyścigu pracy" zalecił dobre dawki terpentyny, zaaplikowanej pędzelkiem w odpowiednie miejsce, to byśmy już dawno, i to pod każdym względem, prześcignęli wszystkie narody. Wtedy, słynni biegacze, Kusociński i Stasia Walasiewiczówna — oczywiście bez terpentyny — nie podołaliby nawet najpowolniejszymu urzędnikowi, używającymu tego skutecznego środka do przyspieszenia . . . ruchu.

Wiecie prawdopodobnie, jak skuteczną okazała się terpentyna w swych rezultatach, gdy gospodarz, za radą p. "japtykorza" zaaplikował ją wołom kupionym na jarmarku. On sam także odczuł na

sobie jej "błogie" skutki, bo po jednej aplikacji tak mu się ciepło zrobiło, takiej nabrał ochoty, że kazał żonie woły na podwórze wpuścić, a on z wiekiej "kuntentności" jeszcze się "krzynkę przeletnął."

W innym wypadku, opowiedzianym mi przez naocznego świadka i współuczestnika, terpentyna odegrała ważną, patriotyczną rolę w erze przedwojennej. Wiadomo, że nigdzie nie znajdziesz takich przemiłych, a dzielnych patriotów, — (chociaż wisusów) — jak wśród studentów krakowskiego " uniwerku." W okresie przedwojennym uniwersytet Jagielloński był świątynią wiedzy i zniczem ducha polskiego, i zapewne nim pozostanie — daj Boże — przez nieskończone wieki.

Oto na rynku krakowskim miała się odbyć wielka uroczystość z okazji urodzin czy imienin jego "kajzerliche, koenigliche i wszystko 'liche'" — cesarza Franz Józefa. Kilkunastu zakonspirowanych studentów postanowiło tę uroczystość — zbabrać. Wśród konspiratorów był także mój przyjaciel, swego czasu szeroko znany w Ameryce inżynier, ś.p. Antoni Romańczuk-Morell. Otóż, według opowiadania p. Antoniego, na tydzień przed mającą się odbyć uroczystością, kilku studentów urządziło potajemne polowanie na psy. Gdziekolwiek dało się zwabić jakiegoś mopsika czy nawet dużego brytana, prowadzili go do kamienicy, przylegającej do rynku, w pobliżu Maryackiego kościoła. Założyli tam psiarnię, jak się patrzy. Niebezpieczny i kosztowny to był figiel, gdyż trzeba było tę różnorodną zgraję utrzymać w jakiej takiej psiej zgodzie. Dla biednych studentów najkosztowniejszym było: dostarczanie psom żarcia. Chociaż sami nie mieli za co zafundować sobie piwa i kiełbasy z kapustą, nie tam u Hawełki lub w "Jamie Michalikowej," ale nawet w jakiejś podłej garkuchni, za ostatni grajcar kupowali kości i żywili tę słynną "armię wypadu," boć . . . o "czyn narodowy" tu się rozchodziło.

W oznaczonym dniu zebrały się tłumy na rynku. Rozpoczęto nabożeżństwo, a po tym — przemówienie pochwalne na cześć Franz-Józefa. Na ten najsolenniejszy moment uroczystych przemówień czekali w sąsiedniej piwnicy spiskowcy. Jeden, z ręką na klamce od drzwi, drugi z pędzlem i butelką terpentyny, a reszta czyniła ostatnią inspekcję ujadającej sfory. Gdy wywiadowcy zaraportowali, że . . . czas, herszt spiskowców wydał krótki rozkas: Baczność!! Smaruuuj!! . . . Ekspert na pogotowiu pierwszymu z rzędu brytanowi w mig zaaplikował, gdzie trzeba, dozę terpentyny, odźwierny momentalnie drzwi na oścież otworzył, a pies ze skowytem wyskoczył z piwnicy, przysiadł na chłodnym bruku i . . . "sankował się" do zebranego na rynku tłumu. Bezceremonialnie brytan "przejechał się" po butach żołnierzy i oficerów na sztram w rzędy poustawianych. Ocierał się bez ceregieli o trzewiki pp. urzędników, a co gorsza, bez skrupułu, pakował się między jedwabne suknie nadobnych pań, szukając ulgi

i ochłody na to "brzyćkie" miejsce, w którym z niezrozumiałych dla niego powodów było mu bardzo ciepło. — Gdzietam ciepło — gorąco, wprost piekło jak ogień! — W krótkich odstępach czasu waliły się w tę ciżbę ludzką, niby tanki wojenne, inne psy. Każdy z głośnym ujadaniem, skowytem, wyciem, "jechał niby na saniach," — co może dla ludzi było śmieszne, ale psom się ta uroczystość wcale nie podobała. — Więc też w kilku momentach całe nabożeństwo, paradę, uroczyste przemówienia, chwalby dygnitarzy, jednym słowem — cały jubel — wszystko djabli wzięli. Jedni się śmiali, inni klęli, a reszta, szczególnie nadobne panie, "wiały" czym prędzej do domu, chroniąc się, by o ich jedwabne suknie psy nie wycierały terpentyną rozpalonej ariergardy.

Ten wypadek krakowski, powiedziałbym, był pierwszym w historii, bardzo praktycznym, a nader skutecznym zastosowaniem "czołgów" do rozbicia formacyj nieprzyjacielskich. "Znakiem tego," — jak mówi powszechnie znany sędzia warszawski p. "Wiech," — mając dobro niektórych urzędników polskich na sercu, szczególnie zajętych przykładaniem pieczątek, a miałem z nimi w urzędach styczność, gotów jestem, chociaż nawet nie wiem ile beczka terpentyny kosztuje, stworzyć "żelazny fundusz," z którego rok rocznie zakupię w Sawannie i wyślę do Polski beczkę terpentyny dla użytku rządu. Zawarunkowałbym tę z mej strony nader hojną i patriotyczną ofiarę, tylko tym, że wyżsi urzędnicy otrzymają większe butelki i szersze pędzelki, niżsi w proporcji do rangi. Każdy leniwy urzędnik, po śniadaniu, przed udaniem się do biura — bo herbatki i bułeczki w godzinach biurowych zniósłbym surowym zakazem, opuszczając mieszkanie, zaśpiewałby zamiast "Brygady" zwykłą piosenkę żołnierską: "Jeszcze po kropelce, jeszcze po kropelce, bo mam butlę w kamizelce," i zaaplikowałby następnie gdzie potrzeba, chociażby tylko jedną kropeleczkę tego drogocennego płynu sprowadzonego z wonnych lasów amerykańskich. Tą więc "hojną ofiarą" służę szefowi wszystkich urzędników państwowych i mam nadzieję, że jak należy ocenicie moją bezgraniczną ofiarność na "cele narodowe" — dla przyspieszenia "wyścigu pracy."

Takie to bezwstydne myśli krążyły po głowie waszego "piszącego szofera," gdyśmy z apetytem zjadali kanapki, wśród przyjemnej woni "żółtych" sosen.

Po przekąsce ruszamy "siedmnastką" w dalszą podróż. Jest to jedna z głównych dróg, wiodących turystę do Florydy. Wraz z ptactwem w jesiennej porze, gdy przymrozki i pierwsze śniegi zwiastują nadchodzącą zimę, pędzą tędy niezliczone auta. Dużo z nich wlecze za sobą ogromne, a nieraz nawet bardzo luksusowo urządzone "trailery" czyli domki na kołach. Jadą w nich nasze amerykańskie "złote ptaki," co to nie sieją, nie orzą i nie rżną, a jednak mają pełne

gumna — w tym wypadku — worki dużych, okrągłych dolarów. Najcięższą pracą takiego bogacza to chyba odcinanie kuponów dywidendowych. — To mi przypomina, że—całe pliki akcyj z kuponami, ale polskich przedsiębiorstw, posiadają także tutejsi Polacy, boć w początkach odrodzenia Polski patriotyczny nasz obowiązek nakazywał popierać polskie instytucje finansowe i przeróżne handlowe przedsiębiorstwa. Płaciliśmy za te akcje dobrymi amerykańskimi dolarami, a teraz mamy — figę. Ale w każdym razie ładnie wyglądają te pliki akcyj z kuponami i z polskimi napisami. Tak fatalnie postąpiły z wychodztwem niektóre polskie instytucje. Wyłudziły od nas pieniądze, któreśmy stracili, a co ważniejsze — straciliśmy do instytucyj polskich zaufanie, a niektórzy nawet z racji pieniężnych strat — przywiązanie do Polski. Gdyby tak nie postąpiono, gdyby wychodztwo jak należy w sprawach finansowych traktowano, mogłoby się ono stać źródłem zagranicznych kredytów. Stało się inaczej. Raz można wszystkich naciągnąć, ale już drugim razem nie warto tu po pieniądze przychodzić, bo ich nie damy....

Droga "Siedmnastka"

Ale wróćmy do naszej podróży.

W małych wioskach i większych miasteczkach, dla wygody naszych "ptaków wędrownych," porosłych w złote piórka amerykańskich banknotów, są wygodne hoteliki, kabiny turystyczne, stacje z gazoliną, sklepy z owocami, żywnością i orzechami, które rosną w tych okolicach.

Po południu przepadywał drobny deszczyk, ale droga doskonała, więc deszcz nam nie sprawiał trudności w podróży. Nad wieczorem przekroczyliśmy szeroką, spławną rzekę St. Mary's, — tak ją nazwali Hiszpanie — którzy pierwsi w tych okolicach założylii swe osady, ogniem i mieczem "nawracając" na wiarę katolicką tutejszych Indian. Na szerokim moście, zbudowanym z betonu, widnieje duża tablica z oznajmieniem, że wjeżdżamy do Florydy i jesteśmy — "Welcome" — co odpowiada polskiemu: "Witajcie."

Geologowie, niczym tajna policja, wciąż badają, podpatrują, poprostu szpiegują biedną Matkę Ziemię. Chcą się od niej dowiedzieć, jaka stara i przez jakie przechodziła koleje w swym życiu. Ich zdaniem, najstarszą część Stanów Zjednoczonych stanowią góry Adirondacks, w północnej części stanu Nowego Jorku. Najnowszą czy też

najmłodszą jest — Floryda, boć stosunkowo niedawno z wód wynurzyła swą głowę, spowitą w kwiaty i palmetty. Poprostu jeszcze ocieka z tej morskiej kąpieli olbrzymimi rzekami, licznymi jeziorami, niezwykłej wielkości źródłami. Tu się nie sączą małe źródełka, ale biją z ziemi duże rzeki, po których swobodnie płyną łodzie motorowe. Tak wschodnie jak i zachodnie brzegi Florydy są postrzępione licznymi zatokami, kanałami i wyspami, na których powstały w ostatnich dwudziestu latach bardzo wielkie i z wszelkim komfortem urządzone letniska.

Florydeńskie duny

Floryda dla Amerykanów staje się tym, czym dla Europejczyków jest Riviera, Neapol i Alger. Z tą jednak różnicą, że w Europie trzeba się przedzierać przez międzynarodowe granice, śnieżne Alpy lub morze Śródziemne; tu zaś, czy to od wschodu, czy zachodu lub północy masz olbrzymie równiny z wygodnymi drogami. Jedziesz, jak po stole, do tej zaczarowanej krainy sosen, palm i kwiatów.

Chcąc sobie odpowiednio ulokować w pamięci ten wielki cypel ziemi, zanurzony w ciepłe fale zatoki Meksykańskiej i gorącego golf sztromu, płynącego, niby rzeka, oceanem Atlantyckim do Europy, trzeba pamiętać o tym, że północna część Florydy jest więcej wysunięta na południe, niż południowa część Kalifornii. Floryda leży więcej na południe od którejkolwiek części Europy, bo linia, opasująca glob ziemski, przeprowadzona przez środek Florydy, sięgałaby kilkaset mil poniżej Algeru, przez Egipt, Indie, Chiny, poniżej Szanghaju, a następnie północny Meksyk i południową część Teksasu. Dzięki częstym deszczom i temu, że z jednej strony jest zatoka Meksykańska, a z drugiej ocean, regulujący temperaturę, Floryda tak zimą

jak i latem ma bardzo ciepły klimat. Ten półwysep ma dwa razy więcej deszczu od Kalifornii. Tam głowią się nad tym, jakby sprowadzić do miast i do sadów owocowych wodę z gór i z odległych jezior. We Florydzie zaś najtęższi inżynierowie szukają sposobów, jakby się pozbyć nadmiaru wody, osuszyć ogromne moczary i zużytkować setki tysięcy akrów bardzo urodzajnej ziemi.

Topograficznie Floryda przedstawia olbrzymią równinę, gdyż najwyższy punkt w całym stanie nie wznosi się 500 stóp ponad poziom morza. Południowa zaś część stanu, w okolicach jeziora Okeechobee, wznosi się zaledwo kilka stóp ponad poziom oceanu. Mimochodem wypada zaznaczyć, że co do jezior, Floryda, po Minnesocie, zajmuje drugie miejsce. Powyżej wspomniane jezioro wprawdzie nie głębokie, ale co do obszaru — z wyjątkiem jeziora Michigan — jest największe w Stanach Zjednoczonych. Inne wielkie jeziora, jak Superior, Huron Erie i Ontario są wprawdzie większe, ale tworzą granicę między Kanadą i Stanami Zjednoczonemi i częściowo należą do Kanady, dlatego się ich tu w rachubę nie bierze. Brzeg morski wynosi tu ponad dwa tysiące mil długości. Ale dogodnych przystani morskich Floryda posiada stosunkowo nie wiele. Zato plaży kąpielowych, małych przystani, rzek spławnych a rybnych ma bez liku. Nawet piaski tu są zupełnie odmienne od tych, które się napotyka w innych okolicach. Są to właściwie na miał skruszone ciała przeróżnych morskich żyjątek i krustacyj. Posiadają tę niezwykłą własność, że fale morskie szybko w nie wsiąkają i w kilka minut po odpływie morza cały brzeg staje się tak twardy i równy iż zdaje ci się, że pędzisz nie po piasku morskim, ale raczej po jakiejś szerokiej, równiutkiej betonowej autostradzie. W Daytona beach, tuż przy wodzie, urządzają wyścigi samochodowe i tu robiono najszybsze rekordy samochodowe na świecie.

Obszarem Floryda należy do największych stanów, położonych na wschód od rzeki Mississippi. Bez mała możnaby do niej wpakować całą Nową Anglię, gdyż obejmuje, w okrągłych cyfrach, sześćdziesiąt tysięcy mil kwadratowych, w tym 3800 mil kwadratowych zajmują jeziora i rzeki. Chociaż ich nie liczyłem, ale geografowie twierdzą, że we Florydzie znajduje się około trzydzieści tysięcy jezior. Tu dopiero znajdziesz raj dla rybaków, boć tak w rzekach, jak i w jeziorach, jest ogromne mnóstwo i niezwykła rozmaitość ryb. Ci zaś, co szukają "wrażeń," jadą na słone wody, czy to na ocean, czy też do zatoki Meksykańskiej i tam łowią "tarpony lub marliny." Tak jedna, jak i druga ryba waży od stu, do kilkuset funtów, a gdy się uczepi na haczyk, momentalnie zapominasz o wszystkich kłopotach i nieszczęściach, jakie ci się kiedykolwiek w życiu przytrafiły. Widziałem ruchome obrazki takiej walki — ryby z rybakiem. Dziękuję za wyćwikę, gdy taka "smarowana błyskawica" — jak mówią Amery-

kanie — zacznie się rzucać w tę i w ową stronę. Pod wodą pędzi niby torpeda, to rzuca się kilkanaście stóp w powietrze, aby się pozbyć nieszczęsnego haka. To już uważam nie za sport, ale za intensywną i nerwy i siły wyczerpującą pracę. Na wołowej skórze nie spisałby tych najrozmaitszych gatunków ryb, jakie tu ludzie łowią, zacząwszy od wielkich rekinów i straszliwych barakudów, a skończywszy na naszych swojskich płotkach, karasiach i okonkach.

Część północna stanu jest znacznie szersza od środkowej i południowej. Od Jacksonville do Pensacola, na przeciwnym końcu stanu, jest przeszło 350 mil, a od Jacksonville, które jest jakoby bramą wjazdową do Florydy, aż hen do południowego cypla stanu, do miasteczka Key West, zbudowanego na małej wysepce, jest przeszło 500 mil. Przeciętna szerokość stanu wynosi tylko ponad sto sześćdziesiąt mil.

Floryda posiada jedyną w Stanach Zjednoczonych spławną rzękę, płynącą z południa ku północy. Jest nią 300 mil długa rzeka św. Jana, a tak ją nazwali Hiszpanie. Wiadomo, że Hiszpanie to bardzo dobry naród, Pana Boga i wszystkich świętych obdarzali rzekami, wyspami, kontynentami i miastami, a dla siebie zabierali tylko złoto i srebro, bo Pan Bóg tych kruszców nie potrzebuje, a im się zawsze przydały.

Dotąd nie odkryto tu żadnych minerałów. Za to w kilku miejscach natrafiono na bardzo bogate złoża soli potasowych, używanych do wyrobu sztucznych nawozów. Prócz tego są tu jeszcze niektóre gatunki gliny, używanej do wyrobu papieru. Budulec, terpentyna i żywica przedstawiają także bardzo poważne cyfry w budżecie stanowym.

Hodowla drobiu, bydła, przedewszystkim jarzyn i owoców cytrusowych jak: pomarańcze, grapefruity (cykady), cytryny oraz najrozmaitsze gatunki jagód dają zatrudnienie tysiącom rolników i szybko wzbogacają cały stan. Floryda w sezonie zimowym dostarcza wszystkim stanom wschodnim wszelkiego gatunku świeżych jarzyn, truskawek i oczywiście pomarańcz. Część środkowa, jak również wschodnia, wzdłuż rzeki Indian, hoduje najsmaczniejsze pomarańcze.

Największe źródło dochodów Florydy stanowią. . . .turyści. Uprawiają tu właściwie dwa sezony turystyczne: letni i zimowy. Latem przyjeżdżają nauczycielki, urzędnicy i klasa pracująca, która w tym czasie ma dwa lub trzy tygodnie wakacyj. To jest ta biedniejsza klasa, ale w każdym razie i ci wydają dużo pieniędzy. Z końcem października, a szczególnie w listopadzie i grudniu, panuje we Florydzie wielkie żniwo turystyczne. Wtenczas wszystkimi drogami zjeżdżają te złote, wędrowne ptaki, z workami wypełnionymi dolarami, by się kąpać w ciepłych wodach, łowić ryby, opalać się na słońcu, grać w golfa — jednym słowem — "używać świata, póki służą lata." Należy też do "tonu," aby każda młoda panienka na wydaniu, z t. zw.

"Society," spędziła chociażby tylko parę tygodni w którejś z lepiej znanych plaży tutejszych, albowiem w zimowym sezonie urządza się polowanie na ... mężów. Więc też nie wszyscy łowią ryby, bo są i tacy co łowią ... mężów lub bogate żony. Niejedna nawet co rok zapisuje w swym rejestrze sercowym innego mężczyznę.

Nadzwyczajna era rozwoju i dobrobytu Florydy datuje się od chwili, gdy magnat kolejowy, Henryk M. Flagler, zbudował kolej wzdłuż wschodniego brzegu Florydy. Zamiast fabryk, przy torach, nad oceanem, stawiał bogate hotele, urządzone z wszelkim komfortem. Tym sposobem ściągał turystów. Za turystami szli: osadnicy, ogrodnicy, rolnicy, kupcy, przemysłowcy, jednym słowem — najrozmaitszego gatunku koloniści. Flagler posuwał się coraz dalej na południe, nareszcie zajechał ze swą koleją do morza i pociągnął ją kilkadziesiąt mil nad morze, do Key West. Chociaż mu niektórzy "na rozum" gadali, że on głupi, on jednak swego dopiął. Okazało się, że nic na tym nie stracił, a setki tysięcy ludzi korzystają z jego przedsiębiorczości. To, co Flagler uczynił dla wschodniej Florydy, inny kapitalista, Henry B. Plant, zrobił dla zachodniej, przeprowadzając linię kolejową do Tampa, obszernego portu nad zatoką Meksykańską. W kilkudziesięciu latach Floryda dla wygody turystów pokryła się gęstą siecią kolei, oraz znakomitych, a malowniczych dróg.

Chociaż huragany i finansowe krachy wielkie wyrządziły tu szkody, Floryda, jak jej palmy, czy to z pod żywiołowych kataklizmów, czy też finansowych klęsk zawsze się dźwiga i idzie naprzód.

Teraz zapoznamy się bliżej ze stanem, o którym jeden z pierwszych odkrywców — i że tak powiem turystów — Jean Ribault, powiedział, że to jest "najpiękniejszy, najbogatszy w owoce, najprzyjemniejszy kraj na całym świecie." Trochę przesadził, ale i dziś tysiące podzielają jego zdanie.

ROZDZIAŁ VII.

## Jacksonville - St. Augustine - Aligatory - Korona.

Na noc zatrzymaliśmy się w obskurnych kabinach, gdzie w dodatku dokuczały nam komary i inne robactwo. We wielu miejscach we Florydzie woda do picia nie jest dobra, gdyż czuć ją siarką, a wiadomo, że to nie bardzo przyjemny zapach. Dlatego też bardzo rychło byliśmy na szerokiej, ruchliwej drodze, wiodącej do Jacksonville.

Miasto — jedno z największych we Florydzie, nosi miano generała Andrew Jackson'a, bohatera bitwy pod Nowym Orleanem i późniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jacksonville jest główną bramą do stanu. Na jesień setki tysięcy turystów wjeżdża tędy do Florydy, by się rozlokować po najrozmaitszych, częstokroć bardzo luksusowych lub też bardzo skromnych i prymitywnych plażach i letniskach. Jedni tu przyjeżdżają na wakacje, inni zaś łączą wywczasy a właściwie ciepły klimat — z zarobkiem. Tak jak z Polski, w sezonie letnim, dużo ludzi wyjeżdżało "do Prus" — na żniwa, tak u nas jesienną porą — tysiące jadą na południe, by pracować w hotelach lub też w ogrodach warzywnych, dostarczających świeżych jarzyn nie tylko Florydzie, ale całej północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

Jacksonville niczym się nie różni od innego, ruchliwego, a poniekąd szablonowego miasta. Może tu więcej hoteli i przeróżnych zajazdów; może więcej udogodnień dla turystów, gdyż tędy płynie ta ciekawa rzeka ludzka i to w najrozmaitszych wehikułach, począwszy od bogatych cadillaków i packardów a skończywszy na rozklekotanych fordach. Floryda i Kalifornia stają się pod pewnym względem bardzo wybredne. Jeżeli z twego wyglądu wnioskują, żeś biedak i szukasz — "młodości," szczęścia i majątku, to ci każą wracać skąd przybyłeś. Biedaków tu nie proszą, to szczęście, że nam się jakoś udało ominąć ich czujne straże.

Nie warto nawet wspominać o sześćdziesięciu siedmiu parkach, o polach na grę w golfa, o teatrach i hotelach, o lotniskach, boć to wszystko znajdziesz w każdym mieście. Jacksonville chociaż nie leży nad morzem, ale 20 mil w głąb kraju, nad szeroką, spławną rzeką St. John, mimoto jest jednym z głównych portów morskich Florydy.

Kazałem mechanikowi przeglądnąć samochód, gdyż podczas podróży zawsze bardzo skrupulatnie tego pilnowałem. Założyli także silniejszą sprężynę, gdyż auto było zbyt przeładowane bagażami. W międzyczasie poszliśmy do dużego składu i zakupiliśmy lekkie, letnie ubrania i inne części garderoby, gdyż gorączka zaczynała nam tu już cośkolwieczek dokuczać, chociaż dotąd było przyjemnie i niezbyt gorąco. Po kilkugodzinnym postoju wyruszyliśmy w dalszą drogę do ciekawego, a w historyczne zabytki bogatego miasta — St. Augustine.

Miasto — w darze ofiarowane św. Augustynowi — przez pobożnych, ale niemniej na cudze mienie łapczywych Hiszpanów, — szczyci się tym, że jest najstarsze wśród wszystkich miast Stanów Zjednoczonych. Leży nad oceanem, jakie trzydzieści mil na południe od Jacksonville. Ponieważ tu się spotyka więcej starych zabytków, stare bramy, stare domy, stare pomniki i historyczne pamiątki, więc też z przyjemnością tu się zatrzymaliśmy, by to zwiedzić, a ewentualnie ważniejsze obiekty opisać.

Jedną z głównych atrakcyj to — "Źródło Młodości" — "The Fountain of Youth." A że już kilka lat temu, przekroczyłem pięćdziesiątkę i do sześćdziesiątki się zbliżam, więc też, jak ów nieśmiertelny podróżnik i odkrywca — Ponce de Leon — skwapliwie szukam za źródłem, rzeką a nawet ... jakimiś odmładzającymi gruczołami Voronowa, byle tylko zachować, jeżeli nie młodzieńczą postać i cerę, to przynajmniej zdrowie i ochotę do pracy. Nawet Heród tak się skwapliwie o nowonarodzone Dzieciątko nie dopytywał, jak ja, o to słynne źródło, za którym, przeszło trzysta lat temu gonił Ponce de Leon.

Czemuż zresztą nie miał gonić? ... Słyszał od Indian, że na jakiejś nie znanej wyspie — "Bimmini" było źródło, posiadające te właściwości, że ludzie, co pili jego wody i w nim się kąpali, momentalnie nabywali młodzieńczego "pepu." A że to już, jak głosi popularna polska piosenka, — był "starszy pan," i to w dodatku ożeniony z młodą Hiszpanką, a wiadomo, że Hiszpanki to pono bardzo ogniste kobiety, więc też biedak znalazł się w opałach. Nic więc dziwnego, że w Havanie wyekwipował parę okrętów i zaczął gonić po morzach i zatokach, szukając owego zaczarowanego źródła. Tu go losy zapędziły. Znalazł wprawdzie źródło dobrej, smacznej wody, założył tu nawet osadę hiszpańską. A ponieważ to czupurne Hiszpany były, więc też zaczęły się bić z tutejszymi Indianami. Biedny Ponce de Leon nietylko że wigoru i sił młodzieńczych nie odzyskał, ale otrzymał postrzał w biodro. Rannego odwieźli do Havany i tam z tej rany umarł, a zapewne jakiś młodszy jegomość pocieszał młodą wdowę. Niech to będzie przestrogą dla tych czytelników, którzy będąc już w podeszłym wieku, do młodych dziewcząt podeszwy smalą.

Szeroką drogą, wysadzaną palmami, zajechaliśmy do małego parku, tuż nad morzem, aby zobaczyć to źródło i skosztować jego "odmładzających" wód. W małej altance jest studnia, z której każdemu gościowi za darmo dają szklankę wody z tym zapewnieniem, że każdy kto się napije wody z tej studni czy źródła, znów wróci do Florydy. Na to się całkowicie godzę. Jestem święcie przekonany, że z każdym to się stanie, co ze mną, bo już w styczniu tu wróciłem i tę część książki — o Florydzie — pisałem w Clear Water, nad zatoką Meksykańską.

Pisząc o Florydzie, łączę wrażenia z podróży letniej jakoteż z mego całomiesięcznego pobytu — zimą. Gdy miasta nad rzeką Ohio tonęły w niebywałej powodzi — tutejsza ludność i turyści wygrzewali się na plażach — słonecznej Florydy.

Najlepszą antytezą "odmładzającego" źródła jest — indiański cmentarz, w odległości stu kroków od powyżej wspomnianej studni. Przypadkowo nań natrafiono przy robotach niwelacyjnych. Odkopano tylko mały skrawek tego starego cmentarzyska, a szkielety w nim złożone pociągnięto jakimś płynem, aby kości zachować przed zepsuciem. Jest to jakiś niezwykły, makabryczny widok. Wchodzisz do dużego półkola, otoczonego palisadą i patrzysz na setki indiańskich kośćców. Mając jakie takie pojęcie o anatomii, rozeznajesz odrazu szkielety starców, dzieci, mężczyzn i niewiast. Zwracałem uwagę na szczęki i zęby. Chociaż, jak twierdzą uczeni, cmentarz liczy od trzystu do czterystu lat, mimo to kości dzieci i starszych, szczególnie szczęki i zęby dobrze się konserwują. Widać, że Indianie także cierpieli na ból zębów, może nawet mieli dentystów, co rwali zęby — "bez bólu." Tylko w to wątpię, bo i ja w tych sprawach mam bardzo gruntowne doświadczenie.

Pomnik - Ponce de Leona -

Ponieważ — jak głosi tradycja— tu wylądował Ponce de Leon, pierwszy biały odkrywca ziemi, tworzącej część Stanów Zjednoczonych, więc też wszystko chciałem dokumentnie obejrzeć i — spenetrować. W małym parku, blisko wody, zbudowano niewielki pomnik i umieszczono na nim tablicę pamiątkową.

W pobliżu cmentarza natrafiłem na małą kapliczkę, zbudowaną sumptem biskupa Curley'a, na miejscu, w którym Hiszpanie postawili pierwszy kościółek. Co mnie szczególnie uderzyło — to sam tytuł tej niewielkiej w stylu hiszpańskim kapliczki. Nosi ona miano: "Santa Maria de Leche" czyli — "Matka Boska Mleczna." Słyszałem już o Matce Boskiej "płaczącej" i "śmiejącej się," "śnieżnej," "gietrzwałdskiej" itp., ale o Matce Boskiej — "mlecznej" — tom jeszcze nie słyszał i dopiero czytając tablicę na kaplicy umieszczoną, dowiedziałem się, że takie miano nosił, — może pierwszy dom Boży — na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Miasto St. Augustine było kiedyś otoczone murem i posiadało piękne bramy wjazdowe. Warowne mury już dawno rozebrano, a pozostały tylko stare bramy. Chociaż to już jest miasto nowoczesne, jednakowoż tu i tam znajdziesz jakiś stary dom, szkołę czy inny budyneczek, sięgający setki lat wstecz. We śródmieściu widnieje mały obelisk tonący w cieniu drzew — to pamiątka nadania tutejszym mieszkańcom przez rząd hiszpański, przed stu pięćdziesięciu laty konstytucji, czy wolności. Dla podtrzymania dawnych tradycyj, obwożą po mieście turystów konnymi powozami, a stangreci także mają jakieś starożytne umundurowanie. Nie korzystałem jednak z tej przejażdżki, bo "dryndą" lubię jeździć tylko w Warszawie i zawsze, o ile czas mi pozwalał, tylko taką dorożką jeździłem, bo to dla mnie miało zawsze nadzwyczajny urok.

Zauważyłem przy głównej drodze okrągły kamień w formie globu. Poinformowano mnie, że ten pomnik znaczy początek kiedyś słynnej drogi — "The Spanish Trail" — czyli "trakt hiszpański." Ciągnie się od miasta św. Augustyna przez północną część stanu Florydy do Mobile, Ala., a stamtąd wzdłuż zatoki do Nowego Orleanu w Louisianie a następnie przez Teksas, New Meksyk, Aryzonę aż hen — do Kalifornii. Tą, jedną z najstarszych dróg w Stanach Zjednoczonych ciągnęły zbrojne wyprawy hiszpańskich odkrywców; tędy na piechotę, w trudzie i znoju szli gorliwi zakonnicy franciszkańscy, by głosić naukę Chrystusową wśród dzikich plemion; tędy maszerowały wojska konfederatów, unistów, Anglików, Hiszpanów, Francuzów, jednym słowem, sączyła się cała historia stanów południowych. Teraz — wspaniałą, betonową autostradą pędzą nowoczesne auta. My także nią pojedziemy.

Chcę także zwiedzić i w kilku zdaniach opisać jeszcze jeden stary a ciekawy zabytek, mianowicie — fort Marion.

— Co?...Znowu będziemy jakąś starą ruderę oglądali? Albo to my jakaś komisja wojskowa, — pomyśli niejeden z czytelników, — abyśmy się po starych twierdzach i lochach fortecznych włóczyli?!..

— Macie najzupełniejszą słuszność. Boć dotąd, co chwila o jakiś

stary fort zahaczyłem, myślałby ktoś, że nic innego nie mamy — w Stanach Zjednoczonych — tylko fortece!

To mi na myśl nasuwa bardzo ciekawą a poniekąd wesołą przygodę, którą wam tu opowiem.

W Waszyngtonie, kilka lat temu, był zjazd Tow. Najsłodszego Imienia Jezuzs, wielkiej katolickiej organizacji.

Po skończonych obradach urządzono bardzo solenną, imponującą procesję. Na czele szli — jak zwykle — arcybiskupi i biskupi, następnie wielki poczet prałatów i innych mniejszych dygnitarzy kościelnych, za nimi długie kolumny księży świeckich i zakonnych, zwarte szeregi zakonnic w barwnych habitach, po nich nieskończone falangi towarzystw męskich, żeńskich i . . . nijakich, w odznakach i mundurach, z rozwiniętymi sztandarami i chorągwiami. Wprost imponujący był widok.

Między tysiącami widzów, stojącymi po obu stronach słynnej Pennsylvania Ave. i przypatrującymi się tej procesji, byli także dwaj kongresmani. Już parę godzin patrzeli i nie mogli się doczekać końca procesji. Nareszcie jeden, zniecierpliwiony tym widowiskiem, mówi swemu koledze:

— "Dziohn — nie myślałem, że w Ameryce mamy tylu katolików?. . .

— To nic — odpowiada jego przyjaciel — ci, których widzisz — to są tylko tacy, co nie klną; ale gdybyś ty zobaczył tych drugich zbereźników, to by dopiero była parada. Ta by się ani za miesiąc nie skończyła.

To samo z naszymi fortami. Dotąd zwiedziliśmy tylko ważniejsze, historyczne, niby te, co są po drodze. Pozatym mamy jeszcze ogromną ilość tych ruder. Wypada nadmienić, że gdy pierwsi pionierzy wdzierali się w głąb kraju, nasamprzód budowali fortecę z kamieni czy z bierwion, aby się mogli w niej schronić przed napaścią Indian czy innych nieprzyjaciół.

Jednak nie poprowadzę was do tej najciekawszej fortecy, we Florydzie fort Jefferson, zbudowanej na małej wysepce, — Dry Tortugas — kilkadziesiąt mil na południe od miasteczka Key West. Rząd amerykański, jeszcze przed wojną domową wywalił tu fort, jak się patrzy. Tyle wydał pieniędzy, iż złośliwi krytycy zarzucali kontraktorom, że każda cegła w grubych a wysokich murach kosztowała co najmniej po dolarze sztuka. Forteca już dawno straciła swą strategiczną wartość, a nawet, chcąc prawdę powiedzieć, nigdy jej nie posiadała. Teraz rząd ją przerobił na — "pomnik narodowy."

Podczas wojny domowej służyła za więzienie dla pojmanych żołnierzy z armii południowców. Głębokie fosy forteczne napełniono rekinami. . . Nikt nie mógł się stąd wydostać, bo jeżeli go nie trafiła kula strażnika, to napewno — połknęły go ludojady (sharks). Przez

kilka lat po wojnie domowej w tym forcie więziono doktora Mudd. Powód jego ciężkiej kary więziennej był ten: że po zamordowaniu prezydenta Lincolna, o czym on nawet nie wiedział, przyprowadzono w nocy do jego mieszkania człowieka ze złamaną nogą. (Aktor Wilkes Booth po strzale do prezydenta, skacząc ze sceny złamał nogę, mimoto zdołał uciec przed pogonią). Otóż doktór Mudd nie wiedząc o tym, że ma z mordercą do czynienia, zestawił mu nogę. Za parę godzin nadjechała pogoń w pościgu za zbrodniarzem. W domu doktora znaleziono rozpruty but nieszczęsnego mordercy. Zabrano lekarza, który nogę kalece zestawił, i skazano go na dożywotnie więzienie w tej twierdzy.

Do straszliwych, tropikalnych upałów panujących latem na tych małych wysepkach, przyłączyła się straszna zaraza — żółtej febry. Nie wiedziano wtenczas, że komary roznosiły zarazki tej niebezpiecznej choroby. W bardzo krótkim czasie żółta febra zdziesiątkowała więźniów, załogę, a nawet komendę fortecy-więzienia. Nawet lekarz garnizonowy padł jej ofiarą. Okręty z opatrunkami i żywnością bały się zbliżyć do fortu, w którym śmierć niepodzielnie panowała. Komendant warowni przypomniał sobie, że w lochach twierdzy znajduje się doktór Mudd. Posłał po niego i polecił mu, aby się zajął chorymi. Niezmordowanie i z wielkim trudem pracował niewinny skazaniec, niosąc ratunek tak garnizonowi jak i więźniom, którzy się w tej straszliwej twierdzy na onczas znajdowali. Gdy nadeszły przymrozki i znikły komary, zniknęła z nimi także — żółta febra.

Dopiero podczas wojny z Hiszpanią dowiedzieli się nasi doktorzy, że tylko pewien gatunek komarów, przez ukąszenie, szerzył tę fatalną chorobę. Po ustaleniu tego faktu, wstrzymano tak dotąd śmiertelne epidemie żółtej febry, przez osuszanie moczarów i tępienie zaraźliwych komarów. Po kilku latach niesłusznego więzienia, z uwzględnieniem jego niezwykłej pracy w niesieniu pomocy chorym, uwolniono doktora Mudd'a. Film amerykański, "The Prisoner of Shark Island," jest osnuty na tym prawdziwym zdarzeniu.

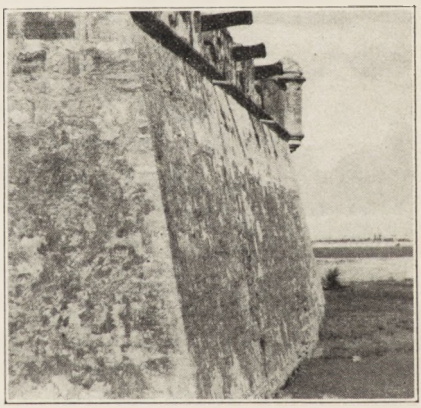

Fort Marion

Ale wróćmy do naszego małego, cacanego, starannie utrzymywanego — Fort Marion. Nosi on miano jednego z dzielnych bohaterów naszej walki o niepodległość, który grasując ze swymi oddziałami w stanach południowych, wojną podjazdową dużo krwi napsuł Anglikom.

Forteczkę zbudowano z twardej, a na zmiany temperatury i klimatu odpornej skały, zwanej — "coquina." Jest to właściwie jak kamień stwardniały piasek morski, zawierający w sobie ogromny procent muszli i wszelkich morskich żyjątek. Nie przypuszczam, że mur zbudowany z tej twardej masy wytrzymałby tyle co granit, beton a nawet dobra cegła, ale w każdym razie twierdza stoi kopę lat i wcale na ruinę nie wygląda. Pierwsze twierdze — Matanzas i Caroline — zbudowali Hiszpanie i Francuzi, — na małej wyspie, parę mil za miastem. Miały bronić tej najstarszej osady w Stanach Zjednoczonych przed okrętami nieprzyjacielskimi. Z "krwawego" fortu Matanzas pozostała tylko kupa ruin.

W roku 1564-tym, a więc blisko sześćdziesiąt lat przed przybyciem pierwszych kolonistów angielskich do Jamestown i Plymouth (koło Bostonu) Francuzi i Hiszpanie już gospodarowali we Florydzie. Francuzi pod wodzą Rene de Laudonniera, w roku 1564-tym, założyli osadę Hugonotów przy ujściu rzeki St. John, kilkanaście mil od miasta Jacksonville. Z ostrokołów zbudowali małą twierdzę ku obronie przed Indianami, ewentualnie i przed Hiszpanami. Ci bowiem, jako pierwsi odkrywcy, uważali tę połać kraju za kolonię hiszpańską. W sierpniu 1565-go roku, Jean Ribault przywiózł tu trzystu kolonistów, by wzmocnić tutejszą osadę francuską.

Równocześnie przypłynął do przystani z silną flotą wojenną dowódca hiszpański, Pedro Menedez de Aviles. Celem jego wyprawy było zniszczenie osady Hugonotów. Wojsko hiszpańskie wylądowało w miejscu, gdzie się teraz znajduje fort Marion i miasto St. Augustine. Hiszpan niespodzianie zaatakował osadę francuską i szturmem zdobył twierdzę i osadę. Załogę i mieszkańców wymordował. Ci, co się schronili na okręty, także zginęli, albowiem w tym czasie zerwała się szalona burza na morzu. Hiszpanie uważali ją za wydatną pomoc Opatrzności Boskiej w walce z "luteranami." Flota francuska się rozproszyła. Jedne okręty się rozbiły i zatonęły, a inne, poważnie uszkodzone poddały się okrutnemu, ale w wierze "gorliwemu" Menendezowi. Obiecywał darować im życie, gdy atoli broń złożyli, wszystkich, jak baranów, powrozami związał i kazał powiesić. Nad ich mogiłą postawił tablicę z takim napisem: "Zniszczyliśmy ich nie jako Francuzów, ale jako luteranów."

Wieść o masakrze kolonii francuskiej przez arcygorliwych Hiszpanów nie wywołała wielkiego rozgłosu w Paryżu, boć tam także walczono z dyssydentami. Nawiasem mówiąc — była to straszna klęska i strata dla Francji — więc też rząd nie upomniał się za swymi poddanymi. Zato przyjaciel Ribault'a, Dominique de Gourges, potajemnie zorganizował silną wyprawę wojenną. W roku 1568-ym przypłynął niespodziewanie do osady hiszpańskiej i wraz z Indianami, którzy szczerze Hiszpanów znienawidzili, zdobył osadę i twierdzę San

Mateo. Bez pardonu wszystkich w pień wyciął. Na gruzach twierdzy i osady postawił tablicę z napisem:- "To wam uczyniłem, nie jako Hiszpanom, ale jako zdrajcom, bandytom i mordercom." Innymi słowy — odpłacił pięknym za nadobne. Jak zwykle, krwią pisano pierwsze karty historii "kwiecistej Florydy."

W St. Augustine znalazłoby się trochę "starzyzny," a więc; "najstarszy dom" tylko tych "najstarszych" jest kilka i nie wiadomo, któremu należy się pierwszeństwo; następnie jest "najstarsza" szkoła, najstarszy urząd itp. Puszczamy to wszystko kantem i ruszamy w dalszą podróż. Ślicznym mostem przeprawiamy się na drugą stronę zatoki.

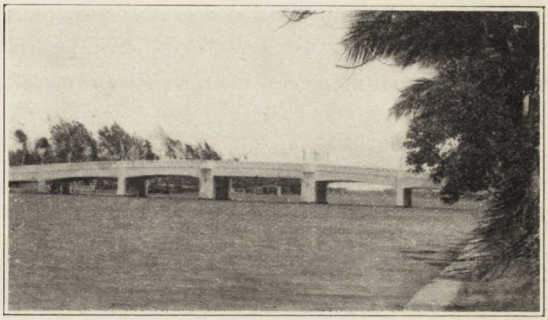

Most w St. Augustine

Może jakie półtorej mili za miastem zauważyłem dużą tablicę z oznajmieniem, że w pobliżu znajduje się "największa" na świecie ferma krokodyli, a właściwie aligatorów. Między tymi dwoma płazami czy gadami, bo nawet sam nie wiem do której klasy te straszliwe twory zaliczyć wypada — jest bardzo bliskie pokrewieństwo. Dla wielu ludzi krokodyl i aligator są jednem i tem samem zwierzęciem. W każdym razie krokodyl ma inaczej zbudowaną szczękę, wewnątrz uzbrojoną silnymi a ostrymi zębami. Aligator zaś ma zęby więcej na zewnątrz i paszczękę bardziej zaokrągloną. Twierdzą, że krokodyl jest niebezpieczniejszy i nie boi się "ani ludzi, ani diabła." Wątpię, aby diabeł interesował się krokodylami, ale zato radziłbym każdemu nawet najzacieklejszemu krokodylowi, aby się miał na ostrożności przed ludźmi, bo ci z największą przyjemnością polują na krokodyle i aligatory. Gdyby rząd się w to nie wmieszał i tych zwierząt opieką swą nie otoczył, to by już dawno znaku po nich nie pozostało.

Zajechaliśmy przed dużą, szeroką szopę, otoczoną sosnami i palmami; tu bowiem jest ta "największa na świecie" ferma aligatorów. Przy wejściu znajduje się duży sklep z wyrobami ze skóry aligatorów i ... grzechotników. Można tu nabyć bardzo bogate i kosztowne, przytym zawsze modne torebki damskie ze skóry tych napozór obrzydliwych gadów. Jeżeli cię stać na to, możesz tu kupić walizy i wszelkiego gatunku torby podróżne, buciki damskie, portmonetki, paski i artystyczne przedmioty ze skóry aligatorów robione. Wszystko bardzo ładne, i ... bardzo drogie.

Zapłaciliśmy po "kwodrze" wstępnego (25 centów — "kwoder"

quarter znaczy — ćwierć) i weszliśmy do dużej sali, w której na ścianach pozawieszano najrozmaitsze okazy ryb złowionych w wodach florydeńskich. Czego tu nie było! Zacząwszy od potężnych wielorybów, ludojadów, barakudów, straszliwych "jew fish'ów" (dosłownie — ryba żydowska) aż do małych, smacznych rybek żyjących w tutejszych rzekach i jeziorach. Pod każdym okazem umieszczono małą kartkę z opisem życiorysu, gatunku i pożytku danej ryby. Jeżeli ludzie od nich stronią, pewnych gatunków nie jedzą, to tysiące aligatorów z apetytem je połykają, pod tym względem wcale nie są wybredne.

Duży, pucułowaty murzyn, którego beztroska, nalana, bezmyślna, a jednak sympatyczna twarz przypominała dobrze wypucowany bucik, oprowadził nas po tej ciekawej fermie. Ferma obejmuje jeden miejski kwadrat, podzielony na rozmaite sekcje. Duże, trzystoletnie okazy aligatorów i krokodyli miały osobne przedziały i koryta z wodą, w których się mogły chłodzić i .. kąpać. Jeden rzadki okaz był biały — albino, inny zaś nie miał ogona, zato aż pięć nóg; inny znów bardzo duży krokodyl nie cieszy się zbyt dobrą opinią. Uważają go, za "najgorszego i najniebezpieczniejszego krokodyla w całej Florydzie." Ma to być zbrodniarz, który własną towarzyszkę życia, w nocy, w bardzo okrutny sposób zamordował. Po pewnym czasie dali mu drugą — "żonę" i tę także straszliwie zmasakrował. Myślałem, że to tylko niektórzy mężowie swe żony tak traktują, a tu nawet wśród aligatorów takiego gałgana znalazłem. Teraz mieszka "osobno" i życie spędza spokojnie ... na rozmyślaniu. Czasem tylko rozdziawi paszczękę najeżoną zębami, wzdyma się niby miech kowalski i z gardzieli wydaje przeraźliwy syk. Nie chciałbym takiemu ręki czy nogi wsadzić do tej straszliwej paszczy.

Krokodyle i aligatory żyją bardzo długo. Niektóre z tutejszych okazów mają ponad trzysta lat, ale, czy można się temu dziwić?! ... Bynajmniej. Murzyn z pewnym humorem opowiadał, że to są urzędnicy państwowi, bo nic nie robią i tylko śpią. Nawet zbyt często oddychać nie potrzebują, gdyż aligator może wytrzymać pod wodą trzy godziny, a ludzie — zaledwo parę minut. Taki zwierz leży godzinami na słońcu, niby kłoda, ale gdy przyniosą kosz ryb czy sztukę mięsa, nawet bez chrzanu, odrazu wstępuje w niego jakaś nadzwyczajna energia i pośpiech.

Nie będę się tu zbytnio rozwodził nad życiem krokodyli i aligatorów, boć w każdej uczciwej zoologii czy encyklopedii znajdziecie ich "biografie." Tu tylko chce zawołać jak ów filozof czy poeta o mrówce!: — "Leniwcze! idź do krokodyla i popatrz na ... prawdziwego lenia, gorszego od ciebie. Stworzył go Pan Bóg tak wielkim leniem, że nawet zbyt często jeść nie potrzebuje a oddycha — co trzy godziny."

Ponieważ cały wschodni brzeg Florydy stanowi jedno nieprzerwane pasmo mniejszych i większych, bogatszych i biedniejszych plaży morskich, a nas na razie nie interesujących, więc też skręcamy w głąb kraju, aby się cośkolwiek zapoznać z bardziej malowniczą częścią tego olbrzymiego — zimowiska. Ze St. Augustine puściliśmy się ku śródkowi Florydy do miasta Palatka, położonego nad szeroką, spławną rzeką St. John. Tu już napotykamy więcej ogrodów warzywnych, trochę ferm, lasów sosnowych i tartaków.

Przy drodze zauważyliśmy obszerną szopę, a stosy beczek i dolatująca woń terpentyny zapewniły nas, że to dystylarnia terpentyny — tego cudownego środka na — "przyspieszenie ruchu." Poszliśmy zwiedzić to dla nas nieznane, a w stanach południowych bardzo rozpowszechnione przedsiębiorstwo.

Refineria terpentyny

Dystylarnia polega na dużym kotle, do którego zlewają płyn, wydobywany z żółtych sosen. Parę, unoszącą się z kotła, skraplają zapomocą retorty, chłodzonej zimną wodą, i spuszczają do przygotowanych beczek, a po stwardnieniu staje się żywicą, używaną do wyrobu papieru, mydła i pewnych gatunków smoły.

Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje murzyn, zakładający obręcze na beczki. Powiedziałbym, że to była — czarna symfonia. Nic nie miał w ręce prócz młotka i tępego żelaznego dłuta. Nabijał nim stalowe obręcze na beczki, a jednak z przyjemnością wsłuchiwałem się w takt i tempo jego uderzeń. Co chwila je zmieniał, niczym najwprawniejszy dobosz. Gładko i sprawnie szła mu robota, gdyż ją sobie urozmaicał harmonijnym tempem swych uderzeń. Chciałbym jeszcze kiedy jechać koło tej dystylarni i chwilkę przysłuchiwać się rytmicznym a wciąż w takt zmienianym uderzeniom młota tego niepospolitego rozśpiewanego murzyna. Zapewne miał więcej poczucia dla muzyki, aniżeli wiele z naszych dam, co przystrojone w brylanty zajmują loże w operach, jedynie po to, aby się pokazać w nowej sukni, aby błyszczeć przepychem, aby migotać brylantami, a o muzyce, o harmonii nie mają najmniejszego pojęcia. Ci co prawdziwie delektują się śpiewem, częstokroć siedzą na ostatnich miejscach — "w murzyńskim niebie," (nigger heaven) ci zaś, co się nie znają na artyzmie są — na pierwszym miejscu.

Za niespełna pół godziny dojechaliśmy do miasteczka Palatka, położonego nad szeroką, spławną rzeką St. John. Wspaniały most, zbudowany ku czci tutejszych weteranów wojny światowej, łączy

przedmieście East Palatka z Palatką. Twierdzą tutejsi mieszkańcy, że szeroka a głęboka rzeka ze swymi licznymi dopływami i jeziorami jest istnym rajem dla rybaków. Masz tu do wyboru przeróżne gatunki ryb, żółwi, trujących żmij wodnych (mocassin) a nawet — jeżeli ci na tym zależy — to i krokodyla napotkasz. Lubię rybołówstwo i kiedyś z namiejętnością ten sport uprawiałem, ale jestem cośkolwieczek wybredny i tylko jeziora Minnesoty lub Wisconsynu mogą mnie do tego sportu zwabić. Liczne tartaki, ogromne kupy desek świadczą, że jesteśmy w środowisku drzewa budulcowego. Widzieliśmy daleko większe, więc też po zwiedzeniu głównej dzielnicy zawracamy ku oceanowi; następnym postojem ma być polska osada — Korona — w pobliżu większego miasta Daytona Beach, położonego nad Oceanem Atlantyckim. Palatka słynie ze swych parków i pięknych azalii.

Jechaliśmy do Korony z tym większym pospiechem dlatego, że ks. Wojcieszczuk ma tam swych starych znajomych i przyjaciół, którzy za jego studenckich czasów okazali mu dużo życzliwości. Więc też zawczasu powiadomił pana Domańskiego, że tam wstąpimy i na krótki czas się zatrzymamy.

Hotel "Białego Orła" w Korona

Ta słynna, polska Korona, składa się ze stacji kolejowej, na której jednak bardzo rzadko pociągi się zatrzymują, z małej poczty, przyzwoitego hoteliku "Białego Orła," małego kościółka, nieodzownej — gasoline station — czyli sklepiku, w którym można się było zaopatrzyć w niezbędną gazolinę i przybory samochodowe; kilka domków mieszkalnych i ... r ic więcej.

Kto i kiedy tę naszą Koronę założył, czy zbudował, powiedzieć nie mogę, chociaż słyszałem o niej dosyć dawno. Zamieszkuje tu kilkadziesiąt rodzin polskich. Niektórzy z rodaków trudnią się hodowlą drobiu, inni sadzą jarzyny i kartofle, które się tu nawet nie źle obradzają, a reszta — bieduje jak może. Wśród tej niewielkiej osady duchowo pracował ks. Ratka, dawny kolega szkolny, następnie ks. Bączyk tu się przeniósł z mroźnej Minnesoty, a gdy wybuchła wojna światowa, wstąpił jako kapelan do armii amerykańskiej. Po wojnie już tu nie wrócił. Teraz małą parafijką zawiaduje ks. Hoffman. Zamieszkuje w Daytona i tu tylko dojeżdża. Zdaje się, że tak pod względem religijnym jak narodowym i politycznym ta mała grupka naszych pionierów składająca się z 30-tu kilku rodzin jest podzielona na małe partie i partyjki, więc też dotąd niczego na większą skalę tu nie dokonano.

Jest to typowa okolica północnej Florydy. Ziemia piaszczysta, pokryta lasem żółtych sosen, z których wydobywają sok drzewny przerabiany w dystylarniach na terpentynę. Wśród niewielkich i dosyć przerzedzonych drzew rosną małe, szerokolistne, niskie palmy zwane— palmettos. Mówił mi nasz miły gospodarz, że tam, gdzie rosną duże "palmetty," ziemia jest urodzajniejsza, a tam gdzie ich mało, to bardzo jałowa i nieodpowiednia na uprawę jarzyn lub owoców. Drzew pomarańczowych tu nie zauważyłem, gdyż podczas zimy w tych okolicach panują niekiedy dosyć silne przymrozki. Wystarczy, aby mróz trwał kilka godzin, a straty wśród hodowców owoców cytrusowych wynoszą wiele tysięcy dolarów. Niektórzy z tutejszych polskich osadników zajmują się hodowlą drobiu i robią na tym jakie takie życie. Nie wiem dlaczego, ale hodowla drobiu chociaż tu ziemie lekkie, klimat ciepły nie jest tak rozwinięta, jakby się tego należało spodziewać. Objechałem całą Florydę ale nigdzie nie napotykałem ani tych krów rasowych, ani tych ogromnych kurzalni, jakie się spotyka w okolicach Nowego Jorku, czy też w innych stanach. Widać, że coś stoi na przeszkodzie, gdyż wiem, że bardzo dużo drobiu i jaj sprowadzają do Florydy ze stanów północno-zachodnich, a nawet aż hen z odległej Kalifornii. Będąc na wystawie stanowej w Tampa, dowiedziałem się, że plagą tutejszych rolników jest — mucha. Składa swe jajka w jakiejkolwiek, nawet najmniejszej ranie zwierzęcia czy ptaka. Lęgnące się poczwarki "screw worms" poprostu żywcem toczą swą ofiarę.

Z iście staropolską gościnnością podejmowali nas mili a siwi, jak para gołąbków, staruszkowie, państwo Domańscy. Pan Bronisław zbudował rodzaj bramy triumfalnej, ozdobionej w girlandy z kwiatów z napisem: WITAMY! Wyszedł na nasze spotkanie, gdyż z pewną niecierpliwością oczekiwał naszego przyjazdu. Tysiąc mil przejechaliśmy, by wśród tych piasków i sosen trafić na "swoich" i chociaż kilka godzin spędzić na miłej pogawędce. Gdy pani domu krzątała się przy kuchni, on nam opowiadał swe przejścia. Dowiedziałem się więc, że od wielu lat pracował przy żelazie, we fabrykach samochodów, w Detroit. Jako kowal, dobrze zarabiał. A że to ludzie oszczędni, więc też sobie uciułali małą sumkę, mieli własny dom i wcale dobrze im się powodziło. Niestety p. Domański zaczął szwankować na zdrowiu; a gdy lekarz go "pocieszył" tym, że już długo "nie pociągnie", trochę zmartwiony wrócił do domu i powiada swej żonie: "Matka, sprzedamy chałupę, zabierzemy trochę naszych oszczędności i pojedziemy do Florydy". I tak zrobił. Zabrali trochę ubrania, gotówki, a na drogę — porządną porcję polskiej kiełbasy i razowego chleba i wio do Florydy. Gdy dojechali do Indiany, jak mi opowiadał miły gospodarz, już mu było lepiej, z apetytem zjadł porcję kiełbasy z chlebem i zaraz przybrał na siłach i na fantazji.

Gdy już dotarli do cieplejszych okolic, całkiem wyzdrowiał, nabył apetytu i tak z humorem, którego dotąd nie stracił i z odzyskanym zdrowiem zajechał do Florydy. Tu postawił wygodny domek, ma kawałek lasu i niewielką fermę; hoduje trochę kur i jarzyn dla swego użytku. Żyją spokojnie i bez troski. Nawet mnie wzięła chętka wystawić tu sobie jaką chałupinę, a p. Domański z największą ochotą chciał mi kawał lasu odstąpić, ale dotąd nie skorzystałem z jego oferty.

Pani Feddema, współtowarzyszka podróży, korzystając z darzącej się okazji, zabrała się do prania bielizny, my zaś odwiedziliśmy naszego hotelistę p. B. Trojanowskiego. Tu znów miałem bardzo miłą niespodziankę, bo po raz pierwszy, od czterdziestu lat, spotkałem mego kolegę szkolnego — ks. M. Polaskiego, który tu przybył dla poratowania zdrowia. Przez wiele lat był proboszczem polskiej parafii w Oil City w Pennsylwanii, niedaleko Pittsburga. Więc znów przy szklance piwa poczęliśmy sobie opowiadać nasze życiowe przygody i przejścia...

Parafianie tutejsi przybudowali, tuż obok zakrystyi, dwa małe pokoiki, służące na mieszkanie księdza, który tu przyjeżdża na niedzielę. Więc też na polecenie ks. Hoffmana zakwaterowaliśmy się w tej miniaturowej plebanijce, składającej się z dwóch niewielkich, ale z komfortem urządzonych pokoików. Spaliśmy z ks. Wojcieszczukiem w jednym, niezbyt szerokim łóżeczku, wspominając sobie te czasy, gdym go pojechał odwiedzić na froncie, gdzieś koło Nancy. Tam zaś kwaterowaliśmy u jakiegoś francuskiego proboszcza, który z konieczności odstąpił jedną stancję swej niewielkiej plebanijki kapelanom wojsk polskich.

Polski kościół w Korona

Rano już wszystko było gotowe do dalszej podróży. Bielizna pod wprawną ręką naszego — "ministra spraw wewnętrznych" była nietylko wyprana, ale wyprasowana i do odpowiednich walizek zapakowana. Po sutym śniadaniu i prowiantach szczodrze udzielonych przez miłą Ewę Domańską, panią domu, ruszyliśmy w dalszą podróż, wynosząc jak najmilsze wspomnienia z krótkiego pobytu w polskiej osadzie we Florydzie.

ROZDZIAŁ VIII

## Daytona - Orlando - "Śpiewająca Wieża" - Miami.

Jedną z najsłynniejszych plaży morskich jest Daytona Beach w pobliżu miłego miasteczka Daytona. Nie mam tu na względzie szablonowych rezydencyj bogaczy, tonących w zieleni palm, w kobiercach "płomiennego" powoju — bigonia venusta — koloru pomarańczowego, który, z daleka robi wrażenie ognistych płomyków, pnących się po ścianach, piazzach lub drzewach Florydy. Raczej, sam brzeg morski ciągnie ku sobie samochodowego turystę. Gdzież bowiem znajdziesz autostradę więcej niż 800 stóp szeroką, co kilka godzin szorowaną i zrównywaną przypływem i odpływem oceanu?!.. żaden beton nie jest tak równy, tak twardy, jak ów niezwykły, równy, szeroki i kilkanaście mil długi brzeg morski. To nie jest zwykły piasek; to miał — tworzony przez niespokojny ocean. Ten olbrzymi młyn, miele i miażdży przeróżne muszle i wodne inkrustacje, tworząc z nich jedną z najciekawszych plaży morskich. Każdy amator szybkiej jazdy tu znajduje pole do popisów i może pędzić na złamanie karku. Na tej plaży, kilku z angielskich ekspertów ustaliło światowe rekordy szybkości. Specjalnej konstrukcji auta, sprowadzone przez nich z Anglii, pędziły tu z szybkością przeszło 320 mil na godzinę.

Samo miasteczko, liczące jakieś dwadzieścia tysięcy mieszkańców jest całkowicie oddane na usługi turystów. Pełno wygodnych hoteli, kabin turystycznych, stacyj na gazolinę. Turysta przybywający pociągiem, aeroplanem, samochodem, czy też "trailerem," znajdzie tu wszystko czego pragnie. Są tu więc nieodzowne pola do gry w golfa, plaże kąpielowe, łodzie rybackie, parki, ot taki mały, wymarzony raj ziemski, a tych mamy we Florydzie niezliczone mnóstwo. Masz wszystko, czego twa dusza zapragnie: od kościoła do sal tanecznych, od luksusu do skrajnej nędzy, od bogatych pałaców krezusów amerykańskich do biednych klitek murzyńskich. . .

Chcąc się jak najlepiej zapoznać z poszczególnymi częściami Florydy, postanowiłem kluczyć, niby zając, po całym stanie. Więc też z Daytony zawracam w głąb kraju. Jedziemy drogą Nr. 92 przez DeLand, Sanford, do pięknego miasteczka Orlando, stanowiącego centrum przemysłu owocowego. Wszędzie przy drogach napotyka się

sady drzew pomarańczowych, cytrynowych i grapefruitowych (owoc większy od pomarańczy, kwaskowaty, a bardzo przez Amerykanów lubiany.) Do tego jeszcze trzeba dołączyć drzewa, na których się złocą delikatne "tanżerynki," gatunek pomarańczy, zapewne sprowadzony z kolonii francuskich, z Północnej Afryki. Nawet nie wspominam soczystych, bardzo do małych pomarańczy podobnych cytryn i malutkich, złoto-żółtych, a nie większych od dużych oliwek — "cumquads." Te jedzą z łupiną, mającą smak i zapach pomarańczy, miąższ jej jest nieco słodkawy. Więc też każdy turysta wprost obżera się owocami cytrusowymi. Drzewa wydają owoce przez cały rok, obojętne, czy tu przyjedziesz zimą — najlepszy sezon na pomarańcze — czy latem, zawsze widzisz te niewielkie, zieleniutkie drzewa, pokryte okrągłymi, blado-zielonymi kulami smacznych owoców. Ponieważ przy hodowli tych owoców używają sztucznych nawozów, dlatego urodzaj jest znakomity, ma się rozumieć — o ile mrozy go nie zniszczą.

Przy drogach wystawiono liczne stragany z owocami i orzechami. Łakomią się na nie turyści, boć owoc smaczny i ceny przystępne. Gdy sklepikarzowi dasz dolara, to cię formalnie zawali worami najrozmaitszych owoców, a gdybyś mu pokazał pięciodolarowy banknot, wykupiłbyś niemal cały stragan. Pomyśleć tylko, że dwa lata temu, podczas Wszechświatowego Zjazdu w Warszawie, sprzedawano pomarańcze — złoty sztuka, czyli niemal nasze dwadzieścia pięć centów! Za te pieniądze dostaniesz we Florydzie dwa tuziny pierwszorzędnych pomarańcz. Za pół dolara możesz z drzewa zerwać korzec dojrzałego owocu. Mają tu dla wygody turystów już gotowe skrzynie i worki napełnione owocami; na przyczepionej kartce wypiszesz adres rodziny czy przyjaciół, zapłacisz kilkanaście centów za przesyłkę, a za kilkanaście godzin rodzina i przyjaciele delektują się tutejszymi słodyczami. Tego roku urodzaje są tak świetne, że wprost nie wiedzą, co z tym robić. Jednego strata jest drugiego zyskiem, tak samo z produkcją owoców cytrusowych. Niezwykłe mrozy w Kalifornii wyrządziły ogromne straty w zbiorach tamtejszym hodowcom pomarańcz. Dlatego ogrodnicy we Florydzie w tym roku zarobią miliony dolarów. Rząd jednak ściśle kontroluje w każdym dystrykcie wywóz owoców cytrusowych.

Gdy patrzę na ogromne, zielone kwadraty sadów cytrusowych, na ten złoty i żółty owoc, już nie mówię — ten co wisi na drzewach — ale na te stosy, leżące pod każdym drzewkiem, czego nikt nie zbiera, cóżby to była za uczta z tych "odpadków" dla polskich dzieci, gdyby mogły tu przyjść i zużyć to, co się niszczy. Toć tu wagony całe idą na marne. Niema co gadać — jesteśmy narodem bardzo rozrzutnym i nie wiemy, co znaczy — nędza. Jeżeli zaś mamy biedę, to jedynie

dlatego, że nasze ekonomiczne "trawienie" jest w nieporządku, bo jedni mają nadmiar, inni zaś odczuwają braki.(1)

We wszystkich większych miasteczkach, przy torach kolejowych, są duże składnice na owoce. Do tych szop zwożą pomarańcze olbrzymimi autami. Duże pudło na aucie może w sobie pomieścić parę set skrzyń. W składnicach owoc sortują, a częstokroć za pomocą sztucznych środków kolorują. Owoc przeznaczony na dalszy eksport jest zrywany, zanim całkowicie dojrzeje, gdy łupina jest jeszcze zielonkowata. Ażeby uczynić owoc bardziej apetycznym, pociągającym, nadają mu sztucznymi środkami "pomarańczowy" kolor. Prawo jednak wymaga, ażeby na każdej pomarańczy był wyciśnięty napis — "color added" — czyli — kolor dodano. Oczywiście, najsmaczniejszy owoc jest ten, który dojrzeje na drzewie i który, świeżo zerwany, na miejscu się spożywa.

W niektórych przetwórniach, tylko wyciskają i wlewają do blaszanych puszek sok pomarańczowy, grapefruitowy i inne, ponadto wyrabiają smaczną marmoladę i przeróżne konserwy. We Florydzie napotykałem także duże pasieki. Miód z kwiatu pomarańczowego jest bardzo poszukiwany przez wykwintnych smakoszów. Z grapefruitów robią teraz bardzo smaczne wina, w niczym nie ustępujące winom wyciskanym z winogron.

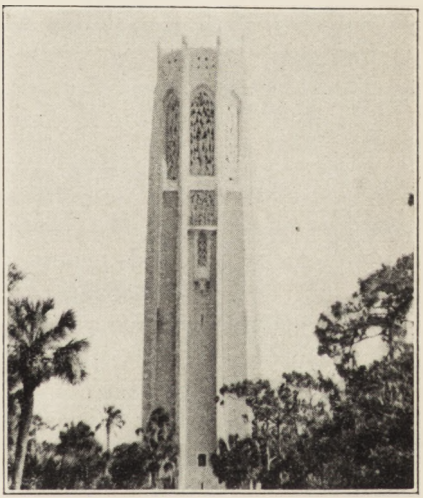

"Śpiewająca Wieża"

Chociaż hodowla owoców cytrusowych, jak również jarzyn, stanowi bardzo poważne źródło dochodów środkowej części stanu, nie pominięto jednakowoż tego najintratniejszego źródła zarobków — turystów. Wszędzie znajdziesz wspaniałe, wprost luksusowe hotele, otoczone palmami i sosnami. Przed hotelami zaś, ścielą się zielone kobierce trawników, obramowanych kwieciem, ścieżkami i drogami. Latem i zimą mieszkają w nich turyści. Jedni bowiem lubią plaże morskie, inni zaś wolą rzeki, jeziora, a także ciepły, suchy klimat środkowej Florydy, a więc jest: — co kto woli. Tak jednych, jak i drugich można tu z łatwością zadowolić.

Atrakcją, która mnie w te okolice ściągnęła, jest "śpiewająca

1. Tu znowu chcę zaznaczyć, że poraz wtóry wróciłem do Florydy w sezonie zimowym, na wypoczynek i tę część książki piszę nad zatoką Meksykańską w Clear Water.

wieża," zbudowana w pobliżu miasteczka Lake Wales. Na małym wzgórzu — 500 stóp nad poziomem morza — a jednak najwyższym punkcie w całej Florydzie, bogacz amerykański, z pochodzenia Holender, Pan Bok, zbudował tu wysoką wieżę w stylu gotyckim. Umieścił w niej carillon składający się z dzwonów zharmonizowanych z sobą kompletnie. W sezonie zimowym trzy razy na tydzień urządzają tu wspaniałe koncerty.

Nie można więc pominąć tego oryginalnego "pomnika," zbudowanego ku czci rodziców fundatora. Tę piękną wieżę architekci uważają, i to całkiem słusznie, za osobliwość, za coś nowego, oryginalnego, przytym z punktu artystycznego — ma to być istny "meistersztyk."

Włóczyliśmy się przez dłuższy czas po różnych drogach, wśród sadów pomarańczowych, wzdłuż pięknych jezior, nareszcie wydostaliśmy się na owo wzgórze. Służy ono także za sanctuarium dla ochrony najrozmaitszych gatunków tutejszego ptactwa. Całe wzgórze zamieniono na piękny park. Na tym pagórku posadzono kilkanaście gatunków sosen, rosnących przeważnie w stanach południowych, poza tym są tu aleje i zagajenia palmowe, a tuż przed samą wieżą — mały stawek z egzotyczną, tropikalną roślinnością. W stawie pluskają się złote rybki, a wśród lilij wodnych pływa najrozmaitsze ptactwo wodne, jak czerwone flamingi, ibisy, białe rajskie ptaki, o długich szyjach łabędzie, białe czaple i. t. p. Harmonijne połączenie południowej fauny i flory dodają tej miejscowości niezwykłego uroku.

Sto kilkadziesiąt stóp wysoką wieżę zbudowano w stylu gotyckim. Fundamenty są z różnobarwnych marmurów, na których wyrzeźbiono niezwykłe figury symboliczne. Na jednej ze ścian umieszczono ciekawy zegar słoneczny. Wyższe piętra ozdobiono bogatą polichromią i bogatą dekoracją. Wszystko tworzy bardzo artystyczną, miłą, a podziw wzbudzającą symetrię. Wzdłuż stawu, w którym, niby w lustrze, odbija się cała wieża, prowadzi ścieżka do dużych, bronzowych, bogato rzeźbionych drzwi. W sezonie letnim są jednak zamknięte. Fundator, Pan Bok, były redaktor wielkiego tygodnika "Ladies Home Journal," (cyrkulacja ponad dwa miliony egzemplarzy), urządził dla siebie kilka pokoi w tej wieży. Zwykle tu przebywał w porze zimowej. Z okien tego niezwykłego mieszkania miał przecudny widok na okoliczne sady cytrusowe, jeziora, rzeki i odległe miasteczka.

Jak zwykle, wszystko obejrzałem. Co mogłem — odfotografowałem, by czytelnikowi dać chociażby jakie takie pojęcie o tym wyjątkowym parku i niezwykłej wieży. Bok Singing Tower jest Mekką, do której rok rocznie spieszą dziesiątki tysięcy turystów, aby

ją oglądać, a czasem — by posłuchać niezwykłych koncertów, na jednym z najlepszych carillonów w Ameryce. Pono przypomina on tony carillonu znajdującego się we wieży antwerpskiej katedry, którymi się tak kiedyś zachwycałem.

Czeka nas jeszcze 70 mil drogi. Przed wieczorem trzeba przejechać przez bardzo monotonne niziny i bagniska t. zw. — "everglades." Ten ogromny a przytym bardzo urodzajny chociaż narazie bezużyteczny obszar, leży na poziomie morza. Trudno go osuszyć i jak należy zużytkować. Na tej ogromnej przestrzeni rosną kępy sosen, czasem drzewa cyprysowe, pozatym, gdzie okiem rzucisz, widzisz tylko ogromne obszary dzikiej trawy, a na nieco wyższych terenach — pęki palmettów. Niemal cała południowa część Florydy tworzy te niepospolite płaszczyzny. Od wieków na nich wyrastają i gniją palmy, lasy i przeróżne tropikalne rośliny. Tu jest — czarnoziem, głęboki na dziesiątki stóp. Z tym jednak bieda, że trudno go uprawiać. Tam gdzie zdołano przekopać ogromne rowy, tam gdzie pługi, ciągnione traktorami, przeorały ów niezwykły czarnoziem, rosną teraz najrozmaitsze jarzyny, szczególnie selery, kapusta, sałata, ananasy i inne liściaste rośliny. W niektórych okolicach plony przynoszą rolnikom setki dolarów zarobku od akra. A to dlatego, że ziemia jest bardzo urodzajna, klimat ciepły, deszczu dużo, przytym ceny wysokie. Z tych błot, w sezonie zimowym, dziennie wysyłają do stanów północnych setki wagonów świeżych jarzyn. Może już nie za naszych czasów, ale kiedyś ta błotnista część Florydy, której mieszkańcami są teraz krokodyle, ryby, jadowite węże, przeróżne tropikalne ptactwo i komary, stanie się najpiękniejszym ogrodem warzywnym na całej kuli ziemskiej. Część tych moczarów mają zamienić na park narodowy i stworzyć w nim wielkie sanctuarium dla roślinności i ptactwa. Już przeprowadzono kilka dobrych dróg, wykopano szereg ogromnych rowów do osuszenia tej niezwykłej połaci kraju.

Od Lake Wales do Vero Beach, tuż nad oceanem położonego, mamy jakie siedmdziesiąt mil drogi, wiodącej przez bagniste pustkowia. Ani tu wiosek, ani zajazdów, ani garażów, ani niczego nie napotykasz. Pospieszamy więc tą wąską, a miejscami niezbyt dobrą drogą. Rzadko kiedy napotykamy auta i turystów ale za to bardzo często wjeżdżaliśmy w fale deszczowe. Omijamy duże, bagniste jezioro Kissimmii, przejechaliśmy kilka szerokich kanałów, z rzadka zaś jakąś chałupinę zbudowaną na słupach, zapewne czyjąś kwaterę rybacką.

Z niekłamaną radością wjechaliśmy szerokimi ulicami, wysadzanymi palmami do plaży kąpielowej — Vero Beach. Z apetytem zjedliśmy kolację, w przyzwoitej restauracji. Specjałem wysoko i całkiem słusznie polecanym, była ryba — pampanao, kształtem przypominająca duże karasie, tylko oczywiście daleko smaczniejsza.

Począwszy kilka mil na południe, od Daytona Beach aż niemal do West Palm Beach, ciągnie się wzdłuż brzegu Florydy cieniutki pas wysepek. Wody oddzielające wyspy od lądu stałego, nieraz przeszło milę szerokie, nazywają — Indian River. W tej okolicy hodują najsmaczniejsze pomarańcze i owoce cytrusowe. Wszędzie rosną zieleniutkie drzewa cytrusowe. Ten pas owocowy ciągnący się wzdłuż oceanu sięga kilka mil w głąb kraju.

Park dżungli

Tuż za miasteczkiem Vero Beach, znajduje się bardzo ciekawy park — dżungla. To coś nowego. Nie spieszy mi się do dżungli, żeby mnie tam jakiś głodny krokodyl za nogę hapnął, albo trująca czarna żmija — mocassin — w piętę "pocałowała," ale taka uczciwa, starannie utrzymana dżungla... może być interesująca. Zatrzymaliśmy się więc u wejścia, bardzo miłego, a poniekąd oryginalnego parku. Przy bramie wjazdowej rosną — a teraz właśnie — kwitną, olbrzymie century plants, dosłownie "stuletnie rośliny." Jest to właściwie rodzaj kaktusa, zwanego — maguay. W Meksyko, bardzo intensywnie uprawiają tę roślinę, nie tyle dla kwiatów lub pożywienia, ale raczej dlatego, że z niej wydobywają słodkawy sok, który po dwudziesto-czterogodzinnej fermentacji przeistacza się w białawy, serwatkowatego smaku napój, zwany — pulque. On to właśnie zastępuje Meksykańczykom piwo. Ma pono porządnego "kika" czyli silny procent alkoholu, więc też ludzie się tym napozór niewinnym napojem "gazują" jak bele. Widocznie pijaństwo ma swych zwolenników na

całej kuli ziemskiej. Kaktus ten po wielu latach wypuszcza z siebie dużą łodygę, może jakie cztery lub sześć cali grubości i jakie dwadzieścia do trzydziestu stóp wysokości i dopiero u szczytu tej łodygi ukazują się pęki kwiatów. Po okwitnięciu, roślina umiera.

Oprowadzał nas po tej niezwykłej dżungli a bardzo bogatej w rozmaitość tropikalnej roślinności, nader sympatyczny Szwed, o popularnym nazwisku Johnson. Był to prawdziwy botanik, boć zresztą pochodzi z narodu, który nam dał jednego z najsłynniejszych botaników świata — Linneusza. Pokazywał nam przeróżne, rzadkie okazy palm, drzew bambusowych, drzewek gumowych, z których soku robią gumę czyli kauczuk, a którego niestety nie hodujemy w Stanach Zjednoczonych. Kauczuk sprowadzamy z Południowej Ameryki, Jawy i niektórych posiadłości angielskich. Anglia ma w swym ręku monopol i za kauczuk, ten tak dla nas niezbędny towar, każe sobie drogo płacić. Bez kauczuku, przepadłby przemysł samochodowy, bo nie byłoby z czego robić opon na koła.

Ile tu się widzi rzadkich, a bardzo pięknych drzew, krzewów kwiatami pokrytych roślin liściastych, nawet nie mogę opisać. Wiem tylko, że samych palm jest sto dwadzieścia gatunków. Miejscami przechodziliśmy wzdłuż pięknej rzeczułki, niemal całkowicie pokrytej liliami wodnymi o niezwykłych barwach, lub też patrzeliśmy na niebieskie kobierce wodnych hiacyntów. W małym stawku pluskały się przeróżne gatunki bogato-barwnych, tropikalnych ryb, a dla tym lepszego efektu, napotkaliśmy niewielkiego aligatora, który tu na stałe zamieszkiwał i w słońcu się wygrzewał. Aligatory i krokodyle, przynajmniej wiedzą tyle, że promienie słoneczne dobrze działają, a ich "delikatnej" skórze i cerze wcale nie szkodzą. Dzień cały leży jak kłoda, myślałbyś, że nieżywy lub śpi, ale niech się tam zjawi jakiś dla niego miły przysmak, w rodzaju ryby czy małego zwierzątka, to ten napozór niezgrabny gad wykazuje ogromną zwinność i ruchliwość. Żyje on przeważnie rybami i zwierzyną, którą sam sobie upoluje lub złowi.

Gdyśmy już mieli opuścić ten zaczarowany ogród, miły pan Johnson zerwał nam kilka dużych, okrągłych złoto-żółtych "grapefruitów" ...na drogę. My zaś, odpłacając się pięknym za nadobne, wręczyliśmy mu sowity napitek na uczciwą..."akwavit," ulubioną wódkę szwedzką.

Jedziemy teraz do — Miami, tej wielkiej Mekki turystów. Mijamy niezliczoną ilość małych miasteczek i plaży morskich, jak Fort Pierce, Stuart, bardzo modny i poniekąd ekskluzywny West Palm Beach. Miasto słynie z tego, że przy głównych ulicach rosną rzędy wysokich palm — royal palms.

Za miastem skręcamy na boczną, ale zato bardzo piękną drogę, chociaż może nie tak szeroką, jak główna autostrada. Po obu stronach drogi rosną długie rzędy palm, a że to dzień bardzo wietrzny, więc też wsłuchiwałem się w tak mi nieznany szum szerokich, a częstokroć suchych liści palmowych.

W małym gaiku szumiących palm, zatrzymaliśmy się na naszą zwykłą przekąskę. Państwo Domańscy z Korony dali nam na drogę kilka puszek szprotów. Tu, nad morzem, wśród poszumu palm, delektowaliśmy się tym specjałem. Polskie szporty idą świetnie w parze z amerykańską wódką. Nasz turystyczny przepis wymagał, aby zawsze przed zakąską "golnąć" po kieliszku, a ze szprotami, jako że to był importowany, w dodatku polski przysmak, więc trzeba go było uwenerować dwoma kieliszkami wódki. Wiatr dął doskonale i człek mógł sobie wyobrazić, co to za "uciecha," gdy w te okolice zawita uczciwy, południowy huragan. Gwałtowne wichury wyrywają drzewa, rozwalają tanią budowlaną tandetę, rzucając deskami i belkami, niby słomą, i powodują ogromne szkody. Ale dziś to tylko "wiatr od morza." Chwyciłem małego superikomata Zeissa i udało mi się niezłe zdjęcie tych pa'm szumiących.

Ulica w West Palm Beach

Może nie zawadzi, jeżeli miłych, czytających współtowarzyszy podróży wtajemniczę w pewne arkana cztero-miesięcznej tury. Gdy się zdala ukaże na horyzoncie okręt, płynący do nieznanego portu, każdy z zaciekawieniem się weń wpatruje, zapomocą lornetki obserwuje jego kształty, odczytuje nazwę itp. Otoż i my jesteśmy jakoby tym małym szybko pędzącym okręcikiem, tylko nie po falach morskich, ale raczej po...lądzie stałym. Tak jak okręt ma ludzi spełniających z góry im wyznaczone obowiązki, jak ma zapasy opału, żywności i wszystkiego, co podczas podróży jest potrzebne, tak i my mamy tu pewien rozkład obowiązków, odpowiedzialności i pracy. Mamy również pewne niezbędne przybory, zapasy odzieży, aparatów fotograficznych, klisz, papieru i nową "Coronę" do pisania, bo gdy piszę piórem, wówczas ani ja ani nikt inny, nie potrafi tego przeczytać, więc zawsze piszę na maszynce, dla własnej i innych wygody.

Mój towarzysz podróży, ks. Antoni Wojcieszczuk, jako człowiek z szerokim doświadczeniem, nabytym na wojnie, boć przecież idąc za tradycją Bolesława Chrobrego, swój scyzoryk "wyszczerbił" na kijowskiej bramie, a następnie, wraz z innymi, "przeletnął się" do

Lwowa. — Wie on dobrze, co znaczy — głód i chłód. A że Ameryka dla niego była dotąd krajem nieznanym, może nawet... dzikim, więc też wybierając się w podróż, także "przyliwrował" z sobą pewne zapasy żywności.

Ks. Wojcieszczuk jest — jak mówi nasz minister spraw wewnętrznych — "uropczykiem." Pod tę rubrykę — w tym wypadku "pani ministrowa" — podciąga wszystkich jegomościów urodzonych i wychowanych na polskiej ziemi, mających oczywiście polskie zwyczaje i nawyczki.

"Wiatr od Morza"

W Polsce wszystkim wiadomo, że jeżeli ktoś wybiera się w "długą" podróż, n. p. z Krakowa do Wieliczki lub z Poznania do Ostrowa, wówczas na wszelką ewentualność zaopatruje się w żywność. Polskie pociągi, szczególnie te, co jadą w nocy, powodują u ludzi niezwykły apetyt. Dlatego też między godziną dwunastą a trzecią rano każdy pasażer wyciąga z zapazuchy czy walizy kawał razowego chleba, wędzonej kiełbasy czy też szynki. Z apetytem zjada ogromne porcje, a potem na każdej stacyi kolejowej herbatką czy piwem zapija. Zwyczaj ten jest w Ameryce zupełnie nieznany.

Więc też "Antek"... bo jako starzy koledzy, przyjaciele, a nawet— wojacy, jesteśmy ze sobą per ty. Zatem towarzyska forma wymaga, abym mu mówił "Antek," a on mnie — "Stach." Gdy jednak były jakieś miłe wspomnienia, czy to z wojny, czy dawnej pracy duszpasterskiej na dalekim zachodzie, wtenczas przybierało się ton szczerej, starej, intymnej przyjaźni i mówiło się — Antoś lub ... Stasiu.

To, jak przyznacie, jest bardzo piękne i za serce porywające, szczególnie jeżeli się tak do człowieka odzywają...piękne damy. — Gdy atoli rygor i obowiązek wymagał jakichś ważnych rozkazów, wtenczas "głównodowodzący" przybierał marsowy wygląd twarzy i wydawał krótki, cięty rozkaz: — "Antek, psia krew, zrób to i to!"... Wtenczas "Antek" trochę pomruczał, a czasem rzucił niedwuznaczną odpowiedź. Ale mogę tu z całą przyjemnością zaznaczyć że z ks. Wojcieszczukiem łączy mnie blisko trzydzieści lat szczerej przyjaźni i poufałości. A podczas podróży był niezmiernie miłym kolegą i kompanem.

W każdym razie, ks. Wojcieszczuk, jako fachowy "uropczyk," zaopatrzył się obficie w żywność na długą podróż, tak samo jak gdyby ją miał odbywać koleją w Polsce. Więc był duży bochen czarnego — jak mawiał "chlebusia," — był krąg uczciwej, wędzonej kiełbasy, był kwartowy słoik "miodku," bo jak twierdził: — "to mu dobrze robiło na żołądku," — no a jako ten najgłówniejszy "pièce de resistance" — był duży krąg świeżego sera.

— Antek, co ty do cholery będziesz robił z tym serem?!...

— No widzisz Stasiu — odpowiada Antoś — to nam się przyda, bo niewiadomo, czy my gdzie takiego serka dostaniemy.

— Pal cię szść; chcesz to jedz, ale zdaje się, że tyle sera to nam by wystarczyło na pół drogi, gdybyśmy nic innego nie jedli tylko ser. A przecież, do kaduka, mamy forsę, przytym nasz minister spraw wewnętrznych w mig potrafi obiad przygotować — w każdym razie, wolę sztukę mięsa, niż ser. No ale chcesz, to bierz.

Chociaż z pewnym protestem, ale do naszej spiżarni zapakowaliśmy duży krąg sera. Ponieważ w New Rochelle gościnna pani Gośniewska starannie zaopatrzyła nas na parę dni w smaczne przekąski więc też ser z konieczności kilka dni....czekał. Następnie wędzona kiełbasa więcej przemawiała do...żołądka i znów ser...czekał.

Gorąco było...Więc nietylko my, ale ser zaczął się...pocić. A przecież każdemu wiadomo, że gdy się ktoś poci, wydaje ze siebie nieprzyjemną woń — potu. Ser nie gorszy od nas, więc też się pocił. Nasz "minister spraw wewnętrznych" ma wyjątkowo dobry węch i nadzwyczaj jest wymagający, co do porządku i czystości. Już od paru dni zezem patrzał na ten pocący się ser. Nareszcie i to wcale nie dwuznacznie nam powiada, wprost rozkazującym tonem:....

— Wyrzućta ten ser, bo śmierdzi. Ja nie chcę takiego "świństwa" trzymać w automobilu!

— Świństwa?!... Czyś ty słyszał, Antoś, co ona mówi?!...

— Tak, świństwa!

— Co zrobić, Antoś?!....

— Nie bój się, Stasiu, my to jakoś załatwimy; przecież szkoda sera. Wartość aktualna mogła przedstawiać — kiedyś, nie teraz — okrągłą sumę — dziesięciu centów.

Przy następnym postoju zabraliśmy ser i jak należy — wykąpali, obmyli, nową gazetą owinęli, niczym nowonarodzone dziecko. Dla świętej zgody, a jestem człowiekiem nadzwyczaj miłującym zgodę i spokój, — więc dla miłej zgody, zapakowaliśmy ser do tylnego przedziału auta, niby tej zapasowej skrzyni, jaka się znajduje i tworzy integralną część każdego amerykańskiego samochodu. Tam oczywiście nie było przewiewu, w dodatku gorąco, jak w piekle.

Ser znów zaczyna się pocić. Co ja mówię — pocić, gorzej, bo następuje jakaś fatalna metamorfoza. Z tej stalowej skrytki, szczelnie zamkniętej, wydobywają się jakieś niebywałe wonie i gazy trujące!... Jesteśmy już do tego przyzwyczajeni, że u ludzi jak i u zwierząt, a nawet ptaków, pewne części, od nosa jak najdalej odsunięte wydają nieprzyjemne wyziewy i fetory. Nawet auta mają żelazną — "kiszkę odchodową," z której się wciąż dymi, huczy i...kadzi. Ale nasze auto pod tym względem przewyższało wszystko, cośmy spotykali na drodze. Wszystkie limburgery, liderkranze, camemberty, rockefordy, stałyby na baczność przed smrodem, jaki ze siebie wydawał nasz zwykły, smaczny, polski — jak Antek mówił — "serek." Dwóch jegomościów, co nam nalewali gazolinę — zemdlało. Lekarz skonstatował, że to był jakiś gaz, używany na wojnie, a nazywał go "caseus stincadorus."

Tego było już za wiele. Minister wydał nam bardzo ostry befehl, ażeby ten "zgnity ser" wyrzucić!

Znów nowa konferencja.

— Antek, co zrobić z tym serem?!....

— A no, możeby się go dało uratować, szkoda sera, a przecież dobry i smaczny ser.

Zauważyłem, że we wszystkich plażach morskich mają dużo łodzi i motorówek, którymi wywożą rybaków na głębsze wody, na połów ryb. Na każdej łodzi, niby zwieszające się łodygi, sterczały długie bambusowe tyki, którymi zapewne łowiono ryby.

Myślę sobie: — to akurat będzie dobrze. Przymocuję taką długą, piętnastostopową tykę do auta. Do niej przyczepię jakąś większą blaszankę, a może kubełeczek i tam ulokuję nasz "serek," który nam tyle kłopotu sprawiał. Nie mogłem jednak tych przeklętych tyczek nijak od łodzi odczepić. Wszystko przymocowane jakimiś specjalnymi przyczepkami, że mogłeś tą tyką wywijać, ale odczepić nie mogłeś. Więc ten plan się nie udał. Ale znalazłem szczelnie zakręcany słoik szklany i tam, poprzednio założywszy maskę przeciwgazową, wpakowałem nasz ser, który swym smrodem wprost nie wołał, ale wył

o pomstę do Boga. Wpakowałem go w ten najciemniejszy kąt auta i mieliśmy na pewien czas spokój. Minister spraw wewnętrznych był przekonany, żeśmy nareszcie ser wyrzucili. Nam zaś plątała się jakaś głupia myśl, że tak jak wina amerykańskie nabierają lepszego smaku, jeżeli je przewożą okrętami, tak i nasz ser przeistoczy się w jakiś niezwykły przysmak, którym się będzie rozkoszował — świat cały. Moglibyśmy ewentualnie stworzyć fabrykę — "polskiego śmierdzącego sera," bo sery mają tę charakterystyczną zaletę, że im gorzej śmierdzą — tym lepiej smakują. Więc w tym wypadku, ciekawość, dobro ludzkości, a nawet osobisty interes nie pozwolił na to, aby ten "kosztowny" ser bezceremonialnie...wyrzucić.

Hotele w Miami

Zbliżamy się do miasta— Miami. Już zdaleka widać strzelające ku niebu drapacze. Tu jednak zachodzi różnica, że w innych miastach drapacze chmur są symbolem przemysłu, handlu i tętniącego życia ekonomicznego danego miasta lub stanu. Tam bowiem mieszczą się banki, instutycje finansowe, biura wielkich przedsiębiorstw, kancelarie lekarzy, adwokatów, lub innych profesjonalistów. W Miami zaś przeciwnie — niemal wszystkie drapacze — a jest ich tu spora liczba — to hotele. Niektóre bardzo luksusowe i eksklusywne, inne zaś odpowiednie dla przeciętnych groszorobów. Wszystkie w swej przesadzonej dekoracyi, w swych hałaśliwych kolorach, w swych dziwacznych, a nieraz kolosalnych rozmiarach okazują krzyczącą, ale tanią — tandetę.

Tak jak Gdynia stała się dla Polski "oknem na morze," czy płucami, którymi trzydziestomilionowy naród może wdychać — przemysł i handel sięgający najdalszych krańców kuli ziemskiej, tak Miami — całkim nowoczesne miasto — powstało w tym celu, by nasi noveaux riche, szczególnie ci, co ród swój wywodzą z dwunastu pokoleń Izraelowych, mogli swobodnie hulać i tracić łatwo zdobyte dolary.

Miasto leży w południowej części Florydy, na linii Algieru, nad — golfsztromem, czyli prądem ciepłej wody, płynącym wzdłuż brzegów Stanów Zjednoczonych do Anglii i krain skandynawskich. Oczywiście — "klimat" jest największym atutem wielkiej, nowoczesnej, młodej, a bardzo ruchliwej metropolii, liczącej 150 tysięcy mieszkańców. "Mówiąc o ludności, nie biorę w rachubę dwóch milionów turystów, którzy tu co roku przybywają na wypoczynek i rozrywkę.

Hasłem miasta jest — "Czerwiec w styczniu" czyli, że tu zimą panuje ta sama pogoda, co w innych częściach Stanów Zjednoczonych — latem. Według rządowych cyfr statystycznych, przeciętna temperatura zimowa wynosi 71 stopni Fahrenheita, a całoroczna, przeciętna temperatura sięga 75 stopni; największe gorączki nie przekraczają 90 stopni, mrozy zaś sa rzadkością. Temperatura nie spada poniżej 63-ch stopni, a więc niech się schowa Wenecya, Nicea i inne europejskie letniska.

Chcesz się bawić?... Masz tu wszystko, czego dusza zapragnie, począwszy od pięknych kobiet, do ... rasowych koni i psów. A więc kilka pól do gry w golfa, jest polo, jest tennis, masz nie wiem ile boisk do gry w "shuffle board," sport we Florydzie bardzo ulubiony. Pozatym są kąpiele w słodkiej i w słonej wodzie, jest rybołówstwo, ot takie prosto z mostu, lub też z łodzi, a jeżeliś wybredny, wyjeżdżasz motorówką na głębokie wody, na większe gatunki. Schwycić sto lub dwieście funtów ryb, nie jest żadną sensacją, ale raczej pospolitą rybacką wycieczką. Masz kąpiele słoneczne, całe solaria, gdzie na nagusa z "siedzeniem" wypiętym ku słońcu, palisz się niby rak i... gwiżdżesz na cały świat i wszystkie jego dolegliwości. Masz wykwitne sklepy, masz luksusowe restauracje, masz doborowe orkiestry do tańca, masz "sosajdę" — jednym słowem znajdziesz tu ... wszystko, co potrzebne do włoskiego — "dolce far niente."

Daliśmy Hiszpanom za te bagna, krokodyle, żmije i trujące komary — cztery miliony dolarów, ot po to tylko — by się ich pozbyć. Jeden projekt realnościowy w Miami, Coral Gables, przedstawia daleko większe sumy wkładowe. Pełno tu kanałów, przepysznych mostów, parków, kwiatów, palm, ogrodów, fontan, a nawet pomników. Nad morzem jedziesz wspaniałymi bulwarami i podziwiasz nowoczesną — Wenecję, tylko, że wody są czyste, nie płyną po nich jelita i pióra wypatroszonych kur lub jakieś inne wstrętne śmieci i...ludzkie odpadki, jak to swego czasu widziałem na Canale Grande w słynnej, a jednak uroczej — Wenecji. Przy kanałach, okolone pięknymi parkami, drzemią bogate rezydencje amerykańskich krezusów, a przy słupach na styl wenecki, kołyszą się senne, motorowe gondole. To nasza nowoczesna, Amerykańska — Wenecja, tylko ani sztuką, ani artyzmem, ani tradycją, ani czarem, ani niczym innym, — a już

Pałac bogacza w Amerykańskiej Wenecji

zwłaszcza wzorowym porządkiem, — nie dorówna tamtej — "Gwiaździe Adryatyku." To wszystko, czy to szerokie palmami naszpikowane ulice, czy olbrzymie z komfortem urządzone hotele, czy teatry, czy sale koncertowe, czy pola do gier sportowych, jest obmyślane i zbudowane dla wygody tego zblazowanego, mało myślącego, a wrażeń szukającego bogacza amerykańskiego, szczególnie dla jego żony i zwariowanych, bezmyślnych dzieci.

Może się komuś podobać Miama. Albowiem tu znajdziesz kopie pięknych mostów, gmachów i pomników, ale mnie ten blichtr nie pociąga. Stokroć wolę jakiś cichy zakątek, gdzie w rozhoworze ciemnego lasu wsłuchuję się w symfonię drzew; gdzie żwawa wiewiórka siądzie na gałęzi i zacznie mi swym szczebiotem wymyślać; gdzie beztroskie ptactwo wywodzi najpiękniejsze, miłosne melodie; gdzie jest spokój...gdzie matka natura koi rany w walce życiowej odniesione.. gdzie ziemia tuli do snu i...marzeń. Weźcie sobie wy bezmyślni, wy wrażeń szukający ludzie, waszą Miamę, a dajcie mi czy słońcem spalone pustynie, czy śniegiem kryte góry, czy szumiące lasy, czy potoki rybne, czy też łany złotej pszenicy, czy pola wonnej koniczyny, po których się uwija złota pszczółka, jednym słowem — dajcie mi to, co tworzył Bóg, a nie...człowiek!

ROZDZIAŁ IX.

## Tamiami Trail - Tampa - Festyn Gasparilli

Moglibyśmy jeszcze jechać jakie 150 mil do najbardziej na południe wysuniętego miasteczka w Stanach Zjednoczonych — Key West, ale trzebaby przeskakiwać z wysepki na wysepkę, a niekiedy płynąć promem, bo gwałtowne burze w kilku miejscach zniszczyły długie, drewniane mosty. Pochłonęłoby to dużo czasu, a nic nadzwyczajnegobyśmy tam nie zobaczyli. Więc rezygnujemy z dwudniowej wycieczki do Key West, natomiast puścimy się przez ogromne, bagniste, szuwarem porosłe bagna — zwane "everglades" — na zachodnią stronę tego wielkiego półwyspu, otoczonego z jednej strony zatoką Meksykańską, a z drugiej — ciepłymi wodami Atlantyku.

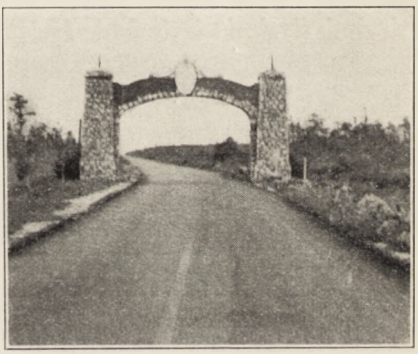

"Tamiami Trail"

Opuszczamy więc ruchliwe miasto, jadąc w kierunku zachodnim, mijamy okoliczne sady cytrusowe, pola jarzyn i wjeżdżamy na słynny trakt —Tamiami Trail. Tamiami dlatego, że łaczy dwa duże miasta — Tampę i Miami, więc też połączono początkowe litery jednego i drugiego, tworząc symfoniczną nazwę — Tamiami. Długość tej niezbyt malowniczej, ale nadzwyczaj ważnej drogi, wynosi 300 mil czyli jakieś 450 kilometrów. Inżynierowie mieli dużo kłopotu, zanim tę autostradę wymierzyli, a następnie zbudowali. Pierwsze 150 mil, z Miami do dużego miasteczka Fort Myers, prowadzi przez ogromne moczary. Miesiącami całymi robotnicy brnęli po tych błotach, szuwarach, trzęsawiskach, szukając najodpowiedniejszego miejsca na przeprowadzenie drogi. Po jej wymierzeniu trzeba było znów rozwiązywać nowe problemy i trudności. Tam gdzie podłoże było twarde, nie mieli kłopotu, bo kopano szerokie, na kilkanaście stóp głębokie rowy, a wybraną ziemię zużytkowano na szeroki i kilka stóp wysoki nasyp. Na nim kładziono kamienie i grubą warstwę betonu. Atoli tam gdzie napotykano głębokie trzęsawiska,

w których grzęzły drzewa, kamienie, auta i...ludzie, piętrzyły się trudności, a tymsamym — koszta budowy. Do trzęsawisk wbijano tysiące pali kilkadziesiąt stóp długich i dopiero na tym fundamencie budowano drogę. Koszta budowy pochłonęły miliony dolarów. W czarnym mule ugrzązł niejeden czołg i samochód ciężarowy, a wielu robotników pochowanych jest tak głęboko, że może nawet nie usłyszą trąby archanielskiej, gdy ich wezwie na sąd ostateczny. Ale to już należy do przeszłości. Teraz tysiące aut pędzą z szybkością sześćdziesięciu i więcej mil na godzinę, gdyż droga jest prosta, szeroka, i na stu kilko-dziesięcio-milowej przestrzeni niema ani wiosek, ani miasteczek, zaledwo tu i ówdzie napotyka się małe osiedla Indian z plemienia — Seminoles. Ale i tych już niewielu; zdaje się, że i ci są już na wymarciu.

W drodze napotykamy kilka wiosek indiańskich. Mieszkanie takiego Indianina — nie są to czystej krwi Indianie, raczej mieszanina Indian, Murzynów i białych osadników — jest zbudowane na drążkach, kilka stóp nad ziemią. Jest to właściwie podłoga z drzewa, pokryta mchem lub liściem. Dachy robią z liści palmetto, ściany zas, a raczej małe przegródki plotą z tegoż materiału. Indianie utrzymują się z polowania i rybołówstwa. Na ogół, jak zresztą wśród wszystkich indiańskich szczepów, panuje bieda, często dziesiątkują ich zaraźliwe choroby. Jednakowoż przyzwyczaili się do tych bagnistych wertepów i jakoś koniec z końcem wiążą. Rząd federalny co miesiąc daje im pieniężną zapomogę, zaopatruje ich również w żywność i odzienie. Jest to rodzaj kompensaty za zajęcie ich kraju.

Wioska indiańska

Zatrzymałem się na momencik przed taką typową wioską indiańską, by zrobić kilka zdjęć z ich domów, a także z gromadki dzieci, które się bawiły na drodze. Uderzyły mnie niezwykłe ubiory indiańskie. Paciorki na szyi przypominały nasze polskie korale, a pasiaste suknie, czerwone wstążki, są cośkolwieczek podobne do naszych malowniczych strojów łowickich.

Pędzimy naprzód przez tę wielką monotonię krajobrazu, gdyż z rzadka widzi się kępy drzew cyprysowych, używanych i bardzo poszukiwanych jako budulec, a to dzięki ich odporności na wilgoć. Ale czemuż nie mają być odporne—jeżeli w bagnach wieki przeżyły? Niektóre wyrosły na olbrzymów wielkich rozmiarów i dźwigają dziesięć

wieków na swych krętych konarach. Jest to drzewo miękkie, o dziwnym zapachu, niemal bez sęków, nadające się nie tylko na budowę zewnętrzną, ale także na wewnętrzne wykończenie, gdyż ma piękny słój i można je łatwo imitować na orzech i mahoń.

Po dwóch godzinach szybkiej jazdy dotarliśmy do małej wioski — Neapol. Widocznie, że Włosi tu się usadowili. Zauważyliśmy tu duży tartak, czego następstwem są olbrzymie składy desek i najrozmaitszego budulcu. Bardzo lubię woń tutejszej sośniny, a także przyjemna jest woń drzew cyprysowych. Tego drzewa mamy kilka gatunków. Mijamy z kolei parę małych osiedli, z których każde marzy o tym, jakby wyróść na wielką plażę, na wzór Miami czy innego wielkiego skupienia turystów.

Mali — Seminoles

Skręcamy teraz i dalej pędzimy w kierunku północnym, wzdłuż zatoki Meksykańskiej. Nie wiem, ilu ludzi życie postradało na Tamiami Trail od czasu jej wykończenia ale, ot tak dla urozmaicenia podróży, to ten czy ów się rozbije lub wpadnie do rowu i się utopi. Podczas mego pobytu we Florydzie, w sezonie zimowym, wydarzył się już nieco poważniejszy wypadek, bo duży autobus, pędzący z szybkością przeszło sześćdziesięciu mil na godzinę, zwalił się do rowu i ośmnastu pasażerów utonęło. Dotąd przeszło pięćdziesięciu ludzi postradało życie w wypadkach samochodowych na tej stosunkowo nowej drodze. To jednak ani nas ani nikogo innego nie odstrasza od szybkiej jazdy.

Pierwsze większe miasteczko, do którego dojechaliśmy, jest Fort Meyers. Prawdopodobnie kiedyś tu mieli jakąś strażnicę, gdyż miasto leży nad piękną, spławną, ale bardzo krętą rzeką Caloosahatchee. Wypływa ona z ogromnego jeziora Okeechobee, położonego niemal w samym środku olbrzymich moczarów. Kilku z naszych krezusów amerykańskich jak Ford, Firestone i Edison tu mają swe wille. Na miłych pogawędkach przyjemnie spędzali tu zimowe wakacje. Ford zawsze był wielkim przyjacielem i wielbicielem Edisona. Przeniósł on i z pewnym pietyzmem odrestaurował w Dearborn blisko Detroit, jego pracownię, pierwszą lampę elektryczną, pierwsze motory, gramofony i inne edisonowskie wynalazki. Edison podczas swego ostatniego pobytu w tej muzealnej wiosce rozniecił ognie w paru kot-

łowniach. Z polecenia Forda ognie te mają palić się na wieki. Jeżeli trzeba który z kotłów wyczyścić lub naprawić, ogień z niego przenoszą do innego paleniska, ale wygasić go nie wolno. Jest to bardzo piękny sentyment jednego — geniusza dla drugiego, boć może bez Edisona nie byłoby....Forda.

W Punta Gorda jest malownicza plaża, zbudowana nad szeroką, rybną zatoką. Mała Wenecja chełpi się pięknymi hotelami i plażami, chociaż napotykamy także zaniedbane rudery sklepów, hoteli i innych realnościowych projektów, które nie dopisały, a ich promotorzy potracili milionowe sumy. Takich realnościowych cmentarzysk znalazłbyś we Florydzie bardzo dużo. To pomniki realnościowej nagonki przed ostatnim finansowym krachem i kryzysem.

Na noc zatrzymaliśmy się w Sarasocie, bardzo czyściutkim miasteczku, tuż nad zatoką Meksykańską. Zarząd miasta prędko się połapał i dostosował do nowego, a teraz bardzo modnego ruchu turystycznego, t. zw. "trailerites" — czyli turystów wlokących za sobą własne, bardzo wygodne, a częstokroć luksusowo urządzone wozy turystyczne — "trejlery." Miasto urządziło dla wygody tych właśnie turystów duży zajazd, obejmujący około dziesięciu akrów. Porobiono miniaturowe ulice, chodniki, a nawet dano gościom straż ogniową i policję. Mają tu czyściuteńkie kąpiele, ustępy, pralnie, składy z żywnością, oczywiście jest światło elektryczne, które każdy może z łatwością przyłączyć do swego luksusowego wozu. Na prawdę — turyści mają tu wszelką wygodę i opiekę.

Codziennie przychodzi służba miejska, zabiera odpadki, zamiata, a gdy potrzeba — wodą skrapia ulice, polewa trawniki i klomby i czuwa nad wędrownymi, ludzkimi ptakami. Zeszłego roku, na konwencję tych koczujących turystów przybyło tu kilkaset aut, a każde wlokło za sobą mieszkanie. Mówił mi zarządca, że pobierają około dwóch dolarów dzierżawy na tydzień od każdego auta i wozu. Stosunkowo nie wielka suma, a jednak, w przeciągu roku, ogólny dochód z tego niewielkiego pola wynosił około dziesięciu tysięcy dolarów. Z tego łatwo wnioskwać, ile set tysięcy dolarów wydali turyści w tym mieście na żywność, odzienie, zabawy, gazolinę, łodzie i inne najrozmiatsze rozrywki i przyjemności. Niektóre miasta czynią wysiłki, aby tych amerykańskich "Drzymałów" sobie skaptować, inne zaś, niby te, co tylko arystokracji turystycznej schlebiają, nie chcą ich nawet do miasta wpuścić. To jest jeden z naszych nowych, a bardzo ciekawych problemów turystycznych. Sądzę, że ten ruch się rozwinie i nie ręczyłbym, czy wasz — szofer piszący — także się kiedyś na taką jazdę nie skusi. Diogenesowi wygodnie było w beczce: któryś z filozofów powiedział — "omnia mea mecum porto" — wszystko ze sobą nosił, a nasi nowocześni filozofowie-turyści—wszystko z sobą—wożą..

Słynna firma cyrkowa, Ringling Brothers, a prawdopodobnie jej właściciel zbudował parę mil za miastem wspaniałe muzeum i ofiarował je miastu. Samo muzeum jest tylko o tyle ciekawe, że ma piękne — patio ozdobione kopiami słynnych arcydzieł; ciekawe są także niektóre oryginały, przeważnie pędzla włoskich mistrzów z okresu renesansu. Szkoda, że sam gmach jest zwykłą florydeńską tandetą, ale warto tu przyjść i muzeum zwiedzić, może we Florydzie największe.

Muzeum w Sarasota

A teraz, dla odmiany, pojedziemy do . . . Petersburga. Wprawdzie nie tego mroźnego, groźnego miasta, założonego przez cara Piotra, w Rosji, a które w ostatnich dwudziestu latach kilkakrotnie przechrzczono na — Piotrograd, Leningrad i niewiadomo jaki jeszcze — "grad" z niego zrobią, ale wpadniemy na chwilkę do naszego, amerykańskiego, florydeńskiego, a bardzo ciepłego i słonecznego — Petersburga, położonego nad dużą zatoką — Tampa Bay.

Zdaje się, że dobrze nam już znany DeSoto przybył do tej zatoki z pięciu okrętami, w roku 1539-tym. O tej podróży wspomina jeden z najciekawszych kronikarzy hiszpańskich — Cabeza de Vaca, który podczas innej, niefortunnej ekspedycji dostał się do osiedli indiańskich i kilka lat wałęsał się po tym ogromnym obszarze, obejmującym wszystkie stany południowe, aż hen do Aryzony. On właściwie jest naszym pierwszym autentycznym kronikarzem. Indianie za nadejściem białych intruzów uciekli do lasów, ale gdy się nadarzała sposobność, napadali ich i mordowali. Więc też DeSoto nic tu wielkiego nie zdziałał, gdyż natrafił na silny opór tubylców.

Niemal 300 lat upłynęło od tej podróży, zanim tu przybyli w połowie zeszłego stulecia pierwsi biali osadnicy. Dopiero po wojnie domowej zaczęli się tu osiedlać pierwsi stali koloniści. Wioska nabrała większego impetu, gdy rosyjski inżynier, Petrowicz Demenscheff, przeprowadził do tego miejsca pierwszą kolej, wymierzył odpowiedni kawał ziemi na miasto i na cześć swej rosyjskiej stolicy nazwał je — St. Petersburg. Tamten, niby rosyjski, już kilkakrotnie zmienił nazwę, ten zaś — amerykański, trzyma się św. Piotra i nosi przydomek — "Sunshine City" czyli — słoneczne miasto. Nie będę się tu bawił w statystykę, ile tu słońca, a ile deszczu i dni pochmur-

nych; wystarczy nadmienić, że jeden z tutejszych dzienników rozdaje cały dzienny nakład za darmo — jeżeli słońce przez cały dzień się nie pokaże. Twierdzą, że na rok przypada przeciętnie tylko pięć dni, w których tu słońca nie widzą. Wcale nie zły rekord. Temperatura waha się między 64-ma a 84-ma stopniami Fahrenheita.

Miasto rośnie jak na drożdżach. Z małej wioski w roku 1888-ym doszło już do przeszło pięćdziesięciu tysięcy. W przeciągu roku, szczególnie w sezonie zimowym, przybywa tu ponad dwieście tysięcy turystów. Więc też jeżeli chcesz kogoś spotkać, jedź do naszego Petersburga, tam go napewno znajdziesz.

Główną atrakcją dla miasta jest — "million dollar pier" czyli — pir miejski, zbudowany kosztem miliona dolarów. Jest to jakoby duże molo, zapuszczone kilkaset metrów w głąb zatoki. Środkiem tego nasypu wiedzie wspaniały bulwar, upiększony szpalerami zielonych, iglastych drzew, a po obu stronach nasypu przyczepione do piru, kołyszą się setki motorówek rybackich i luksusowych jachtów naszych bogaczy. Właściciele okręcików polują na amatorów rybołówstwa, by ich zabrać na całodzienną wycieczkę na głębsze wody. Mnie także na taką eskapadę namawiał pewien jegomość. Chciał mnie zabrać na połów — tarponów, bo właśnie był sezon na te wojownicze, a jak "smarowana błyskawica" zwinne ryby.

— Ile kosztuje taka całodzienna wycieczka na tarpony?..pytam.

— Dwadzieścia pięć dolarów — odpowiada ów jegomość.

— A czy ręczysz, że ja takiego rybiego "pierona" złowię?...

— Tego nie mogę ręczyć, najwyżej mogę cię zawieźć, gdzie tarpony żerują.

— A gdybym tak złowił tarpona (duża, biała, a bardzo sportowa ryba) ile za niego otrzymam?

— Nic; możesz się dać odfotografować i zapisać do klubu — tarponistów.

— Dziękuję za takie rybołówstwo. Wolę jechać do Minnesoty na uczciwe ryby.

A jednak Floryda — to raj dla rybaków. Niemal we wszystkich zatokach, rzekach, jeziorach i oczywiście na oceanie możesz nie tylko łowić, ale zapewne — złowisz mnóstwo ryb. Już nie wspominam o arystokratach wśród ryb, jak — tarpony, marliny, barakudy, "sword fishe" — ryby o długich, ostrych dziobach, a bardzo smaczne. Masz w czym przebierać. Są tu specjaliści rybacy, którzy mają łodzie motorowe, wędki i wszelkie przyrządy rybackie, znają wody i miejsca, gdzie można najwięcej ryb złowić. Codziennie urządzają wycieczki rybackie dla turystów. Płacisz parę dolarów za całodzienną wycieczkę, możesz jeszcze dla ochoty dorzucić z pół dolarka, jako

"pulik" — premię — dla tego, który złowi największą rybę i jedziesz...na ryby morskie. Przypatrywałem się tym łodziom, gdy wracały. Toć nawet św. Piotr, ten zawołany rybak apostolski, drapałby się po brodzie z wielkiej kuntentności, gdyby widział taki połów. Wynosili całe beczki i wielkie balie ryb, a każda od dwóch do jakie dwudziestu funtów. Każdy kto chciał mieć rybę na kolację, mógł tylko poprosić, a dostał, ile żądał. W Petersburgu zrobiłem zdjęcie z takiego połowu, gdy na chodniku wyłożono parę rzędów tej interesującej zdobyczy, a widziałem jeszcze daleko większe połowy. Kto nie jest wybredny i chce z komfortem ryby z wody wyciągać, niech jedzie do Florydy.

Dwadzieścia mil od "Pita" — jak tu nazywają St. Petersburg, na przeciwnej stronie dużej zatoki — Tampa Bay, jest stare i co do ludności trzecie największe miasto we Florydzie — Tampa. To jest stolica manufaktury cygar. Wiem napewno, że amatorzy wybornych hawańskich cygar radziby tu mieszkać i nic innego nie robić, jak tylko palić wonne "havana" i łowić ryby, kąpać się w ciepłych wodach zatoki i wygrzewać na słonecznych plażach morskich. Co za raj dla amatorów tych ziemskich rozkoszy!...

Mały połów

Tampę, liczącą obecnie przeszło sto tysięcy ludności, pamiętam dobrze jeszcze ze szkolnej ławy. Około roku 1898-go wybuchła rewolucja na Kubie. Oczywiście, jako młodzi studenci, sympatyzowaliśmy z rewolucjonistami kubańskimi. Bohaterami byli wodzowie powstańców: Gomez i jakiś mulat — Macao. Wstrętnym, a okrutnym ciemięzcą, coś w rodzaju Murawiewa "Wieszatiela," był gubernator hiszpański, generał Weyler. Ponieważ Tampa posiada duży dogodny port morski, więc też stąd, niby to ukradkiem, szły transporty amunicji i wszelkiego sprzętu wojennego dla rewolucjonistów. Czasami udało się Hiszpanom pochwycić okręt z kontrabandą, ale że to były zazwyczaj małe, a bardzo szybkie okręciki i przeważnie kursowały nocą, bo stąd do Kuby już nie daleko, więc też powstańcy byli suto zaopatrywani w broń, amunicję, żywność, a nawet ochotników. Płacił za to — trust cukru, o czym jako studenci nie wiedzieliśmy. Niemal za plecami każdej rewolucji południowo-amerykańskiej stoi jakiś trust amerykański,

w tym wypadku trzcina cukrowa i tytoń odgrywały najważniejszą rolę w tej walce, jak przypuszczaliśmy — "o wolność."

Nie wiem, jakby się ta wojna czy rewolucja skończyła, gdyby nie ślepy przypadek — że w porcie hawańskim wyleciał w powietrze amerykański okręt wojenny — "Maine." Trusty oczywiście wywlokły skrwawioną chorągiew amerykańską, zagrały na uczuciach amerykańskiego patriotyzmu, że trzeba pomścić dwieście kilkadziesiąt "niewinnych" ofiar hiszpańskiej perfidii itp. Święcie byliśmy przekonani, że zdradliwa torpeda hiszpańska zatopiła nasz okręt wojenny, czy więc mógł być lepszy — casus belli?... I z tej też przyczyny wybuchła wojna z Hiszpanią. Oczywiście — hasłem była obrona uciemiężonych Kubańczyków, Haitczyków, Filipińczyków, jednym słowem tych wszystkich "pokrzywdzonych," a wolność miłujących — dzikusów, z którymi biedni Hiszpanie nie mogli sobie dać rady. Bezmyślna publiczność połknęła haczyk, wędkę, tyczkę, jednym słowem — daliśmy się "nabić w karafkie" trustom amerykańskim. Biedni Hiszpanie, którym wcale na wojnie z nami nie zależało, godzili się na wszystkie warunki naszego rządu, ale to nic nie pomogło, musiała być wojna. To szczęście, że walczyliśmy z trzeciorzędnym mocarstwem i to w dodatku niemal pod nosem, u naszych brzegów, a oni o trzy tysiące mil od swych portów i baz wojennych. Znów "wygraliśmy" wielką wojnę. Zabraliśmy im wszystko, co się tylko dało, chociaż w zamian zapłaciliśmy im dwadzieścia milionów dolarów odczepnego.

Tampa stała się wtenczas wielkim portem wojennym. Stąd wysyłaliśmy na Kubę wojsko i transporty. Tysiące żołnierzy tu się ćwiczyło i ginęło od żółtej febry, bo jeszcze wtenczas nikt nie wiedział, co ją powodowało, a komarów we Florydzie nigdy nie brakowało. Więc też na każdego żołnierza zastrzelonego przez Hiszpanów przypadało z jakich dwudziestu — zamordowanych przez nasze własne, rodowite...komary. Dopiero podczas okupacji Kuby dowiedzieliśmy się, że komary są roznosicielami tej na ów czas straszliwej i bardzo śmiertelnej zarazy. Doktór Reed (we Waszyngtonie zbudowano na jego cześć duży szpital wojskowy) po licznych doświadczeniach odkrył owego straszliwego mordercę i z tą chwilą — żółta febra należy do chorób zdemaskowanych. To samo może jest dostateczną i jedyną kompensatą za ową niepotrzebną, a całkiem nieusprawiedliwioną wojnę.

I tym razem nie nudzę czytelnika statystyką co do pogody, portów, przemysłu, handlu, ile tu mają telefonów czy gazet, bo to chyba zbyteczne. Tampa liczy ponad sto tysięcy mieszkańców i jest środowiskiem przemysłu tytoniowego. Przeważnie Kubańczycy i Hiszpanie pracują w tej branży i posiadają tu własną, a poniekąd ciekawą

dzielnicę — Ybor City. Poszedłem (podczas zimowych wakacji) z mym przyjacielem, ks. Des Serault, zwiedzić ten ciekawy, a malowniczy zakątek. Sądząc po tutejszych okazach — Hiszpanie są średniego wzrostu, mają cerę oliwkową, krucze włosy i na ogół są to ludzie grzeczni i spokojni. Na ulicach, a było to w sobotę wieczorem — ruch wielki, tłumy ludzi przedzierały się w tę czy w ową stronę, zaglądały do sklepów, w "tawernach" spijano piwo, w klubach grano w karty, a czasem gdzieś ktoś zaśpiewał "Palomę" czy też na gramofonie zagrał rumbę. Wprawdzie nie napotkałem tu tych malowniczych hiszpańskich kostiumów, nie widziałem owych bogatych mantylli i szalów hiszpańskich. Zobaczyłem zato dużo pięknych, urodnych typów, tej czarującej urody — południowej Europy — rasy romańskiej. Co mnie szczególniej uderzało — to oczy, te duże, czarne, wyłupiaste, a zamyślone oczy ... nadobnych Hiszpanek. Mimowoli myślą przeniosłem się do ... Madrytu i starałem sobie uprzytomnić tę tragedię wielkiego, kulturalnego, katolickiego narodu, którego mękę widzą i przechodzą przedewszystkim te niewinne ofiary: matki, córki i dzieci hiszpańskie!....

W Stanach Zjednoczonych każdy miesiąc a częstokroć każdy dzień i tydzień jest czemuś czy komuś "poświęcony." Mamy oczywiście nasze święta narodowe; te zresztą mają wszystkie narody czy to jest — Dzień Bastylli u Francuzów, czy Trzeci Maj u Polaków, czy Czwarty Lipiec u Amerykanów. Pozatym, jako katolicy, mamy nasze uroczystości i święta kościelne, ponadto mamy w Ameryce dzień kwiatka, dzień dziecka, dzień drzewa, mamy — tydzień pomarańczy, tydzień jaj, tydzień jabłek — niby tygodnie, w których urządzają specjalne sprzedaże tych poszczególnych darów bożych, aby zachęcić ludność do tem większej konsumpcji i oczywiście polepszenia bytu rolników, czy innych producentów.

— Czemużby więc nie mieć — dnia bandytów?!....

Zawsze mieliśmy, mamy i przypuszczam, że mieć będziemy najsłynniejszych na świecie — bandytów. Trzeba jakoś uczcić ten fach już od samych początków i zarania ludzkości znany i uprawiany. Przecież czytamy w Piśmie św., że Kain zabił Abla, brata swego. Za to w Ameryce posadziliby go na krześle elektrycznym. Gazety podałyby jego fotografię, życiorys i inne ciekawe szczegóły, czyli — wszystko aż do chwili posadzenia go na krześle elektrycznym, następnie jego — pogrzebu. Pismo św. stosunkowo mało o tym strasznym morderstwie podaje szczegółów, ale to tylko dowodzi, że bandytyzm to — fach, który od dawna uprawiają. W więzieniach bandyta, przez rozmyślanie i naukę od sprytniejszych mistrzów kształci się i udoskonala . Taki adept, czeka tylko na chwilę uwolnienia przez nasze czułe "pardon boards" by dalej to rzemiosło prowadzić.

Wprawdzie naszych najlepszych bandytów zupełnie niepotrzebnie rząd wystrzelał, tak że dziś trudno o uczciwego "kidnapera" lub rozbijacza banków i pociągów kolejowych. Bogatą literaturę posiada taki n. p. Jessie James i jego koledzy, a których to "pobożne" życiorysy z namaszczeniem czytywał wasz — piszący szofer — w swych studenckich czasach. Najporządniejszymi bandytami i to na wielką skalę, którzy posiadają za sobą bogatą literaturę i gdzieś na nieznanych wyspach ukryte skarby, są piraci morscy. Każdy korsarz, ażeby był właściwie dobrym, uczciwym typem — takim z literatury — powinien mieć tylko jedno oko, jedną drewnianą nogę, parę pistoletów za pasem, "wyszczerbionego strugacza" na temblaku, trójkątny kapelusz, a na nim — trupią głowę z piszczelami na krzyż złożonymi. Okręt korsarza powinien być załadowany wódką, prochem, na nim zaś pełno ukrytych armat, z gromadą straszliwych zabijaków i skończonych szubieniczników, stanowiących jego załogę. Wśród tej zgrai powinny być przynajmniej dwie lub trzy cudownej urody branki, prawdopodobnie księżniczki ... Ot to rozumiem, tak kiedyś w mym pojęciu wyglądał porządny — pirata czyli korsarz.

Zmieniają się jednak czasy i zwyczaje ludzkie. W średniowieczu ubóstwiano rycerzy, ludzi, którzy w turniejach odnosili zwycięstwa nad przeciwnikami. Byli to ludzie, co "ani z soli ani z roli nie wyrośli," ale szli przebojem, zmagali się z trudnościami i dopinali swego celu. Takimi byli nasi "Zbyszkowie," Zyndramowie, Czarneccy, takimi byli Bayardowie, Ryszardy Lwie Serca i inni bohaterzy wszystkich narodów. A teraz to co? Że jakiś fircyk — lekko atleta — potrafi zająca w biegu prześcignąć, uczciwego charta dogonić — i już — szampion, "bohater." Inny znów skacze, niczym żaba — znów bohater. Inny palantem niby pałą wali piłkę — znów ulubieniec i bohater. Jeszcze rozumiem naszych umysłowych matołów, a fizycznych olbrzymów-pyskotłuków. Taki przynajmniej ma mięśnie i potrafiłby ulepszyć rasę murzyńską czy białą, ale reszta — to tylko fizyczne fircyki, a częstokroć umysłowe — cymbały. A więc nie masz jak korsarze i piraci, ci malowniczy rozbójnicy morscy, "o sercu dziecka, kochliwości Romea, a odwadze — lwa." Teraz przypatrzmy się festynowi ku czci takiego piraty, a byłem tego naocznym świadkiem w Tampa.

Miejscowe gazety już od tygodni rozpisywały się o przygotowaniach do tego niezwykłego, odbywającego się w sezonie zimowym festynu, urządzanego ku czci korsarza — Gasparilli, który przed wielu laty na tutejszych grasował wodach. Prawdopodobnie napadał na złotem naładowane galeony hiszpańskie, był postrachem okrętów handlowych a...pociechą tutejszych "obywateli — paserów," albowiem w tej zacisznej zatoce miał swą kryjówkę. Żył w niebywałym

przepychu, otaczał się luksusem, a dla kontrastu — pięknymi kobietami. Chociaż, jak głosi tradycja czyli ustne podanie, kobieta, którą kochał, oddała serce innemu, Gasparilla pono był wspaniałomyślnym i szczodrym dla biedaków, zresztą i tego wymaga ... legenda.

Życiorys tej poniekąd legendarnej postaci jest ciekawy. Urodził się w Hiszpanii, w małej wiosce Panferredo. Podobno przyszedł na świat z pępowiną oplątaną koło szyi. Przesądne kobiety wróżyły mu z tego powodu bardzo tragiczną karierę, która się miała skończyć na ... stryczku. Młody "Jose" — jak podaje jego biografia — całkiem niesłusznie w dziecięcych latach był posądzony o kradzież i surowo skatowany przez ojca i miejskiego urzędnika. Później były jeszcze inne rzekomo niesłuszne posądzenia i surowe kary. Dosyć na tym, że zbiegł z domu, dostał się na okręt korsarski i w końcu "zrobił karierę." Przypłynął na wody Florydy, napadał na okręty handlowe i przez pewien czas żył w przepychu.

Podczas napadu na jedną z nadmorskich wiosek rybackich Gasparilla napotkał rodzinę cyganów, a wśród nich — młodą, cudownej piękności dziewczynkę, ot niby taką co to "Za Ebru falą goniąc spojrzeniem — młoda cyganka siedziała" .... Wielką żądzą zapałał ku niej ów krwawy bandyta. Własnoręcznie zamordował kochanka, który stanął w jej obronie, a dziewczynę zabrał w niewolę, oczywiście .... straszniejszą od śmierci. Starej cygance — niby jej matce — kazał sobie wróżyć przyszłość. Ta mu przepowiedziała, że po "trzynastu księżycach, zniewieściały pijatyką i wygodami — wypełnisz swe przeznaczenie, a twe nogi nie będą ani na lądzie, ani na morzu, ani na pokładzie okrętu." Wyrocznia, jak zwykle wróżby cygańskie, o których czytamy w powieściach — spełniła się co do joty. W trzynastym miesiącu — a więc pierwszego lutego — po owym zdarzeniu, dobrze wyekwipowany okręt wojenny zatopił żaglowiec korsarza. Gasparilla wraz z swymi towarzyszami chciał się ratować w małej łodzi. Wpadł jednak w ręce zwycięzców i ci go ... powiesili w miejscu, gdzie teraz wznosi się miasto — Tampa.

"Festyn Gasparilli" przypada zawsze na dzień pierwszego lutego, podczas wystawy stanowej. Uroczystość odbywa się na lądzie i na morzu w ten sposób: punkt o godzinie dwunastej przypływa do zatoki żaglowiec zdobny w najrozmaitsze chorągwie i bandery, oczywiście z czarną banderą ozdobioną czaszką i piszczelami wywieszoną na najwyższym maszcie. — To przecież symbol korsarza. Nie tylko sam Gasparilla (podobno nazywał się Gaspar Illa — ale mniejsza o to), ale cała jego załoga składająca się z "krwiożerczych, okrutnych zbójników" (niczym nasze karpackie zbójniki) ubrana według mody piratów, z czerwonymi togami, dużymi trójkątnymi kapeluszami, butami (cholewy z ceraty) pistoletami, ze straszliwymi wąsami

(oczywiście — szkice węglem) z kolczykami robionymi z kółek mosiężnych, zawieszonymi na uszach małą kauczukową tasiemką stoją na pokładzie okrętu. Na żaglowcu znajduje się pełno "dzikich" i bardzo rozbrykanych piratek. W tym wypadku są to najwybitniejsi kupcy i handlowcy miasta Tampa wraz z córkami i żonami. Tak uzbrojeni i udekorowani pijąc wódkę i strzelając z rewolwerów (o skałkowe pistolety teraz trudno) wjeżdżają do portu. Tysiące widzów, od kilku godzin, czeka, po obu stronach kanału, na ów "straszliwy napad" ... korsarzy. Na dany sygnał ryczą wszystkie syreny fabryczne i kolejowe, buczą trąby samochodów, jednym słowem, wszystko bije na wielkie — larum. Ze skuty co chwila walą moździerze i salwy rewolerów. Wszystko wyje, tańczy, dokazuje, a dużo z nowoczesnych towarzyszów Gasparilli już jest mocno — zagazowanych i ledwo się burty trzyma. Zresztą, jak można sobie wyobrazić trzeźwego korsarza?!...

Po "zdobyciu" miasta przez załogę "krwawego" Gasparilli, tworzy się wspaniały pochód, w którym biorą udział wszystkie wielkie organizacje, jak — Izba Handlowa, Rotarians, Kiwanians, Elki itp. Co chwila w pochodzie maszeruje orkiestra w barwnych strojach. Każda wyższa szkoła Florydy ma swój odrębny strój i oczywiście występuje w popisie kontestowym. Wśród pochodu, ku wielkiej uciesze dzieci i dziesiątek tysięcy widzów, uwijają się pajace w groteskowych maskach policjantów, żydów i straszliwych wiedźm. Główną atrakcję stanowią pięknie zdobne rydwany, przedstawiające czy to organizacje, czy też przemysł, handel lub jakąś inną gałąź tutejszego bardzo pulsującego życia. Nigdy nie widziałem piękniejszych okazów. Pierwszym z owych "floats" było miasto Tampa, w kształcie pięknej, niebieskiej gwiazdy; w niej stała i do tysięcy publiczności uśmiechała się bardzo urodna panienka w bogatym stroju. Po bokach były inne mniejsze gwiazdeczki, to przedmieścia — Tampy.

Może najpiękniejszy z tych symbolicznych rydwanów był pomysłem fabryki cygar "Verbena de Tobacco." Przedstawiał okrągłą wiązankę cygar, zawiniętą w przezroczystą — cellophanę. Oczywiście zamiast cygar wstawiono kilka przecudnie pięknych dziewcząt. — Że też to człowiek teraz na swe utrapienie, bo już przeszło pięćdziesiąt "roków" dźwiga na plecach, w jednym dniu widzi tyle piękności i nic na to poradzić nie może. — O młodości moja!... — Co się z tobą stało, gdzieś się ty podziała?!... Panienki na rydwanie były ubrane w srebrne kostiumy, a przyznam, że tego ubrania było — przyjemnie mało, a dziewcząt, o przecudnych wdziękach i liniach — znacznie więcej. Ta cała paka urodnych Hiszpanek w przeźroczystą cellophanę zawinięta, wciąż się powoli obracała, obdzielając swymi

czarującymi uśmiechami w zachwycie wzdychającą publiczność. Ja — mimochodem nadmieniam — wzdychałem najwięcej i otrzymałem w zamian kilka uśmiechów i ... zdjęć fotograficznych.

Na końcu tej przepysznej parady jechali korsarze, strzelając z pistoletów, wznosząc straszliwe okrzyki. Czasem któryś z bandytów zeskakiwał z rydwanu, ciągnionego traktorem i z tłumu porywał urodną panienkę i zabierał na wóz. Dziewczęta tutejsze uważają za szczyt szczęścia — być porwaną przez takiego "okrutnego piratę." W nagrodę otrzymują bezpłatny bilet wstępu na bardzo wykwitny

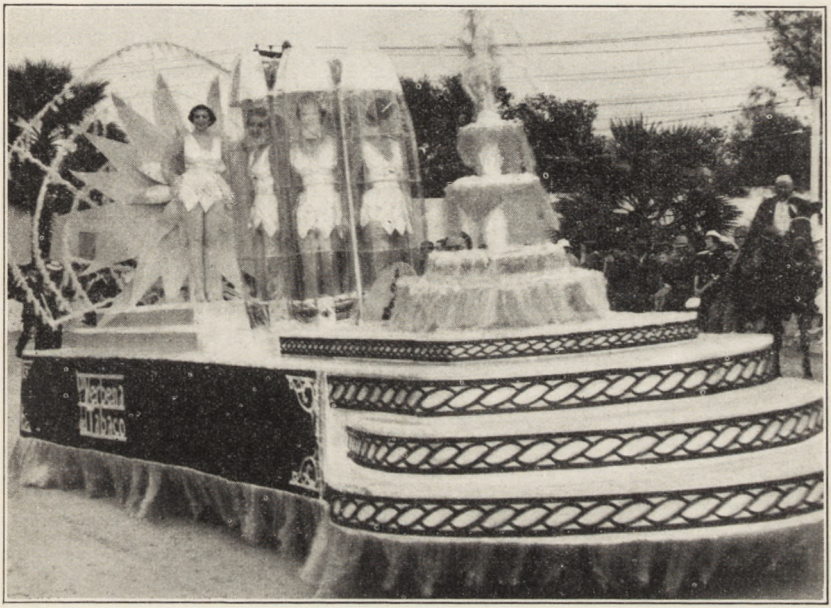

Rydwan fabryki cygar

"bal koronacyjny," gdy dorocznym zwyczajem — ustępuje dotychczasowy król z królową, a jego miejsce zajmuje nowy, zapewne dotychczasowy następca tronu. Na bal można się tylko dostać na osobiste zaproszenie lub jako — "branka," pochwycona podczas parady przez któregoś z korsarzy.

Cały malowniczy festyn trwa kilka godzin, a kończy się przed główną trybuną, na wystawie stanowej. Tam burmistrz miasta, "pod groźbą śmierci," wydaje Gasparilli i jego kompanom klucze miasta. Następnego wieczoru odbywa się bal koronacyjny, na którym jest gubernator stanu, oraz elita miasta i całej Florydy. Dodać należy, że przebieg całej malowniczej uroczystości jest ogłoszony przez radio po całym kraju.

A teraz pomyślcie tylko mili współpodróżnicy i wy dostojni prałaci, dziekani, kanonicy i sufragani, czy któremu z was, coście tak "gorliwie i z poświęceniem" dla dobra ludzkości, dla zbawienia dusz żywot swój poświęcili, czy któremu z was, pytam, chociażby nawet mitrę biskupią, gdzietam mitrę — kapelusz kardynalski dźwigał — czy urządzą na cześć waszą podobną uroczystość?!... Tu ją urządzają bandycie i korsarzowi, który mienie ludzkie zabierał, krew jak wodę przelewał, niewinne dziewice gwałcił i na szubienicy zginął?!.. A nawet pytam, — czy jest jaki święty w niebie, któremu takie owacje urządzają?!...

Wprawdzie na św. Patryka mają paradę na Fifth Ave., w Nowym Jorku; jedzą mięso w poście i piją na zabój jego wielbiciele Irlandczycy. Podobno na św. Januarego Włosi urządzają procesje, ale za to biedaczysko musi się co roku w tym dniu krwią pocić a i cuda czynić, bo w przeciwnym razie nie byłoby procesji. Ale poza tym, któremu ze świętych urządzają takie festyny? Czy o takim św. Szymonie Słupniku, co to w pokorze swej i umartwieniu bez liku i miary, trzydzieści lat na słupie stał i Boga chwalił, czy ktoś nawet wspomni o nim?!... Powiadam wam kochani dygnitarze, że świat się do góry nogami wywraca, a dowodem tego — festyn Gasparilli we Florydzie. Z całej Ameryki zjeżdża tu sto tysięcy widzów, a między innymi i ja byłem tego naocznym świadkiem. Źle się dzieje, ale mimo to: "Niech żyje Gasparilla!"

ROZDZIAŁ X.

## Średnia klasa - Połów gąbek - "Srebrne" źródło Zachodnia Floryda

Podczas kilkutygodniowych wakacji, spędzonych w sezonie zimowym nad zatoką Meksykańską, w Clear Water, wszedłem w bliższy kontakt ze średnią klasą obywateli amerykańskich. Niektórzy przybyli tu dla poratowania zdrowia, inni .... na wypoczynek. Przeważnie byli to dorobkiewicze, ludzie pochodzący z uboższych warstw, ale dzięki intensywnej pracy, oszczędności lub też innym szczęśliwym okolicznościom, dorobili się majątku, wykształcili i wyposażyli dzieci i teraz spędzają beztroskie lata w słonecznej Florydzie.

Wśród nich napotkałem kilka ciekawych typów, których milczeniem pominąć nie chciałbym. Jednym z nich jest p. Gilman, z pochodzenia Francuz. Rodzina wyemigrowała z Francji do Kanady. Osadnicy francuscy opanowali wschodnią część Kanady, wzdłuż rzeki św. Wawrzyńca aż po Montreal. Stolicą "kanadyjskiej francuszczyzny" jest bardzo stare i malownicze miasto Quebec. Potomkowie pierwszych osadników w ostatnich stu latach zaczęli emigrować do Stanów Zjednoczonych i osiedlili się w Nowej Anglii, pracując przeważnie we fabrykach płótna. Przybyli tu także rodzice p. Gilman'a.

Ojciec mu umarł gdy mały Nikodem miał zaledwo sześć lat, w rodzinie było ich sześcioro, on najstarszy. Wiadomo, że rodziny Kanadyjczyków są bardzo liczne. Od samej młodości pomagał matce, wynajmując się do rozmaitych posług. Mało uczęszczał do szkoły, a naukę zdobywał o własnych siłach. Pracował we fabrykach, w sklepach spożywczych, nareszcie sam sklep założył. Opowiadał mi że jeden z jego towarzyszy poszedł do kolegium. Rodzina tego studenta zakazała mu przestawać ze mną podczas wakacji, bo pracowałem we fabryce, a on uczęszczał do szkoły. Ich zdaniem nie wypadało studentowi obcować — z robociarzem. Ale fortuna kołem się toczy. Ten, co poszedł do kolegium, dziś jest subjektem w sklepie korzennym, ten zaś co pracował we — fabryce, jest człowiekiem zamożnym i spędza sezon zimowy we Florydzie. Ale takich dorobkiewiczów, zresztą bardzo zacnych i poczciwych są — tysiące.

Daleko ciekawszy jest sąsiad i przyjaciel Gilman'a, p. Subbo Nickoloff. Jego życiorys warto przyłączyć do książki, jako przykład dla naszej młodzieży, i dlatego tu o nim wspominam. Otóż p. Nickoloff jak mi opowiadał, urodził się w Panigurishty w Bułgarii, za czasów, gdy ten piękny, ale biedny i wojnami znękany kraj jęczał pod jarzmem tureckim. Jako mały chłopczyna pasł bydło, a jego całoroczny zarobek wynosił — korzec pszenicy. Następnie dostał zajęcie u jakiegoś amerykańskiego urzędnika i tam się nauczył cośkolwiek po angielsku i przedewszystkim dowiedział się, że niektórzy z naszych prezydentów byli synami bardzo ubogich rodziców. Prezydent Garfield, jego bohater, żył kaszą, bo go nie stać było na lepsze jedzenie, ale chodził do szkoły, wreszcie został prezydentem Stanów Zjednoczonych. "Jeżeli Garfield — mawiał młody Bułgar — żył na kaszy i chodził do szkoły, to samo potrafi zrobić Nickoloff?" Oszczędzał więc każdy cent, nareszcie uciułał niewielką sumę wystarczającą jednak na bilet do Ameryki. Wylądował w Nowym Jorku z dwoma dolarami w kieszeni.

Willa p. Nickoloffa

Nie gardził żadną pracą; wieczorem tylko chciał być wolnym, by uczęszczać do szkoły wieczornej. Szybko nauczył się po angielsku, a po ukończeniu nauk początkujących postanowił uzyskać wyższe wykształcenie i skończyć kolegium. Znów pracował, oszczędzał, sprzedawał latem książki i czasopisma, by jesienią iść do kolegium. Po paru latach skończył je. Ale że to był widocznie chłopak wyjątkowo ambitny, pragnął dalszych nauk, więc udał się na kursa inżynierii do "Worcester Tech," w Worcester, Mass. Zawsze walczył z biedą, chodził w dziurawych trzewikach, nie miał nawet dziesięciu centów na wypranie zgrzebnej koszuli. Nie dojadał, nie dosypiał, ale postanowienia nie zmienił. Jeden z zamożnych obywateli, widząc niepospolitą energię, udzielał mu pożyczek, które później skrupulatnie, do centa spłacił.

Po paru latach otrzymał stopień inżyniera i zaczął pracować w jakiejś fabryce, jako inżynier. Opatentował kilka ważnych wynalazków, w zamian za to przyjęto go na współwłaściciela i dyrektora fabryki. Reszta zagadki już łatwa do rozwiązania. Teraz jest bardzo majętnym człowiekiem.

Ale nie to chcę tu podkreślić. Mamy tysiące ludzi, którzy przybyli do Ameryki z torbą na plecach, a dorobili się majątku. Krocie tysięcy żydów zaczęło handel w ten sposób. Za rok, dwa, już mieli wóz i konia. Był to może zwykły "szmaciarz." Za parę lat dorobił się kramiku, a teraz jest właścicielem jednego lub więcej wielkich sklepów we śródmieściu. Ta droga jest nam zbyt znana i wcale nie ciekawa.

Nie o samą fortunę rozchodziło się temu niezwykłemu Bułgarowi. Mając już poważną forsę, chciał się jak najlepiej przysłużyć swym ziomkom i swej ojczyźnie. Sprowadzał tu najzdolniejszych studentów z Bułgarii i częstokroć własnym sumptem posyłał ich do amerykańskich uniwersytetów. Wyszkolił kilku adwokatów, inżynierów, lekarzy, a jeden z jego wychowanków zrobił niepospolitą karierę i oddał ludziom cenne usługi. Tym wychowankiem jest doktór D. Atanasoff, obecny szef departmentu rolnictwa w Sofii. Specjalizował się w patalogii roślin czyli studiował choroby roślin, które powodowały nieobliczalne szkody rolnikom i szukał środków na ich leczenie. Jeszcze jako słuchacz uniwersytetu, w Ann Arbor, Mich., zbadał i zastosował odpowiednie środki na zarazę, jaka wtenczas niszczyła pola pszenicy, wyrządzając milionowe straty naszym rolnikom. Następnie rząd holenderski sprowadził go, aby tam jakąś niezwykłą plagę kartofli zbadał i usunął. Obecnie jest szefem departamentu agronomii w Bułgarii. Pracuje nad wyprowadzaniem najlepszych gatunków jagód, owoców i jarzyn, by podnieść rolnictwo w swej ojczyźnie. Doprowadził już do tego, że najsmaczniejsze truskawki, maliny, śliwki i przeróżne owoce bułgarskie wywożą aeroplanami do innych krajów, gdzie przysmaki te idą na stoły możnych. Ofiarowano mu świetne posady na uniwersytetach amerykańskich, woli jednak pracować w Bułgarii, bo to jego ojczyzna. Pobiera on tam jako szef oddziału agronomicznego, "olbrzymią" sumę — trzydzieści pięć dolarów na miesiąc.

Słuchałem tego opowiadania z ust p. Nickoloffa z wielkim zainteresowaniem. Niktby się nie spodziewał, że ten, na pozór bardzo zwyczajny i skromny człowiek, mówiący po angielsku z akcentem obcokrajowca, posiada takie zalety i tak się społeczeństwu przysłużył. Jest to przykład godny naśladowania. Teraz z żoną, Amerykanką, pono wywodzącą swój ród od rodziny Leszczyńskich, zamieszkuje w pięknej willi we Florydzie. Chociaż to człowiek majętny i starszy wiekiem, a mimo to w dalszym ciągu pracuje dla dobra przybranej ojczyzny, jak również swej ukochanej Bułgarii. Przed takim człowiekiem warto schylić czoło. Oby Polska miała jak najwięcej takich Nickoloffów.

We wszystkich większych miasteczkach, w okolicach, gdzie rosną owoce cytrusowe, powstały przetwórnie i magazyny, w których wy-

ciskają i nalewają do puszek sok owocowy lub też czyszczą, sortują i pakują owoce do skrzyń odpowiednich. Zwiedziłem dwa takie przedsiębiorstwa. Tu jeszcze wypada zaznaczyć, że rząd ma to wszystko pod ścisłą kontrolą. W Stanach Zjednoczonych mamy cztery duże rejony, produkujące owoce cytrusowe: Florydę, Teksas, Aryzonę i Kalifornię. Ażeby utrzymać odpowiednie ceny, boć hodowla owoców cytrusowych jest dosyć kosztowna, rząd wyznacza każdemu stanowi kwotę, jaką może wysyłać na rynek. Z nadejściem polecenia rządu kooperatywy czyli t. zw. "packing houses" wysyłają swe auta i ludzi do sadów, celem zrywania owocu. Płacą hodowcom z góry ustaloną cenę, oczywiście im lepszy owoc, tym lepsza cena. Zerwany owoc zabierają do składnic i tam dopiero go sortują. Następnie w dużych kadziach napełnionych wodą z domieszką pewnych proszków chemicznych, owoce myją szczotkami umocowanymi na obracających się wałkach. Inne zaś wałki, oprawne w płótno, ocierają i suszą kręcące się po nich pomarańcze. Potem, ow złoty strumień posuwa się przez gęstą mgłę, drobniutko rozpylonego wosku, który go pokrywa cieniutką warstwą. Po nakropieniu woskiem, owoc politurują zapomocą długich, obracających się wałków. Dopiero tak wywoskowane i wypolitur owane owoce sortują automatycznie w odpowiednio przyrządzonych korytach. Każda pomarańcza wpada do właściwego przedziału. Do jednych skrzyń wpadają największe, do innych średnie, a znów do innych najmniejsze. Owoc sortują wedle tego — ile wejdzie do skrzyni, a więc; największych wchodzi jakie 80 do 100 na skrzynię, zawierającą nieco więcej niż buszel. Następny gatunek t. zw. "średni" zawiera jakie 120 pomarańcz na skrzynię; potem coraz mniejsze, aż do 300. Oczywiście ilość i rozmiar grapefruitów, pomarańczy i mandarynek jest z góry ustalony i wszystkie stany muszą się do tego zastosować.

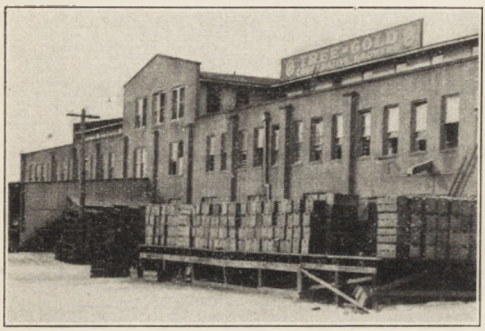

Sortownia owoców

Ponieważ każdy robotnik ma w sortowni wyznaczoną pracę, a owoc jest przesuwany na szerokich pasach, więc też robota postępuje bardzo szybko. Z jednej strony fabryki zajeżdżają duże auta, naładowane świeżym owocem, a z drugiej strony leżą ogromne stosy naładowanych skrzyń gotowych do wysyłki na rynek.

Każde duże przedsiębiorstwo posiada własną markę ochronną (trade mark) a więc, z Kalifornii idą "sun kissed oranges" — poma-

rańcze słońcem całowane — z Florydy zaś "tree gold" — złoto z drzewa — i inne. Oczywiście hodują tu kilkanaście gatunków każdego owocu, jedne rychlejsze, inne późniejsze; jedne mają dużo pestek inne są bez pestek, jedne są słodkie, inne kwaskowate. Ale to już specjalności należące do hodowców. Przeciętny konsument wie tylko, że jedne są smaczne, a inne nie tak dobre.

W Stanach Zjednoczonych spożywamy bardzo dużo owoców. W ostatnich kilkunastu latach, zamiast sobie zadawać fatygę z obieraniem łupiny, czy też wydłubywaniem miąższu i soku z takiego — grapefruita (cytronu), dla pośpiechu, na śniadanie, ludzie piją sok pomarańczowy czy grapefruitowy. Blaszanki z sokiem można teraz kupić w każdym sklepie korzennym czyli w naszej "groserni."

Zaglądnąłem do przetwórni owocowej. Duże, dojrzałe, słodziutkie pomarańcze czy grapefruity automatycznie rozcina nóż i ustawia pod prasę, która sok wyciska, a łupinę odrzuca. Wyciśnięty sok ogrzewają do pewnej temperatury, zapewne dla "pasteryzacji." Gorący płyn nalewają do blaszanek, posuwanych naprzód na dużym pasie, maszynka nakłada pokrywę i hermetycznie ją lutuje. Po obmyciu blaszanki, nalepiają etykietę, wkładają do papierowych pudełek i towar jest gotowy na eksport.

Dwadzieścia mil na północ od Clear Water jest bardzo osobliwe miasteczko, Tarpon Springs. Główną atrakcję stanowi tu połów gąbek (sponges). Miasteczko, liczące zaledwo cztery tysiące dusz i to przeważnie Greków, jest największym środowiskiem połowu gąbek na kuli ziemskiej. Roczny obrót sięga niemal miliona dolarów.

Gąbki

Połów gąbek na morzu Śródziemnym jest znany od wielu wieków, nawet w Piśmie św. jest o tem wzmianka. W Ameryce założycielem tego przemysłu był Jan K. Cheney. W roku 1890-tym rozpoczął na małą skalę połów gąbek przy brzegach Florydy. Wtenczas jeszcze nie używano nurków do ich połowu. Wydobywano je przy brzegu zapomocą haków. Gąbki jak wiadomo są szkieletami żyjątek morskich.

Gąbka, którą się kupuje w składzie czy aptece, przeszła już poważną metamorfozę. Świeżo złowione gąbki są ciemno-szare, napełnione kleistą cieczą, a czasami pokryte czarną błoną. To trzeba na słońcu wysuszyć, z piasku i wapiennych osadów oczyścić, następnie

zapomocą rozczynów odpowiednio, apetycznie ukolorować. Najlepsze gąbki łowią w głębszych wodach, od stu to stu dwudziestu stóp głębokości. Dobra "wełniana" gąbka jest koloru żółtawego, miękka i nie posiada zbyt wielkich dziurek i dlatego jest najdroższa.

Gdy tu byłem po raz wtóry w lutym, w przystani zebrała się niemal cała "grecka" flota — łowców gąbek. Na małych, specjalnie urządzonych okręcikach odczytywałeś nazwy, przypominające starego Homera czy innego Greka, którym niepotrzebnie "torturowano" studentów. Tutaj w okresie zimowym przypada w kościele prawosławnym jakaś uroczystość ku czci Ducha św. Punktem kulminacyjnym tej uroczystości jest dosyć ciekawa ceremonia "wyławiania krzyża." Ksiądz prawosławny, ubrany w szaty kościelne, przychodzi do zatoki, poświęca okręty i łowców, a po skończonych modlitwach rzuca krzyż do morza. Młodzi rybacy wskakują do wody, by go odnaleźć. Ten, co z głębi wody krzyż wyłowi — według ich tradycji — będzie miał bardzo szczęśliwy połów. W każdym razie dla Amerykanów jest to bardzo niezwykła ceremonia.

Chodząc po tej małej mieścinie, masz wrażenie, że jesteś w jakimś greckim miasteczku. Napotykasz piękne, śniade, wąsate typy greckie, słyszysz mowę grecką, w restauracjach możesz się napić dobrej kawy, na modę grecką czy turecką przygotowanej. Są i potrawy ze starej Achai, jednym słowem — jesteś w Grecyi. Tylko młodzież, jak zresztą młodzież wszystkich narodowości, rozmawiała po angielsku i na pustych polach — "lotach" — grała nasz czysto amerykański baseball. A pamiętajcie, że to dopiero luty.

Po uroczystościach kościelnych łowcy gąbek wybierają się na połów. Na każdym okręciku pracuje czterech nurków, kucharz, kapitan i jeszcze jeden pomocnik. Wyprawa i pobyt na wodach zatoki Meksykańskiej trwa nieraz kilka miesięcy. Małe żaglowce są zaopatrzone w motory spalinowe i wszelkie przyrządy, pompy, liny, kosze potrzebne do pracy pod wodą. Nurek spuszcza się jakie sto kilkadziesiąt stóp na dno morskie i wycina gąbki, znajdujące się między kamieniami, składa je do kosza a współpracownicy wyciągają zdobycz na powierzchnię. Trzeba przy tem uważać, aby się nie przerwała rura gumowa dostarczająca nurkowi powietrza, a czasem to i głodny rekin takiego jegomościa napadnie, ale to rzadko się zdarza.

Praca w głębi oceanu jest bardzo wyczerpująca, dlatego też nurek bez przerwy nie pracuje dłużej niż godzinę. Drugi wtenczas zajmuje jego miejsce i tak idzie dzień za dniem, aż okręt napełnią gąbkami. Dopiero wtenczas wracają do portu. Cały połów sprzedają na licytacyi lub też przechowują w składnicach, czekając na lepsze ceny.

W miejscowych sklepach można kupić nie tylko najrozmaitsze gatunki gąbek, ale także różne, bardzo nieraz piękne muszle i inne wodne inkrustacje. Ponieważ przybywa tu dużo turystów, a każdy coś na pamiątkę kupuje, więc tutejsi sklepikarze, a pono są jeszcze sprytniejsi od naszych żydów, robią świetny interes.

W dalszą podróż jedziemy drogą Nr. 19 przez Brookfield, Iverness, Dunellon do Ocala, by zwiedzić niezwykłe źródło, a właściwie rzekę, która tu z pod ziemi wypływa. Nazywa się — Silver Springs — Srebrne Źródło. Jadąc w kierunku północnym, opuszczamy rejon sadów pomarańczowych i wracamy do terenu żółtych sosen i palmettów.

Okręciki do połowu gąbek

Florydzkie krajobrazy unieśmiertelnił na swych płótnach, słynny amerykański malarz, George Inness, który w pobliżu Tarpon Springs miał swą pracownię. Piękna kolekcja jego obrazów znajduje się w muzeum chicagoskim.

Ta część Florydy to kraj pod względem topograficznym nieciekawy, a nawet, do pewnego stopnia monotonny. Zato posiada pewien historyczny urok, gdyż był terenem walk w bitwach z plemieniem Seminolów. Koło miasteczka Iverness Indianie pod wodzą Osceoli z zasadzki napadli na oddział wojsk amerykańskich, liczący stu dwudziestu żołnierzy i w pień go wycięli. Z całej wyprawy zaledwo trzech ciężko rannych żołnierzy zostało przy życiu. Blisko obecnego miasteczka Ocala, Osceola zamordował generała Thompsona i jego adjutantów, o czym już poprzednio pisałem. Lata całe w tych naonczas dzikich, bagnistych okolicach trwała walka podjazdowa plemienia Seminoles z wojskiem rządowym. Straciliśmy w potyczkach i wypadach ponad twa tysiące żołnierzy, a dużo zapewne zmarło z powodu chorób, szczególnie żółtej febry. Kosztowała nas ta wojna jakieś siedm milionów dolarów, — chociaż przed stu laty wojny były "tańsze," niż teraz — i nic nie wygraliśmy. Przy końcu udało się naszym wojakom pochwycić kilka transportów kobiet, dzieci i trochę starych Indian. Wodza szczepu Seminolów — o czym już także pisałem, — wzięto do niewoli podstępem i osadzono w fortecy Moultrie, gdzie w kilka lat umarł i tam jest pochowany. Na pamiątkę "indiańskiej rzezi" naszych żołnierzy stan urządził tu piękny park — Dade Memorial Park, a jeżeli sobie dobrze przypominam, to w West Point znajduje się niewielki pomnik ku czci tego oficera, który tę nieszczęśliwą ekspedycję prowadził i tu zginął.

Rząd federalny chce tu przekopać kanał, by połączyć zatokę Meksykańską z oceanem Atlantyckim. Już nawet rozpoczęto roboty, wydano kilka milionów dolarów na budowę kanału, tylko teraz odłożono sprawę — ad calendas graecas. Kanał projektowano w tym celu, aby skrócić podróż morską z miast położonych nad zatoką Meksykańską do Nowego Jorku i innych portów nad Atlantykiem. Kanał projektowano dlatego, że na południe od Florydy jest pełno podwodnych raf i skał. Podczas gwałtownych burz i huraganów niejeden okręt się tam rozbił i poszedł na dno morskie. Jednakowoż w samej Florydzie wytworzyła się silna opozycja względem tego projektu, niby z tego powodu, że taki kanał prawdopodobnie przeciąłby podziemne rzeki i olbrzymie źródła, które zasilają i zaopatrują w wodę miasta i sady owocowe środkowej Florydy. Więc narazie jest zastój, zresztą "czasy się polepszyły" i niepotrzeba wyszukiwać niepraktycznych rządowych poczynań.

Przed pięćdziesięciu laty odkryto w tych okolicach olbrzymie pokłady soli potasowych i teraz na wielką skalę eksploatują te sztuczne nawozy tak potrzebne naszym rolnikom.

W północno-środkowej części Florydy jest bardzo miłe, stosunkowo stare miasteczko Ocala. Nazwa oczywiście indiańska, gdyż od tysięcy lat zamieszkiwały w tych okolicach szczepy autochtonów. Przedhistoryczne plemiona należały do szczepu Timucua, których jednak pokonali Seminolowie, mieszkający więcej na północ. Pierwszym z białych odkrywców, który tu przybył i zwiedził te okolice, szczególnie to największe źródło na świecie, był Hernando de Soto. Prawdopodobnie właśnie to źródło mieli na myśli Indianie, gdy opowiadali Ponce de Leonowi o jego odmładzających właściwościach.

Pojechaliśmy zobaczyć tę największą atrakcję całej Florydy. Jakie sześć mil za miasteczkiem Ocala, przed stu laty, miał tu rząd swą placówkę i fort dla obrony przed napadami Indian. Tu też powstały pierwsze osiedla białych; pierwsze składy aprowizacyjne, a przed pięćdziesięciu laty pierwsze hotele, do których zjeżdżali liczni turyści, by się kąpać w ciepłych wodach już nie powiem — "źródła," ale dużej podziemnej rzeki.

W południowej części Georgii znajdują się olbrzymie moczary Okefenokee swamp — z których, według twierdzeń rzeczoznawców, wody ściekają do podziemnej rzeki i tu dopiero z pieczary 65 stóp długiej i 12 stóp wysokiej wydobywa się to niezwykłe źródło, czystej jak kryształ wody, wciąż o równej temperaturze 23 — stopni C.

Z tego niezwykłego źródła urządzono bardzo miłe miejsce wycieczkowe. Szeroka, drzewami wysadzana aleja wiedzie do obszernego pawilonu kąpielowego, zbudowanego nad piaszczystym brzegiem, powiedziałbym — małego, kryształowego stawku. Źródło w niektórych miejscach dochodzi do 80-ciu stóp głębokości i, zdaje się,

że rzeczka — Silver River — jest w rzeczywistości jedyną na świecie spławną rzeką aż do samego źródła.

Kilka specjalnej konstrukcji motorówek, pędzonych elektrycznymi motorami, o szklanych spodach, obwozi turystów po tym czarownym źródle. Turyści wygodnie usadowieni, mogą swobodnie obserwować faunę i florę wodną. Widzi się tu najrozmaitsze gatunki ryb, krzewów, roślin i wodnych kwiatów. Miejscami napotyka się jakieś przedpotopowe kośćce mamutów i nieznanych już zwierząt. Za dolarową dopłatą można urządzać wygodne motorowe wycieczki do niezwykłej wodnej dżungli. Wśród mchem pokrytych cyprysów oraz innej tropikalnej roślinności, można oglądać różnobarwne i niezwykłe ptactwo wodne, krokodyle, żółwie, a tych jest tu ogromna

"Srebrne źródło"

ilość i rozmaitość; czasem po wodzie przesunie się trujący wąż wodny, mocassin. Ponieważ w rzekach, zatokach i bagnach jest jeszcze dużo jadowitych żmii, dlatego też niemal w każdej aptece we Florydzie można kupić serum przeciwdziałające ich truciznie. W Ocala mają nawet laboratorium, w którym "doją" z trucizny żmije i przygotowują z ich jadu niezbędne lekarstwa t. zw. "antivenom." Źródło i niezwykłą przejażdżkę motorówką po Srebrnej rzece uznają wybitni turyści jako jedną z największych atrakcyj w Stanach Zjednoczonych.

Powstała tu nawet bardzo ciekawa i romantyczna legenda, którą w streszczeniu podaję.

Stara, bo przeszło stuletnia murzynka, "Ciotka Silla," zmarła kilkanaście lat temu, opowiadała przybyłym turystom niezwykłą przygodę, która się z czasem przemieniła w legendę. — Zresztą, każda

nadzwyczajna góra, rzeka, wodospad, kanion ma przecież swą legendę, więc i to źródło nie może być wyjątkiem. — Otóż według opowiadań starej murzyńskiej niańki, przed wielu laty, mieszkał w tych okolicach bogaty plantator trzciny cukrowej. Podczas wojny domowej była tu cukrownia zaopatrująca w cukier armie południowców. Ten bogaty plantator (kapitan Douglass) miał syna jedynaka. Ojciec był surowy, pełen energii, syn zaś podobny do matki, był poetycznego, sentymentalnego usposobienia. Młodzieniec ten przychodził nad brzeg źródła, by tu szukać ukojenia. Przypadkowo zauważył piękną, złotowłosą dziewoję, która na widok młodzieńca, czym prędzej uciekła i schowała się w biednej chacie murzynki. Po dłuższych zabiegach i staraniach murzynka uległa prośbom młodzieńca i zapoznała młodego Claira z piękną, nieśmiałą i ubogą — Bronisławą Mayo. Ojciec, dowiedziawszy się o potajemnym romansie jedynaka z biedną dziewczyną postanowił zerwać te miłosne pęta. Wysłał więc syna do Francji, by tam zapomniał o swej kochance. Ten jednak przed wyjazdem przyrzekł swej ukochanej, że o niej nie zapomni i będzie stale do niej pisywał. Ojciec jednak listy zabierał, a dziewczę, myśląc, że kochanek nią wzgardził, z tęsknoty i melancholii poczęło zapadać na zdrowiu. Pogrążona całymi dniami w zadumie, spoglądała w srebrzystą taflę wielkiego źródła. Gdy już dogorywała, prosiła starą murzynkę, by po śmierci wrzuciła jej ciało do głębokiej, podwodnej pieczary. Murzynka z drżeniem wypełniła jej przedśmiertne życzenie.

W krótce po śmierci dziewczyny przybył jej stęskniony kochanek. Z rozpaczą pytał się sędziwej murzynki, co się stało z jego kochanką, gdyż od lat nie otrzymał od niej ani jednego listu, chociaż sam często do niej pisywał. Z płaczem opowiedziała mu wszystko, i gdzie ją pochowała. Młody Douglass czym prędzej popłynął na miejsce, gdzie została pochowana jego narzeczona. Na dnie jak kryształ czystego a ośmdziesiąt stóp głębokiego źródła zobaczył bladą twarz swej kochanki i jej rękę ku niemu z głębi wody wyciągniętą. Na ręce, jak brylant, jeszcze błyszczała bransoleta, którą jej przed odjazdem ofiarował jako znak miłości. Rzucił się więc z czółna w głąb wody, by wydobyć martwe ciało narzeczonej. Ta jednak chwyciła w swe ramiona zbolałego kochanka i w ostatnim uścisku i śmiertelnym pocałunku... zostali obydwoje na zawsze. Źródło pokryło ich grób skałą i rzuciło na mogiłę pęki wodnych kwiatów... Turystom pokazuje się teraz, głęboką, czystą jak kryształ pieczarę, która się odtąd stała... pieczarą kochanków!...

Rząd amerykański posiada kilku ekspertów, którzy się włóczą po najodleglejszych krańcach kuli ziemskiej, wyszukując nieznane kwiaty, krzewy, owoce i drzewa. Dzięki im sprowadzono do Stanów Zjednoczonych, tysiące najrozmaitszych roślin, a niektóre rozkrze-

wiono szeroko po kraju. Jednym z takich zagranicznych — "forejnerów" jest — sprowadzony aż z Południowych Chin i nazywa się — tung nut. Z orzechów tego drzewa wyciskają olej, używany w produkcji pokostów i kosztownych farb; nazywają go — "tung oil." Okazało się, że północno-środkowa część Florydy posiada ziemię i klimat odpowiedni do hodowli tego pożytecznego drzewa. Dotąd sprowadzaliśmy z Chin miliony litrów tego oleju, teraz zaś już znaczną ilość produkujemy we Florydzie. Zapewne, za kilkanaście lat, hodowla tych drzew stanie tu na równi z hodowlą pomarańcz i innych tropikalnych owoców. Miasteczko Gainesville jest środowiskiem tego przemysłu. Wszędzie widać młode sady tych pożytecznych drzewek.

Nad Florydą po kolei panowało pięć sztandarów. Pierwsi przybyli Hiszpanie z Ponce de Leonem i Hernandem de Sotą na czele. Następnie, przez pewien czas rządy sprawowali Francuzi, po nich zawitali Anglicy. Generał Andrew Jackson wypędził Anglików, a zatknął sztandar gwiaździsty Stanów Zjednoczonych. Podczas wojny domowej zastąpiono go, przez cztery lata, sztandarem południowców, a po wojnie niepodzielnie znów wrócił — sztandar gwiaździsty.

Stolica stanu, Talahassee, przez którą wiedzie nasza droga, znajduje się w północno-środkowej części Florydy, niedaleko granicy Georgii. Okolica jest bardziej pagórkowata i pod względem topograficznym więcej malownicza od tych południowo-środkowych moczarów, po których się dotąd włóczyliśmy. Sady pomarańczowe zastąpiono uprawą ziemi; szczególnie hodowla bydła i drobiu więcej się rzuca w oczy, niż w południowych powiatach. Klimat oczywiście może nie tak gorący, jak w Miamie czy Key West, ale zawsze zimą i latem bardzo umiarkowany; nie znają tu ani zbytnich upałów ani też wielkich mrozów.

Ponieważ w tych okolicach były stare osiedla Indian, a także pierwsze osady Hiszpanów, następnie Francuzów, amatorzy historycznych zabytków mogliby tu spędzić kilka dni z pożytkiem i przyjemnością. Na jednym z tutejszych cmentarzy spoczywa wraz z małżonką książe Achilles Murat, syn słynnego marszałka z wojen napoleńskich, siostrzeniec Napoleona. Przybył on tu po upadku wielkiego cesarza. Tak samo w stanach południowych tułał się syn marszałka Neya. Niektórzy nawet przypuszczają, że był to sam marszałek, w co jednak wątpić należy, gdyż tego rewolucjoniści francuscy zastrzelili. Dotąd sięgały więc wpływy francuskie, których ogniskiem było miasto Nowy Orlean, w Louisianie.

Talahassee nie posiada nic zbyt ciekawego. Jest to sobie miłe nowoczesne miasteczko, mające dużo pięknych szkół, kościołów, parków, a w samym centrum miasta jest kapitol zbudowany z cegły i to jedyny ceglany kapitol w Stanach Zjednoczonych. Dwadzieścia

mil na południe od Talahassee znajduje się duże źródło, podobne do Silver Springs. Według obliczeń rzeczoznawców ze "srebrnego źródła" płynie przeszło dwadzieścia dwa miliony galonów wody na godzinę (galon ma w przybliżeniu dwa litry).

W okolicy Talahassee było kilka bitew podczas pierwszej wojny ze szczepem Seminoles, a także podczas wojny domowej toczyły się tu bardzo krwawe walki — ostatnie na terenie Florydy. W pobliżu stolicy hodują dużo tytoniu posiadającego bardzo delikatne, cienkie jak bibułka liście — sumatra, używanych do obwijania cygar.

Jadąc przez zachodnią część Florydy, przekroczyliśmy dużo szerokich, mętnych rzek! A ponieważ tu są ziemie niskie i błotniste, więc każda z nich unosi do zatoki Meksykańskiej tysiące ton gliny i mułu. Jedna wstrzymała nas na chwilę jedynie dlatego, że przypominała mi moje studenckie lata. Rzeka nazywa się — Suwanee River. Przed czterdziestu laty, gdy to człek był "piękny i młody," piosenka "Way down upon the Suwanee River, far, far away" była bardzo popularną. Śpiewaliśmy ją na całe gardło, chociaż wówczas nie wiedziałem nawet, gdzie się ta rzeka znajduje. Teraz znów nie pamiętam — cośmy tak ciekawego o tej rzece śpiewali. Na żelaznym moście umieszczono pierwszy wiersz tej melodyjnej, a tak ongiś popularnej piosenki. Patrząc na "mętne fale" Suwanee — myślałem o tych czasach i kolegach, którzy przed czterdziestu laty zasiadali ze mną na ławie szkolnej starego, a tak nam miłego Seminarium w Detroit. Może równie ciekawym korytem popłynęło ich życie!...

Rzeka Apalachicola stanowiła kiedyś granicę między wschodnią i zachodnią Florydą. Jej ujście i zatoka Apalachicola Bay posiadają dużo historycznych zabytków. Tu się wałęsali hiszpańscy odkrywcy, tu walczyli pionierzy z Indianami, tu nawet zbuntowani i awanturniczy murzyni przemocą zajęli twierdzę i trzeba ich było z niej armatami... wykurzyć. Jedna z kul armatnich uderzyła w magazyn z prochem. Wyleciała w powietrze część fortu, a z nią poszło 270 murzynów, reszta się poddała i zdaje się... zawisła na stryczku.

Na wzmiankę także zasługuje doktór John W. Gorrie, który się tym wsławił, że w roku 1848-ym, podczas jakiegoś zjazdu, aby zachować potrzebne wiktuały, szczególnie mięso przed zepsuciem, wynalazł sztuczną chłodnię, używając do tego lodu. Tym sposobem powstały nieco później nasze lodem ochładzane wagony kolejowe, używane do przewożenia świeżego mięsa i wszelkich jarzyn i owoców. Postawili mu tu pomnik zaznaczając, że on właśnie jest "ojcem" tak dziś szeroko zastosowanego sztucznego ochładzania. Oczywiście teraz w lodówkach, znajdujących się niemal w każdym domu wytwarzamy sztuczny lód zapomocą motorów elektrycznych i odpowiednich preparatów amoniaku.

ROZDZIAŁ XI

## Pensacola - Alabama - Mobile - Polowanie na kaczki - Kolonia francuska.

Zatrzymaliśmy się na noc w obszernych, wygodnych kabinach w miasteczku Marianna. Rano, gdyśmy ruszali w dalszą drogę, zaczął padać drobny deszczyk, który chwilami zamieniał się w poważną ulewę. A że droga była wyśmienita, więc deszcz czy taki czy owaki zbyt wielkiej trudności nam nie sprawiał. Zato trzeba było jechać z przeciętną szybkością tylko trzydzieści mil na godzinę, co dla mnie, w gorącej wodzie kąpanego, było prawdziwym umartwieniem. Jestem zawsze w dobrym humorze, gdy szybkomierz wskazuje cyfrę 60, a czasem siedmdziesiątki dotyka. Wtenczas wiem, że gdzieś jadę i że tam się na oznaczony czas stawię. Przeglądając mapy i obliczając odległość, takiej nabrałem wprawy, że mogłem niemal co do minuty obliczyć czas, o którym przyjedziemy do danej miejscowości. Więc też pamiętajcie, że z nie byle jakim szoferem jedziecie, tylko — z ekspertem, który podczas całej podróży (18,500 mil) nawet błotnika nie zadrasnął.

W ulewnym deszczu mijamy miasteczko Pensacola. Rząd nasz zbudował tu olbrzymi port morski i wielką stację lotniczą. Tu się ćwiczą nasi lotnicy wojskowi, a specjalnością jest lotnictwo na morzu w łączności z flotą wojenną.

Pamiętam, a jest to już kilkanaście lat temu, niby dla świętej zgody, wszechświatowego pokoju i międzynarodowego "ograniczenia zbrojeń" topiliśmy nasze własne okręty wojenne dlatego, aby admirałom japońskim we śnie nie przeszkadzały. Nasi lotnicy otrzymali depeszę, że do brzegów amerykańskich płynie kilka okrętów wojennych. Mieli je wyszukać i... zatopić. Latali, niby bąki, nad całym oceanem Atlantyckim, ale jakoś nie mogli się tych "nieprzyjaciół" dopatrzyć. Trzeba im było dokładnie wskazać pozycję okrętów. Wtenczas dopiero, niby zaciekłe szerszenie, rzucali się na stalowe kadłuby niedokończonych pancerników, za które zapłaciliśmy grube miliony dolarów. Z tym był kłopot, że tak fatalnie rzucali bomby i to z nie wielkiej wysokości, że nie potrafili trafić w te pływające tarcze. Przynajmniej prasa sobie używała na celności i sprawności naszych lotników. Przypuszczam, że od tego czasu się poprawili.

Wnioskuję, że Pensacola stanowi bazę obronną nietylko zatoki Meksykańskiej, ale w razie potrzeby, te nowoczesne ptaki niebieskie mogłyby się znaleźć za godzinkę w Hawanie, a za parę godzin nad kanałem panamskim. Z powodu ulewy nie mogliśmy jednak zwiedzić lotnisk i starych zabytków, tylko pchaliśmy się naprzód w tej nadziei, że się wypogodzi. Pensacola jest na granicy Florydy i Alabamy.

Gdy wymierzano granice poszczególnych stanów w pobliżu oceanu czy też zatoki Meksykańskiej, zawsze uwzględniano ten fakt ekonomiczny — by każdy stan miał dostęp do morza, chociażby mu trzeba było jakiś "korytarz" wyznaczyć. Alabama właśnie takim stosunkowo wąskim korytarzem przeciska się między Florydą i Louisianą do zatoki Meksykańskiej. Posiada też bardzo duży, wygodny port w mieście Mobile, do którego teraz w deszczu pospieszamy.

Krajobraz się nie zmienia. Często jedziemy teraz przez okolice pagórkowate, pokryte sosną i palmettem. Drzewa wciąż podtrzymują na gałęziach pęki hiszpańskiego mchu. Gdy się go zbyt dużo uwiesi, wówczas botaniczna gościnność kończy się fatalnie, bo drzewo pozbawione powietrza, poprostu się dusi i umiera. Kilkakrotnie napotkaliśmy połacie suchych lasów, gęsto pokrytych zwieszającymi się wiechciami mchu. Okoliczni farmerzy zbierają go na podściółkę dla bydła, a także do opakowywania mebli i najrozmaitszych towarów. Bieda z tym, że trudno się wspinać po niego na wysokie drzewa. Ale sądząc z tego, co widzieliśmy, jestem przekonany, że mamy dosyć mchu, aby całą Amerykę nim wypchać.

Nie dosyć na tym, że niemal cały dzień mieliśmy kłopot z deszczem, ale jeszcze trzeba było robić — detour czyli zbaczać z głównej drogi, którą wtenczas naprawiano. Diabeł Twardowskiego z taką samą "ochotą" buchnął do święconej wody, jak ja wjechałem na tę wyboistą, a dzięki deszczowi błotnistą drogę. Wlekliśmy się z kacerka w kacerek, z dołu w dół. Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby nie to, że akurat w tym czasie jechało dużo aut w przeciwną stronę. Zwykły pasażer jeszcze miał jaki taki wzgląd na siebie i na przeciw sobie jadącego turystę. Ale "troki" (auta ciężarowe) na nikogo nie zważają, tylko pędzą jak na złamanie karku. Mijaliśmy właśnie jeden z nich w nieco większej kałuży i tak nas bestya ochlapał, że chwilowo myślałem, żeśmy wpadli do morza. A że to był dzień ciepły, chociaż dżdżysty, więc też wszystkie okna samochodu były natenczas otwarte. Ale nas bestya zbabrał. Mniejsza z szoferem, ale minister spraw wewnętrznych, jadący w tylnym siedzeniu, otoczony walizami, walizeczkami i torebkami, był, a raczej była przyzwoicie ubrana i tu za jednym zamachem wszystko — diabli wzięli, bo kapelusz, suknia, walizy, jednym słowem — wszystko, błotem zachlapane. Oj! co się temu szoferowi, prowadzącemu samochód ciężarowy, dostało, tego by

nawet na wołowej skórze nie spisał; może go jeszcze dziś od tych wymyślań uszy świędzą. Odtąd i ja na nikogo już nie zważałem, ale z jakąś diabelską zaciekłością naciskałem na gazolinę i chlapałem wszystkich i wszystko. Nietylko deszcz, ale ów dziesięciomilowy detour popsuł nam humor, bo kolega, ks. Wojcieszczuk, do śpiewu stracił ochotę, a "minister spraw wewnętrznych" pogrążył się w złośliwym milczeniu. Ja znów miałem dosyć kłopotu, aby przez zabryzganą szybę dojrzeć trochę dziurawej, a błotnistej drogi. Ale co znaczy — dziesięć mil, wobec ośmnastu tysięcy bardzo uczciwych, suchych, a świetnie wykończonych dróg?!... To, że czasem chwilowo wjeżdżało się na jakąś boczną drogę, tym więcej uprzyjemniało podróż i tym więcej ceni się ów postęp w budowie dróg, jaki się wszędzie widzi od czasu, gdy samochody stały się już nie luksusem, ale niezbędnym środkiem lokomocji. Samochodami, niby krew w ludzkim ciele, kursuje życie i handel amerykański.

Alabama wciska się wąskim pasem, niby korytarzem, między Florydę i Louisianę. Miasto Mobile, do którego teraz pospieszamy, jest jedną z najstarszych osad francuskich nad zatoką Meksykańską. Nosiło rozmaite nazwy jak: Movila, Mauville itp. Również Alabama nie miała przez dłuższy czas ustalonej nazwy, bo w starych kronikach pisali Alibamon, Alibamou, Alabamu itp. Etnologowie twierdzą, że nazwa miasta Mobile, jak również stanu Alabama pochodzi od Indian. W narzeczu Choctawów, którzy tu kiedyś zamieszkiwali, "alba ayamule" oznacza — oczyszczanie zarośli czyli, że tubylcy poniekąd zajmowali się oczyszczaniem i uprawą roli.

Dopiero po drugiej wojnie z Anglią i po zwycięstwie generała Andrzeja Jacksona — bohatera całej południowej połaci Stanów Zjednoczonych — ustaliliśmy tytuł własności do terytoriów na wschód od rzeki Mississippi, a więc do Louisiany, Florydy, Alabamy i sąsiadujących stanów.

Sad drzew orzechowych — pecans

Co do obszaru, Alabama obejmuje ponad pięćdziesiąt tysięcy mil kwadratowych, a posiada blisko trzy miliony ludności. Do niedawna był to przeważnie stan rolniczy. Hodowla bawełny była i jest jeszcze najważniejszym produktem. Poza tym idzie trzcina cukrowa, orzechy ziemne (peanuts) a także sady — orzechów — pecans, a w ostanich kilkudziesięciu latach w północno-środkowej części stanu, w okolicy miasta Birmingham, powstały duże konsorcja

stalowe. Alabama posiada bardzo bogate pokłady rudy żelaznej, a tuż obok złoża węgla. Taka kombinacja zawsze prowadzi do rozwoju przemysłu i handlu. Gdy się jeszcze uwzględni ten fakt, że ogromne tamy na rzece Tennessee zaopatrzą Alabamę i sąsiednie stany w prąd elektryczny, a także sztuczne nawozy, możemy sobie wyobrazić, że za następne 50 lat stany południowe, na razie dosyć biedne staną się olbrzymim środowiskiem przemysłu i handlu. Już teraz coraz więcej tkalni i fabryk produkujących płótna, przenosi się na południe, gdzie się znajdują niewyczerpane zapasy surowca, przytym — tani robotnik. Rzeki Mobile i Tombigbee stanowią ważną linię komunikacyjną, wiodącą w głąb kraju. Nimi bowiem, na tratwach i dużych promach, przewożą bawełnę i inne towary do tej obszernej zatoki z nowoczesnymi urządzeniami. Pięćdziesiąt linij okrętowych rozwozi produkty Alabamy po całej kuli ziemskiej.

Stolicą Alabamy jest miasto — Montgomery, tak nazwane ku czci generała Montgomery, bohatera naszej walki o niepodległość. Zginął w ataku na miasto Quebec. Oczywiście Alabama przyłączyła się do stanów południowych, które stanęły do walki w wojnie domowej. Bardzo długim, bo dziesięciomilowym mostem — Cochrane Bridge — wjeżdżamy do Mobile. Przy końcu wojny stało się ono terenem krwawych bitew. Zatoka Mobile jest bardzo duża, ale u jej ujścia jest kilka wąskich, ale długich wysp, które południowcy silnie obwarowali. Trudno się tu było dostać, gdyż poza fortecami założono jeszcze miny podwodne. Admirał Farragut z ośmnastu okrętami wojennymi, w tym były cztery żelazne pancerniki, zaatakował twierdzę, broniącą dostępu do portu. Ażeby tym lepiej obserwować przebieg walki, admirał kazał się przywiązać do masztu. Jeden z okrętów bojowych uderzył o minę i wyleciał w powietrze. Inne okręty na chwilę się zawahały — co robić?! Wtenczas admirał wypowiedział bardzo dosadny, a pamiętny rozkaz: "Do piekła z torpedami, — płyńcie naprzód" — "Damn the torpedoes — go ahead." No i popłynęli. Zabrali lub zniszczyli okręty południowców, a po dwutygodniowych walkach na lądzie i na morzu zajęli miasto. W tym samym czasie generał Lee składał broń pod Appomattox.

Hiszpanie tu się wałęsali w roku 1519-tym, pod wodzą już dobrze nam znanego Hernanda de Soto, współtowarzysza Pizarra, zdobywcy Peru. W miejscu, gdzie teraz jest miasto Mobile, napotkali silnie obwarowaną osadę indiańską i stoczyli z jej mieszkańcami bardzo krwawą bitwę, zanim się mogli posunąć w głąb kraju. Widać, że chwackie to były chłopy z tych Indian, bo Hiszpanie nazwali tę połać kraju "Tierra de Gigantes" — czyli — Kraina Olbrzymów.

Dopiero w roku 1699-tym, przybyła tu silna wyprawa francuska pod wodzą awanturniczego, a dzielnego Jean Baptiste Le Moyne,

Sieur de Bienville. Założono kolonię francuską i nazwano ją ku czci "Le Grande Monarque" — Ludwika XIV-go. Nazwano twierdzę Fort Louis de la Mobile. Mobile jest najstarszą osadą francuską nad zatoką Meksykańską. Dopiero stąd udali się koloniści na rzekę Mississippi, by założyć miasto New Orleans, do którego wkrótce zajedziemy.

Nie będę tu opisywał burzliwej historii, walk i różnych kataklizmów, które przechodziło stare, a urocze miasto Mobile. W starej dzielnicy jeszcze teraz można zwiedzać niezwykłe, a pełne wspomnień kamienice francuskie. Na szczególniejszą uwagę i podziw turysty i gościa zasługują mistrzowskie, ręcznie wykuwane żelazne żaluzje, oraz dekoracje na oknach i balkonach starych domów.

Pono Pan Bóg miał się wyrazić — że źle człowiekowi samemu, więc też na "pociechę" stworzył mu ... kobietę. Pierwszym osadnikom w Mobile także było bardzo smutno, wprost tęsknili za towarzystwem — damskim. A że Francuzi to ludzie uczciwi i praktyczni, więc też na pociechę i pomoc wysłali z Francji, do Mobile a później także do Nowego Orleanu cały transport młodych dziewcząt, pod opieką sióstr zakonnych. Były to dziewczęta z lepszych rodzin, a że każda miała swą wyprawę w drewnianej skrzyni, więc też je nazwano "Filles de cassette." Gdy się osadnicy dowiedzieli o tym niezwykłym transporcie, wszystko, co żyło, wyszło na jego spotkanie. Każdy kawaler wystroił się jak mógł najlepiej i takie wielkie powstało — kochanie i miłowanie, że pierwszy transport, składający się z 60-ciu miłych panienek w mig rozebrano. Ani jedna się nie oparła kochliwej łapczywości czupurnych osadników. Zresztą, po to przybyły, aby mężów sobie poszukać. Zdaje się, że było kilka takich ekspedycyj jedynie w tym celu, by osadnikom dać możność zakładania ognisk rodzinnych na ziemiach nowego kontynentu.

Już kilkakrotnie, niemal od Sawanny, wspominałem o krzewach azalii, tych pierwszych zwiastunach wiosny w stanach południowych. Pierwsze okazy tego tak po Ameryce rozpowszechnionego kwiatu sprowadzono do Mobile w roku 1764-tym z ogrodów wersalskich króla Ludwika XVI-go. Ojczyzną azalii są Chiny. Stamtąd sprowadzono je do Francji, następnie do Ameryki. W lutym i w marcu mają w Mobile specjalny festyn ku czci tych pięknych kwiatów. Twierdzą, że w samym mieście rośnie jakie czterdzieści tysięcy tych krzewów. Wprost całymi milami ciągną się bulwary wysadzane azaliami. Niektóre dochodzą do piętnastu stóp wysokości, a na wiosnę całe drzewko przeistacza się jakoby w jeden olbrzymi, czerwony czy blado-różowy kwiat. Wracając z podróży do Florydy w lutym, miałem w Sawannie okazję oglądać i podziwiać całe klomby kwitnących azalii.

Ponieważ deszcz lał jak z cebra, więc też nie mogłem zadowolić

mej wrodzonej ciekawości, aby ważniejsze zabytki zobaczyć i jak to zwykle czynię — odfotografować.

Podczas wojny światowej, spotkałem w restauracji niemieckiej w Minneapolis Amerykańskiego oficera, który z wielkim zamachem "wsuwał" jakiś bratwurst z kapustą. — "Widzę, że pan ma apetyt

W lutym kwitną azalie

na niemieckie potrawy" ... A ten mi tak odpowiada: — Psiakrew (tylko Amerykanie takich pospolitych wyrażeń czy klątew nie używają, ale mniejsza z tem) nic nie miałbym przeciwko temu, żeby wystrzelali wszystkich Niemców. Kazałbym tylko oszczędzić niemieckich kucharzy i kucharki. You can't beat them. Nie można ich prześcignąć. Tak i ze mną. Mogą wszystkich hitlerowców wraz z Fuhrerem w kozi róg zapędzić, mogą ich na jakąś odludną wyspę wywieźć; mogą wszystkie fabryki broni z Kruppem na czele w powietrze wysadzić, byle tylko zostawili niemieckie fabryki aparatów fotograficznych. W tej podróży bardzo mało używałem mego dużego i do zdjęć niezrównanego — graflexa, oczywiście aparat amerykański, wyrób Eastmana, ale z soczewką niemiecką Zeissa. Przedewszystkim jest ciężki, a więc niewygodny, przytym z jakichś niezrozumiałych powodów soczewka była zamglona, o czym nie wiedziałem, i pierwsze zdjęcia, które robiłem podczas podróży, były nieco zamglone. Trzeba było tylko soczewkę rozkręcić, czystą chustką wytrzeć i wszystko byłoby w porządku. Ale nie wiedziałem o tym i dlatego mój nowy, mały "Zeiss Superikomat" pracował za dwóch i śmiem twierdzić, że świetnie wywiązywał się ze swego zadania. Dla pewności często posługiwałem się elektrycznym światłomierzem, a także doskonałym niemieckim filtrem. Niemal wszystkie zdjęcia zamieszczone w książce są zrobione tym małym, ale precyzyj-

nym aparatem. W Mobile ani w Pensacola nawet go z samochodu nie wyciągnąłem, bo i tak nicby z tego nie było.

Koło Mobile okolica jest bardzo błotnista, pełna szerokich, mętnych rzek, bagien, zatok i jezior. Częstokroć, jak daleko okiem sięgniesz, widzisz tylko łan zielonej trawy czy trzciny, rosnącej w tych powiedziałbym wstrętnych moczarach. Ale co dla nas może być wstrętnym, wprost obrzydliwym, to dla ptactwa wodnego, dla ryb i szczurów wodnych czy piżmowych jest rajem. Białych i szarych czapli, niezgrabnych o dużych dziobach pelikanów i mew jest tu za trzęsienie. Tu też gnieżdżą się kaczki i inne ptactwo, na które w sezonie jesiennym polują myśliwi. Nie chciałbym siedzieć za żadne pieniądze w takiej zimnej, mokrej blindzie.

Raz w życiu, gdy byłem młodym księdzem i proboszczem w Duluth, pojechałem ze znajonym lekarzem na polowanie na ... kaczki. Mówił mi, że lubiał polować na nie i że w dodatku — świetnie strzela. Połknąłem samochwalbę, niby ostrygę, i wybrałem się z owym "expertem"... na kaczki.

W nocy wylądowaliśmy w małym miasteczku Aitken, jakie 50 mil na zachód od Duluth. Tam już oczekiwał nas jakiś "farmer" i zabrał nas do siebie, nad jezioro pokryte trzciną i dzikim ryżem, boć w tych szuwarach trzymały się stada kaczek. Nie znaliśmy terenu, ani jeziora, ani niczego. Zato bardzo rychło puściliśmy się na wody, uzbrojeni w winchesterki, zaopatrzeni w naboje, papierosy, przekąski, wódkę, — niby we wszystko, co trzeba i co dla dobrych łowców jest niezbędne. Chlapaliśmy się czółnem w tę i w ową stronę, nareszcie dotarliśmy do jakiegoś odległego brzegu. Ciemno było i gęsta mgła niby kocem pokrywała całe jezioro. Na wschodzie ukazały się ranne zorze. Wtenczas przynajmniej dowiedzieliśmy się, w którym kierunku był — wschód. Słyszałem, gdy nad nami z furkotem, odlatywały stada — kaczek, ale oczywiście o tej godzinie nie można ich było widzieć.

Dobiliśmy do brzegu. Doktór rozstawił wabiki (decoys) i wyciągnął z torby jakąś piszczałkę — duck call — niby wabik na kaczki. Zaczął dąć w tę fujarkę, aż poczerwieniał na twarzy, a oczy mu na wierzch wyłaziły, niby rakowi. Ale ani jedna kaczka nie dała się zwabić orfeuszowskimi tonami mego eskulapa — "experta." Zresztą, któżby się na takie dzikie, a wściekłe "kwakanie" tu zbliżył. Mnie już nawet od tego beczenia uszy bolały i chwilowo chciałem tego kaczego "eksperta" kolbą w kark walnąć, żeby ucichł. Ale — myślę sobie — chcesz trąbić, to trąb, co mnie to obchodzi. Chłodno było, więc z nieprzemakalnej jupy strzeleckiej wyciągnąłem butelkę, golnąłem wódki i jemu dałem na zwilżenie gardła, żeby jeszcze głośniej "kwakał." Może go jaka śpiąca kaczka usłyszy i tu czym prędzej przy-

leci. Z zapasowej torby wyciągnąłem kawał chleba, kiełbasy i z apetytem zajadałem.

Słońce wzeszło. Zapowiadał się piękny, pogodny dzień jesienny. Jezioro, sitowie, dzikie ryże i okoliczne lasy wyglądały przecudnie.. Tylko ten diabelny skrzek mego Orfeusza psuł całą harmonię natury. Ale pal cię sześć! Zapaliłem papierosa, położyłem winchesterkę na kolana, tak, abym ją miał pod ręką na wszelką ewentualność, gdy te ma'ardy nadlecą, bo malardów nam się zachciało. Jest to duża kaczka i ma ciemno-szare pióra i niebieskawe skrzydła. W każdym razie doktór mnie zapewnił, że na malardy polujemy. Ja zaś nie mając nic lepszego do roboty, paliłem papierosy, a woń aromatycznego tytoniu rozchodziła się chyba po całym Aitken County. Nawet nie wiem, czy kaczki palą czy nie, a może nawet im "palenie szkodzi," w każdym razie, mało mnie to obchodziło. Paliłem i rozmyślałem o tych nowych wrażeniach z polowania na .... kaczki a właściwie — malardy. Niczym bohaterowie Weyssenhoffa z "Sobola i Panny."

Naraz mój polujący trębacz rzucił na bok przeklętą fujarkę, chwycił strzelbę i gwałtownie na wszystkie strony kiwa głową i wpatruje się w owe gęste sitowia.

— Co się stało, pytam?

— Kaczka!...

— Gdzie?...

— Ot tu gdzieś w sitowiu zauważyłem dużego kaczora, malard psia krew, jak Boga kocham!

— Oho, myślę sobie, teraz zaczyna się polowanie!... Było już po dziewiątej, a wszystkie malardy, o tym czasie wizytowały sąsiadów na jeziorze o sto mil od Aitken, ale mniejsza oto. Więc i ja chwyciłem winchesterkę, odwiodłem kurek i także ślepie wytrzeszczam. Rzeczywiście, płynie jakiś ptak. Niby za mały na — malarda i w dodatku na kaczora. Ale tamten "ekspert" powinien wiedzieć, bo to był mój pierwszy i, zdaje się, ostatni kawał z kaczkami. Polowałem na zające, ale nasze zające to porządne stworzenia. Gdy zagwizdniesz wówczas jucha stanie, a gdy jeszcze raz na niego gwizdniesz, usiądzie na dwóch łapkach i uszy do góry podniesie, no niby stoi na baczność. Tak zresztą każdy porządny zając przed amatorami czynić powienien. Często polowałem na bażanty, sarny, a nawet łosia swego czasu upolowałem, ale kaczki — to "inksza inakszość." Więc też po minucie zoczyłem mą ofiarę. Płynął niby najpiękniejszy łabędź w londyńskim parku, co ja mówię łabędź — toć on miał szyję tak wyniosłą, że raczej przypominał mi wenecką gondolę czy jakiś starożytny okręt ... wikingów. Zmierzyłem ... i padł złowrogi, śmiercionośny strzał. Sitowie zabulgotało od śrutu, a moja ofiara glubnęła głową do wody i tylko część używana do sterowania

została na powierzchni ... Pierwsza kaczka i to w dodatku ... "malard," jak mnie zapewniał mój przyjaciel — ekspert. Byłem z siebie zadowolony. Co za łatwe polowanie! Siedzisz w łodzi, zjadasz "sandwicze," palisz papierosy, a malardy same podpływają do łodzi. Myślę sobie, może tu cała kacza hałastra zjedzie na koncert mego kaczego wirtuoza, co im takie wściekłe melodje wygrywał na tej — jak Czesi mówią — "zachlastanej fifułce."

Po tym incydencie doktór znów przystawił do ust ów malutki instrument i dął jak wściekły istny "Trumpeter von Saeckingen." Żal mi go było, że to ja pierwszego "malarda" zastrzeliłem, a on biedaczysko niemal że płuca nadwerężył tym trąbieniem i nic nie dostał. Poprosiłem go o piszczałkę i ja zacząłem w to dmuchać. Oczy mi krwią zaszły, ale myślę sobie, cholery kaczki popłynęły na drugi koniec jeziora, więc może nie słyszą a może nawet nie wiedzą, że my tu na nie czekamy. Więc trąbiłem, jak tylko mogłem. Ci, co do sejmu polskiego wchodzą z trąbami i głoszą "urbi et orbi" że pan Prezydent przybywa, niech się wobec mnie schowają. Na sądzie ostatecznym mam już zapewnioną posadę trębacza. — Myślałem, że ogłuchnę, a napewno płuca zerwię, ale — jak trąbić to trąbić. Nic z tego. Ani jeden malard ani "malardka," stary, młody, ślepy, głuchy, kulawy, czy jaki by on nie był, więcej się nie pokazał. Już się ciepło robiło, a my wciąż siedzimy i trąbimy.

Nareszcie doktór ostrożnie, powoli, podniósł się w czółnie i głowę wystawił ponad sitowie.

— Rany Boskie! — powiada, toć tam stada całe kaczek, malardów, canvas backów i innych, bo nawet nie pamiętam tej kaczej litanii, którą mi wyrecytował.

I ja podnoszę głowę. Rzeczywiście, parę set metrów od naszego sitowia po jeziorze pływało kilkadziesiąt, a może nawet setka ... kaczek, zapewne ... malardów, bo tacy eksperci, jak my, nie będą do innych strzelali. Przytym trzeba pamiętać, że prócz tej "fifułki" mieliśmy jeszcze tuzin płóciennych — wabików, no niby sztucznych malardów, ot tak, aby tamte — dzikie przyszły się z naszymi zapoznać.

— Co zrobić, pytam?....

— Możeby ksiądz tam podpłynął i tu do brzegu je napędził, a ja im tu dopiero wyprawię bal.

— Niech i tak będzie.

Doktór wygramolił się z czółna, a ja chwyciłem wiosła i pognałem na szerokie wody przypędzić do brzegu.... "całe stado malardów." A że to człowiek za młodych lat miał doświadczenie z gęsiami, boć jestem graduantem od paszenia gęsi, świń i bydła, więc też mając szerokie doświadczenie, uwijałem się z czółnem po jeziorku

za malardami. Gdy oporne ptactwo nie chciało dobrowolnie płynąć w śmiertelną zasadzkę, zacząłem walić z winchesterki w tę niesforną kupę. To mi ci było polowanie! Co chwila jakiś "malard" się wykopertnął. Mój ekspert zieleniał z zazdrości, że ja sobie takie pukanie urządziłem. Prawdopodobnie "kaczki" bały się popłynąć do brzegu, zapewne przewidywały grożące niebezpieczeństwo. Chwilowo myślałem, że mi naboi zabraknie, bo ptactwa było pod dostatkiem, a kilkanaście już leżało na powierzchni — bez życia.

Nareszcie i doktór zaczął z brzegu bombardować pływające "kaczki" i parę zastrzelił. Pozbierałem moje trofea, wrzuciłem do łodzi, i popłynąłem do brzegu. Odszukałem tego pierwszego "malarda kaczora." Ale jakiś mały mi wyglądał. Więc mówię: "Doktorze! ta bestia się jakoś skurczyła; musi to być paskudnie mały malard?! Może to jaki wodny wróbel albo co?"—Popatrzał na mą zdobycz i powiada, że to "canvass back," niby inny gatunek, nieco mniejszy od malarda. No niech i tak będzie. Zabraliśmy kilkanaście sztuk do łodzi i wio z powrotem do farmera, boć to już niedługo południe i czas na obiad. Gdyśmy dobili do brzegu na nasze spotkanie wyszedł farmer. Mój towarzysz polowania i niby "expert" z dumą podnosi naszą zdobycz i pyta farmera — co to za gatunek kaczek?!... Ten chwilę popatrzał na ptactwo, następnie na nas z jakimś politowaniem, w którym mogłem wyczytać bardzo dla nas niepochlebne myśli i powiada z pewną pogardą w tonie głosu:—"To nie żadne kaczki, to kury błotne czy jakieś inne wstrętne ptactwo, którego nikt nie strzela." Czułem się jak gdyby mi ktoś w czapkę napluł i z politowaniem popatrzyłem na mego towarzysza i gadam mu: — "Słuchaj! toś ty taki ekspert, że nawet kaczek nie znasz?"... Byłem zdegustowany tym polowaniem i już odtąd więcej na kaczki nie polowałem.

W okolicach Mobile i wszędzie wzdłuż zatoki Meksykańskiej, szczególnie w pobliżu miasta Nowego Orleanu, przy ujściu rzeki Mississippi, ciągną się szerokie rozlewiska, bajora i błota. Jest to nie tylko raj dla ptaków i rybaków, ale także gnieżdżą się tam szczury wodne, piżmowe (muscrats). Dostarczają nam ciepłych i modnych futer. Na czarno ufarbowane futerka tych zwierzątek udają foki i paradują na ramionach pięknych pań, jako — Hudson bay seals czyli foki z zatoki Hudson, z północno-środkowej Kanady. Futra z tych plennych, a w dodatku bardzo pożytecznych zwierząt są bardzo trwałe, ciepłe i ładne, przytym ... drogie. Łowcy w oznaczonym czasie, gdy futra są w najlepszym stanie do wyprawy, zjeżdżają w te bagna, na palach stawiają szałasy i zastawiają na nie łapki żelazne. O ile wiem, szczury budują dla swych rodzin stożkowate mieszkania z trawy wodnej. Z daleka wyglądają one, niby kopy siana. Im więcej tych stożków — tym lepszy zapo-

wiada się połów. U szczurów jest ten porządek, że ojciec rodziny wychodzi na zwiady, szuka pożywienia, w tym wypadku — korzonków roślin wodnych. Gdy nie wróci, padłszy ofiarą łapiczkarza, wtenczas idzie — matka, następnie po kolei najstarsi z rodziny. Rząd jednak czuwa nad tym, by tych szczurów zbytnio nie tępić i tylko pozwala chwytać pewną ilość, reszta zostaje na zaród. Louisiana z tego względu jest naszym największym dostawcą futer. Całoroczny zbiór wynosi około miliona dolarów. Wcale nie zły dochód z obszarów, które dla innych celów są bezużyteczne.

Od Mobile mamy znów dobre drogi, więc mimo deszczu poganiamy. Poza bajorami napotykamy także okolice rolnicze już nieco wyżej położone. Poza zwykłymi produktami rolnymi bardzo często napotykamy sady orzechowe, boć w stanach południowych hodują bardzo dużo smacznych orzechów o cienkiej łupinie, którą można w palcach zmiażdżyć. Nazywają je — "paper shelled pecans." Począwszy od Karoliny, napotykamy przy drogach małe sklepiki i stragany, w których te smaczne orzechy sprzedają. Płaciliśmy dolara za dziesięciofuntowy worek. Starczyło nam orzechów na całą podróż, jeszcze w Yellowstone Parku szczodrze obdarowałem nimi niedźwiedzie.

Nad wieczorem się wypogodziło, jak również wypogodziły się nasze humory. O piątej dotarliśmy do większego portowego miasta Gulfport. Tuż nad samą zatoką ciągnie się piękny bulwar, a przy nim bogate rezydencje zamożniejszych obywateli, a wśród nich bardzo piękne obozy dla turystów. Zatrzymaliśmy się w bardzo wygodnej kwaterze — Moody's Camp, tuż nad zatoką. Gdy minister spraw wewnętrznych krzątał się przy kolacji, ja zabrałem zachlapane auto do garażu i kazałem je dobrze wymyć i naoliwić, abyśmy jako uczciwi turyści zajechali do tej ciekawej, a w zabytki i tradycje historyczne bogatej metropolii południa — Nowego Orleanu.

Warto popatrzeć na mapę Kanady i Stanów Zjednoczonych, aby mieć jakie takie pojęcie o tej olbrzymiej kolonii, jaką wykroili dla rozpustnych królów francuskich odkrywcy i pionierzy francuscy na zachodnim kontynencie. Jacques Cartier zapuścił się na szerokie wody rzeki św. Wawrzyńca i założył tę po dziś dzień uroczą placówkę kultury francuskiej — miasto Quebec. Druga część tych obcęgów zachaczyła się o ujście rzeki Mississippi i miasto — Nowy Orlean. Od Quebecku pionierzy i odkrywcy francuscy zapuszczali się coraz dalej w głąb tego nieznanego, a bogatego kraju. Założyli miasto Montreal, następnie dotarli do jeziora Champlain i posuwali się rzekami i jeziorami ku Albany i ku Nowemu Jorkowi. Inni zaś z La Sallem na czele popłynęli do Niagary i przy ujściu rzeki założyli fort Niagara. Stamtąd popłynęli jeziorem Erie na zachód. Na rzece łączącej jezioro

Erie i Huron założyli — miasto cieśnin — D'Etroit. Ale nie na tym koniec. La Salle, Cadillac, DuLuth już nawet nie wspominam księży tej miary, co Marquette, Hennepin i innych, popłynęli na północ, przez cieśninę Mackinack, na jeziora Michigan i Superior. Dotarli do samego cypla tego największego jeziora na świecie i ewentualnie założyli miasto Du Luth, (gdzie przez kilkanaście lat byłem proboszczem polskiej parafii). Stamtąd przedzierali się do rzeki Mississippi, do wodospadu Św. Antoniego, gdzie teraz są duże miasta St. Paul i Minneapolis. Inni z odkrywców dotarli do zatoki "zielonej" Baye Verte, obecnego miasta Green Bay, we Wisconsynie i rzeką Wisconsin popłynęli do rzeki Mississippi. La Salle, jeden z najsłynniejszych odkrywców francuskich, dotarł aż do jej ujścia i ewentualnie zginął z ręki swych kompanów, którzy go znienacka zamordowali. W jednym z małych miasteczek w Louisianie zobaczymy jego pomnik, tam bowiem według tradycji został zamordowany. Dolina rzeki Ohio, która nam zeszłej zimy tyle narobiła kłopotu, jak również doliny rzek Missouri i Mississippi stały się wielką, niezbadaną prowincją francuską. Zdaje się, że w Paryżu nie zdawano sobie sprawy z tego, co dla Francji zrobili jej pionierzy. Tam się bawiono, gdy tu z wielkim trudem odkrywano bogate połacie nowego kraju.

Pierwsze ogniwo tego francuskiego łańcucha pękło, gdy Anglicy zdobyli fort Niagara, kilkadziesiąt mil na północ od miasta Buffalo, następnie zajęli Ticonderogę i wypchnęli Francuzów z Nowego Jorku w bitwie zaś pod Quebeckiem zabrali Francji całą Kanadę. Drugą część tego może nawet bogatszego terytorium Louisianę, sięgającą podówczas od zatoki Meksykańskiej aż po góry Skaliste, kupili Amerykanie od Napoleona za marne piętnaście milionów dolarów. Cesarz może się obawiał, że Anglicy i tak mu to zabiorą, więc wolał to sprzedać chociaż za psie pieniądze. Tę największą w historii transakcję realnościową uskuteczniono w roku 1803-im, za czasów prezydenta Jeffersona.

Ogromnie to ciekawa i wielce romantyczna stronica historii amerykańskiej, którą pisali La Salle, Champlainy, Cadillaki, Du Luthy, Joliety, Hennepiny, którą pisali rycerze-patrioci, którą pisali księża-apostołowie, którą pisali zawadyaccy — coureurs de bois, którą pisały te ciche, gorliwe, pełne poświęcenia — zakonnice francuskie z cierpliwością znoszące trudy wielomiesięcznych podróży okrętami i tułaczki wśród gęstych lasów, zjadliwych komarów, trujących wężów i dzikich Indian. Gdziekolwiek okiem rzucisz na ten bogaty, piękny a wspaniały kraj, począwszy od mroźnej Kanady aż do gorącej Louisiany, od uroczych jezior Nowej Anglii aż hen do bystrych, a rybnych rzek Sierrów i gór Skalistych, tam spotkasz się z francuskimi nazwami. W Stanach Zjednoczonych pozostały tylko nazwy i wspomnienia.

W Kanadzie zaś jeszcze teraz miliony angielskich obywateli mówią francuszczyzną, którą szczebiotały strojne damy na dworze — "Wielkiego Monarchy" — Ludwika XIV-go.

Szybko zbliżamy się do kolebki i stolicy kultury francuskiej, do miasta, które już dawno chciałem widzieć i zwiedzić, w którym chciałbym się zatrzymać nie na parę dni, ale parę tygodni, a nawet — parę miesięcy, by to wszystko jak należy poznać i opisać.

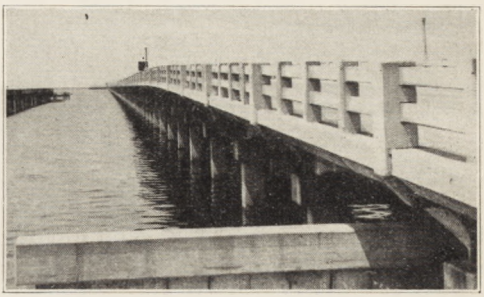

Cztero-milowy most

Wjeżdżamy na cztero-milowy most wiodący nas przez niezbyt głęboką odnogę jeziora Pontchartrain do tej malowniczej metropolii — kreolów czyli mieszańców Hiszpanów i Francuzów. Zapoznamy się cośkolwiek z życiem tej pięknej, kulturalnej powiedziałbym — europejskiej arystokracji na amerykańskim kontynencie zrodzonej, a na dworach europejskich kształconej, która przez wiele lat patrzyła z pogardą na jankieskich biedaków i bez ogłady — parweniuszów. Zatrzymamy się więc na parę dni w Nowym Orleanie.

ROZDZIAŁ XII.

## Nowy Orlean - Zabytki - Chalmette - Mardi Gras.

Nie znam drugiego miasta w Stanach Zjednoczonych, któreby skutecznie pokonało i przezwyciężyło tyle trudności i przeciwności co — Nowy Orlean.

W roku 1719-ym Sieur de Bienville przybył tu z gromadą francuskich kolonistów. W zgięciu rzeki Mississippi osadnicy wykarczowali lasy, oczyścili nadbrzeżne moczary z chwastów i wikliny, wymierzyli pierwsze ulice tej najstarszej, a tak ciekawej dzielnicy — Vieux Carre czyli — "Starego Kwadratu." Trudna i mozolna była to praca. Koloniści byli więcej podobni do szczurów wodnych niż do ludzi, boć wciąż w błocie pracowali, w dodatku kąsały ich jadowite komary. Już w pierwszym roku pobytu w tych bagnach wylew rzeki niemal całkowicie zniszczył ich skromny dobytek.

Napotyka się jednak ludzi z charakterem, siłą woli i jakąś nadludzką wytrwałością. Takimi byli tutejsi pionierzy. Nie zrażali się trudnościami. Poczęli budować nasypy przy rzece, by zabezpieczyć te kilka hektarów ziemi przed ponownym zalewem. A ów odwieczny czarnoziem tak był przesycony wodą, że nie można było nawet pomyśleć o piwnicach, gdyż woda je natychmiast zalewała. Domy budowano na słupach. Kamienie i cegły używane do brukowania ulic poprostu tonęły w błocie. A jednak w tak trudnych warunkach ludzie wzięli się za bary z naturą i... zwyciężyli. Pokonali mokradła, wyniszczyli jadowite i trujące komary; przeszli straszliwe epidemie zaraźliwych chorób. Podczas epidemii ludzie padali jak muchy. Żółta febra czy też dżuma sprowadzona z Azji przez szczury, gnieżdżące się na okrętach, kilkakrotnie zdziesiętkowały ludność.

Z czasem opanowali rzekę do tego stopnia, iż tegoroczne a tak straszliwe wylewy rzeki Ohio (dopływ Mississippi) nie wyrządziły najmniejszej szkody Nowemu Orleanowi. Tutejsi obywatele boleśnie odczuli wojnę domową, która ich ekonomicznie zgniotła. Często przechodzili z pod panowania francuskiego pod hiszpańskie, to znów je zamieniali na francuskie, nareszcie na amerykańskie. Nawet Anglicy po ten bogaty kąsek swą łapę wyciągnęli. Tylko dzięki zwycięstwu odniesionemu przez generała Jackson'a, tuż u bram miasta, zamach się nie udał.

W przeciągu dwóch wieków, nieraz wśród najtragiczniejszych warunków, wyrosło olbrzymie, ciekawe, a nader urocze miasto. Już dawno wypełzło z zakrętu rzeki i sięga teraz aż do brzegów wielkiego jeziora Pontchartrain. Nowy Orlean liczy pół miliona ludności, a jego handel z całym światem, jego fabryki, rafinerie, sąsiednie kopalnie siarki, soli, jego przetwórnie ryżu, jednym słowem — przemysł i handel wynoszą setki milionów dolarów. Tu rzeczywiście można z całą pewnością zastosować zdanie przyrodników — survival of the fittest — czyli, że tylko najlepsi, najodporniejsi mogą się utrzymać. Nowy Orlean nie tylko, że się utrzymał, ale wyprzedził wiele innych osiedli daleko lepiej od niego położonych.

Wprawdzie pod względem ekonomicznym Nowy Orlean posiada nadzwyczaj dogodne warunki. Czym Gdańsk był, a może kiedyś znów będzie dla Polski, tym Nowy Orlean jest dla Ameryki. Z tą jednak różnicą, że przez tę bramę płynie jedna z największych, a pod względem handlu — największa rzeka na kuli ziemskiej. Nadzwyczaj urodzajna dolina tej rzeki obejmuje najbogatszą część Stanów Zjednoczonych. W dodatku jest ona spławna przez swe dopływy do Pittsburgha na wschód, do St. Paul i Minneapolis na północ, do Kansas City i dalej na zachód. Ta to rzeka żywi i wzbogaca tę niepospolitą, a pod wielu względami wyjątkową metropolię południa.

Ażeby czytelnikowi dać chociażby tylko małe pojęcie o trudach, jakie przechodzili pierwsi tutejsi osadnicy, przeczytajmy chociażby tylko małe urywki z listu pisanego w roku 1727-ym przez siostrę Marię Magdalenę Hachard de St. Stanislas. Opowiada swemu ojcu przygody z podróży do Nowego Orleanu. "Pięć miesięcy — pisze ta niepospolita zakonnica — płynął mały żaglowiec 'Gironde' z Francji do ujścia rzeki Mississippi. Na tym małym okręciku znajdowało się nas pięć sióstr Urszulanek i kilku księży Jezuitów. Ci bowiem mieli siać ziarno Wiary w sercach pionierów, a zarazem kształcić ich dzieci. Czerwonoskórzy autochtoni i czarni jak heban niewolnicy, murzyni, byli także podatną rolą dla pracy misyjnej. Jak wszyscy podróżnicy, nasze zakonnice cierpiały na chorobę morską. Przechodziłyśmy straszne burze na oceanie, a kilkakrotnie groziło nam zatonięcie okrętu. Przy tym panował głód i brakło wody. Na dobitek złego spotykaliśmy zbrojne okręty korsarzy."

"Ale — jak pisze ze szlachetnego rodu zakonnica — niczym to było w porównaniu z tą stosunkowo krótką podróżą, jaką odbyłyśmy w łodziach — pirogues — przeładowanych ludźmi i bagażami. Z powodu mielizny na rzece trzeba było wszystko przeładować z okrętu na łodzie w Belize. (Teraźniejsze miasteczko Pilottown, położone 30 mil na południe od Nowego Orleanu). Siedm dni pchaliśmy się naprzód z wielkim trudem, wciąż wiosłując przeciwko szybkiemu prą-

dowi rzeki. Co wieczór, przed zachodem słońca, trzeba było wysiadać z łodzi, budować z liści i gałęzi małe szałasy, aby w nich przenocować. Nad zachodem słońca całe chmury zjadliwych komarów niemiłosiernie kąsały podróżnych. Dopomagały im w tej niecnej pracy duże, zjadliwe muchy, które nazywają tu "frappes d'abord." Są to właściwie muchy napastujące przeważnie dzikie zwierzęta i konie. Kłują jak osy, a ich techniczna nazwa jest — chrysops (horse fly). Brzegi rzeki są pokryte lasem, moczarami, sitowiem, w którym się gnieździ najrozmaitsze ptactwo wodne, zwierzęta i trujące żmije. Na dobitek złego przez parę nocy lało jak z cebra, więc też tarzaliśmy się w błocie, jak żaby, przemoknięci do ostatniej nitki. Z tego powstawały wśród podróżnych opuchnięcia, reumatyzmy i inne dolegliwości. Niemal wszyscy chorowali. W dodatku — małe, wąskie czółna tak były przeładowane bagażami i ludźmi, że nie można było na nich ani stać ani wygodnie usiąść. Siedziałyśmy na kupie bagaży i nie było wolno się poruszać ani zmieniać pozycji, bo to groziło przewróceniem gibocącego się czółna. Za pożywienie służyła nam słonina i suchary, które jeden z żeglarzy co wieczór gotował w kociołku."

Trzeba było dużo energii i siły woli, by odbyć taką podróż, przechodzić takie niewygody i narażać się na takie niebezpieczeństwa. Pod habitem skromnej siostry zakonnej biło serce odważne, gotowe do wszelkich poświęceń dla Wiary i dla ... Francji. Cieszyli się osadnicy, gdy do brzegu przybiły małe okręciki z zakonnicami i księżmi Jezuitami.

Nowy Orlean jest przeważnie miastem katolickim. Katolicy je zakładali, katolicy — czy to Francuzi czy Hiszpanie — gospodarzyli tu przeszło sto lat. Cała stara, wykwintna arystokracja t. zw. kreolczycy to wszystko — katolicy. Szkół parafialnych, wykwintnych akademij dla dziewcząt pod opieką zgromadzeń zakonnych jest dużo, parafij francuskich, hiszpańskich i innych także nie brakuje. Szeroko i głęboko, nie tylko w Nowym Orleanie, ale w całej Louisianie zapuścił swe korzenie Kościół katolicki i wydaje pożyteczne owoce.

Ponieważ mieliśmy się tu zatrzymać dni kilka, więc też oglądnąłem się za wygodną kwaterą. Kto szuka, ten znajdzie. Bez wielkiego trudu znalazłem obszerny obóz dla turystów. Dla podróżnych są pralnie, w których mogli bieliznę wyprać i to nie na tarce ręką, tylko za pomocą nowoczesnych maszyn, pędzonych elektryką. Mają także elektryczne żelazka do prasowania, poza tym, każda kabina jest zaopatrzona w lodówkę, piece gazowe, statki kuchenne, kąpiel, światło elektryczne, czyli — mieszkasz, jak u siebie. Po wyładowaniu bagaży puściliśmy się na miasto, by najprzód się cośkolwieczek z nim zapoznać, następnie dopiero ważniejsze dzielnice i stare zabytki lepiej zwiedzić.

Canal jest główną ulicą, dzielącą miasto na dwie części. Ten szeroki, dwudziesto-milowy bulwar nie tylko że dzieli miasto, ale zarazem łączy rzekę z jeziorem Pontchartrain. Dla turysty, a zarazem miłośnika pięknych zabytków najciekawszą jest stara dzielnica miasta nosząca miano — Vieux Carre czyli — "stary kwadrat." Tu się mieści jakoby kolebka, powiedziałbym, nie tylko Nowego Orleanu, ale całej starej, historycznej, o nieokreślonych granicach Louisiany. Sięgała kiedyś od zatoki Meksykańskiej aż hen do gór Skalistych, obejmując niemal że całą dolinę rzeki Mississippi i jej wielkich dopływów, jak Ohio i Missouri. Ten zaś stosunkowo niewielki kwadracik, z jednej strony przylegający do rzeki, a z trzech stron opasany ulicami, Canal, Rampart i Esplanade, zawiera kilkadziesiąt bloków (w Ameryce kwadrat objęty przez cztery ulice nazywamy—blokiem).

Tuż przy rzece jest niewielki, ale zato historyczny park, Jackson Square, dawny — Place d'armes. Jego główną atrakcję stanowi pomnik generała Jacksona, prezydenta Stanów Zjednoczonych, a bohatera nie tylko Orleanu, ale całego wybrzeża położonego nad zatoką Meksykańską. On to bowiem mając stosunkowo nie wiele wojska i trochę piratów La Fitta, dał straszliwe cięgi świetnie wyćwiczonym wojskom angielskim, weteranom wojen w Hiszpanii przeciw Napoleonowi i bohaterom z pod Waterloo. Taki sam pomnik znajduje się w Waszyngtonie naprzeciw białego domu — rezydencji prezydenta.

Vis-a-vis skweru Jacksona są może dwa najcenniejsze zabytki starego miasta, mianowicie: katedra ku czci św. Ludwika i wiekowy pałac hiszpański — Cabildo.

Do katedry, zbudowanej w 1770 roku weszliśmy już nad wieczorem, gdy obszerny kościół zwolna zapadał w półmrok. Przez bogate, artystyczne witraże, sprowadzone z Francji, promienie słońca wdzierały się do wnętrza historycznej świątyni, walcząc z potęgującymi się cieniami. Oprowadzał nas braciszek zakonny i wskazywał cenniejsze witraże, rzeźby i zabytki. Fundatorem katedry był zamożny arystokrata i gubernator hiszpański, Don Almonaster y Roxas, którego z tego względu pochowano wraz z kilku biskupami i zasłużonymi ludźmi w grobowcach, umieszczonych pod wielkim ołtarzem.

Nie będę jednak nudził czytelnika detalicznym opisem katedry, przez której ponure krużganki, jak owa potężna rzeka, płynąca w pobliżu, toczyło się nieraz burzliwe, często tragiczne życie Louisiany. Tysiące tu szukały religijnej pociechy, tu błagały o ratunek, tu oddawały ostatnią kościelną usługę niezliczonym ofiarom przeróżnych straszliwych epidemii, jak żółta febra, cholera azjatycka, dżuma i inne plagi sprowadzone z czterech krańców świata. Dla pisarzy, artystów i historyków stary kościół i obok sąsiadujący — Cabildo, ów Place d'armes, ów "stary kwadrat," w którym na przemian gospodarowali

Francuzi i Hiszpanie, jest niewyczerpanym źródłem tematów do pióra i pędzla.

Pożary często nawiedzały starą dzielnicę. Niszczyły kościoły, gmachy rządowe i w perzynę obracały tysiące ludzkich siedzib. Katedra, jak również i miasto, szybko się odbudowywało z popiołów i znów śmiałym krokiem szło naprzód. Nic go nie zdołało powstrzymać. Dlatego nazywają je "miasto niezniszczalne." "The Indestructible City." Jego historia stwierdza, że tak jest.

Niemal od półtora wieku z katedrą sąsiaduje stary, historyczny gmach administracyjny — Cabildo. W tym trzypiętrowym budynku zbudowanym w stylu hiszpańskim zamieszkiwali od stu lat i sprawowali rządy hiszpańscy lub francuscy gubernatorzy.

Wojny i przewroty polityczne na terenie europejskim znajdowały odgłos także poza oceanem. Kolonie amerykańskie były stawką dla tamtejszej gry politycznej, dlatego przechodziły z rąk do rąk. W danej miejscowości czy też na ogromnym obszarze kraju sprawowali rządy Francuzi. Po przegraniu wojny zabierali ich terytorium Anglicy lub Hiszpanie. Gdy się losy wojny zmieniły, panowanie nad Louisianą czy Kanadą z powrotem obejmowali Francuzi. Tak było do czasu naszej walki o niepodległość i naszego amerykańskiego parcia ku zachodowi.

Dobrze jest Polakom znany pruski "Drang nach Osten," zato może mniej znany jest nasz amerykański "Drang nach Westen." Trwał on półtora wieku i zapędził nas nie tylko na szerokie stepy, przepchnął emigrantów w krytych wozach — covered wagons — przez góry Skaliste i Sierry aż nad ocean Spokojny. Nawet fale największego z oceanów nie zdołały nas wstrzymać. Posunęliśmy nasze granice na wyspy Hawajskie, a ostatecznie oparliśmy się o śnieżną Alaskę i tropikalne Filipiny. Rzeka Mississippi, Louisiana i owa stara rudera hiszpańska stanowią jeden z wielkich historycznych etapów tego niczym niewstrzymanego parcia — na zachód.

Zaglądnijmy więc chociażby na małą chwilkę do starych, a może nawet nieznanych kart dziejowych Ameryki, względnie Stanów Zjednoczonych.

Po wywalczeniu niepodległości i po jakim takim uporządkowaniu kraju, po spłaceniu długów wojennych, czym prędzej zabrano się do jego rozbudowy. Ponieważ wschodnia część Stanów Zjednoczonych, szczególnie najstarsza i najgęściej zaludniona Nowa Anglia nie bardzo się nadawała do uprawy roli, która przecież zawsze jest ważnym czynnikiem w rozwoju kraju, zaczęto się rozglądać za urodzajnymi dolinami i równinami, gdzie możnaby hodować zboże i bydło. Więc też coraz więcej kolonistów płynąc na rzekach, przez Nowy Jork, Pennsylwanię, Delaware Water Gap, pchało się ku zachodowi.

Zajęli urodzajny Ohio, Michigan, Illinois, następnie sięgnęli do Wisconsynu i oparli się o szeroką Mississippi, która chwilowo stała się granicą.

Z początku rzeki i tylko rzeki były naszymi drogami. Nimi na płaskich skutach płynęli osadnicy, wioząc ze sobą cały dobytek. Przy ujściach i brzegach rzek zakładano pierwsze bardzo skromne, prymitywne osiedla. W nich zaś powstawały niewielkie — trading posts — placówki wymiany towarów. Za futra osadnik kupował proch, kule i przyodziewek, bydło i pszenicę oraz drzewo wymieniał za narzędzia rolnicze, ubrania i co mu koniecznie było potrzebne. Duże, płaskie tratwy naładowane zbożem, skórami zwierząt i innym dobytkiem płynęły rzekami Ohio, Tennessee, Illinois, do Mississippi, a tą rzeką hen na południe — do Nowego Orleanu. Tam już żaglowce zabierały dobytek pioniera i rozwoziły go po kuli ziemskiej.

Wtenczas rozpoczęto budowę szybkich żaglowców — clipper ships — które w bardzo krótkim czasie okrążały kontynent Ameryki Południowej i płynęły do Azji lub też zapuszczały się do licznych zatok i rzek nad brzegiem oceanu Spokojnego. Zrozumieli nasi mężowie stanu, że rzeka Mississippi stała się nie tylko granicą, ale równocześnie tą najważniejszą drogą, którą płynął stale zwiększający się przemysł i handel całego niemal kraju. Wiedzieli, że chcąc rozwinąć przemysł i handel, trzeba będzie objąć w posiadanie nie tylko źródła i dopływy, ale także ujście rzeki. Ktokolwiek usadowiłby się nad jej ujściem, trzymałby, że się tak wyrażę, rękę na gardle i mógłby nas ekonomicznie dusić.

Francja co tylko odebrała Hiszpanom Louisianę. Trzeba więc było wszcząć pertraktacje z Napoleonem o kupno tej, dla niego chwilowo bezużytecznej, a nam tak niezbędnej kolonii. Wysłano do Paryża bardzo zdolnego adwokata z Nowego Jorku, który, nota bene nigdy Louisiany nie widział, aby pertraktował z Napoleonem o kupno prowincji. Robertowi Livingstonowi przydano do pomocy drugiego adwokata Jamesa Monroe'a, który później został prezydentem Stanów Zjednoczonych. (Doktryna Monroego co do nietykalności terytoriów Ameryki przez mocarstwa europejskie jest wszystkim dobrze znana i stanowi jakoby kamień węgielny amerykańskiej polityki zagranicznej). Więc też ci dwaj panowie, szczególnie p. Livingstone prowadzili od dłuższego czasu pertraktacje z ministrem francuskim Barbe Marbois.

Na nasze szczęście Napoleon był wtenczas zajęty innymi i dla niego daleko ważniejszymi sprawami. Kością w gardle była mu na onczas Anglia. Chciał ją zniszczyć, dlatego układał plany zbrojnego najazdu. Potrzebna mu była flota, boć Bleriot, lotnik francuski co pierwszy przeleciał kanał La Manche, jeszcze się nie narodził. Na

flotę zaś potrzebne były pieniądze, dużo pieniędzy. Skąd je wziąść?... A tu w sam raz przyjeżdżają jakieś dziwolągi amerykańskie i proponują kupno jakiejś mu nieznanej prowincji i to w dodatku za gotówkę, której na gwałt potrzebował. Jak się to wszystko dobrze składało! Napoleon przez dłuższy czas przemyśliwał nad tym projektem, czy nie wartoby było sprzedać jakąś odległą kolonię, a za te pieniądze "zerżnąć" skórę Anglikom.

Historia na tle kupna podaje następny ciekawy incydent. Napoleon mając głowę zaprzątniętą przygotowaniami wojennymi, nie czuł się dobrze. Było mu zimno, więc też kazał sobie w miedzianej wannie przygotować gorącą kąpiel. Już niemal od godziny parzył się w gorącej wodzie, pełnej mydlin i przesyconej perfumami. Przyboczny a nieodstępny mameluk zameldował przybycie dwu jego braci: Hieronima i Józefa. Ci wygalantowani w odświętne mundury, kapiące od złota i srebra, przyszli do brata, tarzającego się w gorącej wodzie i zachlapanego mydlinami. W toku rozmowy Napoleon oświadczył, że ma ochotę sprzedać ową dziką Louisianę, a za otrzymane pieniądze zbudować w Boulogne flotę wojenną i wkroczyć do Anglii. Bracia zaczęli mu ganić ów tak dla nas zbawienny projekt. Nareszcie wywiązała się gwałtowna kłótnia między trzema braćmi. Napoleon cały pokryty mydlinami i gorącą wodą, wylazł z wanny, obryzgał i zachlapał ich świetne mundury i całkiem niedwuznacznie, a po polsku mniej więcej w tym sensie im powiedział: — Do krocset tysięcy diabłów! kto tu rządzi, wy czy ja?! Ażeby wam pokazać, że ja tu panem i wy nie macie mi nic do gadania — sprzedam Louisianę i kwita.

Sprzedał!...

Chcąc dokładnie pojąć jaki to kawał "nieruchomości" kupiliśmy za okrągłe piętnaście milionów dolarów, których to pieniędzy trzeba było pożyczyć w Anglii, należy popatrzeć na mapę Stanów Zjednoczonych znajdującą się przy końcu książki. "Louisiana Purchase" obejmował teren, z którego powstały stany: Arkansas, Iowa, Kansas, Missouri, Nebraska, Południowa Dakota i Oklahoma, poza tym — trzy ćwierci stanu Louisiany (w obecnych granicach), Colorado, Montany i Wyomingu, połowę Minnesoty i Północnej Dakoty, ćwierć Nowego Meksyku, części Mississippi, Teksasu i Idaho. Teraz za te pieniądze nie kupiłby jednego większego bloku w Nowym Orleanie. A jednak prezydent Jefferson, aby celu dopiąć i targu dobić, wytężył wszelkie siły, użył wszelkich możliwych sposobów i jak sam powiedział — "wyprężył swą władzę, aż trzeszczała." W prawdzie, jak to zawsze w takich wypadkach bywa, jego przeciwnicy polityczni wymyślali mu na funty, że w takie kolosalne długi wpakował naszą republikę. Kto tam będzie siedział, co z tym będziemy robili, kto

opłaci procent i podatki; zbankrutujemy, jak amen w pacierzu. Ale — słowo się rzekło — Louisiana u płotu. Ile jej było, co w niej było, tego nikt nie wiedział, chyba sam Pan Bóg, ale Ten też nic nikomu o tym nie gadał.

Louisiana od czasu odkrycia i założenia miast Mobile i Nowego Orleanu należała do Francji do roku 1769-go. Wtenczas przeszła pod panowanie Hiszpanów. Napoleon dał lanie Hiszpanom i z powrotem odebrał Louisianę i objął w niej rządy 30-go listopada 1803-go roku. Po dwudziestu dniach, bo 20-go grudnia 1803-go roku ten skrawek kontynentu przeszedł na własność U. S. A.

W dużej sali, na drugim piętrze starego Cabildo, przedstawiciel Francji i dwudziestodniowy gubernator prowincji Pierre Clement Laussat, jako pełnomocnik cesarza Napoleona, podpisał odpowiednie dokumenty i doręczył je p. Williamowi Clairborne i generałowi Wilkinsonowi, jako przedstawicielom rządu Stanów Zjednoczonych. Na Place d'armes, tuż przed pałacem i katedrą, zebrały się tysięczne tłumy. Wystąpiły także w linię wyciągnięte załogi francuskie i amerykańskie. Z balkonu odczytano akt sprzedaży w trzech językach: francuskim, angielskim i hiszpańskim. Żołnierze sprezentowali broń przed sztandarem francuskim, który z lekka łopotał na wysokim maszcie. Następnie żołnierz francuski powoli spuścił i zwinął sztandar francuski, a na jego miejsce żołnierz amerykański rozwinął i wywiesił sztandar amerykański. Żołnierze sprezentowali broń, gruchnęła salwa karabinowa, wzniesiono dosyć słabe okrzyki na cześć nowych panów i największa na świecie transakcja "realnościowa" przeszła do historii. Po załatwieniu formalności urzędowych i wojskowych, boć zmiana właścicieli nie była dla tutejszych obywateli nowością, zaczęto pić co i gdzie popadło. Dotąd ludność Louisiany była przeważnie francuska lub hiszpańska. Po przejściu terytorium w kilku latach napłynęły do Nowego Orleanu i Louisiany tysiące angielsko-amerykańskich kolonistów.

Lousiana stała się punktem oparcia i bazą do następnego posunięcia, którym było zajęcie Teksasu, a w parę lat później, po wojnie meksykańskiej, okupacja wszystkich stanów południowych aż do oceanu Spokojnego.

Chociaż Napoleon sprzedał Louisianę Amerykanom, że tak się wyrażę — za miskę soczewicy, jednakowoż tutejsza, a jak na owe czasy liczna kolonia francuska nie potępiła go za to. Owszem, Francuzi żywo się interesowali przebiegiem wojen napoleońskich. Gdy zmienne losy fortuny z najpotężniejszego cesarza Europy uczyniły samotnego wygnańca, dogorywającego na wyspie św. Heleny, tutejsza kolonia francuska o nim nie zapomniała. Zbudowano tu dla niego piękne, trzy-piętrowe mieszkanie. "Dom Napoleona" należy do sta-

rych zabytków Vieux Carre i każdy z turystów może go zwiedzić. Czyniono tajemne przygotowania, aby wysłać kilka szybkich, dobrze uzbrojonych okrętów na wyspę św. Heleny, odebrać Anglikom dostojnego więźnia i sprowadzić go do Nowego Orleanu. Niestety, śmierć Cesarza zniweczyła szlachetne plany jego ziomków, zamieszkujących w Nowym Orleanie. W muzeum historycznego Cabildo, między innymi drogocennymi pamiątkami i zabytkami, znajdziecie także oryginalną maskę pośmiertną Napoleona, zrobioną przez jednego z tutejszych obywateli zaraz po skonie wielkiego Cesarza.

Warto zwiedzić starą dzielnicę szczególnie znane na cały świat antykwarnie na rue Royal. Gdy się tak zaglądnie do okien tych niezwykłych sklepów, ma się przed oczyma całą historię i przepych tego arystokratycznego miasta o wybitnie europejskiej kulturze. Tu nie wystawiają jakichś starych, prymitywnych rupieci, jak to czynią w Nowej Anglii, ale w oknach podziwiasz kwintesencję francuskiej elegancji i kultury z czasów Ludwików i Wielkiego Cesarza. Czy to są złocone meble, czy to są przecudnej roboty fajanse i statuetki, czy śliczne wazony, czy drogocenna biżuteria, czy artystycznie malowane lub z delikatnej muszli rzeźbione portrety i miniaturki, czy złote łańcuchy, czy owe modne "lorgnion" na długiej, perłowej rączce, czy też te przecudne wachlarze z kości słoniowej, gustownie farbą zdobione, czy stare zegary, no nie skończyłbym tej litanii najrozmaitszych przedmiotów, które tu można podziwiać lub kupić w licznych antykwarniach. Wszystko świadczy o bogactwie i kulturze tutejszej arystokracji. Patrząc na ten przepych, bo chociaż to zakurzone, może nawet cośkolwieczek zniszczone, to jednak każdy rzeczoznawca wie dobrze, że to nie dzisiejsza, maszynowa, błyskotliwa tandeta, ale raczej arcydzieła nieznanych francuskich czy włoskich Cellinich. Gdy Boston i Nowy Jork wiódł bardzo skromne życie, gdy się kontentował najskromniejszymi meblami, gdy tam panował angielski purytanizm, tu kwitła bujna elegencja i kultura francuska z domieszką również pięknej kultury hiszpańskiej. Tutejsi obywatele — kreolczycy czyli mieszańcy Francuzów i Hiszpanów, to nie ta prymitywna, niekulturalna tandeta angielska — to kwintesencja elegancji, jaka wówczas panowała na dworach hiszpańskich i francuskich. Od samego początku zjechało tu dużo arystokracji. Kulturę francuską propagowały siostry zakonne i Jezuici. W Paryżu czy Madrycie kończyli szkoły synowie tutejszych kupców i plantatorów. Tak — Nowy Orlean to nie miasto amerykańskie, to przedewszystkim — miasto europejskie w najlepszym tego słowa znaczeniu. Już z górą sto trzydzieści lat powiewa sztandar gwiaździsty; przejęło się ono duchem amerykańskim, duchem postępu, duchem przemysłu i handlu, ale tam het głęboko, jak

ów głęboki a rwący nurt — "Ojca Wód" — w mieście płynie duch, życie, zwyczaje i kultura francusko-hiszpańska.

Tu jeszcze słyszysz mowę francuską, jak również hiszpańską. Gdy zajdziesz na stary rynek — The French Market — jesteś pod wrażeniem, że się znajdujesz na którymś z licznych, a jak dwie krople wody do siebie podobnych rynków paryskich.

Może jedną z cech starej europejskiej kultury Nowego Orleanu były — pojedynki. Najlepsi fechtmistrze francuscy i włoscy zakładali tu swe szkoły. Na wykłady i ćwiczenia uczęszczali arystokraci, szczególnie młodzież. To zresztą należało do — tonu, przy tym i do... bezpieczeństwa. Nie wiedziałeś, kiedy i o co cię ktoś wyzwie jak mówił Sienkiewicz, na "udeptaną ziemię." W jednym z parków rosną jakie dwadzieścia kroków jeden od drugiego, dwa rozłożyste dęby. To są owe słynne — "duelling oaks" — dęby pojedynków. Na tej niewielkiej polance często lała się krew ludzka. Bardzo wielu szermierzy zginęło tu od kuli czy szabli przeciwnika. Był nawet wypadek, że walczono na koniach, za broń służyły ciężkie szable kawaleryjskie, a co ciekawe — że słabszy fechtmistrz łeb rozpłatał i na miejscu uśmiercił daleko zdolniejszego i lepiej wyćwiczonego przeciwnika.

Jak zwykle, najczęściej powodem pojedynków były — kobiety. Już tu nie mówię o żonach i narzeczonych, ale kobiety, które częstokroć były profesjonalnymi kochankami i utrzymankami nowo-orleańskiej arystokracji. Poza czystej rasy Francuzami, Hiszpanami, i kreolami była tu jeszcze mieszanina krwi białej i czarnej. Na tę mieszankę w stanach południowych jeszcze dziś zwracają uwagę. Chociażbyś miał zaledwo jedną kroplę krwi murzyńskiej już tym samym zaliczali cię do murzynów. Co jednak jest ciekawe, to fakt, że kobiety — mieszanki były nadzwyczaj urodne i... namiętne. Od proporcji krwi białej i czarnej nazywano je — "quadroons," czy "octoroons," to znaczy: kwadrun miał w sobie czwartą część krwi murzyńskiej, a oktrun tylko ósmą. Kobiety te mają cerę śniadawą, zwykle krucze włosy, chociaż unikano włosów kędzierzawych, duże szare lub czarne oczy, powabną kibić i zmysłowe, jak ogień namiętne usta. W żyłach ich płynęła przeważnie krew tutejszej arystokracji, tylko się nikt otwarcie do tego nie przyznawał.

Raz do roku urządzano bardzo modne bale na cześć tych mulatek. Na zabawę proszono całą arystokrację. Oczywiście młodzież, ta nasza "złota" młodzież, a szczególnie, te młode rozwydrzone "samce" stawiały się w komplecie. Matkom młodych, a częstokroć dobrze wychowanych panienek zależało na tym, aby skojarzyć jakąś "przyjaźń" między córką, a synem bogatego kupca czy plantatora. Poprostu mulatki czyli kwadrunki tworzyły klasę z której werbowały się

piękne utrzymanki, nie tylko rozpustnej młodzieży, ale także nader poważnych panów i ojców rodzin. Ci poważni panowie częstokroć wyrywali się nocami na peryferie miasta jedynie w tym celu... "że ja sobie muszę rozweselić duszę" czy też.... coś innego. Na tych luksusowych zabawach, gdzie szampan lał się strumieniem, o zaczepkę nie było trudno i zwykle po takim balu była cała seria pojedynków, a czasem ... pogrzebów. Z tego można wnioskować, że nawet w tak katolickim mieście, jak Nowy Orlean, stosunki moralne pozostawiały dużo do życzenia i ani pobożne zakonnice ani gorliwi Jezuici i inni kapłani nie mogli jakoś dać rady miłosnym zapędom swych pupilków, a nawet już starszych panów.

Napoleon po odebraniu Hiszpanom starej francuskiej kolonii — Louisiany, w krótkim czasie ją spieniężył, biorąc za nią gotówką piętnaście milionów dolarów. To ciekawe, że pieniędzy udzieliła naszemu rządowi angielska firma bankowa Barings, chociaż Anglicy sami na ten bogaty kąsek zęby ostrzyli. Gdy się uporano z Napoleonem w Hiszpanii i pod Waterloo, zabrano się do naszej skóry podczas wojny w roku 1812-1813-tym. Tłukliśmy się wtenczas na trzech frontach. Anglicy wdzierali się do nas od strony kanadyjskiej, rzeką św. Wawrzyńca i jeziorem Champlain. Była także bitwa na jeziorze Erie. My zaś wpadliśmy do Kanady, tamci znów do Michigan. Wdarli się też Anglicy zatoką Chesapeake do Baltimore, a nawet spalili Waszyngton. Z dymem pożarów poszło wtenczas dużo cennych archiwów. Trzecim terenem walki stała się zatoka Meksykańska. Zdobycie ujścia rzeki Mississippi, objęcie w posiadanie bogatego hinterlandu, szczególnie kontrola nad handlem tej bogatej doliny i rzeki Mississippi, był to nielada kąsek dla dyplomatów i strategików angielskich. Wysłali więc na podbój Louisiany silną flotę i kilkanaście tysięcy dobrze wyćwiczonego wojska, zahartowanego do boju w walkach napoleońskich. Oczywiście chcieli zdobyć miasto — Nowy Orlean.

Przecież rzetelnie i uczciwie kupiliśmy ten kawał "gruntu" i to nawet za pożyczone i w dodatku angielskie pieniądze. Więc też zależało nam, aby co swoje, w dodatku kupione i "słono" zapłacone utrzymać i przed angielską zachłannością — uratować. Obronę tej połaci kraju polecono zdolnemu i energicznemu generałowi Andrzejowi Jacksonowi. Nie wiele miał wojska a, że to w dodatku bieda była, żołdu regularnie nie wypłacano, przy tym teren trudny, bo moczary, gorączki i komary żołnierzom dokuczały gorzej od Anglików, więc też biedak miał kłopot z niesubordynacją swych czupurnych rekrutów. Opowiadają, że jeden z pułków się zbuntował. Generał Jackson, a było to jeszcze przed bitwą pod Nowym Orleanem, wyjechał przed front, "wyrżnął" żołnierzom siarczystą mowę, z rąk jednego z nich chwy-

cił karabin, a patrząc w oczy buntowszczykom, tak mniej więcej po żołniersku, powiedział:—"Jeżeli którykolwiek przeklęty, jak Alski (1 mówi "koniokrad" się z miejsca ruszy lub słówkiem piśnie, to mu w jego przeklęty łeb strzelę, jak psu." Zły był jak szerszeń, aż iskry mu się z oczu sypały. Żołnierze przerazili się tego straszliwego gniewu generała, któremu dali przydomek — "Old Hickory" — stary akryk (orzech amerykański znany ze swej sprężytości i siły). Wszystko wróciło do koszar. Dopiero później żołnierz się wygadał, że karabin, który z jego rąk wyrwał generał i którym chciał pierwszemu lepszemu żołnierzowi kulę w łeb wpakować — nie był nabity. Ale tego nie wiedzieli żołnierze ani nie wiedział generał, chociaż jak to mówią — gdy Pan Bóg dopuści to i z kija puści. Iluż to ludzi postradało życie z "nie nabitych" strzelb i rewolwerów?!....

Oczywiście nie wiedział generał Jackson, w którym miejscu uderzą Anglicy. Mogli wtargnąć do Florydy, mogli napaść Mobile a następnie wedrzeć się rzeką do Nowego Orleanu. Wtenczas wojny toczyły się w daleko powolniejszym tempie. Gdy się więc upewnił, że atak będzie na miasto, ściągnął czym prędzej swe siły, a było tego i tak niewiele, i przygotował się do obrony. W bajorach i trzęsawiskach rzeki Mississippi gnieździł się wtenczas słynny pirata morski La Fitte. Chociaż to był łajdak skończony, nie wiele lepszy od Gasparilli, ale jednak miał zdrowe zasady. Chcieli go do siebie przyciągnąć Anglicy. Ofiarowali mu nawet komisję wojskową i porządną zapłatę, by tylko stanął po ich stronie. Ale ten, chociaż z pod prawa wyjęty, kraju i miasta swego nie zdradził. La Fitte był kowalem z zawodu. Jeszcze po dziś dzień w Vieux Carre znajduje się jego kuźnia, w której kuł konie, robił wozy, a najwięcej zajmował się potajemną sprzedażą łupu zdobytego na szerokim morzu. La Fitte zaofiarował generałowi Jacksonowi swe usługi i swych towarzyszy, co to się ani Boga ani diabła nie boją. Generał za to też często z nim przesiadywał w słynnej karczmie — Absinthe

Kuźnia korsarza La Fitte'a

1. — Redaktor i wydawca poczytnego tygodnika — "Pittsburczanina" w którym to piśmie co tygodnia ukazują się moje — "Gawędy."

House, a popijając wódkę ze słynnym korsarzem opracowywał plan bitwy.

— Jakto? — znów jedziemy na pole bitwy?!...

— A no juści, przecież do tego mam słabość, więc też bitwy pod Orleanem ani jej pola pod Chalmette, pominąć nie mogę.

— A no jak trzeba, to trzeba, bo cóż z takim piszącym szoferem zrobić, co lubi swych czytających współtowarzyszy podróży oprowadzać po polach bitew. Możeby lepiej było ... po knajpach? Ale i tam pójdziemy, skoro tylko wrócimy z tej ciekawej wyprawy.

Jedziemy więc kilka mil za miasto, na starą plantację Chalmette, gdzie się Anglikom, i to nawet już po podpisaniu pokoju dostały porządne cięgi od żołnierzy Jacksona i korsarzy La Fitta, którzy walczyli przy boku jeden drugiego.

Ponieważ nasz "minister spraw wewnętrznych" był zajęty praniem i prasowaniem, co jej sprawiało pewnego rodzaju — przyjemność, a nam ... ulgę, więc też we dwójkę, jako starzy wojacy, wybraliśmy się z ks. Wojcieszczukiem na owo słynne, a tak dla nas ważne pole bitwy. Wyjechaliśmy kilka mil za miasto i pędziliśmy w kierunku południowym, wzdłuż rzeki, szukając owej plantacyi. Myślałem, że tam będzie jakaś duża tablica, może bulwar czy inny wielki drogowskaz. Tymczasem nic nie napotkałem i całkiem ominąłem ten historyczny kącik. Trzeba się było zapytać okolicznych "cajunów" czyli dawnych kanadyjczyków, gdzie jest pole bitwy. Cofnęliśmy się kilka mil z powrotem ku miastu.

Przy drodze znajduje się już zapadła ruina, pokryta powojem, ongiś mieszkanie zamożnego widać plantatora i właściciela Chalmettu. Na jego właśnie polu odbyła się bitwa. Od tej zniszczonej rezydencji, porosłej powojem i otoczonej rosochatymi, mchem pokrytymi dębami, wiedzie piękna aleja drzew aż do brzegu rzeki. W tym miejscu formowały się do ataku wojska angielskie. O jakąś milę w górę rzeki, a parę mil za miastem, Jackson sprawił swe szeregi. Linię bojową ustawił wzdłuż dosyć głębokiego kanału czy też rowu, co już tym samym utrudniało atak Anglikom. Oparł swe prawe skrzydło o rzekę, a lewe o bagna. Ponadto całą pozycję od rzeki, aż wgłąb moczarów obwarował zapomocą dużych bali bawełny. Za tym niezwykłym, a bardzo skutecznym murem z bawełny przyjął atak angielski. Śmiali się Anglicy, gdy zobaczyli tę niezwykłą fortyfikację, boć to elita angielska, weterani Wellingtona z Hiszpanii i z pod Waterloo, którzy nie z takimi chłystkami walczyli i nie takie "bawełniane" forty zdobywali. Jackson w najdogodniejszych pozycjach poustawiał armaty, naładowane siekańcami, a za belami bawełny rozciągnął rzędy wojska, ochotników i do walki zaprawnych, nieustraszonych korsarzy La Fitta.

Anglicy pod wodzą generała Edwarda Pakenhama, prowadzącego atak, rzucili się z zajadłością na ten napozór niewyćwiczony tłum żołnierzy amerykańskich. W rowie wpierw urządzili sobie zimną kąpiel, bo to w styczniu było, następnie Amerykanie sprawili im "gorącą łaźnię." Wiadomo, że każdy pionier może musztry wojskowej nie znał, ale gdy przyszło do strzelby to napewno lepiej strzelał od fachowych żołnierzy. Na rozkaz generała przywitały nadchodzących Anglików różnego kalibru armaty naładowane siekańcami, bo na krótką metę siekańce znakomicie przerzedzały nieprzyjacielskie szeregi. Gdy już się wrogowie zbliżyli na jakieś dziesięć kroków, polecono strzelać — w głowę; bardziej nerwowi mogli walić, jak to fachowcy mówią — "w komorę" czyli brzuch i piersi, bo zatrzymy-

Tu poległ generał Pakenham

wanie kul brzuchem wcale do przyjemności nie należy. Więc też na dany znak, w szybkich odstępach czasu zagrzmiały celne salwy karabinów amerykańskich. Takiego ognia nigdy, jak mówili później ranni, jeszcze dotąd armia angielska nie widziała. W przeciągu ośmiu minut legło dwa tysiące zabitych. W piętnastu minutach już było po bitwie. Ponad ośmdziesiąt procent poległych zginęło od ran w głowę. Po stronie amerykańskiej było kilkudziesięciu zabitych i rannych. Śmiertelnie rannego dowódcę angielskiego uniesiono z pola bitwy. Po murowanym domu plantatora, w którym skonał generał Pakenham, została tylko ruina, teraz otoczona opieką rządu. Niedobitki cofnęły się do okrętów i wróciły do Anglii. Weterani Wellingtona przekonali się na własnej skórze, że z takimi drabami, co to musztry

nie znają, co budują forty z bawełny, przytym świetnie strzelają, nie warto zadzierać.

"Tam, gdzie drzewo rąbią, wiory padają," a gdzie zaś bitwy się toczą, tam padają — żołnierze i powstają ... cmentarze. Więc i tu znajduje się duży cmentarz wojskowy, prawdopodobnie zapoczątkowany bitwą i zwycięstwem, które w tym miejscu odnieśliśmy 8-go stycznia, 1815-go roku, a było to już po podpisaniu traktatu pokojowego w Gandawie, w Holandii. Od tego czasu nie mieliśmy z Anglią żadnego poważniejszego nieporozumienia, chyba, że w jakiejś karczmie jedni drugich poturbują.

Przybyliśmy tu właśnie w wigilię święta narodowego — dnia "Wieńczenia Grobów" — Memorial Day, które przypada 30-go maja. Dla mnie było niespodzianką, gdym się dowiedział, że w stanach południowych tego święta nie obchodzą, gdyż zainicjowali je po wojnie domowej żołnierze armii federalnej. Rozumie się, że już go z tego powodu nie świętują ich dawni przeciwnicy. A że to jest uroczystość rządowa, a poniekąd nawet wojskowa, więc też wszystkie groby, a jest ich tu z jakie dziesięć tysięcy, boć każda wojna tu składa część swych bohaterów na wieczny spoczynek, wprost cały cmentarz zakwitł i jakoby mienił się od małych chorągiewek amerykańskich, które na każdym grobie zatknięto.

W długich szeregach spoczywają weterani naszych wojen. Każda ma swą parcelę, niby rozdziały jakiejś tragicznej, a nader wymownej i pouczającej książki. Przy każdym grobie ustawiono małą marmurową tabliczkę, a czasem rodzina własnym kosztem umieściła okazalszy pomnik. Na środku zaś cmentarza jest duży, symboliczny pomnik ku czci poległych żołnierzy. Co mnie szczególnie uderzyło na tym pomniku, to napis po łacinie: — "Dum tacent, clamant" czyli — Choć milczą, jednak wołają. Czyż tak nie jest?!... Gdyby to dyplomaci świata, ci co wszczynają pożogi wojenne, poszli na te wojenne kurhany, na te bratnie mogiły, gdyby stanęli przy pomnikach "nieznanych żołnierzy" i tak zastanowili się nad tym — co znaczy wojna, jakie przynosi korzyści, a jakie szkody i straty wyrządza ludzkości, możeby się obyło bez tych zbrojeń, bez tych postrachów wojennych. Teraz dyktatorzy nawołują matki, by kolebki zapełniały dziećmi, bo oni potrzebują żeru dla armat, bo oni wkrótce zapełnią ... groby i cmentarze!...

Któryś z dyplomatów polskich słusznie powiedział, że "najprzód trzeba się rozbroić moralnie," a dopiero wtenczas można przystąpić do ograniczenia zbrojeń i wojen. Niestety, wszyscy jesteśmy za pokojem, wszyscy pragniemy zgodnego pożycia z sąsiadami, ale mimoto każdy się na gwałt zbroi i przygotowuje do nowej, jeszcze większej, jeszcze tragiczniejszej walki. Tak — Dum tacent, clamant — choć

milczą - jednak wołają, może nawet wołają głośniej od okrzyków wojennych, od tych zajadłych — hurra, gdy szli do ataku. Ale tych tragicznych, tak głośnych i wymownych okrzyków poległych nie słyszą ludzie pragnący władzy, szukający nowych zdobyczy, pożądający skrawków ziemi, ociekających łzami sierot i krwią żołnierzy!...

Tak się szczęśliwie ułożyły stosunki, że właśnie podczas naszego pobytu w Nowym Orleanie mieście słynącym na całą Amerykę ze swych restauracji, gdzie sztuka kulinarna jest wyniesiona do jakiegoś dla mnie nawet niepojętego stopnia potęgi, wypadła właśnie nadzwyczajna, wprost światowej doniosłości uroczystość, którą należało uczcić i obchodzić, jako święto już nie tylko pierwszej klasy z oktawą, ale z uczciwą wyżerką, zakończoną ... szampanem. Jak się wam to spodoba?!...

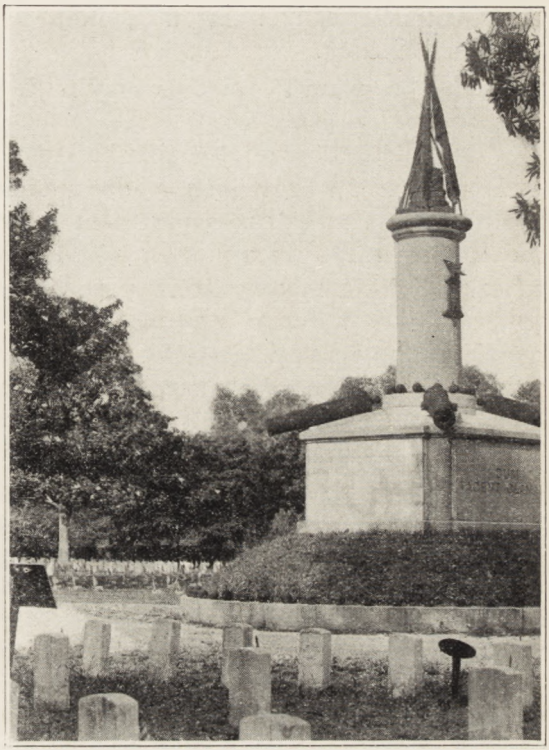

Pomnik na cmentarzu wojskowym

— Cóż to była za uroczystość?...

— Zaraz wam opowiem.

Przed pięćdziesięciu dwu laty, w samym Zbarażu, tam, gdzie Kozacy z Polakami walczyli, tam gdzie książe Jarema, Longin Podbipięta, Skrzetuski, Wołodyjowski i inni wielcy bohaterowie się wsławili, zdarzył się wielkiej doniosłości wypadek. Otóż w Zbarażu szczęśliwie "wylądował" nowy obywatel "cysorza" Franz-Józefa. Na chrzcie św. dali mu imię Antoni, a po ojcu, zapewne z dziada pradziada, otrzymał "czysto polskie nazwisko" — Wojcieszczuk. Nie będę się tu rozwodził nad jego przejściami życiowymi, nad jego walkami i borykaniem się z losem. Nawet nie wspomnę, o jego pracy kapłańskiej, że porzucił parafię i był jednym z pierwszych kapelanów tworzącej się armii polskiej, że wąchał proch we Francji, następnie ze swym pułkiem uwijał się po Ukrainie, a po skończonej wojnie bolszewickiej z ostatnim transportem wrócił do

Stanów Zjednoczonych w podartych spodniach i z 50 centami w kieszeni, w dodatku pożyczonymi od kolegi. To wszystko zapewne będziecie kiedyś czytali wśród życiorysów — "wielkich ludzi" a może nawet "Świętych Pańskich." Nasza uczta zresztą nic nie ma wspólnego z jego działalnością życiową. Grunt jest, że się narodził, i że właśnie 30-go maja przypadają jego urodziny, które w tym razie obchodziliśmy bankietem w jednej z wykwintnych restauracyj nowo-orleańskich.

Nie chcę wam tu robić oskomy na te przeróżne arcydzieła sztuki kulinarnej, któreśmy z apetytem "wsuwali," boć nawet we Francji nie znajdziecie lepszej "bouilla-baisse," nie skosztujecie tych wykwintnych sosów kreolskich, a cóż tu dopiero wam gadać o ostrygach pieczonych na muszli ze szpinakiem i jakimś niebiańskim sosem, to przecież są, zaraz wam powiem — "huitres en coquille a La Rockefe'ler." Delicje mówię, które poza Orleanem tylko można znaleźć przy stole — waszego cicerona w Norwich, Conn. Cóż tu dopiero mówić o zupie rakowej — "bisque d'ecrivisses a La Cardinal," a przecież wiecie, że żaden kardynał zwykłą grochówką się nie będzie objadał. A co byście pomyśleli, gdyby wam w woskowym worku, niby zawijany pasztet, przynieśli rybę, którą ochrzcili "pampano en papillotte" albo jakiś "poulet chanteclair" czyli kurcze duszone w wytrawnym winie z przeróżnymi potrawkami. Nie będę już wymieniał koktailów i innych delicji, o których nawet bogowie olimpijscy nie słyszeli. Przecież człowiekowi zachowującemu diety, człowiekowi miesiącami żyjącemu surowymi jarzynami i owocami, niby koza, wolno przy takiej okazji zapomnieć o wszelkich lekarskich przepisach i zjeść jakąś uczciwą kolacyjkę, a zakończyć chociażby jedną butelczyną szampana. Cieszyliśmy się ogromnie, że wieloletni przyjaciel i kolega urodził się w Zbarażu, a obecnie był z nami w Nowym Orleanie....

Po za restauracją "La Louisiane" jest jeszcze druga tak samo dobrze znana i wykwintna, gdzie przygotowywanie znakomitych potraw staje się kwintesencją życia, a tą jest restauracja "Antoine," także w starej dzielnicy miasta. Trzeba się było zrewanżować, więc następnego wieczoru, po całodziennym poście, buchnęliśmy — "chez Antoine." Już nawet nie pamiętam, czym nas tam raczono, ale chociażby tylko z punktu dziennikarskiego i autorskiego chciałem się bliżej zapoznać ze szefem i kuchnią. Co mnie mocno zdziwiło, to fakt, że szefem był Amerykanin, nazwiskiem C. A. Young. Spędził on kilka lat w Europie i pracował w najsłynniejszych hotelach i restauracjach, by się tej sztuki kulinarnej wyuczyć. Całkiem przypadkowo dowiedzieliśmy się, że właścicielką tej znakomitej restauracji jest — Polka. Przed laty wyszła za mąż za właściciela restauracji, a po jego

śmierci, jako spadkobierczyni, dalej tę słynną jadłodajnię prowadzi. Pochodzi z miasta Buffalo, nazywa się z rodziców Helena Próchniak. Większą część życia spędziła zdala od polskich osiedli, chociaż, jak mnie zapewniła, "jeszcze umie ździebko po polsku." Właścicielem apteki w sąsiedztwie także jest Polak, nazwiskiem Kozłowski. Jego ojciec przybył do Nowego Orleanu przed 75 laty, ożenił się z Francuzką, ale dzieci po polsku nie mówią, chociaż się do polskości przyznają. Tym z czytelników, których los zaprowadzi do Nowego Orleanu, radzę, aby wstąpili na obiad czy kolację do jednej z powyżej wymienionych restauracyj, jeżeli im kieszeń na to pozwoli. Ryby, ostrygi i raki tak tu świetnie przygotowują, że nie tylko piątki, ale cały post stałby się nieprzerwaną ucztą Lukullusową dla największego smakosza.

Szeroka i piękna ulica Canal, dzieląca miasto na dwie części, dochodzi do samej rzeki. Jest to właściwie bulwar, łączący rzekę Mississippi z jeziorem Pontchartrain. Dla wygody mieszkańców, nad brzegiem bystrej wody, miasto urządziło mały park. W nim umieszczono wygodne ławki. Ponieważ kolega poszedł robić zakupy więc usiadłszy na wygodnej ławeczce, wpatrywałem się w głęboki nurt (rzeka jest w tym miejscu 180 stóp głęboka) a myśli me, niby zapalony i nasiarkowany lont, po którym szybko sunie iskrzący się płomień, pędziły w górę rzeki, dzieliły się przy każdym dopływie i znów goniły dalej ... do tysiącznych źródeł, do miast, które przy brzegach Mississippi wyrosły, do tych urodzajnych pól, które się częstokroć kąpią w jej falach, do tych żyznych dolin, które jej dostarczają wody i ... handlu.

Murzyni zobrazowali tę wielką rzekę i nazwali ją — "Ole Man River" — czyli, "stary człowiek — rzeka." Dla nich jest ona czymś żyjącym. Zrośli się z nią. Żyją przy niej. Pracują na niej, a niejeden zapewne utonął w jej wartkim nurcie. Mississippi to ten najgłówniejszy nerw naszego ekonomicznego życia, to pierwsza droga, którą się posuwali nasi pionierzy. Tędy płynął niestrudzony LaSalle, a dotarłszy do zatoki Meksykańskiej, z wielką solennością w otoczeniu towarzyszy podróży, mając przy boku nieodstępnego "człowieka z żelaza" Tonti, na ołowianej blasze wypisał akt przejęcia tego terytorium na rzecz króla francuskiego Ludwika i nazwał je — Louisianą.

Pierwszym wielkim dopływem od zachodu to rzeka — Czerwona — Rivière Rouge, tak ją bowiem nazwali jej odkrywcy, Francuzi. Po prawej zaś pierwszym dużym dopływem jest rzeka Tennessee z jej licznymi, wartkimi dopływami. (Właściwie bezpośrednio wpada do rzeki Ohio). Rząd buduje teraz liczne tamy, by nie tylko kontrolować wylewy, ale aby ją zaprząc do ekonomicznego pługa i aby niewidzialnymi, wprost — nieznanymi jeszcze elektrycznymi nerwami

uruchomiła tysiące kół fabrycznych, by oświetlała nie tylko domy w miastach, ale także w szeroko rozproszonych osiedlach rolniczych, gdyż w Ameryce światło elektryczne to nie luksus, ale zwykła codzienna potrzeba; by ogrzewała mieszkania, topiła metale, lutowała stal a równocześnie — by do najskromniejszej chaty przynosiła na radio wiadomości z całej kuli ziemskiej — by wreszcie mroziła i przechowywała w zimnej temperaturze nasze pożywienie...

Znów na inną rzekę płynie myśl moja...

W pobliżu miasta Cairo, w stanie Illinois, wpada do Mississippi rzeka Ohio, ta pierwsza wielka droga, którą na szerokich tratwach płynęli na zachód pionierzy. Między innymi, Lincoln, jako młodzieniec, na takiej tratwie, niby polski flisak, płynął aż do Nowego Orleanu. Nad jej brzegami wyrosły wielkie miasta jak Cincinnati, Covington, Youngstown i Pittsburgh, boć splawna ona jest aż do swych początków. W Pittsburghu bowiem powstaje przez połączenie dwóch rzek — Alleghany i Monongahela. Stare angielskie Pittsborough, a jeszcze starsze francuskie — Fort DuQuesne było jednym z wielkich etapów naszego przeszło stuletniego — Drang nach Westen. Tą rzeką płynie węgiel, płynie stal, płynie zboże, płyną ludzie... (1)

W ostatnich paru latach, podczas niebywałych wylewów, płynął rzeką Ohio dobytek ludzki, płynęła ludzka nędza i łzy, boć nikt nawet w przybliżeniu nie jest w stanie obliczyć szkód jakie nam wyrządziła. Zeszłej zimy zaciętą walkę stoczył człowiek z rozszalałym żywiołem. Chociaż może nie zwyciężył na całej linii, ale tysiące robotników, nawet więźniów, pracując dniem i nocą z pomocą nowoczesnych urządzeń, robiąc wały, tamy i zasieki używając do tego milionów worków piasku zdołały ograniczyć już i tak kolosalną klęskę. Zacięta była walka: chodziło o życie i dobytek setek tysięcy mieszkańców, boć rzeka czasem karmi, czasem gasi pragnienie, ale też niekiedy zabiera wszystko ... nawet życie.

Po lewej zaś stronie, w pobliżu miasta St. Louis, założonego przez pionierów z Nowego Orleanu, wpada do "Ojca Wód" jej największa, najdłuższa córa — 2550 milowa Missouri. Mętna, kręta, co chwilę zmieniająca swe koryto, boć jak chimerna kobieta wciąż jej się coś nie podoba, toczy swe nieraz płytkie, ale zawsze mętne wały przez trzecią część Stanów Zjednoczonych. Zlewisko (basen) rzeki obejmuje ponad pół miliona mil kwadratowych, a połowę tego stanowią olbrzymie równiny i stoki gór Skalistych w Kanadzie.

Zródeł jej trzeba szukać w śnieżnych szczytach gór Skalistych, ośm tysięcy stóp ponad poziomem morza. Od swych źródeł aż do ujścia w zatoce Meksykańskiej jej długość, włączając oczywiście

1. Rzeką Ohio spławiają ponad 30 milionów ton towarów. Regulacja rzeki, pogłębianie koryta, udogodnienia portowe kosztują przeszło dwa miliony dolarów na rok. — Basen rzeki (drainage basin) czyli zlew obejmuje ponad 200 tysięcy mil kwadratowych.

niższą część Mississippi, wynosi ponad trzy tysiące mil. Rzeki Jefferson, Madison i Gallatin są jej pierwszymi wielkimi dopływami, a te mają swe źródła w okolicy wielkiego parku — Yellowstone. Jezioro to jest źródłem jednego z dopływów rzeki Madison. Tu czerpie swe wody rzeka Yellowstone, słynna ze swych wodospadów, przedewszystkiem z uroczego kanionu, może najpiękniejszego naturalnego zjawiska na kuli ziemskiej — Yellowstone Canion.

Rzeka Missouri otrzymała miano "big muddy" — czyli — "bardzo błotnista." Całkiem słusznie, gdyż na tysiąc stóp kubicznych wody przypada niemal piętnaście kubicznych stóp mułu. Nie mogąc unieść tyle piasku, wciąż się tym nadmiernym ciężarem potacza, robiąc kręgi, zatory, wyrywając brzegi, usypując wyspy, sprawiając przez to osadnikom, miastom, przedewszystkim żegludze dużo kłopotu. Trudno ją uregulować, trudno ustalić jej koryto, które wciąż zmienia. Na wiosnę gdy śniegi w górach topnieją, rzeka szybko przybiera i jej poziom wznosi się nieraz 30 stóp ponad zwykły normalny bieg. W tym też czasie jest ona spławna aż hen do Północnej Dakoty, do starej pionierskiej placówki Fort Benton. Ma się rozumieć, że tylko okręty o dnach płaskich, nie zanurzające się ponad kilka stóp do wody mogą tak daleko popłynąć.

Z białych odkrywców, pierwsi którzy widzieli ujście rzeki Missouri byli ks. Marquette i jego towarzysz Joliet. W stanie Illinois są dwa duże miasta — Joliet i La Salle, ku czci znanych francuskich odkrywców i pionierów. Pierwsza ekspedycja składająca się z trzydziestu żołnierzy amerykańskich, pod wodzą kapitanów Lewisa i Clarka w roku 1805-tym popłynęła tą rzeką ku jej źródłom i ewentualnie przedarła się przez góry Skaliste aż do oceanu Spokojnego. O ich przygodach wspomniałem w poprzedniej mej pracy turystycznej "Samochodem przez Stany Zjednoczone" tom 1-szy, do której czytelnika odsyłam.

Mississippi z dopływami innych wielkich, spławnych rzek jest jakoby stosem pacierzowym całego kraju. Rzekami płynęli do swych siedzib pierwsi koloniści, rzekami wysyłali ziemiopłody i futra oraz skóry bawole, rzekami sprowadzali potrzebne zapasy żywności, narzędzia rolnicze, broń i co im było do tego skromnego życia niezbędne. Do rzek przyczepiły się osiedla ludzkie, powstały przy nich miasta, dlatego rzeki właściwie stały się jakoby kolebką cywilizacji. Tak było w Babilonii, nad Tygrysem i Eufratem, tak było nad Nilem, Tybrem, Renem, tak jest nad Mississippi.

Szybko wciąż myślą płynę w górę rzeki — ku jej źródłom... w pięknej, kiedyś sosną pokrytej Minnesocie. Tam bowiem, nad jej brzegami, spędziłem tyle lat studenckich i kapłańskich! Mijamy więc duże dopływy rzeki Ohio, Illinois i Wisconsin. Marquette i La Salle, po wylądowaniu w "Baye Verte" czyli nowoczesnym Green Bay, pły-

nęli rzeką Wisconsin do Mississippi, o której opowiadali im Indianie. Mijamy także stare miasto a tak dla mnie pełne wspomnień — Winonę. Zgórą pół wieku zamieszkują tu i w okolicach nasi Kaszubi i Ślązacy. Docieram wreszcie do stołecznego miasta St. Paul. Kilkadziesiąt mil poniżej stolicy minęliśmy rzekę St. Croix, na której do niedawna na wiosnę płynęły miliony ogromnych kloców sosny, świerków, jodły, brzozy i innego drzewa. W tych okolicach, w małym miasteczku Prairie du Chien, jest pochowany założyciel miasta St. Paul, ks. Galtier, proboszcz pierwszego małego kościółka, który z biegiem lat przeistoczył się w przepyszną katedrę. — Bogobojny i gorliwy założyciel kazał się pochować u wejścia do małego kościoła, w Prairie du Chien, by ludzie stąpali po jego prochach. Co za ludzie, co za poświęcenie, co za gorliwość i idealizm bez granic a przy tym.. wielka pokora! Toć to apostołowie, którzy św. Pawłowi dorównywali w podróżach i udrękach bez liku. A gdzie się teraz podziały te szczepy Indian, tych Chippewas, Siouxów i innych? Toć to tylko szczątki wielkich plemion!... Pozostały nam tylko niewielkie rezerwacje skarłowaciałych potomków bohaterów naszych "bezgrzesznych lat" i dziecinnej wyobraźni. Tułają się oni jeszcze po tych urodzajnych fermach, po tych maciuputkich skrawkach lasów. Liczne i waleczne szczepy odeszły do swych "happy hunting grounds," pozostawiając po sobie tylko...wspomnienie.

Nawet te kiedyś wielkie rzeki, zawalone kamieniami i kłodami starych, ogromnych sosen i odwiecznych dębów, skurczyły się, skarłowaciały, wyschły. Toć tu było zwierzyny i ryb bez liku i miary. Cywilizacja to wszystko zabrała, strawiła, zniszczyła... Wzamian dała nam, zamiast leśnych ścieżek, którymi przekradali się wojowniczy Indianie, cementowe drogi i ulice. Zamiast dziewiczych lasów napełnionych zwierzyną, wyposażyła nas w ogrody zoologiczne. W nich możemy teraz oglądać niewolniczych, suchotniczych potomków kiedyś ogromnych niedźwiedzi, saren, łosi i tych niezliczonych stad bizonów, które się kiedyś pasły bo stepach i nad brzegami tych wspaniałych rzek!....

Kocham rzekę Mississippi taksamo, jak każdy Polak powinien kochać Wisłę. W St. Paul, nad jej brzegami, w seminarjum duchownym, pod wezwaniem św. Pawła Apostoła, spędziłem pięć lat na studiach. Ileż to miłych chwil upłynęło na szkolnej ławie?!... Ileż to razy, utajeni wśród zarośli, nad wysokim brzegiem rzeki, wpatrywaliśmy się w jej szybko rwący prąd?!.... Tu śniliśmy i rozmawialiśmy o Polsce...i Bogu dzięki, doczekaliśmy się jej wolności, nadzwyczajnego rozrostu i potęgi.

W pobliżu seminarjum, na przeciwnym brzegu rzeki, jest piękny wodospad Minnehaha — "Śmiejące się wody" — unieśmiertelniony przez naszego poetę Longfellow'a. Nieco dalej nad wodospadem św.

Antoniego, gdzie kiedyś gorliwy Franciszkanin, ks. Hennepin, głosił słowo boże Indianom, powstało wielkie miasto Minneapolis. Dalej na północ jest wodospad i miasteczko Little Falls. W Minneapolis rzeka pędzi największe na świecie młyny, w Little Falls kiedyś huczały tartaki. Hen, hen ku północy spieszy ma myśl do tych tajemniczych wód do tych rozległych, a jak kryształ czystych, a jak sen pięknych jezior północnej Minnesoty... Każde do niedawna było oprawione w zieleń smukłych sosen lub też odbijały się w przezroczystej tafli wodnej pochyłe, białe brzozy. Po zaciszných, sitowiem pokrytych głębinach pluskały duże sandacze i szczupaki, uganiając za owadami i rybkami. W tych spokojnych, głębokich, przez lodowce rzeźbionych jeziorach toczy się także nieustanna, bezwzględna, nieubłagana walka o życie, o ... byt. Znam teraz rzekę od jej źródeł aż do jej ujścia i kocham ją całą. Kocham ją w jej licznych rozgałęzieniach, kocham ją w jej bajecznie przepięknych brzegach, w jej spokoju, w jej majestacie, w jej gwałtownych wylewach gdy, niby nieprzeliczone stado rozhukanych rumaków, pieni się i tarza w szerokim korycie. Kocham ją, gdy w szale rozkiełznanej natury chwyta najpotężniejsze drzewa, domy, okręty i dobytek ludzi, unosząc go na wzburzonej piersi ku morzu. Kocham ją w jej przecudnej historii, w tych Indianach co w lekkich jak piórko kanusach płynęli po jej rybnych falach, w tych pionierach odkrywcach ubranych w jelenie kurtki, w skórzane czamagi, z ciężkim karabinem na plecach, z bawolim rogiem na proch i kule, z szerokim nożem u pasa, a dużą bobrową czapką na głowie, co tu polowali na bobry i bawoły i tu zakładali swe ogniska. O tak, przed oczyma płynie ... nie rzeka, ale życie, życie zwierząt, życie Indian, życie pionierów, życie żołnierzy — życie narodu!... Słyszę jęk tonących, huk wystrzałów armatnich, gdy jedni czy drudzy bombardowali nadbrzeżne forty, czy to pod Nowym Orleanem, czy pod Vicksburgiem, czy na innych polach bitew. Słyszę rytmiczny puls parowych tłoków i plusk ogromnych kół wielkich "pakiebotów." — Ta rzeka — to historia, to życie!...

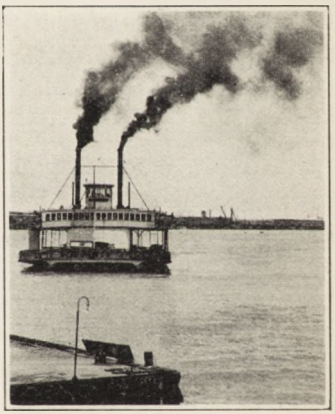

Typowy okręt na rzece Mississippi

Może piękne są nowoczesne miasta, może podziwu godne wielkie mosty, ręką człowieka zbudowane, a jeden tuż obok przez naszego rodaka Modrzejewskiego, może szybkie i pakowne, a nawet wygodne są nowoczesne okręty, kilka z nich niby duże wodne pająki, w tę i ową stronę przepływają tu szeroką rzekę, przewożąc ludzi na przeciwny brzeg do ... Algieru, tak się bowiem ta część miasta nazywała, gdyż tam

chwilowo trzymano niewolników z Afryki tu sprowadzonych. Jak mówię, może te miasta, te parki przy brzegach rzek, te pomniki z marmuru i bronzu, te ulice ruchliwe, te szpalery drzew, to wszystko ... ludzką ręką tworzone, to co zowiemy kulturą, postępem jest piękne w swym rodzaju. Ja jednakowoż myślą wciąż czepiam się przeszłości, wchłaniam do duszy każde wspomnienie, każdy szczegół tej bujnej historii, która się przy życiodajnych brzegach tej rzeki tworzyła.

Może dla niejednego pięknym jest człowiek odświętnie ubrany. Powabną mu jest kobieta w szeleszczących jedwabiach, z kolią pereł na szyi, z brylantami na ręce ... Może się tobie podoba wypieszczona miła twarzyczka, pokryta szminkiem i rużem, może chciałbyś pieścić i całować jej delikatną i uperfumowaną rączkę, taksamo jak ci się może podobać zimny bronz artystycznie odlany, lub prześlicznie rzeźbiony marmur ułożony w kształty wielkiego gmachu. Wszystko to ma swój powab i piękno. Dla mnie jednak najpowabniejszy jest człowiek ... przy pracy, gdy się z naturą boryka, gdy z wysiłkiem ujarzmia ziemię, gdy wypręża muszkuły rozwalając młotem kamienie, dźwigając ciężary ... gdy po raz pierwszy ciężkim pługiem zaoruje ziemię — rzucając do jej dziewiczego łona — życiodajne ziarno!... Wtenczas jego ciężkie, niewygodne, a nogi krwawiące buty są mi milsze od salonowych lakierków. Jego podarta, znojem zbrukana koszula, te piersi włochate, ociekające potem, wydymające się niby miechy kowalskie pod intensywnym wysiłkiem pracy — w mym pojęciu — są daleko piękniejsze od smokingów, od sztywnych białych półkoszulków nabitych brylantowymi spinkami.

Cóż może być szlachetniejszego od tej kobiety-pionierki, co przy boku męża dzieliła jego trudy i niebezpieczeństwa, co rozpalała rodzinne ognisko wśród dziewiczych lasów, zdala od osiedli ludzkich, co przy blasku migotliwego ogniska przygotowywała skromną strawę, rodziła i karmiła dzieci i budowała podwaliny wielkiego narodu?!... Myślę, że gdy tacy ludzie wznoszą swe spracowane ręce ku Bogu, prosząc o pomoc i siłę i wytrwałość, Bóg ich modlitwy wysłucha, boć z serca ona pochodzi, a nie z ust rużem i występkiem splamionych...

Rzeka ta odzwierciadla mi przeszłość, przypomina mi wszystko, co wielkie, co potężne, co nieśmiertelne!! Kto i kiedy wykreślił jej bieg?! Kto wstrzyma jej fale, osuszy jej źródła?!... Tylko Ten, co ją, nas i cały wszechświat z niczego uczynił, On wie, kiedy ją stworzył i kiedy ją zniszczy! Mississippi to — tajemnica, to ... życie, to historia ... to ... walka, to ... wieczność!!.. Nic dziwnego, że na jej tle powstała pieśń w dialekcie murzyńskim:

Ol' man river, dat ol' man river
He must know sumpin', but don't say nothin'
He just keeps rollin',
He keeps on rollin' along!.... (1)

— Stachu!... Bój się Boga, coś ty się tak głęboko zamyślił?!...

— Antoś! zapatrzyłem się w rzekę, a myślą spoglądałem na życie, które przy niej i na niej płynie.

Opis miasta nie byłby zupełny, gdybym chociaż tylko w kilku słowach nie wspomniał i nie opisał dorocznego festynu, jaki się tu odbywa już z górą sto lat. W zapusty, przed wielkim postem, całe miasto zaczyna szaleć. Już na kilka tygodni przed Środą Popielcową rozpoczyna się seria tańców i zabaw. Młode panienki na wydaniu urządzają wykwintne bale, następnie organizacje społeczne, dobroczynne, no i oczywiście cała śmietanka i sosajda tańczy, bawi się i dozakuje. Punktem kulminacyjnym jest Mardi Gras czyli wtorek przed Środą Popielcową. Bale maskowe i maski na ulicy są w modzie. Do miasta zjeżdżają na ów festyn dziesiątki tysięcy ludzi. Wszystko wychodzi na ulicę w kostiumach i maskach, od tego najmniejszego berbecia do siwego staruszka, który powinien w kościele śpiewać Gorzkie Żale. Tylko tych niestety inne narodowości nie znają.

Miasto jest wtenczas odświętnie ubrane. Przy głównych ulicach ciżba, że się przez nią przedostać nie można. Wszyscy się stroją w dziwaczne kostjumy aniołów, diabłów czy innych straszydeł. Według poprzednio w gazetach ogłoszonego programu w "tłusty wtorek" rozpoczyna się triumfalny pochód — króla karnawału. Towarzyszą mu mityczni królowie — "momusy i komusy." W pochodzie biorą udział liczne "załogi" — "krewe," ubrane w najdziwaczniejsze maski mitycznych bogów, królów, narodów, o których dotąd świat nie słyszał, jednym słowem, tu znajdziesz wszystko co tylko wściekła, zwarjowana wyobraźnia potrafi ludziom na myśl podsunąć.

Głównymi ulicami suną majestatycznie bogato zdobione rydwany. Tu dopiero Nowo-orleańczycy mają pole do popisu, a więc: płyną rydwany historyczne, przypominające początki i trudy wielkiego miasta, następnie idą — północ, południe, wschód i zachód, rzeki, morza, kontynenty, cnoty i grzechy, bogowie greccy, rzymscy, egipscy i czort wie jacy, ogromne smoki, wielkoludy, straszydła!... Wśród tego znów suną rydwany zapełnione najpiękniejszymi panienkami. Godzinami idzie ta malownicza procesja, a dopiero ku jej końcowi,

1. W dowolnym tłumaczeniu autora:
Ty stara rzeko: ty wieczna rzeko!
Ty dużo wiesz — a nic nie zdradzisz
Ty tylko płyniesz
Ty tylko płyniesz ... w dal!

ze swą świtą, na bogatym tronie, w wielkiej chwale i majestacie sunie król festynu. Niekiedy prowadzą przed nim tłustego wołu, gdyż symbolem uroczystości jest — "boeuf gras." Wiadomo, że gdzie jest król, zawsze powinna być także królowa. Kandydatek nie brak. Ona zaś ma także swą doborową świtę najpiękniejszych panienek czy to w modnych strojach czy też w rzymskich togach lub ... rajskich listkach, figowych. Kilka godzin trwa to niezwykłe widowisko. Wieczorem zaś wszystkie sale, wszystkie dancingi tak w dzielnicach wykwintnych, jak i skromniejszych, a nawet murzyńskich zaułkach są przepełnione tłumami tańczących. Ale tak zwykle bywa, że jedni się cieszą, a drudzy na ich zabawie robią pieniądze.

Mardi Gras ściąga do Nowego Orleanu setki tysięcy turystów. Wszystkie pociągi i wszystkie drogi wiodące do miasta są wprost zawalone turystami. Hotele i domy mieszkalne są nabite gośćmi. Sklepy, hotele, restauracje robią wtenczas świetny interes. Pierwszy festyn tego rodzaju, tylko na mniejszą skalę, odbył się w roku 1827-ym, a więc 110 lat temu. Od tego czasu miasto przechodziło rozmaite koleje; przeżywało ono chwile radosne, a nie brakowało mu także momentów tragicznych. Boć nieraz dobytek niszczyły powodzie, to straszne choroby dziesiątkowały mieszkańców, to wojna domowa rujnowała mienie i zabierała najdzielniejszych synów, co służyli w słynnym pułku "tygrysów z Louisiany." Przecież nie kto inny jak nowo-orleańczyk, kreol, generał Beauregard rozpoczął wojnę domową, gdy dał rozkaz bateriom charlestońskim, by bombardowały fort Sumter.

Jak życie człowieka, tak też życie wielkiego miasta przechodziło triumfy i tragedie. Chociaż miasto nawiedzały wielkie powodzie, pożary, choroby, wojny i zarazy, ale nic nie wstrzymało jego dorocznej uroczystości. Śmiało się przez łzy...śmiało się gdy straszny ból targał duszę ... śmiało się, gdy beznadziejna rozpacz ścinała krew w żyłach, gdy z domów wynoszono tysiące ofiar febry, cholery czy azjatyckiej dżumy... Bądź co bądź, ale Mardi Gras trzeba było obchodzić, boć to uroczystość, o której pół roku mówiono, a drugie pół roku się do nowej przygotowywano.

W niektórych większych miastach są do wynajęcia ludzie, którzy nie tylko znają dokładnie historię i zabytki miasta, ale także obwiozą cię po nim twym autem i pokażą ci, co warto zwiedzić. W to mi graj. Zaangażowałem więc takiego jegomościa, by w niedzielę, po Mszy św. obwiózł nas po mieście i pokazał to, czegośmy jeszcze nie zdołali obejrzeć i zwiedzić.

Więc też jadąc wspaniałymi bulwarami, pokazywał nam olbrzymie szkoły, bogate rezydencje, piękne pomniki, urocze parki, nareszcie dojechaliśmy nad brzeg olbrzymiego jeziora Pontchartrain. Jest to

właściwie odnoga zatoki Meksykańskiej. Rząd przez swe społeczne organizacje P.W.A. urządził przy jeziorze olbrzymie plaże i kąpiele. W pobliżu jeziora zwiedziliśmy także, jak nas zapewniał ten grzeczny młodzieniec, jedno z najlepiej urządzonych lotnisk w Stanach Zjednoczonych—Shushan Airport. Nowoczesny gmach lśnił się od bronzu i marmuru. Dla wygody pasażerów były obszerne czyściutkie poczekalnie, restauracje, biura, poczta, jednym słowem wszystko, czego sobie nowoczesny pasażer życzy. W dużych hangarach czekało kilka ogromnych trójmotorowców na ładunek pasażerski, by w kilku lub kilkunastu godzinach przewieźć ich w swym wnętrzu szybko i wygodnie na kraniec świata. Chociaż trzeba przyznać, że mając może najlepsze aeroplany na świecie, mieliśmy w ostatnim roku kilkanaście fatalnych wypadków.

Gmach na lotnisku Shushan

— A możebyście chcieli zwiedzić nasze stare cmentarze?... pyta miły cicerone.

— Ależ owszem, jeżeli tam jest coś ciekawego. Pojechaliśmy więc na bardzo stary cmentarz, pod wezwaniem św. Ludwika. Wiadomo, że miasto leży na bagnach i wprost nie można kopać grobów, bo zaraz się napełniają wodą, a przecież już dosyć źle jest, że biedak umarł i nie wypada go tu jeszcze ... topić, a na tamtym świecie znów ... palić! To byłaby za surowa kara za grzeszne życie! Więc też cmentarze w Nowym Orleanie są odmienne od innych. Stare cmentarze przypominają poniekąd zielskiem porosłe wały forteczne, w których od strony wewnętrznej umieszczono długie szeregi grobowców podobnych do wiejskich pieców francuskich, w których chleby wypiekają. Każda cela grobowa jest zaopatrzona w marmurową płytę, lub drzwi z nazwiskiem nieboszczyka czy też rodziny, która tam "na stałe zamieszkuje." Boć nie wszyscy zapracowali na tyle, by po śmierci mieć swą własną, stałą kwaterę. Za życia ludzie dzierżawią mieszkania, a po śmierci — groby. Gdy czas dzierżawy się skończy, wywłóczą nieboraka z tej dziupli, a jego kości rzucają na stos lub też do jakiejś większej jamy. Co tam będzie za rajwach, gdy anioł wezwie ich na sąd ostateczny, a każdy na gwałt będzie szukał swych kości, boć pono w komplecie musimy stanąć. Taki figiel, że jeden drugiemu zabierze głowę czy rękę, zapewne nie ujdzie bezkarnie.

Cały cmentarz i niemal każdy inny cmentarz to ... murowane miasto grobowców. Jedne z marmuru, inne z cegły lub cementu. Towarzystwa i większe organizacje budują własne, obszerniejsze grobowce, nawet zauważyłem grobowiec jakiegoś słowackiego towarzystwa. W takim grobowcu znajduje się miejsce na kilka lub kilkanaście trumien. Prawo tutejsze wymaga, aby nieboszczyk spoczywał w grobie "rok i jeden dzień." Po tym upływie czasu, wilgoć i wysoka temperatura przy pomocy robactwa tak się z nieboszczykiem załatwią, że nic z jego ciała nie pozostanie, a nawet trumna częstokroć kompletnie zgnije i się rozsypie. Więc też służba cmentarna takiego jegomościa z grobu wyciągnie, resztki trumny spali, kości złoży na jedną kupę, kwaterę jak należy wymiecie i czeka na następnego lokatora. Zgodziłbym się żyć w Nowym Orleanie, ale tu być pochowanym?!... Dziękuję za przyjemność. Wolę wracać w rodzinne strony, tam na ten mały wiejski cmentarzyk gdzie słychać dzwony kościelne ... gdzie chrzęszczą złote łany pszenicy, gdzie ptak zaśpiewa, gdzie mała pszczółka z brzękiem przeleci, gdzie szumią stare dęby, gdzie w mrocznej ciszy gwarzą duchy starych polskich pionierów...

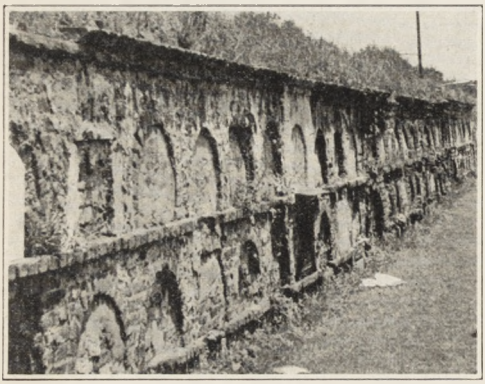

Stare grobowce

Przed stu laty, wśród licznej kolonii tutejszych czarnych niewolników, nadzwyczajne wpływy posiadała murzynka, Marie Leveaux, kapłanka kultu afrykańskiego — woodooism. W zamiejskich spelunkach, w największej tajemnicy, zbierali się murzyni, by w szale i wielkim podnieceniu odbywać mistyczne ceremonie i tańce ku czci afrykańskiego boga Zombi. Niektórzy uważali to za kult diabła, a jego kapłance, Marie Leveaux, przypisywali jakieś nadzwyczajne siły. Do niej się zwracali po fetysze posiadające siłę dopomagania czy szkodzenia ludziom. Te fetysze jeszcze po dziś dzień można kupić w składach, odwiedzanych przez murzynów. Są to pióra ptaków, korzenie, kamienie i inne obiekty bez jakiegokolwiek dla nas znaczenia. Murzyni nazywają te swoje "relikwie" — "gris-gris." Zdaje się, że odmiany tego zwyczaju znajdziemy u innych ras i narodów. Arabowie i Turcy mają amulety, my zaś szkaplerze i relikwiarze, a murzyni — gris-grisy. Nawet teraz, skrycie, w nocy, zachodzą murzyni do grobu Marie Leveaux, aby robić kredą tajemnicze znaki,

aby przy nim zapalać małe świeczki, składać drobne monety lub owe gris-grisy i prosić ducha zmarłej królowej czy kapłanki, by im dopomogła czy to w dobrym czy też w złym przedsięwzięciu. Petentka n.p. prosi ją o pomoc, by pozyskać pracę lub też okraść albo skrzywdzić wroga. Widać, że wstawiennictwo dawno zmarłej kapłanki jest równie skuteczne w złych jak i w dobrych przedsięwzięciach.

Po zwiedzeniu miasta zjedliśmy obiad już wprawdzie nie w luksusowej, ale w każdym razie w pierwszorzędnej francuskiej restauracji i po zapakowaniu bagaży puściliśmy się w dalszą podróż na zachód.

ROZDZIAŁ XIII.

## Mississippi - Louisiana - Baton Rouge - Texas

Tak szybko pędziliśmy do Nowego Orleanu, że nawet zapomniałem czytelnikom zwrócić uwagę na stan Mississippi, przez który przednio jechaliśmy. Podobnie jak Alabama, Mississippi wciska się między Alabamę a Louisianę korytarzem ośmdziesiąt mil szerokim. Miasta Gulf Port i Biloxi, jak dla Polski Gdynia i Gdańsk, są jego dwoma "oknami na morze." Jednakowoż lwia część handlu morskiego płynie rzeką, stanowiącą jego zachodnią granicę.

Nasz dobry znajomy Hernando de Soto dowlókł się z niedobitkami swej ekspedycji do rzeki Mississippi, gdzieś w okolicach teraz dużego miasta Memphis w Tennessee. Tam też karierę tragicznie zakończył. Umarł nad brzegami rzeki, i to podczas jej wylewu i w niej też go pochowano. Reszta jego niedobitków, nękana chorobami, napadana przez Indian, zbudowała tratwy i tymi wróciła do swoich w Hawanie. Liczne, przytym wojownicze plemiona Chykasasów, Naczesów, Czoktasów i Kreeksów tak się zaborczym Hiszpanom dały we znaki, że zaledwo połowa z nich wróciła do swoich. To już nie byli ci w zbroję zakuci żołnierze, ale ostatni nędarze, bez żywności, bez zbroi, bez broni, tak, że rozzuchwaleni i zajadli Indianie śmiało podchodzili do tej bandy obdartusów i wypuszczali na nich śmiercionośne strzały. Towarzysze de Soty wrócili do Hawany na pół nadzy, odziani w skóry zwierząt, nękani chorobami i głodem.

Stan i rzeka otrzymały nazwę od Indian ze szczepu Menominee, który to szczep zamieszkiwał w okolicach objętych teraz przez stany Illinois, Michigan, Indianę i Wisconsin, a sięgał nawet do Ohio. W swym narzeczu nazywali — ojca wód — Ma-si-kse-pe, co z czasem przekuli inni na dobrze znaną — Mississippi. Najstarsze osady białych znajdują się w bardzo uroczym, w tradycje bogatym miasteczku Natchez. Miasto otrzymało nazwę od szczepu Indian, którzy w tych okolicach zamieszkiwali. Często zrywały się niesnaski i krwawe zatargi między Indianami i osadnikami. W listopadzie 1729-go roku Naczesy urządziły białym osadnikom "pogrom," jak się patrzy, Z nienacka napadli na osadę, zamordowali ponad dwustu mężczyzn, a kobiety i dzieci w liczbie pięciuset zabrali w niewolę. To, zdaje się, była największa masakra, jaką sprawili nam Indianie.

Co do obszaru, Mississippi należy do średnich stanów, gdyż obejmuje około czterdzieści siedm tysięcy mil kwadratowych. Ludności posiada cośkolwiek ponad dwa miliony, a w tym jest bardzo duży procent murzynów. Ziemia miejscami bardzo urodzajna, chociaż znajdują się tu olbrzymie połacie bagien i wylewisk nie nadających się do uprawy. Stan posiada jeszcze znaczne tereny leśne, głównie żółtą sosnę, drzewo cyprysowe, dąb, orzech amerykański i inne twarde gatunki. Bawełna oczywiście jest najważniejszym produktem. Stan Mississippi w uprawie bawełny zajmuje drugie miejsce po Teksasie. Następnie idą orzechy ziemne, (peanuts) wszelkiego gatunki jarzyny, owoce, szczególnie orzechy t. zw. pecans. Wojna domowa porządnie ich tu przygniotła i jakoś nie mogą się podnieść z pod tej klęski. Stan ten nie posiada żadnych minerałów, a uprzemysłowienie jest także stosunkowo słabe.

Już kilkakrotnie wspominałem o naszych "pinotsach" czyli orzechach ziemnych, które tu na wielką skalę hodują. Żadna majówka, żadna zabawa baseballowa, nie mogłaby się obyć bez tego, aby dzieci i starsi nie zjedli podczas gry czy zabawy tysięcy worków, tych małych, smacznych w łupinkach pieczonych orzechów. Może nawet w Polsce ich nie znają, tu jednak w naszym życiu ekonomicznym znalazły bardzo szerokie zapotrzebowanie. Do ich nadzwyczajnego rozpowszechnienia przyczynił się biedny murzyn, syn niewolnika, nazwiskiem George Washington Carver. Taki to niepospolity, ciekawy i oryginalny człowiek, że milczeniem pominąć go nie mogę.

Urodził się w Missouri w roku 1864-tym, a więc przy końcu wojny domowej. Ojciec w dzieciństwie go odumarł a matkę porwali jacyś nieznani opryszki. Właściciel tej niewolniczej rodziny p. Moses Carver odnalazł i wykupił małego berbecia dając za niego konia wyścigowego, czyli jak na owe czasy zapłacił bardzo wysoką cenę za murzyńskiego dzieciaka. Nazwał go Jerzy Waszyngton Carver.

Mała "czekoladka" już w zaraniu biednego życia wykazała niepomierne zdolności. W krótkim czasie nauczył się czytać i umiał poprawnie przesylabizować każdy wyraz w jego czytance. Zarabiał jak mógł na życie i starał się o wyższe wykształcenie. W kolegium stanowym w Iowa ukończył z odznaczeniem kurs wyższy i otrzymał stopnie bakałarza i magistra. Przedewszystkiem odznaczał się w dziale chemii roślinnej.

Przed czterdziestu laty wielki działacz murzyński Booker T. Washington, także syn niewolnika, założył szkołę wyższą dla murzynów — Tuskegee Institute w Alabamie. Na profesora agronomii powołał tego niepospolitego murzyna. Tu dopiero w całej pełni zajaśniał jego talent.

Wiadomo, że chemicy niemieccy wydobyli ze zwykłego węgla

najrozmaitsze farby i dotąd nie znane nam środki chemiczne. Ten zaś mało światu znany murzyn ze zwykłych, małych orzechów ziemnych wyprodukował ponad 300 najrozmaitszych przedmiotów jak mleko, ser, masło, oleje, farby, mydła, mąkę, atrament lekarstwa i.t.p lista zbyt długa, żeby ją tu w całości zamieścić. Ze "słodkich" kartofli (yams) wyrabia mączkę, ocet, cukierki, klej razem ponad 100 produktów. Farby wyprodukował z mleczów, zielska, gliny a nawet gnoju. Im więcej wynalazków tym dalej sięgała jego sława.

W uznaniu jego niepospolitej pracy odsłonięto niedawno w Tuskegee bronzowe popiersie wielkiego uczonego a nader skromnego i cichego murzyna. Na ten pomnik posypały się ofiary nietylko byłych uczni Carvera i wychowanków zakładu ale także wielu z jego przyjaciół i wielbicieli wśród białych złożyło na ten cel ofiary. To tylko dowodzi, że Bóg tak nieraz losami ludzi kieruje iż z tego czarnego, wzgardzonego śmietniska ludzkiego wybiera perły. Na pedestale sławy postawił brylant może nawet w skromnej szacie murzyna, który swą pracą niepospolitą, zdobyczami dla wiedzy, postępem w odkrywaniu nowych ścieżek którymi pójdzie przemysł lub handel, będzie błyszczał w mroku niepamięci gdy o wielu napozór ludziach sławnych pamięć zaginie. Tym niepospolitym dobroczyńcą ludzkości, który oddał swe wynalazki społeczeństwu, który nie szukał majątku ani sławy, jest profesor rolnictwa, w szkole murzyńskiej doktór George Washington Carver.

Niemal że w samym centrum stanu Mississippi znajduje się ciekawe miasteczko — Kościuszko. Jeden z naszych dziennikarzy p. Artur L. Waldo, pojechał tam autem, by je zwiedzić. Podczas swego tam pobytu żywo zainteresował mieszkańców miasta odczytami o życiu i czynach naszego nieśmiertelnego Tadeusza Kościuszki. Czytałem w tutejszych czasopismach, że zainteresowanie doszło do tego stopnia, iż z miasta Kościuszko, gdzie niemasz ani jednego Polaka, wyjechała wycieczka do Polski, by odwiedzić grób i ojczyznę bohatera — dwóch światów. [1]

Louisiana sąsiadująca ze stanem Mississippi jest bez porównania daleko bogatsza pod względem przemysłowym i handlowym. Na ogół topografia ta sama. Oba stany tworzą olbrzymie niziny, utworzone przez wylewy rzeki, która, nie mogąc unieść swej zdobyczy, zabranej stanom północnym, tu ją szczodrą ręką rozsypywała, tworząc bardzo bogate niziny, przypominające stary Egipt. Pełno tu także jezior, rzek, zatok, moczarów, trzęsawisk. Prócz bogatych plantacyj trzciny cukrowej Louisiana posiada także wielkie pola bawełny, sady owocowe, szczególnie bardzo smaczne pomarańcze

1. "Czar Miasta Kościuszko" — Artur Waldo.

i grapefruity. W Louisianie częstokroć duże połacie ziemi nazywają — "parafie." Ta nazwa pochodzi jeszcze od czasów pierwszych kolonistów, którzy w dziewiczych lasach zakładali osady, grupujące się przy kościołach. Obszar danej "parafii" stawał się tym samym obszarem terytorialnym, którego administracja jednak nie podlegała władzy kościelnej. W zachodnich powiatach czy "parafiach" na wielką skalę uprawiają ryż. Produkcja ryżu i jego eksport na rynek światowy stanowi bardzo poważną gałąź tutejszego rolnictwa. Louisiana posiada także bogate źródła ropy, gazu ziemnego, soli, siarki i innych cennych minerałów, które wielce się przyczyniły do podniesienia jej przemysłu i handlu.

Co do obszaru, Louisiana nie wiele się różni od swej sąsiadki, liczy bowiem ponad 48,500 mil kwadratowych, a ludności posiada ponad dwa miliony, w tym bardzo znaczny procent murzynów, potomków dawnych niewolników. Na pieczęci stanowej widnieje pelikan karmiący swe młode. Pelikanów jest tu za trzęsienie, dlatego nazywają Louisianę — stanem pelikanów.

Parę mil za Nowym Orleanem wykończono niedawno olbrzymi most na rzece Mississippi. Jest to z rzędu 29-te ogniwo rzucone ręką człowieka przez naszą największą rzekę. Dotąd trzeba było pociągi i samochody przewozić okrętami, co oczywiście powodowało opóźnienia, a nawet wypadki. Nowy most kosztuje trzynaście milionów dolarów; uważają go za arcydzieło inżynierii, a dla nas tym większe, że inżynierem, który plany przygotował jest nie kto inny jak nasz rodak Ralf Modrzejewski.

Przypuszczam, że zwykłego czytelnika, a nawet turystę mosty nie interesują, byleby tylko były solidne, wygodne, byle ich woda na wiosnę nie zabierała, to mu wystarczy. Ale mosty, przynajmniej w niektórych wypadkach, zawierają w sobie dużo artyzmu, a nawet mogą się stać ozdobą danej miejscowości. W tym wypadku stalowe łuki, słupy i silne, a głębokie fundamenty trafiają więcej do przekonań inżyniera i konstruktora, aniżeli artysty. Most ten, do którego się zbliżamy, wznosi się jakie 135 stóp ponad poziom rzeki. Widać go już z daleka, gdy się stopniowo podnosi ku górze stalowymi łukami i przerzuca się przez rzekę, wsparty o jej dno potężnymi filarami z granitu, betonu i stali. Wygląda zdaleka, niby jakiś przedpotopowy jaszczur, wsparty na tysiącznych drobnych, silnych stalowych nogach, ogonem, a w tym wypadku — wjazdem płaszcząc się ku ziemi. Most posiada osobne tory dla kolei, jak również szeroką drogę dla samochodów. Środek zajmują tory kolejowe, dlatego też ta część mostu ma ponad cztery mile długości, aby pochyłość nie była zbyt stroma dla ciężkich pociągów towarowych. Wjazd dla samochodów jest znacznie krótszy i jest umieszczony po obu stronach

torów kolejowych. Są także na nim chodniki dla ludzi, którzy "per pedes apostolorum," niby na piechotę, mogą się na przeciwną stronę rzeki przeprawić.

Trudny problem do rozwiązania stanowiła głębina rzeki, oraz jej piaszczyste dno pokryte głębokim mułem. Trzeba było zakładać fundamenty 170 stóp poniżej powierzchni rzeki i aby to uskutecznić, zastosowano jakieś zupełnie nowe, dotąd nie praktykowane metody budownictwa. Ale od czego jest "nasz" — Modrzejewski? W Ameryce zawsze największe kłopoty połączone z budową czegokolwiek to nie przeszkody naturalne — boć te zawsze dotąd pokonywaliśmy — ale raczej trudności finansowe częstokroć sprawiają nam dużo kłopotu. Z chwilą gdy na budowę mostu zebrano fundusze, reszta szła jak z płatka. Budowę rozpoczęto w roku 1932-im, a już ją ukończono w 1936-ym, a więc jak na tak ogromny most, bardzo szybko. Chociaż nie wypadało nam przez most jechać, bo nasza droga wiodła po tej stronie rzeki, mimoto pojechaliśmy jedynie po to, aby się przed czytelnikiem pochwalić, a może poniekąd tą jazdą zazdrość w nim wzbudzić. Pojechaliśmy tym chętniej, że dzięki niedawno tragicznie zamordowanemu senatorowi Huey Longowi przejazd dla wozów i samochodów jest bezpłatny. Kolej zato ponosi ciężary i opłaca duże podatki od przejazdu. Pobierane opłaty kolejowe przeznaczone są na amortyzację kosztów budowy, wynoszących, bez łapówek, trzynaście milionów dolarów. Przejechaliśmy więc na przeciwną stronę rzeki i z powrotem, jadąc dalej w kierunku północnym do stołecznego miasta o niezwykłej nazwie francuskiej — Baton Rouge — czyli czerwona laska. Skąd powstała nazwa, nikt nam dokładnie powiedzieć nie może, zresztą nie wiele nam na tym zależy.

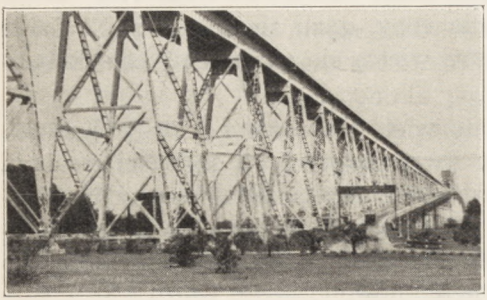

Most na rzece Mississippi

Tak byliśmy zwiedzaniem miasta zaprzątnięci, że zapomniałem nalać gazoliny do samochodu, a chociaż robiliśmy przeciętnie ponad ośmnaście mil na galon i chociaż Fordy mają świetną reputację co do ekonomii, gdyż sam Henry Ford tak jest "oszczędny," że z biedaka stał się najbogatszym człowiekiem w Ameryce, jednakowoż nawet jego samochody bez gazoliny daleko nie pojadą. Nasz kilka razy sapnął, szarpnął i .... stanął. Zabrakło gazoliny. Co zrobić? .... Nic! Wyszedłem z auta, zatrzymałem pierwszego nadjeżdżającego jegomościa, powiedziałem mu, że to nasze poczciwe bydlę urządza "strejk

siadany" czy jak go tam w Polsce nazywają — "okupacyjny" i powiada, że bez gazoliny ani o krok się nie ruszy. Więc też podwieźli mnie do najbliższej stacji z gazoliną, nie całe dwie mile od miejsca naszego przymusowego postoju. Właściciel stacji nalał mi pięciogalonową konwę tym dla Ameryki niezbędnym płynem, i własnym autem przywiózł na miejsce. Podróż z tego powodu opóźniła się o nie całe pół godziny. Gdy samochód poczuł, że mu w blaszanym żołądku gazolina bulgoce, ruszył z miejsca, niczym koń wyścigowy.

Baton Rouge jest sobie bardzo miłe, skromne, prowincjonalne miasteczko, liczące około trzydzieści tysięcy mieszkańców. Największą atrakcją, a równocześnie ozdobą miasta jest nowy — kapitol, gmach na trzydzieści kilka pięter wysoki i niedawno wykończony. Wypada tu chociaż tylko krótką wzmiankę uczynić o byłym senatorze stanu Louisiana Hueyu Longu, którego polityczni przeciwnicy zastrzelili mimo że stale otoczony był przyboczną strażą. Ponieważ była to w naszej polityce figura niepospolita, więc też chciałem się na miejscu t.j. w Nowym Orleanie i tu w stolicy zapytać ludzi, co o nim sądzą? Wiadomo, że często gazetom i czasopismom wierzyć nie można, bo jedne zrobią z diabła anioła, a drugie taką namalują poczwarę, że nawet w piekleby go nie przyjęto. Więc też i nasze gazety częstokroć napadały na Longa, czyniąc z niego radykała, bolszewika, dyktatora. Nie dwuznacznie nawet przebąkiwano, że on kiedyś dojdzie do kapitolu w Waszyngtonie. Niepospolity to był człowiek. Z tłumu, z biedy, własną pracą, siłą woli wybił się na czołowe stanowisko. Jako senator stanął po stronie biednego ludu, rozbił polityczną mafię, która od dziesiątek lat eksploatowała stan dla własnej kieszeni, przeprowadził dużo praw na korzyść ludu, ulepszył szkolnictwo, budował drogi i mosty, podnosił przemysł i handel, szczególnie dbał o dobrobyt przeciętnego robociarza. Oczywiście taki "radykał" zawsze jest cierniem w boku kapitalistów i przeróżnych politycznych paskarzy i grafciarzy.

To było znamienne, że ilekroć się zwróciłem do przeciętnego robotnika, urzędnika, tragarza czyli do tej szerokiej masy ludu, wszędzie, bez wyjątku, słyszałem nie tylko słowa pochwały, ale wprost smutku i bólu, że taki człowiek, o tak niepospolitych zdolnościach, o takim polocie myśli, o takiej energii, o takiej uczciwości, tak przedwcześnie i tak tragicznie zginął. W ich pojęciu, bez najmniejszej kwestii Huey Long stałby się jednym z najwybitniejszych ludzi tego stulecia. Wyraźnie pamiętam jak mi jeden z zapytanych dowodził — że "tacy ludzie rodzą się raz na dwieście lat." Za to ludzie bogaci, kapitaliści, właściciele bogatych restauracyj, sklepów itp. nie mogli znaleść dosyć słów oburzenia, aby nimi miotać na Longa. W ich pojęciu był to rakietnik, radykał, bolszewik skończony, tylko

mu jeszcze rogi przyprawić a byłby z niego wcielony diabeł. Więc też — zgadnij Jezu, kto cię bije.

Nie znając Longa, a czytając tylko to, co gazety o nim pisały, przypuszczałem, że to może jest jakiś zwykły szaławiła, który obywatelstwu amerykańskiemu "gitarę" nakręcał. Tu jednak zmieniłem zdanie. Sądzę, że był to człowiek niepospolity, a strzały, co go uśmierciły, może stały się tragedią nie tylko dla Louisiany, ale także dla całych Stanów Zjednoczonych. Jestem przekonany, że miał wzięcie u ludzi, był ich ulubieńcem. A wiecie, co mnie o tym przekonało? Jego grób. Pochowano go w pięknym parku, vis-a-vis kapitolu, ten przepyszny gmach, który on pobudował, stanie się jego najwspanialszym pomnikiem. Grób jego tymczasowo pokryto taflą betonu, zapewne w tym miejscu stanie też jego pomnik. Co mnie jednak uderzyło i silnie za serce chwyciło, to ... kwiaty na grobie. Mówiono mi, że dzień w dzień zjeżdżają tu ludzie z najdalszych stron Louisiany, biedni, bogaci, prości, uczeni, i przynoszą ... kwiaty. W wielu wypadkach są to wspaniałe wieńce i bogate bukiety, ale najczęściej są to skromne wiązanki, zebrane może we własnym ogródku i tu złożone. Na tej kamiennej płycie było pełno małych szklannych wazoników, a w każdym pełno kwiatów. Na środku był marmurowy wazonik, podobny do greckiej amfory, a na nim napis, który mi o Longu więcej powiedział, niż wszystkie artykuły pochwalne w amerykańskich czasopismach. Skopiowałem sobie ów krótki, a tyle mówiący wierszyk.

Kapitol stanu Louisiana

"Sleep on dear friend, and take your rest
They mourn you most, who loved you best."

Co w tłumaczeniu dosłownym brzmi:

Śpij drogi przyjacielu i zażywaj spoczynku,
Ci co najbardziej cię miłują, najwięcej cię żałują.

Ten skromny dwuwiersz i te kwiaty może więcej powiedziały, niż mówcy, co nad jego grobem wygłosili piękne panegiryki.

Windą zajechaliśmy na trzydzieste trzecie piętro kapitolu, by z tej wysokości swobodnie oglądać nie tylko miasto, ścielące się

u stóp wysokiego gmachu, ale także bawić oko malowniczymi płaszczyznami Louisiany i podziwiać wśród nich wijącą się rzekę Mississippi. Tu widać kępy zielonych lasów, tam zaś dużymi skrawkami ścielą się urodzajne pola, to znów proste, siwe drogi, niby struny, wiodą oko hen ku odległym krańcom .... Jedną z nich wkrótce pojedziemy. Na wschodniej stronie miasta, przy rzece, ogromną przestrzeń zajmuje wielka rafinerya nafty firmy Standard Oil. Patrzysz z góry na setki pękatych cystern — "storage tanks," które stąd wyglądają niby duże, siwe placki. Na rzece kilka dużych tankierów — okręty — cysterny zabierają gazolinę, oliwę i najrozmaitsze przetwory, by je rozwozić po wszystkich krańcach kuli ziemskiej. Po przeciwnej zaś stronie miasta, wśród zieleni drzew i małych parków, widać dachy dużego uniwersytetu stanowego.

Okrętem przeprawiliśmy się na drugą stronę rzeki i ruszyliśmy w dalszą podróż. Znakomita, prosta jak struna, z betonu zbudowana droga pozwalała nam na szybką jazdę. Wszędzie równiny, czarnoziem jaki chyba tylko można znaleźć na Ukrainie, więc też bawełna, zboże, tytoń, kukurydza obfite tu wydają plony. Ponieważ są to okolice niskie, więc też często mijamy lub jedziemy wzdłuż olbrzymich rowów czy drenów, przeznaczonych do osuszania tych bagien, a zapewne w niektórych wypadkach do przewożenia łodziami tutejszych zbiorów. Z tym jednak mają tu biedę, że "wodne hiacynty" w bardzo krótkim czasie zawalą chociażby najszerszy kanał. W stanach północnych uważamy je za ziele i starannie je pielęgnujemy w naszych stawikach i basenach, tu zaś ten sam kwiat jest klęską i nieszczęściem każdego, któremu wypada płynąć po rzece czy kanale nieraz całkowicie hiacyntami pokrytym. Rząd wydaje dużo pieniędzy, aby tych nieproszonych gości z rzek i kanałów przemocą usuwać.

Rzeka pokryta hiacyntami

Myślałem kiedyś, że to tylko w Chinach ryż rośnie i tylko Chińczycy ryż jedzą, czego im bynajmniej nie zazdroszczę. Tymczasem tu się dowiedziałem, że Louisiana produkuje i wysyła w świat bardzo dużo ryżu. Jedziemy właśnie przez okolice oddane wyłącznie jego uprawie. Pole ryżowe na wiosnę niczym się nie różni od oziminy, chyba tym, że pola ryżowe są równiutkie i zauważyłem pełno małych, szerokich, a zaledwo parę cali głębokich rowków. Ryż potrzebuje dużo wody, gdyż to jest

roślina wodna, więc też często trzeba pola ryżowe nawadniać.

Jeżeli pola te przypominają mi pola naszej polskiej oziminy, to pola bawełny na pierwszy rzut oka są podobne do zagonów fasoli i tylko przy bliższej inspekcji zauważyłem różnicę. Bawełnę sadzą w rzędach taksamo, jak w Polsce sadzą fasolę, buraki czy inne warzywa.

Pole ryżowe

Zachodnia część Louisiany pod względem rolnictwa stoi bardzo wysoko: kraj to malowniczy, piękny, równy i urodzajny. Jak już wspomniałem, w Louisianie często zamiast powiatów mają — "parafie" — parishes. Przypuszczam, że pierwsi osadnicy, po rozparcelowaniu między siebie połaci kraju, w odpowiednim miejscu budowali kościół, a przy nim inne zabudowania parafialne. Wszyscy zamieszkujący w tym obrębie należeli do danej — parafii. Obecnie miano "parafii" w tych okolicach odnosi się do połaci kraju i z właściwą parafią już nic nie ma do czynienia.

Z Baton Rouge jechaliśmy ku zachodowi drogą Nr. 190, a w miasteczku Eunice skręciliśmy na południe do Crowley, by się znów dostać na głowny trakt, wiodący nas do Teksasu. W jednym z tych małych miasteczek, we śródmieściu, napotkaliśmy pomnik ku czci La Salla, dotąd bowiem dotarł w swych podróżach ten niestrudzony pionier, pono exkleryk. Tu padł z ręki własnych współtowarzyszy, dla których był surowym i bezwzględnym, trzymając ich w żelaznej karności. Skrycie go zamordowali i porzucili ciało jego na pożarcie sępom (buzzards) i wilkom. Tak się skończyła kariera jednego z największych odkrywców i pionierów amerykańskich. Ta wspaniała postać pioniera-Francuza błyszczy promieniejącym blaskiem na pierwszych stronach naszych dziejów. Jedna z wielkich firm samochodowych uczciła jego pamięć, obdarza-

Rene Robert Cavalier Sieur de La Salle

jąc jego mianem bardzo śliczny samochód — La Salle.

Prócz pól ryżowych wszędzie można było zauważyć także pola kukurydzy, sady owocowe i orzechowe, stada bydła, kur, czyli — że rolnictwo w zachodniej Louisianie stoi na bardzo wysokim poziomie. W schludnych a jak n.p. St. Charles bardzo pięknych miasteczkach są składnice ryżu, w których tutejsze obfite zbiory czyszczą, pakują do worków lub też mielą na mąkę.

W stanach południowych, począwszy od Florydy, skończywszy na Teksasie, często napotykałem nieznany mi gatunek drzewa, przypominający cośkolwieczek nasze wierzby. Rośnie zwykle na nizinach, ale zdaje się, że wielkiego pożytku z tego niema, bo wyrasta na kilkanaście stóp wysokości, a zaledwo kilka cali grubości. Za duże na

"Mesquite" rosnący przy drodze

zwykłe krzaki, a za małe na drzewo, najwyżej można je zużyć na opał. Tylko pszczoły mają z niego pożytek, bo na wiosnę pokrywa się kwiatem, z którego nasze złote pracownice zbierają obfite plony nektaru, przerabiając go w swych misternych laboratoriach-ulach na smaczne miody. Krzew ten nazywają "mesquite", a dla rolników jest on raczej — nieszczęściem, gdyż jest bardzo plenny, a zbyt duży, aby go z łatwością można wykarczować.

Blisko zachodniej granicy Louisiany, tuż przy drodze, minęliśmy "drilling outfit" czyli cały aparat wiertniczy, boć szybko się zbliżamy do olbrzymich pól nafty, już nie tyle w Louisianie, która pod tym względem jest na szarym końcu, ale do Teksasu, który z łatwością wśród producentów i to nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale całego świata zajmuje pierwsze miejsce.

W pobliżu miasteczka Orange przekroczyliśmy dosyć szeroką rzekę Sabine, stanowiącą granicę między Louisianą a Teksasem. Wjeżdżamy więc do największego stanu ze Stanów Zjednoczonych i przez czas dłuższy będziemy się włóczyli bo Teksasie.

Hej ty na chyżym koniu, gdzie pędzisz kowboju?
Czyś zaoczył bizony, spieszące do zdroju?....

Hola, stop! boć nie wolno waszemu ciceronowi tak "deklamować" na wzór "Maryi" Malczewskiego. Ale jeżeli są gdzie na świecie stepy, jeżeli są te bezbrzeżne, monotonne prerie, jeżeli szukasz bezludnych pustkowi, jeżeli cię nęcą słońcem spalone, bylicą porosłe pustynie, znajdziesz je w Teksasie i to w tak kolosalnych rozmiarach, że trudnoby ci było nawet na tym "najszybszym koniu," je przejechać. Są tu stepy tak obszerne, równiny tak monotonne, owe hiszpańskie — "llana estacada" — "staked plains" naszych pionierów czyli prerie, na których wbijano słupy, aby nie zbłądzić. A jednak na tych stepach powstały tysiące urodzajnych ferm. Bujnym życiem przemysłu i handlu szybko się rozwijają nowoczesne miasta, naszpikowane drapaczami chmur. Człowiek podzielił ten obszar na powiaty, daleko większe od niektórych stanów na wschodzie, boć sam Teksas jest o sto tysięcy mil kwadratowych większy od Polski. Tylko jedna Rosja europejska swym obszarem przewyższa Teksas, wszystkie zaś inne państwa są od niego znacznie mniejsze.

Co za stan! Co za stan!... Toć to kolos nawet na nasze amerykańskie stosunki. Możnaby do niego z łatwością wpakować cztery takie prowincje jak Nowa Anglia czyli wszystkie stany na wschód od rzeki Hudson, nie wyłączając czupurngo Connecticut, gdzie na stałe zamieszkuje wasz piszący szofer. Czyli weszłyby tu dwadzieścia cztery stany, a niektóre jak Rhode Island, a może nawet Connecticut zmieściłby się w niejednym z tutejszych większych powiatów. Możnaby więc śmiało wykroić z tego kawałka ziemi pięć dużych stanów. Teksas ma ten przywilej, że wolno mu się podzielić, tylko jakoś się z podziałem nie spieszy. Sąsiedzi mieszkają tu nie o miedzę, ale o ... sto mil, a nawet dalej. Tu bracie jedziesz jak wściekły, w jednym kierunku, czy to od wschodu na zachód, czy od południa na północ i to nie pędzisz na "chyżym koniu," ale gonisz bardzo szybkim samochodem po prostych, betonowych drogach. Gdyś tak cały dzień walił, gdyś się zmęczył, a nawet samochód się grzeje i zipie ze znużenia, wyciągasz mapę, patrzysz na gwiazdy, na drogi, na miasta i przychodzisz do przekonania, żeś ty cały dzień jadąc na złamanie karku, nigdzieś nie dojechał; masz jeszcze jeden dzień drogi, zanim się z Teksasu wygramolisz, a może nawet wtenczas nie przekroczysz jego odległych granic.

Dla tym lepszego objaśnienia ogromu i bogactwa tego amerykańskiego kolosa wyrecytuję wam krótką litanię tylko niektórych ważniejszych faktów i statystyki. A więc:

Od granicy wschodniej do zachodniej, oczywiście w najszerszym punkcie jest 740 mil odległości, a znów od północy na południe 840 mil czyli niemal linia Nowy Jork — Chicago.

W Teksas znajduje się "ranch" czyli ferma dla hodowli bydła większa od całego stanu Delaware. Jeden z tutejszych gospodarzy od bramy wjazdowej do bramy wyjazdowej na drugiem końcu fermy ma siedmnaście mil drogi.

W zachodniej części stanu są tak wielkie stepy, że ludzie częstokroć na nich błądzili i ginęli, dlatego trzeba było bić pale w tych bezbrzeżnych stepach, aby kierując się według słupów, można się było wydostać z powrotem do osiedli ludzkich. Hiszpanie nazwali to — "llana estacada" — staked plain.

Twierdzą, że Teksas posiada najgłębsze i największe studnie ropy na świecie, mogące wydać ponad sto tysięcy beczek na dobę. Czytałem, że w Meksyku są jeszcze większe, o wydajności ponad 150 tysięcy beczek na dobę. Więc zdania są podzielone.

W okolicy miasta Amarillo jest największe źródło niepalnego, a bardzo lekkiego gazu — helium, używanego do balonów i sterowców. Mamy także podobne źródła w Kansas i Colorado.

W Grand Saline — to zaciekawi jegomościów z Wieliczki — posiadamy największe złoża soli na świecie. Wiercąc za olejem często napotykają tu złoża soli tysiąc stóp grubości.

Teksas przoduje całemu światu w produkcji bawełny. Produkuje przeszło cztery miliony "beli." Bawełnę oczyszczają z liścia i siemienia, następnie zawijają w ogromne bele, ważące po tysiąc funtów. Roczne zbiory bawełny tego stanu wynoszą jedną piątą produkcji całej kuli ziemskiej.

Wartość produkcji rolnej dochodzi tu do siedmiuset milionów dolarów rocznie. Pomijając kukurydzę, owies, pszenicę i inne zboża, nawet każda z takich "drobnostek" jak fasola, kapusta, owoce cytrusowe, orzechy, ogórki, szpinak, pomidory a nawet róże przekraczają cyfrę miliona dolarów na rok. Tylko Hiszpania rywalizuje z Teksasem co do hodowli cebuli. Na rynku amerykańskim dobrze jest znana tutejsza cebula "bermuda onion," nie jest ona tak silna jak inne gatunki i nie wydaje tak nieprzyjemnej woni.

Powiaty Brazoria i Matagorda dostarczają siarki niemal całej kuli ziemskiej. Czy do piekła też idą transporty, tego palnego a duszącego towaru, nie wiem, a cyrkularze nic o tym nie wspominają.

Ile Teksas może produkować ropy, tego nikt nie wie. Roczną produkcję obliczają na przeszło 320 milionów dolarów. Gdyby zaszła

potrzeba, możnaby tę produkcję kilkakrotnie powiększyć. Rząd jednakowoż wyznacza ilość beczek każdemu dystryktowi produkującemu ropę.

Teksas wydaje ponad sześćdziesiąt milionów stóp sześciennych gazu ziemnego. Gaz ten zapomocą olbrzymich rur rozprowadzają po okolicznych stanach, a nawet dochodzi do miast tak odległych, jak Chicago, Ill., i Denver, Col. Studnie, rury i wszelkie przyrządy do dystrybucji gazu ziemnego przedstawiają kolosalne inwestycje, idące w setki milionów dolarów. Rury gazowe z Teksasu do Chicago są tysiąc mil długie, a koszt ich przeprowadzenia wynosił ponad sto milionów dolarów. Tu wypada zaznaczyć, że mówiąc o Teksasie, wciąż operuję milionowymi cyframi. Należy pamiętać, że czy to milion dolarów, czy milion korców, czy milion beczek, czy milion...diabłów, wszystko to sroce z pod ogona nie wyleciało. Wyobraźcie sobie, że przed trzydziestu laty zacząłem oszczędzać pieniądze; chciałem bowiem zebrać okrągły milion dolarów. Po dwudziestu pięciu latach zrobiłem obrachunek i okazało się, że miałem zaledwo tysiąc dolarów. Więc od tego czasu zacząłem na nowo. Obawiam się, że zbiórka tego drugiego miliona, bo o tym pierwszym nawet już mowy niema, także się bardzo pomyślnie nie zapowiada. Ale wróćmy do naszej statystyki.

Teksas przoduje Stanom Zjednoczonym w hodowli bydła, owiec, koni, kóz i mułów. Osłów, szczególnie tych dwunożnych, mamy stanowczo więcej w innych stanach.

Drzewka owocowe w szkółkach teksaskich hodowane przedstawiają wartość czterech i pół miliona dolarów. Samych róż idzie w świat za przeszło milion dolarów.

Teksas obfituje w artezyjskie studnie, a niektóre ze znanych źródeł wydają od 25 do 275 milionów galonów wody na dobę. W miejscowości Marlin jest źródło, którego wody momentalnie pokrywają zwykłe szkło kolorem najpiękniejszego bursztynu i dotąd nie wynaleźli żadnego środka, mogącego tę barwę usunąć.

Chociaż przyrost ludności był bardzo szybki, a niektóre miasta w przeciągu lat dwudziestu się podwoiły i potroiły, mimoto gęstość zaludnienia wynosi zaledwo 22 osoby na milę kwadratową. A trzeba pamiętać, że tu bierze się w rachubę dużo miast liczących ponad sto tysięcy mieszkańców. Więc też miejsca jeszcze tu dosyć, nie potrzebuje jeden drugiemu stąpać po nagniotkach.

Teksas posiada ogromne złoża soli potasowych, których dotąd nawet nie rozpoczęto eksploatować. Ma on także bogate żyły węgla, tylko narazie wygodniejszy jest olej i gaz ziemny i tych używają we fabrykach, jak również do ogrzewania domów.

Archeologowie odnajdują tu ślady starych, przedhistorycznych a nam nieznanych plemion i kultur. Zamieszkiwali tu Mayowie, którzy

się później osiedlili w Meksyku, a także przebywali tu t. zw. "mound builders" — budowniczy kopców czy kurhanów. Pozostały po nich bardzo liczne ślady w Ohio i Indianie, ale bliższych wiadomości o tych ludach nie posiadamy.

W powiatach położonych nad zatoką Meksykańską znajdują się ogromne obszary pokryte sitowiem, dzikim ryżem, w którym się gnieżdżą miliony kaczek i innego ptactwa. Chociaż się tu nie wspomina dzikich zwierząt, a jednak za futra biorą tutejsi "traperzy" co po naszemu byłoby — łapiczkarze ponad milion dolarów. Dla nich to drobnostka, a dla nas to już poważna cyfra.

Mógłbym tu recytować tę litanię aż do znudzenia, ad infinitum, ale uważam to za zbyteczne. Trzeba jednak jeszcze jeden znamienny fakt zanotować, wprost czytelnikowi — "zaimponować" Poza klimatem, górami, lasami, preriami, polami bawełny i cebuli, Teksas posiada najstarszą polską osadę w Ameryce! Gdy zajedziemy do Panny Marii, to opiszę wam szczegółowo trudy i przejścia naszych pionierów.

Teraz po tym krótkim "wstępie," a może właściwie po — "przedstawieniu" czytelnikowi tak wielkiego, a w zasoby bogatego stanu, boć dotąd zaledwo 15 procent minerałów i rolnictwa rozwinięto, puścimy się w długą turę objazdową. Z góry jednak zaręczam, że tylko niektóre, może ciekawsze części stanu zwiedzimy.

Opuszczając Louisianę, weszliśmy w kontakt z produkcją oleju, gdyż przy drodze zauważyliśmy wieżę wiertniczą i ludzi przy pracy. Po przekroczeniu rzeki Sabine, stanowiącej granicę między dwoma stanami, w pobliżu dużego, nowoczesnego miasta Beaumont, napotykamy lasy całe studni naftowych i "fermy tanków" czyli ogromnych cystern. Nawet w przybliżeniu nie mogę powiedzieć, ile milionów galonów gazoliny, ropy, oliwy i innych przetworów tego — "płynnego złota" tu się znajduje. Na noc zatrzymaliśmy się na przedmieściach portowego miasta Beaumont, które atoli leży dwadzieścia mil od morza. Łączy je z zatoką Meksykańską rzeka Natchez, którą rozszerzono i pogłębiono, tak, że okręty transatlantyckie dotąd dochodzą, zabierając bawełnę, olej i inne produkty tego bogatego stanu.

ROZDZIAŁ XIV

## Kolonizacja - San Jacinto - Galveston - Polskie osady.

Stanęliśmy na progu Teksasu. Wykluczonym jest, abyśmy mogli chociaż jako tako zwiedzić tego olbrzyma, gdyż na to, nawet przy znakomitych drogach i świetnych udogodnieniach turystycznych, trzebaby co najmniej dwa miesiące czasu. Chciałem go jednak autem w tę i w ową stronę przeorać, najważniejsze miasta i okolice zobaczyć, zwłaszcza zapoznać się bliżej z tutejszymi, a na wychodztwie — najstarszymi osadami polskimi. Więc też wieczorem wyciągnąłem mapę Teksasu i zacząłem po niej oczyma ... jeździć i szukać osad polskich.

Mam tu kolegę szkolnego, ks. Ignacego Szymańskiego, który od dawien dawna proboszczuje w Bremond, niewielkim miasteczku, we wschodnio-środkowej części stanu. A chociaż według mapy jest to jakieś głupie 250 mil, — ot tak jak na Teksas "po sąsiedzku" — więc też zatelefonowałem do "Szymka," gdyż już poprzednio zawiadomiłem go listem, że mniej więcej w tym czasie, o ile sobie gdzie karku nie skręcę, zawitam do Teksas i chciałbym zwiedzić nietylko jego osadę, ale także inne polskie miejscowości. Był w domu i dowiedziałem się, że w pobliżu, a nawet po drodze, za dwa czy trzy dni, ks. C. Weiznerowski, proboszcz parafii polskiej w Brenham obchodzi srebrny jubileusz kapłaństwa. Nadarzyła się więc świetna okazja do zaznajomienia się z księżmi polskimi pracującymi w tej okolicy. Prosiłem ks. Szymańskiego, aby był tak dobry i już zawczasu powiadomił, jak się później okazało, bardzo miłego, przytem energicznego i gościnnego ks. jubilata o naszym zamierzonym przyjeździe, zwłaszcza, że jestem zbyt czuły na nasze przysłowie, że "kogo nie proszą, tego kijem wynoszą," a przecież takiej "przyjemności" nie chcieliśmy zażywać na bezgranicznych preriach Teksasu. Kolega ks. Szymański, jako senior i człowiek przez kler tamtejszy poważany, wszystko jak należy załatwił i proboszcza Brenhamu o naszym przyjeździe zawiadomił.

Mając jeszcze kilka dni czasu, postanowiłem zwiedzić duże okoliczne, portowe miasta: Beaumont, Houston i Galveston. Mówię portowe — chociaż tak Beaumont jak i Houston znajdują się kilkadziesiąt mil od zatoki Meksykańskiej. Pierwsze z nich, zaraz w sąsiedztwie, miasto Beaumont, zapewne nazwę dali mu Francuzi, leży nad rzeką Neches, którą przed dwudziestu laty rozszerzono i pogłębiono

tak, że największe okręty transportowe mogą tu z łatwością dopłynąć, towar wyładować, a co trzeba zabrać — i wracać na szerokie wody Zatoki i Oceanu. Bardzo bogate tereny naftowe — Spindle Top i Salt Creek wielce się przyczyniły do rozwoju tego do niedawna małego miasteczka. Pod wpływem bogatych źródeł naftowych, niby pod działaniem jakiegoś wszechpotężnego, sztucznego nawozu, strzeliły w górę olbrzymie drapacze chmur, powstały nowe a piękne dzielnice miasta. Koleje wyciągnęły aż potąd swe macki, a teraz nawet słone wody zatoki Meksykańskiej zmywają swą falą bardzo nowoczesne urządzenia portowe.

Teksas nie zaimponował mi tyle swym ogromem, boć tego nie można należycie ocenić, ile raczej swym rozpędem, tym bujnym życiem, tym kolosalnym bogactwem nagrodmadzonym w tak krótkim boć zaledwo stuletnim okresie, jest ono jeszcze prawie nietknięte. To o czym poprzednio wspominałem, a jest tego i tak dużo, stanowi zaledwo lekkie zadraśnięcie tych niezmiernych bogactw, które ten stan na powierzchni i w swym wnętrzu zawiera.

Sto lat!... Toć to, jak na dzieje narodu, jest stosunkowo krótki okres czasu, a jednak — już w tym jednym stuleciu, tak wiele tu dokonano! Wyobraźmy sobie, co było w Polsce przed stu laty?!... Przeżywaliśmy tragedię powstania listopadowego. Ówczesna Polska była świadkiem bolesnej pielgrzymki na wygnanie najszlachetniejszych jej synów, którzy skazani zostali albo na syberyjską katorgę albo też na życie tułacze poza granicami kraju.

W tym to czasie, a więc między rokiem 1830-36-tym wdzierali się do Teksasu pierwsi osadnicy amerykańscy. Kraj ten należał wówczas do Meksyku, jako dawna kolonia hiszpańska. Meksyk bowiem co tylko zerwał węzły łączące go z ojczyzną Corteza i jego następców. Jankiesi bardzo szybko zorientowali się w sytuacji. Przecież już dawno włóczył się po tych pustyniach i urodzajnych stepach porucznik Zebulon Pike i w swych wędrówkach dotarł aż do gór Skalistych. Przecież właściwie była to mała ekspedycja wojskowa, wałęsająca się po terytorium obcego państwa, szukająca nowych osiedli. Hiszpanie całkiem słusznie rościli sobie wtenczas prawo do tej ogromnej połaci kraju. Niedawno temu w archiwach meksykańskich znaleziono dokumenty i przeróżne notatki owego niestrudzonego pioniera, a jak go nazwali Meksykanie "El Viagiero Piake." Wiedziano dobrze w Waszyngtonie, co to za bogaty kąsek, którego Meksykanie nie potrafili ani należycie kolonizować ani też obronić, bo jak może stosunkowo niewielka gromadka ludzi objąć w posiadanie kraj, daleko większy od największych państw europejskich, (z wyjątkiem Rosji.) Wszystkie stany południowe, powyżej rzeki Rio Grande, należały poprzednio do Hiszpanii, następnie do Meksyku, który w roku 1821-ym

wywalczył swą niepodległość. Przytym trzeba pamiętać, że większość ludności meksykańskiej wtenczas i teraz to — Indianie, potomkowie dawnych Mayów, Tolteków, Azteków i innych plemion, które się do jakiejkolwiek kolonizacji nie nadawały. Rozporządzając bardzo skromnymi środkami, zdala od baz aprowizacyjnych, przy nader lichej komunikacji, nawet mowy być nie mogło o poważnej pracy kolonizacyjnej. To wszystko dobrze wiedzieli Amerykanie i dlatego od lat starannie przygotowywali się do połknięcia tego smacznego, bogatego kąska terytorialnego.

Pono nie odrazu Kraków zbudowano i Teksasu też tak obcasowo połknąć nie można. Trzeba było się do tego zabrać systematycznie, tak jak pyton zabiera się do połknięcia ofiary. Na taki "obiad," szczególnie jeżeli to już jest poważna porcja, potrzebuje on kilka godzin czasu, by ofiarę jak należy wchłonąć, iżby mu to na zdrowie i pożytek wyszło.

Po załatwieniu się z kupnem Louisiany, stopniowo przygotowywano się do okupacji i kolonizacji Teksasu. Nowy Orlean stał się jakoby bazą operacyjną. Stąd wodą, a i lądem szła fala kolonistów. Jeden ze specjalnych wysłanników, Mojżesz Austin, noszący przydomek "Ojca Teksasu," zawarł umowę z rządem meksykańskim na osiedlenie w tym obszarze pięćdziesięciu tysięcy kolonistów. Początkowo rząd meksykański popierał ich i zachęcał do kolonizacji. Gdy się jednak spostrzegł, że tych, jak ich nazywali "gringusów" zbyt dużo się im na kark wali, zaczął obostrzać dane przywileje. Skończyło się na tym, że "tylko katolikom wolno się było tu osiedlać," a innowiercy byli wykluczeni. Ale każdy Jankus powiadał, że jest katolikiem, tylko zapewne innego gatunku. W kilku latach, rozproszyło się po tych stepach ponad pięćdziesiąt tysięcy kolonistów. W porównaniu do kolonistów, było tu bardzo niewielu Meksykańczyków: przeważnie urzędnicy i małe, kiepsko uzbrojone załogi. Sytuacja stała się dla rządu meksykańskiego niebezpieczna, wprost beznadziejna. Nie było żadnego sposobu, aby napływ Jankusów wstrzymać.

Lwem i lisem w tej niezwykłej historii okupacyjnej i kolonizacyjnej był Samuel Houston. Człowiek ten o niepospolitych zdolnościach był poufnym wysłannikiem rządu waszyngtońskiego i posiadał bezgraniczne zaufanie prezydenta. Młodość spędził wśród Indian, zdaje się z powodu jakiejś zawiedzionej afery sercowej. Wśród czerwonoskórych towarzyszy nosił miano — "Czarnego Orła" i zdaje się, był nim w rzeczywistości. Jako prawnik, zrobił karierę w stanie Kentucky, zrezygnował z urzędu gubernatora aby się udać do Teksasu i tu pertraktować i politykować z Meksykanami. W tym to czasie powstawały coraz częstsze zatargi. Houston udał się do stolicy młodej republiki, by na miejscu sprawy jako tako załatwić. Był on tam

gościem, a nawet przymusowo więźniem, gdyż Meksykańczycy zbytnio mu nie dowierzali.

Nareszcie zbliżyła się walna rozprawa między wojskiem meksykańskim, a tutejszymi osadnikami. Zawsze liczono, że jeden tutejszy kolonista, jako jednostka bojowa, dorównywał sześciu Meksykanom. Zdaje się, że ta kalkulacja robiona na podstawie licznych walk, była dosyć dobrze uzasadniona. Wojska meksykańskie pod wodzą generała Santa Anna posunęły się w głąb kraju, przepędzając stosunkowo słabe siły kolonistów do San Antonio. W starym klasztornym kościele Alamo przez kilka tygodni 182 kolonistów stawiło czoło czterotysięcznej armii meksykańskiej. Wreszcie Meksykanie szturmem wzięli obronną pozycję i całą załogę w pień wycięli. To dało hasło do wznowienia walki z "okrutnym najeźdźcą". "Remember the Alamo" — "Pamiętaj na Alamo," stało się hasłem, które momentalnie zelektryzowało całą kolonię amerykańską. Houston w stosunkowo krótkim czasie potrafił zebrać i jako tako wyćwiczyć blisko 800 ochotników. Stoczono walną rozprawę pod San Jacinto i tam Houston w przeciągu półgodzinnej walki potrafił kompletnie rozgromić wojska nieprzyjacielskie, a wodza i prezydenta rzeczypospolitej meksykańskiej, generała Santa Anna, zabrał do niewoli. Od bitwy pod San Jacinto datuje się też era niepodległości i rozwoju Teksasu.

Alamo

Znakomitą, betonową drogą dotarliśmy szybko do nowoczesnego, a zatem szablonowego miasta Beaumont. Minęliśmy na przedmieściu duże tartaki i ogromne składy drzewa, gdyż te okolice są jeszcze pokryte dużymi lasami. Beaumont jest największym miastem w Teksasie eksportującym budulec. — Poza tym pełno tu zbiorników nafty. W tej okolicy poprostu wyrosły lasy studni naftowych. Ale to już nie nowość, nawet o tym wspominać nie warto. Więc też nie zatrzymaliśmy się tu dłużej, niż trzeba spiesząc do olbrzymiej metropolii teksaskiej, noszącej miano największego bohatera stanu — Houston.

Cóż tu można napisać o tym nowoczesnym mieście?!.. Nic nowego. Że do Houston dochodzi kilkanaście linij kolejowych, że kanałem przypływa i odpływa co roku około 1500 większych i mniejszych okrętów, że co do bawełny jest to największy port na świecie, że stąd exportują dziesięć milionów beczek ropy czy gazoliny, albo że w obrębie 85-ciu mil produkują 85% siarki całego świata — cóż to nas może obchodzić, byle jej tylko nie wysyłano do piekła. Paląca

się siarka nie tylko, że strasznie piecze, ale przy tym dusi człowieka niemożliwie. Zapewne — aby grzesznikom tym więcej dokuczyć, dlatego im podobno w piekle siarką kadzą. Zresztą co do tego moje informacje nie są zbyt dokładne. Lubię zwiedzać nieznane mi kraje, tam jednak stanowczo, nic mnie nie ciągnie. Wnet też opuszczamy ruchliwy, szybko rosnący, trzystotysięczny Houston i jedziemy za miasto, jak zwykle ... na pole bitwy.

—Już znowu — pole bitwy, powie niejeden.

—Tak, ale to już ostatnie, na które was zawiozę.

Nie wiem, czy San Jacinto otrzymało nazwę "ku czci" św. Hyacentego, czy też z tego względu, że w małej rzece i okolicznych błotach pełno było tych pięknych a tu, niestety, wielce niepożądanych wodnych hyacyntów. Dosyć na tym, że ten mały skrawek ziemi przeszedł do historii nie tylko Teksasu, ale całych Stanów Zjednoczonych. Nawet zdaje się, że tę stosunkowo krótką a krwawą walkę zaliczają do decydujących bitew świata. Pomyśleć tylko, że kilkuset ochotników, a wśród nich był także nasz rodak, Weryński, — a może nawet kilku innych Polaków — wywalczyło tu kawał "gruntu," o sto tysięcy mil kwadratowych większy od Polski.

Po odniesionym zwycięstwie i kompletnej rzezi obrońców Alamo, bardzo "wojowniczy duch" wstąpił w wojska meksykańskie, oraz ich "wielkiego strategika," generała Santa Anna. Postanowili oni "zrobić porządek z gringusami" i Houstonem, który czym prędzej zbierał ochotników i potrzebne zapasy wojenne. Od San Antonio i pamiętnego Alamo jest jakie dwieście mil do San Jacinto, gdzie się nasi, jak należy "zrewanżowali." Jak było, tak było; dosyć na tym, że sprytny lisek, generał Houston, aż tu zwabił pysznego, przy tym głupiego antagonistę.

Przypuszczam, że całe pole bitwy można swobodnie obejść w przeciągu pół godziny, a może i prędzej. Z trzech stron są rzeki, jeziora i bagna, a między tymi wodami niezbyt wielka, kilkunasto akrowa polana, kiedyś pokryta krzakami, w których się zadekowali ochotnicy amerykańscy. Cieszył się wódz meksykański, że teraz mu się z pułapki nie wymkną, a tamci także się cieszyli, że się jak należy — zrewanżują. To też panował ogólny jubel tak z jednej jak i z drugiej strony. Przypomina to cośkolwieczek sytuację Napoleona pod Austerlitz. Rezultat był mniej więcej ten sam, tylko tamten na daleko większą skalę, tu zaś na daleko większe i trwalsze rezultaty.

Dnia 21-go kwietnia 1836-go roku wojska meksykańskie rozłożyły się obozem naprzeciw naszych wojaków. Meksykanów było coś około trzech tysięcy, a naszych może nie całe ośmset; zresztą — bez jednego żołnierza wojna się odbędzie. Wiadomo, że takie uganianie po stepach jest męczące. Nie można przecież tak zaraz raptem się

"fajtować" (bić). Trzeba wypocząć, coś zjeść, jakąś małą drzemkę czyli siestę urządzić, a to tym bardziej, że Meksykanie są do tego przyzwyczajeni. Dopiero po należnym wypoczynku i odpowiednim przysposobieniu można pomyśleć o bitwie.

Meksykanie, jako że to dzielne chłopy były, po marszach i trudach wojennych zjedli porządny obiad. Ile tam tych "chilli con carne" (mięso z czerwonym pieprzem — ulubiona potrawa Meksykańczyków) a ile friholów (fasoli meksykańskiej) a ile tortillów (rodzaj naleśnika z mąki kukurydzanej) zjedzono, a ile "aguardiente" wypito, nie wiem, boć tego zapewne żadna statystyka nie podaje. Przypuszczam, że "soldadidae" (żony żołnierzy meksykańskich) suty obiad sprawiły swym mężom. Gdy każdy z nich jak należy "oklinił swą duszę," wówczas zapalił papierosa, ułożył się, gdzie popadło, do wypoczynku. Przecież po sutym obiedzie należy się — siesta.

Na to właśnie czekały te nasze amerykańskie zbereźniki. Zamiast się także na trawie wyciągnąć, fajkę zapalić, może w pokierka czy "ein und zwanziegera" zagrać, to te dryblasy całkiem niespodziewanie, jak huragan, z okrzykiem "Remember the Alamo," rzuciły się na wypoczywających bohaterów. Któż słyszał coś podobnego, żeby tak znienacka uczciwych wojaków napadać!! Toć to skandal! Trzeba było dać ludziom trochę spocząć, przynajmniej jak należy spodnie i koszulę na siebie wciągnąć, kawał giwery czy innej lufy poszukać, nabić i chociażby na wiwat, ot tak dla postrachu .... wystrzelić. A tu nic, tylko tak gwałtownie rrrrym na obóz i nuż na krótką metę walić do śpiących, bezbronnych "bohaterów."

Nic więc dziwnego, że przy takim nagłym, a niespodziewanym ataku wszystko się im pokiełbasiło. Zanim który mógł się obronić, ani się nie spodział, a już się przed Bogiem, na sądzie szczegółowym raportował i legitymował. Ci, których na miejscu nie zakatrupiono, a było tego jakie sześć czy siedmset, wiali gdzie mogli. Niektórzy zaś, jak żaby, skakali do wody i tam też grób znaleźli. Reszta się poddała. Santa Anna dał także drapaka. Dopiero za dwa dni znaleźli go nasi gdzieś w sitowiu, a poznali go po tym, że miał na sobie jedwabną koszulę, a tamci zwykle, stare, wszawe i zabrudzone, jak na porządnych meksykańskich żołnierzy przystało. Za niecałe pół godziny było wszystko "fertig." Naszych zginął od kul i ran jakiś tuzin, a tamtych kilkuset. W jednym momencie zlikwidowano całą wojnę. Santa Annę chcieli żołnierze powiesić, tylko Houston na to nie pozwolił, bo mając takiego zakładnika, mógł mu podyktować tym lepsze warunki, co jak wiadomo, skończyło się odebraniem całego stanu.

Powstała wtenczas i przez kilka lat instniała — Republika Teksaska. Na jej sztandarze powiewała tylko jedna gwiazda, stąd

nazwa "The Lone Star." Podobno początek tej gwiazdy i pieczęci stanowej był taki: wypadło podpisać i lakiem jakiś urzędowy dokument zapieczętować. Nawet i tu są czasem potrzebne ... pieczątki, ale nie tyle, co w Polsce. Gdy więc trzeba było pieczątki czy herbu nie można jej było żadną miarą dostać. W Polsce porządni ludzie noszą na pierścieniu pieczątki z herbami, czy też herby z pieczątkami, — tu zaś w bezludnym, dzikim Teksasie każdy miał jakąś spluwę, ale pieczątki ... to ani rusz. Gdy więc przyszło do pieczętowania dokumentów, co tu zrobić? Ale od czego jest spryt amerykański?! Wiadomo, że nasi obywatele w tych czasach nosili spodnie robione z drelichu na szerokich szelkach. Do spodni były przyszyte blaszane guziki z małą gwiazdką. Któryś z obywateli odciął taki guzik i nim przywalił pieczątkę gwiaździstą. Tak pono powstał herb Teksasu.

Jak powstała nazwa — Teksas, dokładnie nie wiemy. Pono tutejsze plemiona Indian Hasiani posługiwali się tym wyrazem. W ich narzeczu miało to oznaczać—przyjaciół, rzekomo tych wszystkich, którzy byli z nimi złączeni przeciwko bardzo wojowniczym szczepom Apaszów i Komanszów. Według opowiadań i starych zapisków tutejszych pionierów — diabły to były a nie ludzie. Nieraz porządnie dali się we znaki i sadła im za skórę zalali. Dla obrony osadników powstała tu specjalna policja konna, zwana — Teksas Rangers. Ci znakomicie wyćwiczeni jeźdźcy, uzbrojeni w ciężkie, dalekonośne, pięciostrzałowe rewolwery — colts, potrafili się przeciwstawić wojowniczym, odważnym i okrutnym Apaszom i Komanszom. Pono Hiszpanie z wyrazu indiańskiego nazwali prowincję — "Tejas" a nasi dla udogodnienia swej wymowy, zrobili — Texas i tak już chyba pozostanie.

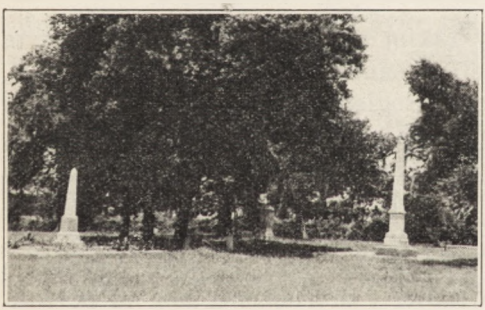

Pole bitwy pod San Jacinto

Zwiedziliśmy szczegółowo to niewielkie, a jednak w swych następstwach tak ważne pole bitwy. Stan urządził nad rzeką bardzo miły park, zaopatrzył go w salę do tańca, kuchnie, restauracyjki, ławeczki, i ustawił trochę pomników z napisami, gdzie walczyły poszczególne oddziały. Skorzystaliśmy więc z udogodnień. Przy obszernym stole rozłożyliśmy podróżne prowianty i jak zwykle "gruchnęliśmy" na zdrowie bohaterów, którzy przed stu laty i dwoma tygodniami takie lanie sprawili Meksykanom. A że tu także walczył nasz rodak i za swe czyny otrzymał kilka set morgów "gruntu," którego i teraz jest tu pod dostatkiem, więc też na wniosek kolegi, ks. Wojcieszczuka,

wielce ceniącego bohaterskie czyny ziomka, pono nawet oficera wojsk polskich, "rąbnęliśmy" jeszcze po kieliszku. Po obiedzie puściliśmy się w dalszą podróż drogą wiodącą wzdłuż ogromnej zatoki Meksykańskiej do miasta portowego Galveston, położonego na długiej, wąskiej wyspie, połączonej z lądem stałym, długim, zwodzonym mostem. Jesteśmy teraz w jednym z licznych rejonów naftowych: wszędzie studnie lub też olbrzymie cysterny, minęliśmy także kilka przedsiębiorstw wiertniczych.

Główną atrakcją tego dużego, pięknego miasta portowego jest dwudziesto-milowy wał czy mur ochronny. Kilkadziesiąt lat temu gwałtowny huragan spowodował katastrofalny zalew miasta. Więc też aby się coś podobnego w przyszłości nie powtórzyło, zbudowano szeroki, murowany nasyp, a na nim urządzono wspaniały bulwar, tuż nad zatoką.

Gdym się tak włóczył w tę i w ową stronę po tym bulwarze, szukając kwatery, zauważyłem, że jedzie za mną jakieś auto, a kieruje nim młoda kobieta. Nareszcie upewniwszy się, że jesteśmy uczciwymi turystami aż z Connecticut, podjeżdża do mnie i zapytuje — czy szukamy mieszkania? — No juścić! Więc powiada, że ma kilka domów do wynajęcia. Powiadam, że mi na tym nie zależy, aby aż cały dom wynająć; bo wystarczy kilka pokoi w jakiejś porządnej kabinie turystycznej, które jak zauważyłem były bardzo ładne, ale droższe od hoteli. Zgodziłem się w końcu na jej ofertę i za głupie trzy czy cztery dolary zajęliśmy kompletnie umeblowane mieszkanie o ośmiu dużych pokojach i w dodatku tuż nad zatoką. To mi się jeszcze nie przytrafiło, żeby tak tanio cały dom wynająć, więc też obiecywaliśmy sobie dwa dni świetnego wypoczynku. Skorośmy rozpakowali nasze bagaże, a pani Feddema zabrała się do przygotownia sutej kolacji, boć miała wszelkie ku temu potrzebne przyrządy, nie wyłączając pieca na gaz i elektrycznej lodówki, ja z ks. Wojcieszczukiem poszliśmy rozkoszować się morską kąpielą. Jeszcze nigdy w życiu nie kąpałem się w tak ciepłej wodzie. Brzeg piaszczysty, woda nie głęboka, zatoka spokojna i komary także.

Po okolicznych trzęsawiskach i bajorach wśród wszystkich pokoleń jadowitych komarów rozeszła się wiadomość, że szczęśliwie dojechaliśmy do Galveston. Grzeczność przecież wymagała, żeby nas powitać i...odwiedzić. Chociaż na drzwiach i oknach były siatki, to te bestie miały swe prywatne wejścia i całą noc nas napastowały. Jeszczem takich dużych, głodnych, natrętnych gadów w życiu nie spotkał. Być może, że atak lekkiej kawalerii, która długimi lancami przeciwnika na sztych bierze, nie należy do przyjemności. To jednak śmiem twierdzić, że chociaż nie wiem, jaka długa jest lanca ułańska, ale napewno ostre żądła czy dzidy tych przeklętych galwestońskich

moskitów są dwa razy dłuższe, przytym tak bestie tą bronią zaciekle i sprytnie wojowały, żeś się im nie mógł opędzić. W przeciągu dwóch nocy tyle nam krwi napsuły, że chociażby mi tę chałupę za darmo dali pod warunkiem, że tu na stałe zamieszkam, to bym oferty nie przyjął. Na wszelką ewentualność zaopatrzyłem się w "flit," "flytox" i inne trujące, a na moskity skuteczne gazy, by ta galwestońska "przyjemność" więcej się nam nie powtórzyła.

Pono aż dotąd dotarł ten z Francuzów zapewne, najsłynniejszy podróżnik i odkrywca — La Salle. Tu też przez pewien czas ukrywał się już nam znany korsarz LaFitte, a nawet zbudował sobie w tym miejscu dogodną i obsadną twierdzę. Wszystko było w porządku, gdy napadał na okręty hiszpańskie i angielskie i gdy, jako porządny człowiek, dzielił się z orleańskimi kupcami. Gdy jednak dla rozmaitości "buchnął" amerykański okręt, podniósł się nań okrzyk oburzenia. Gubernator Louisiany nałożył nawet $500 dolarów nagrody na jego głowę. Gdy się LaFitte dowiedział o tym, przyobiecał dać piętnaście set dolarów za "wszawy łeb" gubernatora. Zdaje się, że jednak do wymiany nie przyszło i każdy swą głowę do śmierci zatrzymał. Do Galveston także przybył pierwszy transport polskich emigrantów.

Wiadomo że w stanach położonych nad Atlantykiem azalie są bardzo pospolite, w Galwestonie zaś ich miejsce zajmują oleandry. Przy bulwarach, w parkach i przed domami widzi się tu pełno różnorodnych i w barwy bogatych oleandrów. Amatorzy wyhodowali tu ponad dwadzieścia kilka gatunków tych u nas "domowych" kwiatków. Ponieważ klimat jest tu bardzo łagodny, więc też zimą i latem rosną na polu palmy i oleandry. Wcale nie zła kombinacja.

Pojechałem za miasto zobaczyć i bliżej się zapoznać z wierceniem studni naftowych. Tu właśnie odkryto nowe pola ropy, więc też w kilku miejscach pracowały dniem i nocą przedsiębiorstwa wiertnicze, a niektóre nawet już do bagien i zatoki wgramoliły się w poszukiwaniu za tym, co tu nazywają "płynącym złotem." Robotnicy byli bardzo uprzejmi i chętnie udzielili wszelkich informacyj. Dowiedziałem się, że taki "drilling outfit" czyli całe urządzenie wiertnicze, składające się z trzech kotłów do wytwarzania pary, pomp, wieży, motorów, świdrów i innych niezbędnych przyrządów kosztuje około sto tysięcy dolarów. "Crew" czyli ilość robotników potrzebna do tej pracy wynosi sześć czy siedm osób. Pracują na trzy zmiany, po ośm godzin dziennie, a robotnik zarabia od pięć do dziesięciu dolarów na dzień, zależnie od wykonywanej pracy. Jeżeli wszystko idzie "w porządku," koszta wiercenia studni wynoszą od pięćdziesiąt do sto tysięcy dolarów. Głębokość studni dochodzi od sześć do dziewięciu tysięcy stóp, bo jedne pokłady są głębsze od drugich; zwykle te głębsze są lepsze i bogatsze w ropę. Wydajność poszczególnej studni różni

się od kilkudziesięciu beczek to kilkuset, kilku i kilkunastu tysięcy. Są i takie, co mogą wydać ponad sto tysięcy beczek na dobę. Produkcja każdego pola i studni jest pod kontrolą rządu, by utrzymać odpowiednie ceny ropy. Przeciętna cena wynosi dolara za pięćdziesięcio-galonową beczkę; cena się jednak zmienia.

Nie wiem, czy będę mógł czytelnikowi ten cały proceder wiercenia jak należy wytłumaczyć, ale spróbuję. Po ustawieniu wieży, a na pewnej odległości trzech dużych pieców, zwykle ropą lub gazem ziemnym opalanych, rozpoczyna się praca, a właściwie jedno wielkie ryzyko, boć nikt nie posiada takiego oka, aby nim mógł zaglądnąć do

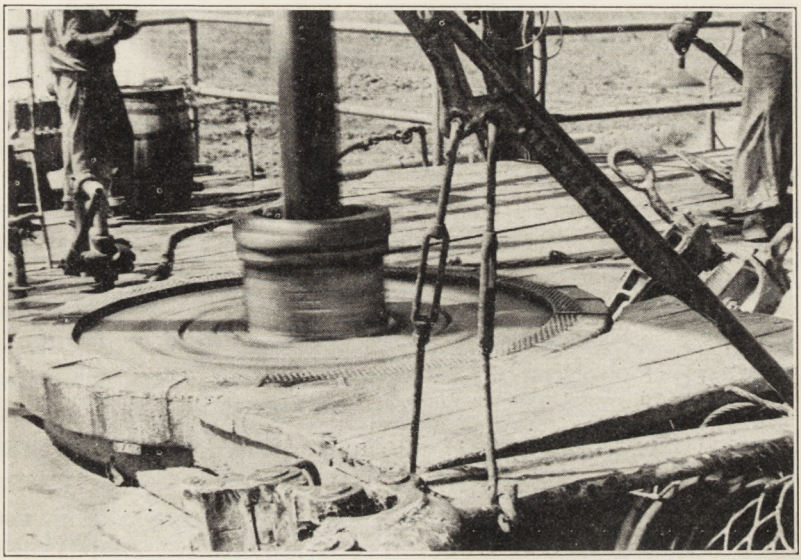

Wiercenie studni

wnętrza ziemi na grubość niemal że dwóch mil. Chociażby człowiek miał nie wiem jaki nochal, także niczego na tę głębokość nie wywącha. A jednak są tacy, co mają jakiegoś pecha, że bestia zgadnie, iż w tym miejscu znajduje się ropa. Czytałem o takich ludziach. Klu całej pracy stanowi — świder, oczywiście specjalnej konstrukcji. Może w innych terenach inaczej to robią, ale tu po ustawieniu wieży, po zbudowaniu w niej silnej podłogi czyli "platformy," ustawiają na niej motor pędzony parą, potrzebny do obracania świdra wiertniczego. W miejscu, gdzie ma być wiercona studnia, kładą żelazne koło, podobne poniekąd do kół młyńskich. W środku tego koła jest kwadratowy otwór mniej więcej sześć, a może ośm cali średnicy. Po zewnętrznej stronie są duże, żelazne tryby do obracanie koła. Całe urządzenie przypomina koło i tryby tylnej osi samochodu. Przez śro-

dek koła przetykają grubą, stalową, czworoboczną sztangę, co najmniej dwadzieścia stóp długą. Środek tej ciężkiej, kwadratowej sztaby jest wydrążony. U góry przyczepiony jest do niej gumowy wąż do forsowania wody, u spodu zaś są gwintowania do przymocowania sześcio-calowej rury. Zaś u spodu tej rury przykręcają "świder wiertniczy." Jest to dosyć obsadny kawał stali, ważący paręset funtów, zaopatrzony w dwa stalowe pazury. Parą pędzony motor zapomocą osi i trybów szybko obraca ten stalowy świder i wierci dziurę w ziemi tak samo, jak zwykły świder stolarski wierci dziurę w drzewie. Woda pod silnym ciśnieniem pomp forsowana do rur i świdra, wewnątrz także pustego, zabiera ze sobą żwir, piasek i wszelki materiał, przez który świder przechodzi, i wyrzuca go do góry. Ponieważ świder jest nieco większy od rury, do której jest przymocowany, więc też woda rurą pędzona wraca do powierzchni po zewnętrznej stronie tejże. Wypada tu zaznaczyć, że pierwsze kilkadziesiąt stóp studni ma jeszcze zewnętrzną rurę czyli "caising," w której się tamta obraca. Na tej zewnętrznej może dziesięcio-calowej rurze są gwinty i odpowiednie zamki, zapomocą których można wybuch ropy kontrolować. Wiem, że to powyższe objaśnienie dla czytelnika jest tak zrozumiałe i "jasne jak ciemna noc," ale zawsze wystarczy, a to tym bardziej, że w Polsce także są duże tereny naftowe i można je zapewne oglądać. Poza tym polecam odpowiednie podręczniki czy encyklopedie.

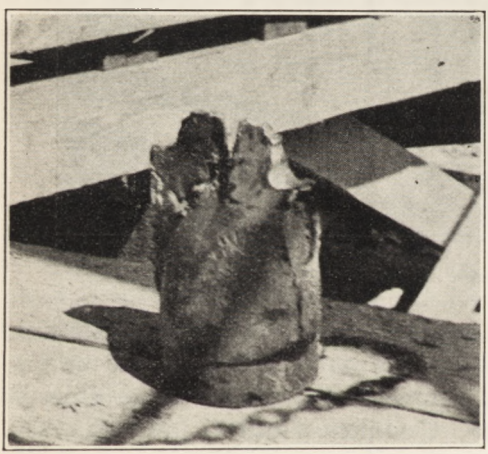

Świder wiertniczy

Wiercenie studni naftowych zawsze przedstawia duże ryzyko i tylko kompanie posiadające ogromne kapitały mogą sobie na eksploatację terenów naftowych pozwolić. Czasem natrafiają na silny wybuch ropy. Takie studnie nazywają — "gushers." Jeżeli takie źródło znajdą, stanowi ono dla nich fortunę. Czasem zamiast ropy napotykają gaz ziemny, a i to lepsze niż słona woda, boć i gaz można spieniężyć. Niekiedy za kilkumiesięczną pracę mają tylko jedną głęboką dziurę, w której utopili od pięćdziesiąt do sto tysięcy dolarów. Zdarzają się także wypadki, że wybuch jest tak gwałtowny, strumień ropy i gazu tak silny, że nowowywiercona studnia się zapali, zanim ją zdołano że tak powiem — okiełznać. Wtenczas kto żyw, wieje z "duszą na

suszą." Momentalnie zauważy się geyser dymu i ognia, który w krótkim czasie wieżę i wszystką maszyneryę wiertniczą zamienia w kupę spalonego żelaziwa. Wtenczas "z dymem pożarów" idzie sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów i trzeba jeszcze fachowców, i to takich, co to w ogniu piekielnym się hartowali, by ogień wygasili. Gdy tego nie można z łatwością uskutecznić, trzeba w innym miejscu wiercić na ukos nową studnię, by na tamtę natrafić i ropę w innym kierunku poprowadzić. "Nafta" a pod tym wyrazem rozumiem wszystkie przetwory ropy, dała ale też zabrała milionowe fortuny.

Na drugi dzień, a było to 4-go czerwca, toć to już niemal miesiąc, gdy opuściliśmy Norwich i wylądowaliśmy na stepach Teksasu, więc też po śniadaniu, ruszyliśmy z Galveston przez Houston do Brenham na srebrny jubileusz kapłaństwa ks. C. Weiznerowskiego. Droga doskonała, przytym w sąsiedztwie, bo tylko 125 mil, więc też stawiliśmy się na plebanii, bardzo zresztą skromniutkiej, już po nabożeństwie, ale jeszcze przed obiadem, jak to na porządnych podróżników i kapłanów przystało. Miły kolega szkolny, a senior tutejszego kleru polskiego, ks. Ignacy Szymański, przedstawił nas zacnemu, nadzwyczaj energicznemu i miłemu Jubilatowi i okolicznym księżom polskim. Było także kilku księży innej narodowości, a więc Czechów i paru Irlandczyków, bo tych wszędzie się napotyka. Przy sutym obiedzie rozpytywałem się o tutejsze osady, warunki, stosunki, boć wiadomo, chciałem się od ludzi na miejscu o wszystkim jak najdokładniej poinformować.

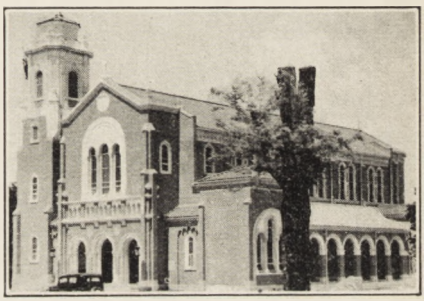

Kościół polski w Brenham, Tex.

W Teksasie znajdują się dwa osiedla polskie: jedno, mniejsze i i młodsze nieco na północ od linii Houston — Austin, a drugie, lepiej znane, starsze, liczniejsze, na południe od San Antonio. Tam także nieco później zaglądniemy.

Brenham jest to bardzo przyzwoite, powiatowe miasteczko, w dystrykcie oddanym produkcji bawełny. Mówiono mi, że za tydzień czy dwa miało się odbyć poświęcenie kościoła, zbudowanego przez bardzo energicznego tutejszego proboszcza ks. C. Weiznerowskiego. Gdyby aniołowie, zamiast przenosić "domek loretański" z Palestyny do Włoch, raczej przenieśli ten piękny o bardzo harmonijnych liniach kościół z Brenham do Norwich, byłbym im za to bardzo wdzięczny. Proboszcz tutejszy jest kapłanem — secundum cor meum. Jego rodzice jak zresztą większa część tutejszych osadników, pochodzą ze Śląska. Ogromnie lubię ludzi energicznych, ludzi czynnych, zato sta-

rannie unikam tych, co to wiodą, życie ... kontemplacyjne. Piękna, czteroklasowa, murowana szkoła, sala na posiedzenia i wiece, a teraz piękny kościół kosztem stu tysięcy dolarów zbudowany i to w parafii liczącej zaledwo 250 rodzin. Jest to po części mieszanina Polaków, Czechów i Irlandczyków, chociaż Polacy przeważają. Robota ks. proboszcza świadczy, że i tu można dużo dokonać, jeżeli się chce i jeżeli się ma do pracy ochotę.

Może nie wszyscy tutejsi księża mówili płynnie po polsku, niektórzy zatrącali angielszczyzną, dorzucali "ślązocką godkę," kaleczyli język tu i tam, ale potępić ich za to nie można. Gdzie się mieli po polsku nauczyć? Mówię oczywiście o tutejszych, tu zrodzonych, a nie krajowych lub wychowankach Seminarjum Polskiego. Jednym z tych jest ks. Ignacy Szymański. Więc też w tych warunkach i po tylu latach, trzeba tym ludziom oddać uznanie, że się polskości i języka macierzystego trzymają. Jak długo to jeszcze potrwa, nikt powiedzieć nie może. Brak tu tego silnego polskiego narybku, brak tu ludzi, którzyby potrafili prowadzić dobrą robotę narodową. Księża wychowani w zakładach amerykańskich, boć to kopa mil stąd do Detroit i nikt sobie na taką kosztowną podróż pozwolić nie może, nie znają gruntownie języka, ale robią co mogą, a częstokroć, mimo braków językowych jeszcze w piersi kołacze szczere polskie serce. Cześć im za to!

W pobliżu jest niewielka wioska Chapel Hill. Jechaliśmy do Brenham mimo kościoła, później dowiedzieliśmy się, że to także polska osada, licząca może ponad trzysta rodzin. Na ogólny rzut oka widać, że miejscowy proboszcz nie bardzo się krząta przy podniesieniu majątku i zabudowań parafialnych, za to zapewne wielkie czyni postępy w doskonałości chrześcijańskiej.

Prosił nas do siebie ks. Fr. Domański, dosyć ruchliwy i wpływowy proboszcz z Anderson. Pojechaliśmy więc do niego; niestety — nie zastaliśmy go w domu, gdyż wypadło mu jechać na katechizację do małej misyjki, kilkanaście mil odległej od jego parafii. Plebania, jakoteż schludny kościółek, chociaż może niezbyt luksusowy i w ogóle wszystko na gruncie parafialnym świadczyło, że miejscowy proboszcz dba o porządek nie tylko w kościele, ale w całym obejściu parafialnym. Nie mogąc się doczekać powrotu ks. proboszcza, udaliśmy się w dalszą podróż, której następnym postojem miała być stara osada polska w Bremond. Wprawdzie są tu jeszcze inne mniejsze osiedla w Stoneham i Bryan, a zapewne znalazłoby się po kilka lub kilkanaście rodzin polskich w każdym z tutejszych miasteczek, jednakowoż nie jeździmy po spisie, tylko tak z grubsza chcemy się zapoznać z tutejszą polonią.

Bremond jest nieco większym miasteczkiem, boć to węzeł kolejowy i drogowy, może nawet miasteczko powiatowe. Ulice szerokie

i widzę tu dużo sklepów, a jak tu mówią "sztorów" z narzędami rolniczymi, sztucznymi nawozami, nasionami i takim towarem, który znajduje zapotrzebowanie w okolicach rolniczych. Kilkanaście z tych stosunkowo niewielkich sklepików jest w ręku naszych rodaków, ale widać, że żaden dotąd nie potrafił się jeszcze wyśrubować na wyższe i ważniejsze stanowisko. Na ogół, Polacy w Teksasie nie odgrywają żadnej wybitnej roli, jest ich zresztą stosunkowo mało i są w dodatku bardzo rozproszeni. Trudno się ludziom bliżej jednoczyć, jeżeli ich dzieli kilkadziesiąt a nawet kilkaset mil, a przecież do niedawna nie było ani uczciwych dróg ani tych szybkich a wygodnych samochodów, tych prawdziwych "pożeraczy dystansów." Zato Czesi i Niemcy, którzy tu przybyli jeszcze przed naszymi osadnikami, tak politycznie jak i ekonomicznie stoją lepiej od naszych. Czesi tak katolicy jak i protestanci, boć i tych nie brakuje, trzymają się kupy, mają swoje towarzystwa i organizacje narodowe, a nawet pod względem kościelnym dosyć otwarcie stawiają swe żądania biskupom tutejszym.

Czasem się zdarzało, że i nasi w większych osiedlach domagali się polskich księży, jednakowoż bardzo "gorliwy i apostolski" biskup Christopher Byrne, ordynariusz tutejszej diecezji na ich prośby odpowiadał, że "on im przysyła księdza katolickiego, a nie polskiego." To jest całkiem w porządku, tylko ludziom nijak przez ich "ciasne" głowy przejść nie mogło, dlaczego polscy księża nie są "księżmi katolickimi," i jak to być może, że na większe parafie, a tym bardziej na katedry biskupie zawsze się wyśrubowali "księża katoliccy" o nie polskich, a w wielkim procencie o ajryskich nazwiskach?!... Oczywiście, nikt na takie pytania nie może dać żadnej rozsądnej odpowiedzi. Zapewne wszyscy polscy kanonicy, dziekani i sufragani przyznają mi słuszność, gdy powiem, że to stanowi jedną z niewytłumaczonych, drażliwych i przez zwykły rozum ludzki niepojętych "tajemnic" naszej Wiary św.

Na skraju schludnego miasteczka Bremond znajduje się posiadłość parafii św. Stanisława, której proboszczem od lat trzydziestu jest tutejszy senior i dziekan ks. Ignacy Szymański, a mój dawny kolega szkolny. Mówiliśmy mu wtenczas "Szymek." Pochodzi jeżeli sobie dobrze przypominam z Nanticoke, Pa., gdzie jeszcze teraz znajdziesz wśród naszych górników dużo dzielnych Polaków. Jak mi opowiadał miły ks. proboszcz, parafię założono w roku 1878-ym, a więc znacznie później do Panny Marii i parafii znajdujących się na południe od San Antonio. W te okolice przybyli pierwsi osadnicy z Poznańskiego. Chwilowo zatrzymali się w Waverly ale gdy im się tam nie spodobało, po kilku latach przybyli do Bremond.

Parafia liczy jakie 400 rodzin. Przed kilkudziesięciu laty wystawili gustowny, murowany kościół, kosztem pięćdziesięciu tysięcy do-

larów. Inne zabudowania jak szkoła, plebania i dom sióstr są jeszcze z drzewa, ale wszystko schludne i starannie utrzymane. Teren przy kościele jest dosyć obszerny, wszędzie pełno sosen i krzewów. Widać, że ks. Proboszcz kocha się w kwiatach, zato urządzenia plebanii a także klasztoru są dosyć skromne. Aż dotąd dotarły nasze pionierki, Siostry Felicjanki, te co to i mnie nieraz skórę garbowały i per fas et nefas katechizmu uczyły. Do szkoły uczęszcza blisko 250 dzieci i tu język i duch polski, przypuszczam, jeszcze się długie lata utrzyma. U ks. Weiznerowskiego jest w szkole mniej dzieci, przy tym jest to już parafia mieszana, tu zaś wszystko dzielne polskie "wiarusy."

Kościół polski w Bremond, Tex.

Opowiadał mi ks. Szymański, że połowa jego parafian posiada własne fermy, reszta "rentuje" czyli dzierżawi i albo dzieli się zbiorem, albo też płaci z góry ustaloną rentę. Przeciętna ferma wynosi od 100 do 200 akrów, chociaż zamożniejsi mają nawet po 500 akrów, co już na tutejsze stosunki przedstawia znaczniejszy majątek. Przeważnie uprawiają tu bawełnę, a cały zbiór wynosi od dziesięciu do dwudziestu bali bawełny. Taka duża paka bawełny zwana "balą," należycie sprasowana oczyszczona i zawinięta, waży niemal tysiąc funtów, a rolnik otrzymuje za nią około pięćdziesiąt dolarów. Podczas kryzysu rząd dopłacał tutejszym gospodarzom pewną cenę, gdyż biedacy nie mogli końca z końcem związać. Po całorocznej pracy nie pozostawało im tyle ze sprzedaży, aby pokryć koszta nasienia, nawozu i oczywiście trucizny, którą teraz trzeba skrapiać młode rośliny. Rzucił się tu na bawełnę robak, który szczególnie niszczy młode pączki przed ich rozkwitnięciem. Skutek jego niecnej a żarłocznej działalności jest ten, że pąkówka usycha i opada, co znów bardzo obniża wydajność zbioru. Po angielsku ten straszliwy szkodnik, który przybył tu z Meksyku i w dodatku bez wizy i pieczątki, nazywa się — boll weevil, a nasi przezwali go — "raczki." Tak czy siak, ale szkody powodowane przez to robactwo wynoszą setki milionów dolarów. W niektórych okolicach do niszczenia tej plagi używają aeroplanów. Zaopatrują samoloty w specjalnej konstrukcji rozpylacze i dopiero lecąc niezbyt wysoko ponad polem bawełny, sieją truciznę, niby drobną rosę. Skuteczna to wprawdzie, ale kosztowna metoda niszczenia żarłocznych szkodników.

Dzień był taki miły, pogodny, słoneczny, że też bardzo szybko płynął nam czas na przyjemnej pogawędce. Rozmawialiśmy także chwilę z siostrami nauczycielkami, ja zaś, włóczyłem się po wszystkich kątach, robiąc zdjęcia, boć wątpię, czy już tu kiedy wrócę. Wpadłem także na chwilkę na cmentarz parafialny, tonący w zieleni sosen. Wśród klombów swojskich kwiatów, pęków wonnych róż i jaśminów spoczywają tu nasi pionierzy. Wszystko polskie nazwiska, a niejedni już pół wieku jak legli, tu zdala od rodzinnej strzechy. Nastąpiła jakaś dziwna wymiana myśli między mną a tak mi bliskimi pionierami polskimi, bo "dla chleba bracie dla chleba" opuścili rodzinną strzechę, czy to na Śląsku, czy też w Poznańskim. Ich śladami poszły miliony!... "Idąc płakali i rzucali ziarno" — "Euntes, ibant et flebant mittentes semina sua"... Oj ciężki to był posiew, gorzki ten pierwszy kawałek chleba, wyrwany dziewiczym stepom Teksasu. Zapewne oni, jak i "moi" wieczorami zbierali się do małej, prymitywnej chatki, by z miłym, a nieraz bolesnym wspomnieniem gawędzić o starym kraju o...rodzinnej wiosce i tej małej, a tak od nich odległej chatce!... W tej miłej cmentarnej ciszy, pełnej ciepła, blasku słońca, tylko świergot rozbawionego ptactwa przerywał ten cmentarny spokój... Mnie zaś na myśl przyszły słowa piosenki żołnierskiej;

"Spij rolniku w ciemnym grobie
Niechaj Polska śni się tobie"....

—Ciekaw jestem czy wiedzą, czy widzą, że Polska tak za ich czasów nękana i prześladowana przez politycznych ciemięzców, jest dziś wolna i potężna! Tak, ciekaw jestem... czy wiedzą?!...

Wieczorem, na suggiestię ks. Proboszcza, wpadliśmy na chwilę do małego miasteczka Mineral Wells, słynnego na okolice ze źródeł leczniczych. Dopiero po niewczasie dowiedziałem się, że Siostry Nazaretanki mają tu szpital. W tej schludniej mieścinie jest także parafia mieszana, w której większość jednak stanowią Polacy. Proboszcz, tu wychowany, nigdy nie uczęszczał do szkół polskich, a to co umie, to tylko tyle czego się w domu rodzicielskim podczas wakacyj, nauczył. Biedaczysko w niemożliwy sposób kaleczył tę naszą piękną mowę. Brakło mu słów, przeplatał i zastępował braki słowami angielskimi. Żal mi go było, gdyż biedaczysko przypominał mi postrzelonego ptaka, który mając złamane skrzydło, chce się w bolesnych skokach przed grożącem nieszczęściem ratować. Co za wymowny przykład — braku szkół polskich.

Rano po odprawieniu Mszy św. opuściliśmy gościnne progi mojego kolegi, udając się przez Mexia, Corsicana do Dallas, na wystawę urządzoną z okazji stuletniej rocznicy niepodległości Teksasu.

ROZDZIAŁ XV.

## Dallas - Wystawa - Rodeo - Alamo - Obozy Wojskowe

W roku 1841-szym przybył w te strony Jan Neely Bryan i zbudował niewielką chałupinę. W następnych kilku latach przywędrowało więcej osadników i nazwali swą siedzibę Dallas, ku czci wiceprezydenta za administracji prezydenta James K. Polk'a. W preciągu niecałego nawet stulecia tak się stosunki zmieniły, że nikt nie pamięta, jak się nazywał ówczesny wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, a wszyscy wiedzą, że jedno z największych miast w Teksasie nazywa się Dallas; tak jak kiedyś wszyscy znali Dallasa, a nie słyszeli nawet o tej małej osadzie na preriach teksaskich.

Jesteśmy więc w Dallas, jednym z największych miast największego stanu w Stanach Zjednoczonych. Przypuszczam, że każdego rodowitego Amerykanina można zawsze poznać po tym, że ma słabostkę do czegoś, co jest "naj"-większe, "naj"-starsze, "naj"-piękniejsze, i dlatego nawet wasz cicerone ma ku temu skłonność. Może to on wśród kleru polskiego w Ameryce jest "naj"większym idiotą, gdyż zamiast cicho siedzieć i Boga chwalić, nie tylko że się włóczy po Stanach Zjednoczonych, niczym—"Marek po piekle," ale w dodatku na swoją i czytelnika udrękę, opisuje wszystkie "naj"-ciekawsze miejscowości, które zwiedził w swej "naj"-dłuższej podróży. Dla takiego niema już żadnego ratunku; trzeba go więc zostawić w spokoju, niech w dalszym ciągu wypisuje swe "naj"-ciekawsze awantury i przygody.

Z łatwością znaleźliśmy wygodne, chociaż dosyć drogie kabiny turystyczne, z wszelkimi nowoczesnymi urządzeniami. Więc też stanęliśmy w nich obozem, aby przez następne kilka dni dokładnie zwiedzać tutejszą "wiekową" wystawę — Centennial Exposition. Miasto liczy ponad ćwierć miliona mieszkańców. Do jego szybkiego rozwoju przyczyniły się niemało bogate okolice rolnicze, hodowla bydła, uprawa bawełny i oczywiście — tereny naftowe.

W mieście Houston powstały ogromne fabryki maszyn i urządzeń wiertniczych, tu zaś są fabryki maszyn do oczyszczania czy może powinienem powiedzieć — "czesania" bawełny. Pierwszą taką maszynę wynalazł Jankies z Connecticut, nazwiskiem Eli Whitney. Jego

"cotton gin" dla hodowców bawełny jest wynalazkiem epokowym. Ponadto w Dallas rozwinęły się duże przedsiębiorstwa rymarskie, a to z tego względu, że w tym stanie jest ogromne zapotrzebowanie na siodła i skórzane hajdawery, zwane "chaps." Te skórzane nogawice, często na zewnątrz pokryte kożuchem, są na to, aby kowboje, ugania-jąc po preriach, porosłych bylicą i kaktusem, zbyt prędko nie niszczyli ubrania. Tak się one tu przyjęły, że te częstokroć artystycznie wyszywane — półnogawki są niezbędną częścią stroju kowbojowskiego. Do stroju należą także buciki o wysokich obcasach, małych ale zdobnych cholewkach, pas z nabojami i nieodzownym sześcio-strzałowym rewolwerem marki — Colt, koszula jedwabna, czerwona chustka i duży z szerokim rondlem kapelusz, zwany tu — "dziesięcio-galonowy." Z takiego kowbojowskiego kapelusza zrobiłby dwa lub trzy zwykłe kapelusiki, a uczciwy tutejszy "Stetson" kosztuje od piętnastu do dwudziestu pięciu dolarów. Strój porządnego, eleganckiego kowboja, który chce się pochwalić pięknym, w srebro okuwanym i cyzelowanym siodłem, w perłę oprawnym rewolwerem, doskonałym koniem i innym sprzętem, przedstawia już poważną fortunę. Nasi to jeszcze na tym punkcie nie są tak wybredni, ale Meksykanin to człowiek gorszy od kobiety, lubującej się w strojach. Jest on poprostu chodzącą biżuterią.

Matka z córką
w stroju kowbojowskim

Ponieważ to nowoczesne miasto, jego liczne drapacze chmur, a nawet stara "log cabin" pierwszego "setlera," z pietyzmem przechowywana, nie ciągną nas ku sobie, więc też czym prędzej udaliśmy się na wystawę. Przybyliśmy tu w dzień jej otwarcia. Było już wprawdzie po paradzie i przemówieniach, dlatego też mogliśmy swobodnie zwiedzać ważniejsze eksponaty.

Znacznie powiększono obszerny plac i zabudowania używane na doroczne "wystawy stanowe" czyli "state fairs." Poza gmachami trwałymi wystawiono kilkadziesiąt budynków tymczasowych. Te po zamknięciu wystawy zostaną zapewne zdemolowane, jak to się zwykle dzieje na innych wystawach. Zostawiają jednak na pamiątkę tylko najpiękniejsze budowle.

Od głównego wejścia, przy którym każdorazowo płaciliśmy po pół dolara wstępu, wiedzie szeroki "bulwar — narodów." Tu skoncentrowano najpiękniejsze, chociaż może z tektury budowane gmachy. Tu też umieszczono piękne fontanny z kolorowym oświetleniem, które w pogodne a ciepłe wieczory, dawały złudzenie, że się znajdujesz

w jakimś zaczarowanym zamku Al Raszyda czy innego bagdadzkiego potentata. Przy drogach pełno kwiatów, przeźroczystych sadzawek, obsadzonych wodnymi liliami i napełnionych złotymi rybkami. Dla wygody gości wszędzie rozmieszczono ławeczki; nie zapomniano także o niezbędnych ubikacjach, do których nawet królowie chodzą na piechotę.

Po za głównym bulwarem czy też przepięknym parkiem były także boczne drogi, przy których zbudowano szereg restauracyj, urządzeń sportowych i najrozmaitszych widowisk, w których wydrwigrosze nieskończonym ujadaniem zachęcali widzów do próbowania szczęścia czy to w strzelaniu do tarczy czy w rzucaniu krążkiem czy też ofertą na "wróżenie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości." Zauważyłem, że kobiety do "wróżek" mają słabostkę. Jeden z zaułków nosił szumną nazwę "Streets of Paris." Już sama nazwa "ulic Paryża" suggestionowała przedstawienia wchodzące w kolizję z szóstym przykazaniem boskim. Niejednego nabierały duże, sensacyjne obrazy kobiet z figowymi listkami, a które, jak gapiów zapewniano, miały i te z siebie zrzucić jako zbyt gorące. Taki chętnie dawał "kwoderka" w nadziei, że na stare lata, boć to starsi jegomoście tu się cisnęli, dozna jeszcze jakichś niebiańskich dreszczyków. Sądząc jednak po minie tych, którzy oglądali te spektakle, rzekomo przez policję zakazane, przyszedłem do przekonania, że ich tam nabrano. Zresztą, takie atrakcje znajdziesz na wszystkich wystawach amerykańskich. Ciekawa była wioska małoludów. Cała administracja tej miniaturowej dzielnicy: czy to policja czy odbiorcy lub sprzedawcy biletów, czy aktorzy — to wszystko karzełki. Myślałbyś, że to jakieś małe laleczki. Gdy się wciąż widzi sześciostopowych drągali w dużych kowbojowskich kapeluszach, a naraz stajesz oko w oko z dwustopowym karzełkiem i to człowiekiem starszym, pod wąsem lub też z matroną ważącą dwadzieścia kilka funtów, popisującą się wraz ze swą miniaturową córeczką, nie tak łatwo o tym widowisku zapomnisz. Zauważyłem, że ta dzielnica miała bardzo liczną klientelę.

Nie podobna tu nawet w przybliżeniu opisać chociażby tych najciekawszych eksponatów, jakie na wystawie zwiedziliśmy. Ogromne pawilony były wprost przepełnione najrozmaitszego gatunku eksponatami. Urządzenia domowe, meble, piece kuchenne, udogodnienia elektryczne, radia, elektryczne przybory kuchenne, następnie wystawa konserw, boć niemal że konserwami żyjemy, a najcenniejszy podarek dla młodej amerykańskiej mężatki to jakiś misterny przyrząd do otwierania puszek blaszanych, więc też było tego bez liku i miary.

W innym znów oddziale panował " king cotton" czyli król-bawełna, boć jeżeli gdzie, to w Teksasie jest ona królem, a jej najbliższym rywalem jest — nafta. Wprost można się tu wykształcić na produ-

centa bawełny. Wszystko ci tu pokażą, od nasienia, uprawy roli, nawozów i trucizn, robaków, które te zbiory niszczą, aż do pakowania bawełny, jej wysyłki, przeróbek, paszy dla bydła t. zw. "cotton seed meal," oleju, słowem — nawet nie masz wyobrażenia, co się z tego lekkiego bawełnianego puchu wyrabia.

Olej był tu bardzo obszernie i umiejętnie przedstawiony. Gdyś wszedł do tego bogatego działu, zauważyłeś ogromną w reliefie mapę Teksasu z oznaczeniem wszystkich ważniejszych pól naftowych. Pokazywano ci w przecięciu wnętrze ziemi z pokładami piasku, żwiru, kamienia soli i nafty. Eksperci pokazywali urządzenia wiertnicze, świdry, motory, rury, wieże, jednym słowem — wszystko, co z wydobywaniem ropy jest złączone. Następne na programie były — rafinerie nafty, takie w miniaturowych rozmiarach, ale wystarczające, by przeciętnemu gapiowi dać chociażby jakie takie pojęcie jak to zapomocą ogrzewania, filtrowania rozdzielano tę czarną, cuchnącą ropę na najrozmaitsze składniki. Najważniejszą dla nas jest oczywiście — gazolina, następnie oliwa do motorów, za tym idzie nafta, której używają do pędzenia traktorów, potem olej do ogrzewania domów, a także używany do pędzenia okrętów zapomocą silników Diesla, znajdujących coraz to większe zapotrzebowanie do pędzenia fabryk, pomp itp. Przy każdej maszynie czy miniaturowej rafinerii, byli fachmistrze, co objaśniali każdy krok tego dla niefachowca skomplikowanego procederu. Bardzo byłbym z tego działu kontent, gdyby się tak ów prelegent zapytał, czy ma mi gratisowo napełnić mój "tank" gazoliną. Ale widocznie taka hojność wobec turysty nawet im w głowie nie świtała, gdyż za gazolinę płaci się tu stosunkowo nie taniej, niż n. p. w Connecticut, gdzie poza wodą nic innego z ziemi nie wydobywamy.

Duży i bardzo zajmujący był dział samochodowy. Niektóre firmy samochodowe poustawiały rzędy maszyn i wyrabiały części składowe samochodów. Ford, pokazywał, skąd pochodzą surowce potrzebne do konstrukcji samochodu. Jak się okazało, bardzo dużo części składowych każdego auta. . . rośnie na fermie. Potrzebna jest bawełna i wełna, włos bydlęcy i kozi na wypakowanie siedzień, skóra na rzemienie i pasy, łój na niektóre smary, a co najciekawsze to fakt, że z fasoli — soy bean — wyrabiają nie tylko oleje i farby, ale także części składowe, jak gałki do rączek używanych do zmiany szybkości i pewne części do urządzeń elektrycznych. Ogromna maszyna w naszych oczach mełła chińską fasolę (soy bean), następnie mąkę tę sypano do innych maszyn, które pod ogromnym ciśnieniem robiły twarde jak kość, na czarno politurowane gałki. Gdym tak te przetwory naszego rolnictwa widział przeistaczane, niemal że w mych oczach, na części składowe mego auta, przyszedłem do przekonania, że niedługo a opony

będą robili z kwaśnej kapusty, a barszczem będą malowali samochody. Czegóż to już ta mała, dwunożna poczwara, ten napozór słaby człowiek nie potrafił swym sprytem, zmysłem wynalazczym dokonać! Żyjemy w wieku ogromnego rozwoju technicznego, a zato tracimy na walorach moralnych. Nowoczesne fabryki, podnoszące wciąż produkcję do zawrotnych ilości, uczyniły z człowieka także może mniej lub więcej precyzyjną maszynę, która się tylko nauczyła jakieś poprzednio precyzyjnie zrobione części do siebie przykładać lub też przykręcać kilka śrubek z błyskawiczną szybkością.

W niedzielę, po mszy św. i po śniadaniu, znów pojechaliśmy zwiedzać wystawę, a czyniliśmy to już z pewną dokładnością i systemem, bośmy niczego nie chcieli pominąć i opuścić. Patrzę — a tu środkiem głównego bulwaru jedzie bardzo malownicza kawalkada kowbojów i kowbojek. Siedzą na dziarskich konikach, w dużych kapeluszach, barwnych chustkach i koszulach, kowbojowskich hajdawerach, butach z ostrogami. Oznajmiają, że o godzinie drugiej będzie w olbrzymiej arenie — rodeo czyli popis kowbojski. Na to właśnie czekałem, bo z bliska jeszcze takiego popisu nie widziałem, chociaż coś o nim w poprzedniej mej pracy wspominałem. Gorąco było, ale już zawczasu pospieszyliśmy do olbrzymiej areny, w której mogło się zapewne zmieścić z dziesięć tysięcy, a aktualnie było nas jakie piętnaście set, ale nie o ilość, a raczej o jakość się rozchodziło. Pomyślcie tylko — kto tam był?... A więc wasz piszący szofer usadowił się w najdogodniejszym miejscu, aby nic jego uwagi nie uszło. Ks. Wojcieszczuk takie popisy już kilka razy widywał na wystawach stanowych, więc też mógł mi później niektóre tajniki objaśnić, co ja znów pod sekretem wam powtórzę.

Na wstępie objaśnienia, przedstawiono nam także wybitnych urzędników i zarządców. Każdy jadąc bez zarzutu, publiczności z gracją szerokim kapeluszem się kłaniał, podczas gdy my darzyliśmy go oklaskami. Do pierwszych numerów na programie należał — kadryl odtańczony przez ośm par na koniach. Wszystko poszło z pewną gracją i elegancją, szczególnie konie w takt muzyki dreptały "drobnym kopytkiem." Z niecierpliwością jednak czekałem na prawdziwe popisy kowbojów i kowbojek, czy to w rzucaniu lassa, czy też w ich karkołomnej jeździe na dzikich, gdzietam dzikich, wprost — wściekłych koniach. Więc też gdy na głośnikach oznajmiono, że ten i tamten słynny kowboj dosiędzie wylosowanego konia i ma się na nim utrzymać... dziesięć sekund, przyznam, że czekałem na ten popis z wielką palpitacją serca.

Z jednej strony areny były klaty dla koni, a nawet dla indyjskich byków, na których się także popisywano. Na dany znak kowboj wskakiwał na konia, roztwierano na oścież bramę, a jeździec we

wściekłych podskokach wpadał czy też wskakiwał na arenę. Nie wiedziałem skąd oni nazbierali takich dzikich koni, boć to się poprostu wiło. To koń stawał dęba na tylnych, to znów na przednich nogach, to rzucał się w bok, a czasem tarzał się po ziemi. Jeszcze gorzej było z hinduskimi bykami. Myślałbyś, że taki zwierz nie ma stosu pacierzowego. Niczym węgorz w porównaniu z takim bydlakiem. Niektórzy z kowbojów utrzymali się na grzbiecie, a inni już po kilku podrygach leżeli rozczapierzeni na piasku; niejeden tak porządnie o Matkę Ziemię "rąbnął", że z trudem się z niej pozbierał. Gdy jednak któryś utrzymał się na wierzgającym koniu czy byku, w mig nadjeżdżali jacyś pomocnicy, ściągali jeźdźca z konia i za moment koń całkiem spokojnie stał i spoglądał na publiczność nie wiedząc, co się właściwie stało. Przyznam, że byłem tym mocno zaintrygowany, więc nareszcie gadam do mego kumotra:

— Antek, wiesz co, mnie się zdaje, że tam coś jest "nie rychtyk" z tymi końmi i kowbojami. Patrz, jak to wierzga, a za chwilę, gdy jeźdźca z niego ściągną, koń staje spokojnie i tylko złowrogo uszami strzyże i oczyma strzela, jak gdyby im chciał powiedzieć — żeby was wszystkich diabli rogaci zabrali. Zauważyłeś, że czasem, chociaż jeźdźca zwalił, jeszcze w dalszym ciągu skacze i koziołki pokazuje, aż go za bramę przepędzą?!...

— Tybyś też skakał, gdyby tobie takiego figla wypłatali — mówi Antek.

— Cóż znowu?...

— Czy ty nie widzisz tego pasa tuż za poprzegiem, przy zadnich nogach?!... Gdy kowboj już jest w siodle, pomocnicy gwałtownie pas ściągają i młodemu ogierowi czy bykowi robią "wielkie szwyństwo", jakby powiedział nasz Żydek. Więc też z wielkiego bólu bydlak się wije, jak wściekły, chcąc się uwolnić od tego strasznego uścisku i bólu w tym "delikatnym miejscu".

Teraz dopiero zrozumiałem, co ze mnie za gawron, że też nie zauważyłem tego drugiego pasa, który z pochwyceniem fikającego konia momentalnie mu odpinano, a koń pozbywszy się cierpienia — pono gorszego od porodu, — wracał szybko do równowagi.

Ciekawe także były popisy przy momentalnym chwytaniu i pętaniu cieląt — roczniaków. Sztuka polegała na tym, że w danym momencie z zagrody wypuszczano smagłego cielaka, który pędził przed siebie na złamanie karku. Dwóch kowbojów za nim: jeden po to, aby cielak gonił w jednym kierunku, a gdy kontestant po drugiej stronie go dopędził, w momencie zeskakiwał z konia, chwytał ciołka za łeb i starał go się o ziemię powalić pętając mu równocześnie trzy nogi. Czasem szło to dosyć prędko, innym zaś razem cielak wcale się na taki projekt nie zgadzał i zaparłszy się silnie nogami,

oponował tak, że nawet w sejmie lepszejbyś opozycji nie znalazł. Takie szamotanie i gadanie ciołka z kowbojem trwało pięć i dziesięć minut, a tu przecież chodzi o rekord i nagrodę. Co mnie poniekąd intrygowało, to sam bieg takiego teksaskiego "sztyjerka". Myślałem, że to są specjalnie trenowane cielaki, a może to jakaś specjalna rasa biegaczy?!... Więc też znów wszczałem rozmowę z moim towarzyszem podróży:

— Antoś, jeszcze nigdy w życiu nie widziałem cielaków, co tak potrafią biegać, jak te stepowe bestie. Toć one zwykłego konia napewno prześcigną. Patrzno, jak tamten sadzi: ogon do góry wystawił, niby lancę, i wieje, jak wściekły. Może chce jaki rekord zdobyć w bieganiu, czy co?... Albo tamten: ogon nastawił w pochyłym kierunku, niby ułan lancę do ataku, — tylko oczywiście w odwrotnym kierunku. Zapewne coś czytał o liniach nowoczesnych aut i samolotów, bo wie bestia, co to znaczy — "stream line."

— Może i tybyś urządził jakiś "wyścig", gdyby tobie takiego jak jemu animuszu dodali.

— Co znowu za szwindel?...

— Widzisz Stasiu — powiada Antoś — zanim go wypuszczą, nabiją mu w "lufę" czerwonego pieprzu, a to pono ma być jeszcze skuteczniejszy środek od twej tak poprzednio zachwalanej — terpentyny. Wątpię nawet, czy terpentyna, chociażby w najlepszym gatunku i w większej ilości mogła wywołać tak szybki bieg, bez tarcia ... ogonem o ziemię, jak ten, który osiągają ci młodzi atleci krowiego rodu.

Jak było, tak było, ale bieg zawsze wspaniały, czasem przez połowę areny przegonił taki ciołek, zanim kowboj rozpoczął z nim — konferencję.

Odpowiednio tresowany koń jest najcenniejszym majątkiem kowboja. Rozchodzi się szczególnie o konie, które potrafią odgadywać myśli swego pana, obracające się w zagadnieniu, którego bydlaka należy ze stada wyłączyć, czy według ich wyrażenia — "wyciąć". Podczas wiosennych czy jesiennych zbiorowisk "roundups" zamiesza się do stada zwykle kilka a niekiedy kilkanaście sztuk bydła, należącego do innego właściciela. Wiadomo, że takiego nieproszonego gościa trzeba ze stada wypędzić. Dobrze wytresowany koń odrazu się połapie, którego to bydlaka trzeba wyłączyć i pójdzie za nim przez całe stado, niczym pies, aż go z gromady wygoni na prerie. Był także inny koń, który wraz ze swym jeźdźcem uzyskał huczne oklaski a nawet mnie chwycił za serce. Wiadomo, że do koni, psów i wszelkich zwierząt mam słabość, a koń to przecież zwierzę szlachetne i rozumne, chociaż co do ostatniego określenia nasz wielki Mistrz p. Ignacy Paderewski ma wręcz przeciwne poglądy, bo go kiedyś, jako

młodego chłopaka, koń kopytem poczęstował. Na preriach istnieje wprawdzie nie pisane, ale obowiązujące prawo, że konia, który złamie nogę, kowboj powinien zastrzelić, by się nie męczył. Otóż jak nam objaśniono, koń i jeździec tę właśnie odegrali scenę. Koń pada, a jeździec widząc, że złamał nogę, z żalem przygotowuje się do spełnienia bolesnego obowiązku. Koń jednak tak miłosiernie nań spogląda, tak prosi, że ten odrzuca rewolwer i stara się konia w nieszczęściu ratować. Zmienia się scena. W tym znów wypadku, jeździec spada z konia, łamie rękę czy nogę i na pół przytomny leży na stepie. Koń zbliża się do niego, całego delikatnie ogląda, kładzie się tuż przy nim w takiej pozycji, aby jeździec przy najmniejszym wysiłku mógł się na niego wczołgać. Niby przewieszony wór zboża, koń podnosi go i na swych plecach powoli, delikatnie niesie do zagrody. Zasłużył na huczne oklaski, których mu nie szczędzono.

Program zakończono kilku obrazkami z życia kowbojów, a więc: widzieliśmy jak zajechał niezbędny "chuck wagon", wóz z prowiantami, rodzaj kuchni polowej, gdzie każdy kowboj ze świetnym apetytem wsuwał nasze nieodzowne "flapdzieki" (naleśniki z hreczanej mąki) z baconem. Następnie przedstawiono życie obozowe, gdy wieczorem, przy rozpalonym ognisku, ten i ów wyciągnął gitarę, mandolinę czy inny instrument muzyczny. Zaczęto śpiewać nasze smętne stepowe piosenki o domu i kochance, treścią i melodią przypominające dumki ukraińskie. Kończyło się tym "ostatnim pędem", gdy kowboje otoczyli stado bydła i powli pędząc ku domowi, przeprowadzali — "the last roundup". [1]

Po dokładnym, kilkudniowym zwiedzeniu wystawy, wybraliśmy się w dalszą podróż przez Waco i stołeczne miasto Austin, do dużego historycznego miasta San Antonio, dwieście mil na południe od Dallas. Okolica się nie zmienia. Wszędzie te same równiny, te same pola bawełny, te same miasteczka, więc się po drodze nie zatrzymujemy ani nawet w stolicy Teksasu — Austin, chociaż jest tu do zobaczenia bardzo duży i gustowny kapitol, budowany na wzór kapitolu w Waszyngtonie. Pod wieczór stanęliśmy w wygodnej kwaterze na kilkudniowy pobyt w San Antonio.

Duże, nowoczesne, ponad ćwierć miliona mieszkańców liczące miasto San Antonio tym się wyróżnia od innych, że jest stare. W roku 1731-szym z upoważnienia króla hiszpańskiego przybyło tu z wysp Kanaryjskich piętnaście rodzin, liczących zaledwo z 50 dusz. Nad małą rzeczką św. Antoniego założyli niewielką osadę. Wprawdzie już wiele lat przed ich osiedleniem się, bo w roku 1691-ym, był tu mały garnizon hiszpański, a jeszcze przed jego przybyciem w tych

1. Polecam czytelnikowi książkę "Chleb i Chimera" przez p. Giżyckiego, który kilka lat spędził wśród kowbojów w Wyoming i Colorado.

okolicach znajdowały się wioski indiańskie. Właściwa data założenia miasta San Antonio rozpoczyna się od tej małej gromadki hiszpańskich pionierów, którzy tu przybyli przed z górą dwustu laty. Możnaby jeszcze teraz znaleźć w mieście bardzo dużo rodzin, które swój ród wywodzą od tych pierwszych kolonistów, tak samo jak połowa naszych Jankiesów wywodzi swój ród od "pielgrzymów" którzy do Ameryki przypłynęli na małym okręciku "Mayflower" i wylądowali w roku 1620 w Plymouth, w okolicy Bostonu.

Sądząc po kilku bardzo starych, obszernych, o pewnej artystycznej wartości kościołach czyli "misjach" skupiała się tu działalność gorliwych, duchem apostolskim przejętych hiszpańskich — "padres" przeważnie zakonników franciszkańskich. W trzydziesto-milowej turze zwiedziliśmy kilka starych kościołów, zbudowanych po obu stronach rzeczki San Antonio. W obrębie miasta znajduje się "Mission Conception," mająca już ponad dwieście lat. W pobliżu dorównuje jej wiekiem kościół św. Jana — San Juan. Kilkanaście mil poza miastem znajduje się jeden z najpiękniejszych tutejszych kościołów misyjnych, San Jose (św. Józefa) noszący przydomek — "pięknego." Ojcowie Franciszkanie założyli go w roku 1720-ym. Przy kościele, opasanym grubym i wysokiem murem, zbudowano obszerne podwórza czy zajazdy, a do ścian grubych murów dobudowywano rzędy małych lepianek, niby cel zakonnych, w których mieszkali Indianie, a także służba klasztorna lub podróżni. W razie napadu ze strony Indian, okoliczna ludność zawsze tu znajdowała schronienie. Kościół ten już niemal całkowicie odrestaurowano, a jego szczególniejszą atrakcję stanowi ślicznie rzeźbione okno. Całkiem zrozumiałem że tutejsi nie omieszkają zapewnić gapia-turystę, że jest to "najpiękniejsze," rzeźbione okno w Ameryce. Taki sąd zawsze nadaje pewnego uroku, chociaż przyznać trzeba, że w Krakowie piękniejszego nie widziałem. Tu właśnie miałem pecha, bo dotąd bez zarzutu funkcjonujący "superikomat" odmówił posłuszeństwa. Na szczęście po powrocie z tury objazdowej, znalazłem majstra, w jednym z tutejszych składów który ten cenny aparat fotograficzny naprawił i odtąd podczas całej podróży funkcjonował bez zarzutu. Ale tego "przepięknego okna" nie odfotografowałem. W okolicy jest jeszcze jeden stary kościół, De la Espana, ale zdaje się najciekawszy i najlepiej odrestaurowany to kościół św. Józefa.

W samym centrum miasta, właściwie jego sercem, jest stary, historyczny zabytek, a kiedyś stary kościół misyjny, San Antonio de Valero, zbudowany w roku 1718-tym. Ponieważ przy kościele rosły topole, zwane "cottonwood," a po hiszpańsku alamo, więc też ów w hiszpańskim stylu zbudowany kościółek z szerokim dziedzińcem, opasany grubym i na jakie dziesięć stóp wysokim murem, otrzymał

nazwę "The Alamo." W roku 1824-tym Meksykanie wywalczyli swą niepodległość. Chwilowo tutejsi amerykańscy osadnicy przypuszczali że nastąpi nowa era jakiegoś spokojniejszego współżycia z nowymi panami. Jednakowoż wkrótce się przekonali, że Meksykanie nie byli lepszymi od potomków dawnych hiszpańskich konkwistadorów. W roku 1834-tym wybuchła rewolta i w bitwie pod San Antonio w roku 1835-tym poturbowano i wypędzono Meksykanów.

Ci jednak nie dali za wygraną i już na wiosnę 1836-go roku wódz meksykański, generał Santa Anna, na czele 4000 wojska wkroczył do Teksasu i posuwał się w głąb kraju. Na jego spotkanie z bardzo skromnymi siłami wyszedł pułkownik William B. Travis. Nie mogąc sprostać daleko silniejszemu najeźdźcy, cofał się aż do San Antonio. Mając zaledwo 182 żołnierzy silnie się zabarykadował w tym właśnie kościółku. Nadeszli Meksykanie i zażądali bezwarunkowego poddania się załogi. W tych sprawach tutejsi osadnicy mieli doświadczenie i wiedzieli, że od Meksykanów nie można się było spodziewać żadnej łaski. W poprzednich walkach w okolicy miasteczka Goliad Meksykanie w pień wycięli ekspedycję pułkownika Fanina, gdy ta się poddała, więc też nasi postanowili albo zwyciężyć albo zginąć i życie swe jak najdrożej sprzedać. Żona jednego z obrońców, której życie darowali Meksykanie, opowiadała, że komendant załogi, pułkownik Travis, w ogrodzeniu twierdzy nakreślił szablą linię na podłodze i rozkazał każdemu z żołnierzy, który był gotów życie swe oddać w obronie Teksasu, aby linię przekroczył i stanął w szeregu. Stanęli wszyscy bez wyjątku.

Generał Santa Anna miał swą kwaterę w katedrze, o kilkaset kroków od Alamo. Katedra jeszcze po dziś dzień istnieje i codziennie się w niej odprawiają nabożeństwa. Na wieży wywiesił czerwony sztandar na znak, że walka będzie bez pardonu. Przez czternaście dni mężnie walczyli obrońcy, odpierając zaciekłe ataki nieprzyjaciół. Setki Meksykanów padło od celnych strzałów z rozpaczą broniącej się załogi. Rozpaczliwy apel pułkownika Travisa o posiłki, z zapowiedzią że "nigdy się nie poddadzą ani nie cofną — zwycięstwo lub śmierć!" nie odniósł żadnych skutków, gdyż nie było komu go ratować. Zaledwie mały oddział przybył na pomoc, a zapewne widząc beznadziejne położenie, cofnął się.

Po czternastu dniach bezustannej walki, po wyczerpaniu amunicji, Meksykanie szturmem zajęli prowizoryczną twierdzę, a załogę w pień wycięli. Ciała obrońców a zapewne i własnych żołnierzy, których napewno padło daleko więcej niż tamtych, spalili na dużym stosie. Kronikarze głoszą, że "Termopile miały jednego żołnierza, który się uratował i smutną wiadomość przyniósł do Aten. Alamo zaś nie miało ani jednego." Wszyscy zginęli.

Między bohaterami mieli się odznaczyć: pułkownik Travis, pułkownik James Bowie, James Bonham i Dawid Crockett. Pomyśleć tylko, że jeden z tych, już nie pamiętam który, tu wyemigrował z Kentucky jedynie dlatego, że z żoną nie mógł wytrzymać, więc uciekł na teksaskie prerie, by "żyć w spokoju," a zakończył życie jako bohater. Ale hasło: "Remember the Alamo" stało się iskrą, która wszystkich zelektryzowała, złączyła i powołała do czynu. Za dwa miesiące, w bitwie pod San Jacinto, rozgromiono przeważające siły Meksykanów, a wódz i prezydent rzeczypospolitej Meksykańskiej, Santa Anna, dostał się do niewoli.

Z wielkim pietyzmem odrestaurowano tę krwawą kolebkę niepodległości Teksasu. Ten stary czworobok kościoła-twierdzy, przy głównym wejściu, o kolumnach i motywach hiszpańskich stał się jakoby Mekką, do której z nabożeństwem pospieszają nie tylko obywatele miasta i stanu, ale całego kraju. Patrząc na te skromne zabytki po bohaterach, na zardzewiałe karabiny i pistolety, uprzytomniamy sobie, co to znaczy — wolność i jaką to cenę trzeba nieraz za nią zapłacić!...

Tam, gdzie kiedyś lała się krew obrońców, teraz zielenią się piękne trawniki i rumienią klomby kwiatów. Tam, gdzie na stosie ofiarnym paliły się zwłoki bohaterów, teraz w lekkim powiewie ciepłego wietrzyku szumią szerokolistne palmy. Alamo — to symbol bohaterstwa i miłości ojczyzny!... To źródło, z którego czerpać będą natchnienia nie tylko obywatele tutejsi i tysiące żołnierzy i lotników tutejszych obozów wojskowych, ale pokolenia całe przyjdą do tego serca, by przy nim rozniecić miłość ku Ojczyźnie, albowiem — "Dulce at decorum est pro Patria mori." — "Piękną i chwalebną jest rzeczą umrzeć za Ojczyznę!..."

Przynajmniej niektóre z tutejszych parków miejskich zasługują na wzmiankę, a to z tego względu, że inżynierowie znakomicie zużytkowali stare, zaniedbane kamieniołomy i inne bezużyteczne, a poniekąd wstrętne wyrwy i doły. W zarzuconych kamieniołomach, przy odpowiednim użyciu kamieni, porobiono iście czarujące ogrody japońskie. Patrząc z wysokiej krawędzi przepaścistego jaru, widzisz przed sobą poprostu wymarzony ogród japoński, zdobny w małe stawy, pokryte kwitnącymi liliami wodnymi, rojącymi się od najrozmaitszych rybek sprowadzonych z Japonii. Przez miniaturowe kanały rzucono niewielkie, ale gustowne mostki japońskie, zbudowano małe domki, herbaciarnie, lampy, pagody, posadzono orientalne kwiaty i krzewy. Sądząc po licznych gościach, szczególnie dzieciach, przypuszczam, że ten "park japoński" należy do najpopularniejszych a zarazem najpiękniejszych w całym Teksasie.

Mają tu także bardzo bogaty, przytym świetnie urządzony park zoologiczny. Czuję odrazę do zwykłych ogrodów, gdy przez kraty oglądam krążące po cementowej podłodze okazy niedźwiedzi, lisów, wilków, czy innych zwierząt. Tu zaś, mając do dyspozycji naturalne jary i rozpadliska, tak to świetnie wykorzystano, że widzowi, a nawet niedźwiedziowi zdaje się, że on nie żyje w ogrodzeniu, ale tak jak u siebie w domu. Jamy tak sztucznie urządzono, tak je zadekowano drzewami, kamieniami i starymi kłodami, że jeden z niedźwiedzi nawet mi się zwierzył, że bracia jego nigdzie tak wygodnie nie mieszkają jak tutaj.

Ogród japoński

Jeszcze za czasów hiszpańskich San Antonio było kwaterą załogi wojskowej. Teraz zaś stało się jednym z głównych punktów zbiorowych naszej armii. Tu się znajduje kwatera ósmego korpusu, a zarazem trzeciej armii. Przypuszczam, że nie tylko łagodny klimat, ale także względy strategiczne spowodowały, że w tym miejscu urządzono tak obszerne kwatery wojskowe. Mogliby tu bez trudu pomieścić całą dywizję na stopie wojennej czyli jakieś 30,000 ludzi, boć jesteśmy niezbyt daleko od naszego sąsiada Meksyku, chociaż bardzo w to wątpię, abyśmy kiedykolwiek mieli z nim jakie poważne zatargi. W pobliżu są także cztery duże miasta portowe: Beaumont, Houston, Corpus Christi i Galveston. Z łatwością więc możnaby stąd wysłać silne ekspedycje czy to na Kubę, czy też na obronę Kanału Panamskiego lub ewentualnie w krótkim czasie przerzucić to nad ocean Spo-

kojny. Na sam szpital wojskowy wydano blisko półtora miliona dolarów, a o barakach i innych zabudowaniach nawet nie wspominam. Rząd zakupił tu ogromne tereny, gdyż blisko 30 tysięcy akrów do ćwiczeń. Przypuszczam, że wartość całej rezerwacji, Fort Sam Houston, przedstawia dziesiątki milionów dolarów.

Może od obozów wojskowych dla piechoty, kawalerii i artylerii są daleko ciekawsze, a poniekąd kosztowniejsze tutejsze pola i szkoły lotnicze, pono największe nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale na całym świecie. Czym jest West Point dla armii amerykańskiej, a Annapolis dla floty, tym dla lotnictwa jest Randolph i Kelly Field. Tylko elita lotnicza przychodzi tu na kursa. Wymagania, o ile się mogłem dowiedzieć, są bardzo wielkie, boć nie tylko trzeba mieć pierwszorzędne świadectwa ze szkół wyższych, ale przytym niepospolite zdolności i talenty niezbędne dla dobrego pilota. Nic więc dziwnego, że bardzo wielu już i tak wyjątkowo zdolnych i pilnych uczniów przepada tu w egzaminach i próbach, a biorą tylko samą "śmietankę." Kursa obejmują stronę techniczną, gdyż każdy musi znać konstrukcję motorów, przytym matematykę, astronomię, żeglugę i czort wie jeszcze jakie gałęzie, które napozór zdawałoby się, że są zbyteczne, a jednak uważane tutaj za niezbędne. Prócz tego jest strona praktyczna: lot solo, lot trójkami, szóstkami i całymi ... stadami. Latają w nocy, latają we dnie, latają "o ciemku" czyli szczelnie zamkną mu budę i tylko orientuje się według instrumentów, a wiecie, co to za przyjemność, gdy po macku po chałupie łazisz i łbem "wyrżniesz" o drzwi, czy też się przewalisz o jaki mebel. Cóż tu dopiero latać po świecie po ciemku. Taka tu jednak dyscyplina, taki porządek, że bardzo rzadko zdarzają się nieszczęśliwe wypadki. Twierdzą, że wyszkolenie jednego lotnika kosztuje nasz rząd około trzydziestu tysięcy dolarów, ale taki, to już spec. Gdy przyjdzie jednak do wojny, to może nie będzie tutejszy wychowanek lepszy od pierwszego lepszego rekruta. Jakby to dobrze było, gdyby Polska miała tu chociaż kilku uczniów, aby się zaznajomili z naszymi metodami i samolotami.

ROZDZIAŁ XVI.

## Osady polskie - Panna Maria - Wrażenia - Poglądy Konsula.

Pojechaliśmy dużym autobusem, wraz z innymi turystami, zwiedzać miasto, okoliczne kościoły misyjne, parki i koszary wojskowe. W tym czasie mechanicy naoliwili i przeglądnęli samochód, który za naszym powrotem do miasta był już gotów i mogliśmy ruszyć w dalszą drogę. Postanowiliśmy z ks. Wojcieszczukiem odbyć "kanoniczną wizytę" po okolicznych polskich osiedlach. Już poprzednio telefonem skomunikowałem się z tutejszym polskim proboszczem, ks. prałatem Tomaszem Moczygębą, synem jednego z pierwszych pionerów polskich w parafii Panny Marii.

Po południu, po dłuższej krętaninie, gdyż nie znaliśmy dokładnie rozkładu miasta, znaleźliśmy się już nie powiem — że w "polskiej dzielnicy", ale stanowczo w obconarodowej, w której znajduje się polska parafia św. Michała. Tu od wielu lat pracuje niestrudzony duszpasterz, ks. prałat T. Moczygęba. Dowiedziawszy się o celu naszej podróży, przyjął nas bardzo mile, opowiadał o swej młodości, gdyż jest jednym z pierwszych, którzy się urodzili w polskiej osadzie Panna Maria. Wiedział więc o trudach, jakie ponosili pierwsi osadnicy, o Indianach i kowbojach, którzy nie byli lepsi od rzekomo dzikich Komanszów i Apaszów. Sądząc po masywnej budowie ks. Prałata i jego czerstwym wyglądzie, chociaż sześćdziesiątka już mu dawno minęła, dochodzę do wniosku, że silnymi, wprost żelaznymi ludźmi musieli być ci pierwsi nasi osadnicy. Tutejszy proboszcz jest bratankiem założyciela pierwszej polskiej osady, a nawet bardzo doń podobny. Chociaż tu urodzony i w zakładach amerykańskich wychowany, jednakowoż mówi dobrze po polsku i tylko czasami nieco zatrąca tak miłą "ślązocką godką".

Jako młody kapłan pracował w różnych osiedlach polskich, a była to trudna praca. Do daleko po stepach rozrzuconych osiedli trzeba było odbywać długie podróże konno, nie było jeszcze wtenczas dróg ani kolei. Niekiedy wypadło sypiać pod gołym niebem, przymierać głodem. Zresztą, tak było na początku we wszystkich pionierskich osadach.

Polska osada w San Antonio należy do najstarszych, chociaż liczebnie jest jedną z mniejszych. W roku 1876-tym jeden z pierw-

szych tutejszych proboszczów, ś.p. ks. S. Wojciechowski, miał pod swym nadzorem zaledwo 33 polskie rodziny. Przyczyną, dla której tutejsza parafia nie rozwijała się szybko, był brak szkoły polskiej. Dopiero w roku 1880-tym siostry ze zgromadzenia Niepokalanego Poczęcia, założonego w Panna Maria, przybyły tu i otworzyły małą szkółkę. Po upadku zgromadzenia "Niebieskich Sióstr," tak je bowiem dla barwy ich habitów nazywano, dalszą pracę objęły siostry Urszulanki, może następczynie tych, co przed stu laty przybyły do Nowego Orleanu. Niedawno poza zwykłą ośmioklasową szkołą, Siostry ze zgromadzenia Opatrzności Boskiej, które teraz szkołę prowadzą, rozpoczęły wyższe kursa i tego właśnie roku miały kilku pierwszych graduantów z tego oddziału. Wprawdzie nie wszystkie mówią po polsku, a więc i duch polski ginie, ale zawsze robią co mogą.

Energiczny i niespożyty ks. proboszcz w roku 1922-im zburzył stary kościół, a na jego miejsce zbudował z kremowej cegły bardzo piękną murowaną świątynię o dwuch wieżach. Gmach z urządzeniem t. j. ołtarzami, ławkami, dzwonami, prądem elektrycznym poruszanym organem itd., kosztuje ponad siedmdziesiąt tysięcy dolarów. Prócz kościoła jest tu także szkoła murowana, dom sióstr, wygodna plebania, czyli kompletne, pierwszorzędne zabudowania parafialne. Mając to na względzie, że i dziś jeszcze należy tu zaledwo 65 rodzin i kilkadziesiąt wdów, widzimy, że zabudowania kościelne aż zbyt wymownie świadczą o niestrudzonej pracy i ofiarności nietylko samego proboszcza, ale jego owczarni. Częściowo tłumaczy to fakt, że niejeden z tutejszych parafian dorobił się poważnej fortuny i hojniejsze łożył ofiary. Majątek takiego p. Edwarda Kotuli obliczają na trzy kroć sto tysięcy dolarów. Tylko nie zawsze ci najbogatsi są najofiarniejsi, gdy przyjdzie do budowy czy utrzymania kościoła. Wiem dobrze, że ks. proboszcz wszystkie swe życiowe oszczędności włożył w zakupno wspaniałego organu i budowę kościoła. Boć to jeden z tych, co wielką gorliwością pałali dla chwały bożej, o którym jako o tych prawdziwych pionierach — kapłanach powiedzieć można: "Zelus Domus Dei comedit me."

Już na wystawie w Dallas z wielkim zaciekawieniem czytałem w starannych wypracowaniach polskich dzieci szkolnych nietylko o parafii św. Michała i jej zacnym duszpasterzu, ale także o początkach i trudach, jakie przechodzili ich dziadkowie, a może pradziadkowie, gdy przybyli w te dzikie pustkowia. W parafii bardzo składnie pracują kluby dramatyczne i atletyczne, czego możnaby im pozazdrościć. Niektórzy z tutejszych obywateli wybili się na ważniejsze stanowiska polityczne. Poza p. Kotulą p. W. Dobrowolski prowadzi świetny interes nieruchomości czyli "real estate," p. August Zizik jest szeroko znanym pogrzebowym, p. Bernard Kiołbassa ma browar

i jest komisarzem zdrowia miasta San Antonio. Nie wolno ci tu bracie w brudach mieszkać lub chorować; na to trzeba specjalnego pozwolenia od p. Kiołbassy.

Wśród pierwszych pionierów przybyła do Ameryki niezwykła rodzina Kiołbassów. Ojciec rodziny ś. p. Stanisław, pracował w pruskim Reichstagu jako poseł. Ponieważ mu się pruskie porządki nie podobały, nie mógł ścierpieć prześladowania Polaków i katolików, więc wraz z żoną i sześciorgiem dzieci wyemigrował do Ameryki, a względnie do Panny Marii. Klimat mu tam nie służył, więc poszedł w inne okolice szukać szczęścia, nareszcie osiadł na stałe w San Antonio. Jeden z jego synów, Bernard, człowiek wykształcony, władający kilkoma językami, jest komisarzem zdrowia. Może nawet lepiej jest znany brat jego ś. p. Piotr Kiołbassa. Wypada więc chociażby tylko mimochodem o nim wspomnieć, a to tym bardziej, że go widziałem będąc młodziutkim studencikiem, w drugiej klasie. Będąc u szczytu swej kariery, p. Kiołbassa, skarbnik miasta Chicago, lider tamtejszej Polonii i jeden z najwpływowszych polskich obywateli na wychodztwie przybył do Seminarium Polskiego w Detroit. Bardzo dobrze sobie przypominam, że był to człowiek co najmniej sześć stóp wysoki, mógł ważyć koło trzysta funtów, przemówił do studentów, zachęcając nas do nauki i pracy. Nosił bródkę, a mówił także z akcentem śląskim.

Młody Piotr Kiołbassa, jak zresztą wielu innych synów naszych pionierów, został powołany do wojska, do armii południowców, gdyż Teksas walczył po stronie konfederatów. Walczył w Louisianie i Arkansas. Dostał się do niewoli pod Little Rock, a że jego przekonania, jak wielu innych polskich osadników, były przeciwko niewolnictwu, więc zgłosił się na ochotnika do armii unijnej. Brał udział w licznych bitwach i potyczkach. Z prostego żołnierza szybko awansował na sierżanta, podporucznika, kapitana, nareszcie majora. Przy końcu wojny powołano go do Chicago, gdzie w bardzo krótkim czasie zyskał sobie potężne wpływy, nietylko wśród licznie napływającej Polonii, ale także wśród rodowitych Amerykanów. Brał czynny udział w polityce miejskiej i stanowej, był radnym miasta (aldermanem) następnie posłem do legislatury stanowej, wreszcie oddano mu urząd skarbnika miasta Chicago, który to urząd sprawował sumiennie i rzetelnie przez lat kilka. Powiadają, że gdy objął nadzór nad skarbem, dostarczył bond, czyli poręczenie, na niesłychaną wtenczas sumę piętnastu milionów dolarów. Był to niepospolity i nieskazitelnego charakteru człowiek. W początkach naszej emigracji mieliśmy tu dużo ludzi światłych, ludzi prawych, ludzi czynnych, którzy wycisnęli swe piętno na tych pierwszych kartach naszego bytu i naszej walki o chleb i ideały na ziemi Waszyngtona. Dawno odeszli z areny życiowej wraz z dzielnymi pionierami. Pozostała po nich luka, której teraźniejsi

wprost miniaturowi liderzy nigdy nie zapełnią, bo nie dorośli i zapewne nie dorosną do uczciwości, energii, ducha katolickiego i polskiego naszych pionierów.

Ks. Prałat i siostry Opatrzności Boskiej doręczyły mi dużo broszurek, kalendarzy, pamiątek, obrazków i innych źródłowych dokumentów, z których mogłem dowolnie korzystać. Ks. prałat Moczygęba tym więcej mnie zaciekawiał, bo jako bardzo mały chłopczyna, w Hilliards, Mich. — w mych rodzinnych okolicach — doskonale pamiętam solidną postawę już wtenczas wiekiem steranego Franciszkanina, ks. Leopolda Moczygęby, założyciela pierwszej polskiej osady w Stanach Zjednoczonych, a stryja tutejszego proboszcza i prałata. Zdaje się, że ród księży Moczygębów tak prędko nie wygaśnie, bo prócz prałata jest tu już młody trzeci-pokoleniowiec, ks. Moczygęba, proboszcz w jednej z okolicznych parafii polskich. Po dłuższej, a miłej pogawędce opuściliśmy gościnne progi, a idąc za danymi nam wskazówkami, wkrótce wyjechaliśmy na szeroką drogę, wiodącą do najbliższej, w sąsiedztwie położonej osady polskiej, pod wezwaniem św. Jadwigi.

W naszej "kanonicznej" czy dekanalnej wizycie po tutejszych polskich osadach i parafiach mieliśmy pecha. Dowiedzieliśmy się już po niewczasie, że w tym właśnie tygodniu odbywały się rekolekcje dla księży i że niemal wszyscy polscy proboszczowie byli na rekolekcjach. Mogliśmy wprawdzie zaryzykować i jechać do zakładu, gdzie się rekolekcje odbywały i tam chociażby na chwilę porozmawiać z księżmi, których pragnąłem poznać, ale ryzyko było za duże. A nuże by się biskup dowiedział, że takich dwóch powsinogów, wagabundów wkradło się do zakładu, by duchowieństwu w jego pobożnych rozmyślaniach przeszkadzać?!... Toć mogliby nas momentalnie wylać, co oczywiście byłoby najlepiej. Gorzej byłoby, gdyby nas zatrzymali i kazali chociażby dziesięciodniowe rekolekcje odprawić, a wiadomo, że tu gorąco, a czasem to taki konferencjonista wierci człowiekowi dziury w brzuchu, że i wytrzymać nie można, a tu bez pozwolenia i ważnej przyczyny konferencyj także opuścić nie wolno. Więc też z dwojga złego wybraliśmy to najlepsze i nie pojechaliśmy odwiedzić w niewoli duchownej będących kapłanów. Zato wpadliśmy tylko na chwilkę zobaczyć ich kościoły i parafie. Przyznam się, że ani ja ani towarzysz podróży, a proboszcz polskiej parafii w Suffield, Conn., nie pozazdrościliśmy ani jednemu z tutejszych proboszczów ich parafii. Sto razy wolimy nasze w Connecticut.

Według podanych nam wskazówek przez ks. prałata Moczygębę, jakie 16-cie mil za miastem San Antonio skręciliśmy na jedną z bocznych, polnych dróg do Martinez. Tak się bowiem początkowo nazywała tutejsza osada polska, biorąc meksykańską nazwę od małej

tędy płynącej rzeczki. Gdy się tu jednak nasi już w większej liczbie usadowili, przechrzcili starą kolonię na św. Jadwigę, księżniczkę śląską. W małym, przydrożnym sklepiku zapytaliśmy się, czy tędy droga do św. Jadwigi? Zapewniono nas, że tak. Więc też bez dalszych ceregieli jechaliśmy w głąb kraju. Może za jaki kwadrans, ponad zielenią lasu i krzewów mesquitu zajaśniała niby jakiś przepiękny drogowskaz strzelista, a w promieniach słońca błyszcząca wieża kościoła, a na niej z daleka widniał duży, pozłacany krzyż. Za kilkanaście minut byliśmy na miejscu.

Kościół polski w "Jadwigowie"

Własność kościelna jest ogrodzona płotem; przed kościołem i plebanią drzewa wykarczowano, a nawet zauważyłem, jak na sezon posuchy, trawniki zielone i klomby kwiatów. Między plebanią a kościołem stała grupa Męki Pańskiej, przy której, przypuszczam, niejedna pobożna parafianka w niedzielę i święta na klęczkach modliła się do "Pana Jezuska." Kościół murowany o architekturze gotyckiej, tak na zewnątrz jak i na wewnątrz schludnie utrzymany.

Stare zapiski podają, że pierwszym polskim osadnikiem w tych okolicach był Polak Jan Demer, powstaniec z roku 1830-go. Przybył on tu w roku 1835-tym i tu się na stałe osiedlił; pono zmienił nazwisko na Dorstyn i ożenił się z Amerykanką. Znali go dobrze pierwsi polscy osadnicy, którzy tu przybyli w roku 1845-tym. Był to pono człowiek spokojny, a zawsze chętny do udzielania pomocy i pośrednictwa w tranzakcjach Polaków z tutejszymi amerykańskimi osadnikami.

Z pierwszej gromady, która przybyła do Teksasu, większość osiedliła się w Pannie Marii, a zaledwo trzynaście rodzin tu się przywlekło, by stworzyć nową, a tak dziś prosperującą polską placówkę.

Dwa lata po przybyciu pierwszych osadników zabrano się do budowy małego, drewnianego kościółka. Na miejscu obrabiano duże dębowe bale, a tutejsi Amerykanie z podziwem patrzeli na krzepkich "pieronów ślązockich," jak dźwigali olbrzymie belki, byle tylko jak najprędzej mieć własny kościółek, boć w niedzielę tęskno im było bez nabożeństwa, bez tych pieśni polskich, które w kraju w murowanych kościołach śpiewali.

Nasi koloniści rozparcelowali między siebie sekcję roli nad rzeczką Martinez, następnie posunęli się nad brzegi rzeczki Cibolo. Właściwie pierwsze polskie osady w Teksas powstały w widłach dwóch rzeczek: Cibolo i San Antonio. Rzeczki te podczas wylewów przeistaczały się w bardzo duże rzeki, powodując wielkie straty w dobytku naszych biedaków. Jak się zdaje pierwszą z tych rzek przechrzcili na — "cybulę," którą tu teraz w wielkiej ilości hodują. Za akier ziemi płacono w tej okolicy wtenczas około dwa dolary. Zabrali się też do uprawy kukurydzy, bo o bawełnie nikt tu wtenczas jeszcze nie wiedział i tego się dopiero później nauczyli od murzynów, którzy tu się osiedlili po wojnie domowej. Poza tym hodowali bydło, gdyż paszy i pastwisk w tych leśnych zagonach było pod dostatkiem.

Pierwszym z tutejszych duszpasterzy był ks. Rosadowski, a jego następcą ks. Julian Przysiecki. Zamieszkiwał przy parafii Panny Marii, może jakie 30 mil odległej od Jadwigowa. Dnia 25-go listopada 1863-roku, jadąc konno do tej misyjki, tak nieszczęśliwie upadł, że na miejscu się zabił. Tu też jest pochowany.

Ponieważ "Jadwigowo" jest blisko głównej drogi, wiodącej z San Antonio do zatoki Meksykańskiej, przytym w pobliżu miasta, więc też pod względem ekonomicznym tutejsi Polacy stoją daleko wyżej od innych osiedli położonych bardziej w głębi kraju, dalej od kolei i dogodnych dróg. Z wymianą i sprzedażą towarów jest także wymiana myśli, a czasem stare polskie zwyczaje tej osady ustępują coraz więcej naleciałościom amerykanizacyjnym. Miejscową szkołę parafialną początkowo prowadziły zakonnice ze zgromadzenia Sióstr Niepokalanego Poczęcia, założonego w Panna Maria. Tu nawet później przeprowadziły się i przez pewien czas miały główną kwaterę. Po rozwiązaniu tego pierwszego polskiego zgromadzenia zakonnego w Ameryce dalszą pracę oświatową prowadziły Siostry Miłosierdzia, a w roku 1935-tym przybyły tu dobrze nam znane Siostry Felicjanki.

Ponieważ ks. Proboszcz był na rekolekcjach, więc też po zrobieniu kilku zdjęć i po zwiedzeniu kościoła wróciliśmy na główną drogę, zatrzymując się na noc w małym miasteczku Stockton, by następnego dnia zwiedzić dalsze osady polskie.

Od Stockton do Karnes City wiedzie polna droga, miejscami nawet dosyć wyboista i niewygodna. Na tej to właśnie drodze znajdują się trzy polskie osady: Częstochowa, Kościuszko i Panna Maria. Więcej na południe w Yorktown, jak również w Falls City, Poth i innych okolicznych miasteczkach są także polskie kolonie i parafie. Uważałem za zbyteczne wszystkie odwiedzić, a to tymbardziej, że księży proboszczów nie było w domu. Rano, po śniadaniu ruszyliśmy w dalszy objazd po tych najstarszych polskich osiedlach, boć wszystkie

trzy stanowią jakoby jedną całość, założone przez pierwszych emigrantów, którzy tu przybyli ze Śląska w 1854-tym roku.

Pierwszą z rzędu osadą, do której dotarliśmy, była Częstochowa, założona w roku 1873-im. Około czterdzieści rodzin polskich z Panny Marii tu się skupiło. Najprzód założyli małą szkółkę, w której od czasu do czasu odprawiały się nabożeństwa. Gdy w Pannie Marii zabrano się do budowy nowego kościoła, okoliczni osadnicy zamiast tamtym pomagać, postanowili swój własny kościół zbudować. Były coprawda niesnaski, kłótnie i nieporozumienia, zresztą to już u nas Polaków w zwyczaju, ale koniec końcem zbudowano kościół, gdyż trudno było osadnikom rozrzuconym mile całe po preriach, bez dróg,

Polna droga w polskich okolicach

a częstokroć bez koni, na piechotę iść ośm czy więcej mil do kościoła. Chcąc się na Mszę św. dostać, trzeba było wstać rychło, wlec się godzinami do kościoła, a dopiero na wieczór wrócić. To nie jak teraz, że wsiędzie się do auta i za kwadrans jest się już w kościele. Długie lata pracował tu bardzo ruchliwy i energiczny ks. Przyborowski, a po dłuższej przerwie znów tu wrócił na probostwo. Piękny murowany kościół, dwu piętrowa i dosyć obszerna plebania, szkoła pod dyrekcją Sióstr Felicjanek, w której przeszło 150 dzieci pobiera naukę, są już poważnym dorobkiem tutejszej Polonii. Oczywiście tu, jak w każdej parafii są towarzystwa kościelne, a także grupy naszych wielkich organizacyj narodowych. Żałowałem mocno, że tak się okoliczności złożyły, że tutejszy ks. proboszcz, znany ze swej gościnności i pracy narodowej, był w tym czasie na rekolekcjach. Jeden z polskich obywateli tutejszych zbudował t. zw. "cotton gin' czyli fabrykę do czesania i pakowania bawełny. Kilku zaś ma dosyć skromne sklepy, poza tym

nic ciekawego na tym "wygnaniowie" nie zauważyliśmy. Więc po krótkiej inspekcji, znów do auta i wio w dalszą drogę do Kościuszkowa.

Jadąc polną drogą spotkaliśmy młodego gospodarza, który pługiem zaprzężonym w trzy konie zaorywał pole cebuli. Pytając się o drogę, wdaliśmy się z nim w dłuższą pogawędkę. Okazało się, że to nasz polski farmer i nazywa się Wietrek. Tu już urodzony i wychowany, ale jak nas zapewniał: "my się wszyscy silnie trzymomy polskiej mowy." Takie wypowiedzenie niezmiernie nas ucieszyło, a to tymbardziej, że to już drugie i trzecie pokolenie tu zrodzone i wychowane. Jego dziadek należał do pierwszych pionierów, którzy tu przybyli ze Śląska.

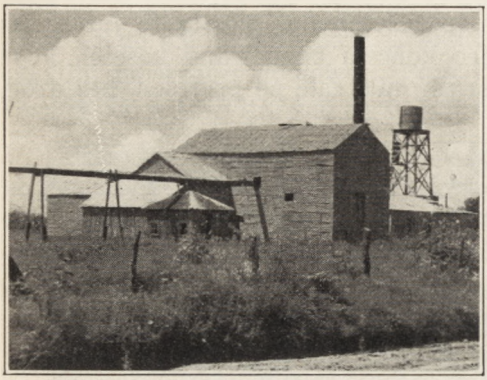

"Cotton gin" czyli — "czesalnia bawełny"

Patrząc na to piękne, równe, czarne dziesięcioakrowe pole cebuli, którą niestety, zaorywał, a to przecież, najlepsza, najsmaczniejsza cebula na świecie, pytałem: — czemu zaoruje zamiast ją sprzedać? Przecież tam były setki korcy dużej, białej, zdrowej jak rydz, a nadzwyczaj smacznej cebuli?! Toć u nas takie pole stanowiłoby majątek. Nasi cebularze w Suffield, w Deerfield, Hadfield i innych okolicach nad rzeką Connecticut wprost nie potrafią wyhodować takiej cebuli. Tu właśnie hodują słynną, niemal że bezwonną, a smaczną "bermudzką" cebulę. Na moje zapytanie powiada nam p. Wietrek, że "teraz nic za cebulę nie płacą;" nie można dostać nawet 10 centów za korzec, więc też nie opłaci się jej wybierać i dlatego zaoruje. Widziałem więc tę tragedię naszego rolnika, a jak tu mówimy — "farmera." Zorał pole, uprawił ziemię, starannie posiał długie rzędy cebuli, trzeba to było plewić, trzeba radlić, nareszcie gdy przyjdą żniwa, to mu się nawet nie opłaciło plonu zbierać. Jego praca poszła na marne, bo na rynku nie było popytu, a wszystko w dodatku niemożliwie tanie. Zapłać bracie drogie podatki, zapłać drogo za ziemię, zapłać jeszcze drożej za nawozy, za maszyny, nareszcie, gdy ci ziemia wydała obfity plon, zaorz to wszystko, bo ci nawet dziesięciu centów nie dadzą za korzec. W Connecticut ta sama cebula kosztuje od piętnastu do dwudziestu centów za funt. Czasem za jedną cebulę płaci się dziesięć centów, więc wedle naszej detalicznej kalkulacji ten nieborak zaorywał tysiące dolarów.

Widać, że tu i ziemie dobre i uprawa pierwszorzędna, gdyż napotykaliśmy w tych okolicach najpiękniejsze pola bawełny. Zaraz na przeciwnej stronie drogi było duże pole bawełny. Już zaczynała kwitnąć. Zaprowadził nas p. Wietrek na pole, pokazywał kwiecie objaśniał metody sadzenia, a także pokazywał nam pączki, niby drobnym śrutem podziurawione, jak on mówił przez "raczki," małe robaki, które po angielsku nazywają "boll weevil." Nie wszystkich z tutejszych obywateli stać na to, aby kupić niezbędną truciznę, więc też po mozolnej pracy, po orce, sadzeniu, radleniu, otrzymują nieraz tylko połowę zbioru, gdyż drugą połowę zniszczyło robactwo. Z takimi to trudnościami jeszcze teraz walczy polski kolonista w Teksasie. Czasem panują posuchy, to znów wylewy niszczą zbiory; trzeba wciąż rudować chwasty, meskity i kaktusy, które się tu plenią jak nieszczęście. Nieraz klimat i malaria niszczyły ich zdrowie, i tak wciąż ten człowiek z biedą walczył, a niejeden po wielu latach jeszcze w biedzie siedzi, mimo bezustannej a mozolnej pracy.

Mogą wszyscy urządzać "siadane czy okupacyjne strejki," tylko rolnik nie może sobie pozwolić na godzinę wypoczynku. Od rana do nocy pracuje, niby ten wół w kieracie. Czasem los da mu dobre zbiory i jaki taki zarobek, a czasem burze zniszczą zasiewy, lub też pozbawiają go zarobku kryzysy ekonomiczne, którym on nic nie winien. Widziałem tu, jak polski rolnik zaorywał pole najpiękniejszej w świecie cebuli. Kilkanaście lat temu, aż hen w Północnej Dakocie widziałem w polskiej osadzie, jak polski rolnik, po gradobiciu, wyjechał z pługiem na pole, na którym przed paru godzinami złocił się bogaty łan pszenicy. Nic mu nie pozostało, jak tylko puste kłosy i gradem zbita słoma. Zamiast wyjechać na pole z maszyną do koszenia, wyciągnął on w pole z pługiem, by swą całoroczną pracę ... zaorać. Aż nadto znam los polskiego rolnika, boć na roli się wychowałem i wiem, ile to trudu, ile mozołu, ile potu trzeba wylać, ile sił stargać, by coś wyhodować i to nawet w najlepszych warunkach, przy najlepszych maszynach, nasionach i gospodarce. Ale cóż robić? Żyjemy tą nadzieją, że następny rok będzie lepszy, pomyślniejszy...

Pan Wietrek w polu bawełny

Skończyła się nasza "wizytacja" Częstochowy i Jadwigowa. Ostatnia i najciekawsza osada, gdy tam dojedziemy kiepskimi polnymi drogami, będzie — Panna Maria.

Parafia pod wezwaniem św. Anny, w miejscowości Kościuszko, jest stosunkowo daleko młodsza od poprzednich, boć dopiero założona w roku 1882-im. Rezultat ofiarności i pracy tutejszych obywateli przedstawia się mniej więcej w tym rozkładzie: schludny, drewniany kościółek otoczony szpalerem młodych sosen, posadzonych ręką przedwcześnie zmarłego, a dotąd mile wspominanego ś. p. ks. Teodora Jarona. Sądząc po troskliwości, z jaką upiększał posiadłość parafialną drzewami i kwiatami, musiał to być zacny i gorliwy kapłan. Poza kościołem jest tu jeszcze szkoła i hala, a także nowa, z komfortem urządzona plebania. Obecny proboszcz, ks. B. J. Kamiński, wychowanek polskiej osady w Brenham, gdzieśmy to niedawno byli na jubileuszu proboszcza, jak można wnioskować po zabudowaniach kościelnych pracuje gorliwie. Powiększył kościół, zbudował plebanię, a także w kilku okolicznych osadach prowadzi szkółki i podtrzymuje, jak może, ducha polskiego i katolickiego. On jeden tylko był w domu i dlatego chociaż małą chwilkę mogliśmy z nim porozmawiać.

W roku 1930 w tej parafii odprawił swe prymicje ks. Edward Dworaczyk, obecny proboszcz w Panna Maria. Chociaż go osobiście nie spotkałem, jestem mu jednak niezmiernie wdzięczny za bardzo poczytną, starannie i źródłowo opracowaną książkę, wprawdzie po angielsku napisaną p. t. "The First Polish Colonies of America in Texas." Pisząc o tych osadach opieram się na tej źródłowej, starannie opracowanej, a także ilustrowanej pracy młodego księdza, potomka tutejszych kolonistów i wychowanka miejscowej parafii. Dowiedziałem się podczas pobytu w Teksas, że przygotowywał wtenczas swą pracę do druku, więc też czymprędzej zgłosiłem się po nią, posyłając mu za jego książkę mój dwutomowy "Samochód." Mam nadzieję że go przeczytał z tym samym zainteresowaniem i pożytkiem, z jakim ja jego pracę czytałem o polskich osadach w Teksasie. Z okazji stulecia niepodległości stanu Teksas oddał swą książką niepospolitą usługę sprawie polskiej. Mam nadzieję, że młody kapłan, mając dużo czasu i "spokoju," jakiego mu mogą pozazdrościć księża pracujący w parafiach miejskich, nie rzuci pióra, ale dalej będzie nim dla sprawy polskiej pracował, rozsiewając w języku angielskim tak niezbędne wiadomości o Polsce i o Polakach.

W grudniu 1854-go roku do przystani w Galveston zawinął po dziewięcio-tygodniowej podróży okręt wiozący pierwszy transport polskich osadników ze Śląska. Niezwykły to musiał być widok dla tutejszych obywateli, gdy z pokładu okrętu, obładowani bagażami, tłumokami, pierzynami, sprzętami domowymi zaczęli schodzić pomostem ci dziwni emigranci. Obywatele galwestońscy nigdy przedtym nie widzieli takich strojów ani też nie słyszeli tak dla nich dziwnie brzmiącej i całkiem niezrozumiałej mowy.

Niepospolici to byli ludzie. Mężczyźni a nawet chłopcy w butach skórzanych, w grubych jupach, w okrągłych czarnych filcowych kapeluszach. Kobiety zaś były ubrane w bufiaste, stosunkowo krótkie spódnice, w wełniane ciasne staniki, w fartuchach pasiastych, własnej przędzy, z barwnymi chustkami na głowie. Na ogół byli to ludzie silni, dużego wzrostu, zahartowani w pracy i trudach. Ponieważ żyli zdala od morza, więc też dziewięciotygodniowa podróż niejednego strasznie znękała, zwłaszcza że wygód i udogodnień na ówczesnych okrętach nie było, przytym liche potrawy, ścisk, niesanitarne warunki, burze na morzu wielu z podróżnych rzuciły na dłuższy czas na łoże boleści. Kilku nawet zmarło. Tych pochowano w głębiach oceanu, a taki tragiczny pogrzeb niejednemu głęboko się zaryl w pamięci. Ale i te trudy i niewygody znieśli z iście polskim stoicyzmem, gdyż nadzieja — lepszego jutra podtrzymywała ducha. Jechali przecież do Teksasu, olbrzymiego kraju, pono większego od całych Niemiec. Klimat był tam ciepły, zimy bardzo lekkie, śniegów prawie że nie było, zato ziemia urodzajna, pono nawet rosły pomarańcze i inne owoce, których na Śląsku nie znali i nie widzieli. Lud nasz zawsze łaknął ziemi, całym sercem ją kochał, do niej przyrósł, chociażby to tylko był mały ogródeczek, tak przez nich umiłowany. Tu przecież były dziewicze pola. Za darmochę mogli posiąść niemal setki morgów, wprost marzyli o folwarkach i majątkach, o jakich im nawet śnić nie było wolno na Śląsku. Że trzeba będzie pracować, o tym wiedzieli dobrze, że trzeba będzie się twardymi pazurami wdzierać w te prerie pokryte mesquitem i kaktusem także wiedzieli. Pisał im o tym ich krajan, znajomy, w dodatku ksiądz, do którego mieli zaufanie. Toć wyraźnie im polecił, by wszystko sprzedali, spieniężyli i wraz z rodzinami przybyli do Teksasu, gdzie miliony akrów urodzajnej ziemi tylko czekało na pług i ziarno. Przecież w okolicach Braunfels prosperowały kolonie niemieckie, a jeżeli dobrze było Niemcom, nie będzie źle Polakom!

Nikt ich tu nie będzie prześladował. Nikt im nie odbierze języka, tej ich drogiej "ślązockiej gotki." Nikt nie zakaże śpiewać polskich pieśni, tych "Godzinek," tych "Gorzkich Żali," tych procesyj, tych pieśni kościelnych!... Nie sięgnie tu pruski kulturkampf, nikt ich stąd nie wyrwie, gdy w bezbrzeżne stepy zapuszczą narodowe, katolickie korzenie... Ileż to planów snuli podczas ciężkiej, żmudnej, burzliwej podróży?!... Przez pewien czas płynęli po ciepłych wodach zatoki Meksykańskiej, płynęli golfsztromem, gdyż nawet w morzu były ciepłe strumienie wody tak dla nich dziwne, niezrozumiałe, niepojęte. Wieczorami myślą i sercem wracali do rodzinnej strzechy... do tego kościółka, który teraz już tak od nich daleko, którego zapewne nigdy więcej nie zobaczą... Na wspomnienia te, jako u stęsknionych dzieci, z serca, niby czarna posoka wypływała beznadziejna, wprost

dziecinna tęsknota, a z oczu płynęły łzy smutku. Tylko w modlitwie i w tej pieśni nabożnej szukali ukojenia. Gdy nadchodziła niedziela czy jakieś święto, gromadnie się zbierali, by wspólnie odmówić różaniec, zaśpiewać pieśni nabożne lub by posłuchać, gdy któryś ze starszych coś im w książce od nabożeństwa przeczytał, a czego ze skruchą wielką i z napięciem słuchali.

Po dziewięciu tygodniach na morzu już niemal są u celu. Toć to już Teksas. Teraz będzie łatwiej. Do San Antonio już nie daleko. Przecież za parę tygodni tam zajdą. Czeka na nich ich rodak, ich znajomy, ich wychowanek, a teraz misjonarz, ks. Leopold Moczygęba. Może już tam coś dla nich przygotował, może będą jakie szałasy, jakie domy w których się schronią. Szkoda, że nie przybył do Galveston, by ich poprowadzić do tej — "ziemi obiecanej." Ale zapewne mieli wskazówki, dokąd iść, by się na miejsce przeznaczenia dostać.

Ruchliwsi rozglądnęli się po małej mieścinie za jakimiś furmankami, wozami, gdyż takiego sprzętu ze sobą nie mieli. Nic tu nie było. Zaledwo mogli znaleźć i wynająć czy też kupić kilkanaście dwukołowych, meksykańskich wozów zaprzągniętych we woły. Inni na taczkach czy mniejszych wózkach składali swój dobytek i tak długą, malowniczą karawaną, w której widziało się w woły zaprzągnięte wozy, naładowane wszelkim dobytkiem, taczki i wózki ciągnięte przez ludzi, boć nieraz ojciec z matką się zaprzągali do wozu. Mniejsze dzieci układano na domowych rupieciach, a większe z tyłu pchając, pomagały rodzicom wlec te prymitywne wehikuły.

Cały ten olbrzymi, tobołami objuczony pochód ruszył w kierunku południowo-zachodnim ku większej mieścinie San Antonio. Mieli przed sobą dwieście mil drogi przez okolice bagniste, trzęsawiska, gdzie im dokuczało zajadłe robactwo, szczególnie komary. W kałużach czy też mętnych rzekach lub wysoką trawą pokrytych stepach napotykali węże wodne albo trujące grzechotniki (rattle snakes). Na noc sypiali pod gołym niebem. Czasem przemokli do nitki, niekiedy brakło im wody i pożywienia, boć na bezludnych wertepach nic nie można było dostać ani nawet kupić, gdyż pieniędzy mieli bardzo mało. Wielu zapadło na malarię oczywiście roznoszoną przez komary. Innych jadowite węże pokąsały. Małe dzieci pozbawione pokarmu i wycieńczone podróżą chorowały i umierały, inne rodziły się w tych tragicznych warunkach. A nawet umierali rodzice, a pozostawały na łasce ludzi sieroty.

Taką to krwawą, całomiesięczną podróż odbyli pierwsi osadnicy polscy w Teksasie. Nikt nawet nie jest w stanie opisać tej "krzyżowej drogi" pierwszego polskiego emigranta, drogi znaczonej kurhanami umarłych, a hojnie skrapianej potem i łzą tych nieszczęśliwców. Ale nadzieja lepszego jutra dodawała im otuchy, krzepiła upadające

siły... Już niedługo staną u celu, staną na własnym zagonie, gdzie sobie zbudują wygodną chałupinkę, posieją zboże, założą ogród a potym zbudują kościółek i będą szczęśliwi w tym nowym, nieznanym, a wolność miłującym kraju!...

Dwudziestego czwartego grudnia, 1854-go roku stanęli u celu podróży. Ks. Leopold Moczygęba, franciszkanin, pracujący wśród tutejszych kolonistów niemieckich, czym prędzej pospieszył na ich spotkanie, by im służyć radą i pociechą duchowną. On to bowiem parę lat przedtym, objeżdżając konno tutejsze okolice w towarzystwie niemieckiego kolonisty, Jana Twohiga, wybrał tę połać ziemi w widłach rzek Cibola i San Antonio, jako nadającą się na osadę polską. Zdaje się, że ks. Moczygęba nie znał się ani na ziemi ani na sprawach kolonizacyjnych, gdyż osadnicy płacili Twohigowi od pięciu do dziesięciu dolarów za akier ziemi, a w niektórych wypadkach nawet wygórowaną sumę $25.00 dolarów, gdy w tym czasie w innych okolicach można było nabyć dobre grunta po dolarze a najwyżej po dwa dolary za akier. Nic więc dziwnego, że na jego biedną głowę posypały się złorzeczenia i przekleństwa, że ich tu na taką nędzę sprowadził. Wiadomo, że wszystkie początki są trudne, ich atoli były najtrudniejsze.

Ale rozłożono się obozem na małym wzgórzu, w cieniu starych dębów, które jeszcze po dziś dzień stoją, jako niemi świadkowie, jako ci amerykańscy "Dewajtysi," którym się ze swych nieszczęść i klęsk żalił nasz twardy a tak zacny lud śląski. Na wielkie stosy spakowano skromny dobytek. Pod konarami rozłożystych dębów zbudowano tymczasowy ołtarz i tu "wśród nocnej ciszy," pod gołym niebem odprawił ks. Moczygęba Pasterkę i to pierwsze dziękczynne, a zarazem błagalne nabożeństwo za naszego polskiego pioniera.

Rozpoczynano dosłownie od niczego. W twardej ziemi wygrzebywano doły, te zaś pokrywano gałęziami mesquitu i długą stepową trawą. Takie chwilowo były ich mieszkania. Niektórzy z osadników rozeszli się po okolicy, szukając lepszych warunków, tańszej ziemi, zdrowszego klimatu i tak jedna za drugą, z pod ziemi, wyrastały małe, biedne osiedla polskie: św. Jadwigi czyli Martinez, Częstochowy, Yorktown i innych.

Za rok przybył do Galveston następny transport kolonistów, składający się z 700 osób na dwóch małych okrętach "Otto Ten" i "Wessor." Ci płynęli a może raczej błąkali się szesnaście tygodni na morzu. Zato byli nieco zasobniejsi od pierwszych emigrantów: mieli trochę więcej pieniędzy, a także przywieźli ze sobą wozy, pługi i inne niezbędne narzędzia rolnicze. Za rok czy dwa przybyło ich jeszcze więcej i tak stale zwiększała się ta pierwsza teksaska gromada.

Każdy z emigrantów oczyścił kawałek gruntu, zasadził ogródek, małe pole kukurydzy, dorobił się może kilku sztuk bydła, zbudował jaką taką chałupinę, — niektóre nawet były z kamienia i przechowały się do tego czasu. W trudnych warunkach ale jako tako dawano sobie radę. W roku 1856-tym nastała niebywała posucha. Niemal że przez cały rok nie było deszczu. Zasiewy poschły, bydło, nie mając paszy, wyzdychało, ludzie nie mieli co do ust włożyć. Niektórzy z wycieńczenia i głodu padali. Oj ciężki to był krzyż. Znikąd nie było ratunku. Mąka kosztowała dwadzieścia cztery dolary za sto funtów, kukurydza trzy dolary buszel, więc też wszystko przymierało głodem. Kobiety i dziewczęta poszły do większych miasteczek szukać pracy. Niektórzy rzucili swą posiadłość i powlekli się w dalsze okolice za kawałkiem chleba. Nikt do tego słońcem spalonego pustkowia nie zaglądał. Czasem tylko jakiś kowboj się pokazał, ale z takiego nie było pociechy, bo nikt się z nim nie mógł dogadać, a niektórzy jeszcze tym biedakom szkodę wyrządzali. Obawiano się przytym Indian, którzy często w tych okolicach grasowali i białych osadników napadali. Nie znamy jednak wypadku, aby osadnicy nasi byli przez nich pokrzywdzeni. Bez broni albo bez kija nie można się było ruszyć, gdyż w pobliżu rzek roiło się od trujących grzechotników, które się nawet szczerbami wślizgiwały do ludzkich siedzib. Opowiadają, że ks. Moczygęba zbudował tu mały szałasik, by mógł być blisko swych ludzi i przynajmniej pocieszać ich słowem bożym. Zaprosił do siebie gromadę przybyszów, aby ich poczęstować jakąś biedną strawą. Gdy już miał na stole zastawiony skromny posiłek, naraz z powały spadł na stół grzechotnik, bardzo niebezpieczny i niepożądany gość. Znów nowy płacz i lament...

Kilku okolicznych osadników amerykańskich lepiej od naszych sytuowanych, pospieszyło im z pomocą. Jeden z nich, nazwiskiem William Butler, przysłał dwanaście sztuk bydła z poleceniem, by je bili i jedli. Inny znów, Andrzej Coy, miał dużo kukurydzy, więc też za darmo zaopatrzył ich w kukurydzę, z której wypiekiwali chleb i tak ratowali się od głodowej śmierci. Gdy atoli minęła posucha, znów zazieleniły się małe połacie kukurydzy i jarzyn, do serc wstąpiła ponownie nadzieja lepszego jutra.

Gdy już każdy jaką taką norę czy schronisko sobie zbudował, pomyślano o kościółku. Początkowo ks. Moczygęba odprawiał nabożeństwa pod rozłożystymi dębami. Następnie przeniesiono się do starej, zaniedbanej szopy meksykańskiej. Tak jak kiedyś w Betlehemie Pan Jezus przyszedł na świat w szopie, tak i teraz przez czas dłuższy w szopie sprawowano bezkrwawą ofiarę Nowego Testamentu.

Latem 1855-go roku, mając jaką taką pomoc finansową od stowarzyszeń misyjnych, ks. Moczygęba zabrał się do budowy skromnego kościółka. W okolicy znajdowały się złoża kamienia, który można

było z łatwością obrabiać, więc też wołami zwożono potrzebny budulec. Kruchą skałę przepalano razem z dębowym drzewem i ten popiół służył im za wapno. Powoli szła robota, gdyż brakło ludzi, a także materyału. Kilkakrotnie więc wznawiano ugody i kontrakty, zanim zbudowano kościół 76-stóp długi, 36 szeroki i 20 wysoki. Gdy już stanęły mury, na dwie stopy grube, trzeba było czynić zabiegi, aby z dalszych okolic sprowadzić drzewo na dach. Znów pochłonęło to dużo czasu i mozolnej pracy. Zaiste z trudem i mozołem stawiano tę pierwszą skromną świątynię polską na tych bezludnych wertepach. Nad zakrystią zbudowano mały pokoik jako kwaterę i mieszkanie dla proboszcza. Początkowo tylko w sanctuarium i w zakrystii i mieszkaniu księdza były małe, szklane okienka. Ośm dużych okien umieszczonych w ścianach i froncie kościoła przez dłuższy czas było zakryte płótnem domowej roboty, gdyż szkło było bardzo drogie i trzeba je było z daleka sprowadzać. Poza małym, drewnianym ołtarzem nie było żadnego innego sprzętu kościelnego, ani chóru, ani ławek, ani podłogi, ani okien. Ale zato było może więcej wiary, więcej gorliwości, więcej tej rzewnej, a z serca płynącej modlitwy, aniżelibyś może teraz znalazł w najwspanialszych katedrach w Stanach Zjednoczonych.

Pierwszym duszpasterzem był ks. Leopold Moczygęba, który sprowadził tu tych biedaków. Pierwszą osadę polską nazwał "Panna Maria," na pamiątkę kościoła Mariackiego w Krakowie. Nie mogąc znieść tej nędzy, jaką cierpieli osadnicy, po paru latach opuścił osadę i tu zaledwo raz czy dwa na krótki czas wrócił. Później pracował wśród nowopowstających osad polskich w Syracuse w Nowym Jorku, a ostatnie lata swej niepospolitej kariery kapłańskiej spędził w Detroit u sióstr Felicjanek. Pamiętam go z tych ostatnich lat, gdy przez krótki czas spełniał obowiązki duszpasterskie w osadzie pionierskiej w Hilliards, Mich. Tam bowiem w roku 1873-im osiedliła się moja rodzina i tam spędziłem młode lata.

Skromne fundusze, w sumie dziesięciu tysięcy dolarów, które ks. Moczygęba skolektował na seminarium oddał ks. Józefowi Dąbrowskiemu na budowę Polskiego Seminarium w Detroit. Pamiętam, jako student, że modląc się za fundatorów i dobrodziejów zakładu, zawsze wspominano ś. p. ks. Leopolda Moczygębę. Był to kapłan gorliwy, pełen poświęcenia, który w swym długim życiu kapłańskim przechodził rozmaite koleje. Ziarno, które siał w wielkich trudach i troskach, nietylko w Teksasie, ale i w innych osadach, przyniosło stokrotne owoce.

Następcą ks. Moczygęby, który przez kilka lat pracował wśród małych, szeroko już rozrzuconych osiedli polskich w Teksasie był ks. Rosadowski; a gdy mu zdrowie już nie dopisywało, pojechał do

ks. Moczygęby do Syracuse, N. Y. Tam umarł i tam jest pochowany. Po nim pracę duszpasterską objął młody, energiczny ks. Julian Przysiecki. W trzecim roku duszpasterzowania jadąc na misję do Martinez, dzisiejszego "Jadwigowa," zapewne spiesząc się, tak nieszczęśliwie spadł z konia, że na miejscu się zabił. Pochowano go w parafii św. Jadwigi.

Na domiar innych nieszczęść w roku 1861-ym wybuchła wojna domowa. Synowie tutejszych osadników z konieczności wstąpili do wojska i tak się stosunki ułożyły, że jedni służyli w szeregach południowców, inni zaś w wojskach federalnych. Wprawdzie pożoga wojenna nie dotarła do osad polskich, ale po wojnie maruderzy i załogi okupacyjne nieraz dały się tutejszym kolonistom we znaki. Najgorzej było z tym, że żaden ksiądz polski nie mógł się tu dostać, więc też lud nasz przez kilka lat był pozbawiony opieki duchownej. Ludzie nie słyszeli polskiego kazania, rzadko mieli nabożeństwa, dużo z nich, umierając, rozpaczliwie błagało o kapłana, którego znikąd nie można było dostać.

Dopiero po wojnie domowej, za staraniem ks. biskupa Dubois'a z Galveston, przybyli tu księża: Adolf Bakanowski, Wincenty Barzyński i młody kleryk, później przez biskupa wyświęcony, ks. Felix Zwiardowski. Byli to pierwsi misjonarze ze zgromadzenia Księży Zmartwychwstańców. Przełożony grupy, ks. Bakanowski, pracował tu zaledwo cztery lata i za radą p. Piotra Kiołbassy przeniósł się na daleko większe pole pracy do Chicago. Kilka lat później poszedł w jego ślady ks. Barzyński, jeden z księży-pionierów polskich w Chicago. Ks. Felix Zwiardowski nie poszedł jednak za tamtymi, ale życie poświęcił tutejszym osadom. Umarł 31-go sierpnia 1895-go roku i tu w parafii Panna Maria jest pochowany. Po wieloletnich trudach spoczął wśród swej owczarni, której jako dobry pasterz życie poświęcił.

Nie myślę tu opisywać w detalach trudów, przejść i rozwoju osadników polskich w Panna Maria. Czynię to jedynie z tego względu, że podobne koleje przechodziły niemal wszystkie osady polskie w Ameryce, bez względu na to, czy one były w lasach wisconsyńskich czy na preriach Dakoty lub nad jeziorami Minnesoty. Z biedą borykali się ci nasi niestrudzeni pionierzy, karczowali lasy, osuszali bagna, rudowali pnie, usuwali kamiene, by na małych polanach budować prymitywne domy, organizować osady, stawiać kościoły i szkoły, w duchu polskim i katolickim kształcić młode pokolenie.

Jeżeli stosunkowo nieliczne osady farmerskie miały swe kłopoty, to daleko liczniejsze osady w miastach taksamo przechodziły swe tragedie. Przedewszystkim nasi emigranci nie znali języka i zwyczajów tutejszych. Nie mogli się dogadać, często we fabrykach nie rozumieli wydawanych im poleceń i rozkazów. Z tego powodu były

nieszczęścia i kalectwa. Traktowano ich nieraz jak bydło robocze. Taki robotnik pracował po dwanaście i więcej godzin, a zarabiał bardzo mało, niekiedy zaledwo "talarka" za całodzienną pracę w lejarni lub też przy wyładowywaniu węgla czy rudy z okrętów. Widziałem tych ludzi rozebranych do pasa, ociekających potem, gdy w głębi okrętu, wśród kurzu, łopatami nakładali ogromne stalowe kubły rudą żelazną. Musiał się biedaczysko zwijać, by ten kubeł napełnić, gdyż co kilkanaście minut winda zabierała kubły do góry. Taki poprostu — niewolnik zarabiał dwa, rzadko trzy dolary na dzień. Była to już wygórowana zapłata. Gnieździło się to całymi kupami po polskich "boarding housach" czyli domach, w których stołowano robotników. Pracowali na zmiany we fabrykach, sypiali na zmiany w tym samym łóżku, jadali z jednego kotła, ale z zaciętością polskiego ludu wierzyli w lepszą przyszłość. Oszczędzali co mogli z tych skromnych zarobków, odmawiali sobie wszelkich wygód i rozrywek, byle własny dom postawić, byle się czymś tej ziemi uczepić.

Pięknie o tych naszych pionierach pisze w "Sokole Polskim" druh i profesor M. Kuśmidrowicz z Warszawy: "Za pracą poszli na wędrówkę w świat obcy, w nieznane sobie strony, za kapitał mając energię niespożytą i zdrowie fizyczne, ze wszystkich zakątków Starego Kraju na Indiańskiej osiadłszy ziemi, stworzyli hartowną rodzinę. Ile przeżyli, ile znieśli upokorzeń, jakiej pracy się imali, oni tylko najlepiej wiedzą, a dziś w wiele milionów wkroczyła ich liczba, dziś potężny żywioł stanowią.

"Zwyciężyli uprzedzenia do siebie, w dużej liczbie majętni, pod własnym dachem kryją głowy, we własnych ścianach przechowują tradycje wywiezione z Macierzy. Dzieci swe w wierze ojców wychowują. Zasadę, że "im bliżej do Boga, tem bliżej do Ojczyzny" wyznawają... Postawa i siła to ich dewiza. Rozum i walka do zwycięstwa ich wiedzie, a przeciwności mają bardzo wielkie. Rywalizują z emigracją niemiecką i zabijającą wszystko co polskie propagandą żydowską. Ameryka to kraj, w którym uczucie miłosierdzia prawie nie istnieje. Ginie kto słaby. Twarde tam jest życie." A jednak w takich to warunkach lud polski się zmagał, szedł naprzód i zwyciężał. Nietylko, że wyrwał ziemi obfity kawał chleba, nietylko że wychował rodzinę, wykształcił dzieci, założył wielkie narodowe organizacje, zbudował liczne kościoły, szkoły i wyższe zakłady, ale jeszcze hojną ręką dzielił się z rodziną w kraju pozostałą, a nawet Ojczyźnie odradzającej się hojną złożył ofiarę z krwi i mienia.

Czemu to piszę? !...

Bo tu na tych pustkowiach Teksasu jest ta pierwsza kartka, ta pierwsza potyczka, jaką na ziemi Waszyngtona o byt, o ideały toczy od trzech ćwierci wieku lud polski. Lud, któremu Polska ongiś nic

nie dała, a od czasu niewoli nic dać nie mogła. Lud ten wykazał takie zalety duszy, taki hart ducha, takie przywiązanie do mowy, a nareszcie tu, zdala od Ojczyzny, taką w sobie rozpalił miłość dla Niej, że wprost podziwiać go trzeba i cenić wysoko należy za te niepospolite cnoty i zalety narodowe i religijne. To tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że jeżeli Polska zrozumie rolę, jaką te szerokie, może poniekąd upośledzone masy ludu polskiego czy to ze wsi czy z miast odegrać mogą i zwróci się doń z nauką, z wyrobieniem mu lepszego bytu, lud ten stanie się ostoją i siłą, jakiej żaden wróg, żadna burza nie złamie!!...

Wiadomo, że wielkie drzewa głęboko i szeroko zapuszczają korzenie do ziemi. Ona nietylko je żywi, ale tak silnie do czarnej piersi je tuli, że największe huragany i nawałnice wyrwać ich nie zdołają. Emigracja polska, u której kolebki i źródła stoimy w tej najstarszej osadzie polskiej w Ameryce, wypisała niezatartymi głoskami tę niespożytą siłę i energię ludu polskiego. To fundament, na którym państwo może śmiało budować podwaliny swej potęgi i dobrobytu.!...

Panna Maria była ostatnim etapem naszej "kanonicznej" wizyty po osadach w Teksasie. Nic tu nadzwyczajnego nie napotkaliśmy, coby właściwie zasługiwało na uwagę turysty czy też czytelnika. Pierwszy kościół, zbudowany z wielkim trudem przez pionierów rozebrano i w roku 1882-im zbudowano z kamienia solidny, wiejski kościółek o liniach gotyckich. Zużytkowano w nim okna i inne pamiątki z pierwszego kościółka. W pobliżu rośnie duży, rosochaty dąb, ten "Dewajtys" naszych pionierów, w którego cieniu wznosili do Boga swe modlitwy i swe skargi. Przy kościele jest skromna plebanijka, a opodal stiukiem pokryta szkółka. Poza własnością kościelną znajduje się tu kilka skromnych sklepików, poczta mieści się w bardzo marnym budynku, pokrytym na zewnątrz blachą. Właścicielem największego sklepu w tej zapadłej i niemal zapomnianej wiosce jest p. Franciszek Snoga. Dosyć obszerny, z kamienia zbudowany jednopiętrowy sklep był kiedyś własnością p. Twohiga, właściciela tutejszych obszarów, które po wygórowanych cenach sprzedał naszym osadnikom.

Kościół w Panna Maria

Wstąpiliśmy na chwilkę do sklepu na szklankę piwa i na krótką pogawędkę z kilku okolicznymi gospodarzami. Pod jednym dachem przedsiębiorczego polskiego byznesisty mieściła się nieodzowna "grosernia i buczernia" czyli sklep korzenny i rzeźniczy, pozatym w dużej skrzyni napełnionej lodem pływały butelki z piwem. Poza niezbędnymi artykułami spożywczymi znajdowało się też kilkanaście worków mąki, paszy dla bydła, nasion. Na podłodze leżało nieco narzędzi rolniczych. Przed sklepem stała nieodzowna pompa na gazolinę. Kazałem więc napoić nią mego czworokołowego cugowca, ten jednak, będąc przyzwyczajony do lepszego gatunku, całą drogę się krztusił i kaszlał od tego podłego paliwa, jakiego mu nalali do żelaznego żołądka.

Jak na ośmdziesiąt lat pracy — rezultaty jej są tu bardzo znikome, jeżeli je się porówna z parafiami nawet daleko młodszymi w okolicach farmerskich Wisconsynu, Minnesoty lub Michiganu. Już nawet nie wspominam tych bogatych zabudowań parafialnych w takich miastach jak Milwaukee, Chicago, Detroit, Buffalo lub innych miejscowościach na wschodzie. Widać, że albo warunki albo inne okoliczności nie dopisały. Odniosłem wrażenie, że nasza najstarsza osada polska pod względem postępu znajduje się na szarym końcu.

Ponieważ ks. Edwarda Dworaczyka, bardzo dzielnego i ruchliwego proboszcza nie było w domu, więc też nie mogłem się bliżej o tutejszych stosunkach poinformować.

Prócz wyżej wspomnianych i opisanych parafii i osad polskich znajdują się w diecezji San Antonio polskie placówki w Bandera, Yorktown, Falls City i Polonia. Zaś w diecezji Galveston są parafie w New Waverly, Bryan, Bellville, Rosenberg i Richmond. Niektóre z tych należałoby podciągnąć pod rubrykę "mieszanych", do których prócz Polaków należą także inne narodowości jak Irlandczycy, Niemcy i Czesi. Ponadto we wielu miasteczkach znalazłoby się po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt rodzin polskich, tylko że te już nie odgrywają żadnej roli w naszym życiu narodowym i są skazane na zagładę narodowościową.

Chociażby tylko krótko należy tu jeszcze wspomnieć o naszych zgromadzeniach zakonnych. Początkowo w Panna Maria istniało zgromadzenie polskich sióstr Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej. Po pewnym czasie przeniosły się one do św. Jadwigi i tam po kilkuletniej pracy zgromadzenie to się rozwiązało. Członkinie albo wróciły do życia świeckiego lub też wstąpiły do innych zakonów.

Siostry Nazaretanki, szeroko znane ze swej pracy wychowawczej w Polsce i w Stanach Zjednoczonych, rozwinęły tu w ostatnich kilkunastu latach swą działalność na polu szpitalnym. W New Mexico, niedaleko granicy teksaskiej, w miasteczku Clayton, prowadzą szpi-

tal dla suchotników. Na zaproszenie lekarzy i obywatelstwa miasteczka Dalhart założyły w 1929-tym szpital, który się teraz bardzo dobrze rozwija i prosperuje. W miasteczku Mineral Wells znajdują się bardzo silne źródła lecznicze pod nazwą "Crazy Crystals." Powstało tu duże sanatorium, ale z jakichś nieznanych powodów zaczęło upadać. Zwrócono się do naszych dzielnych zakonnic, i te podjęły się zreorganizować owo sanatorium i założyły "Szpital Nazaretu" w 1931-ym. To ciekawe, że w miasteczku zamieszkuje zaledwo kilkanaście katolickich rodzin, a mimoto udano się do polskich zakonnic, by objęły w posiadanie tę poważną instytucję.

W roku 1935-tym przejęły trzeci z rzędu szpital, o pojemności czterdziestu łóżek, zbudowany przez Amerykanów w roku 1926-tym. Szpital jest zaopatrzony w najnowsze urządzenia lecznicze i znakomicie się rozwija, gdyż w roku 1936-tym tysiąc pacjentów doznało tu opieki lekarskiej. To jest znamienne, że lekarze i instytucje szpitalne zwracają się częstokroć do naszych sióstr Nazaretanek i Franciszkanek z prośbą, aby objęły nadzór i kierownictwo nad ich szpitalami. Tu się roztacza przed naszymi zgromadzeniami zakonnymi nowe, ogromne, a tak wdzięczne pole pracy.

Ks. Wincenty Barzyński ze zgromadzenia Księży Zmartwychwstańców, jeden z pierwszych pionierów Teksasu, sprowadził do Chicago w roku 1885-tym Siostry Nazaretanki. Zakon ten w półwiekowym okresie szybko się rozwijał i posiada obecnie kilka prowincyj, prowadzi setki szkół parafialnych, ma także w większych miastach akademie dla dziewcząt i kilka szpitali.

Nieodżałowanej pamięci ks. Józef Dombrowski, jeden z pierwszych pionierów w Stanach Zjednoczonych, założyciel Seminaryum Polskiego w Detroit, sprowadził z Krakowa w roku 1874-tym pięć Sióstr Felicjanek do Polonii we Wisconsynie, by się zajęły polską ochronką i szkołą w tej starej, polskiej osadzie. Z tych pięciu ziaren wyrosło na niwie amerykańskiej olbrzymie zgromadzenie zakonne, posiadające swe prowincje w Detroit (najstarsza). Buffalo, New York; Milwaukee, Wis.; Lodi, New Jersey; Coraopolis koło Pittsburga, a ostatnią w Enfield, Conn. Do zgromadzenia tego należy przeszło trzy tysiące zakonnic. Prócz szkół parafialnych prowadzą sześć akademii dla dziewcząt, domy starców, ochronki i inne instytucje dobroczynne i wychowawcze. W roku 1932-im objęły pierwszą szkołę parafialną w Bremond, a wkrótce po tym zaproszono je do parafii polskich w Częstochowie, św. Jadwigi, Poth i Yorktown. Jestem przekonany, że tam, gdzie wraz z proboszczem staną do zbożnej pracy narodowej i katolickiej nasze dzielne, gorliwe, w pracy niestrudzone, polskie zakonnice, tam wiara i duch polski zachowa się jeszcze na długie lata.

Kilka lat temu przybył do Teksasu w sprawach handlowych a przytym w celu zaznajomienia się z tutejszą Polonią ś. p. dr. Aleksander Szczepański, były konsul polski w Chicago i autor bardzo poczytnej książki o Stanach Zjednoczonych p. t. "Drapacze i Śmietniki." W tej książce podaje swe wrażenia z kilkudniowego pobytu w osiedlach polskich i głowi się nad tym, jakby można nadal zachować język polski wśród młodych pokoleń, a przytym pospieszyć naszym plantatorom bawełny z doraźną pomocą. Przyznaje wprawdzie, że te projekty są to "marzenia ściętej głowy" a jednak, wartoby się nad nimi zastanowić i dlatego przytaczam chociaż kilka myśli tego zasłużonego, a przedwcześnie zmarłego urzędnika polskiego. Ot co pisze ś. p. dr. Szczepański: "Wizytacja osad polskich w okolicy San Antonio napełniła mnie podziwem dla niespożytej, żywiołowej polskości tutejszego wychodźtwa, ale zarazem i głęboką troską. Nawet najsilniejszy płomień nie zasilany z zewnątrz musi wygasnąć, osadnicy zaś nasi w Teksasie, snując dalej wątek porównania, palą się niejako w przestrzeni pozbawionej powietrza... W tych warunkach póki rodzina osadnicza tkwi w swym bezludziu, polskość jej trwa siłą bezwładu. Już szkoła parafialna w większości osad, wskutek złej znajomości języka polskiego ze strony zakonnych nauczycielek, nadwątla tę polskość. Skoro młodzi wyruszają w świat, imają się zawodów miejskich, polskość ich staje się w najwyższym stopniu zagrożona, gdyż brak jej wszelkiej podstawy rozumowej. Jest ona oparta tylko o instynkt i wyniesiony z domu obyczaj. Obyczaj ten w mieście w przeważnej mierze podlega odrzuceniu, a z nim razem i polskość.

Oto niebezpieczeństwo, któremu natychmiast należy wydać walkę, bo jest ono już bardzo daleko posunięte. Nie zapominajmy, że po tych osadach rodzi się trzecie i czwarte pokolenie Amerykanów. Cóż robić, żeby je zażegnać?"...

Między innymi p. Konsul proponuje wymianę drużyn harcerskich, co oczywiście jest niewykonalne. Następnie, jego zdaniem, przydałyby się nietylko w Teksasie ale także w innych osadach polskie freblanki i ochroniarki, któreby nauczyły dzieci polskich zabaw, bo "dzieci tamtejszych osadników jeszcze mówią po polsku, ale nie umieją się po polsku bawić."

W sprawach ekonomicznych proponuje dr. Szczepański wysłanie tu kogoś, któryby potrafił organizować stowarzyszenia współdzielcze w ramach już istniejącego amerykańskiego "farm relief'u." Gdyby tutejsi gospodarze mieli dosyć kapitału i odpowiednio wykwalifikowanych pośredników, mogliby sprzedawać swe zbiory bawełny po daleko lepszych cenach a kto wie, czyby nie mogli nawiązać bezpośrednio kontaktu z polskimi fabrykantami, którzy napewno zużytkowaliby nietylko całkowity zbiór tutejszych gospodarzy, ale jeszcze daleko

więcej. Gdyby do tego stopnia można doprowadzić rozwój i dobrobyt tutejszych osad, tymsamym byłby zapewniony i znacznie wzmocniłby się duch polski, który dotąd się jeszcze trzyma, może nawet lepiej niż w wielkich miejskich środowiskach. Zrealizowanie któregokolwek z powyżej wspomnianych projektów ma tyle przeszkód, że trudno byłoby je w obecnych warunkach pokonać i dlatego pozostaną nadal, jak sam Konsul powiedział — marzeniami ściętej głowy.

Już i tak zbyt długo rozpisałem się o tutejszych osadach, więc też należy rozdział ten zakończyć. Podczas wojny i na pierwszą pożyczkę polską tutejsze osiedla złożyły swą ofiarę na cele narodowe. Jednakowoż wielkiego wpływu na bieg wypadków i rozwój życia polskiego nie miały, chociażby tylko dla tego, że są zbyt daleko oddalone od innych wielkich środowisk polskich. Do niedawna komunikacja samochodem była nie do pomyślenia, a podróż pociągami była zbyt kosztowna i nużąca, by przeciętny działacz mógł sobie na nią pozwolić. Więc też przypuszczam, że to wychodztwo jeszcze przez dłuższy czas z natury rzeczy się przy polskości utrzyma, ale z czasem z konieczności przeistoczy się w część składową tworzącego się narodu amerykańskiego. Niektóre osady polskie dzięki lepszym warunkom, bliższemu kontaktowi z Macierzą na czas dłuższy zachowają język i tradycje, inne zaś się ich wyzbędą prędzej. Ale czy tak czy siak, byt nasz narodowy jest już poważnie zagrożony i nawet najgorliwsi entuzjaści nie łudzą się i widzą, że jest to tylko kwestją czasu, gdy zostaniemy całkowicie wchłonięci przez ten silny prąd amerykanizacji. Zostaną się jednostki, ale szerokie masy ludu czy to po wsiach czy miastach stracą język, a może nawet i ducha.

ROZDZIAŁ XVII.

## Dolina Rio Grande - Laredo - Historia Meksyku.

Podczas wojny i po jej zakończeniu brałem udział w przeróżnych imprezach rządowych jak: pożyczki polskie i amerykańskie, akcja ratownicza pod egidą p. Hoovera, akcja Czerwonego Krzyża i.t.p. Ta praca przerzucała mnie z jednego krańca kraju na drugi. Częstokroć trzeba było w tych sprawach podróżować setki mil koleją. Otóż podczas jednej z takich podróży spotkałem obywatela z południowej części Teksasu. Mieszkał w bardzo urodzajnej dolinie rzeki Rio Grande, tuż nad zatoką Meksykańską. Tyle ciekawych historii opowiedział mi ów jegomość o tym skrawku ziemi, że postanowiłem go kiedyś zwiedzić. Teraz właśnie nadarzyła się ku temu okazja. Wprost było nam "po drodze", boć zboczenia stu kilkudziesięciu mil w takiej podróży turystycznej nie bierze się pod uwagę.

Po zwiedzeniu osad polskich, wprawdzie nie wszystkich, ale tych najważniejszych, opuściliśmy wygodną kwaterę Grand Court w San Antonio i ruszyliśmy drogą U. S. 281 do Brownsville, miasteczka położonego w pobliżu granicy i zatoki Meksykańskiej. Ten właśnie najbardziej na południe wysunięty kącik Teksasu, obejmujący jeden czy dwa małe powiaty, dzięki sztucznej irygacji, stał się jakoby — zaczarowanym ogródkiem całego stanu.

Odległość z San Antonio do Brownsville wynosi zaledwo 300 mil czyli, w sam raz starczy na całodzienną podróż. A że droga była wyśmienita, humory także i auto w porządku, przytym pogoda nam sprzyjała więc też bez zbytniego pospiechu, zajechaliśmy nad wieczorem do tego niezwykłego, wprost tropikalnego zakątka kraju. Nic w tej podróży całodniowej nie zasługiwało na szczególniejszą uwagę. Była ta sama monotonia krajobrazu, stepy, pola bawełniane, zabudowania gospodarskie, większe i mniejsze miasteczka, czasem kawał pustyni. Dopiero gdyśmy dotarli do większego miasteczka Pharr, kilka mil od granicy i mętnej, a niezbyt wielkiej rzeki Rio Grande, nastąpiła miła metamorfoza krajobrazu.

Chwilowo zdawało się nam, że jesteśmy albo w południowej Florydzie albo w Kalifornii. Wszędzie bawi cię zieleń trawników, przy domach rosną wysokie, szerokolistne palmy lub zielone, kwitnące oleandry, pełno tu kwiatów i tropikalnych krzewów. Grunta są

pocięte na małe skrawki, a każdy jest pod nadzwyczaj intensywną uprawą. W nieskończoność ciągną się prościutkie rzędy marchwi, pomidorów, kapusty, selerów, cebuli i innych warzyw. Przez cały rok a szczególnie porą zimową dolina rzeki Rio Grande dostarcza nam świeżych jarzyn.

Od bardzo ruchliwego miasteczka Pharr które się szczyci bardzo pięknym ratuszem w stylu hiszpańskim i nader pięknymi parkami, zwracamy się w kierunku południowo-wschodnim do Brownsville. Następnych 50 mil do Brownsville to poprostu jedno miasteczko za

Ratusz we Pharr

drugim. Przy kolei zbudowano ogromne składnice, do których zajeżdżają duże samochody naładowane marchwią, burakami, kapustą, truskawkami, a także pomarańczami i grapefruitami. W składnicach sortują jarzyny i owoce. W Ameryce wszelkie artykuły spożywcze są sortowane i pakowane do skrzyń których rozmiar jest na cały kraj ustalony. Łatwiej przez to towar zapakować do wagonów — lodówek, (refrigerator cars) w sklepach zaś i dużych hurtowniach łatwiej go ustawić lub przenieść.

Wśród starannie uprawnych pól jarzynnych zieleniły się duże kwadraty sadów cytrusowych. Przy drogach, niby linia żołnierzy, rosły rzędy smukłych palm królewskich, a czasem zwartym szeregiem trzymały graniczne straże niskie, rozczapierzone, a pełne gracji palmy daktylowe.

Wszędzie widać tu dobrobyt. Zawsze można go poznać po wspaniałych, murowanych willach, otoczonych zielonym kobiercem trawników, klombami kwiatów, zieleniutkimi krzewami, gęstymi żywopłotami. Taki gospodarz nie życzy sobie, aby byle turysta zaglądał mu

do luksusowej willi. Te kiedyś pustynne piaski, pokryte palmettami i kolczastymi kaktusami, mętna woda rzeki Rio Grande zamieniła w istny raj ziemski. Woda bowiem jest cudotwórcą południa. Gdzie jest woda, tam jest wszystko, gdzie jej zabrakło, tam jest pustynia spalona ogniem słońca, częstokroć pokryta szkieletami bydła i ludzi, którzy bez wody z pragnienia ginęli.

Od Harlingen i San Benito skręciliśmy więcej na południe. Tu też wasz wprost niepoprawny piszący-szofer zaczął się znów skwapliwie wypytywać o pola bitew z naszej wojny z Meksykiem, w roku 1846, 7, 8-ym. Każdy przezemnie interpelowany obywatel gały na mnie wywalał, głową kręcił i powiadał... że o żadnych bitwach nie słyszał. — Wprawdzie Meksykany się tu czasem poczubią, gdy ten lub ów zbyt dużo pociągnie ognistej "aguardiente," — czy jak się tam poprawnie nazywa ich wódka, — ale o innych "fajtach" nic nie wiedzą. A przecież dobrze to wiem, że tu właśnie, w tych okolicach, odbyły się pierwsze potyczki w wojnie, którą po brydżowsku powinniśmy nazwać "grand szlejm." Tamci, niby Meksykanie nie dostali ani jednej "lewej" chociaż brali dużo "bitek." Nareszcie mi się udało; bo napotkałem jakąś inteligentniejszą kobietę jadącą w samochodzie — zapewne nauczycielkę, — i ta dopiero udzieliła mi bliższych informacji. Okazało się, że jedna z bocznych dróg prowadzi właśnie mimo tych pamiętnych pól bitew, które z nieprzezwyciężonego już nałogu chciałem zwiedzić. Czym prędzej więc pojechałem wskazaną drogą i wśród dzikich wertepów, pokrytych sośniną i palmettem, zauważyłem przy drodze tablicę z oznajmieniem, że się zbliżamy do "historycznego miejsca." Przy drodze na betonowych podmurowaniach leżały dwie stare armaty i stał granitowy pomnik, na którym kiedyś zapewne umieszczono bronzową tablicę z opisem bitwy. Niestety tablicę tę wandale zerwali i to nietylko z tego, ale także z dwóch innych pól bitew , które odbyły się w tych okolicach w wojnie meksykańskiej i domowej. Czegoś podobnego jeszcze nigdzie nie widziałem. Może jedne zabrali Meksykanie, którym się tu dostało lanie, a drugą południowcy; boć niedaleko Brownsville była pono ostatnia potyczka w wojnie domowej, gdy wojska federalne tępiły małe podjazdy, włóczące się tu po preriach.

Dziewięćdziesiąt lat temu, 7, 8, 9-go maja 1846-go roku lała się obficie krew meksykańskiego żołnierza na tych pustynnych wertepach. Były to pierwsze zwycięskie bitwy oręża amerykańskiego w wojnie z Meksykiem. Wojskiem amerykańskim, liczącym nie całe trzy tysiące żołnierza, dowodził generał Zachariasz Taylor. Zwycięstwa tu i w Meksyku przez jego niewielką armię odniesione, utorowały mu później drogę do prezydentury Stanów Zjednoczonych. Meksykanami dowodził pod Palo Alto czyli na "wysokim wzgórzu" generał Arista. Odważny, a nawet zdolny był to dowódca, boć tak z jednej

jak i z drugiej strony walczyły wyćwiczone pułki. Amerykanie mieli daleko mniejsze siły, ale górowali artylerią, która w szeregach nieprzyjacielskich wielkie czyniła straty, przyczyniając się do zwycięstwa. Po całodniowej walce, na polu bitwy pozostało kilkudziesięciu żołnierzy amerykańskich i ponad dwustu zabitych a czterystu rannych Meksykańczyków.

Generał Arista ustąpił z pola walki i zajął silne pozycje o parę mil bliżej twierdzy fort Brown od której miasteczko Brownsville otrzymało nazwę. Tu dziewiątego maja znów go zaatakował generał Taylor i po całodziennej walce rozgromił, zabierając liczne tabory, zapasy żywności i broni. Wojska meksykańskie uciekły w popłochu i czymprędzej przeprawiły się do Matamoros, po tamtej stronie rzeki Rio Grande pozostawiając na polu ponad dwustu zabitych, kilkuset rannych i zabranych do niewoli.

Zwycięstwa oręża amerykańskiego pod Palo Alto i Resaca de la Palma uratowały załogę we forcie Brown, oblęganą przez Meksykanów, ponadto dały nam doskonałą bazę operacyjną do inwazji Meksyku. Po kilku dniach wypoczynku zgrupowano nasze siły, przeprawiono się przez rzekę Rio Grande i przepędzono wojska meksykańskie w stronę miasta Monterey, które gen. Taylor zajął później szturmem i posunął się aż za Saltillo, gdzie stoczył ostatnią zwycięską bitwę pod Buena Vista.

Przypuszczam, że podczas obchodu stulecia wojny z Meksykiem, rząd nasz zamieni to pustkowie w park narodowy, umieści odpowiednie pomniki, objaśni podróżnym plan bitew i w ten sposób upamiętni bohaterstwo jednych i drugich, którzy tu legli na polu chwały.

Wojna z Meksykiem toczyła się na dwóch frontach. Generał Taylor prowadził ofensywę w głąb kraju od strony północnej, a generał Winfield Scott, mając do swej dyspozycji flotę wojenną, zaatakował miasto portowe Vera Cruz a po zdobyciu tegoż szedł szlakiem konquistadorów hiszpańskich do stolicy którą szturmem zajął, podyktował tam warunki pokoju. Na mocy traktatu pokojowego podpisanego w Guadalupe- Hidalgo zabraliśmy Meksykanom nietylko Teksas, ale wszystkie południowo-zachodnie stany.

Kto mówił, że wojny się nie opłacają?! Zależy od tego kto z kim i o co walczy?!... Nam się zawsze wojny opłacały. Tylko w tej ostatniej grubo "wdepnęliśmy" i dlatego nas nikt do drugiej wojny europejskiej nie wciągnie. Pozostaniemy "neutralni", bo z takiej bijatyki nie mamy żadnego zysku. Za tysiące poległych, za miliardy niepotrzebnie wyrzuconych dolarów otrzymaliśmy "na pamiątkę" kilka transportów starych, nieużytecznych armat niemieckich i dużo weksli, których Europa nie myśli zapłacić. W następnej wojnie

Ameryka będzie się prawdopodobnie trzymała zasady — cash and carry, czyli zapłać gotówką i zabieraj towar na własną odpowiedzialność. Tak będzie najlepiej.

Nad wieczorem stanęliśmy u celu całodziennej podróży, w Brownsville, tuż nad granicą meksykańską. Dosyć duże, czyste i ruchliwe miasteczko wyrosło dzięki rozwojowi ekonomicznemu tutejszej okolicy. Tu tak samo jak i w innych podobnych miasteczkach zobaczysz piękne szkoły, urzędy miejskie, szerokie, cementowe ulice, obsadzone palmami i ten szablon amerykańskiego miasteczka. Po wyszukaniu odpowiedniej kwatery pojechaliśmy do Matamoros po drugiej stronie rzeki Rio Grande, spróbować meksykańskiej kuchni.

Na to nie trzeba było wiz, paszportów i innych dyplomatycznych formalności. Oznajmiliśmy strażom granicznym i władzom celnym, że celem podróży jest pierwsza uczciwa restauracja w Matamoros i urzędnicy zanotowali tylko numer samochodu, liczbę pasażerów i kazali jechać. Strażnicy przypomnieli nam także że "oficjalnie" każdy z nas może przewieźć do Stanów Zjednoczonych, bez oclenia tylko po jednej butelce wódki. A że nas było troje, więc też późnym wieczorem z całą formalnością gratisowych pieczątek, przytaszczyliśmy trzy porządne butle meksykańskich małmazyj.

Zanim jednak zajedziemy do obskurnej, meksykańskiej mieściny, należałoby chociaż słówkiem wspomnąć o awanturze, jaka się tu wydarzyła podczas wojny światowej. Nadmieniłem kiedyś, że mieliśmy w Stanach Zjednoczonych pierwszorzędnych bandytów, których rząd całkiem niepotrzebnie wystrzelał, tak że teraz trudno o uczciwego "kidnapera" czy rozbijacza kas ogniotrwałych. Powinienem był wtenczas też zaznaczyć, że i w Meksyku grasują wytrawni bandyci. Ich kariery życiowe kończą się w ten sam sposób co naszych, tylko że tamci noszą szumne nazwy — "rewolucjonistów." Jeżeli takiemu uda się wywołać porządną ruchawkę to zawsze na tym dobrze zarobi; bo albo Amerykanie mu za nią grubo płacą i zaopatrują go w broń i amunicję, albo też łupi kościoły, klasztory i nakłada haracz na wsie i miasteczka. Szczególnie haciendyści i właściciele kopalń czy innych przedsiębiorstw muszą się takiemu jegomościowi porządnie opłacić, aby życie i mienie ratować. Taki "rewolucjonista" plunąłby ze wzgardą na naszych Dillingerów czy jemu podobnych bandytów.

Właśnie podczas wojny światowej grasował w Meksyku niepospolity jegomość nazwiskiem Pancho Villa. Zwerbował on sobie gromadę awanturników i z tymi napadał na placówki rządowe, tocząc krwawe walki podjazdowe. O co mu chodziło, czego chciał, tego nie wiem, dosyć na tym, że był postrachem dla rządu meksykańskiego, a "bohaterem" dla biednych "pionów," którzy też chętnie wstępowali w jego szeregi.

Kiedyśmy tu ślepie wytrzeszczali poza Ocean, by się dowiedzieć, gdzie, kto kogo po łbie walił, całkiem niespodziewanie, niemiłą "siurpryzę" urządził nam zawadiacki, odważny, "zbójnik" meksykański — Pancho Villa. Ni stąd ni zowąd, zjawił się w Matamoros i bez żadnych ceregieli i pieczątek urządził zbrojny zajazd na nasze Soplicowo, — a właściwie Brownsville. Z całą kawalkadą swych jeźdźców wpadł na most i buch do miasta. Narobił dużo hałasu, była pukanina po ulicach, rozbijano okna i sklepy. Zanim się tu nasi spostrzegli, zwiał z powrotem do Matamoros i przepadł jak kamfora bez pieprzu.

Mamy przecież przy moście garnizon wojskowy, przeważnie kawalerię. Na wszelką ewentualność mieliśmy także trochę karabinów maszynowych i jakąś bateryjkę armat. Gdy się więc garnizon dowiedział, że wpadł do nas gość tak wielce niepożądany chciał go jak należy powitać ogniem karabinów maszynowych. Niestety, gdy już mieli do niego wygarnąć, "maszynki" się zacieły, a Pancho za to pokiereszował trochę naszych i zwiał z powrotem na drugą stronę mostu.

Gdy się wieść o tej napaści rozeszła, w całym kraju powstał wielki rajwach. Jak śmiał taki Pancho Villa wtargnąć do naszego kraju?... Jak mógł ten nieproszony kozioł bezkarnie wleźć do naszego ogródka kapusty?... Więc też wszyscy huzia na Villę, aby go za taki bezczelny napad ukarać, w kajdanach go tu przytaszczyć, na suchej gałęzi powiesić! że my tam nieraz innym bezkarnie w ich terytoria się wkradali to co innego. Ale żeby nam ktoś takiego samego figla wypłatał to było nie do pomyślenia. Oburzył się nasz patriotyzm! Posypały się protesty i urządzono wojenną obławę na bezczelnego "Pancia," który nam spokój zakłócił. Niektórzy przypuszczali, a nawet były pewne dane ku temu, że ten to uczynił za namową Niemców, by nas w wojnę z Meksykiem zawikłać i od spraw europejskich odciągnąć.

Wysłano więc ekspedycję karną do Meksyku, aby pochwycić Villę i w kajdankach przyprowadzić go do Stanów Zjednoczonych. Rząd meksykański nie oponował, nawet sam próbował dostać go w swę ręce, ale nie mógł, — więc też naszym powiedział, że daje im pozwolenie na wyprawę i "polowanie" na tego zbereźnika.

Latem to było, więc gorączka, jak diabli. Wysłano kawalerię, trochę piechoty, a zdaje się że nawet zabrano kilka armat. Wiadomo, żeśmy wtenczas tego niebezpiecznego sprzętu wojennego mieli bardzo mało. Za Villą puściły się długie, szare kolumny samochodów ciężarowych załadowane zapasami i amunicją. Zapewne myśleli nasi, że Villa wraz ze swymi kawalerzystami usiędzie przy drodze i będzie kamienie tłukł a Amerykanie przejadą się po nim ciężarowymi autami. Pocili się żołnierze. Od gorączki parowała woda w chłodnikach

wojskowych kamionów, suchy pustynny piasek wdzierał się do motorów i niszczył je. Konie padały od gorączki i pragnienia, a Villi jak nie widać tak nie widać. Szukaj tu bracie wiatru w polu, a Villi po stepach, pustyniach, jarach i górach Meksyku. A nie kto inny, jak sam "Black Joe" Pershing prowadził tę wojenną obławę.

Po kilku miesiącach wróciła ekspedycja, wymęczona, zziajana, jęzory im wisiały, niby psom gończym, a Villa, jak przepadł, tak i przepadł. Wrócili bez niego i dopiero w kilka lat po tym któryś z jego własnych żołnierzy zastrzelił go i całą, niepotrzebną awanturę, jak należy, zlikwidował. Zamiast wysyłać wojsko, należało posłać kilku delegatów z workiem złota i ci by go sprzątnęli. Ale co było, to było. Teraz zmieniły się stosunki i już od wielu lat tak po jednej, jak i po drugiej stronie Rio Grandu panuje spokój i sąsiedzka zgoda.

Ponieważ było dosyć jasno i za rychło na kolację, postanowiliśmy chociażby pobieżnie zwiedzić tę brudną meksykańską mieścinę. Zaofiarował się nam na przewodnika młody chłopak mówiący jako tako po angielsku. Skorzystaliśmy więc z jego oferty i samochodem, wyboistymi drogami i ulicami, których mogło nam pozazdrościć najobskurniejsze miasteczko na polskich kresach, zwiedziliśmy miasteczko i rynek, na którym było natenczas pełno przekupek, much, błota i smrodu. Domy brudne i zaniedbane. Chłopiec zapewniał nas, że Meksykanie poza murami domów mają obszerne ogrody i tam jest przestronnie, czysto, rosną kwiaty, tryskają fontanny a w małych sadzawkach pływają rybki i kwitną wodne lilie. Tylko nie wierzyłem jego gadaninie i wcale nie zależało mi na tym, aby gruntownie badać życie tutejszych mieszkańców.

Co za kolosalna zmiana! Z tamtej strony rzeki wzorowy porządek, wszystko czyściutkie, tu zaś brudy i smrody. Mówił nam ten chłopak, że burmistrz miasteczka Matamoros nie dopuszcza do ulepszeń, gdyż chce zachować ów... kontrast! Sądzę, że to mazgaj, a prawdopodobnie grafciarz, o jakiego trudno nawet w naszych z graftu słynących miastach. Chcę jednak zaznaczyć, że Matamoros jest wyjątkiem, gdyż inne miasta, które w Meksyku zwiedziłem, były bardzo czyściutkie i piękne. W Matamoros jednak nie chciałbym żyć za żadne pieniądze w świecie, a nawet nie chciałbym tu umierać i tu być pochowanym.

Po zwiedzeniu brudnej mieściny zajechaliśmy przed restaurację, "Charlie's Place," które nam polecono, jako znaną z doskonałej, meksykańskiej kuchni. Weszliśmy do obszernej stancji, a właściwie baru. Za ladą stał przystojny, atletycznie zbudowany brunet "Caballero Charles." Ten widząc wchodzących trzech "los Americanos," tak się do nas uprzejmie uśmiechnął, taki zrobił niski ukłon i tak pełen gracji gest, zapraszający nas do dalszych pokoi, że mógłby mu tej elegancji

pozazdrościć maitre d'hotel najwykwintniejszej restauracji paryskiej. Poprowadził nas ów jegomość przez obszerne, stosunkowo czyste, ale bardzo skromne, bo nawet z nieheblowanych desek zbudowane pokoje, do ogrodu, a może właściwie należałoby powiedzieć na podwórze noszące szumne miano — patio.

Ażeby gości uchronić przed natarczywymi widzami, podwórze było otoczone wysokim płotem z desek. W jednym zaś końcu była niska szopa, służąca za kuchnię. Zakomunikowaliśmy nader uprzejmemu Charlemu — kelnerowi i właścicielowi w jednej osobie, — że z "wielkim pożądaniem pożądamy" spożyć czysto meksykański obiad z wszelkimi napojami, zakąskami, enchilladami, tamallami, frihollami, peperonami i innymi a nam nieznanymi kadukami. Znów ukłony, uśmiechy, suggestje o potrawach, o których nie mieliśmy pojęcia. Jemu więc zostawiliśmy ostateczną decyzję. Na początek przyniósł nam jakieś oryginalne, własnego pomysłu coktajle, które nam nawet bardzo smakowały. Następnie zupa, a potem sałata i raki bardzo smaczne. Za tym już szła ciężka, wprost piekielna kuchnia meksykańska. Przynieśli z tej szopy kurę zawijaną w rodzaj naleśników, robionych z mąki kukurydzanej... Biedna kura wprost rumieniła się od czerwonego pieprzu. Gdym wsunął porcję po meksykańsku pieczonej kury, zacząłem twarz wykrzywiać i oczyma przewracać, jak gdybym połknął rozżarzony węgiel. Gadam więc do mego konfratra:— "Antoś" popatrz jeno, czy mi się z gęby nie dymi, bo czuję, że tam się coś w żołądku pali; może ta kura się tam w jakichś piekielnych mękach jeszcze smaży!...

Ale na ogół było coś nowego, tylko wszystko jest tak pieprzne, że zwykły śmiertelnik przyzwyczajony do klusek z okrasą i do kapusty z żeberkami nie potrafi ani gorącego klimatu ani jeszcze gorętszych potraw należycie ocenić. W każdym razie była to nowość, chociaż przyznam, że się zbytnio nie zachwycam nawet najlepszą meksykańską kuchnią. Wróciliśmy późno wieczorem, a każdy z nas, niby świecę, trzymał butelkę meksykańskiej wódki lub likieru. Chociaż w trunkowości się nigdy nie lubowałem, jednak wolę ich wódki i likiery, niż ich czerwone peperony. Z wielką wewnętrzną satysfakcją podałem naszym inspektorom celnym zakupione butelanse do opieczętowania, abyśmy przy ich wypiciu nie odczuwali żadnych skrupułów. Mój kolega, który w tych sprawach ma więcej odemnie doświadczenia, powiada: "Stasiu!" sto razy wolę naszego amerykańskiego "kornusa" lub też polską "czystą", niż te meksykańskie likiery.

Dowiedziałem się, że w pobliżu, nad samą zatoką, blisko miasteczka Port Isabel, odbyła się ostatnia potyczka w czasie wojny domowej. Byliśmy niedawno w Charleston, gdzie się wojna rozpoczęła, więc też należało pojechać tam, gdzie się ona skończyła — na pole

ostatniej bitwy. Zboczyłem cośkolwiek z drogi, by tam pojechać. Nic ciekawego nie widziałem. Gdzie się kiedyś bili żołnierze, teraz pasło się ogromne stado kóz. Przy drodze stał duży, czworoboczny kamień, na którym dawniej była przymocowana tablica pamiątkowa, ale widać że i tę ktoś zabrał, może jako "pamiątkę," może na szmelc, boć bronz zawsze jest droższy od zwykłego żelaza. Zawróciłem czymprędzej na pozostawioną drogę, jadąc przez San Benito, Harlingen, Pharr, McAllen, Rio Grande do Laredo.

W dolinie rzeki Rio Grande

Za miasteczkiem McAllen wjechaliśmy w dzikie pustkowia, pokryte niezbyt dużą sośniną, palmettem, mesquitem, kolczastymi, grubolistnymi kaktusami. Z rzadka napotykaliśmy nędzne chałupiny Meksykanów, którzy w tej dziczy hodowlą bydła lub kóz starają się wyrwać tym odstręczającym pustkowiom mizerny kawałek chleba. Jak i z czego ci ludzie tu żyją, sam nie wiem. Nie chciałbym tu mieszkać i gospodarzyć, chociażby mi cały powiat dali za darmo. Ci jednak, jakoś żyją, boć niewiele im zresztą do życia potrzeba.

Jedziemy wciąż równolegle do rzeki Rio Grande. Gorąco było, droga kręta i co chwila wjeżdżamy i wyjeżdżamy z szerokich przepaścistych parowów. Rzeki powysychały a w wielu miejscach nie było nawet mostów. Ciekaw jestem, jak się tu ludzie przedostaną przez te głębokie parowy w razie gwałtownej burzy lub powodzi?

Dotarliśmy szczęśliwie do małej, meksykańskiej wioski Roma, tuż nad rzeką. Wstąpiliśmy na chwilkę do przydrożnej gospody gdyż już z daleka zauważyłem szyld z napisem "Budweiser," a przecież to jest znakomite piwo, jedno z najlepszych. Żadna czerwona lampa, kontrolującą ruch samochodowy, nie wstrzymałaby nas tak raptownie, jak ten szyld z dopiskiem, że mają tu piwo na lodzie. Któżby więc z podróżnych nie stanął, chociaż nawet przed najbardziej prymitywnym zajazdem, na szklankę piwa?!...

Właścicielem skromnej restauracji i karczmy był rodowity Amerykanin, który tu się osiedlił ze względu na zdrowie żony. Opowiadał mi, że w tej okolicy mieszkają sami Meksykańczycy. Mają coprawda odmienne od naszych zwyczaje, ale jeżeli się ich traktuje uczciwie, to i oni uczciwie z każdym postępują. Chociaż niewielki prowadził interes, ale zawsze zarabiał na życie. W toku naszej poga-

wędki, przy zimnej szklance Budweisera, zwrócił mi uwagę na trzech Meksykańczyków zajętych ubojem młodego bydlaka. Wyobraźcie sobie, że temperatura dochodziła do stu piętnastu stopni. Gorąco jak w piekle, a ci mazgaje pod drzewem mesquitu z całym spokojem ćwiartowali zabitego wołu. Żeby go jeszcze powiesili na gałęzi, ale nie, — tylko tak do połowy odarli ze skóry i po kawałku odcinali, opłókali wodą i te krwią ociekające kawały nieśli do małej budy, tam wieszali kawał ścierwa na gwoździu i wracali po nowy ochłap. Ludzie ci przypominali mi ludzkie sępy. Poszedłem się z bliska przypatrzyć tej rzeźniczej operacji. Tylne udo już "rozparcelowali," żebra także z jednej strony wycięli i zanieśli do składu, w którym nie było żadnych udogodnień, a tem mniej sanitarnych urządzeń jak lodówka czy woda. Much i wszelkiego robactwa pełno. Główny majster wycinał serce, płuca i wątrobę, adjutant polał wodą z kubła i niósł do składu, zawiesił na haku i wracał po resztę mięsa. Jelita wyciągnęli i rozwiesili na gałęziach mesquitu. Jelita te rozwleczone po zielonych gałęziach przypominały mi poniekąd papierowe i srebrne tasiemki, które w Ameryce układają na choince jako dekoracje na Boże Narodzenie.

Widok ten był dla mnie taki niezwykły, że wyciągnąłem kamerę i zrobiłem zdjęcie. Jeden z oprawców zezem na mnie spoglądał i pytał czy ich przypadkowo nie odfotografowałem. Widocznie zależało im na tym, aby taka rzeźnia nie dostała się przypadkiem do gazet lub książki. Mam to zdjęcie. Możecie sobie wyobrazić, co się z tym ścierwem stało, gdy w tej straszliwej gorączce obsiadły je muchy. Powiadał mi gospodarz, że tę cuchnącą, a zapewne przez robactwo toczoną in potentia "sztukę mięsa" tutejsi obywatele meksykańscy zjedzą z apetytem. Już się do tego od pokoleń przyzwyczaili i cuchnące mięso już ich nie odstręcza. Ugotują to w kociołku, dodadzą soli, nasypią dużo czerwonego pieprzu zawiną w kukurydzane naleśniki, pieczone na glinianej patelni, ale bez soli, pieprzu, tłuszczu lub jakichkolwiek przypraw. Do tej suchej, niesolonej "podeszwy" zawiną posiekane schaby pieprznego jak ogień mięsa i będą z tego enchilady i chilli con carne. Każdy inny człowiek zdechłby w torturach, Meksykanin ma widocznie żelazny żołądek, gdyż nic mu to nie szkodzi — zdrów jak ryba, a wytrzymały, jak muł. Straciłem apetyt na "chilli con carne" czyli na czerwone peperony gotowane z mięsem i fasolą.

Nad wieczorem dotarliśmy do dużego, pogranicznego miasta Laredo. Tu jest jedna z głównych bram wjazdowych do naszej sąsiedniej, a pod wielu względami nadzwyczaj ciekawej, malowniczej, w zabytki historyczne bogatej, a w zasoby naturalne jak złoto, srebro, olej, żelazo, węgiel i inne minerały wprost kolosalnie bogatej rzeczypospolitej — Meksyku. Laredo prosperuje dlatego, że tędy wiedzie świetna droga samochodowa do stolicy Meksyku — miasta Meksyku D. F.

(District Federal). Tędy również przechodzi kolej, tędy lecą aeroplany i tędy w jedną i drugą stronę wielkim strumieniem płynie handel.

Rano poszedłem do klubu automobilistów po niezbędne przepustki, aby się wybrać po raz pierwszy do kraju, który natenczas miał nieporozumienia z Kościołem i klerem katolickim. Więc też pojechałem całkiem incognito. Początkowo miałem zamiar jechać do stolicy, gdyż wielka autostrada była właśnie na ukończeniu. Niestety — mego planu nie mogłem uskutecznić z tego powodu, że mój towarzysz podróży, ks. Wojcieszczuk, nie posiadał papierów obywatelskich, niby amerykańskich. Przybył do Stanów Zjednoczonych "niedawno," bo zaledwo trzydzieści lat temu i tak wciąż był obarczony pracą, że wprost "nie miał czasu" postarać się o nie. Terazby mu się przydały, gdyż bez papierów obywatelskich możeby go ewentualnie wpuścili do Meksyku, ale miałby trudności z powrotem. Więc też dla uniknięcia jakichkolwiek kłopotów, postanowiliśmy, że on zostanie na parę dni w Laredo, a ja wpadnę na dzień, dwa, do Meksyku, chociażby tylko do miasta Monterey. Zrugałem Antka, że taki mazgaj, gdyż tak pragnąłem pojechać do stolicy jednego z najpiękniejszych miast na zachodnim kontynencie. Ale "co się odwlecze, to nie uciecze."

Może dla niejednego z czytelników Meksyk jest krajem dzikim, nie interesującym. Tymczasem jest wręcz przeciwnie. Przed wyjazdem, — jak to jest u mnie w zwyczaju, gdy się wybieram w nieznane mi okolice, — przewertowałem i przeczytałem kilkanaście tomów o Meksyku, począwszy od dużej, źródłowej pracy Prescotta "The Conquest of Mexico," a skończywszy na dziele naszego światłego konsula p. dr. Szygowskiego "Starożytny Meksyk."

Ciekawe są także przygody amerykańskiego autora Ryszarda Halliburtona, (1) który się wskrabywał na najwyższe wulkany, by zrobić zdjęcia fotograficzne, ale mu się to nie udało, bo z przeziębniętych palców wypadła mu jedyna rolka filmu i potoczyła się do krateru, najwyższego w Ameryce wulkanu, Popocatepetelu. Nie daje on jednak za wygrane, bo wraca do miasta, zabiera z sobą fotografistę, pomocników i znów wspina się ponad ośmnaście tysięcy stóp, wśród zawiei śnieżnej, po zaspach i bryłach lodu, by dopiąć celu i odfotografować krater, z którego konquistadorzy zaopatrywali się w siarkę do robienia prochu. Ten sam Halliburton pojechał do Yucatan, gdzie się znajdują imponujące ruiny starych świątyń, pałaców i innych cennych zabytków kultury i architektury Mayów, mogące śmiało konkurować z Akropalisem Aten, Koloseum Rzymu czy też ze starymi świątyniami i ogrodami Babilonu. Tam też znajduje się głęboka

1.—Richard Halliburton, "New Worlds to Conquer."

studnia, do której co roku wrzucano piękną dziewicę jako ofiarę na przebłaganie bogów i uproszenie deszczu. Ten cymbał bez namysłu wskoczył do studni 70 stóp głębokiej i trudno było mu się stamtąd wygramolić. Więc z konieczności zdjął trzewiki i na bosakach po stromych ścianach się wydostał. Miał znów nowy kłopot, bo nie mógł nigdzie dostać trzewików, któreby na niego pasowały, gdyż tam miast i sklepów z obuwiem nicmasz. Wraca więc i znów buch do studni, po trzewiki. Rząd meksykański dowiedziawszy się, że jakiś wariat amerykański bez pozwolenia skacze do studni, do której wrzucano dziewice, jako ofiary, surowo zakazał takich wybryków. Ten sam dziwak i świetny pisarz powziął myśl przepłynięcia kanału panamskiego. Tłumaczyli mu na rozum, że go połknie rekin lub ukąsi trująca żmija, ale ten nic, tylko buch do wody i codziennie przepływał kilkanaście mil, aż nareszcie przepłynął cały kanał. Najpocieszniejszym było, gdy awanturniczy Halliburton zgłosił się do władzy kontrolującej olbrzymie śluzy, Gatun Locks. Mianowicie kazał się przez te śluzy spuścić podobnie jakby spuszczano największy okręt wojenny. A ponieważ zato się płaci od tonażu, a on ważył zaledwo sto pięćdziesiąt funtów, więc też oficjalnie zapłacił piętnaście centów, a służba, chcąc nie chcąc, śluzowała go przez olbrzymie tamy, niby okręt. No i dopiął swego. Warto przeczytać jego ciekawą książkę.

Mapa Meksyku przypomina kształtem róg obfitości, zwrócony szerszym końcem ku Stanom Zjednoczonym. Meksyk w rzeczywistości jest największym skarbcem świata. Zapasy złota i srebra, które wywieźli stąd konkwistadorzy hiszpańscy, były tak wielkie, że nie tylko ogromnie wzbogaciły Hiszpanię, czyniąc z niej w tym okresie jedno z najbogatszych państw Europy, ale także przyczyniły się do wyrzucenia z równowagi całego systemu ekonomicznego Europy ówczesnej. W okrutny sposób grabili Hiszpanie; za złoto i srebro, wysyłane galeonami do Hiszpanii narzucili tubylcom przemocą swą kulturę i religię.

We Wielki Piątek, r. 1519, Cortez z kilkunastu okrętami i czterystu żołnierzami dotarł do brzegu Meksyku. Posuwał się z wojskiem w głąb kraju, jednając sobie stronników wśród szczepów Indian, przygotowywał się do podboju pięknej, kulturalnej stolicy Azteków, Tenochtitlanu — dzisiejszego miasta Meksyko. Stolica przepychem i położeniem przypominała Wenecję w jej najpiękniejszym rozkwicie. Swą stolicę zbudowali wojowniczy Aztecy wśród wspaniałych jezior, otoczonych łańcuchem niebotycznych gór. Opasana ona była urodzajną doliną, w której rosły przecudne kwiaty, owoce, kukurydza i inne ziemiopłody. Samo miasto imponowało najeźdźcom szerokimi ulicami, pałacami i wysokimi świątyniami, w których bogom składano krwawe ofiary ludzkie.

Nie będę tu wchodził w detale podboju Meksyku przez konkwistadorów hiszpańskich. Motywowali oni swe postępki gorliwością chrześcijańską; chcieli przecież pozyskać dusze tych pogan dla Kościoła i Chrystusa, choć więcej od gorliwości chrześcijańskiej, paliła ich żądza złota.

Mały napozór wypadek odegrał ważną rolę przy podboju olbrzymiego, a topograficznie nader trudnego kraju do zdobycia. Pierwsze zwycięstwa Hiszpanie odnieśli w prowincji Tabasco. Do zwycięstwa przyczynił się fakt, że Indianie nigdy nie widzieli pancernych rycerzy na koniach. Myśleli, że to bogowie i w popłochu uciekli z pola bitwy. Kacyk tamtejszy, prosząc o warunki pokoju dał w hołdzie Cortezowi i jego kompanom kilkanaście pięknych dziewcząt. Jedna z nich powiernica i kochanka Corteza, Maryna, znała język Azteków i plemion meksykańskich. Stała się więc jego pośredniczką i tłumaczką w pertrakcjach przez co oddała mu niepospolite usługi. Montezuma, król Azteków i władca Tenochtitlanu dowiedział się bardzo prędko o wylądowaniu Hiszpanów, jak również o klęsce, jaką zadali oni szczepom indiańskim w prowincji Tabasco. Wysłał więc delegatów do Corteza z bogatymi darami ze złota i drogich kamieni z pozdrowieniem, a zarazem prośbą, aby Hiszpanie wrócili do swego kraju i przewieźli ich królowi życzenia od władcy Montezumy. Gdy Hiszpanie zobaczyli szczerozłote tace, łańcuchy i inne podarki przechodzące wartością ich pojęcie, zapałali nieprzezwyciężoną żądzą zwiedzenia, zawojowania, a w każdym razie ograbienia tego kraju.

Cortez wpadł na bardzo ryzykowny ale stanowczy pomysł. Zabrał z okrętów wszelkie zapasy, broń, armaty i wszystko, co mu się mogło przydać w tej niezwykłej wyprawie, a okręty kazał spalić, aby żaden z towarzyszy nie łudził się nadzieją powrotu. Jedna więc pozostała droga — zginąć lub zwyciężyć. I zwyciężył!

Podbój Meksyku przez Corteza mającego wtenczas pod swymi rozkazami 400 żołnierzy i siedm armat, piętnastu towarzyszy pancernych przewyższa może zdobycze Alexandra Wielkiego w Azji, Hannibala we Włoszech a Napoleona w poprzednim stuleciu. Zdobycze tamtych szybko upadły, dzieło Corteza przetrwało wieki całe i rozszerzyło wpływy i kulturę Hiszpanii na kontynent zachodni.

Po spaleniu okrętów i zbudowaniu małej twierdzy w teraźniejszym Vera Cruz, Cortez niby robak, zaczął się wżerać do wnętrza kraju. Gdzie można było, z pomocą nieodstępnej Mariny, robił ugody z miejscowymi kacykami, którzy chętnie pomagali mu w podboju znienawidzonych Azteków. Gdy zaś nie udało się sprawy załatwić drogą polubowną, wtenczas w grę wchodziły miecze hiszpańskie, kute ze słynnej stali toledoskiej. Osobista odwaga żołnierzy indiańskich nie mogła się mierzyć ani ze stalą hiszpańską, ani z męstwem w zbroje

zakutych jeźdźców, a tym mniej z ogniem i siekańcami ziejących paszcz armatnich. Te wyrywały straszliwe luki w gęstych szeregach nieprzyjaciół, rozrywając w kawały ich ciała. Cortez parł naprzód. Zwerbował tysiące ochotników i ludzi do niesienia bagażów i zbroi żołnierskiej.

Montezuma widząc, że się nie pozbędzie nieproszonego i niepożądanego gościa, wysłał wysokich dygnitarzy na jego spotkanie, następnie przed murami miasta sam wyszedł na jego powitanie. Hiszpanie rozkwaterowali się w centrum miasta a dla własnego bezpieczeństwa zatrzymali u siebie Montezumę, jako zakładnika. Rozpoczęły się pertraktacje i układy. Ale Hiszpanom nie spieszyło się z powrotem; zresztą gdzie mieli iść i co robić? Naraz Cortez dowiedział się, że do Vera Cruz przybył w maju r. 1520-go Panfilo de Narvaez, na czele zbrojnej wyprawy, składającej się z 18 okrętów z liczną załogą i zapasami wojennymi. Chciał on pochwycić Corteza i w łańcuchach odesłać do Hiszpanii, a sam miał zostać panem zdobytego kontynentu. Cortez zostawił w mieście załogę z dzielnym ale nietaktownym Alvaradezem na czele. Sam czymprędzej pospieszył na spotkanie przeciwnika. Nagłym atakiem rozgromił Narvaeza i zabrał go do niewoli, żołnierzy jego i zapasy wcielił do swej ekspedycji i znów z mozołem przedzierał się przez wysokie pasma gór do stolicy kraju.

Tu jednak w międzyczasie zmieniły się stosunki. Alvaradez był wprawdzie dzielnym żołnierzem, ale kiepskim dyplomatą i zwrócił przeciwko sobie gniew całej ludności. Ta z wielką przyjemnością wyrwałaby serca z piersi najeźdźców i rzuciła je na stos ofiarny swych bogów. Cortez przybył w sam czas, aby obronić swych towarzyszy przed niechybną śmiercią z ręki wzburzonego narodu. Po rozglądnięciu się w sytuacji, uznał za stosowne wycofać się z miasta i zająć stanowisko poza jego murami, wśród sobie przychylnych plemion. Skrycie poczynił przygotowania do odwrotu. Ponieważ Tenochtitlan a dzisiejsze Meksyko było otoczone jeziorami, więc też do miasta prowadziły szerokie nasypy, — w kilku zaś miejscach były na nich szerokie mosty, dla ułatwienia komunikacji wodnej. Ażeby Hiszpanów nie wypuścić z kleszczy, Aztecy zniszczyli mosty, budując w dodatku z kamieni silne barykady, które później trzeba było jedne po drugich zdobywać. Walki były krwawe i zażarte. Obrońcy ginęli pod straszliwymi razami dużych hiszpańskich mieczów lub też pod naporem zakutych w zbroję jeźdźców, którzy długimi lancami kłuli zdobnych w pióra "rycerzy" indiańskich.

Zaznaczyć wypada, że Aztecy nie znali żelaza, nigdy nie widzieli koni, krów, świń i innego inwentarza. Olbrzymie ciężary przenosili na plecach. Za miecze służyły im płaskie szczapy twardego drzewa,

nabijanego krzemieniem. Była to broń bardzo skuteczna, gdy się walczyło z równymi sobie przeciwnikami, ale całkiem bezużyteczna, gdy przyszło do rozprawy ze zakutym w zbroję żołnierzem. Prócz tych drewnianych mieczów bardzo skutecznymi okazały się proce, a nawet sam Cortez takiego dostał guza, że mało ducha nie wyzionął. Wojowników hiszpańskich starano się brać żywcem, by ich potem złożyć na ofiarę bogom wojny. Pochwyconego jeńca plecami przechylano na kamieniu ofiarnym a kapłan kamiennym nożem rozcinał klatkę piersiową, wyrywał drgające serce i rzucał je na ogień. Ciało ofiary zrzucano po schodach świątyni i zapewne zjadali je Indianie. Zdaje się, że kanibalizm był wówczas tu szeroko praktykowany, tylko że chował się pod płaszczykiem rytuału religijnego. Hiszpanie dobrze wiedzieli co ich czeka gdyby się żywcem dostali do niewoli. Więc też każdy walczył jak wściekły, boć rozpacz dodawała mu siły.

Hiszpanie starannie przygotowali się do odwrotu i już zawczasu postarali się o pomosty, by w razie potrzeby rzucić je przez kanały i wycofać się z miasta. Okazało się jednak, że kładki te były za krótkie, więc trzeba było do kanałów zwalać bagaże, kamienie i co było pod ręką, a niekiedy płynąć na przeciwny brzeg wśród gradu kamieni i strzał rzucanych wprawną ręką wojowników indiańskich. Żołnierze hiszpańscy niepomni na ostrzeżenie wodza objuczeni byli zdobyczą. Dźwigali na plecach bryły złota, złote tarcze, talerze, łańcuchy, boć nie chcieli wracać do domów z pustą ręką. Wielu z nich utonęło w nurtach wraz ze skarbami, które ze sobą zabrali. Wielu poległo, ale większa część się przedostała poza jeziora. Pod drzewem, które jeszcze dziś stoi, Cortez odbył przegląd niedobitków i gorzko płakał nad klęską boć rzeczywiście była to prawdziwie "smutna noc" — "La noche triste" jego ambicyj. Inny byłby się załamał, ale nie ze zwykłej stali kuty był ów niepospolity rycerz hiszpański.

Nawet po klęsce nie dał za wygraną ten wielki konkwistador, dzielny w bitwie, chytry w polityce, zapobiegliwy w administracji i gorliwy we wierze. Zreorganizował niedobitki, zjednoczył swych sprzymierzeńców i rozpoczął przygotowania do odwetu. Z pośród załogi wybrał najlepszych cieśli, posłał ich do lasów, by przygotowali drzewo na łodzie i okręty. Miesiącami całymi pod jego wodzą obrabiano drzewa w lasach i na barkach towarzyszących mu Indian, wrogów Azteków, znoszono materiał na brzegi jeziora. Tu ku zdumieniu nieprzyjaciół, na wodach jezior, ukazały się duże okręty o rozpiętych żaglach, uzbrojone w armaty. Teraz Cortez rozpoczął oblężenie. Zajął on wszelkie drogi wiodące do miasta, aby nie przepuścić żywności i posiłków, okrętami patrolował jeziora, a po gruntownych przygotowaniach i dłuższym oblężeniu rozpoczął ponowny szturm na miasto.

Znana jest nam z homerowskich opisów walka o zdobycie Troi. Czytaliśmy o zburzeniu Kartaginy, boć jeden z dyplomatów rzymskich wciąż powtarzał że "Cartaginem delendam esse" czyli że "Kartagina musi być zburzoną." Nie pozostało po niej znaku. Na zgliszczach, zwyczajem rzymskim, przeorano bruzdę na krzyż jako dowód, że wszystko zburzono. Znamy tragiczne losy Jerozolimy, nad której przewidzianym upadkiem nawet Chrystus płakał. Opisał nam w "Popiołach" nasz nieśmiertelny mistrz pióra Żeromski bohaterską obronę Saragossy. A jednak na czele tych wielkich przykładów co do bohaterstwa i męstwa obrońców na pierwszym miejscu wypisać wypada nazwę, może dla wielu nieznaną, ale w kronikach bohaterskich może najszczytniejszą, — obronę i zburzenie Tenochtitlanu, stolicy Azteków.

Gdy Cortez ukończył przygotowania, wyznaczył dzień do ostatecznego jak mniemał ataku na miasto. Miał już wtenczas do swej dyspozycji znaczne posiłki z Hiszpanii, które wypełniły luki spowodowane tragicznym odwrotem. Prócz tego, na jego skinienie było kilkadziesiąt tysięcy ochotników, rekrutujących się ze szczepu Tlaskalunów, odwiecznych wrogów Azteków i sprzymierzeńców Corteza. Wojska swe podzielił na trzy grupy z których każda miała równocześnie atakować wyznaczony dla siebie odcinek zaciekle bronionego miasta. Ostrzegł też Cortez swych wodzów, by się zbyt szybko nie posuwali w głąb miasta, gdyż może ich czekać jakaś nieprzewidziana zasadzka ze strony obrońców. Nadewszystko kładł nacisk na to, aby zapewnili sobie drogę do odwrotu i aby wszystkie przekopy lub kanały zasypywali gruzami, by ich nie spotkał ten sam los, którego doznali w pierwszym tak tragicznym odwrocie.

Pod naporem w stal zakutych pieszych i jeźdźców Corteza, cofali się w głąb miasta jego obrońcy. Żołnierze pod wodzą kapitana Aldereta w uniesieniu zażartej walki wkrótce zapomnieli o przestrogach i rozkazach naczelnego wodza. Parli naprzód za cofającym się nieprzyjacielem i nikt nie chciał się zatrzymywać, by zawalać gruzami kanały i rozerwane mosty. Gdy Hiszpanie i ich sprzymierzeńcy zapuścili się daleko w głąb miasta, nagle na jednej z wielkich świątyń — Tocalli — odezwał się groźny róg bojowy Azteków. Na jego głos ze wszystkich zaułków, z dachów, z okien, z ulic posypały się kamienie i pociski na najeźdźców. Zewsząd wysypywało się mrowie wojowników, którzy oszczepami i drewnianymi maczugami nabijanymi krzemieniem, rąbali w zbroję zakutych Hiszpanów i ich sprzymierzeńców. Osaczeni najeźdźcy walczyli z nadludzką zaciekłością, sprzedając drogo swe życie. Każdy bowiem wiedział, że jeżeli się dostanie w niewolę Azteków, wówczas przy łunie księżyca i pochodni, ubrany w pióra, zawleczony będzie przed ołtarz boga wojny Huitziolopochtli. Tam kapłani ubrani w czarne szaty pochwycą go za ręce

i nogi, położą plecami na kamień ofiarny a najwyższy kapłan utopi krzemienny nóż w jego piersi, wyrwie zeń drgające serce i rzuci na ogień, jako ofiarę błagalną na cześć boga wojny.

Kolumny hiszpańskie zaczęły się cofać w popłochu, by się wydostać ze śmiertelnej zasadzki. Teraz się dopiero Hiszpanie przekonali jak drogo trzeba było zapłacić za nieostrożność i niewypełnienie rozkazów wodza przez odcięcie sobie drogi odwrotu. Przy rozwalonych mostach zebrały się łodzie Azteków, z których wyskakiwały na brzeg tysiące rozszalałych wojowników; inni zaś celnymi strzałami z łuków i proc razili walczących Hiszpanów. Na przeciwnej stronie stał bezradny Cortez i jak mógł, ratował rozbitków. Gdy Aztecy zobaczyli go wśród tłumu walczących żołnierzy, z krzykiem "Malinche" — "Malinche" kilkunastu najtęższych wojowników rzuciło się nań, by go żywcem pojmać. Zawrzała zacięta walka między nim, a przeciwnikami. Jego towarzysze widząc grożące niebezpieczeństwo, pospieszyli mu na ratunek. Pod razami stalowych mieczów odlatywały ręce, nogi i głowy walczących. Ciężko rannego Corteza uratowali towarzysze od niechybnej śmierci, chociaż wielu w jego obronie życie oddało.

W końcu Cortez zdołał sformować szyki swych bojowników i pod ochronnym ogniem artylerii, która na bliską metę wyrywała szerokie luki w skłębionych i zwartych szykach przeciwników, wycofał się z miasta. Wieczorem zmęczone wojska patrzyły, jak po stopniach świątyń wciągano opierających się jeńców hiszpańskich, by ofiarować ich na całopalenie bogu wojny. Żołnierze Corteza pałali straszną żądzą zemsty i odwetu ale byli bezradni i nie mogli pospieszyć towarzyszom na ratunek.

Chociaż nie udało się Cortezowi zająć Tenochtitlanu szturmem, jednak ani na chwilę nie zmienił swego postanowienia. Po jeziorach kursowały jego szybkie żaglowce, ogniem armatnim prażyły i topiły łodzie Azteków. Wszystkich dróg broniły straże hiszpańskie nie dopuszczając ani posiłków ani żywności.

Na pomoc Hiszpanom pospieszyli dwaj nieodzowni sprzymierzeńcy: głód i zaraza. Wśród ruin tarzały się tysiące ciał poległych, a ludność ściśnięta w ciasnych mieszkaniach, pozbawiona żywności, padała ofiarą chorób i zarazy. Ludzie wałęsali się po ulicach i zaułkach szukając pożywienia, z jezior wyrywali trawki i korzenie, chwytali robactwo, by tylko głód zaspokoić, bo do miasta już od dłuższego czasu nie nadchodziły łodzie załadowane żywnością.

Trzynastego sierpnia 1521-go roku Cortez postanowił nowy atak na miasto. Tknięty szlachetniejszym poczuciem, wysłał swych mężów zaufania do wodza Azteków, Guatemozina, proponując mu, aby złożył broń i uniknął rzezi, jaka napewno nastąpi, jeżeli będą nadal stawiali teraz już bezskuteczny opór. Guatemozin, następca Montezumy,

który zginął w poprzednich walkach, nie przyjął oferty Corteza i przez swych posłów oznajmił, że "Guatemozin gotów jest zginąć, ale żadnych pertraktacyj z wodzem hiszpańskim prowadzić nie będzie. Rób więc co uważasz za stosowne". Na to Cortez im odpowiedział: "Idźcie i przygotujcie waszych współrodaków na śmierć, gdyż godzina wasza nadeszła". Jeszcze przez kilka godzin zwlekał on z atakiem, łudząc się nadzieją, że Indianie poddadzą się i unikną straszliwej rzezi. Gdy się rozeszła pogłoska, że wódz Indian Guatemozin przygotowywał się do ucieczki, zniecierpliwieni Hiszpanie i ich alianci ruszyli do ataku.

Naprzeciw najeźdźców wyszły tłumy nędzarzy znękanych chorobami i głodem. Posypały się wprawdzie jeszcze strzały i kamienie na głowy najeźdźców, ale nie wyrządzały im większej szkody, gdyż głodem wycieńczonym obrońcom zabrakło już sił do dalszej walki. Nie była to już walka, ale raczej rzeź bezbronnych, którzy jednak nie prosili o łaskę, ale miotając przekleństwa, broniąc się, jak mogli, padali pod razami toledowskich mieczów lub też ginęli od kul armatnich. Kanały, ulice, zaułki zapełniały się kupami trupów mordowanych Indian.

Niektórzy chcieli się ratować ucieczką w lekkich, a szybkich łodziach, lecz nie mogli podołać okręcikom hiszpańskim, które z armat i strzelb z łatwością topiły łodzie Azteków. Wódz floty hiszpańskiej kazał pilnie uważać na łodzie Azteków, bo chciał pochwycić Guatemozina, ich wodza. Hiszpanie zauważyli kilka większych łodzi szybko wiosłujących ku brzegowi. Na jednej z nich znajdował się Guatemozin. Gdy z okrętów hiszpańskich pochyliły się krucice by wymordować uciekinierów, wstał w łodzi wódz, okryty watowaną zbroją, zdobną w pióropusze, podniósł i opuścił swój miecz "maquahuitl" i powiedział, że on jest Guatemozin i kazał się odstawić przed Corteza, noszącego wśród Azteków nazwę — Malinche czyli przyjaciel. Prosił zwycięzcę, aby nie czynił krzywdy jego żonie i narodowi.

Gdy się Aztecy dowiedzieli, że wódz ich został pochwycony i jest w niewoli u Corteza, opadły im ręce i zaprzestali dalszej walki. Guatemozin uprosił zwycięzcę, aby pozwolił niedobitkom opuścić zniszczone miasto, wspaniałą stolicę i wyjść w góry i lasy by tam nowe założyć siedziby. Niektórzy z historyków twierdzą, że zaledwo trzydzieści, inni zaś głoszą, że około siedmdziesiąt tysięcy kobiet, dzieci, starców i niedobitków opuściło potężny, bogaty, kulturalny Tenochtitlan. Historycy twierdzą również, że w walce zginęło od stu dwudziestu, do przeszło dwustu tysięcy Azteków. Po trzech miesiącach oblężenia, po nadzwyczajnych zmaganiach tak z jednej jak i z drugiej strony, sięgających często zenitu bohaterstwa i poświęcenia, zostały tylko tlejące się ruiny, stosy trupów i kilkadziesiąt

tysięcy niedobitków. Przy boku nieśmiertelnej Troi, odważnej Kartaginy stanął teraz bohaterski Tenochtitlan. Może i on kiedyś znajdzie swego Homera, by jego bohaterskie czyny wyrył na niezniszczalnych kartach powieści i poezji.

Zwyciężyli Hiszpanie przy pomocy swych sojuszników. Ale walka przeciw najeźdźcom trwa dalej i trwać będzie do czasu, gdy Indianie wyrugują politycznie i ekonomicznie ze swego kraju nietylko hiszpańskich ale także amerykańskich, angielskich, niemieckich i innych najeźdźców, którzy kraj ten ekonomicznie zakuli w kajdany.

Na gruzach stolicy Azteków konkwistadorzy hiszpańscy zaczęli budować nowe miasto, zaszczepiać kulturę europejską i siać ziarno religii chrześcijańskiej. Tam, gdzie kiedyś płynęła krew ludzka na ołtarzach pogańskich świątyń, teraz wznosi się wspaniała katedra. Gorliwi zakonnicy franciszkańscy krzewili nową wiarę i sprawowali bezkrwawą ofiarę mszy św. Po zwycięstwie nastąpił okres iście apostolskiej gorliwości. Misjonarze hiszpańscy docierali do najdalszych zakątków tego nader bogatego i malowniczego kraju, by głosić rozmaitym szczepom naukę Chrystusową. W niektórych okolicach pozostały po dziś dzień ruiny wspaniałych świątyń ku czci księżyca i słońca, ku czci straszliwego boga wojny i innych bóstw pogańskich.

Aztecy, Toltecy, Mayowie i inne prastare szczepy Indian nie znały wyrobów z żelaza i stali, nie znały kół i wozów, nie miały koni, krów, mułów i zwierząt domowych, jednakowoż mimo tych braków stworzyły wysoką kulturę, zbudowały świątynie i pałace, które przetrwały do naszych czasów i w podziw wprawiają uczonych i turystów. To ciekawe, że w swej architekturze bardzo się zbliżają do architektury i dekoracyj jakie napotykamy w Egipcie za czasów Faraonów, a nawet w starym Babilonie. Co za nić łączy kulturę tutejszych Indian z kulturą starych Babilończyków i Egipcjan, tego dotąd nikt nie wytłumaczył.

Kapłani, towarzyszący konkwistadorom bardzo gorliwie zabrali się nietylko do rozpowszechniania chrześcijaństwa, ale także do tępienia pogaństwa. Wielką tragedią dla wiedzy i historii stała się zbytnia "gorliwość" pierwszego biskupa Meksyku, Don Juana de Zumarraga. Ten bowiem skwapliwie zbierał wszystkie księgi, dzieła i prace literackie ówczesnych uczonych, i kazał te zabytki i arcydzieła złożyć na jeden wielki stos i publicznie je spalił, oczywiście jako robotę szatana, z którym zawzięcie walczył. Inny jego rodak arcybiskup Ximenes, uczynił to samo z bezcennymi manuskryptami arabskimi, które znaleziono w Granadzie, dwadzieścia lat przed zdobyciem Meksyku. Iście niedźwiedzią przysługę wyrządzili nauce ci, którzy z zasady winni krzewić oświatę i opiekować się zabytkami kultury i wiedzy ludzkiej.

Przez trzysta lat Hiszpanie sprawowali rządy w Meksyku. Niektórzy z wicekrólów czy gubernatorów dbali o rozwój kraju, inni zaś dbali o własną kieszeń. Hiszpanie stali się panami, a tubylcy czyli peoni jęczeli w niewoli i ostatecznej nędzy. A przecież oni powinni właściwie być panami w swym kraju i to może w najbogatszym kraju pod słońcem. Do Hiszpanii płynęły okręty naładowane złotem srebrem i drogocennymi towarami a wracały załadowane wojskiem, księżmi i cywilnymi administratorami. Meksyk stał się krajem kontrastu. W najbogatszym kraju panowała najskrajniejsza nędza. Wielkorządcy grabili. Od złota i srebra błyszczały kościoły i katedry. Wyżsi dostojnicy Kościoła opływali w dostatki i wraz ze swymi ziomkami sprawującymi wysokie urzędy żyli w dobrobycie i wygodach.

Wojny napoleońskie w Hiszpanii i zwalenie z tronu Karola Czwartego, następnie Ferdynanda Siódmego, zachwiały ich prestyż w Meksyku. Wicekról hiszpański, José de Iturrigaray, pierwszy podniósł myśl oderwania się od Hiszpanii, w której natenczas rządził brat Napoleona, Józef Bonaparte. Zjednał on sobie masy tym, że obiecał zrezygnować ze swego urzędu, gdy na tron znów wstąpi król hiszpański. Jednakowoż arystokracja hiszpańska w Meksyku sprzeciwiła się jego zakusom, wzięła go do niewoli, umieściła w więzieniu, a następnie w kajdanach wysłała do Hiszpanii. Ale myśl o niepodległości przyjęła się, szczególnie wśród upośledzonych mas Indian i biednych robotników. Jej szampionem stał się już wtenczas sędziwy bo sześćdziesięcioletni kapłan, proboszcz małej indiańskiej parafijki, ks. Miguel Hidalgo y Costilla.

Sędziwy proboszcz z małej wioski, Dolores, knuł spisek, werbował potajemnie sprzymierzeńców, zbierał zapasy wojenne. Kilku wyższych oficerów, szczególnie żona burmistrza miasteczka Queretaro, stała się jego zagorzałą zwolenniczką. Była to Donna Josefa Ortiz de Dominguez i ona to przestrzegła ks. Hidalgo przed grożącym mu niebezpieczeństwem ze strony zdrajców. Przyspieszył więc powstanie, które wybuchło d. 13-go września 1810-go roku.

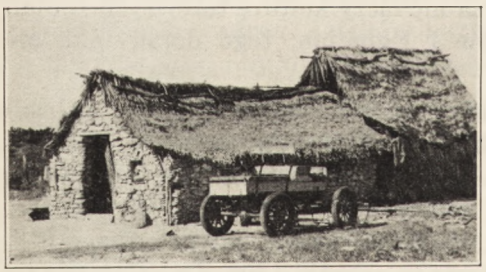

Chata biednego Meksykańczyka

Tego dnia podczas mszy św. ogłosił, że "Hiszpania już więcej nie jest wolną, bo znajduje się pod panowaniem Francuzów", dlatego też nadszedł czas niepodległości dla Meksyku. Wykazał słuchaczom, jak się nad nimi znęcali żołnierze i władcy hiszpańscy, jak niszczyli dobytek, jak się pastwili nad biednymi Indianami na których on

miał wielkie wpływy. Następnie uderzył w wielki dzwon kościelny, teraz noszący miano "dzwonu wolności." Rzucił hasło: "Niech żyje Najśw. Maria z Guadalupe! (cudowne miejsce w pobliżu miasta Meksyko, odpowiadające naszej Matce Boskiej Częstochowskiej), Niech żyje Ameryka! Precz ze złymi rządami!." Z chorągwią kościelną na czele ruszył do walki o wolność Meksyku. Ks. Hidalgo zajął kilka okolicznych miasteczek i już ze znacznymi siłami bo liczącymi ponad 20,000 ochotników udał się pod mury wielkiego i po Meksyku najbogatszego miasta Guanajuato. A chociaż jego żołnierze byli tylko uzbrojeni w łuki, strzały i oszczepy, jednak w zażartej bitwie rozgromili wojska hiszpańskie i z okrzykiem Mueran los Gachupines —"śmierć Hiszpanom", w pień ich wycięli. Po zwycięstwie odniesionym nad Hiszpanami sowicie zaopatrzył się w pieniądze oraz ochotników i ruszył na dalszy podbój. Wszystkie osady, do których się zbliżył ze swą armią ochotniczą, sprzyjały mu, zasilając go ochotnikami, żywnością i pieniędzmi.

Biskup Lizana z Michoaclan rzucił na tego księdza powstańca exkomunikę, polecając duchowieństwu, aby z ambon występowało przeciwko niemu. To go jednak bynajmniej nie zraziło, a nawet fakt, że wyznaczono na jego głowę dziesięć tysięcy pesów nagrody, zyskało mu tym więcej ochotników i sprzymierzeńców. W swym marszu na stolicę pod Monte de las Cruces rozgromił wojska rządowe, z katedry z Valadolid zabrał ogromne sumy, za co go znów spotkała nowa exkomunika. Prawdopodobnie gdyby nie zatrzymał się w swym marszu na miasto Meksyko byłby je zajął bez trudności. Jednakowoż wstrzymał się w pochodzie, dając przeciwnikom możność zorganizowania obrony i zebrania większych sił a szczególnie artylerii, która później rozgromiła daleko większe, ale kiepsko zorganizowane tłumy księdza — rewolucjonisty. Jedenastego stycznie 1811-go roku, pod Puente de Calderon, ks. Hidalgo poniósł ostateczną klęskę i ze swymi dowódcami Allenda, Aldama i Jiminez dostał się do niewoli. Spiskowców rozstrzelano a ich głowy w koszach wywieszono na czterech rogach więzienia Alhondiga, w mieście Guanajuato, z ostrzeżeniem "dla Meksykańczyków, którzy wywołują rewolucje przeciwko rządowi hiszpańskiemu". Dopiero po uzyskaniu niepodległości zabrano stamtąd głowy i wraz ze zwłokami bohaterów pochowano uroczyście w Meksyku w katedrze pod ołtarzem królów. Biedny ksiądz meksykański, mimo exkomuniki jest pochowany w katedrze, jednej z najpiękniejszych na zachodnim kontynencie. W Meksyku niemasz jednego miasteczka, któreby na jego cześć nie miało parku czy ulicy nazwanej "Avenida de Hidalgo".

Walka o niepodległość nie ustała ze śmiercią księdza Hidalgo. Prowadził ją dalej i to bardzo skutecznie inny ksiądz, José Maria Morelos. W walkach o niepodległość nosi on miano "Bohatera stu

bitew". Ze swymi powstańcami gromił najlepsze pułki hiszpańskie, wyćwiczone i zahartowane w wojnach napoleońskich. Wśród wiejskiego kleru było bardzo dużo sympatyków i bojowników o niepodległość, zato episkopat silnie obstawał przy rządzie hiszpańskim, który za to nadał i gwarantował Kościołowi rozmaite przywileje. Ksiądz Morelos jak i jego poprzednik ks. Hidalgo został pochwycony przez żołnierzy hiszpańskich i w kajdanach odstawiony do stolicy. Trybunał kościelny natychmiast go potępił, pozbawił wszelkich praw i przywilejów kościelnych i oddał go w ręce władzy cywilnej, która się też bardzo prędko — przez rozstrzelanie — z nim załatwiła.

Chociaż kilku z przewódców, — w tym wypadku księży, — zginęło za wolność, nie zaniechano walki. Po całym kraju tworzyły się oddziały ochotnicze i napadały garnizony wojskowe, wyrządzając poważne straty rządowi hiszpańskiemu. Ten okres walk trwał kilka lat i przypominał poniekąd nasze walki w powstaniu styczniowym.

Nareszcie jeden z dowódców rządowych, generał Augustin de Iturbide, zaczął pertraktować z powstańcami i w końcu doszło do porozumienia. Uchwalono nowe ustawy i gwarancje zwane "Las Tres Guarantias". Na mocy tych ustaw gwarantowano wolność Kościołowi, niepodległość Meksyku i równouprawnienie Hiszpanom i Meksykanom zamieszkującym w Meksyku. Sztandar meksykański, w myśl tej uchwały, składa się z trzech barw: kolor biały oznacza czystość religijną, czerwony — łączność krwi hiszpańskiej i meksykańskiej a zielony — niepodległość. Herb meksykański przedstawia orła, siedzącego na kaktusie i trzymającego w szponach węża. Pono w starych tradycjach Azteków była legenda, że gdy kapłani ich w swych wędrówkach napotkają orła trzymającego w szponach węża, to będzie miejsce, gdzie się mają na stałe osiedlić. Pono takiego orła znaleźli w miejscu, gdzie teraz jest stolica kraju, miasto Meksyk.

Od chwili odzyskania niepodległości w roku 1821-szym, Meksyk przechodził rozmaite koleje. Był to po Chinach i Rosji największy kraj na kuli ziemskiej. Wiadomo, że Amerykanie najpierw zabrali Teksas, następnie w roku 1846-8 zabrali ten "mały skrawek", z którego wykroiliśmy całą południowo-zachodnią część Stanów Zjednoczonych. Tylko mimochodem wspomniałem o ważniejszych wypadkach naszej sąsiedniej republiki, jedynie, aby podkreślić wpływ kultury hiszpańskiej na prastarą kulturę prymitywnych szczepów indiańskich, których pojęcia religijne, sztukę i zwyczaje bardzo źródłowo opracował były konsul w Nowym Jorku p. dr. Juliusz Szygowski. Walka Indian meksykańskich z obcymi wpływami nie ustała. Pierwszy jej okres skończył się wywalczeniem wolności, w roku 1821-szym czyli w 300 lat po zdobyciu dawnej stolicy Tenochtitlanu. W ostatnich stu latach były tam rozmaite przewroty polityczne.

Częstokroć zrywały się rewolucje, wywoływane przy pomocy kapitałów zagranicznych, którym zależało na zagrabnięciu bogatych kopalni złota, srebra, miedzi czy też terenów naftowych. Były też dotkliwe prześladowania Kościoła katolickiego, gdyż przyznać trzeba, że nie zawsze kler stał na wysokim poziomie swych obowiązków. Widziało się tam zbyt duże kontrasty. Widniał przepych od srebra i złota błyszczących katedr i ubóstwo ludu meksykańskiego, który w łachmanach, na bosaka, okryty zgrzebną zarape, gorliwie się modlił przed obrazem czy figurą świętych pańskich.

Już i tak zbyt długi napisałem wstęp o Meksyku, więc teraz chociaż na parę dni wpadniemy do tego "rogu obfitości", z którego nader hojnie czerpali wszyscy — tylko nie jego obywatele. Moim zdaniem, Meksyk — to najbogatszy, najciekawszy, najpiękniejszy kraj pod słońcem.

ROZDZIAŁ XVIII.

## Topografia - Monterey - Saltillo - Walka byków - Polka.

W biurze Amerykańskiego Klubu Automobilowego, którego jestem członkiem, załatwili mi wszelkie formalności, przygotowali potrzebne świadectwa; to też bez najmniejszych trudności i kłopotów przekroczyłem granicę na moście rzuconym przez rzekę Rio Grande. Grzeczni urzędnicy meksykańscy zabrali potrzebne wykazy. Starsza jakaś pani, bez zaglądania do walizek, przylepiła pieczątki i z życzeniem przyjemnej podróży kazała jechać dalej. Przypomnieli mi tylko, że za piętnaście mil będzie jeszcze jedna stacja cłowa, kontrolująca pieczątki na bagażach. Z dżentelmańskim ukłonem powiedziałem im "gratias", co niby po naszemu znaczy dziękuję.

Jesteśmy więc w sąsiednim kraju Meksyku. Zaraz na wstępie nadmienić wypada chociażby tylko kilka szczegółów co do jego topografii, klimatu, obszaru itp. Meksyk przypomina poniekąd róg obfitości zwrócony ku Stanom Zjednoczonym. Jak to już w poprzednich rozdziałach zaznaczyłem, czerpaliśmy z niego obficie, boć wykroiliśmy dla siebie z Meksyku południową część Stanów Zjednoczonych i jeszcze wciąż z niego czerpiemy ogromne majątki przez inwestycję kapitałów amerykańskich, lokowanych głównie w terenach naftowych, kopalniach złota, srebra, miedzi, we fabrykach żelaza, w kolejach i.t.p. Dolary amerykańskie zapuściły głęboko korzenie do tej prawdziwej puszki Pandory. Boć chociaż z tej mitycznej skrzyni Pandora czerpała przeróżne kosztowności, mimoto znalazła tam także dużo rzeczy niepożądanych i nieprzyjemnych. Meksyk również ma niewyczerpane skarby, a chociaż na południe od Stanów Zjednoczonych, częściowo w podzwrotnikowej strefie, ma uroczy klimat i niezrównany krajobraz. Nie braknie mu jednak nieznośnych upałów. Wśród bogactwa posiada skrajną nędzę, a wśród postępów kultury często był terenem krwawych wojen, okrutnych rzezi, boć nawet stary, pogański kult religijny niekiedy pochłaniał dziesiątki tysięcy żywotów ludzkich. Te właśnie kontrasty stanowią "światła i cienie" tego nader ciekawego, a bardzo uroczego kraju.

Meksyk ma 6000 mil brzegu morskiego. Od wschodu kąpie się w wodach zatoki Meksykańskiej i oceanu Atlantyckiego, a od zachodniej strony, na przestrzeni czterech tysięcy mil opiera się górzystym

stosem pacierzowym o fale oceanu Spokojnego. Rzek wielkich i spławnych nie posiada. Usumacinta i Coatzacoalcos są niezbyt długie i tylko okręciki o płaskich dnach i niezbyt wielkim wyporze wody mogą na nich kursować. Zato rybacy znajdują tu istny raj co do obfitości najrozmaitszych gatunków ryb. Ryby bowiem od dawien dawna stanowiły ważną część żywności tutejszych plemion indiańskich.

"La Republica Mejicana" czyli Rzeczpospolita Meksykańska ma kształt podobny do litery "y", szersza u góry czyli na granicy amerykańskiej, a daleko węższa w części południowej, powyżej przylądka Yucatan. W części północnej wynosi 750 mil, a w najwęższym miejscu ma zaledwo 140 mil szerokości. Długość od północy na południe, wzdłuż potężnego pasma górskiego, Sierra Madre, wynosi niemal dwa tysiące mil, a powierzchnia 766,000 tysięcy mil kwadratowych czyli blisko dwa miliony kilometrów. Zatem Meksyk jest pięć razy większy od Polski.

Nad oceanem Spokojnym, na przestrzeni kilkuset mil ciągnie się górzysty półwysep Kalifornijski, oddzielony od lądu stałego wąską, długą zatoką Kalifornijską. Meksyk posiada dwa olbrzymie pasma górskie. Jest to jakoby dalszy ciąg naszych gór Skalistych i Sierrów. Pasmo zachodnie czyli Sierra Madre Occidental, ciągnie się wzdłuż oceanu Spokojnego i wzdłuż zatoki Kalifornijskiej, a Sierra Madre Oriental, ciągnie się niemal równolegle wzdłuż zatoki Meksykańskiej, ale kilkadziesiąt mil wgłąb kraju. Oba pasma tworzą w swych widłach płaskowzgórze o przeciętnej wysokości 7000 stóp ponad poziom morza. Pasma te łączą się w pobliżu stolicy miasta Meksyku, położonego na wysokości 7000 stóp ponad poziom morza. Stolica jest ze wszech stron otoczona jakoby koroną gór, a wśród nich najpiękniejsze brylanty stanowią dwa wysokie, śniegami pokryte wulkany: Popocatepetl (17,903) i Iztaccihuatl (15,997 stóp wysoki). Od dłuższego czasu oba wulkany są nieczynne, chociaż liczne "trembloeros" świadczą, że w Meksyku są nie tylko "wstrząsy" polityczne, ale nawet daleko niebezpieczniejsze — trzęsienia ziemi. Nad całym pasmem wysokich gór panuje majestatyczna Pico de Orizaba strzelająca ku niebu lśniącym od śniegu wierzchołkiem na wysokość 18,320 stóp czyli jakieś trzy i pół mili.

Ponieważ Meksyk zamiast zimy posiada sezon deszczowy, dlatego nadzwyczaj urodzajne doliny obfitują w najrozmaitsze ziemiopłody, owoce i kwiaty, o jakich się nawet przeciętnym Europejczykom czy Amerykanom nie śniło. W lasach żyje wielkie mnóstwo przepięknych, bogatobarwnych ptaków jak papugi, parokietki, indyki, bażanty i.t.p. Nic więc dziwnego, że w starym Meksyku przy tym ogromnym bogactwie barwnych ptaków rozwinęła się manufaktura boga-

tych i zdobnych pióropuszy. Nosili je wysocy urzędnicy, kapłani i wodzowie.

Po chwilowym przystanku na stacji celnej, gdzie do auta zaglądnął meksykański urzędnik, ruszyłem w dalszą drogę do przemysłowego miasta Monterey. Zdaje się, że urzędnicy meksykańscy lubują się w broni, gdyż każdy z nich taszczył na szerokim pasie naszego automatycznego Colta, a jak wiadomo, jest to wcale efektowna "spluwa". Droga, którą teraz jedziemy przez dzikie, kaktusem i kwitnącymi palmami pokryte pustkowia, stanowi obecnie główną linię samochodową między Stanami Zjednoczonymi, a miastem Meksykiem. Zapewne za kilkadziesiąt lat będzie można swobodnie jechać

Droga w Meksyku

autem od mroźnej Alaski przez całą Amerykę Północną, Środkową i Południową aż do Terra del Fuego. Ale obawiam się, że wasz piszący szofer tak długo nie pożyje, ażeby was tam samochodem obwozić i te cuda natury opisywać.

Co tylko ukończono tę wspaniałą, międzynarodową autostradę. Pierwsze pięćdziesiąt mil, proste jak strzała. To moje czterokołowe bydlę amerykańskie nigdy nie było poza granicami kraju, a po meksykańsku także nic nie rozumie. Gdy więc swymi elektrycznymi ślepiami zerknęło na tablicę przydrożną, na której widniało jak wół napisane po hiszpańsku "Velocidad 80 km par hor", puściło się jak wściekłe i wprost nie mogłem go pohamować. Tłumaczę mu na rozum i mówię: "Ty ośle detroicki, pamiętaj, że kilometr to nie mila i trzeba

niemal dwa kilometry na jedną milę a więc 80 kilometrów to zaledwie 50 mil". Ale ja swoje, a ono swoje. Twierdzi, że czy 80 kilometrów czy 80 mil, to u niego wszystko jedno i wali jak oparzony 80 mil. Perswaduję, że tak w cudzym kraju nie można, że może nas jaki meksykański policjant chwycić, a wtenczas dopiero będziemy mieli "trubel" z nim się dogadać. Ale samochód jakby ogłuchł. Więc też zdegustowany gadam mu: "Chcesz, to pędź na złamanie karku, tylko pamiętaj, że jeżeli się stanie nieszczęście, to ty odpowiadasz, a przecież widzisz, że dostojne towarzystwo Czytelników z nami jedzie, więc też szanuj siebie i nas". Zaledwo raczył stanąć, gdy się ukazała mała karczma przydrożna z angielskim napisem "Ice cold beer" czyli — piwo na lodzie. To i on natychmiast zrozumiał i stanął, a nawet parę razy go uprosiłem, aby się zatrzymał, gdy zauważyłem jakiś niezwykły widoczek i chciałem go odfotografować. Po za tym na nic nie zważał, tylko pędził. Nawet się nie zatrzymał, gdyśmy się wspinali malowniczymi serpentynami przesmykiem zwanym Mameluque Pass na zbocza Sierra Madrów. Dlatego też bardzo szybko, w nie całych trzech godzinach, pokryliśmy blisko 150 mil od granicy, aż do dużego, przemysłowego miasta Monterey, rozbudowanego wśród szerokiej kotliny górskiej. Na przedmieściu znalazłem bardzo piękne, murowane kabiny turystyczne, otoczone palmami i długolistnymi krzewami bananów, na których zwieszały się pęki smacznego, a pożywnego owocu. Ceny przystępne, obsługa bardzo grzeczna, klimat górski, ciepły a niezbyt gorący, wieczory i noce chłodne, więc czego można jeszcze żądać od Meksykanów, których nasze głuptasy uważają za "dzikich", gdy oni tymczasem posiadali już wysoką kulturę wtenczas, gdy nasi pradziadowie mieszkali w głębokich lasach, jak prawdziwe dzikusy.

Miasto Monterey

Po zakwaterowaniu się we wygodnej i czyściutkiej kabinie pojechałem do miasta, aby się cośkolwieczek z nim zaznajomić. Meksykanie uważają to miasto za "bardzo zamerykanizowane" — "muy americanizado". Przyznaję im słuszność, gdyż łączy się tu piękne z pożytecznym czyli, jak mówią "lo util y lo agradable". Na peryferiach miasta napotyka się duże stalownie, rzeźnie, a co najważniejsza — duży browar Cuauhtemoc. Piwo "carta blanca" i "bohemia" jest na równi z najlepszymi piwami amerykańskimi i europej-

skimi, więc już ten fakt, że się jest w pobliżu świetnego browaru "cerevecerii", daje turyście poczucie pewności, że z pragnienia tu nie umrze, a nawet nie potrzebuje zaglądać do cuchnących "pulquerii", w których Meksykanie zapijają się fermentowanym napojem, wydobywanym z ogromnych kaktusów (maguay). Ten to napój, po dwudziesto czterogodzinnej fermentacji przybiera kolor mleka, a właściwie serwatki i posiada, jak mówią nasi porządnego "kika", czyli znaczny procent alkoholu. Pulque jest narodowym napojem Meksykańczyków.

Nie tylko główne bulwary, parki i place, ale nawet boczne uliczki i zaułki były tak czyściutkie, że wątpię, czy którekolwiek miasto amerykańskie mogłoby się pochwalić lepszym porządkiem i tak wzorową czystością. Myślałbyś, że co tylko każdy kącik skrupulatnie wymietli i wyszorowali. Jak każdy amerykański turysta, — a tych znajdziesz tu pod dostatkiem, — zaglądałem do sklepów, w których sprzedawano typowe meksykańskie wyroby, biżuterię, piękne, delikatnie robione branzoletki na wzór wyrobów weneckich, rzeźby zdobione dawną meksykańską sztuką, szale i mantylle, a przedewszystkim duże, ciężkie, chociaż nieraz bardzo bogato barwne koce wełniane, zwane "zarape". Typowy Meksykańczyk z ubogiej klasy nosi taki garnitur: duży słomiany kapelusz, białą koszulę i takież spodnie; często chodzi na bosaka a jeśli nie — ma na nogach rodzaj sandałów podobnych do tych, które noszą niektórzy zakonnicy. Jeżeli nie stać go na podzelówkę ze skóry, posługuje się chętnie starymi gumami od samochodów. Na tej bardzo skromnej garderobie nosi ów płaszcz czyli zarape. Niektóre płaszcze są bardzo gustowne i bogato w kolory zdobione, inne zaś pospolite, szare pakuły. Ubranie to jednak chroni go od zimna i służy mu częstokroć za posłanie, gdyż klasy uboższe, mieszkające w małych, odludnych wioskach nie znają łóżek i życie ich jest bardzo przymitywne.

Wioska meksykańska

We śródmieściu jest Plaza Cinco de Mayo czyli Plac Piątego Maja. Place lub ulice tej nazwy znajdują się niemal w każdym mieście, boć to rocznica zwycięstwa odniesionego przez generała Ignacego Zaragozę nad wojskami francuskimi, d. 5-go maja 1862-go roku. To zwycięstwo zadecydowało o losach i życiu cesarza Maksymiliana, rodzonego brata cesarza austryackiego, Franciszka Józefa.

W pięknym gmachu rządowym, zbudowanym przy tej ulicy, można oglądać karabiny, którymi uśmiercono cesarza Maksymiliana. Piękne witraże przedstawiają wybitnych bohaterów meksykańskich, jak ks. Hidalgo, Benito Juareza (wymawia się Huarez), ich wielkiego męża stanu i wieloletniego prezydenta, generała Ignacego Zaragozę, bohatera bitwy pod miastem Pueblo, stoczonej 5-go maja, 1862-go roku z wojskami francuskimi. Tu wypada zrobić małą, historyczną, ale ważną dygresję. Podczas naszej wojny domowej, Francuzi wiedząc, że jesteśmy zaprzątnięci osobistymi obrachunkami, chcieli się usadowić na tym kontynencie, ot tak pod naszym bokiem. Przy pomocy swych wojsk, Napoleon, noszący przydomek "małego", posadził na tronie arcyksięcia Maksymiliana. Meksykańczycy w iście bohaterskich walkach pokonali wojska najeźdźców, a Bogu ducha winnego Maksymiliana pochwycili i rozstrzelali. Jeszcze tu dodam jeden ciekawy incydent. Wśród pochwyconych żołnierzy francuskich znalazł się także znakomity rzeźbiarz włoski, który w nocy, przy świetle świecy, potajemnie z wosku zrobił podobiznę miniaturową Cesarza i tę zdołał przedostać do Nowego Orleanu. Pamiątka ta znajduje się obecnie w jednym z zakładów katolickich. Cesarz Franciszek Józef chciał nabyć tę dla siebie tak drogocenną, a równocześnie tak tragiczną pamiątkę, ale zakład mu jej nie sprzedał.

Jak każdy turysta w obcym mieście i kraju, włóczyłem się po ulicach, zaglądałem do sklepów z "pamiątkami" przeznaczonymi dla amerykańskiej klienteli, poszedłem do lepszej restauracji na kolację, ale i tu gorące jak ogień peperony i mdłe "tortille" jakoś mi przez gardło przeleźć nie chciały. Pragnąłem jednak skosztować kuchni meksykańskiej.

Zaszedłem także na jeden z rynków miejskich, gdzie biedniejsza ludność zakupowała artykuły spożywcze, jarzyny, owoce, kury, jaja itp. Takie same rynki znajdziecie w Cleveland, Buffalo, Katowicach i Krakowie, z tą jednak różnicą, że słyszy się inną mowę, a także widzi się inne towary. Tu okoliczni rolnicy przynoszą na sznurku powiązane kury i koguty. Przy mnie stanął Meksykańczyk w szerokim, słomianym kapeluszu — sombrero — i ma na sprzedaż świeże ananasy (pine-apple.) Możesz kupić całego ananasa albo też plaster, na którym muchy urządzają sobie sutą ucztę. W Ameryce, w niektórych składach muchy nie znajdziesz, tu zaś na takie malutkie owady nie zwracają najmniejszej uwagi. Poza wiktuałami, sprzedają tu obuwie, ubranie, zarapy, słomkowe kapelusze, zabawki i baloniki dla dzieci. Wszędzie słyszysz mało zrozumiałą mowę hiszpańską, oczywiście nieco odmienną od tej, którą się posługują w Madrycie czy Barcelonie; tak samo, jak nasza "amerykańska polszczyzna" byłaby może niezrozumiałą nawet dla członków Akademii Umiejętności, o ile ci nie znają

języka angielskiego. Tu także pełno nazw i naleciałości indiańskich, już nawet nie wspominam niemożliwych do wymówienia nazw tutejszych miast i wiosek.

Chociaż w Meksyku nie bardzo kochają "los Americanos," jednakowoż każdy czy cywilny czy policjant był bardzo uprzejmy i grzeczny, a nieraz taki "caballero" z gracją zdejmie nawet szerokie sombrero, łamaną angielszczyzną daje potrzebne objaśnienia lub też szuka znajomego, któryby mógł udzielić niezbędnych informacyj. Mogą to być ludzie biedni, ale są grzeczni i wypada być grzecznym wobec nich, bo tym sposobem najdalej się zajdzie. Wieczorem wróciłem do mej wygodnej kwatery i tam zamówiłem przewodnika na dzień następny, bo chciałem lepiej zwiedzić miasto i okolicę.

Rano po śniadaniu pojechaliśmy z przewodnikiem do katedry na mszę św., bo to niedziela. Katedra znajduje się na przeciwnej stronie miasta, przy małym skwerze — Plaza Zaragoza. Budowę katedry rozpoczęto w roku 1630-tym a ukończono dopiero w roku 1883-im czyli pracowano nad nią okrągłych 250 lat. Gmach duży, chociaż ani wewnątrz ani zewnątrz nic nadzwyczajnego nie przedstawia. Podczas wojny z Meksykiem w roku 1846 i 7-ym, katedra służyła za magazyn prochu i dużo ucierpiała od kul armatnich. Za to wieża i front katedry w stylu barokowym dodają jej pewnego wdzięku. Nie masz tu jednak bogatych ołtarzy, kratek, chrzcielnic, olejnych obrazów pędzla najsłynniejszych hiszpańskich artystów, a nawet brak tych pięknych polichromii i dachówek, z których słynie Pueblo, Guadalajara i Meksyk. Przy bocznych krużgankach były kapliczki i obrazy świętych, przed którymi z wielkim nabożeństwem modlili się biedni Meksykanie. Widać, że lud prosty w Meksyku, zresztą jak i w naszych osadach czy też w Polsce po wsiach, zachował gorliwą wiarę. Przyznam, że byłem zbudowany tą gorliwością i pobożnością ludu zanoszącego gorące modły do Boga.

Przyjechaliśmy do katedry za wcześnie, trzeba więc było czekać pół godziny na mszę św. Chciałem skorzystać z tego czasu i chociażby na chwilę oglądnąć sąsiednie ulice, schludne domki i piękne kasyno. Domy mieszkalne są częstokroć budowane z gliny t. zw. adobe. Jest to właściwie niewypalana cegła, robiona z gliny i słomy, suszona na słońcu. Grube gliniane mury są otynkowane białym czy też nieco różowym wapnem, a przy małych ozdobach, styl ten jest bardzo piękny, a mieszkania, szczególnie latem, są chłodne. Od strony ulicy kamienice meksykańskie są bardzo skromne; kilka zakratowanych okien, czasem na piętrze mały balkonik, drzwi grube, a na drzwiach ciężkie okucia. Zato przy każdym większym mieszkaniu, zdala od pożądliwych oczu przechodniów, znajdują się miłe "patio", otoczone kolumnami, na których pną się róże; na środku ogrodu często się

widzi małe fontanny, statuetki, klomby kwiatów i starannie utrzymywane trawniki. Tu płynie życie zamożniejszego Meksykańczyka.

Gdy się tak wałęsałem z mym przewodnikiem, po czyściutkich ulicach, zobaczyłem niespodzianie tak piękny obrazek, o jakim tylko mogłem dotąd marzyć. W jednym ze schludnych domów mieszkalnych, na piętrze, wyszła na balkon przecudnej urody młoda, może szesnastoletnia Meksykanka. Miała na sobie skromną, ale piękną sukienkę, krucze gładko uczesane włosy na które zapewne przed udaniem się do katedry zarzuciła czarny szalik robiony z delikatnej koronki. Kobiety meksykańskie nie chodzą do kościoła w kapeluszach, tylko w czarnych a niekiedy w białych artystycznej roboty welonach, może daleko kosztowniejszych od damskich kapeluszy. Zato biedne kobiety mają chusty podobne do tych, jakie noszą w Polsce kobiety wiejskie. Bardzo mi się ten zwyczaj podoba.

Gdy zobaczyłem na balkonie to przecudne dziewczę, myślałem, że patrzę na najpiękniejszy pączek róży, zwieszający się na żelaznej poręczy. Okrągła, rumiana twarzyczka, kibić smukła, krucze, czarne włosy i jak węgiel czarne oczy. Nic dziwnego, że za starym Mickiewiczem zawołałem, gdzie tam zawołałem, — wprost zawyłem z rozpaczą: "Młodości podaj mi skrzydła," żebym wzleciał "w rajską dziedzinę ułudy"... W tym jednak wypadku, lepiej byłoby, gdyby mnie młodość zamieniła w pięknego, meksykańskiego kawalera; aby mi podała "bez rajskiej ułudy," ich bogaty i piękny strój narodowy, a więc: szeroki z delikatniej panamskiej słomy pleciony kapelusz ze srebrnymi tasiemkami, niechby mi dała białą koszulę, rozpiętą cośkolwiek na szyi, na to aksamitny, bogato złotą nicią wyszywany żakiecik; do tego potrzebny pas lity, jedwabny na wzór starych polskich pasów, spodnie z czarnego aksamitu, pięknie wyszywane na sposób góralski, ciasne u góry, u dołu szersze z czerwonymi wypustkami i srebrnymi lampasami, buciki zaś na wysokich obcasach z dużymi srebrnymi ostrogami. Przez plecy przerzuciłbym, tak od niechcenia, bogaty, barwą tęczy mieniący się szal wełniany. Gdyż dopiero tak wystrojony "caballero" meksykański, z gitarą w ręce, może się wybrać na konkury, czy jak tu mówią — "grać niedźwiedzia."

Kawaler w pięknym stroju narodowym, jeżeli jest muzykalny, podchodzi do mieszkania swej kochanki wieczorem. Dopiero o blasku księżyca, nuci jej piosenki miłosne jak "La Paloma" czy inne. Wie on dobrze, że poza firanką czy kotarą bardzo pilnie go śledzą oczy nietylko młodej panienki ale także rodziców. Jeżeli dobre zrobił wrażenie, i jeżeli okrężną drogą otrzymali o nim dodatnie informacje, że godny z niego będzie małżonek, wtenczas niby ukradkiem ukaże się na momencik twarzyczka nadobnej panienki. Za następnym razem tej serenady, w nagrodę uzyska miły uśmiech, z czasem zamienią kilka

słów, może w nagrodę otrzyma kwiatek róży, a dopiero po dłuższych konkurach czy "odgrywaniu niedźwiedzia" zapraszają go rodzice do mieszkania. Dopiero wtenczas nawiązuje się bliższa znajomość, wiodąca ewentualnie do ślubnego kobierca.

Ponieważ nie jestem młodym Meksykańczykiem, ale raczej już dosyć łysym i siwym "starszym panem," dlatego w grę tu nie wchodzę. Uśmiechnąłem się więc do niej, wskazując na aparat, dałem jej do zrozumienia, że chciałem zrobić zdjęcie, ona zaś z uśmiechem się na to zgodziła. Zato ukłoniłem się jej z gracją, ona znów obdarzyła mnie czarującym uśmiechem. Wracając z mym ciceronem do katedry, w duchu życzyłem jej, aby życie opromieniło ją szczęściem...

Po nabożeństwie włóczyliśmy się po mieście, oglądając ważniejsze gmachy, ulice, parki a nawet fabryki. Pytałem się mego przewodnika, czyby mi nie mógł wskazać miejsc, w których się bili Amerykanie z Meksykanami w roku 1847-ym. Ale ten biedaczysko widocznie prochu nie wymyślił i nic o tych walkach nie wiedział. Zresztą mu się nie dziwię, bo czemu miałby sobie zabijać głowę tak bolesnymi dla nich pamiątkami.

Na periferiach miasta, na szczycie małego wzgórza, Chepe Vera, znajdują się ruiny starego pałacu biskupiego, zbudowanego w roku 1785-tym. Pałacyk i mała kapliczka w stupięćdziesięcioletniej historii przechodziły rozmaite koleje. Po konfiskacie dóbr kościelnych za czasów Benita Juareza, pałac zamieniono na koszary wojskowe. Podczas wojny z Meksykiem wzgórze było silnie obwarowane i dużo krwi amerykańskiej polało się tutaj zanim punkt strategiczny zajęto. Ładny to musiał kiedyś być pałacyk. Zbudowany w stylu renesansowym z piękną kopułą stanowi przepiękny widok. Stał się teraz historycznym zabytkiem. Pałac jest już ruiną, gdyż porządnie poharatały go armaty generała Taylora, później sami tu z sobą walczyli Meksykańczycy, a ostatnio — poprzednio już wspomniany Pancho Villa zakwaterował się tu i bronił przed wojskami rządowymi. Pokazywano turystom otwory w grubych murach, którymi strzelano z karabinów maszynowych do zbliżających się nieprzyjaciół.

"Być w Rzymie a papieża nie widzieć" to źle, chociaż i to mi się przytrafiło, a to dlatego, że nie kandyduję na żadne dostojeństwa kościelne. Być zaś w Meksyku i nie widzieć walki byków też niedobrze. Więc też mimochodem zapytałem się mego cicerona, czy tu przypadkowo w Monterey, albo okolicy, niema jakiej walki byków?

—Owszem, jest.

— Gdzie?!...

— Dziś o czwartej po południu w Saltillo.

— Gdzie jest Saltillo, do stu kaduków?

— Pięćdziesiąt mil stąd na zachód. Droga świetna, ciągnie się ot tu zaraz przy pałacu, który teraz oglądamy.

Już mnie nic więcej w Monterey nie ciekawiło. Chciałem koniecznie dostać się do Saltillo, — jak się później okazało, — bardzo miłego miasteczka, położonego wysoko na tym ogromnym płaskowzgórzu. Więc też czym prędzej pożegnałem mego urzędowego przewodnika i ruszyłem na zachód, stale pnąc się wgórę na wysokość 7000 stóp nad poziom morza do Saltillo. Tam bowiem o czwartej po południu ma się odbyć ta dla mnie intrygująca — walka byków. Chociaż tak prawdę powiedziawszy, — życie ludzkie, to także w swym rodzaju walka byków —. tylko dwunożnych.

Szkoła w Saltillo

Za dobrą godzinkę byłem już na przedmieściach Saltillo. Mijam ogromną, w modernistycznym stylu zbudowaną szkołę, której mogłoby im pozazdrościć którekolwiek miasto amerykańskie i skwapliwie dopytuję się dosyć kiepską plątaniną francuszczyzny i języka hiszpańskiego o — Stadion del toro. Ale te gawrony nie doceniając mej mowy, wybałuszyły na mnie ślepie, kręcąc głową coś niedowierzająco. Więc ja w obawie, że się spóźnię, gadam im i dopytuję się, gdzie jest do kroć set tysięcy beczek i furgonów "stadio del byko?!" Odrazu się połapali i wskazali dosyć duży stadion na przedmieściu, do którego ciągnęły małe gromadki amatorów tego krwawego sportu. Zakupiłem bilet za dwa pesy, czyli około 70 centów amerykańskich i jeszcze kilka grajcarów dodałem za poduszkę i niczem "burżuj amerykański" zasiadłem po stronie cienistej czyli "sombre." Biedne Meksykany kontentowały się siedzeniami po stronie słonecznej "del sol." Zresztą do słońca są tu wszyscy przyzwyczajeni.

Wraz z biletem wręczono mi program, na którym widniały nazwiska matadorów i innych wielkości, mających występować w tych popisach. Biografii poszczególnych byków jednak nie podawali, co uważałem za krzywdę wyrządzoną bykom! W Ameryce nie toleruje się czegoś podobnego, bo jeżeli podają n. p. podobiznę jednego pyskotłuka, — co poniekąd odpowiada walce byków meksykańskich, — równocześnie podają fotografię i biografię przeciwnika. Chciałem już założyć protest, ale się nie mogłem dogadać, więc siedziałem cicho, ale w duchu sympatyzowałem z . . . bykami! Na wszelką ewentualność wziąłem ze sobą dwie kamery, by tę walkę unieśmiertelnić na ekranie obrazków migawkowych i chociażby jakim takim zdjęciem do książki.

Przysiadł się do mnie komiwojażer aż z Rochester, N. Y., który tu sprzedawał maszyny do liczenia. Na szczęście przyłączył się do nas Meksykańczyk mówiący doskonale po angielsku. Jak się później okazało, był to porucznik armii meksykańskiej... Brał on swego czasu udział w jakiejś rewolucji, a że był po stronie przegranej, więc też zbiegł do Stanów Zjednoczonych i tu się wyuczył języka angielskiego. Dzięki temu znalazłem się w nader dogodnych warunkach do poznania tego najulubieńszego sportu Hiszpanów i Meksykańczyków. Służę więc zdobytymi wiadomościami.

Walki byków w Hiszpanii zaprowadzili pono Maurowie, w dwunastym stuleciu. Miały one na celu wykazanie odwagi kontestanta, a zarazem popisów w robieniu bronią. Walki te przyjęły się u Hiszpanów i stały się sportem królów i książąt. Z podbojem Meksyku przez Hiszpanów, wśród innych zwyczajów hiszpańskich, wprowadzono tu także walki byków. Czym dla Amerykanów są walki na pięści, basebale i footbale, tym dla Meksykanów i Hiszpanów są "corrida de toros," walka byków.

Nie myślcie, że walka byków polega na tym, że chłop lagą czy też widliskiem byka "spierze," albo że byk pobodzie go rogami. W Hiszpanii i Meksyku należy to do wykwintnego ceremoniału i wielkiej uroczystości. Przedewszystkim kilka kategorii, znakomicie wyćwiczonych ludzi i to w dodatku bogato wystrojonych bierze udział w tych krwawych, a dla wielu wstrętnych popisach.

Najważniejszą osobistością, wprost bohaterem dnia, jest oczywiście — bykobójca czyli "matador." Taki jegomość, bardzo gustownie ubrany, błyszczący od złota, szeleszczący jedwabiami i aksamitami — jest ulubieńcem publiczności. Szczególnie czarnookie Hiszpanki, ubóstwiają takiego "bohatera." Niektórzy z najwybitniejszych matadorów, za swą stosunkowo krótką, ale niebezpieczną pracę, pobierają duże honoraria, bo od trzech do pięciu tysięcy dolarów. Wcale niezła zapłata za sprawne zabicie byka. Sądzę, że i byk więcej ceni śmierć z ręki takiego artysty aniżeli z rąk jakiegoś "matadora novillera," na którego mazgajskie popisy patrzałem w Saltillo. Chyba to u byka nie należy do przyjemności, aby mu ktoś długą szpadę między żebra pakował i żeby z tym żelaziwem uganiał się po arenie. A i to widziałem na tym niezwykłym popisie.

Poza matadorem czyli bykobójcą, idą t. zw. "banderilleros" których zadaniem jest w odpowiednim momencie wbić bykowi na grzbiecie dwa małe, w chorągiewki zdobne harpuny, czyli dzidy stalowe. Czynią to w tym celu, aby byka tym bardziej rozjuszyć. Zwykle taki spryciarz podchodzi do byka, a gdy ten pochyla łeb, by swego antagonistę nadziać na rogi, banderilleros wbija mu po obu stronach szyi owe przyrządy tortury. Trzecią klasę dręczycieli stanowią — "pica-

dores." Są to jeźdźcy grubo watowani, na dosyć herlawych koniskach, także zabezpieczonych z jednej strony grubymi skórzanymi fartuchami, by ich rozjuszony byk zbyt łatwo na rogi nie nadział. Za broń służą im okrągłe drążki, rodzaj lancy, zaopatrzonej na końcu krótkim, stalowym gwoździem, którym od czasu do czasu po żebrach szturchają rozjuszonego byka. Do kompletu kontestantów należą zwinni "chulos", którzy czerwonymi płachtami, rozjuszonemu bykowi że tak się wyrażę, — "zawracają gitarę," Gdy bowiem byk któregoś z nich do muru przyprze, wtenczas inny nadlatuje i zacznie mu czerwoną płachtą przed oczyma wywijać, a byk, zamiast się z tamtym jak należy załatwić, zaczyna gonić nowego napastnika, podczas gdy tamten ucieka. Zdarza się, że niejeden z takich naganiaczy, będąc w niebezpieczeństwie, skacze przez płot, jak żaba, aby się uchronić przed ostrymi rogami rozjuszonego bydlaka, a czasem nawet bydlak czyni to samo. Zdarzył się tu nawet wypadek, że byk przeskoczył wysoki płot, wdarł się na estradę między widzów i dopiero tam go zastrzelono.

Po tych wstępnych uwagach i objaśnieniach przypatrzmy się teraz, wraz z niewielką gromadą Meksykanów tym krwawym popisom. Zaraz na wstępie zaznaczę, że nie był to pierwszorzędny popis, boć tak matadorzy, jak i byki były drugorzędne, czyli "novillerzy." Mam nadzieję, że gdzie indziej lepiej się popisują.

Na okrągłym, niewielkim stadionie uwijali się Meksykańczycy z kubłami wody, zlewając sypki piasek. O czwartej głos trąbki oznajmił publiczności, że walki się rozpoczynają. Z drzeniem serca na ten moment wyczekiwałem. Na arenę weszli trzej "matadorzy," tylko nie w paradnych, odświętnych ubiorach, ale tak sobie w zwykłym codziennym ubraniu. Za nimi zaś szli i jechali na końskich kościotrupach pikadorzy i cała czerada ich pomocników z czerwonymi płachtami. Gdy ta procesja solennie przedefilowała przed zebraną publicznością i każdy z nich zajął wyznaczone miejsce, głosem trąb oznajmiono wejście na arenę pierwszego byka. Na grzbiecie miał szpilką przypiętą do skóry dużą zieloną kokardę, barwy "rancia," na którym go wychodowano. Mój nowopoznany Meksykańczyk, p. de Santo, który nawet sam ten fach uprawiał do czasu, aż mu byk rogiem na brzuchu nauczkę wypisał, zaczął nam tłumaczyć wszystkie bycze i ludzkie manewry. Dowiedzieliśmy się, że to nie były ani pierwszorzędne byki, ani matadorzy, ani nawet publiczność — z wyjątkiem może waszego piszącego szofera. Podobno pierwszorzędny matador nie będzie takiego byka-herlaka po żebrach szpadą szturchał, a znów arystokratyczny, importowany z Hiszpanii byk, za którego płacą ponad tysiąc dolarów sztuka, nie będzie stawał do walki z takim pospolitym partaczem i tylko ogon podniósłszy, coś brzydkiego na niego wypnie.

Rozpoczęła się walka. Machery z czerwonymi płachtami zaczęli nimi wywijać bykowi pod nosem, a ten się za nimi uganiał, prując rogami powietrze, bo zwinne to juchy ci naganiacze. Przypuszczam, że po ciągłym szastaniu i to na próżno musiał byka kark boleć, alem się go o to nie pytał. Gdy się sprzykrzyło to ciągłe buchanie rogami w próżnie, aby bykowi dodać więcej otuchy i "pepu," nadskoczył jeden z pikadorów i znienacka wbił mu w kark dwie "banderillery," a za chwilę drugi, przez łeb wsadził mu z gracją dwie w łopatki. Uważam, że taki figiel bykowi przyjemności nie sprawiał, to też gonił za swymi prześladowcami, jak wściekły, i gdyby mu się udało którego z nich

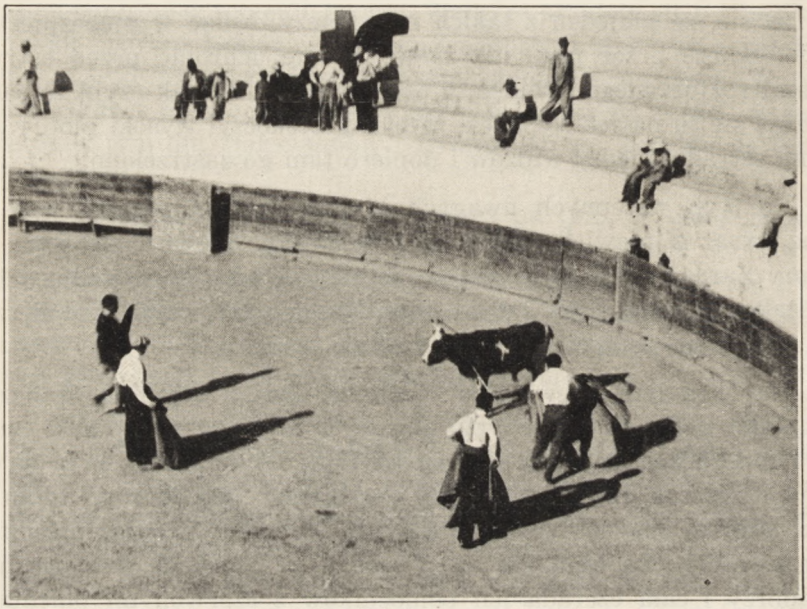

Walka z bykiem

na róg nadziać, toby taki jegomość popamiętał ruski miesiąc. Podczas tych popisów, tylko już z innym bykiem, jeden z banderilleros zamiast bykowi, sobie wpakował w nogę taką banderillerę. Krew strumieniem się polała z przebitej nogi. Na pół omdlałego pomocnika wyprowadzili towarzysze z areny, oddając go opiece lekarza, który jest tu pod ręką i zawsze czeka na takie ewentualności.

Po jakich dziesięciu czy piętnastu minutach tego uganiania, znów trąbą oznajmiono, że teraz czas na matadora, aby byka uśmiercił. Właściwy przepisowy cios śmiertelny i to momentalny można tylko wykonać, gdy byk zajmuje wyczekującą postawę, wsparty na czterech nogach z łbem pochylonym ku przeciwnikowi. Wtenczas bykobójca przygotowuje się do zadania mu śmiertelnego ciosu "estocada." Cięż-

ki, na końcu nieco zagięty rapier, z odpowiednio umocowaną rączką do pchnięcia, pakuje się bykowi między łopatki. Ponieważ kości stosu pacierzowego na grzbiecie są w tej postawie cośkolwieczek od siebie odchylone, dobrze wymierzony cios przecina stos pacierzowy i na miejscu uśmierca bydlaka, który pada, jak gdyby piorunem rażony. Żadnemu z matadorów jednak się ta sztuka nie udała, a rozjuszone byki biegały po arenie z rapierami, pogrążonymi w ich ciele po samą rękojeść. Czasem poranione byki ryczały z bólu, wdzierały się na ogrodzenie, chcąc się wydostać z tej piekielnej tortury. Wtenczas bezbronny matador albo prosił o drugą szpadę, a jeżeli pierwsza nie była zbyt głęboko wepchnięta, brał zagiętą laskę, zahaczał nią za wbitą rękojeść, wyciągał nią zakrwawioną szpadę, by poraz drugi a nawet trzeci próbować szczęścia. Za takie mazgajstwo publiczność wygwizdała matadora, obrzucając go wcale nieprzyzwoitymi epitetami, co przypuszczam, sprawiało bykowi pociechę w jego agonii, gdy z wycieńczenia i upływu krwi dogorywał na arenie. Moje sympatie zawsze były po stronie byka i przy każdej okazji krzyczałem na całe gardło "Vive le byk!"

Młody byczek, którego wpuszczono na arenę, po uśmierceniu jego poprzedników bynajmniej się tym widowiskiem nie interesował. Gdy łapsedarki z czerwonymi płachtami wywijały koziołki przed jego oczyma on nic się tym nie przejmował, tylko lewym uchem kiwał i ogonem merdał. Widząc, że z niego pociechy mieć nie będą, że to był byczek-pacyfista, wygonili go z areny, ale jak mnie zapewniał mój cicerone, śmierci nie uszedł, gdyż go tam za sceną napewno zakatrupiono.

Na tym popisie zabili aż pięć byków, a jeden uszedł z życiem. Skoro taki czworonożny "bohater" ducha wyzionął, otwierała się szeroka brama, na arenę wjeżdżał jegomość z dwoma końmi, zahaczył "nieboszczykowi" za rogi powróz i wywlókł za bramę. Tam już na niego czekali oprawcy-rzeźnicy. W poniedziałek rano, w całym Saltillo jedli ... "byczynę."

Nie zachwycałem się walką byków i gdy jeszcze raz pójdę na takie popisy, wezmę ze sobą winchesterkę i gwarantuję, że od jednego strzału momentalnie każdego byka położę. Rozumiem walkę jaką swego czasu stoczył Ursus z bykiem, któremu do rogów kazał Neron przymocować piękną, a zupełnie nagą Ligię. Zapewne każdy z zapartym tchem czytał ten mistrzowski opis genialnego Sienkiewicza w nieśmiertelnej powieści — "Quo Vadis," — ale takie niemiłosierne kłucie bydlaka, jakie widziałem w Saltillo, nie podobało mi się wcale.

Po skończonym widowisku, zabrałem ze sobą miłego Meksykańczyka i pojechaliśmy parę mil za miasto. Czy domyślacie się celu mej pozamiejskiej wędrówki w towarzystwie oficera meksykańskiego?...

— Zapewne znów jakieś pole bitwy?!

— Zgadliście!

Kilkanaście mil na zachód od Saltillo odbyła się ostatnia i to bardzo zacięta, dwudniowa bitwa, między wojskami generała Taylora, a nam już dobrze znanego "bohatera" z Alamo i San Jacinto, generała Antonio Lopez de Santa Anna. Naszych Amerykanów w dokładnych cyfrach było 4,691, a tamtych ponad 18,000. A więc liczebna przewaga była po stronie tamtych. Tylko, jak zwykle, brakło im zdolnego wodza. Zajechaliśmy na puste pole i młody oficer objaśnił mi cały przebieg walki, pozycje obronne, które wybrał na wzgórzach przebiegły Amerykanin. Mając stosunkowo słabe siły, gdyż część jego wojska odkomenderowano do Vera Cruz, trzymał się na defensywie. Czytałem gdzieś, że przed bitwą Santa Anna wysłał swych parlamentarzy do Taylora, ażeby się poddał bez krwi przelewu. Ten mu odpowiedział, że on na to właśnie czeka aby Meksykanie się poddali. Więc po dłuższych, a bezcelowych pertrakcjach przeciwnicy zaczęli się porządnie łomotać. Santa Anna, — jak mnie zapewniał mój cicerone, — był drań skończony i nie wykorzystał swej przewagi liczebnej, ani nie użył jak należy swej znakomitej kawalerii. Po dwudniowej bitwie ustąpił z pola walki. Na pobojowisku zostało ponad dwa tysiące zabitych i rannych Meksykanów, a ponad 700 zabitych i rannych Amerykanów. W tym miejscu skończyła się ofenzywa amerykańska rozpoczęta bitwami pod Palo Alto i Resaca de las Palmas, o których to potyczkach w poprzednich rozdziałach wspomniałem.

Wróciliśmy do miasta, a po uczciwej kolacji w niemieckiej restauracji poszliśmy do parku. Wieczór i klimat wprost idealny, więc też mój cicerone, abiturient szkoły wojskowej w Chapultepec, zaproponował, abyśmy poszli na plac przed katedrą na zwykłą niedzielną "promenadę." Przygrywała, chociaż może niezbyt harmonijnie, miejscowa kapela wojskowa. Ludzie jak muchy obsiedli ławeczki na małym skwerze, przed piękną katedrą, a młodzież spacerowała po szerokich trotuarach. Co mnie zaciekawiło to fakt, że dziewczęta spacerowały w jedną stronę, a chłopcy w przeciwną. Dawało to im sposobność że co chwila mogli jedni drugich spotykać i w ten sposób się zaznajomić. Ci co już byli z sobą zaręczeni, spacerowali trzymając się pod ramię.

Pytałem się mego przewodnika, czy młodzieńcy zawierają z tymi panienkami szybką znajomość i czy zwyczajem amerykańskim z miejsca, zapraszają na przejażdżkę samochodową, jak się to dzieje teraz w Stanach Zjednoczonych. Zapewnił mnie jednak, że takich rzeczy się u nich nie praktykuje. Gdyby się dowiedziano, że dziewczyna lekkich jest obyczajów, że się włóczy po nocach z kawalerami, toby ją natychmiast z porządnego towarzystwa wykluczono i trudno takiej

wyjść zamąż. Ogromnie mi się ten zwyczaj i rygor meksykański spodobał. Wieczór spędzony w pobliżu wspaniałej, starej katedry, długo mi pozostanie w pamięci. Może Meksykanie nie posiadają tych nowoczesnych urządzeń sanitarnych które mamy w St. Zjed., może nie mają tylu wanien kąpielowych, tylu ustępów z kolorowej emalii oraz papieru toaletowego o zapachu róż, ale za to posiadają wysoki poziom moralny, mają poszanowanie dla cnoty niewieściej, a wiarołomstwo i rozwody są im nieznane. Należy też i o tym pamiętać, że cudzołóstwo, nawet według starych a bardzo surowych praw Azteków karane było śmiercią.

Pan de Santo zaproponował mi wycieczkę do swego "ranchio" czy jak się tam po meksykańsku nazywa zagroda farmerska. Przyjąłem zaproszenie i po śniadaniu ruszyliśmy jakie dwadzieścia mil drogi, do tej wielce przez niego zachwalanej fermy. Jedziemy górzystą okolicą, gdzie było trochę wody. Mijamy sady i olbrzymie pola kaktusów, gatunku magues. Z tej to właśnie rośliny wydobywają sok, który po dwudziestocztero-godzinnej fermentacji, przeistacza się w bardzo efektowny napój wobec którego zwykłe czteroprocentowe piwo może się schować. Gdy się Meksykańczyk strąbi na tej serwatce, którą nazywają "pulque," budzi się dopiero aż za dwa dni. Spróbowałem tego z daleka za serwatką śmierdzącego napoju, ale mi to do gustu nie przypadło.

Za godzinę dojechaliśmy do fermy, o której mi cudy niewidy opowiadał ów jegomość. Pono już sto lat tam zamieszkuje jego rodzina. Zabudowania były z gliny czyli "adobe," a ciągnęły się na dłuższą przestrzeń. Były to właściwie niskie lepianki, każda zawierała po dwa jednopiętrowe pokoiki. W jednym było trochę sprzętów, zapewne to był pokój mieszkalny, a drugi jadalny i sypialny. Podłogi z gliny, sprzęty prymitywne, a gospodarowały tu od słońca opalone Indianki i wałęsała się gromada dzieciaków brudnych i nędznie ubranych.

W rogu jednej ze stancyj był jakoby kominek, na którym rozpalono niewielki ogień, a mała, może dwunastoletnia dziewczynka była zajęta pieczeniem tortillów, o których już kilkakrotnie wspominałem. Tortille są to placki, rodzaj naleśników, robionych z mąki kukurydzanej. Dawniej w każdym domu był niewielki, płaski kamień (metate) na którym okrągłym kamiennym wałkiem mielono ziarno kukurydzy na mąkę, z której następnie wypiekano owe tortille, czyli kukurydzane placki, zastępujące im nasze chleby. Przypatrywałem się chwilkę tej małej dziewczynce, jak ona te placki piekła. W jednej misce miała mąkę kukurydzaną, zmieloną we młynie, w drugiej zaś nieco wody. Dolewając cośkolwiek wody do mąki, wyrabiała z tego

ciasto. Następnie brała po garści ciasta i w dłoniach robiła płaski naleśnik, szerokości dwóch dłoni. Do tych naleśników nie dodają ani soli, ani cukru, ani tłuszczu ani żadnych proszków, nic więcej — tylko mąka kukurydzana i woda. Gdy już placek dłońmi jak należy "wyklepała," kładła go na gorącą, glinianą patelnię, oczywiście bez jakiegokolwiek tłuszczu. Po chwili ciasto to wyschło, a nawet się trochę przypiekło, tak samo jak u nas naleśniki się czasem nieco przypiekają. Wtenczas przewróciła to pieczywo na odwrotną stronę, a gdy się z drugiej strony także cośkolwieczek przypiekło, naleśnik czyli "tortilla" był gotowy. Palcami ściągała z gorącej patelni upieczone tortille i kładła je na talerzu, podobnie, jak my kładziemy naleśniki. O jakiej takiej czystości mowy nie było. Wszędzie pełno much i brudu. Mimo to skosztowałem jeden placek i zapewniłem ją, "że mi bardzo smakuje," z czego się dziewczynka bardzo ucieszyła... W dodatku wsunąłem jej do ręki kilkanaście meksykańskich centów, co dla niej zapewne było wielką fortuną. Tortille zjadają Meksykańczycy z polewką, a czasem zawijają w nie fasolę, gotowane mięso lub inne przysmaki. Gdy się wybierają w podróż, napieką na drogę tych placków i to im służy za pożywienie. Przyzwyczaili się do takiego jedzenia i to im zapewne smakuje, chociaż ja udławiłbym się tymi plackami. W innej części baraku mieszkał stryj i zarządca fermy. Przyjechaliśmy na czas żniw, gdy we woły zwozili duże worki pszenicy. Poza budynkami były ogrody warzywne i trochę drzew owocowych. Mała rzeczułka dostarczała im cośkolwiek nawodnienia. Na ogół było to wszystko dosyć po mazgajsku urządzone, ale zawsze kilka rodzin miało życie i jakie takie utrzymanie.

Zrobiłem kilka zdjęć z tego meksykańskiego "gospodarstwa" i zabieraliśmy się już do odjazdu. Wtem zjawiła się na podwórzu jakaś kobiecina z tobołkami i małą kilkuletnią dziewczynką. Mój towarzysz poprosił mnie, czybym jej nie zabrał do miasta. Zgodziłem się na to i kobietę, dziewczynkę, kosze z jajami, serem, kurami wpakowałem do auta i ruszyliśmy z powrotem do Saltillo. W drodze wywiązała się ciekawa rozmowa. Z moim ciceronem rozmawiałem po angielsku, a on z "Meksykanką" rozmawiał po hiszpansku. Ks. Wojcieszczuk, na kilka miesięcy przed naszą podróżą, otrzymał odemnie polecenie i mały podręcznik, aby się uczył hiszpańskiego języka, gdyż ja miałem inną pracę i nie miałem czasu. Okazało się później, że się nic nie nauczył, a w dodatku, chociażby się nawet był nauczył, nic by to mi nie pomogło, bo on został w El Paso, a ja się tu sam tłukłem po pustyniach meksykańskich.

Chociaż nie mówię po hiszpańsku, ale znając język łaciński i francuski, dosyć dużo rozumiałem z tego, co między sobą szwargo-

tali... Szczególnie dobrze rozumiałem, co mówiła owa kobiecina, która się oczywiście z ciekawością dopytywała, co to za jeden, ten co autem powoził. Mój towarzysz, p. Santos, powiedział jej, że to Polak z Ameryki. Gdy się o tym dowiedziała, powiada, że ona także Polka, z rodziców Stefania Rychwalska, rodem z Pakości, w Poznańskim. Po śmierci ojca, który zginął na wojnie, wyprowadziła się z matką do Hamburga. Tam matka służyła u rodziny niemieckiej. Po wojnie rodzina ta wyjechała do Meksyku i zabrała ją ze sobą. Z czasem wyszła tu zamąż za Meksykanina, ma jedną córeczkę i jak na meksykańskie stosunki nie źle im się powodzi. Umiała jeszcze cośkolwieczek po niemiecku, więc znów w kółko język niemiecki, angielski i hiszpański. Po polsku umiała tylko dobrze znaną kołysankę:

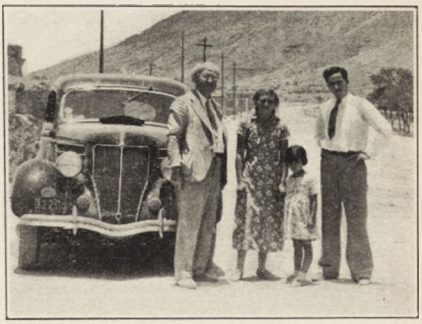

Od lewej: autor, Polka z córezcką i p. de Santo.

"Nad moją kolebką, mama się schylała,
I pacierz po polsku mówić nauczała
Zdrowaś Maryo i Skład Apostolski,
Nauczyła jak kochać biedny naród polski..."

Któżby się spowiedział, że tu na tych odludnych, gorących, kaktusem pokrytych pustkowiach meksykańskich usłyszę mowę i piosenkę polską! Ciekawe, gdzie też człowiek tych naszych wygnańców nie napotyka.

Po powrocie do Saltillo wstąpiliśmy na szklankę "pulque" do "pulquerii" czyli meksykańskiej karczmy. Ale mi ten napój, tak samo jak ich tortille do gustu nie przypadł. W parku obejrzałem wspaniały bronzowy pomnik ich wielkiego bohatera generała Ignacego Zaragozy, obywatela tutejszego miasta, który Francuzom w bitwie pod Puebla, dnia 5-go maja 1862-go roku skórę zerznął. Zrobiłem zdjęcie z pomnika i mych ciekawych towarzyszy podróży. Zakupiłem w starej, prymitywnej fabryce parę meksykańskich szali i koców, zwanych "zarapes," boć z tych właśnie wyrobów słynie owa o cudownym klimacie mieścina. Na wzgórzu oglądnąłem ruiny starego fortu, zbudowanego przez generała Taylora i przez Monterey, bez dalszych incidentów wróciłem nad wieczorem do Laredo.

ROZDZIAŁ XIX.

## Zachodni Teksas - Nowy Meksyk - Pieczary Karlsbadzkie.

Teraz dopiero zaczynamy rozbijać się po bezbrzeżnych pustkowiach, ciągnących się przez cały południowo-zachodni Teksas, Nowy Meksyk i Aryzonę. Jedziesz dzień cały, robisz kilkaset mil autem i tę całodniową podróż możesz streścić w jednym zdaniu, nawet w jednym słowie — pustynia. Z rzadka spotykasz tu wioski i małe miasteczka. Opuszczając Laredo, nad granicą meksykańską, pierwszym większym miastem, do którego przyjedziemy, będzie El Paso, także w Teksas, nad rzeką Rio Grande i nad granicą meksykańską. Odległość jednego od drugiego w okrągłych cyfrach wynosi 700 mil czyli koło tysiąc kilometrów.

Ale jak to powiedział Schiller: Durch diese hohle Gasse muss er kommen. Es führt kein anderer Weg. — Nie ma innej drogi. Więc też, chcąc nie chcąc trzeba chwycić kierownicę do ręki i "hyżym autem" pędzić ku zachodowi przez te gorące, monotonne, pagórkowate stepy. Magnesem ciągnącym nas do siebie, są ogromne pieczary w stanie New Mexico. Ponieważ jest to porządny szmat drogi, boć około 600 mil, więc też trzeba było podróż podzielić na dwa dni.

Pustynia pokryta bylicą — (sage)

Opuszczając Laredo pierwszego dnia, jechaliśmy przez Carrizo Springs, Uvaldo i Bracketville. Zatrzymaliśmy się na noc w większym miasteczku, Del Rio, w pobliżu granicy meksykańskiej. Nie tak dawno odkryto tu pokłady ropy i dlatego też powstały tu niewielkie wprawdzie, ale z nowoczesnymi urządzeniami rafinerie. Całodzienna podróż, bez większych wysiłków i trudów wynosiła 220 mil.

Z Del Rio, wyjechaliśmy około godziny dziewiątej rano i znów pędziliśmy w kierunku północno-zachodnim, przez Sanderson, Fort Stockton, Pecos aż do Black River, dopływu rzeki Pecos. Nad wieczorem, byliśmy w pobliżu słynnych pieczar — Carlsbad Caverns. W całodziennej podróży wynoszącej 330 mil, nie widzieliśmy nic,

o czym wartoby pisać: pustynia, bylica, kaktusy, gdzieniegdzie małe, niskie domki "ranchierów" czyli hodowców bydła lub owiec. Takie tu są pustynie, takie posuchy, że w jednym z większych miasteczek, a gorąco było i pragnienie dokuczało, — nie mogliśmy nawet dostać uczciwego piwa. Czy możecie wyobrazić sobie coś podobnego?!... Wchodzimy do jakiejś obskurnej "taverny," jęzory nam wiszą, niby psom gończym, więc też każę podać "trzy piwa," Karczmarz powiada, że mają tylko wodę sodową i "near beer," — niby to świństwo, którym nas pojono podczas prohibicji. Co to, to nie! Chociażbym miał z pragnienia na preriach szczeznąć, tak nisko już nie upadnę, abym po zniesieniu prohibicji miał pić takie świństwo. Nawet bym tego "near beeru" nie lał do chłodnika mego auta. Co było jeszcze ciekawsze, to fakt, że w aptece nie mogłem kupić nawet małej buteleczki czystego alkoholu, potrzebnego do desinfekcji igły do zastrzyku insuliny. To uważałem za prawdziwe "odkrycie," że w Stanach Zjednoczonych są jeszcze teraz miasteczka tak obskurne, zacofane, za,... — no już nie powiem, bo nie wypada używać niegrzecznych wyrazów w porządnej książce — w których nie można dostać szklanki piwa. To też czym prędzej wpakowaliśmy się do auta, poprzednio jednak starannie otrząsnąwszy proch z nóg naszych, by jak najprędzej i jak najdalej uciec od takiej miejscowości.

Rzeka Pecos, którą tu przekroczyliśmy, w dawnych czasach stanowiła jakoby granicę praw, porządku i cywilizacji. Kto się za tę rzekę przedostał, ten żył poza prawem. Tam najwyżej Indianie zapuszczali się, gdyż odtąd zaczynał się nasz właściwy Zachód. Stockton, większe miasteczko, stolica tutejszych kowbojów, jest centrum, z którego wysyłają stada bydła i owiec. Wciąż jadąc wzdłuż rzeki w kierunku północno- zachodnim, minęliśmy miasteczko Pecos i dotarliśmy wreszcie do granicy teksaskiej, by na kilka godzin wpaść do sąsiedniego stanu, Nowego Meksyku i najsłynniejszych pieczar podziemnych na kuli ziemskiej.

Na noc zatrzymaliśmy się w wygodnych i chłodnych domkach, nad brzegiem rzeczki, Black River. Dzięki niej, w okolicy powstała oaza zieleni. Zastosowano tu sztuczne nawodnienie i pustynna ziemia wydaje owoce; widać pola zieleniutkiej lucerny, sady owocowe i warzywa. Przy naszej kwaterze, rosną kłomby kwiatów i cieniste drzewa. Po całodziennej podróży mogliśmy swobodnie wypoczywać przy małych stawkach i szumiącym strumyku.

Jesteśmy teraz w granicach stanu New Mexico, — Nowy Meksyk. W powrotnej drodze zatrzymamy się dni kilka w jego północnej części, by zwiedzić parę bardzo ciekawych i historycznych miejscowości. Stan ten w kształcie dużego czworoboku, co do obszaru, jest czwartym największym stanem Stanów Zjednoczonych. Obejmuje on

ponad 120 tysięcy mil kwadratowych. Co do historii jest on jednym z najstarszych, zaś jako stan — najmłodszym, gdyż dopiero w roku 1912-tym, przyjęty był do unii jako taki. Przedtym uważano go za "terytorium." Chociaż to stan olbrzymi, zato ludności mało, bo zaledwie pół miliona.

Niemal na sto lat przed przybyciem "pielgrzymów" do Plymouth, w pobliżu Bostonu, tu już się wałęsali odkrywcy hiszpańscy. Stare kroniki głoszą, że pierwszym był braciszek franciszkański Fra Marcos. Przybył on tu w roku 1539-tym, poszukując nie tylko konwertytów dla Kościoła, ale także skwapliwie szukając dużych, bogatych, osiedli tubylców, mniemając, że w nich znajdzie wielkie skarby złota, jak to się stało w sąsiednim Meksyku. Dzięki jego relacjom, wyruszyła tu zbrojna wyprawa pod wodzą dzielnego Coronady, poszukującego wielkiego, bogatego kraju, Gran Quivira, w którym miało się znajdować siedm bogatych i w złoto zasobnych miast Cibola. Konkwistadorzy włóczyli się parę lat po tych ogromnych, bezludnych stepach. W tej wojennej wyprawie pono dotarli aż do Nebraski. Gdy jednak po dłuższych uganianiach i krwawych potyczkach zdobyli zaledwo kilka indiańskich wiosek, bez złota i cennego łupu wojennego, przepędzili owego braciszka, że ich tak zawiódł.

Pierwszym kronikarzem tych okolic i życia tutejszych Indian, jest Diego Perez de Luxan, który podczas owej wyprawy, notował codziennie swe spostrzeżenia i przygody. Większe osady hiszpańskie powstały dopiero przy końcu szesnastego wieku. Don Juan de Onate, przybył tu w roku 1598-ym z większą wyprawą wojskową, oficjalnie przejmując to ogromne, a prawie że nieznane terytorium, na rzecz króla hiszpańskigo.

Z chwilą przejęcia tego olbrzymiego, pustynnego, a jednak bardzo malowniczego kraju przez Hiszpanów, rozpoczyna się jego ciekawa częstokroć bardzo burzliwa i krwawa historia. Od niepamiętnych czasów zamieszkiwały tu dwa plemiona Indian — Pueblos, spokojniejsi, zajmujący się rolnictwem, a obok nich bardzo wojowniczy — Apasze. W północnej części stanu, napotykamy siedziby Nawajów i Hopów. Zbytnia gorliwość hiszpańskich misjonarzy, ich tępienie starych, pogańskich zwyczajów wśród tubylców, doprowadziły do krwawych buntów i strasznej rzezi hiszpańskich intruzów.

W roku 1680-tym, wybuchło powstanie Pueblów, przeciwko hiszpańskim konkwistadorom, osadnikom i misjonarzom. W walkach zginęło przeszło czterystu kolonistów, w tym dużo księży i braci zakonnych. Z dymem poszły kościoły misyjne i osady białych. Przez pewien czas Indianie byli panami na własnych obszarach i mogli znów praktykować swe pogańskie zwyczaje i obrządki religijne. Kilkanaście

lat później przybył tu Diego de Vargas. Ten jednak nie tyle mieczem, ile perswazją i uczciwym postępowaniem, zjednał i uspokoił wojowniczych Pueblów.

Po wywalczeniu niepodległości przez Meksykańczyków, obszar ten przez pewien czas do nich należał. Po wojnie z Meksykiem i po podpisaniu traktatu pokojowego w Guadalupe Hidalgo, w roku 1848-ym, wojska amerykańskie zajęły całą tę połać kraju, aż do oceanu Spokojnego. Wojna domowa nawet tu sięgnęła, i przez krótki czas nad krajem tym powiewał sztandar konfederatów.

Nowy Meksyk nazywają "słonecznym stanem," gdyż w proporcji do innych, ma najwięcej dni słonecznych, a częstokroć bardzo nawet gorących — o czym przekonaliśmy się na własnej skórze. Suchotnicy i ci, co cierpią na astmę, szukają tu zdrowia i ulgi w cierpieniach, gdyż warunki klimatyczne bardzo im sprzyjają.

Rząd Stanów Zjednoczonych już dawno wprowadził w życie tę zasadę, że z najpiękniejszych i najciekawszych zakątków kraju zrobił parki narodowe "dla użytku i przyjemności ludzi." Ażeby dany teren mógł być zajęty na park narodowy, powinien posiadać jakieś niezwykłe właściwości, czy przecudne kaniony, czy lodowce, czy urocze wodospady, czy też jakieś inne wyjątkowe, a piękne cuda natury. Parków narodowych mamy dwadzieścia, począwszy od skalnych wybrzeży stanu Maine — Acadia National Park, — a skończywszy na gotującym się wulkanie Kilauea, czy też na niebytycznej górze w Alasce, Mount McKinley ponad dwadzieścia tysięcy stóp wysokiej. Jest to najwyższy wierzchołek na Północnym Kontynencie... Park ten obejmuje ponad trzy tysiące mil kwadratowych.

Zwykłe pojęcie parku, czy ogrodu, oznacza mniejszy lub większy kawał trawnika, dużo drzew, klombów, kwiatów, pól do gry i inne podobne rozrywki. "Park narodowy" nie ma tego. W grę tu wchodzą tylko niezwykłe atrakcje naturalne. Rząd nasz zbudował wygodne drogi samochodowe wiodące do wszystkich parków narodowych. W parkach zaś wystawił domki turystyczne, a nawet hotele z wielkimi udogodnieniami, by turyści mogli w takim zakątku spędzić kilka dni, a nawet cały sezon jeżeli im na tym zależy. W poprzedniej książce turystycznej "Samochodem przez Stany Zjednoczone," opisałem ośm czy więcej z naszych parków narodowych które zwiedziłem. Niektórym z nich, jak Yellowstonowi, Glacier, Yosemite i innym poświęciłem całe rozdziały i do nich czytelnika odsyłam. Każdy park ma swe odrębne atrakcje. Jedne są na szczytach górskich, inne w głębokich lasach, jeden znajduje się na południowym cyplu Florydy, a inny, jak Mt. McKinley, w północnej Alasce. Ten, do którego teraz jedziemy, leży 700 stóp pod ziemią, a nazywa się "Carlsbad Caverns" czyli "Pieczary Karlsbadzkie."

Geologowie twierdzą, że te olbrzymie, wprost największe pieczary na świecie, powstały w grubych warstwach kamienia wapiennego, a to dzięki skurczom ziemi i działaniu wody. Ta, dostając się do wnętrza ziemi przez liczne pęknięcia, zaczęła żłobić i usuwać ogromne ilości miękkej skały podziemnej, tworząc przez to olbrzymie jamy czy pieczary. Stale, ale powoli ściekające wody, w misterny sposób zdobiły te ciemne, niedostępne i do niedawna nieznane nam podziemia. Powstały tam "pokoje" czy sale tak ogromne, tak wspaniałe, o tak zachwycającej piękności olbrzymich stalaktytów i stalagmitów, że przechodzą wszelkie pojęcie ludzkie. Interesujących i nader pięknych pieczar w Stanach Zjednoczonych mamy dużo, ale czegoś podobnego do tutejszych nie znajdziecie na całej kuli ziemskiej.

Samochody turystów i budynki rządowe w parku Karlsbad

Pieczary Karlsbadzkie znajdują się u podnóża pasma górskiego Guadalupe. Przez wiele lat wejście do pieczary było znane jako "pieczara nietoperzy." Gnieździły się tu miliony tych poniekąd wstrętnych a jednak bardzo pożytecznych zwierzątek. Codziennie o zachodzie słońca, całymi chmurami wylatywały ze swej kryjówki na połów nocnych owadów. — Radbym wskazać im drogę do komarów galwestońskich; aby tam sobie urządziły ucztę. — Nad ranem wracały do pieczary i dosłownie czarnymi ciałami grubo wytapetowały to olbrzymie wejście, w głąb na kilkanaście metrów. Tu też miały one stałą zimową kwaterę, gdyż temperatura w pieczarze się nie zmienia. Wejście do niej było pokryte na kilka metrów grubości "guanem," tych niezwykłych mieszkańców. Nawóz ten później sprzedano za bardzo wysoką cenę do ogrodów i sadów pomarańczowych. Ażeby wydobyć ponad sto tysięcy ton drogocennego nawozu, trzeba było

wykończyć osobny szyb, pół mili od wejścia. Gdyby nie fakt, że ludzie wdarli się tu po to gnojowisko, a dopiero po oczyszczeniu zeń pieczary, zaczęli się do niej głębiej zapuszczać, możebyśmy jeszcze teraz nie znali tych precudnych skarbów, jakie natura pracując przez miliony lat dla nas we wnętrzu ziemi nagromadziła.

"Pieczara nietoperzy" znana była od wielu lat miejscowym kowbojom, gdyż co wieczór widzieli tu całe "chmury" unoszących się nietoperzy, a lot ten trwał co najmniej dwie godziny. Rano powtarzało się to samo widowisko, gdy te niepospolite zwierzątka wracały z łowów. — Nikomu jednak nie przyszło na myśl zaglądnąć do jej wnętrza, a to z tego powodu, że trzeba było brnąć po same uszy w gnoju od setek lat nagromadzonym. Ale znalazał się "ciekawski", który to chciał trochę lepiej i gruntowniej spenetrować. Był nim kowboj, Jim White. Z trudem, przy pomocy prymitywnych narzędzi, zrobił szyb i tym szybem, w żelaznym kuble spuszczał się do wnętrza pieczary. Brał ze sobą kłębek sznura, latarkę, żywność, kompas i tak włóczył się po pieczarze i coraz głębiej zapuszczał się do jej wnętrza. Im dalej i głębiej się wdzierał, tym większe odkrywał cuda, chociaż blade światło lampki górniczej w proporcji do ogromu pieczary, tyle dawało światła, co zapałka w katedrze św. Piotra w Rzymie. Ludzie nie chcieli mu wierzyć, że w tej zagnojonej dziurze, takie się kryją skarby. Dopiero, gdy zabrał ze sobą fotografistę i ten przy pomocy sztucznego oświetlenia zrobił kilka zdjęć i zamieścił je w czasopismach, zwrócił na nie uwagę wybitnych geologów. Jednym z pierwszych, był słynny geolog Dr. Willis T. Lee. Chociaż z początku z niedowierzaniem przyjmował opowiadania White'a, jednakowoż po zwiedzeniu pieczar wrócił rozentuzjazmowany, twierdząc, że to, co się tam znajduje, wprost przechodzi ludzkie pojęcie. Następnie zjechała do pieczary komisja szeroko znanego miesięcznika, "National Geographic Magazine" i ta po dłuższych badaniach i zwiedzeniu zaczarowanego jak z bajki podziemia, ogłosiła ciekawy, bogato ilustrowany artykuł w swym piśmie, zaznaczając, że "Pieczary Karlsbadzkie" są najbardziej frapującym zjawiskiem podziemnych cudów Ameryki. Co do obszaru podziemnych pokoi, co do rozmaitości i piękna niezwykłych ozdób i co do wartości scenerii, są one nieprześcignione w swym rodzaju.

W roku 1923, wyznaczono 720 akrów, jako "pomnik narodowy." Od tego czasu miejsce to stało się prawdziwą Mekką dla amerykańskich turystów, a rząd widząc, że tu ma wprost niepospolity skarb turystyczny, porobił duże inwestycje, budował drogi, hotele, biura tak, że teraz na pustyni powstało całe miasteczko dla wygody licznie przybywających turystów. Tego dnia, w którym zwiedzaliśmy, ten podziemny "park narodowy", było nas 832 turystów z 32 stanów.

My jedni tylko z Connecticut, — co też "urbi et orbi", 700 stóp pod ziemią, ogłosiłem. Liczba turystów do tego parku stale się zwiększa, już bowiem dochodzi do kilkunastu tysięcy miesięcznie.

Chociaż już kilka lat sztab ekspertów i inżynierów włóczy się po tych zaczarowanych kątach, jednakowoż dotąd jeszcze całego obszaru nie odkryto. Okazuje się, że pod tymi, teraz największymi pieczarami na świecie, są jeszcze inne, głębiej w ziemi umieszczone. Prawdopodobnie zabierze to jeszcze dużo czasu i pieniędzy, zanim je należycie zbadają i tak urządzą, aby turyści mogli je z łatwością zwiedzać i podziwiać. Wprost milami całymi ciągną się te podziemne krużganki o równej temperaturze 56 stopni F., chociaż na powierzchni zmienia się temperatura od zera do 100 stopni i wyżej. Zdaje się, — gdyż są pewne poszlaki, — że w tych podziemnych pieczarach mieszkali ludzie. Znaleziono tu po nich obuwie i sprzęty domowe, należące do plemion "koszykarzy", zamieszkujących w tych okolicach przed dwoma tysiącami lat.

Rychło rano setki samochodów pospieszało z różnych stron do naszej najnowszej "atrakcji". Zatrzymaliśmy się wraz z innymi w White City, obozie prowadzonym przez odkrywcę słynnych pieczar. "Jim" White w dużym kowbojskim kapeluszu sprzedawał "pamiątki," pocztówki i książki turystom. Niektórzy chcieli się bliżej zaznajomić ze słynnym odkrywcą i prosili go o autografy. Po zaopatrzeniu się w rozmaite, jak tu mówią, "souvenirs", pojechaliśmy znakomitą drogą do głównej kwatery rządowej, znajdującej się w pobliżu wejścia do pieczary.. Otwór ten, którym kiedyś wlatywały miliony nietoperzy, jest 90 stóp szeroki i 40 stóp wysoki. Prowadzi doń szeroka ścieżka. U wejścia urządzono niezwykły klomb, gdyż jej ozdobą są najrozmaitsze gatunki miejscowych kaktusów.

Poszkapiliśmy się tu trochę. Do wnętrza pieczary można zejść szeroką, wygodną, chociaż bardzo krętą ścieżką lub też dla oszczędzenia sił i czasu, można zjechać windą do ogromnej poczekalni. Przypuszczałem, że winda stale funkcjonuje i za parę minut będziemy u celu naszej wycieczki. Tymczasem setki turystów poszło ścieżką boć zejście z góry w dół nie przedstawia trudności. My zaś musieliśmy czekać niemal dwie godziny, zanim nas do tych zaczarowanych pieczar wpuszczono. W międzyczasie przybyła tu wycieczka klubu Rotarianów, a w tym gronie zauważyłem dwie przystojne panie, w kostiumach teksaskich, a właściwie kowbojskich. A więc: w bucikach, hajdawerach obsadnych, jedwabnych koszulach z czerwonymi chustkami na szyi i dużymi stetsonowskimi kapeluszami na głowie. Jak na matkę i córkę, wcale przystojna para.

Po dłuższym niecierpliwym czekaniu, spuścili nas w dół pieczary. Za minutę znaleźliśmy się w dużej poczekalni, a zarazem jadalni. Tu

już się zebrali ci goście, co szli ścieżką i ma się rozumieć swobodnie zwiedzali poszczególne "pokoje" i przepyszne formacje stalaktytów i stalagmitów.

Za późno było żałować. Razem z innymi zjedliśmy w głębi ziemi smaczną przekąskę i po krótkim wypoczynku, pod wodzą licznych przewodników, odpowiednio umundurowanych, zaopatrzonych w duże lampy elektryczne, ruszyliśmy w drogę, by oglądać największą pieczarę podziemną, jaką dotąd odkryto na kuli ziemskiej. Pieczara ta jest blisko 4000 stóp długa, 625 szeroka i 350 wysoka. Sklepienie jest pokryte milionami stalaktytów. Może wypada zaznaczyć, że stalaktyty wyglądem przypominają cyple lodu, które się tworzą podczas zimowych odwilży na krawędziach dachów. Topniejąca woda stopniowo marznie i tworzy większe lub mniejsze cyple, a czasem od dachu do ziemi utworzy się jakby solidna kolumna, czy też — bryła lodu. Podobny, tylko chemicznie odmienny proceder panuje w wapiennych pieczarach. Przez powałę sącząca się woda tworzy kryształowy, podobny do oniksu osad. Ten z biegiem wieków zwiększa się i przedłuża. U powały tworzy się więc długi cypel, ostrym końcem zwrócony do podłogi. Krople wody spadające z tego cypla tworzą na podłodze jakby małą narośl, ta znów z czasem przybiera kształt stożkowy i stale podnosi się ku górze. Jeżeli zaś przestrzeń między powałą i podłogą nie jest zbyt wielka, te dwie bryły się łączą i tworzą jedną mniejszą czy większą kolumnę. Cyple górne nazywają stalaktytami, a dolne — stalagmitami. Czasami się zdarza, że woda sączy się po ścianach lub też szerszym strumieniem spada na dół tworząc piękne "welony", kotary, ściany, błyszczące jak najpiękniejszy kryształ lub też olśniewającej białości, niby perłową macicą inkrustowane berła, korony, szkatułki lub stożki, przypominające kopy siana lub stogi zboża. Wśród takich to kolumn, stożków, welonów, mistycznych świątyń, zaczarowanych królewien, wije się ścieżka, po której stąpają szeregi widzów niby w wielkiej, mistycznej procesji kościelnej, prowadzonej przez umundurowanych przewodników z elektrycznymi lampami, aby mogli ważniejsze przedmioty oświecić i lepiej nam objaśnić. Wszystkie ważniejsze obiekty są oświetlone przez sztucznie ukryte lampy elektryczne. Dodaje to tym większego uroku, wywołując nadzwyczajne kontrasty stygijskich ciemności w połączeniu z wprost alabastrową białością tych w orientalnym przepychu lśniących cudów natury. Patrząc poprzez mroczne pustkowia, widzi się zdala powoli postępujący orszak ludzi, wijący się wśród jarów i olbrzymich kolumn, niby procesja w jakiejś kolosalnej, pełnej powagi a zarazem nad wyraz pięknej świątyni Najwspanialsze katedry, najpiękniejsze pałace i gmachy bledną i nikną wobec tego majestatu, jaki się napotyka we wnętrznościach Matki Ziemi.

Już czas dłuższy oprowadzali nas po tej ogromnej, największej na ziemi sali. Co chwila zapalali i oświetlali nowe "pokoje", świątynie, pałace, filary, kolumny, z których każda ma swą nazwę. Nawet pokazywali nam formację podobną do karabinu maszynowego i tak nazwali ten niezwykły kształt, jakby rzeźbiony z czystego oniksu. Nareszcie zaprowadzili nas do dużego amfiteatru, gdzieśmy się rzędami usadowili, czekając dobry kwadrans, zanim cały orszak zebrał się w tym miejscu. Przed nami wznosiły się olbrzymie, grube filary oniksu, z powały zwieszały się kurtyny całe stalaktytów i cały amfiteatr robił wrażenie, że został przeniesiony na jakąś inną, nieznaną planetę. Trzeba było trzeć czoło, ażeby sobie uprzytomnić, że to nie sen lub zjawa, ale ... rzeczywistość.

Stalaktyty i ludzie w "pałacu króla"

Gdy się już wszyscy wygodnie usadowili, jeden z przewodników w krótkości opowiedział nam o procesach chemicznych i geologicznych, które te cuda natury stworzyły. Długo i w skrytości wykuwała natura te przecudne biżuterie, wobec których najpiękniejsze rzeźby Thorwaldsenów są poprostu igraszką. Jak długo tworzyły się te pieczary i ile czasu trzeba było, by je przyozdobić, tego nikt dokładnie powiedzieć nie może. Geologowie gubią się w domysłach. Obliczają, że ta robota trwa bez przerwy od czterdziestu do dwustu milionów lat.

Mimowoli człowiek stara sobie w swej ciasnej głowie wyobrazić i jako tako przedstawić, ile to jest ... czterdzieści milionów lat, gdy nasza cywilizacja istnieje zaledwie sześć tysięcy lat. Tu dopiero odczuwamy, że w porównaniu z tym, co się tu widzi, co natura przez

tyle nieskończonych wieków tworzyła i jeszcze wciąż tworzy, człowiek jest — niczym. Tu dopiero ocenia on, co znaczy — Wieczność. Czym jest Bóg!....

Dla tym większego, wprost nigdy niezapomnianego efektu, gdy jesteś w pobliżu ogromnych kolumn — których wiek obliczają na czterdzieści milionów lat — gaszą wszystkie światła. Chwilowo panują tu iście stygijskie ciemności. Nigdy, przez te miliony lat nie dotarł tu chociażby jeden blady promyk słońca! W tej ciemności natura tworzyła cudy tak piękne, że opisy nawet najlepszego pisarza nie potrafią w przybliżeniu oddać tego, co się tu widzi i co się tu przedewszystkiem odczuwa. Naraz w tej stygijskiej ciemności odzywa się głos organu i dolatują cię solenne tony pieśni religijnej: "The Rock of Ages" — "Skała Wieków". Hymn ten śpiewają w zborach protestanckich. Sądzę, że żadne nabożeństwo, żaden nawet najsolenniejszy rytuał i ceremoniał kościelny nie potrafiłby wywrzeć tak głębokiego wrażenia, jakie wywarł na mnie i na setkach tysięcy innych turystów ów chwilowy pobyt w tym wprost zaczarowanym zakątku ziemi. Pono Napoleon przed bitwą pod piramidami miał powiedzieć swym żołnierzom, że "czterdzieści wieków patrzy na ich czyny". Tu zaś nie czterdzieści, ale czterysta tysięcy wieków patrzało na te znikome żyjątka, których najdłuższe życie, wobec wieków zużytych na te twory ręki Boskiej jest jakoby błyskawicznym momentem.

Kilka z większych stalagmitów

Dopiero koło godziny piątej po południu, porządnie zmęczeni, wydostaliśmy się z tej podziemnej, a tak przecudnej pieczary. Przez kilka godzin włóczyliśmy się po tych podziemnych kazamatach, z których co jedna to piękniejsza, ale trudno się silić na opis tych cudów natury. Nic dziwnego, że ten jeden z naszych "najnowszych parków narodowych" cieszy się wśród turystów tak wielką popularnością. Do tych pustkowi, tak zimą jak i latem, mimo upałów, przybywają setki samochodów, a w nich tysiące turystów. Każdy po wyjściu z tej pieczary nie ma dosyć słów podziwu, aby mógł swe uczucia i wrażenia wypowiedzieć.

W dalszą drogę ruszyliśmy o godzinie piątej. A że na pustyni nie było wygodnej kwatery, więc też trzeba było "sypać" aż do El Paso, nad granicą meksykańską, czyli okrągłych 150 mil. Miejscami droga nie jest całkowicie wykończona — kamienista, ale poza tym

dobra, a nawet we wielu miejscach bardzo malownicza. Wkrótce po opuszczeniu parku minęliśmy górę El Capitan, najwyższy szczyt w Teksasie, blisko 9,000 stóp wysoki. Kilkadziesiąt mil za parkiem wróciliśmy znów do Teksasu i jedziemy jedną z najstarszych dróg w tej okolicy — Butterfield Trail. Tą drogą, po wojnie meksykańskiej, ciągnęły karawany osadników do Południowej Kalifornii i tędy z powrotem wieziono złoto, srebro, miedź z kopalń kalifornijskich, lub też okolic Bisbee i Tombstone w Aryzonie. W pobliżu drogi znajdują się ruiny starej fortecy, która służyła pionierom na schronisko podczas napadów dzikich Apaszów. Ci mieli w górach swe kryjówki i urządzali napady na konwoje pionierów, wyładowane żywnością i wszelkimi towarami. Następnie jechaliśmy przez bardzo rozległe równiny i płytkie jeziora słonej wody, które pierwszym osadnikom oraz Indianom dostarczały niezbędnej soli. Przy zachodzącym słońcu, przy pustynnej ciszy, pustkowia te miały swój wyjątkowy urok. Znów po prawej, z daleka, mijamy pasmo górskie, Sierra Tinaja Pinta, bo południowo-zachodnia część Teksasu, między rzeką Pecos i Rio Grande, jest górzysta i dlatego ciekawsza, niż równiny, po których włoczyliśmy się poprzednio. Wciąż jechaliśmy ku zachodowi, naprzeciw słońcu, które też stale zaglądało w oczy waszemu szoferowi, kierującemu samochodem. Najgorzej było, gdy się słońce skryło za górami i nastał jakiś niezwykły półblask i trzeba było dobrze oczy wytrzeszczać, aby drogę przed sobą należycie kontrolować. Na kilkadziesiąt mil przed El Paso, wyjechaliśmy świetnie zbudowanymi serpentynami w niezbyt wysokie pasmo gór — Hueco, chociaż profilów górskich o tej porze rozróżnić nie było można. Z wyższych szczytów, na horyzoncie, widzieliśmy światła odległego, pogranicznego miasta. Chwilowo straciliśmy je znów z oczu i tak kilkakrotnie powtarzała się zjawa miasta i znów ginęła przed nami.

Około dziewiątej godziny wieczorem zajechaliśmy do El Paso, dawnego El Paso del Norte. Ale Amerykanie nie lubią zbyt długich nazw, więc połowę odcięli. Hiszpanie zaś, szczególnie jeżeli chodzi o imiona świętych, lubią recytować całą litanię, co moim zdaniem, zużywa dużo czasu i strasznie przedłuża rozmowę. Znów stanęliśmy nad brzegami mętnej Rio Grande. Odtąd aż do zatoki Meksykańskiej stanowi ona granicę między Teksasem a Meksykiem. Po drugiej stronie rzeki jest także większe miasteczko, Ciudad Juarez. Gdy w tej części Meksyku wybuchnie rewolucja, miasto Juarez (Huarez) jest zawsze w niej zaangażowane. Więc też każdy Amerykanin gdy posłyszy strzelaninę, gramoli się na dach, by się tym lepiej przypatrzeć meksykańskiej wojnie. Zwycięzcy zostają w mieście, zwyciężeni zaś idą pod mur lub też "wieją" na naszą stronę, by życie ratować. Od kilkunastu lat jednak panuje "spokój na tym południowym froncie."

W pobliżu miasta znajdują się ogromne baraki wojskowe. W fort Bliss jest główna kwatera kawalerii amerykańskiej. Miasto położone na granicy meksykańskiej jest ważnym węzłem kolejowym, handlowym, a także strategicznym i dlatego skoncentrowano tu siły wojskowe na wszelką ewentualność.

Rzeka Rio Grande zmienia w El Paso swój kierunek. Płynie przez środek stanu, a źródła swe posiada aż w południowej części stanu Colorado. Dlatego też międzynarodowa granica ciągnie się od El Paso przez pustynie w kierunku zachodnim, później znów się cośkolwiek opuszcza ku południowi, następnie zmienia bieg w kierunku północno-zachodnim, aż do oceanu Spokojnego. Tę dosyć dużą połać kraju kupiliśmy od Meksykanów za dziesięć milionów dolarów i nazywa się to "Gasden Purchase." Granica na zachód od El Paso i rzeki Rio Grande nie była ustalona, więc też z tego powodu były ciągłe utarczki i niesnaski. Szczególnie Indianie, — zapewne przez naszych podjudzani, dokuczali osadnikom meksykańskim. To też po dłuższych pertraktacjach rząd meksykański z dobrze już nam znanym generałem a zarazem prezydentem Santa Anna, sprzedał nam kawał pustyni, coś ponad 45,000 mil kwadratowych, za dziesięć milionów dolarów. Meksykanie początkowo chcieli ustanowić rzekę Gila, niedaleko miasta Phoenix, jako granicę. Naszym jednak rozchodziło się o teren na południe od rzeki z tego względu, że tędy projektowano budowę linii kolejowej — Southern Pacific. Jak zwykle, zarobiliśmy na kupnie tej "nieruchomości." Przypuszczam, że kopalnie miedzi i złota w okolicach Bisbee i Tombstone, już dawno i to z okładem wróciły nietylko procent, ale cały kapitał; już nawet nie wspominam doniosłości, jaką dla rozwoju kraju ma kolej Southern Pacific. Meksykanie wściekli byli na swego prezydenta i "bohatera" z pod San Jacinto, więc też jako zdrajcę przepędzili go z Meksyku.

Rano ruszyliśmy w dalszą podróż. Droga skręca się na północ, wzdłuż rzeki Rio Grande do Las Cruces. Często mijamy ludne wioski, pola alfalfy i sady owocowe, gdyż we wielu miejscach zastosowano tu sztuczną irygację. Kilkadziesiąt mil na północ od Las Cruces zbudowano dużą tamę na rzece Rio Grande — Elephant Butte Reservoir, która dostarcza okolicznym miastom prądu elektrycznego, wody do picia i do sztucznego nawadniania. W Las Cruces skręcamy na lewo i pędzimy doskonałą drogą przez Deming, Lordsburg do granicy stanu Arizony. Po przekroczeniu tejże skręcamy znów więcej na południe, do miasta Douglas, położonego tuż nad granicą meksykańską. Częstokroć wiodła nas droga dziesiątki mil obok torów kolejowych linii Southern Pacific. Nieraz kilkadziesiąt mil towarzyszyliśmy pociągom osobowym, wlokącym się przez te pustkowia z szybkością 50 mil na godzinę. Dla urozmaicenia podróży liczyliśmy

wagony-lodówki (refrigerator cars) długich pociągów frachtowych, jadących na wschód, a załadowanych owocami i jarzynami z południowej Kalifornii. Przeciętny obywatel nawet nie ma pojęcia, ile to wagonów dniem i nocą pędzi przez te pustynie. Co ciekawe, że nawadniane pustynie żywią te części kraju, w których są napozór urodzajne grunta, gdzie padają deszcze, a zimą cały obszar pokrywają śniegi. Niemal że co godzinę widzieliśmy te pociągi frachtowe, składające się z 70 do 90-ciu wagonów, a ciągnęły je ogromne lokomotywy, opalane ropą. A przecież to tylko jedna z kilkunastu linij kolejowych, które stalowymi węzłami łączą daleki zachód ze wschodem. Wprawdzie koszt szybkiego transportu towaru, który prędko się psuje, jest ogromny, gdyż trzeba wagony okładać lodem, przytym pospieszać, by jarzyny i owoce w drodze się nie zepsuły. Amerykanie są wybredni. Żądają, by na śniadanie były melony, sprowadzone z doliny Imperial, w południowej Kalifornji, żeby były soczyste, czarne wiśnie z doliny Wenatche, nad rzeką Columbia, w stanie Waszyngton, żeby zimą były ogórki w śmietanie, sprowadzone z doliny rzeki Rio Grande w południowym Teksasie, żeby na zakąskę była polska szynka i polskie grzyby do barszczu. Na to potrzeba pociągów, okrętów, samochodów, a nawet dla bardziej wybrednych, — samolotów. To też Ameryka może teraz zaspokoić i zadowolić najwybredniejsze gusta i guściki.

W pobliżu miasta Douglas, tuż przy drodze, stoi niewielki, okrągły, z polnych kamieni murowany pomnik. Zawsze staję, gdy zauważę czerwoną lampkę sygnałową i gdy widzę pomnik czy tablicę pamiatkową. Wprost babska, wrodzona ciekawość zniewala mię do zatrzymania auta i przeczytania napisów; a jeżeli jest coś ciekawszego, wtenczas nieodzowny aparat fotograficzny jest w robocie. W tym wypadku, jak dowiedziałem się z tablicy bronzowej na pomniku umocowanej, tu zakończyła się ostatnia wojna z walecznymi i zawziętymi Indianami, ze szczepu Komanszów. W tych pustynnych wzgórzach ukrywał się bardzo przebiegły wódz Komanszów, Jeronimo, ale i tego pochwycono, zdaje się nawet podstępem, przy pomocy indiańskich skautów. Od tego czasu zapanował tu spokój między osadnikami i kiedyś groźnymi Komanszami.

Pomnik na pustyni

Nad wieczorem dotarliśmy do Bisbee, typowego miasta górni-

czego. Leży ono w kotlinie górskiej, a zbocza tutejszych gór są podziurawione tunelami i szybami kopalń miedzi.

Arizona jest największym producentem miedzi w Stanach Zjednoczonych. Południowo środkowa część Arizony posiada bogate żyły drogocennych kruszców. Kilkadziesiąt mil na północ od Bisbee, jest słynna, stara wioska górnicza, o bardzo niezwykłej nazwie — Tombstone czyli dosłownie — Nagrobek. Przed pięćdziesięciu laty było tu bardzo huczno i gwarno, więc też bez pijatyki i bijatyki się nie obyło, czego najlepszym dowodem jest starannie utrzymywany "boot cemetery" czyli cmentarz, na którym chowano tych, co "w butach umierali." Takie cmentarze znajdowały się kiedyś niemal w każdym kresowym miasteczku. Tombstone także ma taki cmentarzyk starannie utrzymany. Groby wisielców, których albo prawnie powieszono lub też w przystępie szału zlynczowano, ogrodzone są płotem i przy każdym jest tablica z nazwiskiem denata — oraz data, kiedy i za co zawisł na suchej gałęzi. Ponieważ turyści lubią zwiedzać takie notoryczne "pamiątki," dlatego Tombstone wystawiło duże, żelazne krzyże najsłynniejszym zbójcom. Mniej znani zasłużyli sobie tylko na zwykłą, drewnianą tablicę. Groby otoczono żelaznym płotem lub też ułożono mały płocik z pustynnych kamieni, ale w każdym razie złoczyńcy mają lepszą opiekę, niż zwykli śmiertelnicy.

"Boot cemetery" — cmentarz wisielców

Bohaterem tutejszej mieściny jest Niemiec, nazwiskiem Schifflein, który odkrył tutejsze bogate żyły złota i srebra. Za to mu też zbudowano pomnik na małym wzgórzu, za miastem. Wydobyto w tej pustyni za miliony dolarów złota i srebra i wciąż jeszcze za nim grzebią, każdy z tą nadzieją, że mu się uda odkryć nową "bonanzę."

Nie opisuję tu szczegółowo historii, obszaru i zasobów mineralnych Arizony, gdyż to już uczyniłem w poprzednej pracy turystycznej. Odtąd niemal wszystkie stany, do których zaglądniemy, szczególnie w naszej drodze powrotnej, jak również wiele z ich wyjątkowych cudów natury czy krajobrazów, poprzednio już zwiedziłem i opisałem. To też więcej czasu i miejsca poświęcam tym miastom, parkom czy innym atrakcjom, których poprzednio nie zwiedziłem. — Chcąc mieć jakie takie pojęcie o całości Stanów Zjednoczonych, należałoby przeczytać jedną i drugą pracę turystyczną, gdyż jedna, drugą uzupełnia.

Dzień gorący — zresztą czego można się w czerwcu spodziewać w południowej Arizonie? Więc po chwilowym wypoczynku w Tombstone, suniemy górzystymi drogami naprzód do większego miasteczka, Tucson — Mekki tysięcy suchotników. Suchy, gorący klimat, stosunkowo wysokie położenie, dużo słońca, bardzo się przyczynia do zwalczania zarodków gruźlicy. Nawet rząd amerykański wystawił tu olbrzymi szpital dla suchotników — weteranów z wojny światowej. Tysiące ludzi przybywa do Arizony, Nowego Meksyku lub Colorado, by się leczyć z tej ciężkiej choroby. Prócz sanatoriów i szpitali, w górach, przy jeziorach, na stepach, powstało dużo t. zw. "dude ranches." Jest to rodzaj ferm kowbojskich, w których goście udają kowbojów, noszą ich stroje, jeżdżą konno, skrabią się na wysokie góry, łowią ryby, polują na dzikie ptactwo i nabierają sił do dalszej pracy. Nader szybkie tempo amerykańskiego życia wytwarza tysiące fizycznych rozbitków, którzy, niby ranni z pola bitwy, cofają się, że tak powiem "na tyły cywilizacji," czy też tego szalonego pędu życiowego, by tu wrócić do zdrowia i równowagi, by nabrać sił, wypocząć i znów rzucić się w wir walki o . . . dolary.

Tucson (wymawia się Tuson) jest bardzo starą osadą plemienia Indian Papagos. Ściągnęły ich tu źródła przy górze Sentinel Peak i tu też przez wieki całe budowali swe gliniane lepianki w których jeszcze teraz zamieszkują. Prawdopodobnie braciszek franciszkański, Fra Marcos, pierwszy tu ich wytropił. Za nim szedł zbrojny hufiec, poszukujący bogatej osady Cibola i mitycznej Quivira. Tu się awanturował i krwawe boje toczył słynny Coronado. Z czasem wśród Indian osiedliła się tu gromada kolonistów hiszpańskich. Ci zaś dla zabezpieczenia swych siedzib przed wojowniczymi Komanszami, otoczyli osadę wysokim murem, robionym z glinianych, ale niewypalanych cegieł. Miasto jednak rozwijało się bardzo powoli, gdyż nie miało żadnych danych ku temu. Dopiero kolej i kilka ważnych linij komunikacyjnych dodały mu impetu do rozwoju. Miasto Tucson liczy około 50 tysięcy mieszkańców, posiada wspaniałe gmachy, uniwersytet stanowy, szpitale i sanatoria, a więc tym samym przestało być dla mnie . . . interesującym. Warto jednak zwiedzić uniwersytet stanowy, nie tyle dla jego nowoczesnych budynków, ile raczej dla najrozmaitszych gatunków kaktusów, jakie w parku i na gruntach uniwersyteckich hodują. Zato wielką dla mnie atrakcją był stary kościół misyjny, San Xavier del Bac, zbudowany około roku 1692-go.

W tym upale pojechaliśmy pięć mil za miasto, na słoneczną pustynię, by zwiedzić jeden z najpiękniejszych zabytków tych niezmordowanych misjonarzy hiszpańskich. Czym dla Michiganu, Wisconsynu i doliny rzeki Mississippi był Jezuita ks. Marquette, czym dla Kalifornii był gorliwy Franciszkanin ks. Junipero Serra,

tym dla Nowego Meksyku i Aryzony był niestrudzony, zdaje się także Jezuita, pono z pochodzenia Bawarczyk, "Padre Eusebio Francisco Kino." Możliwe, że w swej rodzinnej Bawarii nazywał się Kuhno, zresztą mniejsza o nazwę, raczej o pracę nam się rozchodzi.

Kiedykolwiek mi wypadło jechać czy zwiedzać okolice, miasta i wioski lub kościoły budowane przez tych zacnych, a gorliwych duszpasterzy, zawsze z najgłębszym szacunkiem i z największym uznaniem wyrażałem się o ich czynach i niepospolitej, apostolskiej pracy. Teraz, podziwiając piekno starej, hiszpańskiej architektury, jednego z najpiękniejszych kościołów "misyjnych" stanów południowych, widzę nie tylko te dwie, chociaż niezbyt wysokie, ale proporcjonalne wieże, widzę ten bogato rzeźbiony front kościoła, te półokrągłe okna, te balustrady, te nisze i statuły, to ogrodzenie i zabudowanie kościelne, gdzie się kiedyś licznie gromadzili tutejsi Papagosi, ale także widzę ich groby, tulące się do tej prastarej świątyni tak samo, jak za życia w niej szukali ukojenia i pociechy. Przecież już z górą dwa wieki upłynęły od czasu, gdy neofici, ci nowo ochrzczeni chrześcijanie, — zachęcani przykładem gorliwego apostoła-duszpasterza, wznosili z solidnej, wypalanej cegły, sześć stóp grube mury tej wspaniałej świątyni pańskiej. Ten piękny dom boży, o architekturze hiszpańskiej, z motywami dekoracyjnymi Indian, wznoszący się nie w ruchliwym mieście, nie wśród gwaru ludu i hałasu pędzących tramwajów czy samochodów, ale tu, zdala, na pustyni, gdzie jest cisza, gdzie słońce pali, gdzie jest ta bezgraniczna, a jednak tak ciekawa, tak czarująca pustynia, jest jakoby wielkim, niezniszczalnym pomnikiem i przepięknym owocem wzniosłego, apostolskiego życia jego założyciela i budowniczego.

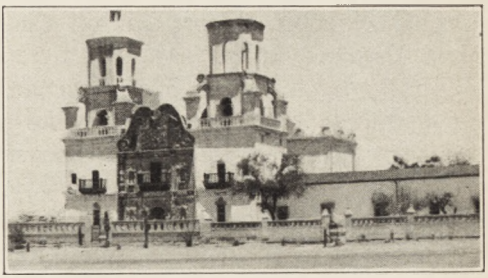

Kościół "misyjny" — koło Tucson

Mówią stare kroniki, że "Padre Kino" był — "księdzem na koniu." Może nie tyle na koniu, ile na mule, daleko od konia wytrzymalszym, wciąż podróżował ów niestrudzony kapłan-misjonarz po tych ogromnych pustyniach. Widzę go okiem duszy, gdy z mozołem, z gromadką współtowarzyszy przedziera się przez wysokie góry, przez głębokie — kamieniami i skałami zasypane parowy, przez gorączką spalone pustynie, widzę go palonego podwójnym ogniem, gdyż ciało gore od upałów słonecznych, a dusza wpatrzona w ukrzyżowanego Chrystusa paliła się miłością i gorliwością niepomierną dla zbawienia dusz tych dzieci, kaktusem i bylicą porosłych stepów.

Pokochał ten lud prymitywny, lud, który czcił swe bóstwa, który w mistycznych tańcach i ceremoniach wznosił swą duszę do Stwórcy, wielkiego Manitu, prosząc o ... deszcz, boć on był nieodzowną potrzebą dla ich skromnych zasiewów i ziemiopłodów.

O innym Bogu mówił im kapłan-misjonarz. Opowiadał o Chrystusie, o Jego miłości dla biednego ludu, o Jego dobrodziejstwach, o Jego cudach, o Jego męczeńskiej śmierci na krzyżu! Indianie wsłuchiwali się w natchnione, ze serca płynące słowa misjonarza. Uczyli się robić krzyże, zaczęli rzeźbić figury, te krwawe, bolesne Męki Pańskie, które jeszcze teraz można oglądać w starych kościołach misyjnych. Słowo Boże rzucone do serc indiańskich obfite przyniosło plony. W cieniu murów kościelnych, po trudach życiowych, spoczęły całe pokolenia nowonawróconych Indian, taksamo jak i teraz w pobliżu tej pięknej świątyni Pańskiej wychowują się pod opieką innych duszpasterzy prawnukowie tych, którzy przed z górą dwustu laty wznosili te potężne mury, dźwigali budulec, by nawet na pustyni wystawić świątynię — ludziom na pożytek, a Bogu na chwałę. . . .

Pięćdziesiąt mil na północ od miasta Tucson przy drodze wiodącej do miasta Phoenix, znajduje się stary, indiański zabytek. Jest to właściwie ruina całego kompleksu mieszkań indiańskich, robionych czy murowanych z gliny. Gdy do Polski przedzierały się pierwsze promienie wiary chrześcijańskiej, gdy król Mieczysław i Bolesław zakładali podwaliny Polski, przed lat tysiącem, na pustkowiach Arizony, po której teraz podróżujemy szybkimi autami, po znakomitych drogach, zamieszkiwały liczne plemiona Indian, może nawet tych samych Azteków, którzy się osiedlili w Meksyku. Wnioskując po ruinach i zabytkach, jakie po nich tu pozostały, były to zupełnie odmienne szczepy od tych plemion, które koczowały po stepach doliny rzeki Mississippi lub też w stanach Nowej Anglii. Plemiona tutejsze budowały domy z gliny i to jak w tym wypadku — kilkupiętrowe, a tak solidne, że bez jakiejkolwiek opieki przetrwały do naszych czasów. Nie znali wprawdzie drzwi i okien, gdyż nie mieli narzędzi do obrabiania drzewa, ale były to kilkupokojowe mieszkania, a nawet w niektórych wypadkach całe apartamenty mieszkalne, w których żyły setki ludzi. Pozostały po nich bardzo misternie robione wazony, tace i inne gliniane sprzęty, niektóre artystycznie robione farbami zdobne. Zajmowali się uprawą roli, znali sztuczne nawodnienie, hodowali kukurydzę, a w ich mieszkaniach były odpowiednie spiżarnie czy składnice, w których przechowywali zapasy żywności. Pozostały po nich okrągłe, kamienne wałki i płaskie kamienie do mielenia kukurydzy. Wypiekali już nam dobrze znane meksykańskie tortille.

To jest ciekawe i ważne, że ludzie ci przechowywali na czas dłuższy żywność, przedewszystkiem kukurydzę. Fakt ten stał się podstawą ich życia plemiennego, gdyż większe skupienia ludzi, mając zapewnione niezniszczalne zapasy żywności, mogły żyć obok siebie w większych gromadach. Kukurydza w Ameryce jest jeszcze teraz naszym najważniejszym artykułem spożywczym, gdyż karmimy nią bydło i nierogaciznę.

Poza uprawą roli, dawne i obecne plemiona Indian zajmują się hołowlą owiec, kóz i bydła. Z wełny owiec i kóz wyrabiają bardzo piękne kilimy, koce i obrusy. Szczególnie to jest uwagi godne, że Indianka ma wrodzony talent do harmonijnego doboru barw i deseni. To też turyści skrzętnie poszukują i nabywają koce jej wyrobu ręcznego, bo zachwycają się oryginalnymi pomysłami w tworzeniu deseni, o liniach geometrycznych. Dobry, wełniany koc, robiony przez Indianki z plemienia Navajos (Nawahos) kosztuje $20, a nawet $30.00, ale zato jest trwały.

Zboczyliśmy więc z drogi, by się na chwilkę zatrzymać przy tej ruinie tysiącletniej gospody. Rząd podciągnął ją pod rubrykę "narodowego pomnika" — national monument, otoczył opieką, wyznaczył odpowiednich przewodników, którzy turystom objaśniają, jak są stare te ruiny, ile mogło być pokoi, a nawet pokazywali nam ciekawy "kalendarz" owych niepospolitych mieszkańców. W ścianach były zrobione dwie niewielkie dziury i tak umieszczone, że tylko w dwóch dniach, raz na wiosnę i raz na jesień, przez oba otwory przechodziły promienie słoneczne. Od tych dni rozpoczynała się u nich wiosna i jesień.

Może niejeden zapyta, skąd to wiemy, że ci ludzie t. zw. "cliff dwellers" — mieszkańcy skalni, — boć większość tych zabudowań znajduje się na wysokich, niedostępnych wyrwach skalnych, — mieszkali tu przed tysiącem czy dziewięciuset laty? Rozwiązanie tej zagadki jest dosyć ciekawe. Indianie do budowy drabin i powały używali okrągłych kłód. Wiadomo, że każde drzewo co roku powiększa się o jeden "pierścień." Ile drzewo ma pierścieni, tyle liczy lat. Jeżeli w danym roku było dużo deszczu, pierścienie na wszystkich drzewach w okolicy tej rosnących są większe. Jeżeli zaś przez pewien czas panowały posuchy, pierścienie są bardzo cienkie. Uczeni, obliczając pierścienie starych drzew, które teraz ścięto, odkryli te same grubsze czy cieńsze pierścienie jakie znaleziono w drzewach używanych do budowy domów przez ówczesnych Indian. Tym sposobem doszli po nitce do kłębka i niemal dokładnie określili datę budowy tych glinianych pałaców i epokę, w której ci ludzie tu żyli. Drzewa odkryły nam jeszcze jedną ciekawą historię, mianowicie że przez kilkanaście lat z rzędu panowały tu posuchy i ludzie ci z koniecz-

ności opuścili mieszkania, szukając innych terytoriów więcej dla siebie korzystnych.

Rząd nasz — za co go się chwali — zabezpieczył pamiątkę tę przed zniszczeniem przez żywioły i ludzi. Ma tu swych stróżów i opiekunów, ulokowanych w wygodnych mieszkaniach, a nad całą ruiną zbudował duży dach, oparty na czterech stalowych słupach. Przy kwaterze tych "rangers" — tak się bowiem nazywają nasi urzędnicy parkowi — założono piękne ogrody kaktusowe, które w stanach pustynnych zastępują nasze barwne ogródki z kwiatami. To jeszcze wypada zaznaczyć, że rośnie tu około dwieście gatunków tych ciekawych pustynnych kwiatów. Właściwie nie wiem, czy należałoby

"Casa grande"

kaktusy nazwać kwiatami; ale tu je za takie uważają. Tu też, a szczególnie koło miasta Phoenix, do którego wkrótce dojedziemy, mamy całe lasy kaktusów. Jeden z dobrze znanych gatunków — saguaro, wyrasta na kolosa, 40 do 50 stóp wysokiego, ma parę stóp średnicy i posiada kilka, a nawet kilkanaście grubych konarów, przypominających kształtem olbrzymie, kilkunasto-ramienne lichtarze. Taki olbrzym nieraz waży około dziesięciu ton i więcej. Na wiosnę wyrastają na końcach "gałęzi" małe pączki i drobne kwiaty. O tych malutkich kwiatuszkach na czubku potężnych, tysiącami igieł pokrytych konarów, możnaby powiedzieć że słoń zrodził mysz, boć niema najmniejszej proporcji między drzewem i kwiatem.

Prócz saguarów rosną tu inne odmiany kaktusów. Szczególniejszą uwagę na siebie zwraca niezwykły a często w parkach napotykany, krótki, okrągły o paru stopach średnicy "barrel cactus"—czyli kaktus-beczka. Może najczęściej tu widziany i najlepiej znany kaktus, ma sze-

rokie, płaskie, ale przygrubsze liście, pokryte kolcami. Nazywa się opuntia. Mniejsze odmiany tego kaktusu hodują w wazonach. Kwitną zimą i mają kształtne, czerwone kwiaty, cośkolwieczek podobne do kwiatów fuksji. Niektóre z tych gatunków mają okrągły owoc, podobny do oliwek. Owoc ten Meksykanie i Indianie zbierają i jedzą, tak samo jak i my jemy oliwki czy małe korniszony.

Kaktus jest jakoby zbiornikiem wody na pustyni, zabezpieczony jednak jest przed ludźmi i zwierzętami niezliczoną ilością długich, ostrych kolców, gdyż bez tego pancerza jużby go ludzie dawno wyniszczyli. Niektóre gatunki ptaków z rodziny dzięciołów potrafią jednak się dorwać do drzewa i w nim ostrym dzióbem z łatwością wyrąbią sobie mieszkanie. Młody dzięcioł czy inny ptaszek jest pewien, że żaden wróg się do jego gniazda nie dostanie. W sezonie deszczowym kaktusy nabierają w siebie dużo wody i ta im starczy na kilka miesięcy. Jeżeli ktoś odetnie czub "kaktusa beczki" (bisnaga) za chwilę pociekną z niego duże krople zimnej wody. Z miąższu tego kaktusa robią tu smaczne cukierki (cactus candy). Tylko że rząd daje baczenie, aby ich tu przypadkiem nie wyniszczono, bo ludzie to takie bydlaki i szkodniki, że jeżeli mogą coś spieniężyć, zaraz to wytną i zniszczą, byle tylko pieniądz zrobić. Kaktus jest ozdobą pustyni, a koło Phoenix rząd utworzył ogromny park kaktusów. Tam znajdziesz las cały wielkich drzew kaktusowych — saguarów.

W mitologii greckiej czytamy o ptaku, który się odrodził i powstał z popiołów. Nazywał się Phoenix. Bardzo trafnie zastosowano nazwę tę do stołecznego miasta Arizony. Chociaż tutejszy Phoenix wprawdzie nie powstał z popiołów w ścisłym słowa tego znaczeniu, ale wyrósł on na bezbrzeżnej, upałami słońca spalonej pustyni. Nie tylko że wyrosło tu duże, nowoczesne miasto ale całkiem słusznie szczyci się pięknymi budynkami, szkołami, hotelami, zakładami naukowymi, wśród których na szczególniejszą uwagę turysty zasługuje największa szkoła, wyłącznie przeznaczona dla wychowywania młodych Indian. Do szkoły uczęszczają młodzi ludzie ze szczepów Pima, Papago, Maricopa, Hopi, Navajo, Yuma i innych. To jednak tragiczne, że taki młodzieniec przyzwyczai się do kultury europejskiej, ma wygody, mieszka w uczciwym domu, a gdy ukończy szkołę, wraca do małej glinianki, gdzie jest pozbawiony wszelkich nowoczesnych udogodnień. Cóż mu na tej spalonej pustyni pomoże arytmetyka, geografia,

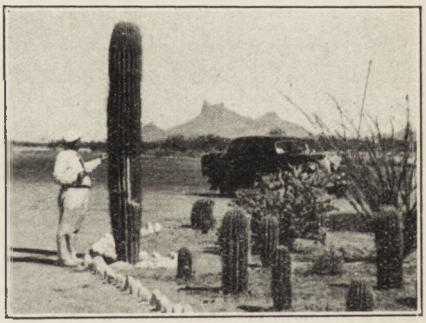

Ogródek kaktusów

algiebra czy historia starożytna?!... Takich szkoła wypacza i unieszczęśliwia. Należałoby koniecznie poprawić los tych plemion indiańskich. Przyjdzie w te strony emigrant europejski i nawet w najbiedniejszych warunkach mieszka i żyje stokroć lepiej od tubylca, który jeszcze do niedawna był tu panem.

Problem Indian tutejszych nie jest tak łatwy do rozwiązania, gdyż niejeden z nich woli swe prymitywne życie od nowoczesnej kultury, a wielu nie może się wprost do niej przystosować.

Może poza nowoczesnym miastem ciekawszą jest tutejsza okolica. Na północ od miasta ciągną się duże pasma górskie. To kończyny gór Skalistych. Z tych górskich czeluści wypływa kilka mniejszych i większych rzek i rzeczek. Rząd wziął je pod kontrolę, zbudował liczne tamy. Powstały dzięki nim liczne rezerwoary i czy to rzekami czy też osobnymi kanałami nawadnia w tym powiecie pół miliona akrów roli. Pod działaniem życiodajnych wód, pustynia przeistoczyła się w przepiękną oazę sadów cytrusowych. Rosną tu palmy daktylowe, pomarańcze, cytryny, jagody, jarzyny... Słońcem palona pustynia wydaje tu największe w kraju zbiory smacznej sałaty. Setki wagonów wysyłają do miast na wschodzie. Tu też rosną olbrzymie pola alfalfy. Pustynia ta karmi tysiące sztuk bydła nie tylko w Aryzonie, ale po całym kraju. Przy kolejach widać ogromne kopy prasowanej i w bele powiązanej alfalfy, którą wysyłają do innych części kraju na paszę. Hodowcy koni rasowych i rasowego bydła, niemal że wyłącznie karmią je alfalfą wychodowaną w Arizonie.

Puściliśmy się z ks. Wojcieszczukiem na całodzienną wycieczkę w góry, na słynną "ścieżkę" — Apache Trail. Nie przypuszczałem nawet, że to taka długa i trudna podróż. Początkowo jechaliśmy wśród sadów cytrusowych, rozłożystych palm daktylowych, ogrodów warzywnych, pól sałaty, dużych kurzelni, mimo olbrzymiej rzeźni, gdzie setki sztuk stepowego bydła z rezygnacją i obojętnością czekało na tragiczny koniec. Za rejonem nawodnienia wjechaliśmy z powrotem na pustynię, następnie krętymi górami wdzieraliśmy się na wysokie, skaliste pasma górskie. U ich podnóża i na stepie gęsto sterczały bezlistne, grube, żłobione konary kaktusów-saguarów. Po kilkugodzinnej krętaninie dotarliśmy do miasteczek górniczych Globe i Miami. Tu, w tym odludziu, napotykamy znów bujne życie, garaże, samochody, uczciwe sklepy, a źródłem tego życia są bogate kopalnie miedzi, srebra i złota. Te trzy minerały zwykle trzymają się razem chociaż srebra, a szczególnie złota jest mniej, niż miedzi. Zato miedź bezwarunkowo jest nam bardziej potrzebna od tamtych drogocennych kruszców. Po chwilowym wypoczynku ruszamy w dalszą drogę do wielkiej tamy — Roosevelt Dam.

W głębi skalistych gór rząd federalny zbudował olbrzymią tamę

na rzece Salt River, z jej dopływami. Wiosenne roztopy gór Skalistych koncentrują się tu i z tego rezerwoaru, wedle zapotrzebowania, rozdziela się wodę po okolicznych wioskach, miastach i fermach. Obejrzeliśmy dużą tamę, półkołem wtłoczoną w wysokie, granitowe góry. Zrobiłem kilka zdjęć i wracaliśmy do Phoenix słynną Apache Trail. Czasem jechaliśmy wzdłuż rzeki i kilku jezior, a raczej rezerwoarów, które powstały dzięki tamom tu zbudowanym, dla tym lepszej kontroli i rozdziału wody. Piękna to okolica górska, imponuje swym dzikim majestatem. Niestety, nie mogliśmy się zbyt długo rozkoszować tym górskim krajobrazem, gdyż trzeba było bardzo uważać na kręte, a niezbyt pewne drogi. Nieraz się zdawało, że droga się kończy i znika, a tu na zakręcie znów się wije jej siwa, wąska wstęga. Czasem serpentynami zjeżdżamy w przepaść, to znów takimi esami, floresami wydobywamy się z niej na wysokie szczyty. Tam rozwijają się przed nami cudne panoramy górskie. Zdala patrząc na horyzont, przypuszczaliśmy, że we Phoenix kłębiły się ciemne chmury. Byliśmy przekonani, że to gwałtowna nawałnica z błyskawicami i piorunami. Tymczasem okazało się, że to była burza piaskowa. W ostatnich kilku latach takie zadymki piaskowe, szczególnie na stepach, spowodowały ogromne szkody, zasypując pola, a nawet zabudowania grubą warstwą sypkiego piasku. Śnieg na wiosnę stopnieje, ale piasek pozostanie. Rolnicy piaskiem zasypanych rejonów zabierali rodziny i szli w świat za nowym kawałkiem chleba. Wróciliśmy wieczorem porządnie zmęczeni.

W niedzielę, po nabożeństwie, wróciłem do kwatery. W koszuli siadłem pod drzewem, by pisać moje tygodniowe "gawędy" dla "Pittsburczanina." Gorąco jak w piekle, więc też wraz z cieniem posuwałem się około drzewa. Mieliśmy tego dnia 115 stopni ciepła. Na szczęście w sąsiedztwie znajdował się skład z lodem; a prawdziwą nowością dla mnie był fakt, że do otworu wkładało się piętnaście centów, które niby dwie pigułeczki puszczały w ruch jakieś koła i tryby i za chwilę korytem wylatywał kawał lodu, zawinięty w papier. Turysta kładł to na krawędź auta i wracał do domu. Gdy lód zużył, pijąc "whiskey and soda," znów mógł się za piętnaście centów zaopatrzyć w nowy kawał lodu. Tak było gorąco, że już mi się z czupryny kurzyło i gdyby nie ta solidna bryła lodu, butelka uczciwej szkockiej wódki i woda sodowa, kto wie, czybym wam o tych przygodach pisał. Spaliłbym się na żużel. Lubię słońce, nie gardzę w pewnych warunkach i okolicznościach gorączką, ale tej "przyjemności" było tu stanowczo za dużo. Więc też nie pozostało nam nic innego do roboty, jak tylko robić stąd rejteradę. Rano już o godzinie czwartej ruszyliśmy w dalszą drogę. Tutejsi obywatele znając drogi, odbywają podróż stąd do Kalifornii nocą gdyż wtenczas gorączka im tak nie dokucza.

Kilkadziesiąt, może okrągłych 50 mil, pędziliśmy o szarej godzinie wśród ogrodów cytrusowych i szerokich pól alfalfy. W niektórych miejscach jechaliśmy przez odurzający nas zapach miodu. Czasem napotykaliśmy duże pasieki. Tu jako fachowiec, śmiem twierdzić, że amerykańskie ule są najlepsze i najpraktyczniejsze. Swego czasu, gdy się jeszcze nie bawiłem w dziennikarza i pisarza, miałem ponad 50 uli i produkowałem rocznie około dwie tony patoki. W tutejszych pasiekach widziałem na ulach po kilka nadstawek. To dowód, że tegoroczny zbiór miodu zapowiadał się dobrze. Bylica i inne kwiaty pustynne są w wysokim stopniu miododajne. Ale nie interesowałem się na razie ulami, pasiekami i miodami. Zależało mi na tym, aby się jak najprędzej z tego pustynnego wydostać piekiełka i to zanim nastąpią całodniowe upały.

O szóstej rano zatrzymaliśmy się na chwileczkę w miasteczku Gila Bend, tak nazwanym od rzeki Gila, która w tym miejscu robi duży zakręt. Chociaż pustynia, ale wszędzie przy drodze zielenią się pola lucerny, przy kolei są duże kopy sprasowanej alfalfy gotowej do wysyłki. Poza stacjami z gazoliną i restauracjami, nic tu innego nie zauważyłem, więc też zaopatrzywszy się w paliwo, walimy naprzód do granicznego miasteczka Yuma, pono najgorętszego w całych Stanach Zjednoczonych. Tych 120 mil z Gila Bend do Yuma zrobiliśmy w paru godzinach, gdyż nikt nam nie przeszkadzał, a każdy gonił jak wściekły.

Yuma leży na potrójnej granicy: Meksyku, Arizony i Kalifornii. Opowiadają tubylcy, że jeden z żołnierzy miejscowej załogi dostał zapalenia płuc i umarł z tej choroby. A że to był jakiś Irlandczyk, co do kościoła nie chodził, podatków parafialnych, jak na porządnych ludzi przystoi, nie opłacał, przytym do karczmy zaglądał, a podpiwszy sobie z innymi bił się i przeklinał, więc też po śmierci skazano go na męki piekielne, żeby wiedział i pamiętał, że tak postępować się nie godzi, tym bardziej żołnierzowi. Jak wspomniałem, Irlandczyk to był więc jak tu mówią "zbyt zielony," ażeby się tak odrazu palił. Dlatego przeznaczono go do "suszarni," by trochę wysechł, boć trunkowością był porządnie zalany. Po tygodniowym pobycie w "suszarni" zwraca się ów żołnierz do nadzorującego diabła z prośbą, aby mu pozwolił wrócić do obozu. — Poco?! — pyta rogaty. — Jestem przyzwyczajony do gorączki i wysokiej temperatury, — powiada żołnierz — proszę diabelskiej "eksmisji," bo w pospiechu zapomniałem mój koc wojskowy. Siedzę tu już od tygodnia i obawiam się, żebym się nie zaziębił, dlatego potrzebny mi koc, i chciałbym go z sobą zabrać.

Niedługo popasaliśmy tu, więc też ani przygód tego żołnierza ani wysokości temperatury nie mogłem sprawdzić.

Na granicy kalifornijskiej, zdaje się, jest dokładniejsza rewizja, niż na granicy meksykańskiej. Przeglądają dokumenty, nos wścibiają do walizek i pakunków, szukając za szkodnikami, w postaci wielce tu niepożądanych owadów. Taki proceder spotyka się nawet w Nowej Anglii, gdzie wprowadzają kwarantannę przeciwko robactwu niszczącemu owoce, drzewa i jarzyny. Z tym bieda, że robaki te drogami nie chodzą i trudno jest ich przemarsz skontrolować. Ale szczęśliwie przeszliśmy inspekcje: przylepiono nam przepustkę na aucie i czym prędzej ruszyliśmy w dalszą podróż. Przybyliśmy tu o 9-ej a wyruszyliśmy w dalszą drogę do San Diego o... 8-ej, bowiem i tu już po raz trzeci wypadło nam cofnąć zegarki o całą godzinę. To też gdy zobaczyłem, że to zaledwie ósma, zaraz mi się chłodniej zrobiło.

Przekroczyliśmy mętną rzekę Colorado i wjechaliśmy w ogromne wydmy piaskowe. Niech się schowa Sahara wobec piasków tego bezludnego zakątka Kalifornii. Wszystkie ruchome obrazki przedstawiające sceny ze Sahary są zdejmowane w tym piaszczystym pustkowiu. Po przekroczeniu dwudziestomilowego pasa amerykańskiej Sahary, wjechaliśmy w rejon górski, jednak niezbyt wysoki. Droga rządowa Nr. 80 lekkimi serpentynami przeciska się wśród dolin górskich. Niekiedy w tych uroczych dolinach napotykamy małe fermy, sady i ogrody jarzynne, czasem niewielkie przydrożne miasteczko. Przypuszczam, że to jest ciąg dalszy wysokich Sierrów, stanowiących jakoby stos pacierzowy Kalifornii. Tylko w tej części nie zdołały się one wznieść tak wysoko, jak to uczyniły dalej na północ. Nie tyle nas bawił górski krajobraz, ileśmy się rozkoszowali chłodną, górską temperaturą. Gdyśmy koło drugiej godziny po południu zjeżdżali z wyżyn górskich, zajaśniał przed nami siną taflą ocean Spokojny, a tuż przy jego brzegach pięknymi wieżami i wysokimi gmachami strzelało ku niebu bardzo urocze miasto, San Diego, w którym się na chwilę zatrzymamy.

ROZDZIAŁ XX.

# POWRÓT

## San Diego - Los Angeles - Paso Robles - Park Sekwoi.

Dotarliśmy szczęśliwie do oceanu Spokojnego i do najbardziej na południe wysuniętej części Kalifornii. Metropolią tej części, drugiego największego stanu naszej Republiki, jest bardzo urocze, co do klimatu i innych warunków wprost idealne miasto — San Diego, położone przy dużej zatoce nad oceanem.

Tu właściwie, jak twierdzą starzy kronikarze, rozpoczęła się historia Kalifornii. W myśli przerzucam karty jej najważniejszych wydarzeń. Widzę tu pierwszych odkrywców Hiszpanów, następnie ojców Franciszkanów, z gorliwym apostołem Kalifornii, ks. Junipero Serra. W duchu idę z jednej misji do drugiej przez nich z mozołem budowanych, boć nie tylko dla wygody hiszpańskich kolonistów i odkrywców je stawiali, ale przedewszystkim dla okolicznych Indian, którym głosili słowo Boże, uczyli ich rzemiosła, gospodarstwa domowego, rolnictwa; — innymi słowy — kształcili i cywilizowali dzikie plemiona tubylców. Z kolei przechodzę do lat przełomowych, gdy po wojnie meksykańskiej, przedzierał się tu przez piaski pustynne generał Freemont z żołnierzami. Toć to może najpiękniejsza i najciekawsza karta historii amerykańskiej. Od Meksyku, wdzierali się tu pionierzy hiszpańscy, od północy, po ten zaczarowany kąt Ameryki łapę wyciągał niedźwiedź północy, — Rosja. Nareszcie jednych jak i drugich zmiotła bezustannie napływająca potężna fala naszych odkrywców, zahartowanych na niewygody. Wyróżniają się zaś ci co tu przybyli w r. 1849 w pogoni — za złotem.

Wabikiem ściągającym tu wielkie tłumy prospektorów i awanturników oczywiście było . . . złoto. Niby magnes, przyciąga opiłki stalowe, a świeca ćmy nocne, tak samo złoto, odkryte w okolicach obecnej stolicy stanu — miasta Sacramento, sprowadziło tu niezliczone tłumy ludzi. Jedni szli na piechotę, inni zaś krytymi wozami przedzierali się przez góry i pustynie. Liczne transporty awanturniczych prospekto-

rów-kolonistów płynęły nawet naokoło Ameryki Południowej i lądowały w San Francisco, czy innym dogodnym porcie. Ten napływ ludności, pragnącej złota, szybko pchnął naprzód rozwój całego kraju.

W podróżach mych zauważyłem, że ludzie w stanach zachodnich są daleko energiczniejsi, wykazują więcej przedsiębiorczości, więcej ochoty do pracy, od leniuchów na wschodzie. Często zadawałem sobie pytanie: co właściwie jest za przyczyna tej niepospolitej energii i ruchliwości?... Znów przychodzi mi na myśl prawo natury, określone przez Darwina, że tylko najlepsi, najtęższi, najodporniejsi, wytrzymają i zwyciężą. Trzeba było wykazać dużo energii i przedsiębiorczości, zanim ten szary, biedny gospodarz ze stanów Nowej Anglii, zaryzykował i zadecydował sprzedać skromny dobytek, rzucić wszystko "na losu stos," zapakować żonę i dzieci do krytego wozu, zabrać pług, nasiona, trochę żywności i puścić się na całoroczną podróż na zachód. Tylko najsilniejsi, najprzebieglejsi, najwytrwalsi podołali temu zadaniu. Dlatego mając takich pionierów, Kalifornia w stosunkowo krótkim czasie poczyniła tak ogromne postępy. Nic też dziwnego, że w Sacramento, na jednym z rządowych budynków, jaśnieje piękne hasło: "Give me men, like my mountains" czyli — "Dajcie mi mężów, jak moje góry." A wysokie, potężne, śniegami pokryte są jej góry, największe w Stanach Zjednoczonych... To samo dałoby się powiedzieć o polskich pionierach, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych.

Kalifornia, to wielki, to postępowy, to bogaty i dumny stan! Jeszcze teraz wydobywają z rzek, strumyków i gór złoty kruszec. Chociaż wydarto rzekom ich najlepsze, złotodajne piaski, wyrwano górom najbogatsze żyły, ale zato natrafiono na inne, niewyczerpane wprost skarby. Z ziemi trysły niezliczone źródła nafty. Pustynie, dzięki sztucznemu nawodnieniu, zastosowanemu na bardzo wielką skalę, zazieleniły się tysiącznymi sadami najsmaczniejszych owoców i ogromnymi polami jarzyn. Na stokach górskich zaczęto wyrębywać niebotyczne świerki, sosny i te smukłe "red woods," i te majestatyczne, tysiące lat liczące sekwoje...

Zazieleniły się pustynie, zadudniły lasy od siekiery drwala. Niby grzyby po deszczu, nad brzegiem Oceanu i w wielkich dolinach Sacramento i San Joachim, wyrastają wciąż nowe osady i ludne miasta. Dla przykładu weźmy chociażby tylko statystykę miasta San Diego — św. Jakuba, — i co ona nam powie?!... W roku 1900 było tu zaledwie 17,000 ludności. Za lat dziesięć liczba wzrosła do 34,000, za następne lat dziesięć do 75,000, a w roku 1930-tym dochodziła do 150,000. Czy znajdziecie coś podobnego w Europie?!... Chyba jedyna Gdynia swym pędem może się równać z rozwojem miast kalifornijskich, ale to tylko Gdynia i nic więcej. Pierwszy sklepikarz w San Diego, tej jeszcze do

niedawna wioski, taki miał napis na swych kopertach i listach: — Sklep Jana Nash'a "Założony w roku 1868-ym, ludność 23." A tu ludność teraz dochodzi już do ćwierć miliona. Gdy od tamy Boulder Dam przeprowadzą przez pustynie tunel do wody, San Diego, wraz z okolicznymi pustyniami, łaknącymi wody, tryśnie nowym życiem. Okolica ta pokryje się zielenią sadów i ogrodów, stanie się rajem dla małych gospodarzy.

Nie będę jednak rozpisywał się o piękności i bogactwach Kalifornii, którą dla wielu względów wprost uwielbiam. Przejechałem ją wzdłuż i wszerz. Pędziłem ponad tysiąc mil nad brzegiem Oceanu; w głębokiej pokorze, kajałem się przed majestatem Boga, w tych najpiękniejszych i największych świątyniach na świecie, gajach, czerwonych drzew — redwoods. Ileż to razy wpatrywałem się w mieście San Francisco nad — Złotą Bramą w nigdy nie wyczerpane blaski zachodzącego słońca! Ubóstwiałem jej urocze kaniony i wodospady w parku Yosemite. Wdzierałem się, i to nawet autem, po doskonałych drogach, na śniegiem i sekwojami pokryte Sierry. W poprzedniej podróży, tygodnie całe włóczyłem się po Kalifornii i trzy bardzo ciekawe rozdziały poświęciłem jej historii, zasobom i kulturze. Tam też znów mych czytelników odsyłam. [1]

W roku 1542-im zawinął do tutejszego portu, mały okręcik hiszpański, pod wodzą kapitana Jana Rodrigeza Cabrillo. Odkrywcy wylądowali na małym przylądku Point Loma. Zatknęli sztandar hiszpański, zapewne zmówili jakiś pacierz, nazwali okolicę San Miguel, czyli św. Michał, może nawet temu archaniołowi zlecili opiekę nad krajem i powlekli się w dalsze, nieznane im okolice. Dopiero sześćdziesiąt lat później, przypłynął tu inny żeglarz hiszpański, Sebastian Viscaino, i nazwał przystań i okolice San Diego. Ta nazwa przechowała się do naszych czasów i zapewne pozostanie nadal. Zaglądali tu także Anglicy, pod wodzą słynnego odkrywcy i podróżnika kapitana Drake'a.

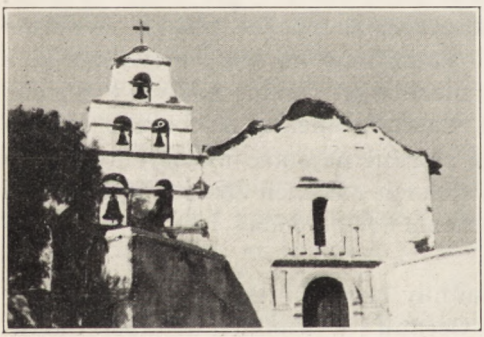

Kościół w San Diego

W roku 1769-tym, przywędrował w te okolice gorliwy, niestrudzony Franciszkanin, ks. Junipero Serra, z kilku księżmi, braciszkami i większą załogą hiszpańską. Wtenczas dopiero powstały tu pierwsze

1. "Samochodem przez St. Zjed." — Koniec tomu 1-go i początek 2-go.

stałe placówki, kościoły misyjne, z których niejedne są jeszcze teraz w użyciu, a inne przechowały się już tylko jako ruiny. Jednakowoż wpływ kolonistów hiszpańskich był tak potężny i wyrył tak głębokie piętno, że jeszcze teraz z pewnym pietyzmem odnoszą się do owych pionierów. Niepospolita architektura hiszpańska, wyryta na skromnych czasem nieudolnych kościołach misyjnych, wybiła swe piętno nie tylko na gmachach rządowych na szkołach i bankach, ale nawet taka stacja kolejowa w San Diego, niby kościół o dwóch wieżach, stylem przypomina stare, prymitywne kościoły franciszkańskie. Wszędzie zachowano nazwy hiszpańskie, fiesty, zabawy i stroje dawnych pionierów. Jeszcze i teraz znajdziesz w południowej Kalifornii bardzo dużo Meksykanów, częstokroć mieszańców czystej krwi Indian, z potomkami hiszpańskich donów.

Kalifornia posiada prawdopodobnie najwygodniejsze i najpiękniejsze kabiny turystyczne w całych Stanach Zjednoczonych, a to dlatego, że zimą i latem zjeżdżają się tu tysiące turystów. Mając do użytku wygodne kwatery, wielu z nich nietylko tygodnie, ale miesiące całe spędza nad oceanem czy też w górach, rozkoszując się uroczym klimatem Kalifornii. Dlatego też z wyszukaniem odpowiedniej, wprost luksusowej kwatery nie mieliśmy żadnego kłopotu. Przytym zaznaczyć wypada, że jarzyny i owoce są tu bardzo smaczne, tanie, zawsze świeże i rozmaitość wielka. Przed sklepami widzisz stosy całe pomarańczy, grapefruitów, bananów, ananasów, daktyli, fig i innych przysmaków. Tu, tylko żyć, a nie umierać!

W San Diego, najwięcej ciągnęła nas ku sobie wystawa, pod szumną nazwą "California Pacific International Exposition." Właściwie otwarto ją już rok temu, ale jeszcze się nie skończyła, a nawet nie wiem, czy się wogóle skończy. Każdy turysta gdy tu przyjeżdża, zwiedza także wystawę, jeżeli już nie po co innego, to chociażby tylko oglądać wspaniały park i przecudne gmachy.

Budynek w parku Cabrilli

Niemal, że w centrum miasta znajduje się ogromny park, nazwany ku czci pierwszego odkrywcy, park Cabrilli. W tym właśnie parku, już od wielu lat buduje miasto przepiękne gmachy, upiększa go uroczymi sadzawkami, w jarach sadzi tysiące przeróżnych palm, które w nocy bogato oświetlają ukrytymi lampami elektrycznymi. Pono mają tu tysiące

najrozmaitszych okazów palm i tropikalnych roślin. W sadzawkach zaś, rozpanoszyły się różnobarwne, kwieciste lilie wodne, obok znów szumią zielone sosny, gdzie indziej tryskają fontanny. Wśród tych kwiatów, klombów, fontann są rozrzucone w stylu renesansowym i hiszpańskim budowane gmachy wystawowe. Tu nie znajdziesz tandety. Wszystko obmyślane na czas dłuższy. Więc też warto tu zajść, chociażby tylko dla zwiedzenia i podziwu samych gmachów. Najwięcej interesował mnie gmach, w którym się mieści muzeum meksykańskie. Nagromadzono w nim bardzo dużo zabytków, dzieł sztuki, jak również przemysłu naszego sąsiada — Meksyku. Zaciekawiły mnie też bardzo duże fotografie przeróżnych świątyń i pałaców starożytnych Mayów i Azteków. Szczególnie w podziw wprawiły mnie ruiny z półwyspu Yucatan. Co za kolosalne gmachy! Co za potężne kolumny, rzeźby wykonane przez ludzi, którzy nawet stali nie znali, nie posiadali nowoczesnych przyrządów, którzy nawet nie mieli wołów, koni lub innych zwierząt pociągowych, aby ciężki budulec zwieść na miejsce budowy.

Co do innych eksponatów, poza budynkami, wystawa w San Diego nie wiele się różniła od tej, którąśmy zwiedzili w Dallas. Spędziliśmy tu jednak dwa przyjemne wieczory, gdyż klimat tu uroczy. Rozchodzi się w parku woń tropikalnych kwiatów, szumią fontanny, grają na tafli wodnej różnorakie barwy lamp elektrycznych, przytym słuchamy pięknego koncertu, urozmaiconego programem wodewillowym, w którym występują słynne tancerki i śpiewaczki. Po kilkutygodniowej podróży przez stepy i gorące pustynie, używaliśmy tu wywczasów jak nigdy w życiu. Sama myśl, że jeszcze wczoraj topnieliśmy w gorączce, niby płonące świece, sprawiała nam jakąś nadziemską rozkosz.

San Diego, jest jednym z naszych ważnych portów wojennych nad Pacyfikiem. W zatoce przyczepione jeden do drugiego, leżały całe rzędy torpedowców, nurów, a obok nich w sennym bezczynie lekko kołysały się olbrzymie, siwe kadłuby pancerników i innych okrętów wojennych. Tu też znajdują się ogromne pola i hangary lotnicze, tak dla samolotów lądowych jak i dla morskich. Mają tu także kwaterę specjalnej konstrukcji okręty wojenne, których zadaniem jest przewozić z flotą wojenną setki szybkich aeroplanów służących do bombardowania portów czy okrętów nieprzyjacielskich. Czasem nad miastem lecą stada całe aeroplanów, gdyż wciąż się tu ćwiczą i przygotowują do wojny. Na wodach oceanu Spokojnego są skoncentrowane nasze największe i najlepsze okręty wojenne. Chociaż narazie stosunki polityczne między Japonią i Stanami Zjednoczonymi są dosyć przyjazne, nikt nie wie, kiedy się zmienią. Przypuszczam, że prędzej, czy później, przyjdzie do wojny z Japonią. Co

się tu dziwić krajom europejskim, że jeden na drugiego zęby wyszczerza i warczy, jak pies na uwięzi, kiedy i my się szykujemy na sąsiada, oddzielonego od nas największym oceanem na kuli ziemskiej.

Pojechaliśmy zwiedzić mały półwysep, na którym według tradycji tutejszej, miał wylądować pierwszy odkrywca, Cabrillo. Gdyśmy się już zbliżali do tego miejsca zastąpił nam drogę żołnierz, stojący na warcie. Zapytał: dokąd? — A gdyśmy go zapewnili, że jedziemy zobaczyć starą lampę i pomnik odkrywcy, kazał jechać, ostrzegł nas jednak, żebyśmy się nie ważyli robić zdjęć, wąskiego tego półwyspu. Poza lampą morską, maciupiutkim parkiem i granitowym pomnikiem z bronzową tablicą dla zwykłego widza niema tu nic ciekawego. Jednakowoż dla takiego jak ja, "majstra" co to juz w niejednym forcie w Europie i Ameryce armaty oglądał, nie jest to wcale tajemnicą, że wśród zarośli kryły się potężne baterie haubie i dalekonośnych armat, strzegących zatoki, floty wojennej i miasta. San Diego stanowi jakoby lewe skrzydło naszej linii obronnej na Pacyfiku. Trochę dalej na północ, jest San Pedro, koło Los Angeles. Kilkanaście okrętów wojennych znalazłbyś w Monterey, dużo w San Francisco, a reszta rozrzucona w okolicy Seattle i Portland. Ostrze tej linii obrony i ataku stanowią wyspy Hawajskie, a "straconą placówkę" — Filipiny. Więc też nie chcąc się narażać na nieprzyjemność i stratę kilku drogocennych, a dla mnie niezbędnych aparatów fotograficznych, nie bawiłem się tu tym razem w fotografa.

Może nie będzie od rzeczy, jeżeli w tym miejscu poinformuję czytelnika, że chociaż geograficznie odbyliśmy zaledwie jedną trzecią, a może nawet czwartą część podróży, zato tury książkowej ... pokryliśmy już ... dwie trzecie. Wracając, a równocześnie klucząc od południa ku północy i znów z powrotem na południe, mamy przed sobą ponad dwanaście tysięcy mil drogi. Ale to nas już nie przeraża, bo częstokroć pojedziemy przez stany, miasta i okolice, w których byliśmy już w poprzedniej podróży turystycznej. To też te miejscowości pomijam w tej książce, lub krótką tylko robię o nich wzmiankę. Jak to już na wstępie zaznaczyłem, chcę obecnie tylko poprzednią, również bardzo ciekawą podróż uzupełnić. Pragnę aby czytelnik po przeczytaniu obu książek miał dokładne pojęcie o naszym kraju i o jego niezwykłej historii. Nie chcąc nudzić czytelnika suchymi cyframi i faktami, dorzucam zawsze ciekawe szczegóły, charakteryzujące dany wypadek, czy epokę. Odtąd, będziemy robili w jednym zdaniu kilkaset milowe skoki, szczególnie jeżeli stany, parki, czy inne ciekawe zdarżenia już poprzednio opisałem.

Wjeżdżamy na dobrze mi już znaną drogę — "Redwoods Highway," ciągnącą się od granicy kanadyjskiej, wzdłuż oceanu Spokojnego aż do granicy meksykańskiej. Na mapach turystycznych jest

ona oznaczona jako U.S. 101. Droga nosząca numer U.S. 1, ciągnie się od Portland, Maine, wzdłuż oceanu Atlantyckiego, aż do Miami we Florydzie. Rozpoczynając podróż, jechaliśmy pierwszą drogą, a teraz ... ostatnią. Tak jedna jak i druga, wiedzie turystę wśród bardzo ciekawych zabytków historycznych przez urocze, chociaż od siebie odmienne okolice i przez miasta, także o zupełnie odmiennej historii i kulturze. Na wschodzie są miasta o charakterze angielskim, tu zaś nazwy i architektura hiszpańska. Obywatele Kalifornii starają się nawet o utrzymanie ducha i kultury hiszpańskiej, co się im chwali.

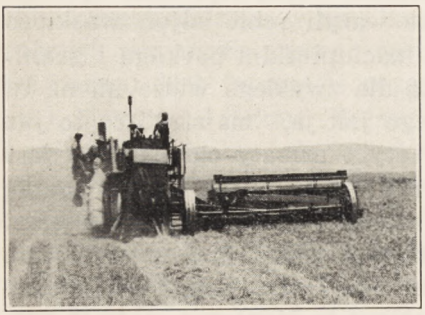

Nowoczesna żniwiarka — worki pszenicy po lewej

Jedziemy więc wzdłuż oceanu przez cały szereg mniejszych i większych miasteczek nadbrzeżnych, których głównym źródłem dochodu, zdaje się są ... turyści, a po za tym olbrzymie sady owocowe i pola jarzynne. Nawet gdzieniegdzie jechaliśmy mimo dużych pól pszenicy. Byliśmy tu podczas żniw. Na pola nie wyszły jednak zastępy naszych barwnych polskich żniwiarzy, nie znalazłbyś tu tych kobiet grabiących kłosy, wiążących snopy, stawiających kopy zboża. Nic tu podobnego nie znajdziesz. Zato na pole pszenicy wyjeżdża duża żniwiarka, ciągniona albo przez kilkanaście par koni, co już także wychodzi z mody, albo też traktorem. Te żniwiarki nazywają "combine," gdyż łączą w sobie żniwiarkę, wiązarkę i młócarnię. Za jednym zamachem siecze zboże, młóci, i nasypuje do worków. Gdy już umłóci kilka worków, składa je na ziemi, jeden obok drugiego. Dlatego też na polu nie widzisz kop zboża, tylko w pewnej odległości, jedne od drugiego, leżą poukładane worki ziarna. Przy pomocy tych maszyn, dwóch czy trzech ludzi, lepiej i prędzej wykonuje robotę od całej setki żniwiarzy w Polsce. Na wszystkich wielkich fermach na zachodzie używają teraz takich maszyn do koszenia i młócenia.

Los Angeles — Miasto Aniołów, — tak je przynajmniej nazywają, — jest teraz największym miastem po tej stronie oceanu Spokojnego. Powstał w tej okolicy cały szereg mniejszych i większych miasteczek i te się wciąż rozrastają i łączą, tworząc jedną ogromną metropolię, obejmującą setki mil kwadratowych, poprzeżynaną szerokimi bulwarami, które, niby stalowe obręcze, wiążą poszczególne miasteczka w jedno wielkie, pełne życia metropolitalne miasto. Co właściwie powoduje ten niezwykły rozrost i rozpęd, dokładnie powiedzieć nie mogę. Mają tu wprawdzie idealny klimat; mają co

prawda słynny Hollywood, przedmieście Los Angeles; mają wysoko postawione rolnictwo; mają trochę fabryk i to zwykle na przedmieściach, a po za tym nie wiem właściwie co jest powodem tego zadziwiającego rozrostu. A tu wcale nie dwuznacznie mówią o tym, że Los Angeles będzie kiedyś największym miastem w Stanach Zjednoczonych. Z tego co w mych podróżach na własne oczy tu widziałem, gotów jestem uwierzyć w ich samochwalbę. Byłem tu już kilka razy. Włóczyłem się po przedmieściach, a nawet dużych, zasobnych, bogatych miastach jak n.p. Pasadena, dawniejsza stolica amerykańskich milionerów. Za każdym razem widzę nowy postęp, nowe, wspanialsze dzielnice, nowe gmachy, nowe pałace. Każde, nawet najmniejsze kino, w którejkolwiek części kuli ziemskiej się ono znajduje, pracuje dla Hollywoodu i miasta Los Angeles.

Ciągnęła mnie tu serdeczna przyjaźń koleżeńska, ot taka, którą się zawarło przed wielu laty na ławie szkolnej i jak zwykle trwa dłużej od tych innych, przygodnych, szczególnie, jeżeli się dobiorą odpowiednie charaktery. W tym wypadku, kolegą i przyjacielem za którym od wielu lat tęskniłem, jest Francuz, profesor i szef departamentu literatury i kultury francuskiej na uniwersytecie kalifornijskim, Paweł Perigord. Zapoznałem się i zaprzyjaźniłem się z nim jeszcze na ławie szkolnej, niemal przed czterdziestu laty, gdy przybył tu z Francji. Nie umiał on wtenczas ani słówka po angielsku, a ja niewiele więcej po francusku. Ja go uczyłem języka angielskiego, on mnie francuskiego. Godzinami rozmawialiśmy o literaturze, historii polskiej i francuskiej i tak losy nami pokierowały, że podczas wojny światowej on wstąpił do armii francuskiej, ja zaś do armii polskiej. Jako zwykły żołnierz, trzy lata walczył na froncie, był ciężko ranny, a jego pułk — 14-ty piechoty, otrzymał najwyższe odznaczenie wojskowe armii francuskiej. Na polu bitwy awansował on z prostego żołnierza na porucznika i kapitana, odznaczony został krzyżem wojennym i krzyżem oficerskim Legii Honorowej. Od wielu lat, jako szef departamentu, wykłada literaturę francuską na uniwersytecie i uważają go tu za jednego z najwpływowszych profesorów i obywatli miasta Los Angeles.

Czekał na mnie przed jednym z gmachów uniwersyteckich. Nie widzieliśmy się już od czasu wojny. Więc też czym prędzej ulokowałem mych towarzyszy podróży w wygodnej kabinie turystycznej, zostawiając ich własnemu losowi. Ja zaś, chciałem spędzić jak najwięcej czasu z mym kolegą — człowiekiem zdolnym i wielkim idealistą, boć nie każdy pójdzie jako ochotnik na wojnę jako zwykły żołnierz, gdy go nikt, prócz sumienia i poczucia obowiązku, do tego nie zmusza. Tak było z nim, tak było zemną. Chociaż sam nie mogę się poszczycić wielkimi, bohaterskimi czynami, jednakowoż świadomość,

że się zawsze spełniło obowiązek i więcej niż obowiązek, jest w życiu największą nagrodą i satysfakcją.

Wieczorem pojechaliśmy za miasto, na wysokie wzgórze, na którym zbudowano piękne obserwatorium i muzeum planetarne. Usiedliśmy na uboczu, by nam nikt nie przeszkadzał. Wpatrując się w miliony różnokolorowych lamp elektrycznych, rozsianych po ogromnej przestrzeni, sięgającej aż na krańce horyzontu, rozpoczęliśmy długie, serdeczne rozmowy ... Los Angeles ze swymi przedmieściami słało się u naszych stóp kobiercem migocących świateł.

— Tu cię chciałem przyprowadzić — mówi mój przyjaciel, gdyż jest to najpiękniejszy widok na całą okolicę i tu będzie nam się dobrze gwarzyło ... Tak, gwarzyliśmy, ale niemal półsłówkami, pozostając w jakimś przedziwnym splocie serc i wspomnień ... Boć jakie to ciekawe koleje przechodziliśmy jako studenci i przyjaciele. Na ileż to przewrotów patrzeliśmy! W naszych oczach zmieniła się karta Europy. Francja zwycięska ... Polska wolna ... A tak żywo pragnęliśmy jednego i drugiego. Podczas wojny, z frontu zawsze mi pisywał, że "walczy o wolną Polskę" i zapewniał mnie, że Polska będzie nie tylko wolna, ale stanie się potężnym państwem. Miał słuszność. W tym wybitnym profesorze, Polska ma tu zawsze dzielnego sprzymierzeńca i obrońcę. Obracając się w sferach naukowych, wśród wybitnych ludzi, zdala od wpływów polskich w licznych odczytach, jest on tu jej stałym, gorliwym szermierzem i obrońcą. Obyśmy na katedrach profesorskich w Ameryce mieli jak najwięcej tak dzielnych, a tak dla sprawy naszej życzliwych ludzi, jakim jest mój kolega, prof. Paweł Perigord.

Nie mogliśmy się nagadać. Nie mogliśmy się sobą nacieszyć. Nic mnie w Los Angeles prócz niego, nie interesowało. Radziłem ks. Wojcieszczukowi zwiedzić miasto, fermy strusie, lwie i koni arabskich; poleciłem chodzić do kina, do parków, na mosty, z których ludzie skakają do przepaści na złamanie karku. Może robić co chce, co mu się podoba, byle nas zostawił w spokoju, gdyż chciałem jak najwięcej czasu spędzić z przyjacielem. Teraz dopiero rozumiem kobiety, że gdy się zejdą, nie mogą się nagadać. Toć my, przez tydzień cały nawet uczciwie nie rozpoczęliśmy naszych sercowych wynurzeń, nie skompletowaliśmy naszych planów na przyszłość, chociaż tej przyszłości już nam niewiele pozostaje. Niemal że już rozwiązaliśmy zagadkę naszego życia, a przyznam, że tak z jego, jak i z mej strony było ono niepospolite i w wielkiej mierze ... pomyślne, szczególnie jeżeli się ma na względzie nie tyle robienie fortuny ile dobrą pracę społeczną i oświatową. Szeroko znany lekarz i chirurg, Dr. Alex. Carell, autor słynnej książki. p.t. "Man the Unknown," twierdzi, że człowiek jest równocześnie rzeźbiarzem i bryłą marmuru, którą sam

rzeźbi. "Jedni z życia rzeźbią wspaniałe wzory, oddając je innym do naśladowaania, drudzy zaś bryłę marmuru, czyli życie własne, niszczą i rzucają do błota. Niekiedy, innym nawet tamują drogę do postępu swymi rozbitymi ideałami. Nie o sławę nam chodziło. Nie pragnęliśmy fortuny ani honorów. Jeden, na katedrze profesorskiej, drugi na ambonie, jak najsumienniej pełni swoj obowiązek. Mogę też śmiało twierdzić, że pod wielu względami zbieramy aż nadto obfite plony i nagrody.

Jak to zapewne każdemu wiadomo, Hollywood, przedmieście Los Angeles, jest środowiskiem najsłynniejszych wytwórni obrazków ruchomych. Do rozwoju tego wielomilionowego przemysłu przyczynił się klimat i niezwykła okolica. Kalifornia ma wszystko: góry, pustynie, lasy i prerie. Masz tu dużo bogatych pałaców, masz tu rzeki, zatoki, a nawet "dosyć duży" ocean, bo sięga on aż na drugą półkulę. Więc na topografii i krajobrazach potrzebnych do filmów im nie zbywa, gdyż nawet latem, na wysokich szczytach Sierrów, mają śniegu pod dostatkiem.

Dawniej, wolno było turystom zaglądnąć do wytwórni ruchomych obrazków, teraz to już należy do wyjątkowych przywilejów. W świecie filmowym zajaśniał tu jako niepospolita siła kierownicza nasz rodak, niestety tak przedwcześnie zmarły, Ryszard Bolesławski. Zatelefonowałem do pracowni, chcąc się z tym skromnym a wyjątkowym człowiekiem bliżej zaznajomić i o niektórych sprawach pomówić. Jako dyrektor, czy reżyser, pracował wtenczas dla firmy Selsnick Corp. i wykończał pierwszy, ruchomy obrazek w kolorach p.t. — "The Garden of Allah." Pustynia dla Arabów, na którejbyśmy zmarli z pragnienia, głodu i gorączki, jest wprost — boskim ogrodem.

Skromny, miły w obejściu, przypominający więcej jakiegoś prostego robociarza, niż dyrektora, ś.p. Ryszard Bolesławski, zabrał mnie do wytwórni, posadził na krześle obok siebie i kazał się z bliska przypatrywać tej niezwykłej a ciekawej pracy filmowej. Miał na sobie koszulę zwykłego robociarza, szare, grube, drelichowe spodnie i ciężkie duże trzewiki. Stale pykał z małej fajeczki, która mu co chwilę gasła. Sądząc po odzieniu i wyglądzie, myślałbyś, że to pospolity robociarz, a to tymczasem jeden z najwybitniejszych reżyserów całego Hollywoodu. Miał za sobą serię znakomitych obrazków, jak; "Lord Clive," "Les Miserables." "Operative No. 13," i wiele innych. Rodem z Warszawy, syn słynnego aktora warszawskiego, który to za życia ubolewał nad tym, że "ze syna nie będzie miał żadnej pociechy." Tymczasem syn po ukończeniu kursów w Moskwie, przeszedł wojnę, przybył do Stanów Zjednoczonych i tu walczył z nadzwyczajnymi trudnościami. Prędko nauczył się po an-

gielsku, a nawet napisał dwie bardzo cenne, a nader poczytne książki w tym języku, na temat rewolucji rosyjskiej. Przechodził on ją, jako naoczny świadek, dlatego w nader silnych i wstrząsających obrazach namalował ją piórem. Jego książki "The Way of the Lancer" i "Lances Down" są wprost fascynujące i doczekały się już kilkunastu wydań w języku angielskim.

Zasiadłem więc obok miłego rodaka i w wolnych chwilach, a tych było bardzo mało, gwarzyliśmy o sprawach polskich... Przypatrywałem się także bardzo pilnie całej procedurze filmowej. Nie podobna nawet wymienić rozmaitych sztuczek, jekich używają producenci filmowi. Niektóre części "obrazka" są nakręcane w polu czy nad jeziorami, w górach, lasach; a najgorzej gdy trzeba się przenieść na gorące pustynie południowej Kalifornii i całymi tygodniami tam obozować, aż potrzebne zdjęcia są ukończone. Taka wyprawa jest bardzo kosztowna, przytym nader wyczerpująca. Mówił mi p. Bolesławski, że on i wielu z aktorów chorowało, ale gdy trzeba, to trzeba.

Wytwornie ruchomych obrazków przypominają kształtem duże hangary do przechowywania samolotów. W tych ogromnych szopach znajdują się liczne przedziały, w których fachowcy przygotowują potrzebne "sceny." W jednym przedziale widzi się jakąś średniowieczną bramę, częściowo zbudowaną z kamieni, a reszta to tektura czy też "papier maché," świetnie udający stare mury. W innej części szopy urządzono wnętrze starej karczmy, kilka domów pionierskich, lub też namiotów indiańskich z prawdziwymi lub tylko malowanymi a właściwie "ucharakteryzowanymi" Indianami. Co do charakteryzacji mają tu znakomitych mistrzów. Z młodej, przystojnej panienki, w mig zrobią starą bezzębną, babę, z białego człowieka, zrobią Chinczyka, Murzyna czy innego-rasowca. Jest to bardzo wyspecjalizowany fach. Nawet wspominać nie potrzeba, że kilkanaście bardzo słynnych aktorek, do których palą się afekty publiczności, bez rużu, szminku i innych kamuflażów — to kobiety bardzo przeciętne, a na niejedną filmową "piękność" to wasz piszący szofer nawetby nie popatrzał, gdyby ją spotkał mimochodem na ulicy. Kobiety te gdy je wygalantują, wypudrują, włosy utrefią, zmieniają się jakoby za dotknięciem laski czarodziejskiej. Przecież ze starzej, piegowatej Marleny Dietrych którą tu widziałem, zrobią taką przepiękną damę, że wielu kinowszczyków, wprost ją ubóstwia. Aktorka ta jest córką biednego niemieckiego oficera, ma już dużą córeczkę, i pobiera ona pensję, której mógłby pozazdrościć nawet prezydent Stanów Zjednoczonych. "Gwiazdy" i "duże ryby" przeważnie żydzi, mają kolosalne dochody. Nie brak tu jednak takich, którzy głodem przymierają. Tysiące z nich żyje tylko nadzieją, że kiedyś wypłyną, że ich gwiazda także na horyzoncie filmowym zabłyśnie.

O tym ostatecznie decyduje sama publiczność. Jeżeli aktor czy aktorka staje się jej ulubieńcem, kariera jest gotowa. Jeżeli publiczności do gustu nie przypadnie, zgaśnie szybko w mroku niepamięci. Ma się rozumieć, każdy kandydat czy kandydatka przechodzi najrozmaitsze egzamina i "testy" czyli próby zanim wystąpi nawet w podrzędnej roli. Jeżeli jednak ma odpowiednie zdolności, wtenczas bardzo szybko awansuje. Możnaby napisać bardzo ciekawą książkę o życiu i karierach tutejszych gwiazd filmowych. Mieszkają zazwyczaj w przepięknych pałacach, prawdziwie "używają świata, póki służą lata." Ale wróćmy do naszej szopy filmowej.

Pracowali właśnie nad wykończeniem obrazku w kolorach — "The Garden of Allah," czyli — Ogród Allah. Bohaterami i gwiazdami tego filmu są Marlena Dietrich i francuski aktor Charles Boyer. Scena którą filmują przedstawia mały fort francuski, na Saharze. Fort ten tak się przedstawiał, — na podłodze posypali grubą warstwę piasku, murarze zbudowali bramę wjazdową i kawałek muru, reszta to już tektura i papier maché. Przy bramie dla lepszego efektu ustawili kilka palm oczywiście sztucznych. U powały nad tym "kawałkiem pustyni" umieszczono najrozmaitsze lampy elektryczne. Na ciężkim podwoziu, na gumowych kołach jak u samochodów, aby nie robiły hałasu i aby je można łatwo przesuwać, umieszczono duży aparat do zdejmowania obrazków w kolorach. Tych aparatów różnego gatunku jest tu kilka. Przy każdym fachowiec. Jedni nastawiają aparaty fotograficzne, drudzy szykują lampy, trzeci coś notuje, czwarty trzyma w ręce manuskrypt, piąty kontroluje maszynę do reprodukcji głosu, szósty na małej tabliczce ustawia numer następnego zdjęcia, siódmy czy siódma, poprawia włosy i ruż na ustach aktorki, którą z wielką namiętnością ma całować "bohater."

Powiadam wam, że takiego całowania nie lubię. Ktoś pocałunek określił, że jest to — zero podzielone przez dwa, dwóch czy dwoje, zależy kto, kogo, kiedy, gdzie i jak ... całuje. To też mogę być wyrozumiały na to... kradzione, gdy nikt nie widzi. Może to jeszcze ma jakiś urok. Ale pocałunki przy lampach, maszynach, i innych ceregielach, chyba stanowczo nie mają żadnego "smaku" i aktorom napewno żadnej nie sprawiają przyjemności. Zato widzowie się tym zachwycają, a młode, kochliwe serca patrząc na "miłosne sceny," doznają wprost niebiańskich rozkoszy. No ale... "de gustibus non est disputandum," czyli, każdy ma swe gusty i guściki.

Zanim zaczną tu działać kamery migawkowe, zawsze odbywa się mała próba sceny, którą mają odfotografować. Tu już na wszystko daje pilne baczenie nasz Bolesławski. "Tak masz zsiadać z konia, tu go przywiąż do palmy, którą poruszy prąd powietrza wytworzonego elektrycznym wiatrakiem; rękawiczkę weź do prawej ręki, skłoń się

i ucałuj rękę damy w ten sposób i.t.d. i.t.d." Gdy aktor już kilka razy wykonał te ruchy i wypowiedział to, co ma bohaterce powiedzieć, cicho, czy ... namiętnie, gwizd piszczałki oznajmia, że teraz nastąpi zdjęcie. Każdy staje na swym posterunku. Następuje cisza, poczem krótki rozkaz! Aktor czy aktorzy, przez minutę, lub dwie, wykonują przepisaną rolę. Ponieważ niektórzy z naszych najsłynniejszych aktorów to "forejnerzy," a więc Francuzi, Niemcy, Anglicy, Szwedki lub Polki i.t.d., więc też bardzo uważają na ich akcent i wymowę. Dlatego często każe reżyser każdą scenę powtórzyć w głosie aby później nie było pomyłki. Jeżeli mu się intonacja nie podoba, znów scenę powtarzają.

— A ile to stóp czy minut potraficie wyprodukować w przeciągu jednego dnia, pytam p. Bolesławskiego?

— Jeżeli wszystko idzie dobrze — odpowiada nasz roak — przez cały dzień, zrobimy filmu na pięciominutowe wyświetlenie, czasem tylko na minutę, a nawet i mniej. Wybieramy tylko najlepsze sceny. Niekiedy cenzorzy coś "spalą," więc też idzie to powoli a koszt jest szalony. Wyświetlenie niektórych obrazów kosztowało dwa miliony dolarów. Jednym z takich drogich, był właśnie "Garden of Allah."

Ludziom nie wtajemniczonym w arkana artystów filmowych zdaje się, że praca w "filmach" jest łatwa i dobrze płatna. Tymczasem tak nie jest. Na zawołanie trzeba płakać, śmiać się, udawać przerażenie, radość, smutek i to wtenczas, gdy dyrektor z oburzeniem na ciebie patrzy i coś ci rozkazuje, tobie zaś wcale się na śmiech czy smutek nie zanosi. Dobry aktór przejmuje się rolą i wciąż pozostaje w napięciu. Nie wolno go irytować i wyprowadzać z tego nastroju. Tu należy zaznaczyć, że o sztucznym "udawaniu" mowy być nie może, gdyż każdy ruch powinien być naturalny. Praca na scenie, a praca w ruchomych obrazkach, są od siebie całkiem odmienne. Powiedziałbym — praca w filmach jest daleko trudniejsza.

Żegnając się z miłym reżyserem i dyrektorem, nie przypuszczałem nawet, że ten napozór tak silny i zdrowy człowiek tak prędko zgaśnie. Widać, że trudy wojenne, poniewierka życiowa, a teraz nader intensywna, wprost ponad siły praca, zniszczyły nawet tak silny organizm. Po mym powrocie do Norwich, całkiem przypadkowo, z fachowych czasopism stolarskich, dowiedziałem się, że ulubioną rozrywką Bolesławskiego, było stolarstwo. Gdybym to był wtenczas wiedział, — a że sam jestem zagorzałym majstrem stolarskim, posiadającym znakomicie urządzoną stolarnię z wszelkimi nowoczesnymi maszynami, — napewno wszczęlibyśmy rozmowę, któraby się tak prędko nie skończyła. W przedwczesnej śmierci Ryszarda Bolesławskiego, ekran stracił bardzo wybitnego dyrektora scenicznego, Polska

zaś poniosła wprost niepowetowaną stratę, gdyż właśnie przygotowywał się on do rzucenia na ekran, życie i czyny wielkiego bohatera polskiego — Kazimierza Pułaskiego. Zyskałoby to Polsce ogromny rozgłos, wśród szerszych sfer amerykańskich.

Chociaż Hollywood jest stolicą wytwórni ruchomych obrazków i posiada piękne kina, jednakowoż na ich przedstawienia nie poszedłem, gdyż do teatrów chodzę bardzo rzadko. Zato w Los Angeles, poszedłem do kina na wyświetlenie polskiego obrazu p.t. "Śluby Ułańskie." Polskie filmy nie dorównywują pod względem techniki tutejszym, co zresztą jest zrozumiałe, ale ten piękny obraz, sam w sobie świadczył, że nawet i w tym kierunku Polska czyni już ogromne postępy. Obraz sam w sobie był doskonały, gdyż widza uświadamiał o rozwoju armii, szczególnie kawalerii polskiej. Wszak zaledwie dwadzieścia lat upłynęło od chwili, gdy pierwsi polscy kawalerzyści-ochotnicy, z siodłami na plecach, wyciągnęli w pole, szukając koni. Teraz mamy najświetniejszą konnicę na świecie! Wielki to czyn narodu i znakomicie był wyświetlony. Dla mnie daleko milszym był obraz polski, wyświetlany w małym teatrzyku, aniżeli najwspanialsze arcydzieła tutejszych artystów.

Nie będę trudził czytelnika opisem i historią miasta. Zresztą, więcej mnie interesował mój stary kolega szkolny, aniżeli tutejsze parki, drapacze chmur i inne sensacyjne dziwa. Przypuszczam, że Los Angeles, kiedyś prześcignie Nowy York, ale to mnie już mało obchodzi, gdyż nie posiadam tu ani gruntu, ani domu, ani żadnych innych nieruchomości, prócz szczerego przyjaciela, a ten jest mi daleko milszy i droższy od wszystkich tutejszych skarbów.

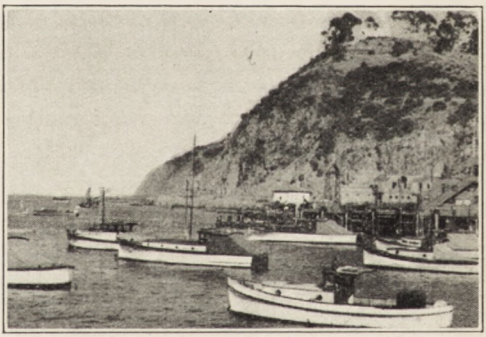

Zatoka na wyspie św. Katarzyny

Dla odmiany urządziliśmy sobie całodniową wycieczkę okrętem na wyspę św. Katarzyny czy jak tu mówią — Santa Catalina. Do portu oddalonego kilkadziesiąt mil od miasta zabrał nas duży autobus. W przystani czekał już okręt wycieczkowy. Wsiadały nań setki wycieczkoniczów, kobiet z dziećmi i z koszami napełnionymi przekąskami i owocami. Płynąc ku wyspie mijamy długie doki okrętowe, tartaki i składy drzewa, duże cysterny na ropę i oleje, nareszcie szare kadłuby okrętów wojennych, które w mgnieniu oka mogłyby zniszczyć cały port i okoliczne miasteczka.

Po kilkugodzinnej podróży, na horyzoncie, ukazały się w mgłę spowite wysokie wzgórza wyspy św. Katarzyny. Kilka lat temu p. Wrigley, (król gumy do żucia — spearmint chewing gum) urządził tu wyścigi w pływaniu z wyspy do lądu stałego, gdzie odległość w najwęższym miejscu wynosi około 25 mil. Kilku przepłynęło, innych zabrały łodzie ratownicze. Na wyspie św. Katarzyny, Wrigley, zbudował dla wycieczkowców ogromną salę do tańca, pono największą na świecie. Prócz tego są tu hotele, restauracje, sklepy z "pamiątkami" i dosyć kiepska plaża morska. Z ks. Wojcieszczukiem poszliśmy się kąpać, jedynie z tego względu, aby się pochwalić przed czytelnikiem, że kąpaliśmy się w oceanie Spokojnym.

Z parogodzinnego pobytu na wyspie, najprzyjemniejszą i najciekawszą była wycieczka po zatoce łodziami motorowymi których dna były ze szkła. Każdy z pasażerów, oparty o poręcz, patrzał przez dużą szybę w podłodze na dno oceanu, który w tym miejscu jest od kilkunastu do sześćdziesiąt stóp głęboki. Płynęliśmy więc powoli, aby tym lepiej oglądać i podziwiać faunę i florę morską. Najprzód zauważyliśmy grubą warstwę dużych kamieni pokrywających dno morskie. Wśród nich wyrastają najrozmaitsze gatunki wodnych roślin. Co chwila pod łodzią płyną w tę i w ową stronę całe "stada" wielorakich gatunków ryb. Niektóre z nich podobne były do naszych okoni tylko znacznie większe. Nazywają się — sea bass, czyli okoń morski i są dobre do jedzenia. — Oh! gdyby się ten okręcik zatrzymał nad taką gromadą i gdyby człowiek mógł zapuścić wędkę, cóżby to był za połów!

W tych wodach, jak nas objaśniał kapitan łodzi motorowej, ma być świetne rybołówstwo, boć te tysiące ryb, które napotkaliśmy w naszej godzinnej wycieczce, są tylko znikomą cząstką tego, co tu można złowić, — zaczynając od wymienionych okoni, do olbrzymich tunów i "swordfishów" ważących po kilkaset funtów. Częstokroć napotykaliśmy także małe, zwinne "latające" rybki. Wyskakiwały one z wody, a rozszerzając pletwy, mogły w ten sposób utrzymywać się na małą chwilkę w powietrzu. Kształtem przypominały mi najnowszego typu samoloty, o długich okrągłych kadłubach i szerokich skrzydłach. Nad wieczorem, po całodniowej a bardzo miłej i ciekawej wycieczce, wróciliśmy z powrotem do miasta.

Po tygodniowym pobycie w Los Angeles, pożegnałem profesora Perigorda, a chociaż godzinami całymi bezustannie gadaliśmy ze sobą, zdawało się nam, żeśmy jeszcze nawet uczciwie nie zaczęli, odkładając dalsze rozprawy na czas późniejszy.

Mego czterokołowego cugowca puściłem w kierunku północno-zachodnim, ku morzu, by stąd rozpocząć drogę powrotną. Przez pewien czas jechaliśmy wyśmienitymi drogami wśród sadów owoco-

wych albo szerokich pól fasoli, sałaty, marchwi czy innych warzyw. Patrząc na równiuteńkie pola, zdobne w zieleń nieskończonych rzędów jarzyn, mimowoli, sam sobie zadawałem pytanie: kto to wszystko zje?! Godzinami przecież jedziemy wśród sadów i ogrodów, w innych zaś okolicach pasą się nieprzeliczone stada bydła. Wszystko to, w tak kolosalnych ilościach pożerają ludzie. Dużo tego zużywamy, część wysyłamy do innych krajów, a resztę, poprostu niepotrzebnie marnujemy. Przypuszczam, że żaden kraj nie jest tak rozrzutny jak Stany Zjednoczone. Podczas wojny, gazety nasze często pisały, że to co niepotrzebnie wyrzucamy do wiadra z odpadkami, wyżywiłoby jedno z mniejszych państw europejskich. Wcale w to nie wątpię.

Drogi w Kalifornii są pierwszorzędne. Przy nich zaś rosną rzędy palm w przeróżnych gatunkach. Ze szpalerów palm wpadasz do cienistych tuneli eukaliptusowych lub drobnolistnych drzew pieprzowych (pepper trees). Wśród zieleni sadów błyszczą piękne, malownicze wille tutejszych osadników i gospodarzy. Wszędzie widzisz dostatek i pewną elegancję. Budynki, czy to prywatne rezydencje, czy też gmachy rządowe są przeważnie w stylu hiszpańskim. We wielu jednak wypadkach jest to zwykła tandeta, pokryta warstwą tynku, ale w każdym razie pięknie wygląda.

Miasto Santa Barbara, kilkadziesiąt mil na północ i zachód od Los Angeles, stało się jakoby stolicą ludzi zamożnych. Klimat tu idealny, widok na szumiący ocean wspaniały. Ponadto wzniosłe pasmo gór — Coastal Range, dogodne drogi, bogate wille, uczyniły z tego zaczarowanego miasteczka istny raj ziemski.

Przez dłuższy czas jedziemy nad brzegiem oceanu. Mijamy jeden z licznych kalifornijskich rejonów naftowych. Na pagórkach wyrosły niby czworoboczne drzewa, lasy studni naftowych. Długim szeregiem stanęły po obu stronach betonowej drogi, a niektóre stoczyły się nawet do morza, wydobywając z jego wnętrza czarną, cuchnącą ropę. Dziwna to i niezwykła kombinacja — bo wśród palm strzelają wgórę rzędy wież naftowych.

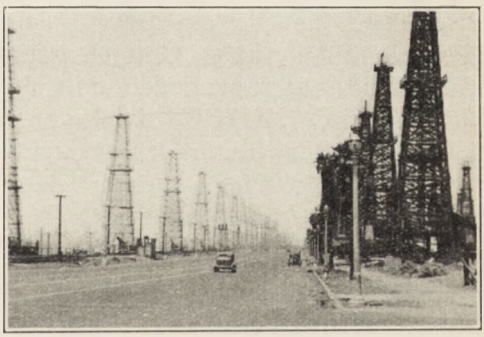

Studnie przy drodze nad oceanem

Za Santa Barbara świdrujemy się cośkolwieczek w głąb kraju. Opuszczamy na parę godzin szumiący ocean i przebywamy niskie pasmo górskie. Następnie jedziemy przez miasteczka Santa Maria, San Louis Obispo, słynne z bardzo pięknej "misji" czyli kościoła,

zbudowanego przed stu pięćdziesięciu laty przez O.O. Franciszkanów. Nad wieczorem dojeżdżamy do Paso Robles. To miłe, kalifornijskie miasteczko znajduje się w pół drogi, między Los Angeles i San Francisco. Chciałem się tu zatrzymać z tego względu, że nasz wielki patriota i nieśmiertelny "mistrz tonów" p. Ignacy J. Paderewski w tej okolicy posiada "ranch" czyli fermę. Hoduje on tu bardzo dużo owoców jak: śliwki, grusze, przedewszystkim winogrona i orzechy angielskie. Nie mogłem przecież tego pominąć. Jestem jednak święcie przekonany, że mimo wielkich zbiorów, przedsiębiorstwo to, prócz kłopotów, nie przynosi właścicielowi żadnych dochodów. Przypuszczam, że dla p. Paderewskiego jest ono teraz ... kulą u nogi, czyli, jak mówią Amerykanie ... "białym słoniem."

W biurze nieruchomości, dowiedziałem się, gdzie się znajdują te słynne fermy czy rancie — San Ignacio i Santa Helena. Za jakiś kwadransik dojechaliśmy do bramy wjazdowej, na której widniał napis — Ranchio San Ignacio. Wjeżdżamy na podwórze, otoczone ze wszech stron drzewami owocowymi. Młode śliwy wprost się uginały pod ciężarem dojrzewających owoców. Zabudowania gospodarcze są skromne. Składają się z małego domu mieszkalnego i dużej szopy na sprzęt rolniczy jak: pługi, radła, traktory i inne narzędzia. Na nasze spotkanie wyszedł krzepki, miły zarządca p. Gniotek, były hallerczyk. Jak się okazało w toku naszej pogawędki, wrócił on do Stanów Zjednoczonych na tym samym okręcie, co ks. Wojcieszczuk. Więc też między starymi wojakami wywiązała się żołnierska szczerość i miła pogawędka. Zarządca przyniósł kilka butelek dobrego, kalifornijskiego wina, wyprodukowanego na fermie p. Paderewskiego. Przy szklance wina gwarzyliśmy czas dłuższy o przygodach życiowych. Ponieważ p. Gniotek dotąd żył jeszcze w stanie kawalerskim, bardzo go zapraszałem do siebie, aby go związkiem małżeńskim "uszczęśliwić." A łatwo dałoby się to urzeczywistnić chociażby już z tego względu, że miłych, sympatycznych panienek, gotowych do pożycia małżeńskiego i to w Kalifornii, znalazłoby się u mnie w Norwich bardzo dużo. Tylko ów "wojak" jakoś z mej oferty jeszcze nie skorzystał.

Oprowadził nas p. Gniotek po gospodarstwie, wynoszącym parę tysięcy akrów, obsadzonych drzewami owocowymi. Sady te przedstawiają obecnie bardzo poważne inwestycje, gdyż wszystkie drzewa już rodzą śliczne owoce a jest w tym — 140 akrów drzew migdałowych (almonds), 95 akrów winogron, 78 akrów śliwek, 12 akrów włoskich orzechów, i.t.d. Samych winogron produkują tu dwadzieścia i więcej ton, a ile set czy tysięcy korcy orzechów i innych owoców wydają te dwie fermy, tego nawet powiedzieć nie mogę. Plony zapowiadają się bardzo dobrze, chociaż urodzaj zależy od klimatu,

deszczu, uprawy, nawozów i innych, częstokroć nieprzewidzianych okoliczności. To mogę powiedzić, że ogromne sady ciągnące się po ubiedrzach górskich były starannie utrzymywane. Przy drzewach nie znalazłbyś ani jednej trawki, wszystko jest radlone i bronowane zapomocą dużych traktorów. Na wzgórzu, już na krańcu jednego z sadów, znajduje się duża, nowoczesna pasieka. Ponieważ jestem zagorzałym bartnikiem, boć sam miałem kiedyś ponad 50 uli, więc też kilka z nich przeglądnąłem. Pszczoły, zapewne wiedząc o tym, że jestem wielbicielem p. Paderewskiego, zachowały się bardzo grzecznie, gdym zaglądał do ich miodem pachnących, białych, czworobocznych domków. Pojechaliśmy także zwiedzić sąsiedni ranch św. Heleny, zapewne tak nazwany ku czci patronki ś. p. Heleny Paderewskiej. Tam znów po największej części hodują gruszki. Sądząc po dojrzewającym owocu, zbiór tego roku zapowiadał się znakomicie. Gdy się atoli obliczy wydatki administracyjne, gdy się wypłaci pensje ludziom potrzebnym do uprawy roli, przytym kupi się truciznę, którą tu wciąż trzeba skrapiać drzewa owocowe, by je chronić przed najrozmaitszymi gatunkami robactwa, gdy się wreszcie weźmie pod uwagę fakt ten, że właściciel mieszka w Szwajcarii, a ferma znajduje się w Kalifornii, to p. Paderewski nie tylko że nie ciągnie z niej żadnych zysków, ale jeszcze porządnie do tego interesu dopłaca.

Od lewej: Autor, p. Gniotek, ks. Wojcieszczuk

Miły zarządca obdarzył nas na drogę dużą butlą wina. Najedliśmy się smacznego owocu wprost z drzewa zerwanego, a wiadomo, że taki owoc jest najsmaczniejszy. Na odjezdnym wręczył nam jeszcze dużą pakę suszonych śliwek. Pośrednio i my skorzystaliśmy ze znanej szczodrobliwości właściciela. Wypada zaznaczyć, że suszone śliwki jedliśmy na śniadanie. Wino, mimo nader "troskliwej" opieki i pieczołowitości kolegi "Antosia" szybko ... wyparowało. Powodowany wdzięcznością, pragnę czytelnikowi ogłosić cenne zalety suszonych śliwek z fermy p. Paderewskiego. Stwierdzam, że po parudniowej diecie na śliwkach, moje stare dolegliwości i nieregularności żołądkowe ustąpiły, a cały organizm funkcjonował odtąd jak zegar. Dlatego czytelnikom zalecam suszone śliwki z — "Ranchio San Ignacio."

San Miguel, kilkanaście mil na północ od Paso Robles, jest starą, hiszpańską "misją." Przy drodze wznoszą się grube, gliniane mury

kościoła i zabudowań misyjnych. Słynny "El camino real" czyli — droga królewska, którą jedziemy, wiedzie mimo tego starego kościoła.

Przed półtora wiekiem tą ścieżką czy dróżką w tę i w ową stronę pospieszali bosi Franciszkanie, kupcy hiszpańscy, garnizony wojskowe i pierwsi osadnicy. Tak się wtenczas urządzono, że po całodziennej podróży przychodzili znużeni pielgrzymi do takiej właśnie zagrody misyjnej. W niej znajdowali posiłek, wypoczynek i zapasy do dalszej podróży. Tych kościołów "misyjnych" był cały szereg ciągnący się od San Diego aż do San Francisco.

Kilkanaście mil na północ od Paso Robles, znajduje się właśnie jeden z takich kościołów misyjnych — San Miguel. Różne już on przechodził koleje. Za czasów "franciszkańskich" był kościołem, postojem i główną kwaterą podróżnych. Po przejęciu władzy nad krajem przez rząd meksykański, "zrobiono porządek" z kalifornijskimi, a zapewne, wszystkimi innymi "misjami." Majątki skonfiskowano, a urzędnicy zagrabili dla siebie, co się dało, jak to często bywa z niesumiennymi urzędnikami. Zakonników i księży z tych posiadłości usunięto, a z pięknych kościołów zrobiono sale lub karczmy. Niektóre z kościołów po zrabowaniu porzucono lub zniszczono. Ruiny świadczą tylko o nieuczciwej gospodarce rządu meksykańskiego. Zaledwie kilka misyj przetrwało niecną politykę rabunkową niesumiennych urzędników. Kościół pod wezwaniem św. Michała, w San Miguel, podzielał losy innych misyj. Zabrano stąd co wartościowego, a sam kościół zamieniono na zwykłą karczmę. Dopiero kilkanaście lat temu tutejsze władze kościelne zabrały się do jego odrestaurowania. Już od dłuższego czasu odprawiają się w nim nabożeństwa i znów w klasztorze zamieszkują OO. Franciszkanie. Jeden z nich oprowadził nas po kościele, celach i kwaterach starego budynku. Klasztor ten, jak wiele innych, jest wybudowany z niewypalanej gliny, czyli — adobe i jest bardzo trwały. Przed wejściem do klasztoru, otoczonego, jak zwykle, wysokim, grubym murem, znajduje się piękny ogród, w którym wśród róż panoszyły się także najrozmaitsze gatunki kaktusów. Rośliny te nie potrzebują zbyt wielkiej opieki, a swym przeróżnym kształtem i kwiatem nęcą ku sobie turystę. Każdy z daleka je ogląda i podziwia, gdyż swymi ostrymi kolcami zdają się mówić — noli me tangere — czyli — nie tykaj mnie! Zrobiłem zdjęcie naszego zakonnego cicerona, chociaż to już nie hiszpański, ale zwykły "amerykański Franciszkon." Złożyliśmy także ofiarę na odrestaurowanie klasztoru i ruszyliśmy w dalszą drogę. Patrząc na szary habit franciszkański, na powróz, różaniec i pantofle na bosych nogach, widzę, że strój ten nadzwyczaj harmonizuje z architekturą i budową znanych i powszednie czczonych misyj kalifornijskich.

W jednym z miasteczek bardzo hucznie obchodzono jakiś jubileusz, zdaje się pięćdziesięciolecie założenia miasteczka King City. Główna ulica zawalona samochodami. Widocznie przybyli okoliczni farmerzy z rodzinami, przybyli Indianie, Meksykanie, kowboje, a wszystko w narodowych strojach. Maszerują skauci, organizacje wojskowe, ucharakteryzowani "pionierzy" z roku 49-go. W dużych samochodach — "muzyczka terli, terli." Wszyscy się cieszą. Nigdzie bowiem nie obchodzą naszych świąt narodowych i innych uroczystości z taką werwą i entuzjazmem, jak w małych, prowincjonalnych miasteczkach. Tam to już każdy oddaje się z namaszczeniem tej uroczystości. Szczególnie dzieci mają wielką radość, gdyż jest i jakieś przedstawienie cyrkowe, nieodzowny "baseball," jest muzyka, są

Ogród klasztorny

tańce, zjadają przytym niezliczoną ilość parówek czyli "hot dogów" — dosłownie — "gorących psów," zlizują tony całe lodów. Ale nie zatrzymaliśmy się tu. Za kwadrans przedarłszy się przez te skotlone gromady barwnej publiczności, pędzimy dalej do miasta Salinas, stamtąd znów ku oceanowi, do większego miasteczka i portu wojennego Monterey.

Na plaży i w parkach pełno ludzi, boć to nasze narodowe święto — dzień czwartego lipca, rocznica ogłoszenia niepodległości. Nasi przechrzcili to na "Dziulaja." — Dzień dziękczynienia, Thanksgiving, w którym nie tyle się modlimy, ile objadamy się indykami, nasi farmerzy przemienili na "świętego kurzeja," bo na ten czas sprzedają masę drobiu. — Zatrzymaliśmy się tu z godzinkę, by po raz ostatni

popatrzeć na szumiący w mgły spowity ocean. Zwiedziliśmy także obszerny park pięknych sosen tuż nad oceanem, a po godzinnym wypoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę.

Zmieniamy kierunek i jedziemy na wschód, ku domowi. W pobliżu miasteczka Monterey napotykamy błotniste pola, na których hodują selery i sałatę, zaś na wyższych gruntach rosły sady owocowe. Gdyśmy się coraz więcej oddalali, wspinając się na góry — Coastal Range, niezbyt wysokie pasmo, sady owocowe ustępowały polom pszenicy, następnie szły pastwiska i stada bydła, nareszcie na najwyższych szczytach rosły tylko krzewy leśne i gdzieniegdzie widniała jakaś przyzwoitsza gospoda. Krętymi drogami suniemy przesmykiem górskim Pacheco Pass w głąb Kalifornii, by znów wydostać się na obszerne, żyzne, urodzajne i bogate doliny rzek San Joaquim i King River.

Po tamtej stronie pasma górskiego, jak okiem sięgniesz, ścielą się przed nami bogate pastwiska. Widzieliśmy tam duże stogi lucerny, stada rasowego bydła, a przy drogach zasobne fermy i gospodarstwa mleczne. Przypuszczam, że tak wygląda Holandia, pocięta kanałami. Pędząc szybko, za trzy kwadranse mijamy pastwiska, a wjeżdżamy w bogaty rejon sadów owocowych, którego stolicą jest miasto Fresno. Tam też po całodziennej i to w dodatku niedzielnej i "dziulajowej" podróży, zatrzymaliśmy się na noc.

Ośmdziesiąt mil na zachód od miasta Fresno, w którym się także zatrzymałem podczas poprzedniej tury samochodowej, znajduje się słynny "park sekwoi" czyli — Sequoia National Park. Pominąłem go w poprzedniej turze, więc teraz nie wypadało go tak spostponować. Rano, zaopatrzywszy się w niezbędne prowianty podróżne, pojechaliśmy szerokimi, urodzajnymi dolinami ku górom, piętrzącym się na horyzoncie. Że też te największe drzewa na świecie — sequoia gigantea — wybrały sobie na stałą kwaterę niemal że najwyższe wierzchołki niebotycznych Sierrów. Czemuż to taki kolos nie rośnie w szerokich urodzajnych dolinach, tylko skrabie się na strome szczyty niedostępnych gór, tego już nie rozumiem. Chcesz widzieć papieża, z konieczności wypada jechać do Rzymu. Chcesz zaś widzieć i podziwiać największe i najstarsze drzewa na świecie, znajdziesz je tylko w odległych, niedostępnych kotlinach górskich. Zawsze nęci mnie do siebie przyroda, a gdy rozchodzi się o góry, jeziora i lasy, nie mogę się oprzeć pokusie. Więc też przez parę godzin wdzieramy się krętymi drogami w górskie odludzia. Nam było wygodnie, ale auto zezem spoglądało, pociło się i wcale nie dwuznacznie domagało się jakiej takiej ochłody i wypoczynku. Jednakowoż bez żadnego wypadku dotarliśmy aż do dwóch parków narodowych. Pierwszy z nich nazywa się "General Grant." Obejmuje on mały

obszar ziemi, oddany niemal że jednemu tylko drzewu — ale co za drzewo?!... To ma być największy z żyjących kolosów i dano mu przydomek — "narodowej choinki." Drugiego takiego drzewa mającego trzydzieści stóp średnicy, a ponad trzysta stóp wysokości, nie znajdziemy nawet w puszczy Białowieskiej.

Rok temu, podczas wszechświatowego zjazdu Polaków z zagranicy, byłem w Polsce i zwiedziłem cośkolwieczek puszczę Białowieską. Objaśniał nam jej rozmiar, drzewa, ptactwo i wszystko co tam żyło, bardzo sympatyczny, rządowy instruktor. Pięknie i rzewnie do nas przemawiał. Twierdził on, że prawdopodobnie "Kolumb płynął na odkrycie Ameryki okrętami zbudowanymi z Białowieskich dębów," —(Hiszpania pono wtenczas kupowała od Polski dęby z tej puszczy.) Pod jednym z nich Jagiełło sprawował swe sądy; przed innym zaś starzy Słowianie znicze palili. Wśród tej puszczy słychać też było podczas dawnych wojen łopot chorągiewek ułańskich. Tam też ukrywały się oddziały powstańcze... Bardzo pięknie nam te cudy i historię puszczy Białowieskiej opisywał, ale gdy w swym zapale chciał nam "zaiwanić" i powiedział, że "z jednego olbrzymiego dębu, rosnącego w puszczy Białowieskiej, możnaby zbudować chatę wieśniaka," tego już było za wiele. Więc też mu powiadam: "Panie Jaworski, nie gadaj nam Amerykanom takich banialuków, bo w Ameryce takie dębczaki służą nam za wykłuwaczki. Pamiętaj pan, że z jednej sekwoi zbudowaćby można całą wioskę, a napewno możnaby z niej zrobić pudło, w którymby się z łatwością zmieścił 'Piłsudski'" — Mówię tu oczywiście o okręcie, a nie o Marszałku. — Chociaż prawdę mówiłem, biedaczysko nie chciał mi jednak uwierzyć i sądził, że to ... amerykańska blaga.

W pobliżu tego wyjątkowego kolosa — "generała Grant'a" — znajduje się znacznie większy las sekwoi, w którym rosną bardzo piękne okazy tych olbrzymów. Nie bierze się tu w rachubę młodych drzew, ot takich tysiącletnich "smarkaczów," ale "starszych panów," co pamięcią sięgają w mroki historii człowieka. Rosły już one tu gdy król Jagiełło szedł pod Grunwald; gdy Chrystus nauczał i cuda czynił w Galilei gdy Faraon, Mojżesza wraz z wszystkimi żydami wyprosił z Egiptu, a ci "suchą nogą" wiali przez morze Czerwone na pustynię i tam czterdzieści lat się błąkali. Już nawet wtenczas "sielne" były to młodziki, które teraz na swych potężnych konarach dźwigają... czterdzieści wieków.

Sekwoie mają rudawą korę, symetryczne korony, a konary grubsze od przeciętnych drzew. Pień ich podobny jest do najpiękniejszej kolumny, strzelającej w górę na trzysta stóp wysokości, a z tego conajmniej dwie trzecie bez jakiejkolwiek gałęzi, czy innej skazy. Możnaby powiedzieć że są to filary tej ogromnej, imponującej świątyni

Boga, zwanej — naturą! Drzewa te wyróżniają się kształtem i rozmiarem od wszystkich innych drzew, jeszcze teraz olbrzymich lasów. Chociaż drzewa tej miary co "duglas fir," "sugar pine," "mountain cedar" i cyprysy, rosnące nad oceanem Spokojnym, są olbrzymami tak wielkimi, że im nie dorównują rozmiarem i wiekiem najstarsze i najpotężniejsze dęby puszczy Białowieskiej, mimoto w porównaniu z sekwojami stają się pospolitakami, na których nikt nie zwraca uwagi. Załączony obrazek uwydatnia rozmiar takiego pospolitaka cukrowej sosny, którą drwale piłują na opał. Niezwykłych rozmiarów piła niezbędna do ścinania tych kolosów jest pędzona zapomocą motoru spalinowego.

Drzewo na opał

Jan Muir — jeden z naszych słynnych przyrodników i autorów — twierdzi, że sekwoje możnaby nazwać — drzewami wiecznymi. Nie boją się ani piorunów, które nieraz walą w ich potężne korony; nie boją się ognia, gdyż są jakoby opancerzone grubą korą, odporną na ogień, w dodatku nie ima się ich żaden robak ani zgnilizna. Jedynie jakieś wstrząsy czy usunięcia się ziemi, siekiera albo dynamit drwala potrafi je zniszczyć. Drzewa, których wiek obliczają na cztery tysiące lat, są wewnątrz zdrowe jak rydz, bez jakiejkolwiek skazy.

Nawet korzenie tych kolosów posiadają niezwykłą siłę. Spełniają bowiem trudne zadanie, gdyż nie tylko karmią i poją takiego kolosa, ale wieki całe trzymają go w ziemi. Może na dziesięć lub dwanaście stóp ponad ziemię, w której rosną, uwydatniają się ich ogromne wy-

pukliny tworzące jakoby grube zapory, ustawione naokoło drzewa, by je przez tysiące lat utrzymać na linii pionowej. Jeżeli stosunkowo nie wysoki i cienki maszt z rozpiętymi na nim żaglami z niezwykłą szybkością pędzi duży okręt, a w razie gwałtownej burzy, pod naporem tegoż wiatru pęka, to cóż tu dopiero powiedzieć o drzewie ponad trzysta stóp wysokim?! Cóż za potęga zmaga się tu z żywiołem?! Pień sekwoi w harmonijnych proporcjach smukłego masztu ścieńcza się z trzydziestu do dziesięciu stóp na wysokości stu metrów. Tam dopiero, we wszystkich kierunkach rozwija potężne żagle gałęzi zdobnych długimi, zielonymi igłami. Co za wichry i huragany górskie uderzają w te drzewa?!... Co za nawałnice śniegu z zaciekłością zimy walą o ten wiecznie rozpięty maszt sekwoi?!... Ileż to ton śniegu i lodu wciska się i przylega do grubej, chropowatej, rudo-barwnej kory tych kolosów?!... Tysiące lat trwa walka żywiołu i to nie w zacisznych dolinach, ale na wysokich szczytach śnieżnych Sierrów, a mimoto, złamaną lub nawet pochyloną sekwoję spotyka się tu rzadko. Jeżeli wichry czy też wyrwy ziemi, spowodowane rwącymi potokami, zdołały drzewo z jego pionowej pozycji wyrzucić i ku ziemi pochylić, żadna potęga nie potrafi ich w tym położeniu utrzymać. Drzewo takie parte ciężarem dziesiątek tysięcy ton pada na ziemię, druzgocąc wszystko co w swym upadku napotyka. Nawet taki powalony kolos jest nadal odporny na niszczące elementy ognia, wody i robactwa. Przetrwać on może w swej martwocie wieki całe. Sekwoje nie posiadają środkowego — czy może należałoby powiedzieć — sercowego korzenia, w dzierającego się głęboko w ziemię. Raczej tworzy się u nich gęsta, chociaż może niezbyt głęboka z korzeni pleciona mata sięgająca na 200 stóp wokoło drzewa. Widziałem kilka pięknych sekwoi rosnących obok siebie ze splecionymi konorami; każda smukła, piękna i pełna życia. Co tam musi być za gmatwanina wśród ich systemu korzeniowego?

Sekwoje zaczynają kwitnąć dopiero po 125 latach. Wydają one olbrzymie szyszki, a w nich, jak we wszystkich drzewach iglastych, znajdują się drobne nasionka. Wiatry i ptactwo roznoszą je szeroko po lesie, by z nich wyrosły znów pokolenia olbrzymów. Na jesień, stada wiewiórek, pracując pilnie od rana do nocy, ścinają ostrymi ząbkami szyszki, by z nich wydłubywać stosunkowo małe nasionka i składać je jako zapasy żywności na zimę. Latem zaś, setki zakochanych par ptasząt, wśród cienistych, iglastych konarów sekwoi, budują swe gniazdka, wychowują młode pokolenia, radosnym śpiewem uzupełniając potężną harmonię szumiącego boru. Każda sekwoja stała się kolebką dla niezliczonych tysięcy ptasich pokoleń.

Może nieco mniejsze, ale również w swej symetrycznej proporcji piękne, są krewniaki sekwoi — kalifornijskie red woods czyli sequoia

semper virens. Lasy całe tych przepysznych, wiekowych drzew rosną w pobliżu oceanu. Dwunożny robak — wszechniszczycielem zwany — "homo rapax" rozwinął tu w wysokim stopniu swą niszczycielską pracę. Pod uderzeniami siekier drwali pokotem kładły się najwspanialsze okazy tych przepięknych tworów ręki Bożej. Obudziło się jednak sumienie narodu. Powstał wielki alarm w całym kraju by "ratować sekwoje" i ratować "czerwoną sosnę," — chociaż to może nie jest właściwa, techniczna nazwa. Drzewa, o których mówię, należą do gatunku iglastych; mają barwę zbliżoną do drzewa mahoniowego i dlatego nazwano je — redwood czyli "drzewo czerwone." Wykupiono połacie najpiękniejszych lasów nad oceanem Spokojnym. Wśród tych uroczych gajów wiedzie teraz jedna z najpiękniejszych dróg, "The Redwood Highway," którą także w poprzedniej turze samochodowej jechałem i opisałem, chociaż przyznam, że brak mi słów, aby nawet w przybliżeniu wypowiedzieć majestat tych niezwykłych, a pod słońcem nawspanialszych lasów.

Może ktoś zapytać, co powoduje ten niepospolity, wprost wyjątkowy rozrost sekwoi? Zdaje się, że tu w grę wchodzi kilkanaście okoliczności. Ziemia w Kalifornii szczególnie w okolicach, gdzie rosną sekwoje i redwoods, jest wulkaniczna. Dawno już wygasłe wulkany pokryły grubą warstwą bardzo urodzajnego popiołu i lawy wulkanicznej całą tę okolicę. Głębokie śniegi, na szczytach Sierrów dostarczają niezbędnej wilgoci. Latem aż dotąd sięgają mgły morskie i w dodatku padają tu często deszcze, przytym klimat jest ciepły. To, zdaje się, dodatnio oddziaływa na rozwój sekwoi. Próbowano je sadzić w innych stanach, a nawet w innych krajach, ale eksperyment się nie udał.

Pień sekwoi

W tym, jak również w innych parkach narodowych, zapłaciliśmy dolara "wstępnego." Daje nam to przywilej zakwaterowania się tu na czas dłuższy. Wielu z turystów korzysta z tego przywileju i wśród ogromnych lasów spędza swe wakacje. W cieniu olbrzymiej sekwoi znaleźliśmy wygodne stoliki i ławy, więc też "minister spraw wewnętrznych," mający wielką wprawę w przygotowaniu smacznych przekąsek, wystawił nam znakomite śniadanie, które, jak zwykle, według przepisów kolegi "Antosia" rozpoczynało się kieliszkiem wódki na zdrowie sekwoi.

Po przekąsce zobaczyliśmy największe okazy tutejszych drzew-olbrzymów. Następnie wygodną ścieżką wskrabaliśmy się na wyższe wzgórze, z którego roztaczał się cudowny widok nie tylko na zielone lasy, sine tafle górskich jezior, ale także uwydatniał się ogrom Sierrów. Ich ostre, nieregularne, śniegiem i lodowcami pokryte szczyty pogrążyły się w obłokach. Możnaby w tej górskiej loży, w cieniu największych i nastarszych żyjących tworów ręki Boskiej godziny, a nawet dnie całe spędzić na rozmyślaniu o wielkim majestacie natury... Masz tu przed sobą drzewa, dźwigające na sobie tysiące lat. Przed tobą, jak tylko daleko okiem sięgniesz, piętrzą się w nieskończoność, niby fale morskie, szczyty Sierrów. Powstały one tu zapewne w pierwszych twórczych skurczach i bólach Matki Ziemi — rodzącej olbrzymy.

Ludzie niektórzy, czasem, a może nawet dosyć często, cierpią na ..."wielkość." Ten myśli, że piękny, tamten, że mądry, ów, że bogaty, a inny, że posiada niepospolite wpływy i tak jeden nad drugiego się wynosi, tamtym pomiata... siebie chwali... nikogo ponad sobą nie uznaje. Nawet samemu Stwórcy małym rozumem bardzo się przeciwstawia!... Wobec tych drzew, wobec tych gór, wobec imponującego majestatu natury... ten najzarozumialszy człowiek, o ile potrafi myśleć, o ile zdoła szczerze zaglądnąć do tajników serca, wnet przyjdzie do przekonania, że jest tylko małym, znikomym, nic nieznaczącym, niepotrzebnym żyjątkiem!...

Zapatrzony w majestat gór i ogrom drzew, myślałem, że jestem w wielkiej świątyni! Do duszy mej, kajającej się przed majestatem Bożym, przemawiał... Stwórca! Tak, warto iść na odludne miejsca, warto iść tam, gdzie potężnym — chociaż może przez wielu niesłyszanym i niezrozumiałym — głosem, przemawia — majestat natury...

Po kilkugodzinnym wypoczynku wśród gór i drzew, wracamy znów do urodzajnych, ogrodami i osadami ludzkimi upstrzonych dolin. Każdy zakręt uroczej drogi górskiej odkrywał przed oczyma nowe panoramy, pokazywał nowych olbrzymów, nęcił ku sobie bogatym, górskim pejzażem.

Na nasze spotkanie wyszła sarenka. Chciała widocznie na swym terytorium — że tak powiem — w swym domu, powitać gości przybywających tu z tak dalekich stron. Oczywiście zatrzymaliśmy auto, by się bliżej zaznajomić z tak kochanym mieszkańcem tutejszych lasów. Zwierzyna we wszystkich parkach narodowych jest nietylko pod okiem ale pod pieczołowitą opieką rządu. Nie wolno tu na nic polować, nawet rybołówstwo ma tu pewne ograniczenia. Rząd czuwa, aby podczas długiej zimy nie brakło dzikiej zwierzynie żywności. W niektórych parkach, szczególnie w Yellowstone, latem są sianokosy. Żniwiarze składają trawę na duże kopy, by jelenie, bizony, łosie

i inne trawożerne zwierzęta miały zimą co jeść. Widocznie sarna, która wyszła na nasze spotkanie, wiedziała dobrze o tym, że jej krzywdy nie zrobimy, ale owszem, może się jej jakiś smaczny kąsek od nas dostanie. — Na szczęście, w zapasowej skrzyni znalazła się paczka solonych sucharków. Chociaż to nie czekoladki i cukierki, ale dobre są także solone sucharki. Więc też pełna wdzięku sarenka widząc ten przysmak, najswobodniej wygramoliła się do auta, a nasz "minister spraw wewnętrznych" z niekłamaną radością darzył ją tymi specjałami. Ja zaś w tym czasie zrobiłem kilka zdjęć niezwykłego gościa, aby sobie to zdarzenie upamiętnić i na kartach książki utrwalić. Cieszę się z tego, że w Ameryce mamy coraz więcej amatorów, polujących na dzikie ptactwo i zwierzynę aparatem fotograficznym, zamiast dalekonośnym karabinem. Na polowanie z kamerą trzeba więcej sprytu i... serca. Oby takich sportowców było w świecie jak najwięcej. Kiedyś i ja z chęcią na polowania chodziłem, teraz tylko zwykłe domowe koty niekiedy padają ofiarą mej strzeleckiej wprawy. Czynię to z dwóch względów: najprzód dlatego, że niszczą ptactwo, a powtóre, że "romansują za głośno," a ja kociej muzyki po północy nie znoszę.

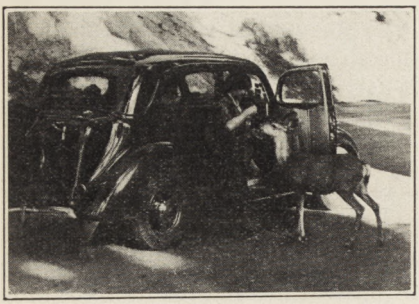

Miły gość

Wieczorem zerwała się ulewna burza z błyskawicą i piorunami. W tych okolicach zdarza się to dosyć często, zresztą, deszcze, a szczególnie latem, są tu bardzo pożądane. Mimo ulewy parliśmy naprzód i dopiero o późnej godzinie zatrzymaliśmy się w większym mieście, Bakersfield, w środowisku bogatych terenów naftowych.

ROZDZIAŁ XXI.

## Boulder Dam - Grand Canyon - Skamieniałe lasy - Mesa Verde.

Ponieważ następnego dnia mieliśmy się przeprawić przez ogromną pustynię Mojave (Mohave), więc też o ile możności chcieliśmy to uskutecznić jak najrychlej, zanim się pustynia rozpali. A że kwatera tuż przy torach kolejowych nie była zbyt spokojna, tym chętniej opuściliśmy ją dosyć rychło. Więc o czwartej rano byliśmy już na drodze wiodącej do małej pustynnej mieściny Mojave, a następnie do Barstow, większego węzła kolejowego i drogowego. W tym miasteczku znajduje się pełno kabin turystycznych, restauracyj, hotelików, stacyj na gazolinę i innych udogodnień turystycznych. Tu też zjedliśmy śniadanie i bez dalszych ceregieli puściliśmy się — już z poprzedniej tury dobrze mi znaną drogą przez Baker do Las Vegas.

Mieliśmy przed sobą na ten dzień dosyć długą marszrutę, więc też zaopatrzywszy się w paliwo, wodę, oliwę i po skontrolowaniu "gum" czy opon ruszyłem z miejsca. Niech się schowa ów "zając co po stepie skacze." Tu miałem pole do popisu. Więc też wziąwszy św. Chrystofora do pomocy — boć to pono patron turystów — puściliśmy wodze samochodowi. Pokaż co możesz! Waliłem naprzód z szybkością od 70 do 80 mil na godzinę. Kolega Antoś przestał spiewać, "minister spraw wewnętrznych" często powtarzał jakieś modlitwy za wariatów i wzbudzał w sobie żal za grzechy, boć gdyby się coś stało, to już napewno w tym miejscu postawilibyśmy kropkę nad "i." Skończyłaby się wtenczas cała automobilada. Na godzinę dwunastą byliśmy już w Las Vegas. Pierwsze 60 mil zrobiłem w 55 minutach i to z małym przestankiem na zdjęcia fotograficzne. Całe 130 mil zrobiłem z przeciętną szybkością 55 mil na godzinę, a więc zbyt wiele czasu "nie żmudziłem." Droga znakomita, auto w porządku, a gdy i szofer "doskonały" może sobie czasami na takie wyścigi pozwolić. Wspomniałem o tym tylko dlatego żebyście wiedzieli i pamiętali, iż nie z byle jakim szoferem jeździcie po Stanach Zjednoczonych.

Las Vegas małe, pustynne miasteczko, wyśrubowało się na widownię publiczną jedynie z tego względu, że w pobliżu znajduje się wielka tama Boulder Dam. Po bardzo szybkiej podróży zatrzymaliśmy się tu na godzinkę, by coś zjeść i trochę wypocząć. Miasteczko jest węzłem kolejowym i drogowym. Poza remizami i warsztatami

kolejowymi i bardzo licznymi domkami dla przejezdnych turystów nic tu niema ciekawego, chyba że ktoś chciałby spróbować szczęścia w najrozmaitszych grach hazardowych. Przy stołach gry zauważyłem poustawiane stożki srebnych dolarów, ale amatorów do gry nie było.

Przed czterema laty, gdy byłem tu po raz pierwszy autem, prace przy budowie tamy — Boulder Dam — postępowały naprzód całą siłą. Najważniejsze roboty już ukończone. Do wąskiej, kilkaset stóp wysokiej kotliny, którą płynie rzeka Colorado, geniusz człowiek wbił potężny półokrągły klin, wstrzymał w biegu szybko pędzącą rzekę, założył jej na kark elektryczny munsztuk i rozkazał swą niespożytą siłą wytwarzać kolosalną ilość prądu elektrycznego, który rozprowa-

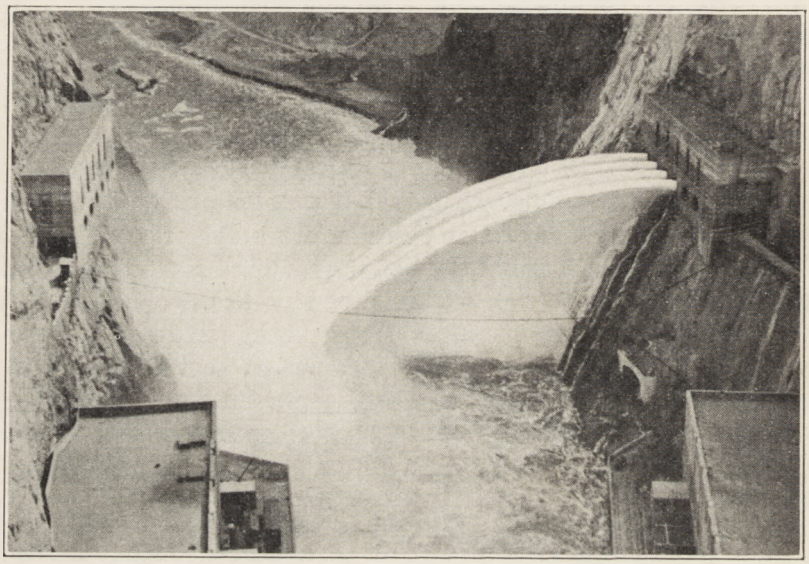

Rzeka Colorado poniżej tamy

dzono szeroko i daleko zapomocą drutów elektrycznych. Oddano siłę tę na usługi czowieka i teraz na jego skinienie wykonuje ona z wiernością psa najrozmaitsze zadania. Rzeka nietylko wytwarza w wielkich turbinach prąd elektryczny, ale na rozkaz człowieka rurami, kanałami i rowami rozlewać się będzie po setkach tysięcy akrów pustynnych piasków, przeistaczając je w najurodzajniejsze sady i ogrody.

Na samym wierzchu tamy wiedzie teraz szeroka droga dla samochodów. Zatrzymaliśmy się więc na chwilę, by podziwiać ten ogromny triumf inżynierii, boć z jednej strony tamy podnosi się z każdym dniem coraz wyżej ogromne, sztuczne jezioro, które za parę lat

będzie w tym miejscu ponad 700 stóp głębokie i 125 mil długie. Poniżej tamy, w głębokiej kotlinie, po obu brzegach, a nawet w dwóch stanach Arizonie i Newadzie zbudowano olbrzymie elektrownie, pędzone turbinami wodnymi. Opodal, niby z ogromnego źródła, biły ze skały strumienie spienionej wody. Teraz montowano olbrzymie turbiny i inne urządzenia elektryczne. Może trzeba będzie jeszcze rok, dwa poczekać, zanim ukończą pompy, wodociągi i inne projekty z tamą połączone. Miasto Los Angeles i San Diego stąd będą się częściowo zaopatrywały w wodę do picia.

Przeciętny turysta patrząc na te półokrągłe zapory, budowane ze stali i betonu, wbite setki stóp w ściany górskie, nie zdaje sobie nawet sprawy, ani z ich ogromu, ani z trudności, jakie tu trzeba było pokonać, ani nawet z doniosłości, jaką tama ta będzie odgrywała przez wieki całe w życiu ekonomicznym południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych. Nadejdzie ten moment w rozwoju ekonomicznym kraju, gdy wylewy rzek będą nieznane, gdy każda rzeka będzie absolutnie kontrolowana przez rękę ludzką. Do tego już teraz szybkim zdążamy krokiem.

Co tylko skończyliśmy tamę na rzece Colorado. Gdy okaże się potrzeba, moglibyśmy w jej ogromnych kanionach i przepadliskach dwadzieścia takich tam wystawić. Mogłyby one zaopatrzyć połowę Stanów Zjednoczonych w prąd elektryczny. Daleko na północ, bo aż w stanie Waszyngton, na rzece Columbia budujemy teraz jeszcze większą tamę od Boulder Dam. Za kilka lat i tam zazielenią się pustynie; zapalą się sztuczne błyskawice elektrycznego prądu; wyrosną nowe osiedla; powstaną wielkie miasta!.. Okazuje się, że wody naszych rzek są poprostu niewyczerpanym skarbem, który rząd stara się wykorzystać dla dobra całego narodu. Praca, którą w tym kierunku dalej prowadzi prezydent Franklin D. Roosevelt, jest zakreślona na tak kolosalną skalę, obliczona na tak daleką przyszłość, że tego nawet dokładnie zrozumieć nie można. Budujemy nie dla wnuków, ale dla pokoleń, które dopiero za setki lat obejmą po nas tę wielką spuściznę.

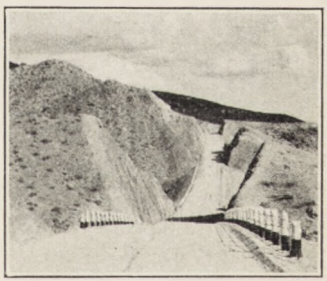

Droga przez pustynię

Od Boulder Dam, do Kingman zbudowano nową drogę. Nie była ona jeszcze całkowicie wykończona. Piasek, żwir i kurz na niej, jak nieszczęście. Turysta amerykański w ostatnich kilkunastu latach stał się strasznie wybredny pod względem dróg. Jeżeli to nie jest beton lub asfalt, już narzeka. Mamy więc przed sobą 80 mil drogi przez absolutną pustynię i ani wioski ani miasteczka, a z rzadka jakaś chałupina.

Ale droga niezgorsza, więc też w kurzu pędzimy do Kingman.

Miało się już ku wieczorowi. Na horyzoncie gromadziły się ciemne chmury — zapowiedź burzy na pustyni. Zdala błyskawice zygzakowały po ciemnym horyzoncie, a niekiedy dochodził nas złowrogi odgłos grzmotu. Ks. Wojcieszczuk prowadził samochód i, jak to u niego było w zwyczaju, zaczął śpiewać. Pod tym względem był nieprześcigniony. Zwykle zaczynaliśmy — po Bożemu, od ... "Kiedy ranne wstają zorze," a kończyliśmy na piosenkach żołnierskich, które, jak wiadomo, nie zawsze odpowiadają damskiemu towarzystwu. Zbliżająca się burza z piorunami i ulewą jest rzadkością na pustyni, to też mój zacny kolega chcąc ją uczcić, zaśpiewał na całe gardło piosenkę ukraińską, której długi czas nie mogłem zapamiętać.

I szumyt i hude!
Dribnyj doszczyk ide
A kto mene mołoduju
Do domonku zawede?!..

Ja niekiedy też bąknąłem jakieś słowo dla dodania mu tym lepszego animuszu. Droga jeszcze całkiem nie wykończona, pełno wyboi a co gorsza — ostrych kamieni. Nagle — Trzask!.. Pękła opona — Masz babo kaftan! — Miasto jeszcze spory kawał za górami, my na pustyni, a tu w dodatku ... i "szumyt i hude" i już nie "dribnyj" ale taki całą gębą "doszczyk ide!" Żeby to diabli wzięli takie głupie położenie.

— Wyłaź bo trzeba koło zmienić, powiadam.

— Ale Stasiu, zaczekaj. Możeby lepiej zatelefonować do miasta po kogoś, by nam gumę zmienił, z flegmą odpowiada towarzysz.

— Nie gadaj głupstw, bo wiesz dobrze, że na pustyni niema ani telefonów, ani garaży, więc też wyłaź czym prędzej i bierz się do roboty! Dopieroby się z nas śmiali, gdyby się dowiedzieli, że my na pustyni telefonu szukamy!

Chcąc niechcąc "Antoś" się wygramolił i zabraliśmy się do zmiany koła. Deszcz nas zlał, błoto ochlapało, ale za kwadrans ruszyliśmy w dalszą drogę. Burza spełniła swój obowiązek, bo nas zlała tak, że suchej nitki na nas nie pozostało, ale dla pustyni to raritas. Z gumami miałem kilka razy kłopot. Należało wziąć grubsze opony, gdyż auto było przeładowane, jazda szybka, a często drogi niezbyt dobre. W drodze strzaskaliśmy cztery opony i trzeba było kupić nowe, ale przy końcu podróży byliśmy już ekspertami w ich zmienianiu. Każdy z nas wiedział, co wziąć do ręki i zmiany takie uskutecznialiśmy w stosunkowo bardzo krótkim czasie.

Od Kingman, jadąc ku wschodowi, jesteśmy znów na jednej z wielkich transkontynentalnych dróg. Napotykamy znów więcej

samochodów. Przy drogach są wygodne stacje z gazoliną, w których znajdziesz tak niezbędne "ubikacje do wypoczynku" czyli — "rest rooms," restauracje, jednym słowem — wszystko, czego przeciętny turysta dla swej wygody potrzebuje. Nawet krajobraz się zmienił, gdyż teraz często jedziemy wśród zieleni świerkowych lasów. W miasteczku Williams skręcamy na północ i podążamy doskonałą drogą do jednego z najciekawszych i najpiękniejszych parków narodowych — Grand Canyon.

Około czwartej po południu stanęliśmy na miejscu. Po załatwieniu formalności wstępnych, po ulokowaniu się w przestronnych domkach rządowych, pospieszyliśmy z kolegą nad brzeg olbrzymiej

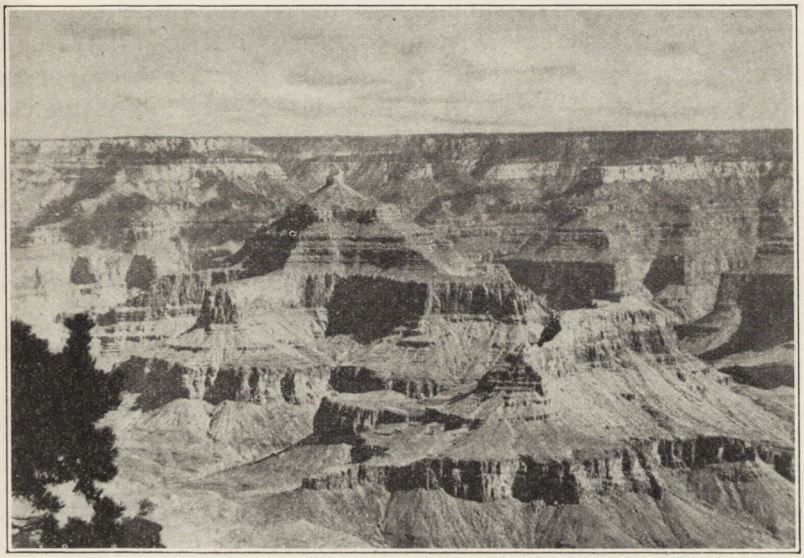

Grand Canyon

przepaści czyli kanionu, który tu od milionów lat żłobi rzeka Colorado. Wprost wierzyć się nie chce, że nawet największa rzeka potrafiłaby coś podobnego stworzyć. To, co tu całkiem niespodziewanie się widzi, zbliżając się nad sam brzeg przepaści, przechodzi ludzkie pojęcie! Widok jest tak imponujący, tak majestatyczny, tak przechodzący ludzką wyobraźnię, że chwilowo traci się władzę nad mową, a nawet ... nad myślą. Zato wzrok się potęguje i człowiek w podziwie i zachwycie spogląda w malowniczą przepaść, patrzy na mieniące się barwy gór, które się w tej przepaści znajdują, patrzy na kalejdoskop świateł i cieni wciąż rzucanych przez słońce i po niebie płynące chmurki. Góra, na którą teraz się patrzy, jest chwilowo zasłonięta mgłą, tam zaś zaczyna padać deszcz. Widzisz jego szare strugi,

może to nawet duża ulewa ... Wiatr przeniósł chmury, zajaśniało słońce, ukazała się tęcza ... Rzucisz gdzie indziej okiem, zdaje ci się, że to blisko, a to kilka lub kilkanaście mil. Tam znów słońce świeci i uwydatnia wszystkie parowy, drzewa, kształty fantastyczne wież, zamków, cyplów skalnych ... Tu przeważają barwy czerwone, tam białe, gdzie indziej mieszane ... Tu płyną cienie, tam zaś pali słońce. Hen w przepaści odbija się fragment brudnej rzeki — to Colorado... To nie martwa natura, to życie, uwydatniające się zmianą świateł i cieni. Cały dzień wpatrujesz się w tę grę kolorów, od tych różowych promieni wschodzącego słońca, do tych purpurowych i ciemno-fioletowych gdy się kryje za górami, na dalekim horyzoncie. Nie można tego ani opisać, ani odmalować, ani odfotografować. Gdybym miał pieniądze wydane na błony filmowe, które turyści zużyli robiąc zdjęcia tego kanionu, miałbym bardzo dużą fortunę. Trzeba być mistrzem, aby się należycie zorientować w ocenie światła i przestrzeni. Zdaje ci się, że tamten brzeg jest niedaleko, mila, dwie, a to tymczasem piętnaście mil do drugiej strony. Byłem tam cztery lata temu. Doznawałem zawrotu głowy, gdym patrzał w tę uroczą, a jednak straszliwą przepaść. Przyrzekłem sobie, że tu wrócę i czas dłuższy się zatrzymam. Wróciłem.

Gdyśmy tak długą chwilę na ten majestat natury patrzeli, bo jak ktoś powiedział, że gdy Pan Bóg chciał ludziom pokazać, że potrafi coś pięknego uczynić, stworzył Grand Canyon of the Colorado — mój kolega zachwycony widokiem powiada:

— Nigdy nie przypuszczałem, że coś podobnego się na świecie znajduje. Rzeka Colorado tu stąd wygląda jak mała rzeczułka, wprost mała, brudna taśma wody.

— Tak jest, ale pamiętaj, że to jest pięć mil stąd, w dodatku trzeba jechać milę w dół, by się tam dostać.

— Jedźmy!

— Co to, to nie. Mam zawsze kłopot, gdy jadę konno nawet po równej drodze. Jakoś zawsze jestem w... nietakcie z koniem i siodłem, a może właściwie powinienem powiedzić — w niewłaściwym "kontakcie." Rezultaty konnej jazdy są dla mnie, a właściwie dla pewnej części mej grzesznej anatomii — bardzo "bolesne." A cóż dopiero powiedzieć o takiej karkołomnej jeździe w tę straszliwą przepaść?! Nie ma głupich! Ale ty jak chcesz, to jedź! Tylko pamiętaj, żebyś później nie narzekał i w samochodzie siedział, jak należy, bo ci do niego łóżka nie wstawię.

Zamówiłem więc jeden bilet wycieczkowy do rzeki Colorado. Jest to całodzienna podróż, zresztą bardzo popularna wśród turystów. Trzeba było jednak dzień zaczekać. Wycieczki zwykle "startują" około dziewiątej rano, a wracają koło szóstej wieczorem. Ponieważ

na dzień następny wszystkie konie, a właściwie muły były już zajęte, więc też mając dzień wolny, zwiedzaliśmy z grupą turystów pod kierownictwem wyszkolonych przewodników najciekawsze posterunki, z których roztaczał się przecudny widok na tę szeroką, a tak malowniczą przepaść.

Następnego dnia po śniadaniu poszliśmy z Antkiem do kwatery głównej, gdzie przy żłobach stało uwiązanych kilkadziesiąt mułów już okulbaczonych i gotowych do drogi. Zbierali się też goście i amatorzy karkołomnej jazdy do kanionu. Kilku kowbojów z dużymi kapeluszami na głowie objaśniało nowicjuszom podróż, zapewniając ich, że muły są spokojne, wyćwiczone, z drogą doskonale obznajomione i nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa. Do każdych dziesięciu turystów przydzielony był jeden kowboj i ekspert, który mógł im poszczególne widoki i cuda natury jak należy objaśnić i co trzeba wytłumaczyć, a także dopilnować bezpieczeństwa mniej doświadczonych jeźdźców.

Ciekawy jest motłoch turystyczny. Są to przeważnie ludzie z miast, szczególnie ze wschodu. Blade twarze, delikatna cera, dobrze skrojone ubrania, okulary zdradzają ich, że to ludzie z biur, ze sklepów, ot — nasi przeciętni byznesiści — którzy po wielu latach pracy wybrali się na wycieczkę do — parków narodowych. Towarzyszą im zwykle żony, a czasem dzieci, chociaż tych jest niewiele. Ciekawe były niektóre kobiety, oczywiście nie przygotowane na taką wycieczkę. Zauważyłem, że jedna bardzo obsadna dama, jak Niemcy mówią "dicke Berta" miała na sobie czerwoną bluzkę, krótkie bufiaste spodnie, co ją tym więcej "uwydatniało": tak, że mi się żal zrobiło muła, którego będzie cały dzień torturowała. Turystka ta miała na nogach jedwabne pończochy i małe damskie trzewiczki, a słomkowy kapelusz na głowie. Wcale oryginalny strój na konną czy w tym wypadku — oślą jazdę.

Pomnik majora Powell'a, który pierwszy zbadał koryto rzeki Colorado

Gości podzielono na kilka kompanii, w każdej dziesięciu turystów i przewodnik-kowbój. Z zainteresowaniem patrzałem nie tyle na ludzi, boć ci nie są zbyt ciekawi, ale na muły. Każdy długouchy muł, a szczególnie te młodsze, szczwane bestie, skrupulatnie, a nawet powiedziałbym z pewnym niedowierzaniem oglądały swych jeźdźców,

boć niejeden nawet nie wiedział, jak się na muła wgramolić. Używają tu wyłącznie mułów dlatego, że są powolniejsze i niczego się nie boją. Amerykański muł jest to taka mądra jucha, że nawet bez matury mógłby złożyć doktorat w rzymskim uniwersytecie.

Nareszcie po długiej gadaninie, bo już niektórzy z turystów okazywali pewną nerwowość, ruszyła cała kawalkada. Towarzysz nie mógł się doczekać, aż ruszą, tak go ciągnęło do kanionu. W swej kompanii jechał — ostatni. Na mule wyglądał majestatycznie, wprost imponująco. Niech się wobec niego schowa Haile Selassie, król Etiopii. Dumny byłem z jego marsowego wyglądu. Dzielnie reprezentował wojskowość i kawalerię polską. Nawet go odfotografowałem, tylko jak się później okazało, uciąłem mu pół głowy, bo robiłem to w wielkim pośpiechu.

Przy pierwszym skręcie stoi mały sklepik z widoczkami i innymi "pamiątkami." Właściciel tegoż, p. Calb, który pierwszy robił ruchome obrazki kanionu, posiada aparat fotograficzny i wszyscy turyści na mułach ustawiają się w rząd do fotografii. Wieczorem, gdy wracają z wycieczki, każdy może otrzymać swą fotografię z tej pamiętnej wyprawy. Fotografowaliśmy więc we dwójkę. To stanowi już tu codzienną rutynę. Muły przyzwyczajone do tego robiły marsowe miny arabskich ogierów, a jeźdźcy tak się stawiali, że myślałbyś, iż to jakaś międzynarodowa ekipa przed startem w popisach. Na dany znak, wszyscy jechali gęsiego, zapuszczając się w czeluści głębokiego kanionu.

Naraz w jednym z oddziałów aż trzech amatorów tej napozór "karkołomnej" jazdy złazi z kulbaki, nie chcą już dalej jechać. Nadjeżdża kowboj i tłumaczy im, że niema żadnego, najmniejszego niebezpieczeństwa, droga szeroka, muły tresowane, inteligentne, co zresztą sam widziałem, a przytem zapewnił że sam będzie na nich uważał. Ale nic nie pomogło. Mężczyzna wyciągnął rękę i pokazywał, jaką ma tremę, kobietom z przerażenia trzęsły się łydki i wieczna... "ondolacja." Muły zaś nieprzyzwyczajone do takiego nieporządku, nie mogły sobie wykalkulować, co się stało. Dlatego też z wielkim zdziwieniem patrzały na kowboja, następnie na nerwowo gestykulujących ludzi i na swych towarzyszów, którzy wraz z jeźdźcami byli już na pierwszym skręcie. Słusznie kalkulowały długouche muły, że ludzie przecież powinni trzymać się kupy i czasu nie tracić na niepotrzebne gadaniny.

Ponieważ całe życie przestaję z dwunożnymi i czworonożnymi mułami i osłami, więc też łatwo zrozumiałem ich zdziwienie i pytania, które jeden z mułów drugiemu zadawał. Nie mogły zrozumieć, co się stało, że ich pasażerowie zleźli z siodła i nie chcą się więcej na nie wgramolić. Szczególnie dwa młode, ale rosłe mulaki o długich uszach

i silnej budowie, były tym bardzo zaintrygowane, bo im się jeszcze coś podobnego nie przytrafiło. Więc też często zwracały się do starego, wyćwiczonego i doświadczonego muła, a ten im dopiero całą sprawę jak należy wytłumaczył. Podsłuchałem tę oślą rozmowę i zdradzę wam ich sekret...

Otóż stary, doświadczony muł wcale się tą aferą nie przejmował, gdyż podobne wypadki widział poprzednio. Więc też objaśnia towarzyszom mulego rodu, że dobrze się stało, że ci przybysze z dalekich stron, co mułów nie znają i nigdy konno nie jeździli, zleźli zawczasu, zanim się coś gorszego, a dla mułów bardzo wstrętnego nie przytrafiło. "Łońskiego roku" — gada młodzikom stary muł — "sam miałem taką 'nieprzyjemność.' Czułem, że mój jeździec miał stracha. Nie tylko, że łydki, ale wszystko powyżej łydek tak mu drżało, że mogłem to odczuć nawet przez grube siodło. Myślę sobie: — coś źle z tym pasażerem. Może to jaki koszerny, bo ci łatwo stracha dostają, a do kawalerii się całkiem nie nadają. Ale jedziemy w dół, jak zwykle. Naraz przy jednym z ostrzejszych zakrętów, tuż nad przepaścią, posłyszałem jakiś huczek, a następnie zaleciał mnie straszliwy fetor. Chwilowo nie wiedziałem, co się stało. Później dopiero oglądając się na jeźdźca zobaczyłem, że mój pasażer rumienił się ze wstydu a ja... także, bo wyobraźcie sobie, że nie tylko siebie, ale i mnie w paskudny sposób ... zbabrał. Co mi te cholery muły później nie nadckuczały, gdy kowboj, poklinając szorował mnie, siodło i turystę, w rzece Colorado. Wprost paliłem się ze wstydu. Muły zaś takie urządziły chichotanie, tak psie krwie ryczały, że aż tu ich było słychac. A wszystko gwoli tchórza — turysty."

Jeden z młodszych mułów, słysząc wesołą przygodę starszego towarzysza, na całe gardło zaryczał "Eeeeouuuaaau!"... Stanął na przednich nogach, a tylnymi z wielkiej kuntentności wyrżnął w skalną ścianę tak silnie, że aż skry się posypały. Za to przestraszony turysta patrząc na radosną eskapadę muła, był święcie przekonany, że ten się wściekł a on, mimowoli, zostając na miejscu, życie uratował. Zapewne pomyślał, coby się z nim stało, gdyby młody muł spłatał mu takiego figla nad którąś z przepaści ponad tysiąc stóp głębokich, a jakie się tu w kanionie często napotyka.

Kolega wrócił szczęśliwie z wycieczki. Wieczorem jednak zdradzał ogromną niechęć do krzeseł, obozowe a nawet wygodne krzesła jakoś mu do gustu nie przypadały i czym prędzej udał się na spoczynek.

W całym kraju o tej porze, jak to donosiły pisma, panowały straszne upały. Ludzie padali jak muchy od udaru słonecznego. Tu zaś, chociaż to Arizona, jeden z najgorętszych stanów, było chłodno, a noce nawet bardzo zimne. Idąc na spoczynek, przykryłem się

kocem, następnie przykryłem się drugim kocem, a gdy mi jeszcze zimno dokuczało, wciągnąłem wełniane pończochy, ale i to nie pomogło, więc włożyłem na siebie wełniany "sweater," a mimoto jeszcze się dosłownie trząsłem od zimna. Więc też chcąc nie chcąc, rozpaliłem ogień w piecu. Bo należy o tym pamiętać, że jesteśmy tu na wysokości 7500 stóp czyli półtorej mili nad poziomem morza.

Grand Canyon uważają za jedną z największych amerykańskich atrakcyj. Codziennie zajeżdżają tu pociągami i samochodami tysiące turystów. Kolej Santa Fé daje pasażerom jadącym ze wschodu na zachód lub też w odwrotną stronę, bezpłatne całodzienne przestanki. Turyści mają więc cały dzień czasu, aby pod przewodnictwem doświadczonych ludzi zobaczyć najciekawsze okolice, zjeść doskonały obiad w hotelu zbudowanym tuż nad przepaścią, wrócić do wagonu

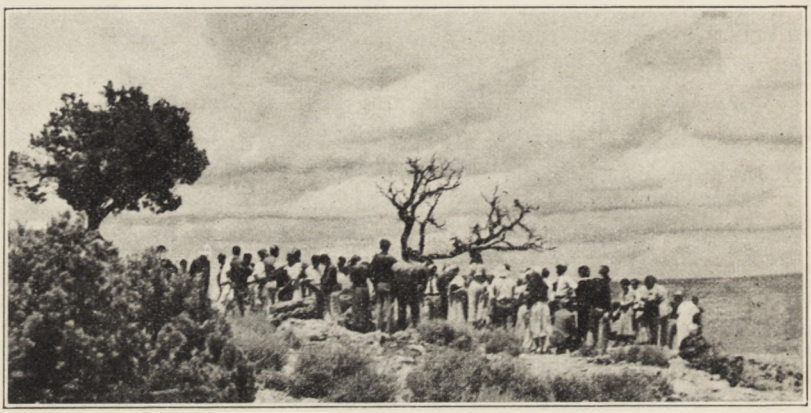

Grupa turystów przy kanionie

wieczorem i w łóżku dalszą odbywać podróż. Wielu turystów podróżuje we własnych "trejlerach" czyli zgrabnych, nieraz luksusowo wykończonych domkach, które są umieszczone na dwóch kołach i przyczepione do samochodu. Ponieważ mnie to nowoczesne życie cygańskie interesowało, więc też zaglądnąłem do wszystkich "trejlerów," dopytując się turystów, jak im się takie życie podoba. Zapewniali mnie, że bardzo są z niego zadowoleni.

Chociaż bawiliśmy tu kilka dni, podziwiając malowniczy parów, jednakowoż z żalem go opuszczam, bo wprost nie mogłem się napatrzeć na te bogato-barwne cuda natury. Jedziemy znów przez pagórkowate pustynie — rezerwat Indian z plemienia Navajos. Wyjątkowo ten właśnie szczep nie wymiera, ale raczej stale się rozrasta. Ciekawi to ludzie. Trudnią się rolnictwem, hodowlą bydła i owiec, zaś żony ich przędą nadzwyczaj piękne koce i kilimy, podobne poniekąd

do polskich wyrobów. Ręczna robota Indianek pod względem deseni i barw jest bardzo artystyczna, przytym droga. Niekiedy za dobry kilim indiański zapłaci się dwadzieścia lub więcej dolarów. Co jest uwagi godnym, że nikt im deseni nie rysuje, ale każda z głowy je robi i to bez błędu.

Indianie tutejsi mają bardzo ciekawe zwyczaje religijne, przedewszystkim originalne są ich modlitwy i tańce — o deszcz. W wielkiej czci jest kult żmii, szczególnie trującego grzechotnika. Wiadomo, że żmije tutejsze drążą sobie dziury w ziemi i tam żyją w wilgoci i chłodzie. W pojęciu Nawahów grzechotniki mają jakiś bliższy kontakt czy wpływ na boga deszczu a który, ich zdaniem, zamieszkuje we wnętrzu ziemi. Gdy więc na wiosnę wznoszą modły do bogów o deszcz, boć bez tego nie będą mieli kukurydzy i innych ziemiopłodów, zbierają grzechotniki, biorą je do ust i z tymi trującymi żmijami urządzają ciekawe, a pono pełne symbolizmu tańce i śpiewy. Zdarza się, ze grzechotnik tego czy owego ukąsi, ale widać mają już na to odpowiednie środki, aby się ratować od śmierci. Przyznam, że nie chciałbym takiego nabożeństwa odprawiać. Nabożeństwa i tańce religijne urządzają Indianie zdala od swych osiedli i nie dopuszczają na te ceremonie ludzi białych.

Niektórzy z Indian robią także bransoletki ze srebra oraz inne zdobne artykuły. Przeważną część tej rzekomo indiańskiej biżuterii wyrabiają w Newarku, N. J., czy też koło Providence, R. I., a tu ją sprzedają, jako wyrób miejscowy. W jednym z dużych składów pamiątkowych w kanionie widziałem Indianina w narodowym stroju, jak wykuwał bransoletkę ze srebra. Przypuszczam, że w najlepszym razie wzięłoby go to cały tydzień wykuć chociażby jedną sztukę. Turyści jednakowoż których nawiasem mówiąc wszędzie tu w bezczelny sposób nabierają, sądzili, że stosy biżuterii, którą im sprzedawano za drogie pieniądze, zrobił ten właśnie Indianin. — "Głupich nie sieją, sami się rodzą."

"Hogany" czyli mieszkania Indian

Nawahowie budują swe mieszkania z gliny. Są to małe, okrągłe kopce, podobne do naszych kopców na kartofle. Z jednej strony mają otwór i wchodzą doń na czworakach. W środku zaś budy, podobnej cośkolwiek do iglów, jakie z lodu stawiają Eskimosi, znajduje się otwór służący za komin. Podłoga jest z gliny. Na środku niskiej

lepianki budują małe ognisko i na nim przygotowują skromny posiłek. W Cameron, nad rzeczką Little Colorado, rząd posiada składnice, w których zaopatruje tutejszych Indian w żywność, ubranie i inne niezbędne towary.

Wjeżdżamy znów w teren górski i leśny. Czemu tu właśnie rosną duże lasy drzew szpilkowych, nie wiem. Dość że rosną. Przy drodze napotyka się nawet bardzo piękne fermy, zapewne mają tu więcej deszczu albo sprowadzają rowami wodę z górskich strumyków. Od Flagstaff do Holbrook jedziemy znów główną drogą rządową Nr. 66 i napotykamy małe wioski, sklepy z towarami indiańskimi, w polu zaś małe, okrągłe glinianki tubylców. Indianki o bronzowych twarzach robią na krosnach wełniane kilimy o pięknych, często symbolicznych deseniach indiańskich.

W Holbrook znów zbaczam tym razem na południe, by zwiedzić słynne "skamieniałe lasy" — petrified forests. Pewną część pustyni, na której lasy te się znajdują, rząd przeznaczył na "national monument," czyli — pomnik narodowy. Takich "pomników" mamy dużo. Częstokroć pod rubrykę pomników podciąga się pamiątki historyczne, pola bitew lub też ciekawsze zjawiska natury jak: niezwykłe góry, źródła, wyjątkowo malownicze kaniony, w tym wypadku — skamieniałe lasy. Myślałby ktoś, że tu zobaczy las stojący, który może dla nieznanych powodów zamienił się w kamień. Tymczasem jest wręcz przeciwnie. Gdy zajedziemy na miejsce, zaraz wam to lepiej objaśnię. Jesteśmy tu znów na szerokiej, bezludnej pustyni. Przed nami wznoszą się jakoby duże "kopce" lub kurhany. To jest praca — erozji czyli stałego podmywania przez topniejące śniegi i nawałnice grubej warstwy mułu i piasku, naniesionego w te okolice przed wielu milionami lat. Na pustyniach tych przez długie wieki było morze. Ulewy, jakie ongiś panowały naniosły tu wielką ilość drzew, tworząc z nich ogromne kupy i zatory. Drzewa te, podobne cośkolwiek do sekwoi, pogrążyły się w błocie i w piasku. Pod ogromnym ciśnieniem morza, drobniutkie ziarnka piasku, a w nim znajdujące się domieszki żelaza, manganu i innych składników wciskały się do wnętrza każdej tkanki drzewnej i w toku milionów lat kłody drzewa przeistoczyły w kamień, który jednak we wszystkich detalach zachował kształt i strukturę drzewa. Grube kloce, rozrzucone po piaszczystej pustyni, przybrały na zewnątrz ciemną barwę. Za to wnętrze drzewa posiada kręgi różno-kolorowe, zależnie od tego, który z minerałów w tym miejscu przeprowadził tę dziwną metamorfozę. Żelazo zostawiło barwę czerwonawą, niby rdzy, mangan ciemniejszą, błyszczącą jak stal; żyły wapienne zaś nadały kolory białe. Najpiękniejsze zabarwienie posiadają sęki. "Dobrzy ludzie," gdy to zobaczyli i prze-

konali się, że z tych drzew, szczególnie ze sęków, można wyrabiać piękne wazoniki, lichtarzyki, postumenciki i biżuterię, czym prędzej się tu zlecieli i co najlepsze okazy zaczęli wywozić i rozbijać. Rząd więc położył na to wszystko swą rękę, zbudował małe muzeum i wygodną kwaterę dla urzędników i teraz wolno ci tu przyjechać, możesz wszystko oglądać, geologowie rządowi — niby ta — policja tajna, śledząca wybryki Matki Ziemi, wytłumaczą teorię jak powstały skamieniałe lasy, ale nie pozwalają zabrać nawet najmniejszego okazu. Jednakowoż poza obrębem rządowego rezerwatu możesz kupić tyle tych skamieniałych drzew, ile tylko zechcesz.

Niezwykły to widok. Jak okiem sięgniesz — piaszczysta pustynia, a na niej wznoszą się kopce, nasypy i barwne pagórki, skutek erozji. Częstokroć zauważysz w nich różnokolorowe strefy piasku,

Skamieniałe drzewo na pustyni

przeważnie czerwone, żółtawe i białe. Na polu zaś wśród tych wzgórz pełno większych i mniejszych kawałów skamieniałych, połamanych drzew i gałęzi. Niektóre drzewa wyglądają, jakby je ktoś ogromną piłą poprzecinał na okrągłe kloce. Widocznie ciężar drzewa, gdy się z pod niego usuwał piasek i glina, w której było zakopane, spowodował te pęknięcia. Kilka jednak zachowało się dotąd bez złamania i z tych właśnie wnioskujemy, co to musiały być za drzewa i lasy, które przedhistoryczne potopy zniszczyły i na te wysypiska przyniosły.

Kiedy się to stało? Skąd one tu przypłynęły?.. Jak długo tu leżą?!.. Ile się ich tu znajduje?! — Tego nikt odgadnąć nie może.

Geologowie z tego, co mają przed sobą, snują rozmaite domysły. Według ich zdania, kataklizmy te panowały podczas gorącej ery, gdy nawet daleko stąd na północ rosły drzewa, znajdujące się teraz tylko w gorących strefach. Było to prawdopodobnie wieki całe, zanim na kuli ziemskiej zjawił się pierwszy protoplasta "dwunoga-niszczyciela" który częstokroć uważa siebie za "rozumnego bydlaka," a nawet głosi, że jest "stworzony na obraz i podobieństwo Boskie." Gdy się jednak patrzy na wybryki ludzkie, na jego zbrodnie i wojny, to się nawet wierzyć nie chce, żeby on z Bogiem miał jakąkolwiek styczność, a Bóg z nim. Chyba tylko wtenczas, gdy go za jego winy i przestępstwa surowo karze.

O zachodzie słońca pustynia ta miała swój wprost nie do opisania urok. Pełne blasku promienie zachodzącego słońca układały się poziomo na kłodach drzew i malowniczych pagórkach, rzucając na biały, pustynny piasek z rzadka porosły bylicą, długie, malownicze cienie, wywołując bardzo harmonijne kontrasty.

Wracamy znów na główną drogę i pospieszamy do większego miasteczka, Gallup. Zatrzymaliśmy się na chwilę w połowie drogi, by o zachodzie słońca podziwiać "painted desert" — malowaną pustynię. Jak okiem sięgniesz leżał przed nami ogromny obszar pustyni częściowo porytej przez erozję, która jak w Grand Kanionie wyżłobiła tu różnokolorowe strefy ziemi i uczyniła z tego obraz mieniący się kolorami. Stwórca — zapewne bawiąc się niebieskim pędzlem — malował obraz ten przecudnymi barwami tęczy. Następnie oprawił go w ramę gór, oświetlił i opromienił południowym słońcem. Mały, dwunożny robaczek szybko pędzący samochodem zatrzymuje się na krawędzi tego barwnego obrazu, patrzy i podziwia!.. Nie wie on, co ma właściwie więcej uwielbiać — czy złotem i purpurą malowany zachód, czy też kalejdoskopijne barwy pustyni, lśniącej bogactwem kolorów tęczy, uwydatnionych promieniami zachodzącego słońca!.. Takich obrazów nie posiada żadna galeria. To się tylko widzi na pustyniach Arizony!

Nad wieczorem dojechaliśmy do większego miasteczka — Gallup i tu też zatrzymaliśmy się na noc. Warsztaty kolejowe i kopalnie węgla dają zatrudnienie tutejszym mieszkańcom. Na ulicach, szczególnie w sobotę, wieczorem widzi się dużo Indian, przyjeżdżających tu na zakupy i by zaopatrzyć się w żywność. Rząd daje im finansowe zapomogi, poza tym hodują oni bydło i owce, robią kilimy i tak koniec z końcem wiążą. Co zarobią, to stracą, czasem — przepiją, chociaż prawnie nie wolno Indianom sprzedawać "ognistej wody," której oni "pożądają wielkim pożądaniem." Zapiliby się na śmierć, to też rząd surowo karze tych, co szwarcują "wódeczność" na rezerwaty indiańskie.

Rano po mszy św. i po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę, a to tym chętniej, że kwatera nie przypadła nam zbyt do gustu, przytym — gorąco jak nieszczęście. Jedziemy z miasta drogą rządową Nr. 666, na północ do Colorado. W gorączce i kurzu pędzimy przez ogromny rezerwat należący do Indian, ze szczepu Nawahów. Gdzieniegdzie napotykamy małe, okrągłe, gliniane lepianki tubylców. Hen na pustyni zbudowano dla ich dzieci dużą szkołę, tylko nie wiem, skąd się tyle dzieci weźmie, ażeby taki duży gmach zapełnić. Wszędzie tylko pustkowie i z rzadka widzi się jaką taką chałupinę czy stację z gazoliną i potrzebnymi zapasami dla turystów.

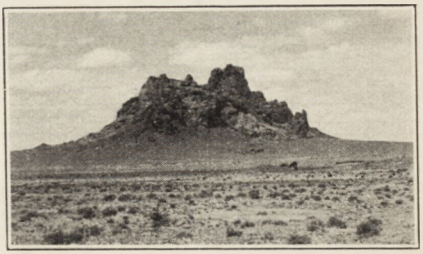

Fantastyczne formacje skalne na pustyni

Gdyśmy się już zbliżali ku granicy stanu Colorado, krajobraz się zmienił. Na pustyni jakoby z ziemi wyrosły olbrzymie, skalne wzgórza o bardzo fantastycznym wyglądzie. Jedno z nich kształtem przypominające okręt z rozpiętymi żaglami, nazywają "ship rock" — skała-okręt. Pionierzy idący tędy do Kalifornii, tę właśnie skałę uważali za jeden z ważnych drogowskazów. Inne znów przypominały kształtem ogromne zamki, twierdze, baszty, wieże i inne fantastyczne budowle. Zdaje się, że tak kiedyś wyglądał cały ten obszar. Erozja już to dawno skruszyła i rozsypała po stepie. Pozostały tylko te najtwardsze skały, które się jeszcze bronią przed działaniem elementów, ale widać, że beznadziejna jest ich walka. U stóp każdej skały leżą ogromne kupy gruzów, które pod działaniem wody, słońca, śniegu pękają, odpadają i powoli zamieniają się znów w żwir i piasek pustynny z którego, zapewne kiedyś powstały. Nawet i tym odwiecznym, jeszcze wciąż majestatycznym "gmachom" pustynnym możnaby także powiedzieć: — "Pamiętajcie, że prochem jesteście i w proch się obrócicie."

Po przeszło stumilowej podróży wkraczamy w granicę ogromnego, malowniczego, bogatego i wielce interesującego stanu Colorado. Kilkadziesiąt mil na zachód od naszej drogi jest jedyna w Stanach Zjednoczonych granica, gdzie cztery stany graniczą z sobą, a mianowicie: New Mexico, Arizona, Utah i Colorado. Odpowiada to słynnemu kiedyś "Drei Keizer Ecke," na Śląsku. Tam się stykały na polskiej ziemi posiadłości naszych wrogów — Austrii, Niemiec i Rosji.

W południowej części Colorado znajduje się niezwykły "park narodowy" — Mesa Verde National Park. Jak to już kilkakrotnie wspominałem, przed tysiącem lat zamieszkiwały na tych obszarach

niezwykłe plemiona Indian. Posiadali oni stosunkowo wysoką kulturę, gdyż zaprowadzili u siebie sztuczne, chociaż może prymitywne nawodnienie, mieli też pięknie wykonane i artystycznie zdobione wyroby gliniane, uprawiali bawełnę, przędli koce, kilimy i ubrania. Siedziby swe budowali z gliny i to w niedostępnych, a łatwo obronnych miejscach. Domy te wystarczyły na pomieszczenie kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu rodzin. W tych glinianych domkach, poza mieszkaniami, znajdowały się także składnice na kukurydzę i inne zapasy żywności. Były tam także świątynie i sale obrad — kivas — w których starsi z plemienia odbywali swe narady i nabożeństwa. A może nawet potajemnie przed żonami, którym tam wchodzić nie

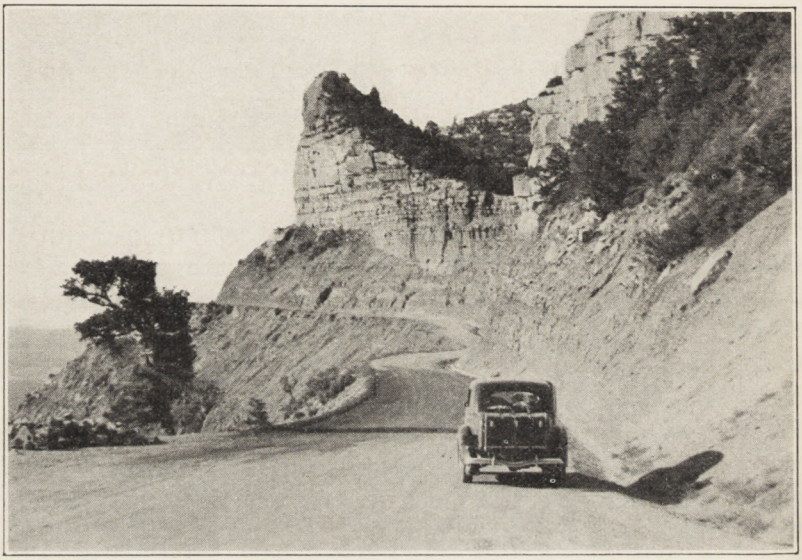

Na drodze do Mesa Verde

było wolno, pili wódkę i grali w "pokierka" lub "brydża." Widać, że mądrzy to byli ludzie. Posuchy trwające lata całe — a tego roku mamy właśnie taką posuchę w stanach zachodnich — zniewoliły "skalnych mieszkańców" czyli — cliff dwellers do opuszczenia siedzib i do szukania dogodniejszych warunków bytu. Dosyć na tym, że zaginęły po nich niemal wszystkie ślady. Z małych zabytków, które jeszcze pozostały, przychodzimy do wniosku, że byli to ludzie kulturalni, zbliżeni cośkolwiek do Azteków i innych szczepów żyjących jeszcze na terytoriach Meksyku.

Znakomitą, szeroką drogą wspinamy się na góry, by się dostać do ruin i zabytków po owych nieznanych nam mieszkańcach. W górach tutejszych kryje się kilka takich osiedli czy wiosek. Nie było

już czasu na zwiedzenie wszystkich, więc też zatrzymaliśmy się na chwilkę w pierwszej z rzędu. Zwiedziliśmy muzeum zabytków po owych mieszkańcach. Zaglądnęliśmy do wnętrza ich mieszkań, ich świątyń, składów, spuszczaliśmy się do wnętrza drabinami, boć schodów ani elewatorów czy "liftów" wtenczas ludzie nie znali. Ludzie ci, nieraz zdala od swych mieszkań uprawiali pola kukurydzy. W dużych dzbanach — ollas — nosili wodę, kopali małe rowy irygacyjne, budowali tamy, by podczas posuchy mieć wodę do picia i do podlewania ogrodów z jarzynami i owocami. Przychodzę do przekonania, że byli to ludzie wytrzymali i pracowici, gdyż trzeba było wszelkie zapasy żywności a nawet wody dźwigać na niedostępne skalne wyrwy, w których, niby ludzkie jaskółki, budowali gliniane gniazda.

W jednym z większych budynków rządowych znajduje się muzeum dla przechowania zabytków i pamiątek po tych dawnych "prawdziwych" Amerykanach, których późniejsi, europejscy przybysze ze wszystkiego ograbili. W szafach za szkłem można oglądać stosy całe najrozmaitszych gatunków strzał, używanych do polowania na ptactwo i na grubą zwierzynę. Były tam dzidy, młoty kamienne, igły robione z kości zwierząt, przybory kuchenne. Szczególnie podziwiałem ich okrągłe wałki kamienne do mielenia kukurydzy. Nawiasem mówiąc — gdy Indianka takim kamiennym pocięglem po łbie "ździeliła" swego najukochańszego mężulka, to przynajmniej wiedział, że ma żonę, którą szanować, kochać i której słuchać powinien, jeżeli nie życzył sobie, aby mu się jakie nieszczęście z jej wprawnej ręki nie przytrafiło. Wśród licznych zbiorów podziwu godne były wyroby gliniane, jak wazony i naczynia do wody lub do przechowywania żywności. Znajdują się tu także kawałki płótna, maty z trzciny plecione i wiele innych prymitywnych sprzętów domowych. Ludzie ci nie znali i nie używali mebli, nie mieli kuchni gazowych, lodówek elektrycznych, nie siedzieli cały dzień przy radio, jak to czynią niektóre nasze nowoczesne gosposie. Życie dawało im mało wygód i rozkoszy, a dużo trudu i znoju. Według zdania rzeczoznawców, tysiąc lat zaledwo dzieli nas od ery tych prymitywnych, zapobiegliwych, rolniczych plemion. Co za kolosalna różnica między ich mieszkaniami, ich kulturą i życiem a tym, co teraz posiada najbiedniejszy wyrobnik!.. To co u nich było dostatkiem,

Przedhistoryczne ruiny

może — majątkiem, u nas byłoby uważane za skrajną nędzę. Czas i warunki zmieniają nasze poglądy.

Na noc zatrzymaliśmy się w Durango, większym, wśród gór położonym miasteczku. Trudno nawet było o uczciwą kwaterę. Ostatecznie ulokowaliśmy się w niezbyt wygodnych, a dosyć drogich kabinach. Nasz "minister spraw wewnętrznych" już od dłuższego czasu zdradzał pewne zdenerwowanie. Straszne upały, długie, męczące, codzienne podróże, drogi górskie i niewygody spowodowały przemęczenie. Więc też z tego względu podał się do dymisji i pociągiem pojechał do rodziny, zamieszkującej w Minnesocie. Wobec tego idąc za przykładem wielkich "mężów stanu," którzy nieraz kilka tek ministerialnych równocześnie piastują i sprawują, nie mając zresztą innego wyjścia — objąłem tekę "ministra spraw wewnętrznych," a kolega "Antoś," awansował na mego sekretarza, a w tym wypadku — kuchcika. Po całodziennej podróży, gdy się nadarzyła okazja i sprzyjały warunki, gotowałem tak smaczne obiady, żeśmy zaczęli szybko przybierać na wadze. Raz pamiętam, gdy usmażyłem porcję szynki z jajecznicą, mieliśmy dosyć na śniadanie i był z tego znakomity obiad i jeszcze tyle zostało, że gdy zacząłem resztkami czy "okruszynami," które spadały z naszego stołu, karmić psa przybłędę, tak mu to świetnie smakowało, taki miał apetyt — a tyle było tej jajecznicy — że się biedaczysko wprost ... rozpuknął. Zato kolega wprost cudów dokazywał przy myciu statków i w zastawianiu stołów. Niektórzy do mycia statków potrzebują mydła, gorącej wody, proszku, amoniaku, gazoliny i terpentyny, on zaś bez wszystkiego, gazetą czy ścierką tak potrafił nasze przybory kuchenne wyglansować, że wprost można się było w nich przejrzeć.

Naprawa dróg, nasze auto po lewej

Wjeżdżamy na bardzo malowniczą, ale jeszcze nie wykończoną górską drogę z Durango do Grand Junction. Znajdujemy się teraz na zachodnich stokach gór Skalistych. W biuletynach nadesłanych mi zaznaczono, że to jest "million dollar highway" czyli kosztem miliona dolarów zbudowana droga. Z początku myślałem, że to będzie jakaś szeroka, bita szosa, z silnymi obmurowaniami, z dogodnymi przystankami w najpiękniejszych okolicach, gdzie można się będzie zatrzymać, przepyszne górskie krajobrazy podziwiać i malowniczą podróżą się rozkoszować. A tu tymczasem bardzo prędko przekonałem się, że to była zwykła, polna

droga, pełna szalonych skrętów, wybojów, kamieni, wlokąca się niby szara żmija ku śnieżnym szczytom którą w dodatku maszynami naprawiano i równano. Teraz już nie wiem, czy ta "milion dolarowa droga" oznaczała sumę, jaką już na jej budowę wydano, czy też że jeszcze nie jeden milion na nią wydadzą, czy może górskie panoramy z tejże drogi widziane są warte milion dolarów? Może też chcieli powiedzieć, że turysta wyżyje za milion dolarów strachu, zanim się z tych przepaści górskich wydostanie i należycie wypocznie. Nigdy nie wiedziałem, co nas czeka na skręcie, bo po jednej stronie masz granitową ścianę, a po drugiej ... przepaść i to bez żadnego płotu czy obmurowania. Nie radziłbym żadnemu pijakowi albo człowiekowi skłonnemu do tremy jeździć tą drogą. Czasem jechaliśmy nad takimi przepaściami, że mnie, doświadczonemu turyście, na mej łysej głowie włosy dębem stawały. Wtenczas Ks. Wojcieszczuk zaczynał.. "Kto się w opiekę poda Panu swemu.." Po dwugodzinnej jeździe zrobiłem zaledwie 30 mil. Szczęście, że nasz "minister" pojechał pociągiem, bo tu napewno dostałby kompletnego rozstroju nerwów. Ale dobry Bóg jakoś czuwał nad waszym piszącym szoferem, iż mu się nic nie stało. Chociaż droga była niebezpieczna i przypuszczam, że niejeden kark sobie tu skręcił, za to widoki były niekiedy wprost cudowne. W dogodniejszych i bezpieczniejszych miejscach zatrzymywałem samochód, by nerwom dać wypoczynek, a oczom i duszy niebywałą... rozkosz. Piętrzyły się przed nami góry pokryte zielenią lasów, co jedna to inna, a każda miała właściwy sobie urok. Niższe wierzchołki były pokryte drzewami iglastymi, wyższe zaś sterczały w groźnym majestacie granitowej skały, na której poza mchem żadne nie rosło drzewo. Najwyższe zaś szczyty sięgające czternastu tysięcy stóp i wyżej pokrywały płaty śniegu i lodu.

Niekiedy wśród górskich przepaści i rozkosznych dolin napotykało się jakąś wiejską sielankę — chatę pastucha i stado bydła lub owiec. Pastwiska w letniej porze są tu znakomite, zimą zaś wszystko jest pokryte bardzo grubą warstwą śniegu. Częstokroć w granitowych zboczach gór widać tunele ręką człowieka zrobione. To robak-człowiek wdzierał się do wnętrza góry szukając złota i srebra. Niektóre z tych tuneli i szybów — widocznie nic tam nie znaleziono — zarosły zielskiem. Kupy gruzów świadczą o tym, czy tunel był głęboki czy też stosunkowo, próbny. Widać, że żyły miedzi, srebra i złota są tu dosyć liczne i bogate, gdyż wyrosły tu większe miasteczka jak Silverton, Ouray i Tellouride, znane z produkcji szlachetnych metali. Niekiedy do spadzistej ściany górskiej przyczepiła się długa, niska szopa, w której stemple kruszą skałę i procesami chemicznymi wydobywają złoto. Tu i ówdzie cały kompleks z szybami, szopami, kominami stoi pustką. Jest to niemy świadek, że wyczerpały się żyły złotodajne.

Wśród głębokich kanionów i dolin można zauważyć kręte dróżki, a nawet doskonale wydeptane ścieżki. Tędy, w głąb pasm górskich, wdzierają się prospektorzy szukając żył złotodajnych. Ludzie ci żyją nadzieją, że kiedyś odkryją — bonanzę. Niejeden z nich zakupił kilka mułów jucznych, zabrał z sobą żywność i potrzebne przybory i już więcej nie wrócił... Może za rok, za dwa lub więcej znajdą jego kości... Takich tragedii były setki. Tu przed oczyma — o ile patrzy się na to okiem wyobraźni — widzi się wielki romans — walki człowieka z żywiołem. Jedni walczą o złoto na ... Wall str., w Nowym Yorku, w kanionach niebotycznych gmachów, inni zaś szukają go w niebotycznych...górach!

Nad wieczorem dotarliśmy szczęśliwie do ważnego węzła kolejowego i drogowego, schludnego miasteczka, Grand Junction. Jesteśmy jeszcze na stosunkowo wysokim płaskowzgórzu, ale już poza rejonem wysokich gór. Tu znów napotyka się urodzajne fermy, sady owocowe, stada bydła i cywilizację. Rano przygotowałem pierwsze śniadanie, zrobiłem przekąski, boć mamy przed sobą kilkaset mil drogi przez pustynię Uty (Juty). Jedziemy więc w kierunku północno-zachodnim i bez jakichkolwiek trudności wygodną, a miejscami malowniczą drogą wśród kanionów, kopalń, rzek i innych krajobrazów. Nad wieczorem dotarliśmy do ruchliwego, czyściutkiego miast Salt Lake City, stolicy Uty i ... Mormonów, którym też poświęciłem kilka rozdziałów w poprzedniej książce turystycznej.

ROZDZIAŁ XXII.

## Północna Utah - Wygasłe Wulkany - Yellowstone - Zephyr.

Nie będę się rozpisywał o Salt Lake City, stolicy Mormonów, chociaż to bardzo piękne miasto, położone u stoku gór Wasatch. Tak samo Utah jest stanem bardzo interesującym i bogatym. Przed dziewięćdziesięciu laty osiedlili się tu Mormoni, znani z wielożeństwa. Sam nie miałem nigdy skłonności do małżeństwa, a tym mniej, do wielożeństwa. Ludzie jednakowoż, którzy umieli żyć i pracować z kilku, a nawet kilkunastu żonami; ludzie, którzy mogli się przedzierać tysiąc mil przez pustynie, przez plemiona Indian, pokonywać wszelkie trudności, osiedlić się i rozwinąć kraj tak bogaty, jakim jest Utah, zasługują stanowczo na uznanie każdego uczciwego człowieka. Toć to bohaterzy, którym nie dorównują nawet półbogowie niemieckich Nibelungów. Potomkowie tych pierwszych pionierów już nie mają jednak tego "pepu," co ich dziadowie i pradziadowie. Znieśli oni wielożeństwo i prowadzą teraz żywot przeciętnego śmiertelnika.

Może to będzie dla niejednego nowością, że w Utah, na obszarach nawodnionych, sieją "polską" pszenicę i bardzo się tu ona udaje.

Po dwudniowym pobycie, zwiedzeniu miasta i po kąpieli w nadzwyczaj słonym jeziorze — "The Great Salt Lake," ruszamy w dalszą podróż przez miasto Ogden, do stanu Idaho. Jedziemy czas dłuższy wśród urodzajnych dolin, upstrzonych małymi domkami farmerów. Północna Utah i z nią sąsiadujący stan Idaho bardzo przypominają mi nasze polskie Podkarpacie. W dolinach zielone łąki, duże sady owocowe oraz pola polskiej pszenicy, a na wyżynach pastwiska i trzody bydła lub owiec.

Jak okiem sięgniesz, dolina jeziora Salt Lake zieleni się od pól alfalfy, przy drodze zaś strzelają w górę smukłe topole, bielą się wygodne, choć niewielkie domki rolników. W większych miasteczkach dymią kominy fabryk konserw, strzelają ku niebu wieże mormońskich kościołów.

Dolina się zwęża. Ziemia podnosi się coraz to większymi wzgórzami, sięgając hen na horyzoncie wysokich szczytów górskich. Potrzeba tu jeszcze naszych barwnych górali, a myślałbyś, że tu Polska.

Idaho, do którego wjeżdżamy na parę dni, ma najrozmaitsze

krajobrazy. Poza zielonymi polami alfalfy napotyka się tu równe, szerokie pustynie, pokryte bylicą (sage). Są tu także wysokie góry, bogate w złoto, srebro, miedź, ołów i przeróżne kruszce. W północnej zaś części znajdują się jeszcze ogromne lasy, cudne jeziora i rybne rzeki.

W Parku Yellowstone i w górach Tetonach ma swe źródła bardzo wartka rzeka — Snake River. Płynie ona przez południową część stanu ku zachodowi, i tam łaczy się z rzeką Columbia.

Tysiące lat — niby żmija — przez nikogo nie molestowana płynęła żłobiąc głębokie koryto w pokładach wulkanicznej lawy. Napotkawszy w swym biegu na większe przeszkody, rzucała się na nie kaskadami lub wodospadami. Nad jej brzegami wieki całe Indianie mieszkali. Łowili ryby, polowali na zwierzynę, która się także rzeki trzymała.

Po wielu wiekach przyszedł tu człowiek biały. Popatrzał na rwącą rzekę, szukał na niej brodów, by się przeprawić na przeciwną stronę. Zbudował promy i przedostał się na drugi brzeg. Poszedł dalej szukać szczęścia w Montanie, nad oceanem w Kalifornii, albo wydobywać złoto w Virginia City w Newadzie. Z czasem zbudowano tu mosty, następnie zaczęto przemyśliwać nad tym, jakby tę wartką rzekę ujarzmić i zaprządz do pracy.

Minęły lata... dziesiątki lat! Rzekę tę ujarzmiono, a przy każdym wodospadzie, a jest ich tu kilka, zbudowano tamy. Następnie kopano rowy i po szerokich, równych pustyniach rozprowadzono wartkie strumyki wody, niby żyły w ludzkim ciele. Powstały przy wodospadach małe, a pełne życia miasteczka. Przy rowach irygacyjnych zazieleniły się łąki i sady. Wyrosły też liczne osady farmerskie. Przy drogach rośnie teraz kwiecista, wonna, miododajna lucerna, z której złote pszczółki zbierają bogate plony.

Dobry Bóg z pewną pobłażliwością patrzy na figle, jakie człowiek płata tu rwącym rzekom, a nawet powiedziałbym — daje mu swą aprobatę. Ma on tu z ludźmi spokój jedynie z tego względu, że Mu się nie naprzykrzają o deszcz, nie narzekają na posuchy, na upały, na nieurodzaje. Każdy rolnik według własnych zapotrzebowań ma deszcz lub pogodę i to w takiej ilości i w tym czasie, kiedy ich mu potrzeba.

Na wiosnę tego roku Pan Bóg chwilowo "zapomniał" zamknąć śluzy niebieskie. Odrazu mieliśmy wylewy w Connecticut, a także w Pennsylvania i innych sąsiednich stanach. Ludzie narzekali boć nawiedziła ich niezwykła klęska powodzi. W innych zaś stanach, Bóg "zaniedbał" śluzy niebieskie otworzyć i nastąpiły posuchy. Podkręcił Bóg cośkolwiek za wysoko knot lampy niebieskiej, słońcem zwanej w następstwie ludzie piekli się, niby raki, i codzień kilkudziesięciu z nich się wykopyrtnęło. A więc znów kłopot i narzekania.

W tych pustynnych, a nadzwyczaj urodzajnych okolicach ludzie nie mają takich kłopotów z pogodą i niepogodą. Pan Bóg daje im ciepło, dużo słońca, a w rzekach płynie woda, którą dowolnie dysponują. Rezultat jest więc ten, że mają dobre zbiory, a Bóg ma z nimi spokój.

Studjując mapy i przygotowując się do czteromiesięcznej podróży, czytałem, że w tej części stanu Idaho znajdują się niezwykłe zjawiska wulkaniczne, zwane "Kraterami Księżyca," — Craters of the Moon. Tego przecież nie mogłem pominąć. Więc też opuszczamy urodzajną dolinę rzeki Snake i zapuszczamy się piaszczystymi drogami wgłąb kraju, by zwiedzić te kratery. Rząd otoczył je swą opieką i podciągnął pod kategorię "pomników narodowych."

Może tysiąc lat temu, a w każdym razie — jak na zmiany geologiczne niedawno, na przestrzeni obejmującej może sto mil kwadratowych,

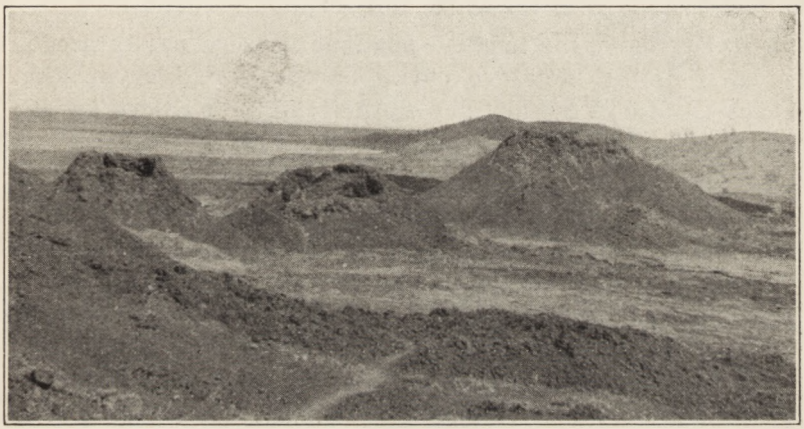

Wygasłe wulkany — "Craters of the moon"

nastąpiły wybuchy wulkaniczne. Nie były to jednak wybuchy gwałtowne, o jakich się czyta, gdy Wezuwiusz, Mont Pellé czy inny wulkan kamieniami bombarduje niebo, a lawą ludzkie mienie niszczy. Tutejszy, ale bardzo ogromny wybuch czarnej, spalonej lawy był raczej podobny do ogromnego kotła smoły, z którego się ten czarny płyn przez czas dłuższy wylewał i pokrywał ciemną skorupą okoliczne doliny, a nawet wzgórza. Wśród wzgórz widać jeszcze zastygłą, czarną, ponurą, a nawet powiedziałbym przerażającą lawinę spalonego, stopionego żużlu.

Miejscami widzi się zastygłe potoki, w innych zaś okolicach leżą stosy potrzaskanego żużlu, niby czarne, skamieniałe błoto jakąś nadludzką łopatą wyrzucone. W niektórych miejscach wprost powstały wzgórza spalonej lawy i popiołu. W pobliżu kwatery parkowej znaj-

duje się kilka wulkanicznych kraterów, z których się kiedyś wylewały potoki czarnej lawy.

Zdawałoby się, że na takiej spaleniźnie nic nie urośnie. A jednak wszędzie widać siwe kępy bylicy. Na te kupy popiołu niby szeroką tyralierką rozrzucone, posuwają się naprzód małe, siwe kwiatuszki, podobne do polskich szarotek. Za nimi zaś w zwartych szeregach wdziera się siwa bylica, a dopiero za nią, niby ciężka artyleria, kępami rosną grube sosny. Przewodnicy tłumaczyli mi, że popiół ten zatrzymuje w sobie dużo wilgoci. Dlatego gdy z czasem części lawy skruszeją, wyrastają na nim krzewy i drzewa.

Bóg swą wszechmocną ręką wciąż wszystko przeistacza i zmienia. Po wielu wiekach, ową czarną, ponurą, niby z jakiegoś dantejskiego piekła wylaną lawę zamieni w najurodzajniejszy czarnoziem; ludzie zaś sprowadzą z odległych rzek życiodajne wody i pustynia zakwitnie nowym życiem. Wciąż patrzymy na cuda Boskie, z tym tylko bieda, że nie wszyscy widzą je i rozumieją.

Będąc w Idaho, nie mogłem pominąć naszego najstarszego, największego i najpiękniejszego parku narodowego, którym jest Yellowstone. Dla turystów nietylko z Ameryki, ale z całego świata jest to ciekawy, a przecudnie piękny magnes, który ich tu ściąga całymi tysiącami.

Ale mam tu dużo znajomości z poprzedniej podróży wśród parkowych niedźwiedzi i wszelkiej zwierzyny, więc też trzeba było znów złożyć im wizytę i odnowić starą przyjaźń.

Brama wjazdowa do Yellowstone

Opuszczając urodzajne doliny rzeki Snake, powoli zbliżamy się ku podnóżu gór Skalistych. Szeroka, wygodna droga prowadzi przez lasy rządowe do "zachodniego" wejścia do parku. — Przez wiele lat można się tu było dostać tylko z Livingston, Montana. Turystów przewożono wtenczas dużymi brykami i podróż trwała kilka dni. Teraz rząd zrobił aż cztery wejścia, a właściwie drogi: z południa, północy, wschodu i zachodu. Uczynił to dla wygody dziesiątek tysięcy turystów, którzy park ten co roku zwiedzają.

Przy każdym wjeździe, jak zresztą się to widzi we wszystkich parkach narodowych, jest rodzaj bramy wjazdowej. Urzędnik parkowy t. zw. "ranger" przeglądnie kartę samochodową, "registration

card," boć w Ameryce ważniejsza jest karta samochodowa niż paszport, da ci nalepkę z jakimś niedźwiedziem, broszurę o parku, a wzamian zabiera trzy bite i każe jechać dalej z życzeniem, abyś się dobrze bawił. — Pytają się, czy nie masz broni palnej. Ponieważ nie mam zwyczaju czegoś podobnego przy sobie nosić, a wszelkie "strzelanie" robię z jednej czy drugiej kamery, więc też z urzędnikami nie mam kłopotu.

Przed czterema laty, podczas poprzedniej tury było w parku dosyć pusto. Panował wtenczas kryzys. Teraz, sądząc po turystach, których wszędzie spotykam, wrócił znów dobrobyt. Ponieważ park obejmuje dwa miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy akrów, a obszarem jest nieco mniejszy od stanu Connecticut, więc też jest co oglądać. W najciekawszych zakątkach zbudowano wygodne hotele, "lodges," a obok nich wyrosły wioski "cabins," czyli małych domków. Turyści mogą tam za tanie pieniądze "kempować" całe lato. Niemal wszystkie kwatery były zajęte tak, że trudno nawet o mieszkanie. Dlatego też na gwałt budują więcej kabin i pomieszczeń.

Załamuje się także intendentura parkowa, boć niekiedy wieczorami spragnieni turyści wypili piwo tak, że dla mnie nic nie pozostało. Przeróżnych "ice creamów," "sandwichów" zmiatają stogi całe poprostu niby szarańcza, niszczą tony pożywienia. Ale rano czekają na nich nowe zapasy, gdyż auta dowożą wszystko co potrzeba w nocy z pociągów.

Najwygodniej mieszkają ci turyści, co niby żółwie, wloką za sobą własne chałupy, t.zw. "trailers." Dla tych jegomościów mają w parku osobne przedziały. Warto zwiedzić tę naszą kochaną cyganerię kołową. Mili to ludzie i chętnie ci swą budę pokażą. Spędziłem parę godzin zwiedzając ten obóz w którym pełno aut, stołów, ognisk, "trailerów," namiotów, dzieci, psów, ludzi i niedźwiedzi. Oczywiście — samochody i trailery z Connecticut zawsze wzbudzają większe zainteresowanie, boć to przecież sąsiedzi.

Rybaków tu zatrzęsienie. — Gdziekolwiek się obrócisz, czy to na jeziora, czy na rzeki — a jest ich tu kilkanaście — wszędzie widzisz ludzi z wędkami. Przyznam się, że nie widziałem, aby ktoś pstrągi z rzeki wyciągał, chociaż można je tam widzieć. Ale, że to mądre a przezorne ryby, więc też nie dają się złowić byle cymbałowi. Powiedziałbym, że wobec innych ryb pstrąg zajmuje to samo stanowisko, co "college graduate" czyli maturzysta wobec chłopaka z piątej klasy. Ja łowię ryby tylko w Minnesocie. Poszedłem tu jednak na "połów" pstrągów z aparatem fotograficznym. Przy ogromnym źródle rzeki Snake — z którego wypływa strumień rozmiarów większej już rzeczki — obserwowałem setki wspaniałych okazów tej bardzo przez wszystkich pożądanej ryby. Wziąłem ze sobą kilka kawałków chleba

i zacząłem go rzucać na bystre wody. Za parę minut zebrały się setki pstrągów, a każdy niby pies z rozdziawionym pyskiem czekał na kawałek chleba, w którym nie było haczyka. Zrobiłem kilka zdjęć. Na tym skończyło się moje rybołówstwo.

Niedźwiedzie włóczą sie tu, niby psy po Istambule. Stara znajoma niedźwiedzica dowiedziawszy się, że wróciłem przyszła do mnie z dwoma małymi jeszcze u piersi urwipołciami. Zaczęła mi opowiadać — jak to kobiety — o kłopotach ze swym "starym," który, cztery lata temu, zabrał mi moją podróżną walizę i cudem tylko ocalała. Otóż, jak mi opowiadała niedźwiedzica był on już zbyt natrętny, więc strażnicy zabrali go do pudła i wywieźli na jakiś odludny zakątek parku i od tego czasu go nie widziała. Tęskno jej było za nim i trochę popłakiwała. Innych zbereźników nawet wystrzelano, gdyż było ich tu za dużo. Ale o niedźwiedzie niema kłopotu. Co chwila spotyka się je na drodze. Z tym bieda, że taki natrętnik zaraz cały ruch zatrzymuje, bo turyści zwalniają i wychodzą z aut z aparatami i przysmakami, by go karmić i fotografować. Ze mną to co innego, bom już specjalnie na takie wypadki przygotowany. Wiozę ze sobą kilka worków orzechów włoskich i innych, więc też gdy tak garść rzucę, odrazu między niedźwiedziami a mną powstaje przyjaźń, wprost — komitywa. Niedźwiedź wie, że ma tu z porządnym człowiekiem do czynienia, więc siada przy drodze i z ręki zabiera orzechy, niby mój pies "Laddie" cukierki, a ja zaś ze wszystkich stron go fotografuję. Tego jednak innym turystom nie polecam.

Przydrożny żebrak

Na łąkach widziałem łosia, całe stado jeleni, kilka saren i innej zwierzyny, znajdującej się pod opieką i kontrolą rządu. Najzabawniejsze są jednak niedźwiedzie.

Jedną z największych atrakcyj tego zaczarowanego kąta naszego największego parku, oczywiście stanowią gejzery. Jest ich tu coś około trzy tysiące dużych, małych, spokojnych, bulgocących, warczących, pięknych niby tęcza poranna, brudnych niby gotujące się błoto, białych, niby rozlasowane wapno; jednym słowem — jest rozmaitość i każdy może sobie swego ulubieńca wyszukać i go podziwiać. Najlepiej znanym ze wszystkich jest "Old Faithful," który wybucha mniej więcej w godzinowych odstępach. Największym zato jest "Giant" czyli "Olbrzym." Ponieważ cztery lata temu nic nie robił, bo panował kryzys, więc mu zato w mej książce nawymyślałem. Zarzucałem mu

nawet, że wstąpił do partii nierobów, a może chce iść na... "government relief," czyli zapomogę rządową. Więc też rozgniewał się bardzo i teraz pokazał co potrafi.

Mają w Mammoth Lodge kaplicę, w której wszystkie denominacje, jedna po drugiej, nabożeństwa swe odprawiają. Ciekawe, że Pan Bóg się na to nie gniewa. A więc po Mszy św. uzbrojony aż w trzy kamery — każda załadowana filmami — pojechałem z kolegą na inspekcję gejzerów. Gdy się o mym przybyciu dowiedział ów "Olbrzym" — Giant, co tylko kiejś niekiejś "gra," nagle wybuchnął gwałtownie, zapewne aby mi pokazać, co on to potrafi.

Gdyby ktoś zwinął w jeden pęk dwieście sikawek ogniowych, umocował je w ziemi i pod silnym ciśnieniem puścił przez nie prąd gorącej wody na wysokość kilkuset stóp i tak pompował miliony galonów tego waru przez pół dnia, miałby dopiero wtenczas pojęcie o tym co potrafi ów największy gejzer na świecie. Patrzysz z zapartym tchem na ten cud natury. Widzisz przed sobą kolumnę wrzącej wody, buchającą na dwieście stóp wysokości i opadającą znów na ziemię niby najpiękniejszy, śnieżnej białości welon.

Gejzer "Olbrzym"

W przeciągu pół godziny, niby pszczoły do miodu, zjechało się tu setki aut i tysiące widzów. Boć zaledwo co kilka tygodni, a nieraz miesięcy, można to niezwykłe zjawisko oglądać i podziwiać. Cóż to była za wyjątkowa uroczystość i okazja dla fotografisty uzbrojonego aż w trzy aparaty fotograficzne, boć i ruchome, kolorowe i zwykłe fotografie mogłem zdejmować. Więc też strzelałem na wszystkie strony. Biedny ks. Wojcieszczuk nie mógł mi nadążyć podawać aparatów, filmów, a te znów z przedenerwowaniu z ręki mi wypadają; obawiałem się bowiem, że ta bestia nagle się uspokoi. A on tymczasem kilka godzin swe sztuki pokazywał. Każdy kto miał jaki taki aparat, od tych 68-centowych "Brownies" do najdroższych "movies," pracował razem z gejzerem. Mam nadzieję, że wszyscy robili dobre zdjęcia, tylko że takiego kolo-

sa trudno na bliższy dystans odebrać. Z pewną satysfakcją stwierdzam, że jak się później okazało, zdjęcia moje, i to w kolorach, wypadły wprost wspaniale. Niech się schowa Hollywood. To należałoby nazwać — "Szczęściem początkującego." Zmęczony, ale wielce z siebie zadowolony pojechałem oglądać słynny gejzer — "Old Faithful." Po tamtym olbrzymie, to mi biedak wcale nie imponował, chociaż to "światowa sława" i wielka atrakcja. Niema co gadać, już dla samych gejzerów warto jechać trzy tysiące mil do Yellowstone.

Nie można także milczeniem pominąć najcudowniejszego kanionu na świecie, jaki wyżłobiła tu rzeka Yellowstone, a dla dodania mu tym większego uroku wpakowała doń aż dwa przepiękne wodospady. Gra kolorów jest tak bogata, że tylko najpiękniejsze barwy jesieni mogą z tym parowem iść w zawody. Kanjon rzeki Colorado jest bardzo imponujący, wprost ubezwładnia człowieka swym majestatem, ale za to kanion rzeki Yellowstone wprowadza go w jakiś niebiański zachwyt. Natura nie dała nam nic piękniejszego od tego kanionu.

Cóż tu mówić o innych cudach natury, o tych olbrzymich źródłach, Mammoth Springs, które opadają tarasami w najcudowniejszych kolorach... Toć to prawdziwy onix, alabaster i najbielszy włoski kararyjski marmur tworzą tę przepyszną, barwną czarę, z której się sączą ciepłe, siarczane źródła. A cóż powiedzieć o licznych rzekach, kaskadami i wodospadami rzucających się w głębiny leśne?!... A cóż o ptactwie, o zwierzętach, o kwiatach i owadach, jednym słowem o wszystkim możnaby z zachwytem pisać i opowiadać. Tu masz bujne łąki, na których pasą się stada jeleni i łosi, nie mówiąc już o bizonach; tam zaś szumią rybne rzeki, w których pluskają pstrągi, opodal są stawy, w których pracują bobry... Wszędzie napotykasz tysiące turystów, obozujących w przepięknych, wonią żywicy pachnących lasach.

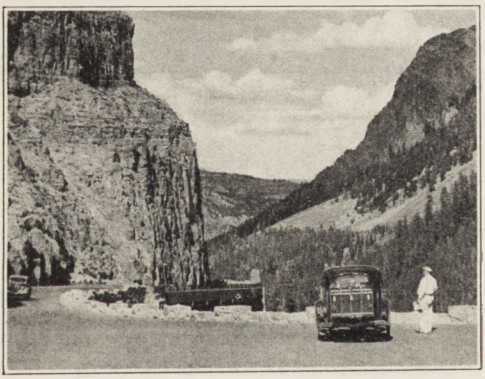

"Złota brama" w Yellowstone

Dlatego z żalem opuszczam — park Yellowstone i sądzę, że każdy miłośnik natury taksamo z żalem go opuszcza. Szerokie drogi wiodą nas całe mile przez wzgórza, pokryte lasem drzew iglastych. Wszystko zielone, smukłe, pełne życia. Tu widzisz drzewa stare, tam się gromadzą gęsto przy sobie rosnące pędy młodego lasu. Wśród cienia zauważysz połamane kłody i z korzeniem powyrywane pnie. Już lata

leżą tu i... gniją. Nikt ich nie zabiera, nikt na pozór z nich nie korzysta. A jednak — nic w naturze nie jest bez swego celu.

Czyż te lasy nie przypominają poniekąd ludzi?!.. Czyż i w naszym społeczeństwie nie widzimy starców złamanych wiekiem i burzą życia? Czy też nie mamy wśród nas ludzi pełnych ambicyj, niby owe drzewa, pnące się ku słońcu?!... Czyż wśród spokoju i że tak powiem cienia rodzinnej strzechy, jak owe młode świerki, nie wyrastają gromady dzieci, które kiedyś, jak ów las mają służyć społeczeństwu?! Czyż te połamane kłody, powoli przeistaczając się w próchno i wracające do ziemi... nie przypominają nam tych cmentarzy i grobów?!.. Tak jak owe wichurą lub robactwem stoczone drzewa stają się pokarmem dla nowych pokoleń leśnych, taksamo praca i trudy naszych rodziców, naszych przodków, naszych pionierów stają się podwaliną i pokarmem duchowym, moralnym, a nawet ekonomicznym, na którym teraźniejsze opiera się społeczeństwo.

Już dawno w proch obrócił się Kościuszko, Pułaski, Mickiewicz i tylu wielkich w naszym narodzie, a przecież wciąż nas oni ożywiają swymi czynami, swymi utworami, swą ideologią!..

Dawno już z areny życiowej zeszli bohaterowie Stanów Zjednoczonych, jak Washington, Lincoln i Wilson. W proch się obróciło ich ciało, rozsypały się kości!.. A jednak — duch ich żyje! Na nich, na ich przykładach wzorują się młode pokolenia. Ich pisma, ich myśli, ich poglądy społeczne stały się drogowskazami narodu, według których powinien on postępować, chcąc spełnić swe posłannictwo dziejowe. Jak z owych spróchniałych drzew korzenie młodego lasu czerpią soki żywotne, tak i my z życia i czynów naszych przodków nabieramy otuchy i siły do pracy.

"Non omnis moriar" — Nie wszystek umrę — powiedział poeta rzymski. Oby każdy z nas idąc przez życie, pozostawił po sobie wspomnienie, czyny i jaki taki dorobek materialny i moralny, aby z niego mogły korzystać nowe, wciąż odradzające się pokolenia narodu i ludzkości!..

Wyoming w narzeczu indiańskim oznacza olbrzymie stepy. Zupełnie się z tym zgadzam, chociaż z własnego doświadczenia wiem, że stan ten składa się nie tylko ze stepów, ale także z ogromnej pustyni, śnieżnych szczytów górskich, wspaniałych lasów świerkowych, pól naftowych i bardzo małych miasteczek, nieraz setki mil od siebie oddalonych.

Upłynęły nam dwa dni zanim wydostaliśmy się z tej pustyni podróżując po kilkaset mil dziennie. Jechaliśmy niemal sto pięćdziesiąt mil, zanim zobaczyliśmy jakiekolwiek osiedla ludzkie, a o garażu, to nawet i pomyśleć nie warto. Szczęście, że dotąd nie potrzebowa-

liśmy żadnej pomocy od mechaników samochodowych, gdyż nasz czterokołowy cugowiec funkcjonuje bez zarzutu.

Opuściliśmy Yellowstone park kierując się na południe, ku sąsiedniemu parkowi narodowemu — Teton. Jego największą i powiedziałbym jedyną atrakcję stanowi bardzo piękne i wysokie pasmo gór i duże jezioro w którym, niby w lustrze, góry te się odbijają. Przed stu laty, jezioro Jackson i góry Tetony służyły za miejsce zbiórki dla traperów, a częstokroć dla bandytów, którzy szukali bezpieczeństwa i wypoczynku w niedostępnych jarach i górach.

Zrobiłem kilka zdjęć z tych śnieżnych szczytów, odbijających się w spokojnych wodach jeziora. Wpadłem na chwilkę do małej wioski Moran, by zaopatrzyć się w gazolinę, za którą trzeba tu było płacić aż po 30 centów za galon; kupiłem również nową gumę. Stąd ruszyliśmy krętą, górską, a nader uroczą drogą, przez dziewicze lasy, ku osiedlom ludzkim.

Naumyślnie wybrałem tę właśnie drogę, aby zwiedzić grób Indianki, dla której mam wyjatkowy szacunek. Wspomniałem też o niej już w mojej poprzedniej książce turystycznej. Nazywała się Sacajawea, a właściwie jak ją tutejsi mieszkańcy nazywali "Sakadziahawa." Zresztą pal cię sęk, jak się jej nazwisko wymawia, dosyć na tym, że ona to właśnie prowadziła pierwszą amerykańską wyprawę krajoznawczą przez wysokie góry i dziewicze lasy z Północnej Dakoty, przez Montanę, Idaho, Washington, aż do oceanu Spokojnego. Pochodziła z plemienia "Flat Heads." Jej rodzina oraz całe plemię zamieszkiwało po zachodniej stronie gór Skalistych. Jako młoda dziewczynka dostała się do niewoli Siuksów. Wyszła zamąż za kanadyjskiego trapera i zamieszkiwała na stepach Dakoty. Ona to właśnie z małym dzieckiem przy piersi towarzyszyła tym dzielnym pionierom: Lewisowi i Clarkowi, gdy ci wśród niesłychanych trudności przedzierali się do oceanu Spokojnego. Ich podróż trwała dwa lata, teraz tę samą drogę można odbyć . . . w dwóch tygodniach.

Słońce skłaniało się już ku zachodowi i złotym blaskiem obrzucało na małym wzgórzu położony cmentarzyk indiański, znajdujący się w pobliżu osady Wind River Reservation. Zboczyłem więc z głównej drogi, by zwiedzić grób tej niezwykłej, a na trudy bardzo wytrzymałej kobiety. Któraż bowiem z czytelniczek — nawet z tych, co w kraju zahartowały się do trudów — podjęłaby się takiej podróży z małym niemowlęciem?!. . Któraż z was mogłaby przeprowadzić trzydziestu ludzi przez niebotyczne góry, przez które sama jako mała dziewczynka, wprost jako jeniec wojenny przechodziła!. . Która z was mogłaby jako tłumaczka pośredniczyć między białymi żołnierzami i odmiennymi szczepami Indian?!. .

Odnalazłem jej grób. Na nim jest niewielki z cementu odlany

nagrobek na trzy stopy wysoki. Na tym bardzo skromnym pomniku umieszczono małą, bronzową tabliczkę z napisem że "tu spoczywa Sacajawea, towarzyszka i przewodniczka ekspedycji Lewisa i Clarka." Tuż obok i w innych częściach cmentarza pochowano jej dzieci i wnuki. Z tego wzgórza ozłoconego zachodzącym słońcem widać było w sąsiedniej dolinie dymiące wigwamy Indian. Tak tu było cicho, tak miło, tak spokojnie, że mimowoli pogrążyłem się w głęboką zadumę..

Chciałem sobie znów odtworzyć szczegóły tej ciekawej, a w historii Stanów Zjednoczonych bardzo ważnej wyprawy. Pragnąłem sobie uprzytomnić zasługi, jakie ta niepospolita Indianka oddała sprawie naszej Ojczyzny.

Prezydent Jefferson, jak wiadomo, kupił od Napoleona Louisianę. Zakup ten obejmował ogromną połać kraju, ciągnącą się od zatoki Meksykańskiej, wzdłuż rzeki Mississippi, ku północy aż do oceanu Spokojnego. Nikt tam przedtym nie był. Nikt nie wiedział, gdzie granica i co tam się właściwie znajduje. Ta oto wyprawa dała nam pierwsze podstawowe wiadomości o tym tak dziś bogatym kraju. Ekspedycja zaś i jej sukces zależał w wielkiej mierze od zdolności, intuicji wprost powiem — od nadzwyczajnego instynktu Indianki, przy której skromnym grobie teraz stałem.

Na suchej glinie grobu leżał mały, tani wieniec, zapewne upleciony przez Indian. Ponadto leżało tam parę białych papierowych kwiatków i łopotała nad nim mała, amerykańska chorągiewka, której zmarła oddała tak niepospolite usługi.

Te kilka chwil, na indiańskim cmentarzu spędzonych, pozostaną mi długo w pamięci. Tam bowiem spoczywa niepospolita kobieta, której nazwisko głęboko wyryło się na kartach historii Stanów Zjednoczonych, a szczególnie z naszych odkryć dalekiego, a tak wspaniałego i bogatego Zachodu. Otrzymała w nagrodę mały cementowy pomnik, tabliczkę bronzową i amerykańską chorągiewkę łopocącą w lekkim powiewie wiatru...

Po dwudniowej podróży, jadąc przez Casper gdzie się znajdują duże pola naftowe i rafinerie, dotarliśmy do Cheyenne, stolicy Wyomingu. Ponieważ w tym właśnie czasie odbywało się tu wtenczas słynne rodeo czyli popis kowbojów, dlatego nie mogłem w mieście znaleźć kwatery. Chcąc niechcąc, trzeba było — nocą jechać jeszcze pięćdziesiąt mil do Fort Collins, w Colorado.

Chociaż już nieraz wdzieraliśmy się na karkołomne góry, ale widocznie, że tego nam jeszcze nie wystarczyło. Rano bowiem jechaliśmy przez bardzo urodzajną i nader malowniczą okolicę do parku narodowego — Rocky Mountain National Park. Z miasteczka Estes prowadzi bardzo wygodna, szeroka, chociaż jak zwykle, kręta droga na szczyt wysokiej góry Long Peak. Stąd za to roztaczają się przed

turystą przepyszne panoramy górskie. W niektórych miejscach, jak to zaznaczają przy drodze umieszczone tabliczki, można było oglądać szczyty górskie lub też na horyzoncie ciągnące się stepy oddalone czterdzieści a nawet sześćdziesiąt mil od punktu obserwacyjnego. Wygramoliliśmy się ponad linię drzew. Tam już tylko sterczą ku niebu gołe skały, miejscami pokryte płatami śniegu lub też dosyć grubą warstwą lodu. Chociaż wydostaliśmy się na wysokość przeszło dwóch mil nad poziom morza, jednak podróż ta nie przedstawiała trudności. Zato widoki górskie, zielone doliny, małe stawiki, w których pracują bobry, są nadzwyczaj piękne, a klimat chłodny, co się tym więcej ceniło, gdyż cała Ameryka piekła się w niebywałych gorączkach. Nie przesadzam, gdy powiem, że gdy ludzie w miastach poprostu "padali" z gorączki, my marznęliśmy czy to w Grand Kanionie czy w Yellowstone czy też na Long Peak.

W Denver zrobimy małą dygresję — ot taki dla urozmaicenia podróży, rodzaj — intermezzo w naszej turze samochodowej. Starzy Rzymianie wiedzieli o tym, że "varietas delectat" — rozmaitość uprzyjemnia życie czy cokolwiek innego. W tym wypadku dla lepszego zaznajomienia czytelnika z rozwojem nowoczesnych pociągów kolejowych zostawimy w garażu nasz samochód, a przesiędziemy się do jednego z najnowszych amerykańskich pociągów, uważanego za "dernier cri" inżynierów kolejowych.

Wiadomo, że znakomite drogi, tanie, solidne i wygodne samochody wyciągnęły miliony podróżnych i turystów amerykańskich na drogi z wagonów kolejowych, oczywiście ze stratą dla kolei. Od zakończenia wojny światowej niemal wszystkie koleje amerykańskie przechodziły poważny kryzys ekonomiczny. Duże samochody ciężarowe, jak je tu nazywamy — "troki" — znacznie uszczupliły zarobki frachtowe, szybko znikające dochody z obsługi pasażerskiej jeszcze więcej sytuację pogorszyły. Chwilowo koleje nasze (a w Stanach Zjednoczonych są to przedsiębiorstwa prywatne) zaczęły narzekać na swój los. Wprost groziło im bankructwo. Widząc, że narzekania sprawy nie poprawią i trzeba będzie się jakoś od klęski i katastrofy ekonomicznej ratować, zabrały się nasze koleje do pracy, wykazując przez to tę niespożytą przedsiębiorczość amerykańską.

Zaczęto więc budować daleko szybsze lokomotywy i daleko wygodniejsze wagony dla pasażerów. Linia kolejowa "Burlington" stała się pionierem w tym kierunku, dając nam pierwsze pociągi pospieszne zbudowane na nowych zasadach inżynierii. Kolej ta rozrzuciła taśmy stalowych szyn po stanach zachodnich i sięga z Chicago na zachód do Denver, na północ do St. Paul i Minneapolis, do Kansas City na południowy zachód. Problem ich był tym trudniejszy, że trzeba pokrywać ogromne przstrzenie w okolicach rzadko zaludnionych i ze

stosunkowo małą liczbą większych miast. Koniecznie należało więc przyciągnąć do siebie klasę turystyczną.

Tę właśnie trudność rozwiązano przez uruchomienie na wszystkich głównych liniach bardzo szybkich pociągów z najnowszymi udogodnieniami. Pierwszy taki nowoczesny pociąg zaprowadzono na tysiąc milowej przestrzeni między Chicago i Denver. Wsiadasz w Chicago o godzinie 5:30 po południu na pociąg, a więc już po godzinach urzędowych, co jest ważne dla klasy, która najwięcej się posługuje pociągami, a rano o 8:30 wysiadasz w Denver. Pociąg pędzi z przciętną szybkością 83-ch mil na godzinę, a w próbnych wycieczkach nawet szedł daleko prędzej, gdyż całą podróż zrobiono niemal bez przystanków w dwunastu godzinach.

Nie mogłem więc takiej okazji pominąć i dlatego zabieram was — i to bezpłatnie — na przeszło tysiąc milową wycieczkę do Chicago i z powrotem.

Ci co ze szkolnej ławy pamiętają jeszcze grecką mitologię, wiedzą że Aeolus, król wiatrów, a syn Zeusa i Hery, ożenił się z Florą, boginią kwiatów. Miał z nią czterech synów: Boreasza, Notusa, Eurusa i Zefira. Trzymał ich w odludnej jaskini na morzu Śródziemnym. Synowie — wiatry spełniali zlecenia ojca Aeolusa. Ten zaś niektórym żeglarzom sprzyjał i zsyłał im wiatry pomyślne, innym zaś przeszkadzał i spuszczał im wiatry przeciwne. Najsroższym z nich był wiatr z północny, Boreas, a najłagodniejszym — lekki, zachodni wiaterek — Zefir. Kolej Burlington wykorzystała nawet mitologię grecką, by ściągnąć ku sobie tysiące pasażerów i nazwała pociągi pędzące na zachód — "Zefirami."

Na wszystkich kolejach obniżono teraz ceny biletów pasażerskich i w zwykłych wagonach płaci się centa za milę. Jeżeli ktoś podróżuje "sleepingiem" czy salonką, płaci drożej, niemal że podwójną cenę.

Zawczasu więc poszedłem na stację, aby przed odjazdem obejrzeć sobie to dziwo nowoczesnej, szybkiej, wygodnej lokomocji. Wiadomo, że "Ameryka się spieszy"! Naszym hasłem jest — "speed" — szybkość. Pociąg ten, do którego wsiadały setki pasażerów, zbudowany jest z nierdzewiejącej stali, o liniach uwydatniających szybkość, powiedziałbym o liniach torpedy czy kuli, by do minimum zmniejszyć opór powietrza. Jest on też pod każdym innym względem odmienny od zwykłych pociągów. Tyle tylko ma z nimi wspólnego, że pędzi po tych samych torach.

Pierwsze dwa nieco większe wagony stanowią — lokomotywę, ale to już nie zwykła lokomotywa. W tych wagonach mieszczą się trzy olbrzymie motory diesselowskie, pędzone ropą. Motory te służą do wytwarzania prądu elektrycznego, który znów zapomocą silników przymocowanych do osi lokomotywy pędzi ją z szybkością, gdyby

trzeba było, stu dwudziestu mil na godzinę. Poza motorami diesselowskimi widzi się tu inne maszyny elektryczne do wytwarzania prądu elektrycznego, służącego do ochładzania i kontrolowania powietrza, oświetlania, kontroli automatycznych hamulców i innych zapotrzebowań. Wszystkie lepsze pociągi w St. Zjednoczonych są teraz sztucznie ochładzane dla wygody pasażerów. Nawet podczas największych upałów w wagonach utrzymuje się wciąż stałą, chłodną temperaturę.

Wchodzimy więc do pociągu. Po wejściu pasażerów, schódki gdzieś znikają. Na drzwiach nie widzisz nawet wystającej na zewnątrz antaby. W konstrukcji wagonu nie zauważysz jednej śruby

Nowoczesny pociąg — "Zefir." 1.

czy nita, wszystko zrobione z nierdzewiejącej stali i zlutowane zapomocą prądu elektrycznego w jedną bryłę. Zewnętrzna ściana wagonów i pociągu jest gładka jak szkło i świeci się jak gdyby była zrobiona z niklu czy politurowanego srebra. Na dachu nie wystają kominy lub wentylatory. Połączenie wagonów także jest całkiem odmienne. Dawniej każdy wagon miał na obu końcach osobne podwozie. Teraz dwa do siebie przyczepione wagony spoczywają na jednym i tymsamym podwoziu. Nie można ich od siebie dowolnie odłączyć, gdyż stanowią jakoby integralną całość, niby kości w olbrzymim stosie pacierzowym. Mogą się wprawdzie w tę i w ową stronę wyginać, ale rozłączyć się nie dadzą.

1. Fotografia kolei Burlington.

Nawet rozkład i urządzenie wagonów jest całkiem odmienne od tych, które kiedykolwiek tu czy w Europie widziałem. W miejscach połączenia wagonów urządzono półki na bagaże i tam też znajdują się umywalki z ciepłą i zimną wodą, znajdujesz tam udogodnienia na elektryczne brzytwy, które teraz są u nas w modzie. W buduarach umieszczono duże lustra, krzesełka, fotele, popielniczki i wszelkie niezbędne przybory. Wagony pasażerskie mają wygodne krzesła, a na noc można je pochylić dla tym lepszego wypoczynku. Przystojna, w gustownym mundurku panienka, "zefiretka," przynosi wtenczas każdemu pasażerowi, i to bezpłatnie, poduszkę pod głowę, by mu się lepiej spało. O jedenastej lampy przygaszają i człowiek zasypia w półmroku.

Na pociągach tych znajduje się także kompletnie urządzony bar zaopatrzony we wszelkie trunkowości. Przy ścianach dla wygody pasażerów rozmieszczono wygodne krzesła i małe, okrągłe stoliki, a dla liczniejszego towarzystwa są większe stoły. Krzesła na modę kolebaczy są z niklowanych rur stalowych, siedzenia zaś wykładane czerwoną skórą. Ma się wrażenie, że to nie pociąg ale jakiś wykwintny bar hotelowy czy okrętowy. Można tu spędzić cały czas podróży, jest radio, podróżni grają w karty, i w jak najprzyjemniejszy sposób urozmaicają i skracają sobie podróż.

Za wagonami pasażerskimi znajduje się wagon jadalny. Tam znów panuje niezwykła elegancja i harmonia barw. Dominują kolory niebieskie. Na oknach wiszą weneckie zasłony i bogate, aksamitne kotary. Na każdym stole, pokrytym śnieżnej białości obrusem, znajduje się zatknięty bukiet róż w małych wazonikach. Srebra i serwis stołowy specjalnie robiony dla tych pociągów, fotele obite amarantową skórą, dywany szaro-srebrnego koloru, chociaż, gdy rozchodzi się o opis barw i takich szczegółów przyznam, że jestem — "spurlos fersunkt" czyli — przepadłem z kretesem. Za 85 centów podają wyśmienity obiad; w żadnym hotelu, nawet za więcej pieniędzy, lepszego nie dostaniesz. Jeżeli nie chcesz iść do jadalni, usłużny murzyn zastawi ci mały stolik przy krześle i za 35 centów spożyjesz doskonałe śniadanie, a za 50 centów podają kolację. Wszystko tu pierwszorzędne i znacznie tańsze, niż na innych pociągach; a jedzenie i kuchnia znakomita.

Pociągi sypialne dominują nad innymi. Znów innowacje co do urządzeń: a więc łóżka szerokie, wygodne. Za posunięciem wskazówki kontrolujesz temperaturę twego przedziału, masz do dyspozycji prywatne radio i zapadasz w objęcia Morfeusza, słuchając orkiestry symfonicznej z Bostonu lub też najnowszych zdarzeń z całego świata. Zegary wskazują dokładny czas dnia czy nocy, do twej dyspozycji jest prywatny telefon z połączeniem do baru, jadalni czy innego od-

działu pociągu. Na twe życzenie przyniosą ci do łóżka cocktail, butelkę piwa, a nawet szampana. Możesz też zamówić śniadanie czy zakąskę, o którejkolwiek godzinie w nocy, bo tu niczego nie zamykają. Końcowe wagony z luksusowym urządzeniem są przeznaczone dla wygodnisiów. Wykończeniem i umeblowaniem przypominają solarium z dużymi oknami, przy których umieszczono wygodne fotele wykładane bogatymi pluszami w kilku różnych, ale ze sobą zgranych kolorach. Przy fotelach zaś ustawiono modernistyczne popielniczki. Na twe skinienie grzeczny murzyn przyniesie twój ulubiony cocktail z baru, który się tu znajduje dla wygody spragnionych turystów.

Zanim wszedłem do pociągu, przedstawiłem się konduktorowi, [1]) że jako dziennikarz i pisarz, a zarazem podróżnik, chciałbym zobaczyć cały pociąg, szczególnie motory. Przyrzekł, że skoro tylko załatwi się z biletami zaprowadzi mnie do przedziału maszynisty. Przyrzeczenia swego dotrzymał, za co mu też byłem bardzo wdzięczny, tym więcej, że ze mną podróżują także mili czytelnicy. Przeprowadził mnie więc przez przedział sypialny murzynów, kuchcików i służby. Następnie małym otworem dostaliśmy się do pociągu pocztowego, bo rząd nasz nie pozwala na drzwi, ażeby się przypadkowo jaki bandyta nie wkradł po pieniądze, boć i to już się często przytrafiło. Stamtąd dopiero dostaliśmy się do wagonów napełnionych ogromnymi huczącymi maszynami. Jak to już poprzednio zaznaczyłem — dwa wagony zajmuje lokomotywa pociągu. Pierwszy z rzędu wagon, do którego weszliśmy, posiada ogromny motor diesselowski, o sile 1200 koni. Tu też umieszczono odpowiednie elektryczne silniki i generatory potrzebne do oświetlania, ochładzania powietrza, kontroli elektrycznych hamulców i innych zapotrzebowań pociągu. Zaś w pierwszym wagonie, na samym przodzie, za szkłem znajduje się przedział maszynisty i jego pomocnika. Patrząc przez okna masz przed sobą nie tylko tory kolejowe, ale równocześnie widzisz całą okolicę po jednej i po drugiej stronie drogi. Ważne to jest, chociażby z tego względu, że trzeba pilnie uważać na naszych wariatów, którzy się często ścigają w autach z pociągiem do krzyżówki — a nieraz do... grobu. Mogą się oni teraz łatwo przeliczyć, gdyż pociąg ten pędzi niemal dwa razy tak szybko jak zwykłe pociągi. Przed maszynistą znajduje się skrzynka sygnałowa z elektrycznymi lampkami. Jeżeli cośkolwiek w pociągu nie funkcjonuje akuratnie, jeżeli któryś z motorów czy silników się grzeje jeżeli hamulce nie działają, natychmiast ukazuje się światło ostrzegawcze. Maszynista posiada także podwójną kontrolę pociągu — nogą i ręką. Jeżeli n. p. chce zapalić papierosa, w podłodze jest umieszczona

1. Konduktor nazywał się W. Hagenberger, maszynista R. L. Goslin a inżynier technik W. H. Dungan.

klapa, na której trzyma nogę. Gdyby jednak na sekundę, na momencik zdjął rękę i nogę z kontroli, chociażby ją natychmiast z powrotem na nią położył, pociąg mimoto stanie i trzeba znów w ruch go puszczać. To urządzenie jest dla zabezpieczenia się przed wypadkiem gdyby n. p. maszynista zemdlał czy nawet umarł. Tuż za przedziałem maszynisty, a od niego oddzielony ścianą, znajduje się przedział maszyn. W nim zaś są dwa diesselowskie motory, każdy o sile 900 koni, połączone bezpośrednio z dużym elektrycznym generatorem. Trzy diesselowskie motory umieszczone w dwóch wagonach wytwarzają siłę 3000 koni i tak są urządzone, że można którykolwiek z nich wyłączyć bez wstrzymania szybkości pociągu.

Nie tylko że miły konduktor przyprowadził mnie do przedziału maszynisty, ale posadził na krzesełku po lewej stronie tuż obok niego, gdzie zwykle zasiada mechanik, odpowiadający palaczowi w naszych lokomotywach. Chciał, abym się tym lepiej mógł zaznajomić z prowadzeniem jednego z najszybszych, a może nawet najszybszego pociągu na świecie. Cieszyłem się z tego, jak gdyby mnie kto wsadził na sto koni. Wyobraźcie sobie, że patrzę jak pod pociągiem z zawrotną szybkością znika taśma, składająca się z dwóch szyn stalowych przyczepiona do migających poprzecznych podłoży. Uciekają przed nami w zawrotnym tempie słupy telegraficzne, sygnały kolejowe, stacje i wioski... Nawet szybko pędzące auta i to w tym samym kierunku, znikają jak gdyby w przeciwną pędziły stronę. Pierwszy paru minutowy przestanek, po opuszczeniu miasta Denver, znajduje się dopiero o 255 mil w miasteczku McCook.

Przysiadł się też do mnie jakiś pan i przez całą drogę objaśniał mi wszelkie szczegóły torów kolejowych, sygnałów, poczty, depesz dla maszynisty itp. Pytam się go, co on za jeden? Ja jestem — powiada ów pan — inżynierem kolejowym i inspektorem urządzeń technicznych. "Ja im d.... wygryzę jeżeli oni mi tu czego nie dopilnują." Bardzo to lapidarne, ale zapewne skuteczne ostrzeżenie, gdyż ładnieby wyglądał powiedzmy taki maszynista z wygryzioną... Poprostu nie miałby na czym siedzieć.

Nie mogłem się napatrzeć i nacieszyć jazdą obok maszynisty. Przyznam, że gdyśmy się zbliżali do ostrych skrętów, niby lampka sygnałowa, uderzała mnie wciąż myśl: — Cóżby się stało, gdyby pociąg wyleciał z szyn i popędził na prerie?!... Ciekaw jestem, gdzieby się też zatrzymał?... Czasem z trawy wyskoczył duży, stepowy zając i w dużych podskokach pędził na stepy.

Zające te przypominały mi bardzo wesołą opowieść o dwóch Irlandczykach. Dwóch obywateli z "Zielonej" wyspy szło do miasta torem kolejowym. Nie wiedzieli nawet, że to był tor kolejowy i zapewne nigdy w życiu pociągu także nie widzieli. Naraz słyszą za

sobą ostry gwizd. Obróciwszy się, z przerażeniem zobaczyli jakiegoś ogromnego, czarnego, dymiącego smoka, pędzącego za nimi. Oni w nogi. Włosy im ze strachu dębem stanęły na głowie. Uciekają więc co im sił starczyło środkiem toru kolejowego. Pociąg się jednak coraz więcej do nich zbliżał. Syrena ryczy, a ci nic tylko pędzą, jak mogą. Ale już im sił brakło, a tu lokomotywa coraz bliżej na nich najeżdża.. Napewno ich zabije. Naraz Majk gada Patrykowi... na rozum — "A możebyśmy tak wiali do lasu?!"... "Co z ciebie za osioł" odpowiada tamten. "Jeżeli ja psia krew nie mogę uciec przed tym diabłem na równej, dobrej drodze, to jak ja przed nim ucieknę w lesie?! Czyś ty zwariował?!"

Zające jednak torem nie uciekały. Wiedziały, czymby to się skończyło. Gdy pociąg zatrzymano, czy też po przystanku ruszano, nie czuło się żadnych szarpnięć i wstrząśnień, a to dzięki krótkim spięciom wagonów i dzięki doskonale funkcjonującym hamulcom elektrycznym.

Z Chicago do Denver wróciliśmy bez jakiegokolwiek incydentu. Teraz znów przesiędziemy się do auta i ruszymy w dalszą podróż.—

Po dwudniowym wypoczynku, w poniedziałek 27-go lipca, ruszyliśmy w dalszą drogę, kierując się na Colorado Springs, Pueblo — duże przemysłowe miasto — Trinidad, ku New Mexico. To już nasza trzecia i zapewne ostatnia wizyta do tego stanu. Za Trinidad przekraczamy pasmo górskie przez historyczny i pionierom dobrze znany przesmyk — Raton Pass, wiodący nas do Taos i Santa Fé, które to miasteczka w tym wypadku stanowią cel naszej podróży.

Po całodziennej jeździe, a już ku końcowi nawet krętaninie kanionem rzeczki Cimmaron, dotarliśmy wieczorem do Taos małej, półindiańskiej, a półmeksykańskiej mieściny. Turysta odnosi wrażenie, że nie jest w Stanach Zjednoczonych, ale raczej w Meksyku czy też może w Hiszpanii. Inni tu ludzie, inne zwyczaje, inne zapachy i smrody, inne potrawy, inne domy, jednym słowem — wszystko tu odmienne, a jednak bardzo ciekawe, a nawet powiedziałbym bardzo malownicze. Niemal wszystkie domy w tej półindiańskiej mieścinie są budowane z gliny, t. zw. "adobe." Gdy tym glinianym budowlom nadadzą pewne proste ale symetryczne linie, całość wypada bardzo pięknie i pociąga swą niezwykłą architekturą nowo-przybyłego turystę.

Taos i Santa Fé to dwa z naszych najstarszych miast, boć stanowiły one najdalej na północ wysunięte placówki kultury i życia pierwszych hiszpańskich kolonistów. Centrum tej niewielkiej mieściny, zbudowanej w uroczej dolinie, stanowi mały plac czy też rynek. Na środku znajduje się mała, okrągła altana, z której podczas dawnych "fiestów" wygłaszano mowy, a orkiestra dawała koncerty. Ten

niewielki plac jest otoczony starymi jedno a najwyżej dwupiętrowymi sklepami, zajazdami i hotelami. Wszystkie zabudowania są pokryte ciemno-złotym tynkiem. Wystające ze ścian okrągłe kłody drzewa, służące za podwaliny podłóg czy dachu stanowią niezwykłą ozdobę budynku. Podobne domy budowali Indianie setki lat temu. Nowocześni architekci przejęli i uszlachetnili styl indiański i stworzyli z niego bardzo piękny wzór architektury indiańsko-hiszpańskiej. Jeżeli się jeszcze doda tło tutejszych pustyń, gór i starych kościołów misyjnych, wytwarza się z tego całkiem odmienny, a wielce pociągający krajobraz.

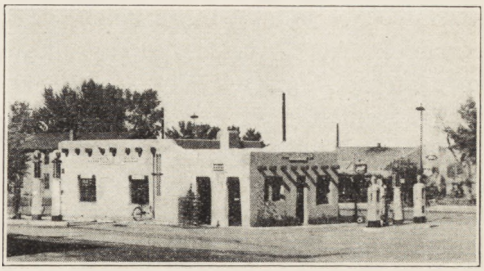

Stacja na gazolinę w stylu meksykańskim

Poza samym miasteczkiem najwięcej interesuje turystę jego tło historyczne i ludzie, którzy w tych okolicach prowadzili pracę pionierską i tu też swe kości złożyli. Ze wszystkich najciekawszą postacią tej ery pionierskiej z przed stu laty jest "Kit" Carson. Sto kilkanaście lat temu, jako młody chłopiec, opuścił rodzinne pielesze w Kentucky, poszedł do Missouri i tam przyłączył się jako poganiacz mułów, do jednej z pierwszych karawan, które nawiązały kontakt handlowy między osadami amerykańskimi z Missouri, a tą naonczas bardzo odległą i prawie, że nieznaną placówką meksykańsko-hiszpańską, miasteczkami Taos i Santa Fé.

W historii polskiej nie było podobnego okresu, jak ten, który przechodziły Stany Zjednoczone w ostatnim stuleciu, gdy z górzystych a poniekąd nieurodzajnych stanów wschodnich wyruszały całe karawany "krytych wozów" na podbój zachodu. Przed siedmdziesięciu laty liczne zastępy polskich emigrantów opuszczały rodzinną wioskę, by w dalekiej Ameryce szukać chleba i lepszego bytu. Tak też w samej Ameryce, a względnie w Stanach Zjednoczonych, tysiące rodzin dużymi, długimi i licznymi karawanami powoli sunęły na szerokie, a urodzajne stepy zachodu, by tam tworzyć osiedla białych, by zmagać się nie tylko z dzikimi plemionami Indian, zaciekle broniącymi swych terenów, ale by walczyć i zwyciężać żywioły natury. Jedni ginęli od strzał Indian, inni padali spaleni pragnieniem na bezwodnych pustyniach; inni zaś tonęli w wartkich rzekach lub staczali się w przepaść w wąskich przesmykach górskich ale ci, co pozostali przy życiu, szli naprzód i po półwiekowej pracy, ich znój i trud przyniósł nam obfite plony. Powstały na zachodzie ludne miasta, zazieleniły się pustynie, wyrosły sady pomarańcz i najsmaczniejszych owoców. Następnie

przez bezwodne pustynie rzucono ogniwa kolei; zbudowano drogi, po których spieszą tysiące aut i turystów, a nawet tam, gdzie kiedyś tylko krążyły sępy, szukając padliny, dziś warczą motory ogromnych pasażerskich samolotów...

Zdaje się, że to dopiero wczoraj tędy prowadził swe karawany ten wyjątkowy typ pioniera, Kit Carson. Toć to jakoby dopiero wczoraj w Taos i Santa Fé sprzedawano płótna i wyroby z Nowej Anglii wymieniając je za jedwabie, wódki i duże srebrne talary meksykańskie. Toć to jakoby teraz ucichł dźwięk gitary i w zaświaty odeszły czarnookie seniority hiszpańskie, które, paląc papierosy, zalotnie zerkały na nowoprzybyłych "Americanos." Ci zaś sprzedawszy bogate ładunki, spieniężywszy towar, zawsze gotowi byli "rozradować dusze," czy to w salach tańca, czy przy grze hazardowej, czy też pogrążając się w pijaństwie i bezbrzeżnej rozpuście, ku zmartwieniu tamtejszych hiszpańskich "padrów," którzy ani z diabłem ani z Amerykanami nie mogli sobie dać rady.

Wczesnym rankiem wyszedłem z małego hotelu, aby się rozejrzeć po małej, a tak malowniczej i ciekawej mieścinie. Na rynku stoją rzędy samochodów, niemal ze wszystkich zakątków Stanów Zjednoczonych. Wśród uwijających się turystów widzisz tutejszych obywateli w malowniczych strojach Indian, mówiących z sobą jakimś dla mnie niezrozumiałym indiańskim dialektem. W restauracjach uwija się służba, częściowo meksykańska, a częściowo indiańska, mówiąca dobrze po angielsku, boć to przecież są ci prawdziwi stuprocentowi Amerykanie. Tego im nie mogą zaprzeczyć panowie, których praojcowie tu przybyli na okręcie "Mayflower" poto, aby Indianom ziemię zabrać, a ich samych wymordować. Są to już tylko resztki, — powiedziałbym okazy, tych Indian, co tu kiedyś tysiącami zamieszkiwali.

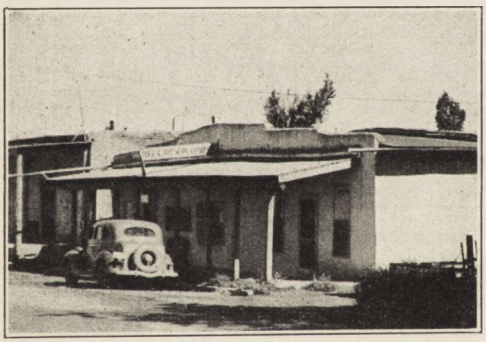

Mieszkanie Kit Carsona

Zwiedziłem skromny, niski, z gliny zbudowany dom Kit Carsona. Wszystkie pamiątki po nim rozsprzedano czy rozdano, dosyć, że nic oryginalnego tu nie znajdziesz. Zato w muzeum stanowym w Denver widziałem jego "trusty rifle" czyli ciężki karabin. Na kolbie widniało, jeżeli się nie mylę, 27 mosiężnych ćwieczków, a każdy przedstawiał antagonistę, przeważnie Indianina, którego Carson zastrzelił. Podarował ów karabin swemu przyjacielowi i ten jeszcze wbił doń siedm, czy ośm ćwiecz-

ków. Nabijanie ćwieczków lub nacinanie lufy pilnikiem było wtenczas w zwyczaju. Tak jak dziś ordery i krzyże bohaterskie, tak wówczas owe nacięcia oznaczały zwycięstwa nad przeciwnikiem.

Indianie dobrze znali Kit Carsona i wiedzieli, kiedy i gdzie, którego z nich uprzątnął. Wytwarzał się wzajemny szacunek między białym traperem, a jego czerwonoskórymi antagonistami czy też przyjaciółmi, a nawet sprzymierzeńcami. Carson, jak wielu innych traperów ożenił się z Indianką, która po kilku latach umarła. Żadna biała kobieta nie potrafiłaby z długich drążków, ciągnionych przez indiańskie koniki w kilku minutach zbudować namiot, okryć go skórami bawolimi, rozpalić ogień i przygotować obiad czy kolację swemu mężowi. Dlatego też niemal wszyscy traperzy wchodzili chętnie w związki małżeńskie z Indiankami i nazywano ich z tego powodu "squaw men." Tu mimochodem chcę zaznaczyć, że wśród dziewcząt indiańskich panowały surowe zwyczaje, a dla zabezpieczenia się przed zbyt wielką zapalczywością indiańskich czy białych amantów, młode Indianki nosiły specjalne z włosia końskiego robione pasy, a więc, może lepsze panowały stosunki wśród niby to "dzikich" Indian, aniżeli wśród naszych dziewcząt, które z byle kim pojadą samochodem.

Tu jeszcze także wypada zanotować, że na tańcach i zabawach, Indianki wybierały swych kawalerów w ten sposób, że z kotła kozim rogiem nabierały zupy i podawały ją temu, który im do serca przypadł. A jeżeli to był natrętnik, którego nie lubiały, to mu zupą w twarz chlusnęły. Ten zaś, którego kochała i któremu dała się napić zupy z koziego rogu, mógł ją zabrać, okryć indiańskim kocem i tak nieraz jak dwie statuły pod tym kocem godzinami stali i rozmawiali. Pocałunki nie były znane wśród Indian i tej sztuki nauczyli ich biali.

Na skraju miasteczka znajduje się stary cmentarz, okolony wysokimi wierzbami czy też topolami. Tam wśród starych grobów bujnie rosną kwiaty i zielska, tu i ówdzie sterczy kamienny nagrobek lub wali się sztachetowy płocik, okalający czyjeś miejsce spoczynku. W oddali, otoczony żelaznymi sztachetami jest grób naszego pioniera i bohatera — Kit Carsona, a tuż obok pochowano jego żonę, rodowitą hiszpankę, Josephę.

Pomnik w kształcie płyty z siwego piaskowca sprawili mu masoni, boć podobno należał do nich, chociaż chcąc się ożenić z Hiszpanką przyjął wiarę katolicką. Bardzo to skromny nagrobek dla człowieka, który swe nazwisko niezatartymi głoskami wypisał na górach, pustyniach, kanionach i bezbrzeżnych stepach dalekiego Zachodu.

Jako chłopiec nie umiejący nawet czytać ani pisać — rozpoczął swą karierę najprzód jako pomocnik rymarza. Pracował przy na-

prawie siodeł, poganiał woły, później prowadził karawany, został traperem, następnie skautem armii amerykańskiej. Szybko awansował na kapitana, następnie dowodził w bitwach większymi już siłami. Skutecznie wojował z dzikimi plemionami, nareszcie dotarł do rangi generalskiej i to nie wpływami, ale odwagą, zdolnością i zasługą, co chyba stanowi niezwykłą karierę życiową.

Grób Carsona i jego żony

Gdy tak patrzałem na tę siwą, z miękkiego piaskowca wykonaną tablicę, na ktorej widniał tylko napis "Kit Carson," przed oczyma przesunęła mi się ta malownicza postać trapera, który po całozimowym polowaniu na bobry wracał ze swymi kolegami i jucznymi mułami, obładowanymi skórami bobrów. Nagle na horyzoncie ukazuje się banda złożona z kilkudziesięciu Indian. Wywiązuje się walka na śmierć i życie. Z ust Carsona pada komenda — "budować fort!" W mig traperzy zsiadają z mułów, każdy zarzyna swego muła, a z ich drgających ciał tworzą koło, z poza którego garstka traperów z zimną krwią przyjmuje dziki atak indiańskich jeźdźców. Na tysiące strzał wypuszczonych z wprawnych rąk jeźdźców i wojowników indiańskich — z poza mułów padają rzadkie, ale celne strzały karabinowe. Co chwila jeździec indiański spada z konia. Kilka godzin trwała walka. Muły, niby jeże, były naszpikowane strzałami. Kilku z traperów odniosło rany, ale najeźdźcy niemogąc zwyciężyć, zniknęli na horyzoncie. Nad wieczorem traperzy pozostawili pole walki zasłane trupami, zabitymi mułami, drogimi siodłami, pakami skór bobrów czyli całozimowym dorobkiem, i nocą, o głodzie, wycieńczeni z pragnienia, przekradali się do siedlisk białych "setlerów." Takie było ich życie.

Gdy nasze wojska pod wodzą generałów Fremonta i Kearnego posuwały się na południe i zachód, by objąć w posiadanie Kalifornię i stany zachodnie — Kit Carson był ich przewódcą czyli skautem. W okolicy miasta San Diego stoczono bitwę między garnizonem hiszpańskim, a naszymi wojskami. Szala zwycięstwa przechylała się na stronę Hiszpanów, groziła klęska. Któż jak nie Kit Carson przedarł się przez obóz nieprzyjacielski, zrzucił trzewiki i na bosaka przedzierał się przez pustynne piaski. Nogi miał pokrwawione przez ostre kamienie, stopy pełne ciernistych kolców kaktusowych. Wyczerpany z sił, palony gorączką, dotarł szczęśliwie do naszych. Po-

wiadomił ich o niebezpieczeństwie i wysłał posiłki na ratunek zagrożonych żołnierzy amerykańskich. Chociaż to przez kilka tygodni odchorował, ale okupacja zachodu postąpiła naprzód. Toć on pieszo i konno, sam i z innymi przeorał wszystkie góry, kaniony i pustynie zachodu....

Patrząc na ten skromny nagrobek, nie za pieniądze rządu, ale za pieniądze tamtejszej loży masońskiej sprawiony, mimowoli nasunęła mi się myśl — czyby też Kit Carson wysłał swych lobbyistów do Washingtonu, aby wymogli na rządzie chociażby tylko tysiąc dolarów na jakiś "bonus." Czy żądał on zapłaty za tak nadzwyczajnie spełnioną powinność, za torowanie drogi tysiącom i setkom tysięcy białych osadników?!.. Tylko skromny pomnik znaczy miejsce jego spoczynku, a jednak, tysiące turystów, co roku spieszy do Taos, by oddać hołd temu pionierowi Zachodu.

Takim był Kit Carson, takim był "Buffalo Bill," takim Fremont i setki innych. Nie żądali nagród, nie liczyli swej pracy na godziny i dolary, jak to czynią teraz niektórzy z naszych weteranów! — Toć my się stajemy nie "ziemią wolnych i domem odważnych," ale raczej krainą płatnych zaciągów, tych dawnych "mercenaries," którym trzeba było płacić za obronę kraju i sztandaru, tak jak się płaci policjantowi i strażakowi za obronę naszego mienia przed złodziejem czy pożarem.

Warto wziąć tych pionierów za miarę i według ich czynów mierzyć naszą pracę i poświęcenie. Tracimy bowiem ducha pionierów, tych prawdziwych bohaterów, a stajemy się pastwą jakiejś wrogiej, wywrotowej propagandy. O sile narodu i jego potędze nie stanowią ani pancerniki, zbrojne w dalekonośne armaty, ani tanki, ani karabiny maszynowe, ale raczej pierwszą i najpotężniejszą, wprost nie do zdobycia twierdzą narodu jest jego duch, jego patriotyzm, jego idealizm, jego gotowość do wszelkich poświęceń dla Ojczyzny i dla idei!

Takie mi to po głowie sunęły się myśli, gdy patrzałem na tę płytę grobową Kit Carsona, jednego z naszych wielkich pionierów zachodu.

ROZDZIAŁ XXIII.

## Santa Fé - Omaha - Winona - Rybołówsto.

Opuszczając bardzo malowniczy zakątek Stanów Zjednoczonych, miasteczko Taos, ruszamy dosyć stromą, krętą drogą do stolicy New Mexico, miasta Santa Fé, co w języku polskim oznacza Wiara św. Trzeba pamiętać o tym, że pierwsi pionierzy tej ogromnej połaci kraju, Hiszpanie, bardzo gorliwi katolicy — darzyli dużo gór, rzek, lasów i miast, imionami świętych. Południowo-zachodnia część tego kraju jest jakoby litanią wszystkich świętych. To jednak jeszcze nie znaczy, że odkrywcy, pionierzy, żołnierze z tych pierwszych ekspedycyj wyszczególniali się świątobliwym żywotem lub wobec tubylców jakąś uczciwością. Zato księża, przeważnie z zakonu św. Franciszka, pałali nadzwyczajną gorliwością wobec Indian. Budowali dla nich kościoły, "misjami" zwane, przy kościołach zaś zakładali szkoły, uczyli ich rzemiosła, czytania, pisania, a nawet malatury i sztuki. We wielu ze starych kościołów można oglądać rzeźby i malatury, a także hafty i tkaniny Indian. Pionierzy, jak ks. Kino, Bawarczyk i ks. Junipero Serra oraz ich współpracownicy złotymi literami zapisali się na pierwszych kartach historii Kalifornii, Arizony, New Mexico i innych stanów położonych w obrębie gór Skalistych i oceanu Spokojnego.

Po godzinnej krętaninie wydostajemy się z kanionu rzeki Rio Grande na szerokie pustynne stepy. Mały potok, zasilany górskimi strumykami i licznymi źródłami, niemal w oczach wyrasta na szybko rwącą rzekę. Gdzie się dało, przeprowadzono rowy i zaprowadzono irygację. W szerszych dolinkach widać nietylko zielone pola alfalfy, ale także zagony jarzyn i sady owocowe. Przy drodze dzieci tutejszych czerwonoskórych osadników sprzedawały w koszykach czy innych naczyniach słodkie, małe śliwki i soczyste brzoskwinie. Tam zaś, gdzie nie było owoców, sprzedawały turystom wazony i inne naczyna robione, jak nas zapewniały, w domu przez ich matki. Po dłuższych targach, po zrobieniu zdjęcia, kupiliśmy kilka sztuk.

Miasto Santa Fé słusznie rości sobie pretensje do tytułu, że jest ono najstarszą stolicą w Stanach Zjednoczonych. Zdaje się, że żadne inne miasto miana tego mu nie zaprzeczy i nie odbierze. Gdy pierwsi pionierzy z Nowej Anglii wdzierali się do dziewiczych lasów i wraz

z lasami trzebili plemiona Indian, jak Mohikanów, Pequotów, Algonkwinów, Irokiesów i innych; Santa Fé było już dosyć dużą osadą hiszpańską. Znajdował się w niej obszerny kościół, jeszcze dziś w użyciu, pałac gubernatora, garnizon wojskowy, a więc było tu wszystko co stanowi chociażby prymitywną stolicę obszernego kraju.

Targ z małymi Meksykanami

Przed stu laty do Santa Fé podążały długie karawany krytych wozów, ciągnionych przez kilka, a nawet kilkanaście jarzm wołów. Każdy wóz był naładowany najrozmaitszymi towarami, jak płótna, pługi, przeróżne maszyny i to sprzedawano osadnikom i kupcom hiszpańskim za wyroby hiszpańskie lub też za pieniądze. W tych ekspedycjach brały udział setki ludzi i przewożono za tysiące dolarów towary w jedną i w drugą stronę. To dało początek słynnej dziś "Santa Fé Trail." Zaledwo w muzeach napotykamy teraz owe stare, ciężkie, płótnem kryte wozy, jarzma, uprzęże i siodła tych na niewygody wytrzymałych pionierów. Ich miejsce zajęły szybko pędzące samochody pospieszne, nowoczesne sztucznie ochładzane pociągi i olbrzymie samoloty. Zostały tylko wspomnienia i miasto, które jeszcze teraz przedstawia dziwną mieszaninę oryginalnych hiszpańskich domów, budowanych z gliny i nowoczesnych mieszkań i sklepów z cegły i kamienia. Nie podobają mi się te kontrasty i z tego powodu wolę mniejsze, ale z punktu architektury piękniejsze Taos.

Warto tu jednak zwiedzić piękne muzeum stanowe, w którym oglądać można ciekawe wyroby indiańskie, szczególnie naczynia z gliny, oraz kilimy i w piękne desenie plecione koszyki. Ponadto warto się dłuższy czas zatrzymać w galerii obrazów, gdyż niemal wszystkie są pędzla wybitnych malarzy, mają za tło albo pustynne krajobrazy albo też typy i życie Indian.

Szczególnie jeden z obrazów zwraca na siebie uwagę turysty, może nie tyle samym wykonaniem, które jest bez zarzutu, ile raczej niezwykłym tematem. Obraz przedstawia Indianina, ciągnącego za sobą na skórzanych pasach trzy łby końskie. Rzemienie, do których są przywiązane łby końskie, są przyczepione do pleców Indianina i to w ten sposób, że zrobił sobie dwa nacięcia na własnym ciele i przez te — że tak powiem pasy z własnej skóry — przeciągnął owe rzemienie i przez cały dzień wlókł ten niezwykły ciężar po pustyni.

Przy obrazie znajdowała się kartka, objaśniająca motyw tej okrutnej tortury, której naocznym świadkiem był artysta obrazu. Otóż ów Indianin miał syna w jednym z uniwersytetów na wschodzie. Nagle otrzymał on wiadomość z zakładu, że syn jego umarł. Strapiony ojciec — może z rozpaczy — zabił konie, którymi syn jeździł po pustyni i włóczył ich łby cały dzień w tych strasznych torturach, stwierdzając, że jest wytrzymały na wszelkie cierpienia, jakie mu sprawiła śmierć syna jedynaka. Takiego stoicyzmu nie widziałem nigdzie ani nawet o czymś podobnym nie czytałem.

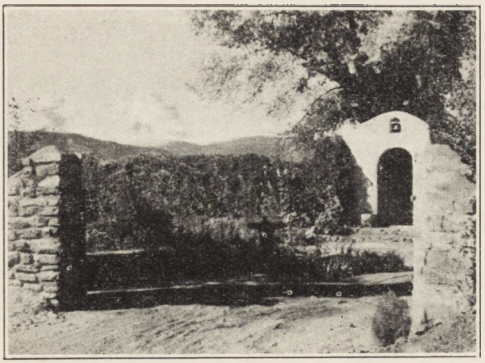

Brama wjazdowa w Taos

Obrazy przedstawiające pustynię, owe pola bylicy i kaktusów, owe góry niebieską mgłą pokryte, są bardzo piękne, ale tylko ci to ocenić mogą, którzy w tych okolicach czas dłuższy spędzili.

Warto także zwiedzić obszerne a bardzo niezwykłe muzeum, znajdujące się w dawnym pałacu gubernatorów meksykańskich. Znajdują się tam okazy broni tak hiszpańskiej jak i amerykańskiej, zabytki po pierwszych pionierach, portrety pierwszych gubernatorów, stare archiwa, biblioteka, obejmująca historię i rozwój tego pustynnego zakątka Stanów Zjednoczonych. Najwięcej z muzeum i całego pałacu skorzystają ci, którzy tu czas dłuższy spędzają lub są dobrze obeznani z historią Indian i życiem pierwszych pionierów. Można całymi dniami, a nawet tygodniami jechać przez te ogromne pustynie, przez ciekawe góry, przez urocze kaniony; można patrzeć na chatki Indian, można oglądać ich stroje, wsłuchiwać się w melodyjne akcenty mowy indiańskiej — a jednak powiedziałbym — nie widzi się i nie zna się naszego Zachodu! Patrzy się wprawdzie na jego postać i szatę zewnętrzną, ale nie widzi się tego ducha, tego mistycyzmu, tego ciekawego kultu, jaki Indianie po dziś dzień zachowali w swych tańcach religijnych, pełnych symboliki. Tu, całkiem słusznie powiedzieć można — "Patrząc nie widzieli, a słysząc, nie słyszeli."

Opuszczamy teraz ten tak malowniczy zachód, by może do niego już więcej nie wrócić. Jedziemy z powrotem przez Raton Pass do Colorado, a stamtąd przez Trinidad, La Junta, do Dodge City i Council Grove, ważnych punktów i postojów karawan pionierskich. — Po-

dróż, która przed stu laty trwała miesiące, teraz szybkim, nowoczesnym samochodem odbyliśmy w dwóch dniach.

Nic tu już na szczególniejszą nie zasługuje uwagę, chyba ten ciekawy, a tak szybko niknący incydent, że nawet nie miałem sposobności wyjść z auta, by go odfotografować. W pobliżu wioski Wagon Mound, w New Mexico, spostrzegłem pędzącego ku nam bydlaka. Za nim na koniu pędził kowboj. Początkowo myślałem, że może wół oderwał się od stada i pędzi samopas. Tymczasem z niemałym zdziwieniem spostrzegłem, że to prawdziwy bizon (buffalo), który się tu zabłąkał. Przecież, to pomotek nieskończonych milionów bizonów, które kiedyś olbrzymimi stadami tu się pasły. Prawdziwie to "Ostatni Mohikanin" bawolego plemienia, za którym zamiast czerwonoskórego Indianina teraz gonił kowboj. Tak, ... znikły stada bawołów, a z nimi poszły plemiona Indian, którym bawoły służyły za pokarm, odzienie, a nawet opał i światło.

W trzech dniach odbyliśmy podróż, którą pierwsi osadnicy z trudem odbyli w trzech miesiącach. Szybko teraz pędzimy przez szerokie, równe pola Kansasu. Niestety kukurydza, pszenica, a nawet drzewa zostały przez posuchę zupełnie zniszczone. Zaledwo tu i tam zdołały się one zachować przy życiu, i to przeważnie w dolinach rzek, gdzie jeszcze zaczerpnęły cokolwiek wilgoci. Urodzajna tu gleba, pszeniczna ziemia; cóż, kiedy posuchy, wiatry i szarańcza niszczą dobytek biednego farmera. Tragiczne to, lecz niestety prawdziwe.

W małym farmerskim miasteczku, Council Grove, w niewielkim parku, tuż przy głównej drodze postawiono z granitu rzeźbiony pomnik ku czci Matek Pionierek, boć tu przez pewien czas zatrzymywały się karawany pionierów, spieszących na daleki zachód.

"Madonna of the Trail"
Pomnik ku czci matek pionierek

Opuszczamy te góry malownicze i pustynie, pełne dziwnego uroku i tradycyj indiańskich. Oddalamy się od geizerów i pól naftowych, od przecudnych parków narodowych, a szybko zbliżamy się ku wschodowi i ku ... domowi.

Wjeżdżamy z powrotem na ogromne stepy amerykańskie. Te szerokie, a we wielu miejscach bardzo urodzajne równiny ciągną się nieprzerwanym pasem od zatoki Hudsońskiej w Kanadzie, wzdłuż rzeki Mississippi, aż hen do zatoki Meksykańskiej.

Im bardziej zbliżamy się ku rzece Mississippi, tym większe napotykamy miasteczka, miasta i olbrzymie metropolie, jak St. Paul,

Minneapolis, Milwaukee, Chicago i wiele innych. Urodzajna ziemia, łatwa komunikacja wodna, centralne położenie przyczyniły się do rozwoju tego bogatego działu Stanów Zjednoczonych. Ta połać stanowi ich stos pacierzowy. Tu znajduje się ogromna i niewyczerpana spiżarnia, zaopatrująca stumilionowy naród w żywność i odzienie.

W Kansas, Nebraska, Iowa, w dwóch Dakotach, Minnesocie, Wisconsynie, Illinois, po inne lata błyszczały w słońcu złote łany pszenicy, owsa, żyta; tu rosły wysokie lasy zielonej, w szerokie kwadraty posadzonej kukurydzy. Dusza się radowała, gdy podróżny czy to z auta czy też z szybko pędzącego pociągu dniami całymi patrzał na tę monotonię urodzaju, na schludne domy farmerów, na stodoły po wrota napełnione zbożem i sianem, na stada bydła, na spichrze zbożowe, niby wielkie zamki czuwające przy torach kolejowych, na to mienie ludzkie, przez pracowitych rolników w pocie czoła zbierane.

Przecież to nie tak dawno, kiedy rząd nasz walcząc z nadmiarem urodzaju w zbożu i trzodzie, kazał ograniczać obsiewy, wprost kazał wytępić część bydła i nierogacizny, by podtrzymać ceny artykułów spożywczych i "ratować" naszych farmerów. Tak było przed paru laty, nawet przed rokiem.

Jeden i drugi rok posuchy sięgającej katastrofalnych rozmiarów, zmienił całą sytuację ekonomiczną na gorsze. Od miesięcy niektóre stany nie miały deszczu. W Kansas i w Nebrasce widziałem całe pola kukurydzy na pniu zeschłej, nie nadającej się nawet na paszę dla trzody, nie mówiąc już nawet o ziarnie niezbędnym na paszę dla świń i bydła. Nietylko w Meksyku, ale i w Stanach Zjednoczonych kukurydza w swych przetworach stanowi ważną część pokarmu tutejszych obywateli, gdyż nasze smaczne szynki, bacony, "stejki," to nic innego jak tylko kukurydza przez chemię żołądka bydlęcego przemieniona w te przysmaki.

Teraz rząd utrzymywał i karmił nietylko miliony bezrobotnych, ale z konieczności także żywił tych, którzy nas dotąd karmili, a mianowicie farmerów i ich trzody. Wysyłano więc do stanów nawiedzonych posuchą wagony siana i siewu dla tych, którzy wszystko stracili. Ten, co po inne lata młócił tysiące buszli pszenicy, żyta i innego ziarna, teraz z biedą wykruszył setkę, a to nie wystarczy ani na życie, ani na podatki, ani na obsianie pola.

Krótko zatrzymaliśmy się w czystej, ruchliwej, nowoczesnej Topeka, stolicy stanu Kansas.

Dzieli nas zaledwo dwieście mil od następnego postoju w Omaha, metropolii sąsiedniego stanu Nebraska. Wjeżdżamy tu znów na dobre, betonowe drogi i pędzimy w kierunku północno-wschodnim, wśród niedawno skoszonych pól pszenicy i owsa, wśród zieleni kukurydzy,

która tu miała nieco więcej deszczu, a więc jeszcze jest nadzieja jakiego takiego zbioru.

Po piątej, stajemy na przedmieściach Omahy. Zatelefonowałem do miłego kolegi, ks. Gluby, z którym się od kopy lat nie widziałem, oznajmiając, że przyjedziemy na kolację. Niezmiernie się nami ucieszył, bardzo zacny, a ponadto bardzo gościnny proboszcz, który od ćwierćwieku pracuje na tej samej placówce.

Jadąc z Topeka do Omaha, przekroczyliśmy południowo-wschodnią granicę Nebraski. Należy ona do stanów stepowych i w czasie naszej narodowej pielgrzymki ku zachodowi, tędy wzdłuż szerokiej, ale zato nie głębokiej rzeki Platte, ciągnęły liczne karawany osadników. Posuwano się w głąb kraju, wzdłuż brzegów tej rzeki, dlatego, że na tej — zwanej wówczas — "wielkiej amerykańskiej pustyni" trudno było o wodę tak niezbędną dla bydła i ludzi. Tędy więc wiodły słynne drogi: "Oregon Trail" do stanów Oregonu i Waszyngtonu; "The Old California Trail" prowadziła przez Wyoming, Salt Lake City do Sacramento i San Francisco; "The Old Salt Lake Trail" wiodła znów do Utah i nią szli Mormoni do swej "ziemi obiecanej." Tędy również w roku 1860-61-szym pędziły sztafety konne i poczta — "Pony Express." Nebraska, to wielka równina. Ziemia, o ile padają deszcze, jest urodzajna, pszeniczna. Niekiedy panują tu posuchy, czasem wiatry i huragany narobią rolnikom dużo szkody, a co kilkanaście lat szarańcza rzuca się na łany zboża, szczególnie kukurydzy.

Wschodnią granicę Nebraski stanowi duża, mętna, kręta rzeka Missouri. Nią to właśnie płynęli na północ i zachód ci słynni pionierzy, Meriwether Lewis i William Clark. Z polecenia prezydenta Jeffersona pierwsi w dwuletniej podróży zwiedzili i zbadali tę olbrzymią, a białym ludziom całkowicie nieznaną połać kraju, sięgającą aż do oceanu Spokojnego. Tu też nad brzegami rzeki odbyli dłuższą naradę z plemionami Siuksów, którzy im przedstawili swe nader trudne położenie, prosząc o zapomogę rządową. Już bowiem wtenczas z wielkiego, dzielnego plemienia Siuksy poprostu zeszli na dziady.

"Ne-brath-ke" w narzeczu Indian z plemienia Omahów oznacza szeroką, płaską wodę. Odnosi się to do rzeki Platte, przecinającej cały stan od zachodu na wschód. Wpada ona przy mieście Omaha do rzeki Missouri. Oczywiście nazwę — Platte nadali jej francuscy coureurs de bois. Przed rokiem 1854-tym Nebraska obejmowała całą północno-zachodnią połać kraju, z której później wykrojono kilka stanów jak Północną i Południową Dakotę, Montanę, Idaho i część Colorado. Mimoto stan obejmuje ponad 77 tysięcy mil kwadratowych, chociaż ludności posiada nie całe półtora miliona.

W Nebrasce znajduje się także kilkadziesiąt osad polskich, a największa jest w Omaha. Wypada także nadmienić, że w miasteczku Grand Island, nad rzeką Platte, mamy jednego z niewielu biskupów polskich, J.E. Ks. Biskupa Stanisława Bonę. Może niedaleko będę od prawdy, jeżeli powiem, iż miał on daleko więcej Polaków w swej parafii w Chicago, niż ich teraz posiada w swej całej diecezji. W życiu wychodztwa polskiego nie bierze on czynnego udziału, chociażby może z tego względu, że jest zbyt daleko odsunięty od środowisk polskich, przytym nie wypada otwarcie działać i agitować za sprawami narodowościowymi. Rzym, obsadzając katedry biskupie, ma tylko na względzie pracę "katolicką" a nie narodowościową. A że niekiedy zdarza się, iż na katedry biskupie w miastach licznie zamieszkałych przez Polaków idą biskupi innego pochodzenia, nie rozumiejący naszego języka i ducha, to już jest sprawa Ducha św., który, jak zresztą każdemu wiadomo, rządzi Kościołem. Sprawy te, chociaż może bardzo nawet ważne, nie należą i nic nie mają wspólnego z naszą podróżą samochodową, dlatego też nawet wspominać o nich nie warto.

Omaha liczy ponad dwieście tysięcy mieszkańców; w tym znajduje się dosyć liczna osada polska, grupująca się w trzech parafiach. To już starzy "settlerzy," niektórzy przeszło pięćdziesiąt lat tu zamieszkują. Wielu pracuje w olbrzymich rzezalniach Cudahego w południowej części miasta. Niektórzy z tutejszych Polaków wybili się nawet na wyższe stanowiska i tak: — szefem policji jest Polak, oczywiście już tu rodzony i wychowany — Jan Przanowski. Odwiedziliśmy także bardzo miłego profesora p. A. A. Klamera, który poza pracą profesorską od lat redaguje tutejszą tygodniówkę p.t. "Gwiazda Zachodu," pismo posiadające za sobą ćwierćwiekową pracę na polu narodowym i społecznym. Wydawcami gazety są bracia Jan i Michał Rączka; ci zaś poza gazeciarstwem prowadzą dużą drukarnię i cieszą się wielkim poważaniem w kołach polskich i amerykańskich.

Nawet ks. Michał Gluba niepospolitym jest przedstawicielem kleru polskiego. Zwykle ci, co za młodu walczyli o byt, co, jako studenci w sezonie wakacyjnym ciężko pracowali na wydatki szkolne, ci właśnie w swej zawodowej pracy wykazują dużo energii i przedsiębiorczości.

Ks. Proboszcz Gluba jest poniekąd wszechstronnym człowiekiem, gdyż poza pracą duszpasterską zajmuje się także dziennikarstwem, przez lata całe kształcił się w muzyce i śpiewie. W życiu narodowym, katolickim i obywatelskim zawsze brał czynny udział. Piękny kościół, wygodna plebania i obszerna szkoła są owocem jego ćwierćwiekowej pracy.

Wczesnym rankiem, suto zaopatrzeni w podróżne prowianty, ruszamy w dalszą drogę. Długim mostem przeprawiliśmy się przez

rzekę Missouri, która tu leniwie "toczy swe mętne wały" i pławi się w piaszczystym korycie, zmieniając je dowolnie. W Council Bluffs, mimo wskazówek, parokrotnie zbłądziliśmy, nadrabiając parę mil i tracąc przytym kilkanaście minut drogiego czasu.

Celem całodziennej podróży była od wielu lat dobrze mi znana uroczo nad rzeką Mississippi położona, przytym bardzo stara siedziba polska, miasto — Winona. W okrągłych cyfrach odległość Winony od Omahy, wynosi 450 mil, które przebyliśmy w dziewięciu godzinach, robiąc przeciętnie 50 mil na godzinę, a gdy się w to wliczy nawet krótkie przystanki i detury, trzeba było pędzić z szybkością ponad 60 mil na godzinę.

Wyruszyliśmy z Omaha o 7:15 rano, a przed piątą po południu dzwoniliśmy do plebanii ks. J. Ciemińskiego, który po śmierci ks. prałata J. Pacholskiego objął tę największą polską placówkę na zachód od Chicago i Milwaukee.

Kilka więc godzin pędzimy świetnymi drogami w kierunku północno-wschodnim, przez Iowę, ten najurodzajniejszy ze wszystkich stanów. Przeważnie niemieccy koloniści tu się usadowili, nie brakuje także Skandynawczyków. Urodzajne pola, wygodne mieszkania, piękne stodoły, wysokie beczki do kukurydzy (silos) świadczą, że tu są zamożni farmerzy, chociaż tego roku posucha nawet im porządnie dała się we znaki. Trudnoby wykroić drugi podobny obszar ziemi tak równy, tak urodzajny, tak znakomicie uprawiany, jakim jest Iowa. Już nie pamiętam dokładnie statystyki co do jego płodów i plonów, ale się ogromnie zdziwiłem, gdym to wszystko wyczytał, ile tu produkują kukurydzy, ile świń, ile bydła, mleka, masła, sera. Jednym słowem, to spiżarnia jakiej nie posiada może żaden inny kraj na kuli ziemskiej.

Wielki apostół, a zarazem odkrywca, ks. Ignacy Marquette i kupiec francuski, Ludwik Joliet, w roku 1673-im udali się rzeką Mississippi na południe, by zbadać jej szeroką i urodzajną dolinę. Od wielkich jezior posuwali się rzeką Wisconsin w głąb kraju do rzeki Mississippi. Na piaszczystym brzegu "Ojca Wód" zauważyli ślady ludzkie. Zatrzymali więc lekkie kanusy, robione z kory brzozowej, i puścili się ścieżką kilka mil w głąb kraju. Znaleźli tam nad brzegami rzeki Des Moines dużą wioskę indiańską.

Na ich spotkanie wyszli wodzowie i starsi z plemienia Illinois. Widząc tylko dwoje ludzi, z których jeden był ubrany w czarną sutannę — black gown — gdyż tak nazywali księży, Indianie powitali ich nader serdecznie. Podali im fajki pokoju do palenia — calumettes — a następnie wódz ich wygłosił takie powitanie: — "Jak pięknie zabłysło słońce za to, że wy przychodzicie nas odwiedzić. Cała wioska was oczekuje. Wejdźcie do nas w pokoju." Po odbytej konferencji,

w której ks. Marquette zapewnił ich, że król francuski pokonał ich wrogów Irokiesów, urządzono bankiet na cześć dostojnych gości.

Podczas owego bankietu, składającego się z ryb, zwierzyny, placków kukurydzanych i owoców, wódz Indian, jak nam to opisuje ks. Marquette, w te odezwał się słowa: "Dziękuję ci 'czarna suknio' i ty obywatelu francuski, żeście zadali sobie tyle trudu, aby nas odwiedzić. Ziemia nigdy nie była tak piękna ani słońce tak jasne, jak teraz podczas waszej wizyty. Rzeka nasza nigdy nie była tak spokojna i tak wolna od skał, jak teraz, bo płynąc do nas oczyściliście ją z kamieni. Nasz tytoń nigdy nie posiadał takiego pięknego zapachu, a kukurydza nie rosła tak bujnie, jak od chwili gdyście zawitali do naszej wioski. Znacie Wielkiego Ducha, który nas wszystkich stworzył, przemówcie do niego i słuchajcie jego głosu. Proście go, aby nam dał życie i zdrowie, i ażeby przyszedł do nas i wśród nas zamieszkał, abyśmy mogli go poznać" ... Znany poeta amerykański Longfellow w swej "Pieśni o Hiawatha" oddał w bardzo pięknym wierszu te szlachetne myśli Indianina. A teraz, czy którykolwiek z nas zdobyłby się na tak piękne, tak pełne wdzięku i serdeczności powitanie, jakie z serca wypowiedział ów Indianin?!... Wprost jasno się w sercu robi, gdy się czyta te tak proste słowa, a jednak tak pełne słońca i ciepła ludzkiego.

Pierwszym pionierem, który tu się na stałe osiedlił, był Francuz, nazwiskiem Lucien Dubuque. Przybył tu w roku 1788-ym i prowadził handel wymienny z tutejszymi plemionami Indian, zyskując sobie ich zaufanie i przyjaźń. Po jego śmierci tubylcy pochowali go z honorami wodza Indian. Miasto Dubuque nosi jego miano, a pomnik, który tu mu zbudowano, ma ten charakterystyczny napis — "On nigdy nie skrzywdził Indian." Tego niestety nie można powiedzieć o wielu innych kolonistach.

Stan obejmuje cośkolwieczek ponad 56 tysięcy mil kwadratowych, jest gęsto zaludniony, liczy bowiem niemal dwa i pół miliona mieszkańców. Stolica jego miasto Des Moines jest zapewne korupcją nazwy francuskiej "La Riviere des Moines" czyli — rzeka mnichów. Pono zakon Trapistów tu miał swą placówkę.

O godzinie piątej po południu byliśmy już we Winonie, a zrobiliśmy w tym dniu 450 mil w dziewięciu godzinach, czyli że pędziliśmy z przeciętną szybkością pociągu bo 50 mil na godzinę. Wstąpiłem na pocztę po listy i czym prędzej zajechaliśmy do gościnnej plebanii ks. Józefa Ciemińskiego, mego dawnego sąsiada i przyjaciela z Duluth. Znamy się już kopę lat, a chociaż często ze sobą dysputujemy i myślałby kto, że to wrogowie, a to tymczasem starzy przyjaciele. Po serdecznych powitaniach, boć tu wciąż jeszcze panuje staropolska gościnność i doskonała kuchnia, więc też czuliśmy się jak u siebie

w domu. Ksiądz Wojcieszczuk nawet przez pewien czas po wojnie pracował tu jako wikary. Ja zaś, od lat trzydziestu zjeżdżałem tu na odpusty i inne nabożeństwa lub uroczystości. Przez wiele lat proboszczem był tu ś. p. ks. prałat Jakób Pacholski, dzielny Polak i zacny kapłan. Teraz gospodarzy tu jego ongiś wikary i wspólny przyjaciel, któremu zawsze i wszędzie mówiliśmy... "Józek." Ponieważ ks. Ciemiński jest rodem z Borzeczkowskiej parafii i cała parafia to chłop w chłopa solidne Kaszuby, więc też często rozmawialiśmy kaszubskim dialektem, który bardzo lubię.

Podczas mego pobytu w Winonie ks. Ciemiński rozpoczął siedmdziesiąty rok życia. Już czterdzieści lat kapłańskiej pracy spoczywa na jego barkach, a jest to kapłan dzielny i gorliwy. Niemal cała Minnesota była jego polem pracy. Chociaż rodzina mieszkała we Winonie on jednakowoż pracował przez wiele lat w diecezji St. Paul, następnie w Duluth, poczem znów w St. Paul, nareszcie wrócił do parafii, gdzie przed czterdziestu laty był wikarym. Człowiek zdolny, mówca tak w polskim jak i w angielskim języku niepospolity, patriota zagorzały, boć ze szlacheckiej familii Dzierżonów ród swój wywodzi. Podczas wojny będąc proboszczem w Minneapolis, zbudował wspaniały kościół i plebanię, ponadto zebrał przeszło pięćdziesiąt tysięcy dolarów na fundusz narodowy i na wielu zebraniach amerykańskich przemawiał na rzecz Polski. Zajmował się przesyłką żywności i ubrań dla ofiar wojny. Ks. Ciemiński to jeden z wielu szermierzy, którzy tak dla religii jak i dla sprawy polskiej dużo zdziałali i nikt ze strony rządu polskiego nie rzucił im nawet tego marnego ochłapu podzięki.

Odwiedziliśmy też starych sąsiadów i dobrych znajomych księży: Jana Grabowskiego, szkolnego kolegę i wieloletniego proboszcza sąsiedniej parafii pod wezwaniem św. Kazimierza, ks. Jakóba Garę w Pine Creek, ks. Andrzejewskiego w Acadia i ks. prałata Korczyka w La Crosse, Wisconsin. — Cztery osady po tamtej stronie rzeki Mississippi, a każda chociaż może nie tak stara, jak polskie parafie w Teksasie, ale napewno pod każdym względem lepiej od tamtych sytuowana. — Wszędzie wspaniałe, murowane kościoły, murowane szkoły, plebanie i sale parafialne.

Ponieważ osady polskie w Nebrasce, Minnesocie i Wisconsynie zaliczamy do najstarszych, więc też miałem tu sposobność obserwowania tej ciekawej metamorfozy — z rodowitych Polaków na rodowitych Amerykanów. Wprawdzie już trzecie pokolenie dorasta, a więc — drugie tu na amerykańskiej ziemi zrodzone. Po polsku mówią bardzo słabo, sprawami polskimi, szczególnie europejskimi mało się interesują, gazet i czasopism polskich nie czytają, lub też bardzo mało. A jednak czuć w nich pewnę narodową solidarność. We wszystkich miastach prą naprzód zajmują wyższe stanowiska. Wspomniałem

powyżej o Omaha, a teraz choć słówko o Winonie. Burmistrzem jest Polak, Dr. May — Majewski, poczmistrzem Jan Bronk, rzecznikiem miejskim p. Libera, komisarzem Szpek, kasjerem powiatowym Bembenek, inżynierem miejskim Alojzy Grabowski, głównym inżynierem Soo Line wychowanek Winony, Romuald Hamerski. Księży wydała Winona cały zastęp i to ludzi tej miary, co ks. prałat Grupa, wieloletni rektor Seminarium Polskiego w Orchard Lake, ks. Dr. Jan Rolbiecki, prof. na Uniwersytecie Katolickim w Waszyngtonie, cały zastęp nauczycielek świeckich i zakonnych.

To samo mógłbym powiedzieć o Stevens Point, Wis. Tam także począwszy od burmistrza, a skończywszy na mniejszych urzędach powiatowych, znajdziecie obywateli polskiego pochodzenia. Wszędzie w kościołach polskich przynajmniej jedno kazanie jest w języku angielskim dla młodzieży, która po polsku już nie umie. To jednak ciekawe, że mimo zatraty języka jest jeszcze pewne poczucie narodowościowe. W kilku parafiach były popisy atletyczne w baseballu czy innym sporcie i tam też można było zauważyć, że solidarność narodowościowa, a nawet lojalność wobec własnej parafii czy miasta jest rozwinięta do najwyższego stopnia.

Małżeństwa mieszane, tak co do religii, jak i narodowości, na które się wszędzie proboszczowie skarżą, są tylko dalszym przejawem tej stale naprzód postępującej amerykanizacji. To jest proces całkiem naturalny. Otoczenie, szkoła, polityka, kariera, nieraz ten zwykły kawał chleba, o który trzeba walczyć, robią swoje. Stapiamy się w wielką, potężną bryłę amerykańską. Ten proces trwać będzie bardzo długo, a nawet pożądanym jest, aby go zbytnio nie przyspieszać, ale zato ważnym jest, ażeby każda grupa narodowościowa dorzuciła do tego amerykańskiego tygla, w którym się to wszystko przeistacza swe najlepsze narodowościowe walory.

W tej przemianie języka, ducha, tradycyj, czuwać należy nad tym, aby młodzież tu zrodzona miała w sobie najlepsze zalety, jako dziedzictwo z Ojczyzny praojców, by się nie zarażała prądami wywrotowymi, które cały naród gotowe doprowadzić do jakichś gwałtownych, ekonomicznych czy też politycznych przewrotów. Nad tym czuwać powinna szkoła, kościół i ci wszyscy, którym rozwój i potęga kraju leży na sercu.

W kilku dniach oblecieliśmy połowę Minnesoty. Wpadliśmy chociażby na chwilę do starych kolegów i przyjaciół, bo jak mówił "Antoś": "Może już ich więcej nie zobaczymy." Ma rację, boć niejeden z tych cichych i skromnych szermierzy już odszedł w zaświaty.

Po zwiedzeniu miast St. Paul, Minneapolis, St. Claud, Little Falls i Foley, gdzie przebywał nasz "minister spraw wewnętrznych," puściliśmy się w dalszą podróż do Wisconsynu i miasteczka Wausau.

W Grecji, setki lat przed Chrystusem, żył w Atenach filozof Diogenes. Za mieszkanie służyła mu beczka, a gdy go odwiedził jeden z największych konkwistadorów starożytnego świata, Aleksander Wielki, Diogenes kazał mu się usunąć na bok, aby mu słońca nie zasłaniał. W biały dzień z latarnią chodził po ulicach Aten i . . . szukał człowieka. Znamy go może lepiej z tego incydentu, niż z jego zapatrywań i teorii filozoficznych.

Gdyby ów Diogenes podróżował ze mną, z chwilą, gdy nasze auto stanęło przed skromną, ciasną, drewnianą plebanią parafii św. Michała w Wausau, Wis., gwałtownie wywijałby latarnią i na całe gardło zawołałby — "Eureka" — Znalazłem!. . .

Na nasze powitanie wyszedł średniego wzrostu, trochę pochylony wiekiem, ale krzepki i cały uśmiechnięty proboszcz, ks. Teofil Wojak, kapłan gorliwy, a Polus twardy, jak stal. Z uśmiechem wyciąga z zanadrza ten kawał "flaka" — sercem zwanego, i ci go oddaje. Zaprasza do skromnej, ciasnej plebanijki i każe ci tu zakwaterować się chociażby na cały miesiąc.

Z ks. Wojakiem znamy się ze szkolnej ławy, coś czterdzieści kilka lat. Niewiele się zmienił, nic nie urósł, trochę wyłysiał i stracił na tej dawnej sprężystości, gdyż przeróżne reumatyzmy zaczynają mu dokuczać. Poza tym wszystko w porządeczku — ten sam miły uśmiech i ta sama dawna serdeczność i szczerość.

Chociaż czterdzieści lat życia już niejeden z dawnych incydentów przysłoniło niepamięcią, jednak popisy atletyczne widzę jasno, jak na dłoni... Wojak zawsze chodził nerwowo koło "gulu" czyli mety i zbierał małe kamyczki, odrzucając je poza płot, by mu przypadkowo w biegu nie przeszkadzały. Gdy w "metchu" foot-ballowym zwichrzona kupa graczy, niby pędząca kawaleria zbliżała się ku naszej bramie, w wir walki wpadały hałubice ciężkiej wagi "Siwek" (mecenas Siwiński i "Louie," komandor ks. L. Grudziński). Gdy mimo takiej zapory wróg się przedzierał do twierdzy, wtenczas do ataku szła ostatnia rezerwa — "Wodziek." Studenci tem większego dodawali mu impetu, wołając: ... "Wodziek kikiem dem bulls." A Wojak, niby szarża huzarii pancernej, przechodził w coraz to szybszy pęd, jak rwący huragan lub świszczący granat. Parł naprzód rękami i nogami, tego lub owego łbem buchnął, niejeden oponent z jękiem, bez tchu padał na ziemię lub widząc zawczasu grożące niebezpieczeństwo, z drogi mu się usuwał. Za moment Wojak już miał u nogi okrągłą jak kula piłkę, którą silnym kopnięciem wysyłał w powietrze, niby balon, ku bramie nieprzyjacielskiej. Niebezpieczeństwo minęło, atak odparto i bitwa przenosiła się na teren oponentów, gdzie nasza lekka kawaleria szybko przesyłając piłkę z jednego flanku na drugi, oskrzydlała przeciwnika, zajmując metę. Wojak w międzyczasie

wracał na swe stanowisko i znów nerwowo zbierał kamyczki, czekając na wynik kontestu.

Gdy który ze zespołów atletycznych w Kanadzie miał bardzo groźnego antagonistę, zgłaszał się zwykle do Seminarium, by im pożyczono paru z naszych zawołanych graczy, a wśród tych "Wodziek" zawsze był na pierwszym miejscu. — Ot jak to wracają te stare, a tak miłe wspomnienia ze szkolnej ławy, które czterdzieści i kilka lat już pokryło mgłą niepamięci...

Nie będę opisywał ani kościoła ani szkoły, chociaż odrazu można zauważyć, że proboszcz wszystko trzyma we wzorowym porządku. Raczej wracam do samego proboszcza, boć jak poprzednio zaznaczyłem, to wyjątek, którego trzeba z latarnią szukać.

Nowością będzie dla czytelnika gdy nadmienię, że ten skromny proboszcz jest powagą w dziedzinie muzyki kościelnej i to nie tyle muzyki, ile konstrukcji organów. — Lata całe ten niezwykły przedmiot studiował, zbierał — dziś już drogocenne unikaty książkowe o budowie organów; o kombinacjach piszczałek, tonów, głosów, o rozkładzie organu i elektrycznym połączeniu poszczególnych części. Chociaż parafia św. Michała liczy zaledwo kilkaset rodzin, mimoto posiada jeden z najpiękniejszych organów w tej części stanu. Ks. Wojaka uważają tu jako autorytet w dziedzinie konstrukcji organów i często fabrykanci się go radzą, jakie mają dać kombinacje i jak to w kościele najlepiej rozłożyć.

Poza sztuką budowy organów ks. Wojak jest także majstrem stolarskim, a że to poniekąd jest także mój fach, więc też już chociażby z tego względu bardzo go polubiłem. Dał mi na pamiątkę aż dwa specjalne heble, a chociaż mam pierwszorzędny warsztat stolarski, jednak te dwa cenne nabytki znajdą w nim miejsce i użytek.

Jeszcze więcej ślepie nań wybałuszyłem, gdy mi przyniósł zwój planów na nową plebanię — "blue prints." Początkowo myślałem, że to mu przysłał miejscowy architekt. Tymczasem, jak się okazało on sam je rysował i to ze wszystkimi najmniejszymi detalami nie tylko budynku, ale nawet każdej szafki i stolika. Tego już za wiele, aby zwykły proboszcz, co to nie słyszał o fioletach, kanoniach, orderach pro Ecclesia et Pontifice, o złotych krzyżach, był nie tylko exfootbalistą, specem od organów, ale w dodatku skończonym architektem. Nie na tym koniec. Zasiedliśmy sobie w małej, ciasnej kancelaryjce i tu dopiero doznałem przyjemnego i niespodziewanego wstrząsu, o którym muszę coś powiedzieć. — Że księża w tych okolicach chodzą na ryby, to wiedziałem, zresztą sam tu lata całe proboszczowałem i rybołówstwem w wolnych chwilach się trudniłem. Gdzież bowiem znajdziecie tyle i takich jezior, jak w północnym Wisconsynie i Minnesocie. Toć tu ich jest aż ośmnaście tysięcy.

Niby kolektor antyków lub drogocennych sztychów czy też rękopisów, ks. Wojak otworzył dębową szafę i z niej zaczął wydobywać APARAT RYBACKI, w tym wypadku APARAT RYBACKI pisze się dużą literą. W pochwach, niby drogocenne szable i rapiery, były powkładane tyczki bambusowe, jedne na pstrągi, inne na okonie, a nawet na ten największy gatunek szczupaków zwanych — muscalonge czyli "muskies." Następnie zaczął wyciągać aluminiowe tuby, a w każdej znajdowała się drogocenna tyczka stalowa: jedne krótsze, drugie dłuższe, każda dostosowana do pewnego gatunku ryb, boć skandalem byłoby, gdyby n.p. pstrąg przypadkowo uwiesił się na tyczkę przeznaczoną na okonie. A więc znów rozmaitość wielka, a każda tyczka, niby najdelikatniejszy sprzęt, owinięta w bawełnę i na spojeniach odpowiednio naoliwiona, ażeby, broń Boże, rdza się tam nie dostała. Gdy je spajał, "naoliwiał" każdą część, trąc o nos w tym miejscu, gdzie do twarzy przyrasta, gdyż jak twierdził nasz zawodowy rybak, tam zawsze skóra wydaje rodzaj tłuszczu. Widziałem, że z nosa kapią czasem przeróżne smary i oliwy, któreśmy rękawem wycierali, ale nie wiedziałem, że koło nosa są olejki do naoliwiania drogich tyczek. Każda tyczka kosztowała od piętnastu do trzydziestu dolarów, boć to bardzo precyzyjna robota.

Za tyczkami szły szpulki, w skórę jelenią zawijane, czyli "reels." Gdym w młodych latach płacił $5.00 za tyczkę, a drugą piątkę za szpulkę, myślałem, że to już non plus ultra, a tu ten człowiek wynosi mi niemal że biżuterię rybacką, przyrządy do zawijania wędki robione z precyzją szwajcarskiego zegarka. Oglądam najlepsze wyroby "Pflugera," southbendzkiego "Szekspira," używane do rzucania muszek lub też cięższych wabików, zależy od tego, jakie ryby się łowi czy pstrągi, czy okonie, zwane black bass, czy "pajki" (sandacze), czy też wojownicze i ze wszystkich największe — "muskies." Taka szpulka kosztuje od piętnastu do trzydziestu i więcej dolarów. Wszystko czyściutkie, naoliwione, boć nie można tak drogiego aparatu niszczyć. Szczupak złowiony na zwykłą gałąź i dziesięćcentową wędkę i centowy haczyk musi to uważać za najgorszy afront, jaki może spotkać uczciwą, wojowniczą i sportowo usposobioną rybę.

Za szpulkami szły zwoje całe przeróżnych wędek: jedwabnych, japońskich, amerykańskich, takie co nie przemakają, inne zaś z drutu delikatnego robione. Jedne cienkie, a bardzo silne, inne zaś grubsze, a może nie tak wytrzymałe i to w różnych kolorach, siwe, ciemne, nakrapiane....

Od dziecinnych lat uprawiam z zapałem zawód rybacki. Gdym więc te przybory rybackie obejrzał, spróbował, podziwiał, ks. Wojak wiedząc, że ma bratnią duszę przed sobą, wyciągnął dużą blaszaną walizę, podobną do tych jakich używają lekarze. Gdy ją otworzył,

ukazały się w niej rzędy skrytek, w których wzorowo poukładane były haczyki. Ot takie zwykłe haczyki były w pudełkach od zapałek, ale na każdym napis, jaki gatunek, numer i rozmiar haczyków w nim się znajduje, boć jak można czas tracić, szukając w paczce tego, który mi jest potrzebny? Tu od razu się sięga do odpowiedniej paczki i wie, że tam są potrzebne haczyki tego, a nie inego rozmiaru, tu też się znajduje mała, płaska osełka do ostrzenia haczyków.

W osobnych przedziałach są pływaki, boć czasem łowi się ryby starą modą i patrzysz, jak korek skacze po wodzie. W ten sposób łowiliśmy ryby w naszych młodych latach na Rabbit River, która, jak twierzdzili moi koledzy, "zimą zamarzała, a latem wysychała."

Nie będę się silił na szczegółowy opis tych przyborów, boć tego tu jest bez liku i miary, a co ważniejsza, że w osobnej księdze są zapiski, wprost inwentarz tego przyrządu, ile kosztuje po cenie hurtownej, a ile po detalicznej, ile jest wędek, a ile tyczek, wabików, i. t. d., i. t. d... Gdy się to razem zesumowało, wypadła imponująca cyfra, boć łódkę i motor trzeba wliczyć, a nawet specjalne podwozie do łodzi. — Summa summarum — cały tysiączek dolarów kosztuje aparat rybacki tego entuzjasty.

Ponieważ to była sobota, a więc spowiedzi dużo, przeprosił nas miły gospodarz i poszedł do konfesjonału. Ja zaś ze znużenia—gdyż człek już przeszło trzy miesiące w podróży i pędzi się setki mil dziennie, więc wśród tych przyborów rybackich — zdrzemnąłem się...

Śniło mi się, że widzę ks. Wojaka, gdy z całym aparatem rybackim, który mi pokazywał i z łodzią na odpowiednim wózku przyczepioną do auta, z prowiantami na cały tydzień, wybiera się na ryby. To już jest poważna ekspedycja, gdyż nie rozchodzi się tu o zwykłe łowy, ale raczej o największe okazy tutejszych szczupaków od dwudziestu do trzydziestu, a nawet czterdziestu funtów wagi. Taką okazową rybę złowić, to sztuka. Dlatego też w głębokie knieje, leśnymi drogami, przedziera się auto naszego rybaka. Widzę go nad jednym z większych i głębszych jezior, gdy się nad brzegiem rozkwaterował, łódź spuścił na wody, motor przyczepił, sprzęt rybacki do łodzi złożył i puścił się na głębinę...

Św. Piotr, ów Klucznik Boży, jak zwykle, trzymał straż u podwoi niebieskich i kontrolował wizy i paszporty tych wszystkich, co się per fas et nefas do nieba chcieli dostać. Ponieważ były to przeważnie szare tłumy robociarzy i biedaków, co tu na ziemi w pocie czoła na kawałek chleba pracowali, co z tej skromnej "pejdy" jeszcze co niedzielę kilkanaście centów w kościele na kolektę dawali, co szkoły katolickie budowali, co dzieci po katolicku wychowywali, co biednych skromnym datkiem wspomagali, więc też ów Klucznik rutynowo pieczątki przykładał.

Tu widzę jakąś w chustę odzianą, a przygarbioną staruszkę z różańcem w ręku, tam zaś młodszą kobietę, matkę kilkorga dzieci, co przy połogu umarła. Za nią idzie nasz biedny, spracowany robociarz "majner" co go węgiel w kopalni przykrył i osierocił żone i gromadę dzieci, a tam znów z jazgotem małe dzieciaki, niby na wielką murawę spieszą do podwoi niebieskich. Św. Piotr z uśmiechem każdemu niebo otwiera i jakieś dobre słowo na powitanie rzuca.

Jednakowoż od czasu do czasu, tak od niechcenia rzuca okiem na ziemię, by się dowiedzieć, co się też tu dzieje. Raz spojrzy na swą okazałą stolicę w Rzymie, to na stare Koliseum, to na katakumby, to znów wzrok skieruje do Palestyny, gdzie się teraz Arabowie z żydami za łby biorą, boć tam życie swe spędził... Nie pominął nawet jeziora Genezaret, na którym z Chrystusem ryby łowił i gdzie byłby niemal utonął, gdyby go Chrystus w opresji tej nie uratował. Gdy tak tu i ówdzie okiem strzelał, naraz zoczył naszego rybaka, gdy się do łowów przygotowywał. Odezwała się w nim wena rybacka, więc też z większym zainteresowaniem śledził tego, co i łowcą dusz i łowcą ryb był dobrym.

Apostoł widząc taki wspaniały aparat, te przyrządy, o jakich mu się nawet nie śniło, coraz więcej się zaczął tym przejmować. Nareszcie nie mogąc dłużej przezwyciężyć pokusy, porzucił swe niebieskie stanowisko, bramę zamknął i po cichutku przysiadł się obok naszego rybaka. Niby miły "kibicer" zaczął zaglądać do skrzynek z wabikami, gdy ks. Wojak każdy wabik oglądał i zastanawiał się, któryby tu był najodpowiedniejszy, gdyż żywych ryb większego gatunku nie miał pod ręką, przytym chciał wypróbować sztuczne wabiki. A więc wyciąga długi, w środku przecięty i ogniwkiem spojony z trzema hakami, pstrokaty z czerwonym dzióbem, "giant jointed vamp." Ogląda go i po chwili odkłada. Następnie ogląda inne "vampy" zielone, żółte, posrebrzane, czy może który z tych przypadnie do gustu. Ale zadecydował, że żaden z tych się nie nadaje. A więc z innej szuflady wyciąga kilka gatunków "spooków," jedne krótkie, okrągłe, z czerwonym pyskiem lub też siwe z czerwonymi oczyma, czy też długie "vamp spooki" do małych szczupaków podobne, a każdy najeżony haczykami, tylko że ma inne zalety, bo jedne płyną na wodzie, inne zanurzają się pod wodę, jedne płyną równo, inne podskakują w górę i zanurzają się w głąb, jedne co chwila zmieniają swój bieg po to tylko, aby rybę skusić do "uderzenia."

Św. Piotr całkiem blisko się przysiadł do naszego rybaka i kilkakrotnie chciał już sięgnąć po te wabiki, aby je sobie lepiej obejrzeć, ale nie chciał go swą obecnością przestraszyć. Więc też z wielkim zainteresowaniem każdy ruch naszego mistrza obserwował, niczym swej obecności nie zdradzając.

Wreszcie decyzja zapadła co do tyczki, wędki, szpulki i wabika... boć zadecydował ks. Wojak, że najlepszym będzie "musky surface spook," wabik okrągły, podługowaty, srebrzysto nakrapiany, z małym, niklowanym krętkiem u pyska i ogona, przypominający naszą płotkę. Ten wabik trzyma się blisko powierzchni, a szczupak podchodzi z głębi i chwyta go niemal na powierzchni wody.

Nasz rybak wprawną ręką rzuca daleko na jezioro tego ciekawego "spooka" i powoli ciągnie go ku sobie. Nic nie zaszło. Św. Piotr patrząc na tę cienką, wiotką tyczkę z trzciny bambusowej robioną, na tę wprost niewidzialną nitkę, do której przyczepił ks. Wojak jakieś świecidełko, co skacze, zanurza się i płynie, nie mógł sobie wykalkulować, jak to można na coś podobnego rybę złowić. Sieć z silnej nici pleciona, zapuszczona na głębię i to w miejscu przez Pana Jezusa wybranym, dawała połów niezwykły, ale aby na to pieścidełko i na tę witkę rybę złowić, tego już stary Niebieski Rybak pojąć nie mógł. Dlatego też z tym większym zaciekawieniem patrzał, co będzie i wcale niedwuznacznie głową kręcił.

Po kilku rzutach na głębsze wody ks. Wojak przekonał się, że "muskies" trzymały się bliżej brzegu, wśród sitowia i szerokolistnych lilii wodnych. Tam w owej porze szczupaki czuwały na żer, na owady i płoche rybki lub żaby. Więc też z wielką wprawą rzucił wabika na malutką wodną polankę, którą zauważył na skraju szerokolistnych irysów wodnych. Nagle się zakotłowało. Wikliny, liście, żółte kwiaty lilii, niby wichrem uderzone, gwałtownie się poruszyły, a na powierzchnię wydobywał się muł czarny. To "muskie," niby torpeda, sunął za umykającym pławikiem, co skakał i błyszczał na tafli wody. Szczupak szedł z takim pędem, że wyskoczył z wody i z błyskawiczną szybkością rzucił się na swą ofiarę.

Momentalnie zawrzała walka między trzydziesto-funtowym szczupakiem a mistrzem rybackim. Równocześnie dzieliła i łączyła ich cieniutka a jak pióro lekka, giętka tyczka, do której przymocowana szpulka z warkotem się obracała, wypuszczając zwoje cienkiej, a silnej nadzwyczaj nitki. Szczupak pędził na głębię, następnie zawracał ku brzegowi, to rzucał się w powietrze, szarpiąc roztwartym pyskiem, aby się tego piekielnego haka wyzbyć. Ks. Wojak natomiast z całym skupieniem, niby mistrz w fechtunku, zimną prowadzi walkę, według wszelkich przyjętych form sportowskich. Gdy trzeba, nagle szybko zwijał wędkę, którą szpulka układała niby nić na kłębku, to znów gdy ryba w przeciwną uderzała stronę, "dawał jej linkę," ale z pewnym napięciem czyli "drag," gdyż to wyczerpywało w łuskę opancerzonego przeciwnika.

Już blisko pół godziny trwała walka ryby z rybakiem, tak on jak i ona używali wszelkich sposobów, aby celu dopiąć, boć ryba walczyła

o życie, ten zaś chciał zdobyć nagrodę rybacką za pochwycenie największego okazu.

Św. Piotr tak się tą walką przejął, tak w nim zagrały nerwy starego rybaka, że zapomniał o wszystkim, wprost podskakiwał z niecierpliwości i gotów już był chwycić za tyczkę, tylko się bał, że się ona złamie, gdyż i tak cała, jak pałąk, zgięła się do wody. Ale doskonały przyrząd rybacki, silna nić, znakomita szpulka i tyczka lekka a giętka ani raz nie dały folgi szczupakowi, by mógł niebezpiczny hak z pyska wypluć. Po półgodzinnej walce w podrygach, rzucając się w tę i w ową stronę, wyczerpany z sił, zbliżał się szczupak ku łodzi. Wspaniały okaz błyszczał na powierzchni. Jeszcze tylko kilka stóp, a zdradliwa sieć zabierze go do łódki. Z łodzi wystawało wiosło, które przy ciągłym gibotaniu i szamotaniu się wpadło do wody. Zauważył to szczupak. Była to dla niego jedyna deska ratunku. Rzucił się gwałtownie, zahaczył linką o wiosło, targnął ostatkiem sił, wyrwał kawał własnej szczęki wraz z hakiem i wolny ruszył na głębie...

Św. Piotr aż się za głowę chwycił i mimowoli kilkakrotnie stłumionym głosem zawołał: — Aj, Aj, Aj. Myślał, że ks. Wojak jak to zwykle inni rybacy czynią, przynajmniej siarczyście zaklnie, że mu tak wspaniały okaz się zerwał. Ale ten nic. A raczej w duszy sobie powiedział: "No świetnie walczyłeś o życie, boć życie każdemu — nawet rybie — jest słodkie i miłe. Wygrałeś i daj ci Boże zdrowie."

Św. Piotr zdumiał się, gdy te myśli rybaka odczytał. Głową kręcił i za uchem się drapał, boć i jemu na myśl przyszła chwila, gdy to "wielki połów mieli tak, iż się sieci rwały," a te najpiękniejsze okazy, które można było spieniężyć, z powrotem do jeziora Genezaret uciekały...

Dopiero teraz mu się przypomniało, że przecież on obowiązków swoich zaniedbał, więc czym prędzej do podwoi niebieskich spieszył, by go czasem Pan Jezus przy zaniedbaniu swych powinności nie przyłapał i jakich wyrzutów nie czynił, co mu się już kilkakrotnie przytrafiło.

W międzyczasie u podwoi niebieskich zebrały się tłumy kandydatów, gdyż śmierć bez ustanku pracuje. Jak zwykle, przeważali biedacy, ubodzy i wszelkiego gatunku nieszczęśliwcy, którzy z pokorą i cierpliwością wielką czekali na zmiłowanie Boże. Św. Piotr zaraz kazał ich wpuścić i odpowiednio rozlokwać, aby zaznali szczęśliwości wiecznej, na którą i życiem cnotliwym i cierpieniem i modlitwą i pokutą zasłużyli.

Była tam także niewielka gromadka ziemskiej elity, co tu wszelkich honorów doznawała, ludzi w bogatych strojach, z książęcymi herbami, co to lud biedny nieraz krzywdzili. Nawet znalazło się

kilku dostojników Kościoła, co to niby "wielkie zasługi" mieli, co godności posiadali, a nawet na piersiach niektórych z nich błyszczały złote krzyże, ordery, doktoraty, jakoby za zasługi i wiedzę zyskane. Z niezadowolenia wielkiego, że im św. Piotr natychmiast podwoi niebieskich nie otworzył, głośno nań szemrali. Gdy zaś ten, na tych jegomościów popatrzał, zachmurzył czoło i skry oburzenia sypały się mu z oczu , a słowa ostre, jak świst rózgi, padały z ust jego. — To wy się do bram niebieskich dobijacie?! To wy się wprost napieracie, żeby was tu wpuścić?! Zaco?! — Wyście pracowali nie dla Chrystusa, ale dla własnej chwały i ambicji. Toście wy złote krzyże i brylantowe ordery do piersi sobie przypięli i idziecie do Tego, co drewniany krzyż za was i za odkupienie świata nosił?!... To wy w bogate szaty ubrani dobijacie się do Tego, który nago na krzyżu zawisł?!... To wy ze wspaniałych pałaców, w bogatych trumnach pochowani, szukacie teraz Tego, co nie miał miejsca, gdzieby głowę skłonił!! Toć ja jego Apostoł, nie śmiałem nawet na Jego krzyżu umierać, ale kazałem się głową na dół ukrzyżować, boć niegodnym Apostołem byłem!"...

Nagle popłoch zapanował wśród niebieskich pretendentów, gdyż widzieli, że dla nich wszystko stracone.

— Nie dla was tu miejsce — wołał ów miły Klucznik niebieski. Otrzymaliście już swą nagrodę i teraz wraz z herbami, wraz ze złotymi krzyżami idźcie na męki, aby odpokutować za przewinienia i za tę pychę, za wyzysk biednego ludu!

Przywołał też Klucznik niebieski anioła, co księgi utrzymuje, i takie mu dał zlecenia. — Widzisz tego księdza, co tam spokojnie ryby łowi?... Wcale mi na tym nie zależy, aby tu przed czasem przybył, boć już przeszło trzydzieści lat dobrą robotę w parafii prowadzi. Teraz o uczciwych księży trudno, bo zamiast ludzi ducha, ludzi gorliwych, ludzi świątobliwych to seminaria wysyłają w świat nie apostołów, ale karierowiczów, co to o wygody dbają, co to tylko pieniędzy i przyjemności pragną!! — Więc też niech pracuje jak najdłużej, a gdy wreszcie nadejdzie chwila, gdy tu do podwoi niebieskich zapuka, to mnie zaraz o tym powiadomisz, boć to dobry łowca dusz i niezrównany rybak był, więc też chcę go sam do nieba wprowadzić, Panu Jezusowi przedstawić i do komitywy rybackiej zaliczyć"!...

Anioł się skłonił, coś w księdze żywota zanotował i odszedł...

— Tak śpisz aż chrapisz — odzywa się miły głos gospodarza, — który co tylko wrócił z konfesjonału, gdyż jak zwykle w sobotę dużo mieli spowiedzi.

—Psia kość słoniowa, toś ty mi taki cudowny sen przerwał!...

ROZDZIAŁ XXIV.

## Muzeum Zjednoczenia - Kolegium św. Jana Kantego Cambridge Springs - Buffalo.

Po dwudniowym pobycie opuściliśmy gościnne progi ks. Wojaka. Gościnne tym więcej, bośmy na polskim weselu byli i jak powiedział któryś z naszych pisarzy: "stare wina i smaczne miody pili," chociaż w tym wypadku była to... zwykła wódka i piwo.

Jechaliśmy wzdłuż rzeki Wisconsin. W kilku miejscowościach wznoszą się kadłuby ogromnych papierni, a w powietrzu rozchodziła się nieprzyjemna woń chemikaliów niezbędnych do wyrobu papieru. Za godzinę przybyliśmy do Stevens Point, bardzo starej siedziby polskiej. Trzeba było chociaż kilka godzin spędzić w towarzystwie miłych kolegów: księży Juliusza Chylińskiego i Franciszka Nowaka, którzy tu już od wielu lat pracują na polu religijnym i społecznym. Tak jedna jak i druga parafia tutejsza jest wzorowo prowadzona, chociaż, jak mi się obaj proboszczowie skarżyli, trudno wśród młodzieży utrzymać język polski. A jednak panuje w Stevens Point solidarność narodowa do tego stopnia, że niemal wszystkie ważniejsze urzędy miejskie, a nawet powiatowe są w rękach Polaków. Tu przed laty powstała liczna kolonia kaszubska. Podczas jednej z kampanii wyborczych, przed głosowaniem na kandydatów radzono się starego pioniera Kaszuby, co on sądzi o kandydatach, ubiegających się o urząd burmistrza?! Ten powstał i taką wygłosił orację: "Braco, ma wima, co ma moma, a ma nie wima, co ma dostanima." To krótkie, w tak miłym kaszubskim narzeczu wypowiedziane zdanie zadecydowało o wyborach.

Nie mogłem także pominąć miłego, a bardzo światłego towarzysza podróży do Polski na wszechświatowy zjazd Polaków, p. Ernesta Liljena. Cichy to, spokojny, a dobroduszny człowiek a dzielny pracownik na niwie dziennikarskiej. Pan Liljen jest, jak się zdaje, Lwowianinem, więc też dobrze pamiętam wzruszenie, jakie się na jego twarzy malowało, gdy po wielu latach z grupą dziennikarzy wrócił w gościnne progi Lwiego Grodu. Zresztą człowiek, który się zajmuje kwiatami, który sadzi drzewa, pracuje w ogródku posuchą spalonym, który boleje nad każdym uschłym kwiatkiem i krzewem,

wypisuje sobie u mnie świadectwo bardzo szlachetnego człowieka. Spotkaliśmy tu także p. Wrotnowskiego, byłego redaktora "Jaskółki," jedynego swego czasu ilustrowanego czasopisma w Ameryce redagowanego w polskim języku. Obaj redaktorzy pracowali wtenczas w starym i szeroko rozpowszechnionym tygodniku — "Gwiazda Polarna" i lokalnym "Rolniku." Chętnie spędziłbym z nimi na miłej pogawędce i dzień cały, tym więcej, że to było przy niedzieli, a w dodatku pani domu podejmowała nas z iście staropolską gościnnością. Niestety, czas ograniczony, gdyż trzeba było także odwiedzić w okolicy Plover genialnego wirtuoza polskiego, p. Eug. Walkiewicza. Skomponował on już nuty na kilkadziesiąt mszy św., dostosowanych do śpiewu gregoriańskiego. Teraz pracuje nad wykończeniem opery polskiej p. t. "Chłopi," osnutej na tle arcydzieła niedawno zmarłego pisarza polskiego, Władysława Reymonta. Ale jak to zwykle bywa, za życia człek bieduje, a dopiero po śmierci złożą mu laury i stawiać będą pomniki.

Następnym postojem było Chicago. Zatrzymałem się tu kilka dni "incognito" u bardzo gościnnego, a zaciętego szermierza sprawy polskiej, ks. komandora Ludwika Grudzińskiego. Nawet kolegów po piórze nie odwiedziłem, a tymbardziej licznego grona przyjaciół. Każdy bowiem zaprasza, podejmuje, każdy chciałby jakiś festyn urządzić i serce szczere w ofierze złożyć, a tu ani czasu ani sił nie starczy na te przyjemności.

Zwiedziłem jednakowoż nowo założone, a bardzo dla nas cenne muzeum Zjednoczenia Polsko-Rzymsko-Katolickiego. Kustoszem jego jest szeroko znany autor i archiwista polski, p. Mieczysław Haiman. Ogromnie to miły, cichy, a pracowity człowiek. Wciąż szpera po bibliotekach i starych foliałach, szukając tam wzmianki o pionierach polskich. Z jego źródłowych prac dowiadujemy się, że już w zaraniu historii amerykańskiej było tu dużo Polaków. Przybyli oni tu z pierwszymi kolonistami do Jamestown. Setki Polaków brało udział w wojnie o niepodległość. Z czasów wojny domowej na spisie żołnierzy p. Haiman znalazł tysiące nazwisk polskich. Przez swą źródłową pracę oddaje on sprawie polskiej niepospolite usługi.

Jako kurator muzeum z gruntowną znajomością rzeczy zebrał tu bardzo cenny materiał o życiu i pracy wychodztwa polskiego. Pełno tu zapisków, oryginalnych dokumentów tak w polskim, jak również w angielskim języku. Wciąż napływają nowe dokumenty i cenne pamiątki dotyczące historii wychodztwa polskiego. Sam nawet, gdy się tylko uporam z podróżą, poślę mu do muzeum parę relikwii polskich — może niezwykłych — bo kawałek drzewa z szubienicy, na której Moskale wieszali Polaków w Cytadeli warszawskiej i kawałek krwią zbroczonego drzewa, pod którym ich rozstrzeliwali Niemcy.

Niech to będzie pamiątką i wskazówką dla przyszłych pokoleń, że za wolność, za język, za ideały narodu płaci się cierpieniem, krwią i życiem!

Zjednoczenie P. R. K. zakładając Muzeum z poważnym nakładem pracy i pieniędzy, wielką i bardzo cenną oddaje usługę sprawie polskiej. "Każdy kto tam idzie — a warto iść — z zachwyceniem o nim mówi. Jeden z gości pisze w "Dzienniku dla Wszystkich" z Buffalo: "To piękna rzecz, to wielkie dzieło."

"Ale nie wszyscy mieli sposobność zwiedzić muzeum i archiwum, i może jej nigdy mieć nie będą. Może więc przy pomocy druku i odrobiny wyobraźni zechcą odbyć krótką wycieczkę do Muzeum.

"Czy warto?" Z pewnością że tak. Otóż już drzwi Muzeum mimowoli pociągają oko widza. Zdobi je naczółek z pięknym orłem polskim, dzieło Adama Dąbrowskiego z Chicago.

"Wchodzimy do westybulu. Tu stoi stolik z księgą pamiątkową, w której wpisują się goście, a nad nim, w niszy, prześliczna statua Boskiego Serca Jezusa, patrona Zjednoczenia, rzeźbiona w kolorowym marmurze. Jest to dar Osad Zjednoczenia z Chicago i okolicy.

" Z westybulu przechodzimy do małego pokoju, którego główną ozdobę stanowi naturalnej wielkości figura Hallerczyka, w oryginalnym mundurze i uzbrojeniu, darowana przez rząd francuski.

"Już z tego miejsca mamy piękny widok na główną salę muzealną. Każdemu z gości rzuca się w niej w oczy przedewszystkim wspaniały biust Mistrza Paderewskiego, wysokości 6 stóp, dłuta B. Jendryka z Chicago, na tle olbrzymiej flagi służbowej Zjednoczenia, ozdobionej blisko 3,000 gwiazd, tylu bowiem Zjednoczeńców walczyło w wojnie światowej w armii amerykańskiej i polskiej. Obok biustu są dwie mitraliezy typu używanego przez armię polską we Francji.

"Środek prawego skrzydła sali zajmuje ściana, a w niej murowane szafy, zawierające część biblioteki archiwalnej. Są tu przedewszystkim "polonica" w języku angielskim, wśród których są liczne "białe kruki." Dalej idą dzieła pisarzy polsko-amerykańskich, wreszcie tomy czasopism polsko-amerykańskich. Muzeum dąży do tego, aby zebrać to wszystko, co było pisane w języku angielskim o Polsce i Polakach, oraz wszystko, co Polacy w Ameryce kiedykolwiek pisali i wydali drukiem. Szczególnie uwzględnione są dzieje Polonii amerykańskiej. Biblioteka archiwalna liczy przeszło 2,000 tomów i często korzystają z niej badacze dziejów.

"Przeciwległą ścianę i środek tej części sali zajmują gablotki. Tu jest zgromadzona część kolekcyj Dr. K. H. Wachtla, znanego tu powszechnie dziennikarza. Zwracają w niej uwagę rękopisy, wśród których są Sienkiewicza i innych znakomitych osób, medale i medaliony, odznaki wojska polskiego, kolekcja rzadkich książek, wreszcie

pomiątki po Helenie Modrzejewskiej. Z zaciekawieniem ogląda się każdy wachlarz wielkiej artystki, zauszoną gałązkę z wieńca na jej trumnie, jej autografy, fotografie, itp.

"Dalsze gablotki zawierają najstarsze druki polsko-amerykańskie, autografy Paderewskiego — powstańców z roku 1831, fotografie oficerów Polaków z wojny domowej, rzeczy tyczące Marszałka Piłsudskiego z jego dwoma autografami i liczne odznaki organizacyj wychodźczych. W osobnej gablotce są papiery, tyczące powstańców z roku 1831, którzy zostali deportowani przez Austrię do Stanów Zjednoczonych w roku 1834. Są tu też mundury sokole i Wojsk Polskich, stara broń i kolekcja Polskiego Białego Krzyża.

"Ściany tej części Muzeum zdobią oryginalne dzieła artystów polsko-amerykańskich. Wśród nich wyróżniają się W. T. Bendy "Sieroty syberyjskie," dar Dr. K. H. Wachtla, oraz drugi obraz Bendy, dar artysty, dwie prześliczne płaskorzeźby Chodzińskiego, obrazy Michała Rekuckiego, zwłaszcza znakomity jego "Górnik polski w Pennsylwanii," W. Krawca, W. Krassowskiego; obraz Kościuszki na koniu, sklejany z drobnych kawałeczków drzewa w naturalnych kolorach, wreszcie portret Arcyb. Cieplaka, pędzla S. Bakałowicza.

"Przejdźmy teraz do drugiej części sali. Uwagę gościa pociągają stacje z pierwszego kościoła w Ameryce, w Panna Maria, Tex., prawdziwie rzewna pamiątka po pionierach teksaskich. Pod stacjami jest gablotka, a w niej drzewo i gwoździe z tego pierwszego polskiego kościółka, oraz inne pamiątki po pionierach. Po bokach stoją stare pomniki ks. T. Gieryka i kap. J. Głoskowskiego, przeniesione do Muzeum z cmentarza w Radom, Ill. Środek zajmują znowu szuflady, w których złożono manuskrypty, stare monety, część kolekcyj starych gazet amerykańskich z artykułami o Polsce, jak magazyn "American Apollo" z r. 1792 z artykułem o królu Stanisławie Auguście, numer bardzo rzadkiej gazety "Massachusetts Spy" z roku 1794 z opisem powstania Kościuszki i. t. d.; część kolekcji starych nut amerykańskich na polskie tematy, wśród których są nuty Wojciecha Sowińskiego, kompozytora, ofiarowane Mickiewiczowi i przez Mickiewicza darowane żonie Jamesa Fenimore Coopera, z autografami; część kolekcji ciekawych "polonica" i wreszcie część kolekcji cennych i rzadkich rycin Kościuszki, datujących się od r. 1792 i 1794.

"Ściany tej części Muzeum zdobią oprawne fotografie z sejmów i obchodów polskich w Ameryce, naturalnej wielkości portret Jana Reszkego i inne ręcznie malowane lub rzeźbione portrety.

"Wracamy teraz ku lewemu skrzydłu sali muzealnej. W środku jest stół, przy którym często można widzieć tych, którzy w Muzeum czerpią wiedzę ze skarbnicy przeszłości. Przechodzimy obok pięknego obrazu Siostry M. Stanisii, starego portretu Kościuszki z przed r. 1833

i obrazu Tad. Żukotyńskiego, ucznia Matejki i jednego z dawnych malarzy polsko-amerykańskich. We wgłębieniu są dwie ruchome ramy zawierające setki fotografii osób i scen, związanych z życiem Polonii amerykańskiej. Fotografie te są przedmiotem dużego zaciekawienia zwiedzających, przypominają im bowiem dawne chwile i dawnych przyjaciół. W szufladach pod fotografiami są autografy, ryciny i inne cenne dokumenty. W następnych dwóch gablotkach jest kolekcja urn i adresów, nadesłanych z ziemią na kopiec Wilsona w Blossburg, Pa. Potym widzimy obraz króla Jana III, niesiony w pochodzie w Chicago, w r. 1883. Dalszą szafkę zajmuje kolekcja mundurów, broni, odznak, i. t. p. po ś. p. ks. Józefie Janowskim, kapelanie Armii Polskiej we Francji. W ostatnich dwóch gablotkach są stare mapy Polski, flagi bolszewickie i żydowska, zdobyte w Wilnie przez wojska Żeligowskiego, kawałek rozbitego aeroplanu St. Hausnera — księga z autografami niemal wszystkich współczesnych wybitnych osób w Polsce, urny z ziemią z grobu Dr. Wierzbickiego, pioniera Kalifornii, z kopca Kościuszki, z pod Wawelu, i inne pamiątki.

"Ogniotrwałe drzwi oddzielają Archiwum, znajdujące się po prawej stronie od wejścia. Te liczne księgi wielkich rozmiarów, to roczniki gazet polsko-amerykańskich. Za nimi idą szeregi czasopism polsko-amerykańskich, czekające na skompletowanie. Luźne numery, jakie nadsyłają ofiarodawcy do Muzeum, dużo przyczyniają się do wypełniania luk w tym zbiorze. Dalej widzimy setki pamiętników różnych parafii i towarzystw, dalszą część biblioteki archiwalnej i zbiory Wydziału Narodowego Polskiego. W szufladach leży jeszcze bogactwo materiałów. — Tu też znajdują tymczasowe schronienie pamiątki, czekające na trwałe i odpowiednie umieszczenie w sali muzealnej, jak szaty ś. p. Arcyb. Cieplaka, ofiarowane niedawno przez ks. prałata M. Orzechowskiego z Cleveland.

"Ktokolwiek z was będzie w Chicago, niechaj nie zaniedba zaglądnąć do Archiwum i Muzeum Zjednoczenia, aby tam "podumać, potęsknić nad pomnikiem sławy." — Chwila spędzona tam nie będzie stracona."

Tak opisał nieznany mi autor w "Dzienniku dla Wszystkich" ten cenny zabytek wychodźtwa.

Jadąc z Chicago ku domowi, wpadłem do Sylvania, Ohio, małego miasteczka, niemal na granicy stanu Michigan i Ohio, w pobliżu miasta Toledo.

Dwadzieścia lat temu na zaproszenia ks. biskupa Schrembsa przybyło do Sylvania czterdzieści kilka zakonnic polskich ze zgromadzenia św. Franciszka, z Rochester, Minn. Tu założyły polską prowincję. Zakupiły większą parcelę gruntu, na której znajdowało się wtenczas parę domków. Zbudowały tymczasowe szałasy i ochoczo,

niby młody rój z dzielną przełożoną, zabrały się do pracy. Zgromadzenie teraz liczy około trzysta Sióstr Zakonnych i kilkadziesiąt kandydatek. Zbudowano też skrzydło klasztoru kosztem dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. W tym gmachu w stylu "hiszpańskich misyj" znajduje się biblioteka, już bardzo zasobna w książki polskie i angielskie, kancelarie i sale wykładowe. W pobliżu zbudowano także bardzo piękną kapliczkę, na wzór tej, co się znajduje w Assyżu. Główną atrakcję kapliczki stanowi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

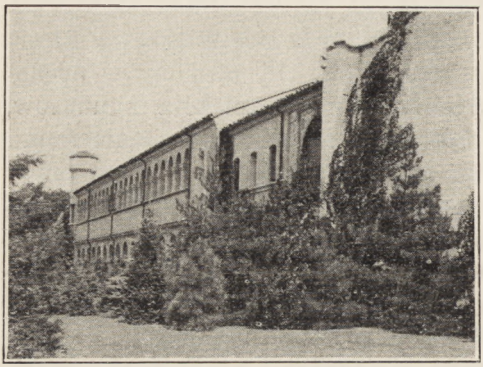

Klasztor Sióstr Franciszkanek w Sylvania, Ohio

Ponieważ był to czas rekolekcyj, więc też szczęśliwie zastałem kilka Sióstr, mych dawnych nauczycielek z Duluth, inne z Minneapolis, a były i takie, których od trzydziestu lat nie widziałem. Oprowadzały mnie po swym "majątku." Z dumą pokazywały sadzawkę, w której wśród różnokolorowych lilij wodnych pływały złotobrzuszne i srebrzyste rybki. Siostra Henryka, wybitny talent muzyczny, ma tę rybią trzodę w swej opiece. Zamiast je łowić wędką, ma ona pod ławeczką schowany mały dzwoneczek i zwołuje nim rybki na śniadanie. Na głos dzwonka ryby z całego stawiku spieszyły do siostry zakonnej i wprost jedna przez drugą ciśnęły się do jej ręki po kawałeczek opłatka. Co za żarłoki i jaka to miła rozrywka dla zakonnicy, która po uciążliwych lekcjach muzyki spieszyła do stawu, by je karmić.

Zakon Sióstr Franciszkanek pracuje w dwóch kierunkach, a mianowicie: w szkolnictwie i w szpitalnictwie. Ponieważ niektóre z sióstr otrzymały gruntowne wyszkolenie sanitariuszek czy też pielęgniarek w słynnym na cały świat szpitalu Panny Marii w Rochester, Minn., gdzie ordynują znani w świecie lekarskim doktorzy Mayo, więc też nic dziwnego, że do Sióstr zwracają się korporacje szpitalne, nawet niekatolickie, by objęły pieczę nad ich zakładami. Obecnie prowadzą one szpitale w Ohio i w Nebrasce, gdzie ordynariuszem jest nasz ks. Biskup Stanisław Bona. Tutejsze Siostry Franciszkanki zarządzają jedną z kalifornijskich misyj San Juan de Capistrano. A więc niemal po całym kraju można spotkać tę szarą, cichą, pracowitą polską zakonnicę.

Czyż to nie ciekawe, że nasze polskie zakonnice, które przecież tak skromne pobierają pensje, swą zgodną, intensywną pracą, swą oszczędnością, wprost rosną, jak przysłowiowe grzyby po deszczu?!

Warto, aby nasi "działacze" organizacyjni szli do sióstr zakonnych, jak ów leniwiec miał iść do mrówki, i niech tam się nauczą, jak właściwie należy dla dobra organizacji, dla dobra ludu polskiego pracować. Widocznie Bóg tej skromnej, a owocnej pracy naszych polskich zakonów błogosławi, bo czy to są Sistory Franciszkanki, czy Józefinki, czy Bernardynki, czy Felicjanki lub Nazaretanki — jednym słowem każdy polski zakon w Ameryce postępuje naprzód, rozwija się i zakłada nowe domy macierzyste.

W dalszej drodze zatrzymałem się w Cleveland, gdzie nic nowego nie zauważyłem. Wpadłem tam na parę dni, by odwiedzić i przy okazji złożyć wizytę towarzyszowi podróży do Polski, wydawcy "Wiadomości Codziennych," p. Pawłowi Kurdzielowi, a także memu światłemu z czasów szkolnych profesorowi łaciny i greki, p. Tomaszowi Siemiradzkiemu. Świetny to był profesor. Już sam fakt, że nas uczył jedenaście godzin łaciny na tydzień, a tylko jedną greki, niezbicie wykazuje, że należy mu się dozgonna wdzięczność ze strony jego uczniów. Trzymał się on zasady: — ponieważ wielu z nas przygotowywało się do stanu kapłańskiego, łacina była nam potrzebniejsza, niż greka. Miał rację. Oby mu za to dobry Bóg tak nie pamiętał grzechów, tak jak ja nie pamiętam... greki! Po czterech latach mąk tantalusowych, jakie przechodziłem z "greczyzną," gdyż nawet w seminarium w St. Paul mnie tym językiem prześladowano, dziś nie pamiętam nawet alfabetu. A więc co do greki, panie profesorze, wielki sukces. To też jest zanotowania godne, że gdy przed laty czterdziestu po raz pierwszy widziałem profesora Siemiradzkiego, przechadzającego się po ogrodzie ze ś. p. ks. rektorem W. Buhaczkowskim, zauważyłem w nim człowieka starszego, jednego z tych, jak nam mówiono co to spiskową robotę wśród studentów i ludu w zaborach prowadzili. Teraz po czterdziestu latach odmłodniał on i co jeszcze ważniejsze — wypiękniał. Nie wygląda na zgrzybiałego profesora, ale raczej na międzynarodowego bankiera, a co najmniej, na wielkiego dygnitarza lub dyplomatę. Daj mu Boże zdrowie, bo chociaż się tym przechwala, że już ośmdziesiątkę goni, nie wygląda na to. Jestem przekonany, że jeszcze długie lata będzie pracował piórem dla wychodztwa.

Odwiedziłem tu także byłego oficera rekrutacyjnego, p. Jana Przyprawę, naczelnego redaktora "Monitora." Ten znów w poczytnym dzienniku piórem, niby ułańską szablą, rąbie się ze swymi politycznymi antagonistami.

Chociaż Polonia w Cleveland co do życia narodowego nie jest na tym poziomie, na jakim chcielibyśmy ją widzieć, jednak dotąd utrzymują się tam dwa codzienne czasopisma, czego nie można powiedzieć o daleko większych osadach polskich.

Co do życia narodowego, nie można się zbytnio zachwycać tą jedną z najstarszych i poniekąd największych osad polskich. Przedewszystkiem, Polacy są tu po całym mieście rozrzuceni. Trudno się im zebrać i wystąpić masowo na uroczystościach narodowych, przytym brak im przywódców duchownych, jak i świeckich. Smutne afery niektórych z wybitnych działaczy poderwały zaufanie ludu i bardzo osłabiły to kiedyś tak bujne życie narodowe Klewelandczyków.

Kilkadziesiąt mil na wschód od Cleveland, nad brzegiem jeziora, znajduje się bardzo stare miasto Erie. Tysiące Polaków skupia się tam przy czterech dużych parafiach. Wpadliśmy więc na chwilkę do znanego powszechnie działacza i hojnego ofiarodawcy na cele narodowe i oświatowe, ks. Niedbalskiego, który wraz ze swym wikarym ks. J. Cebelińskim, także dzielnym Polusem, utrzymuje tu ducha i tradycje polskie.

Kolegium św. Jana Kantego pod kierownictwem Ks. Misjonarzy zostało zbudowane na przedmieściu Erie. Już od ćwierć wieku prowadzi znakomitą pracę wychowawczą wśród młodzieży wychodźczej. Pojechaliśmy więc odwiedzić zakład i znajomych księży profesorów. Kolegium ma przed sobą ważne i wzniosłe zadanie, byle tylko Wychodźtwo je zrozumiało i poparło.

Kolegium św. Jana Kantego w wychowaniu zastępów polskiej młodzieży bardzo dodatnią odegrało rolę i ma jeszcze przed sobą bardzo wzniosłe, poważne zadania. Gmach wspaniały, obszerny, wygodny, czyściutki. Przy nim duże pole atletyczne, pełno tu drzew, które tysiącami całymi sadził nasz kochany, zacny, mnie tak bliski, ks. Józef Janowski, któremu zawsze "Józek" mówiłem, boć to taki szczery, serdeczny, a gorliwy kapłan, jakiego rzadko znaleźć. To jeden z pierwszych kapelanów armii polskiej, to jeden z pierwszych profesorów zakładu, to jeden z tych apostołów polskich, co szedł wszerz i wzdłuż kraju, głosząc Słowo Boże i zachęcając do pracy narodowej. Wojnę we Francjii przebył. Całą kampanię bolszewicką przeszedł. Na wszystkich frontach losy żołnierza polskiego dzielił, a o swych przygodach wojennych to nieraz całymi nocami opowiadał. A że był to "Poznaniok" twardy, na szwabów zawzięty, jak osa, więc też zawsze nasze długie pogadanki zaczynały się od tego:—"Stasiu, powiadom ci," przytem pykał z fajeczki

Fragment Kolegium św. Jana Kantego w Erie, Pa.

i opowiadał, jak to było hen pod Berezyną, na Wołyniu, czy też we Francji... Biedaczysko już od dłuższego czasu ciężko chorował na serce i w kilka miesięcy umarł. Szkoda tak cennego i pracowitego kapłana, boć to był mól nie człowiek. Wciąż mruczał, wciąż skrzeczał, wciąż narzekał, a wiem dobrze, że im bardziej skrzebolił, tym więcej pracował.

... Jak świeca dogasał ks. Janowski. Zastałem go w łóżku, z koronką w ręku. Zbliżał się ku końcowi swego pożytecznego żywota i iście apostolskiej pracy. Godzi się więc aby mu te kilka słów poświęcić, boć niezwykły to był kapłan i niepospolity Polak.

Pięćdziesiąt lat temu, gdy groźny kulturkampf pod zaborem pruskim chciał z korzeniem wyrwać język i ducha polskiego, mały Józio też stał się jego ofiarą i pastwą.

Do biednej chaty, w okolicach miasteczka Buku, w Poznańskim, wracał z płaczem ze szkoły mały Józio.

— Co ci się stało, że tak płaczesz — pytała matka, wdowa?

— Proszę mamusi, nauczyciel mnie dziś strasznie skatował w szkole.

— Za co cię tak wybił?

— Za polski język, za to, że w szkole po polsku rozmawiałem.

Biedne matczysko rozebrało chłopaka i widzi, że cały posiniony i pokrwawiony przez pruskiego nauczyciela. Cóż mogła biedaczka na tę krzywdę i niesłuszną chłostę poradzić?!... Ale, kazała mu uklęknąć i przyrzec że przez całe życie będzie się codziennie modlił do Boga, aby pokarał butę Prusaków i pomścił krzywdę, jaką wyrządzają nietylko jej dziecku, ale wszystkim polskim dzieciom i całemu narodowi. Mały Józio przysięgi dotrzymał i codziennie się modlił o poskromienie zajadłych Niemców.

Mijały lata... "Józio" poszedł do Krakowa na dalsze studia, boć tam wolno mu było uczyć się i mówić po polsku. Poszedł na uniwersytet Jagielloński, wstąpił do zgromadzenia Księży Misjonarzy. Przez pewien czas spełniał obowiązki katechety, następnie z polecenia przełożonych wyjechał do Stanów Zjednocznych, by tu wśród szerokich mas wychodźczych prowadzić robotę misyjną, a zarazem narodową.

Przejechał on wszerz i wzdłuż kraj cały. Zwiedził setki osad polskich, a gdziekolwiek wypadło mu głosić słowo Boże, tam też rozpalał w sercach słuchaczy miłość do Polski i do polskiej mowy.

Gdy Księża Misjonarze za jego to inicjatywą rozpoczęli na przedmieściach Erie budowę polskiego kolegium, ks. Janowski z zapałem stanął do zbożnej pracy. Jeździł po osadach i kolektował pieniądze na budowę zakładu. Zebrał czternaście tysięcy dolarów na rozpoczęcie budowy, a następnie ściągał znów gromady uczniów do kolegium, by

się tu kształcili w duchu katolickim i narodowym. Był on też jednym z pierwszych profesorów i katechetów zakładu.

W wolnych chwilach od pracy, na gruntach kolegialnych sadził drzewka. Sadził ich setki... tysiące. Ogromnie kochał drzewa. Z zamiłowaniem sadził kwiaty, boć była to taka czysta, nieskazitelna dusza. Cieszył się każdej choince, cedrowi każdemu kwiatkowi... Czuł się tu w swym żywiole, boć do serc młodzieńczych rzucał ziarno Wiary i ducha polskiego, a w ziemi sadził kwiaty i drzewa... Co wieczór jednak nie zapominał o przysiędze danej matce i nigdy przez całe życie nie zapomniał o pacierzu o wolność Polski i poskromienie potęgi niemieckej.

Mijały lata, nadeszła wojna...

Z Paryża przyszedł zew do biskupa Rhodego, byśmy z Ameryki wysłali kilku kapelanów do tworzącej się armii polskiej. Ks. Janowski jeden z pierwszych zgłosił się na ochotnika do Niagara on the Lake. Wstąpił w niego nowy duch. Pomagał budować szałasy, szedł na ćwiczenia rekrutów, zachęcał, pocieszał, urządzał odczyty, odprawiał nabożeństwa, głosił kazania, do konfratrów apelował o papierosy i inne przysmaki dla żołnierzy. Cenił tytoń, boć sam wciąż pykał fajeczkę lub cygaro.

Z pierwszymi transportami pojechał do Francji. Tam jeszcze intensywniej pracował, walcząc zacięcie z polskim Ku Klux Klanem.

— Co ty rozumiesz przez — polski Ku Klux Klan, pytam go?

— Widzisz, Stasiu, te trzy litery "K" znaczą — Kaśka, karta i kieliszek. Chciałbym to wykorzenić w mym pułku.

W Polsce taksamo dzielił losy i dolę żołnierza. Był ze swym pułkiem aż hen koło Mińska, towarzyszył mu daleko na Ukrainę, z Błękitną Armią szedł na Śląsk i na Pomorze. Przypuszczam, że to były najradośniejsze momenty w jego życiu, gdy widział pruską potęgę złamaną.

Po wojnie bolszewickiej z ostatnimi transportami wrócił do Stanów Zjednoczonych. Objął probostwo w New Haven. Zbudował tam piękną szkołę i wspaniałą salę na posiedzenia, na wiece, przedstawienia amatorskie, by w ten sposób utrzymać i krzewić ducha polskiego. Robotnik to był niestrudzony. Wciąż narzekał, wciąż się skarżył — jak on da sobie radę? Znając go dobrze, wiedziałem, że wszystko szło jak z płatka. Tam też obchodził srebrny jubileusz kapłaństwa.

Na własne życzenie przeniesiono go do mniejszej parafii w Ansonii, rzekomo szedł tam "na wypoczynek." Miał tam większy kawał pola. Trudne było nowe zadanie. Ale niezmordowany ks. Janowski z entuzjazmem młodzieńca zabrał się do pracy. Nietylko że szkołę upiększył, kościół w paramenta zaopatrzył, ale całą duszę wylał na ten kawał nieurodzajnego piasku.

Przyjeżdżam z wizytą do niego i nie mogłem poznać tego pustkowia. Wszędzie szerokie ścieżki, tu na postumencie piękna statua, jary obsadzone sosnami, przy plebanii i kościele rzędy świerków, niby w parku.

— Józek, mówię mu — teraz pobuduj jeszcze małą forteczkę, trochę worków z piaskiem i jakiś... karabinek maszynowy, a wtenczas będziesz miał wszystko, czego dusza twoja pragnie. Tak, żołnierz to był Chrystusowy, ale także i bojownik polski...

Zdrowie stargane trudami wojennymi i pracą misyjną oraz duszpasterską niestety nie dopisywało. Coraz częściej zapadał, nareszcie wrócił do Kolegium, które pomógł zbudować, by tu spocząć i żywota dokonać. Tu też znalazłem go z koronką w ręce, zapewne w skrytości spełniał przyrzeczenie dane matce...

Spokojnie w murach zakładu dogorywał jego projektodawca i poniekąd założyciel. Widząc, że wśród wychodztwa działali przeróżni ex-zakonnicy i księża, którzy dla rozmaitych powodów zniewoleni byli do opuszczenia kraju, a wśród świeckich działaczy pełno znów było ludzi wykolejonych, częstokroć z rekordem kryminalnym, przyszedł do przekonania, że na gwałt trzeba tu przygotowywać zastępy inteligencji świeckiej i duchownej, już tu urodzonej i wychowanej, odpowiadającej warunkom amerykańskim. Przez podwoje tego zakładu w ćwierćwiekowej pracy ks. Misjonarzy przeszły liczne zastępy młodzieży polskiej. Wielu z nich — to ludzie teraz na wybitnych stanowiskach tak świeckich jak i duchownych. Kolegium św. Jana Kantego jest poniekąd pomnikiem tego niepospolitego kapłana — Polaka.

Już spoczął po trudach trzydziestoletniej pracy kapłańskiej... Wrócił do swoich w Ansonii i tam wśród ludu polskiego spoczął ich duszpasterz. Nad jego grobem smętnie pieśń żałobną nucą świerki i cedry, które za życia tak kochał i sadził... Świetlana to postać wzorowego kapłana, dzielnego Polaka, niestrudzonego żołnierza i bojownika! Jego zasłudze — Cześć!!..

W Kolegium był wtenczas nasz dawny sąsiad, a obecny wizytator, powszechnie znany ks. Mazurkiewicz. Także trochę niedomaga, boć ludzie, nawet ci najsilniejsi, ci najbardziej zahartowani z czasem się zużywają. Chociaż u nich zawsze jest najlepsza chęć do pracy, to sił braknie i trzeba spocząć po wieloletnich trudach. Przemiły ks. Sadowski, obecny rektor, przyjął nas gościnnie, zakład i obejście pokazał a z ks. Wójciakiem do później nocy gawędziliśmy na temat naszego dziennikarstwa.

Najwięcej interesowała mnie drukarnia "Skarbu Rodziny," miesięcznika wydawanego przez Księży Misjonarzy. Szkoda, że pismo

tak poczytne, dobrze redagowane nie posiada większej cyrkulacji, gdyż zasługuje sobie na to. Lud nasz, a szczególnie młodzież czasopisma polskiego nie docenia.

Rzemiennym dyszlem wlekliśmy się do Cambridge Springs, dawnego miejsca leczniczego. Teraz Związek Narodowy Polski prowadzi tu od ćwierć wieku szkołę wyższą. Przed paru laty z dymem pożarów poszedł stary hotel, przerobiony na szkołę, a z nim poszły także bardzo cenne pamiątki i dokumenty, odnoszące się do życia i pracy Wychodźtwa. Na popiołach wyrasta teraz nowy zakład, zastosowany do nowoczesnych potrzeb kształcącej się młodzieży. Zamieszczam tu obrazek już trzeciego z rzędu gmachu, którego budowę teraz napoczęto. Plany przygotował polski architekt p. H. Ludorf. Koszta budowy z urządzeniem będą wynosiły blisko ćwierć miliona dolarów.

Oczywiście nie mogłem pominąć tak świetnej sposobności do zwiedzenia zakładu. W małym miasteczku, tonącym w zieleni drzew,

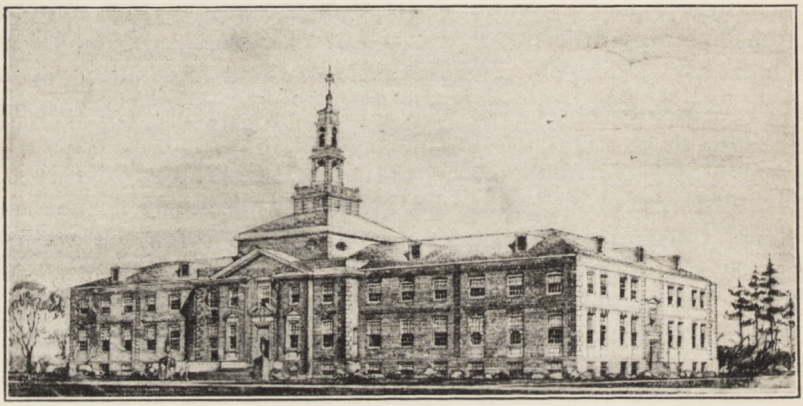

Nowy gmach Szkoły Związkowej w Cambridge Springs, Pa.

pytam się, gdzie się znajduje Kolegium. Wskazano mi drogę i za parę minut znalazłem się na wzgórzu, z którego widok rozciągał się nie tylko na miasteczko, u stóp położone, ale także na szeroko ciągnące się doliny, zielenią pokryte pagórki upstrzone zabudowaniami farmerskimi.

Zajechałem do pierwszego z brzegu, nowego, murowanego gmachu, i tu zastałem przy pracy arcy miłego zarządcę p. Stęczyńskiego. Jest to "powaga" w znaczeniu fizycznym i moralnym. Fizycznym, gdyż waży blisko trzysta funtów i chełpi się tym, że już ze siedmdziesiątką zawarł bliższą znajomość, chociaż mimo wieku i wagi, jest to człowiek pełen energii i życia. Jest to również "powaga" w sensie duchowym, gdyż należy do tej już niewielkiej garstki starych związkowych działaczy, co tu na niwie amerykańskiej z ogrom-

nym entuzjazmem i energią rozpalali w emigrancie i w jego pokoleniach znicz polskich ideałów i mowy ojczystej. Niestety — już niewielu z tych starych działaczy pozostało. Społeczeństwo nasze bardzo odczuwa potrzebę ludzi tego pokroju co p. Stęczyński.

Siedział przy biurku w swej kancelarii i z jakimś jegomościem załatwiał sprawy zakupów dla zakładu. On tu właśnie jest tym "watchdogiem" czyli strażnikiem szkoły związkowej i pod jego czujnym okiem jedna śrubka ani ołówek nie zaginie. Od założenia zakładu zajmuje on stanowisko zarządcy i mam nadzieję, że jeszcze długo z pożytkiem będzie służył tej pięknej instytucji.

Gdym się przedstawił, natychmiast porzucił p. Stęczyński tamtego jegomościa, chwycił mnie w swe potężne ramiona, serdecznie powitał i całkiem oddał się do mej dyspozycji. Wszędzie zaprowadził, wszystko pokazał i objaśnił.

W pierwszym gmachu murowanym, solidnym i we wzorowym stanie utrzymanym, znajdują się kancelarie, sale przyjęć, przeróżne biura i sale wykładowe. Na korytarzach podłogi z terazzy, a ściany z cegły, żółtą emalią pociągniętej, nadzwyczaj trwałej, a przytym można ją łatwo zmyć i czysto utrzymać.

Narazie są dwa murowane gmachy. Trzeci mają teraz budować. Drugi budynek także z czerwonej cegły, zawiera sale wykładowe. Szczególnie zaciekawiła mnie sala chemiczna, z najnowszymi urządzeniami technicznymi do przeprowadzania doświadczeń chemicznych, szklane szafy i gablotki zawierają chemikalia, mikroskopy i okazy biologiczne, potrzebne do nauk przyrodniczych. W tym gmachu znajduje się większa sala na zebrania, bogato wyposażona biblioteka i czytelnia.

Jeden z miłych współpracowników pokazywał mi tomy całe wycinków z gazet, odnoszących się do pracy narodowej Wychodźtwa. Uważam to za nader cenną robotę. Z czasem Polska może więcej zajmie się Wychodźtwem i będzie się dowiadywała o jego początkach, jego rozwoju, życiu, jednym słowem — o wszystkim, cośmy tu robili, do czegośmy dążyli i czego pragniemy. Dzięki Wczechświatowemu Związkowi Polaków, ta współpraca Macierzy z Wychodźtwem weszła już na dobre tory i mam nadzieję, że wyda jak najlepsze rezultaty. Wszelkie dokumenty, zapiski, wycinki w Muzeum Związkowym składane, będą kiedyś nieocenionym materiałem, dotyczącym także Wydziału Narodowego i tworzenia Armii Ochotniczej.

Zwiedziliśmy obszerną kuchnię i jadalnię, narazie w tymczasowym baraku ulokowaną. Urządzenia nowoczesne, olbrzymie lodówki, duże piece gazowe, piekarnie. Duże stoły były zastawione: półmiska-

mi z kiełbasą, cielęciną, pomidorami, w kotłach kartofle, boć to ulubiony specjał nietylko p. Stęczyńskiego, ale każdego studenta, który po całodniowej pracy wracał na kolację.

Chociaż to sezon wakacyjny, ale pełno tu życia. W jednym z dormitarzy rozkwaterowały się panienki, co tu przybyły na kursa dokształcające. Skauci tu się też obozem rozłożyli, chociaż podczas naszego krótkiego pobytu wszystko było w "polu," o czym jeszcze później wspomnę. Nie było już czasu na zwiedzenie sal technicznych, boć zakład kształci zastępy mechaników, stolarzy itp. Uważam ten dział za bardzo ważną gałąź pracy, powinniśmy bowiem tworzyć jak największe szeregi narodowo uświadomionej młodzieży fachowej. Mamy już dosyć liczne zastępy profesjonalistów, a więc: lekarzy, adwokatów, księży. Tylko z tym bieda, że wielu z nich nie interesuje się sprawami polskimi, a nawet nie mówi po polsku. Z takich ludzi społeczeństwo, które ich wykształciło i które ich utrzymuje, nie ma najmniejszej korzyści.

Nadciągnęła straszna burza, więc też czym prędzej pospieszyliśmy do mieszkania p. Stęczyńskiego, gdzie nas pani domu darzyła wiśniówką, na pokrzepienie sił zbiedzonych turystów. Za pół godziny burza minęła, chociaż huragan dużo narobił szkody. Poprzewracał płoty i słupy telegraficzne, zbił i z ziemią zrównał pola kukurydzy, a gdyśmy szli do auta, to nasz kochany p. Stęczyński, którego przyjaciele "mandarynem" przezwali, biadał nad swym ogródkiem: "Moje kwiatki, moje kwiatki, co się stało z mymi kwiatkami!" Całe rzędy czerwonych, smukłych kann, różnobarwnych petunii i czerwoniutkich muszkat leżały w błocie. Kocham ludzi, co lubią kwiaty.

Już po piątej ruszyliśmy w dalszą drogę do Pittsburga. — Wszędzie na ulicach i na drodze napotykamy pełno połamanych gałęzi, gdzieniegdzie nawet zerwane druty elektryczne. Ludzie usuwali połamane drzewa, tamujące ruch samochodowy. Trzeba było co chwila się zatrzymać i czekać na usunięcie przeszkód. W tej pracy, dzielnie pomagali nasi skauci. Gdyśmy zauważyli chłopaków ubranych w polskie mundury, ku ich wielkiej niespodziance, rzuciliśmy z auta okrzyk — Czuwaaaj!!

Późnym wieczorem dotarliśmy do Pittsburga, gdzie dni kilka spędziłem na miłej pogawędce u wydawcy i redaktora "Pittsburczanina," p. Wiktora Alskiego, jednego już z niewielu tych ostatnich Mohikanów dzinnikarstwa polskiego. Tu również chcę zaznaczyć, że p. Alski poza redakcją i administracją swego pisma zajmuje się pracą społeczną i narodową, sięgającą szeroko poza Pittsburg, a jeszcze czas znajdował na przeglądnięcie rękopisu niniejszej książki,

służąc mi stale doświadczeniem i cennymi uwagami, za co mu jestem wielce wdzięczny.[1])

Złożyliśmy także wizytę szeroko znanemu i wielce cenionemu liderowi Polonii Pittsburskiej, p. sędziemu Franciszkowi Piekarskiemu. Po trudach i niewygodach podróży, a szczególnie po... moim gotowaniu, rozkoszowaliśmy się wyborną kolacją przygotowaną przez panią domu, sędzinę Piekarską. Po zwiedzeniu miasta, szczególnie słynnego muzeum i gmachu uniwersyteckiego wyjechaliśmy do Buffalo.

Wiktor Alski, wydawca i redaktor "Pittsburczanina"

Do "bawolego grodu" zajechaliśmy nad wieczorem. Na przedmieściu minęliśmy olbrzymi zakład dobroczynny ks. prałata Bakera, pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej. Założyciel jego zmarł tydzień czy dwa przed naszym przyjazdem. Czegoż ten konwertyta tu nie dokonał? Przedewszystkim uderza nas wspaniała bazylika, szczególnie jej wnętrze lśniące od drogich marmurów, bronzów i pierwszorzędnych arcydzieł sztuki malarskiej. Gmach jest kompletnie wykończony, a kosztuje pono około cztery miliony dolarów. Przy tym kościele zbudował ten niestrudzony kapłan cały szereg zakładów dobroczynnych, a więc: ochronki, szpital, szkoły rzemieślnicze itp. Przez jego ręce przeszły tysiące dzieci, biedaków, kobiet, matek i dziewcząt, które los rzucił na bruk. Nikim nie wzgardził, każdemu pomógł. Prowadził szpital położniczy dla biednych matek i dla dziewcząt. Gdy rodzina i świat wzgardził taką nieszczęśliwą dziewczyną, niedoszłą matką, tu znajdowała ona zawsze przytułek i dobre słowo pociechy.

Młodą matkę opuszczającą zakład zaopatrywano we wszystko co potrzeba. Chłopców uczą tu przeróżnych rzemiosł: stolarstwa, krawiectwa, szewiectwa, a przedewszystkim drukarstwa. Zdolniejsi kończyli szkoły wyższe, a nawet — uniwersytety. Jego wychowankowie zajmują wybitne stanowiska na katedrach profesorskich lub w życiu handlowym czy przemysłowym. Zakład wydał trzech kongresmanów, jednego biskupa, duży zastęp księży i sióstr zakonnych.

— Skąd ks. Baker wziął pieniądze na założenie i prowadzenie takiego zakładu, zapyta niejeden?... Wierzył, że Bóg dobrej, zbożnej pracy pomoże. Nigdy się nie zawiódł. Nawet podczas kryzysu do jego

1. Załączone zdjęcie zrobiłem w Norwich, przy pomniku Uncasa — bohatera powieści "Ostatni Mohikanin."

zakładu dobroczynnego z całego kraju stale napływały ofiary na prowadzenie dobrej roboty. Ks. prałat Baker dokonał tu wielkiego dobroczynnego dzieła. To nasz amerykański — Don Bosco.

Zajechaliśmy na parodniową kwaterę do serdecznego i z gościnności szeroko znanego ks. prałata Franciszka Kasprzaka, mego kolegi szkolnego i konsultora diecezji buffaloskiej. Na domiar wszystkiego dobrego miła gosposia miała świńskie ogonki z kwaśną kapustą i kluskami. Czy jest gdzie na świecie jaki Poznaniak, czy też syn lub wnuk Poznaniaka, któryby się takim smacznym jedzeniem nie objadł, wprost nie obżarł!... Więc też wsuwaliśmy, co i gdzie się tylko dało, opowiadając miłemu gospodarzowi o naszych podróżnych przygodach.

Jeszcze tego wieczoru złożyliśmy wizytę doktorowi Franciszkowi E. Fronczakowi, komisarzowi zdrowia i jednemu z najzacniejszych i najzasłużniejszych obywateli polskich w Buffalo.

Doktór Fronczak urodził się w Buffalo, jest synem jednego z pierwszych pionierów i założycieli parafii pod wezwaniem św. Stanisława B. i M. Swego czasu brał bardzo czynny udział w sprawach polskich i jeszcze teraz żywo się nimi interesuje. Podczas wojny sprawie polskiej oddał on niepospolite usługi. Był lekarzem w randze pułkownika w armii amerykańskiej, następnie z poręki naszego rządu przeniesiono go do armii polskiej. Był też członkiem i działał w Komitecie Narodowym w Paryżu, pozostając wciąż w bezpośrednim kontakcie z wybitnymi przedstawicielami rządu amerykańskiego. Dzięki jego staraniom, Polska w pierwszych chwilach niepodległego jej bytu otrzymała bezpłatnie olbrzymie zapasy lekarstw, przyrządów chirurgicznych, żywności i innych niezbędnych towarów z naszych wtenczas już nam niepotrzebnych zapasów wojennych. Pośredniczył on także w sprawach remontów wojskowych, mundurów i innych materiałów wojennych. Nie będę tu jednak wchodził we wszystkie szczegóły, wiem tylko, że niepospolity to lekarz, prof. medycyny na uniwersytecie, dzielny Polak, przez wszystkich szanowany obywatel, ponadto wzorowy i przykładny katolik. Po zawieszeniu broni często się z nim spotykałem w Paryżu, więc też jako naoczny świadek wiedziałem o jego wydatnej pracy dla sprawy polskiej.

Tym chętniej więc pojechałem z ks. Prałatem złożyć mu wizytę. W ostatnich kilku latach ciężkie przechodził koleje. Stracił dorosłego a wiele obiecującego syna, a przed rokiem odumarła go żona. Jednakowoż niewiele się zmienił, zawsze ten sam, serdeczny, miły, grzeczny i kochany doktór Fronczak. W Stanach Zjednoczonych uważają go za powagę w dziedzinie spraw sanitarnych miast. Często wyjeżdża z odczytami na zjazdy lekarzy, aby o sprawach tych referować i to nietylko w Stanach Zjednoczonych, ale także w Europie. Doktor Fronczak jest tu przez całą Polonię wielce poważany. Wysuwano go nawet

jako kandydata na burmistrza miasta, tylko zdaje się oferty tej nie przyjął.

Już po sąsiedzku wpadliśmy także do seniora tutejszego kleru, ks. prałata doktora Alexandra Pitassa, proboszcza najstarszej tutejszej parafii. Założycielem jej był kiedyś szeroko znany i zasłużony ks. dziekan Jan Pitass, stryj obecnego proboszcza. Miły i gościnny jest proboszcz Stanisławowa. Idzie on w ślady swego zacnego i z gościnności znanego stryja. Przy szklaneczce wina opowiadałem mu nasze przygody z podróży, o okolicach, które zwiedziliśmy, co tym więcej go interesowało, że sam nigdy na dalekim zachodzie nie bywał. Gdyśmy tak o tym i o owym gwarzyli, przyszło mi na myśl wypowiedzenie się jednego z rzekomo "amerykańskich" biskupów, który na zabiegi Palaków co do równouprawienia kleru miał się wyrazić: "Dajcie nam odpowiednich kandydatów, a my wam damy biskupów." Było to jeszcze wtenczas, gdy przeważna liczba kleru polskiego pochodziła z kraju, nie znała języka i obyczajów tutejszych. To jednak bynajmniej nie przeszkadzało Niemcom i Irlandczykom, po tamtej stronie zrodzonym w obejmowaniu diecezyj amerykańskich. Teraz mamy dużo światłych księży, we wielu wypadkach daleko zdolniejszych od ajryskich ordynariuszów, a jednak trudno nam tych biskupów dostać. Na miłej pogawędce szybko płynęły godziny.

Buffalo już kilka lat temu obchodziło stulecie swego założenia. Tu też zamieszkuje bardzo stara i liczna osada polska. To ważne, że Polacy mieszkają zwartą masą, tworzą jakoby klin dzielący resztę miasta na dwie części. W polskiej dzielnicy skupia się całe życie narodowe. Tu są liczne parafie, szkoły, sklepy, a nawet — czysto polski rynek. Gdy tam zajdziesz, wszędzie usłyszysz polską mowę. Nasze gosposie zawzięcie targują się z okolicznymi farmerami i sklepikarzami, by na kupnie chociaż kilka centów "usejwować" — oszczędzić.

Pisząc o Polonii buffaloskiej, wypada zaznaczyć, że co do liczby zajmuje ona drugie miejsce po Chicago. W mieście i najbliższej okolicy zamieszkuje około dwieście tysięcy Polaków. Pono nawet założycielem tej osady był Polak, a nazywał się Piotr Stadnicki. Był on bankierem i ajentem wielkiej firmy holenderskiej "Holland Land Company. Przybył w te okolice w roku 1812-ym w sprawach sprzedaży gruntów i kolonizacji. Dzięki jego pracy i zapobiegliwości mała pionierska osada stale wzrastała. Nigdy jednak nie przypuszczał, że ta mała wioska wyrośnie kiedyś na duże miasto, liczące około sześćset tysięcy mieszkańców, a w tym 40 procent stanowią Polacy.

Życie narodowe i katolickie głęboko zapuściło tu korzenie czego dowodem są liczne parafie, szkoły, sale narodowe i parafialne, przedsiębiorstwa handlowe, niezliczone sklepy. Same tylko kościoły polskie przedstawiają wartość niemal sześciu milionów dolarów, szkoły zaś

ponad sześć milionów, plebanie i klasztory przy parafiach ponad dwa miliony. Gdy się to wszystko zesumuje, co tu Polonia wystawiła czy dla chwały Bożej, czy też dla dobra społecznego i narodowego, dochodzi się do olbrzymiej sumy piętnastu milionów dolarów.

Niemal każda parafia posiada własne kółka dramatyczne, kluby literackie, organizacje młodzieży, ligi baseballowe, kręglarskie i inne. Ponieważ procentowo Polacy stanowią najsilniejszy element narodowościowy, więc też potrafią urządzać niezwykłe imprezy, w których wszystkie polskie organizacje i parafie biorą udział. Tu znów na chwilkę wrócę do naszej amerykańskiej słabostki, zaczynającej się od "naj," a więc: Polonia tutejsza urządza co roku największy bal doroczny, największą "card party" czyli zabawę w karty na dochód polskiej milionowej instytucji naukowej Villa Maria, prowadzonej przez Siostry Felicjanki, największy taniec p. t. "Polskie Wesele," największą majówkę pod egidą "Dziennika dla Wszystkich," w której bierze udział czterdzieści pięć tysięcy ludzi, największe popisy atletyczne urządzają w mieście polskie kluby i organizacje. Możnaby tę litanię znacznie przedłużyć, ale i tego wystarczy. Jak już poprzednio zaznaczyłem, Polonia buffaloska trzyma się i nie tylko to, ale wciąż rośnie liczebnie, majątkowo i sięga po coraz to wyższe urzędy. Przypuszczam, że doczekają się tu Polaka burmistrza, ale zdaje się, że biskupa polskiego pochodzenia się nie doczekają, chociaż mają tu wybitnych przedstawicieli tak wśród kleru świeckiego jak i zakonnego.

W Buffalo od wielu lat wychodzi bardzo ruchliwy na wzór amerykański prowadzony dziennik — "Dziennik dla Wszystkich." Zarządcą i główną sprężyną wydawnictwa jest syn założyciela, p. Józef Ruszkiewicz.[1]) Czasopismo posiada własny wspaniały gmach, pospieszne prasy rotacyjne, całe baterie linotypów, pospiesznych maszyn drukarskich i przeróżnych mniejszych pras do wykonywania robót kontraktowych. Poza obszernym i bardzo ruchliwym dziennikiem, prowadzonym na wzór amerykański, drukarnia wykonuje roboty dla innych czasopism, a więc maszyny jej są wciąż w ruchu. To godne uwagi, że mają tu własną kliszarnię, odpowiednich rysowników, którzy wciąż wykonują przeróżne projekty czy to dla Dziennika, czy też dla robót akcydensowych. Zdaje się, że pod tym względem drukarnia "Dziennika dla Wszystkich" stanowi wyjątek wśród prasy polsko-amerykańskiej, chociaż "Dziennik Polski" w Detroit posiada także pierwszorzędne urządzenia i maszyny. Cieszy się człowiek, gdy wejdzie do takiego przedsiębiorstwa i chciałby aby takich przedsiębiorstw było wśród Polaków jak najwięcej.

1. Umarł gdy ten rozdział szedł do druku.

W niedzielę po południu odwiedziliśmy ks. prałata Andrzeja Garstkę, proboszcza na Kantowie. Chociaż na zdrowiu szwankuje, jednakowoż pokazał nam swe liceum czyli wyższą szkołę. Ogromny gmach szkolny posiada wszelkie nowoczesne urządzenia, a więc poza zwykłymi klasami są tu specjalne oddziały na kursa handlowe, buhalterii, daktylografii, rysunków, sztuki gotowania itp. Tu też znajdują się sale do tańca, kluby, kręgielnie, kuchnie i duża sala teatralna. Jak nas zapewniał czcigodny ks. Prałat, tu się skupia życie towarzyskie całego Bufallopolu, tak bowiem nazywają tu dzielnicę polską. Wieczorem zaś pojechaliśmy z naszym miłym gospodarzem na wieczorek powitalny do jednego z sąsiednich proboszczów, ks. J. Winnickiego, który co tylko wrócił z Polski. Dzielny to kapłan, działacz i twardy Polak.

Polonia buffaloska wykazuje dużo życia i ducha polskiego. Żywię niezłomną nadzieję, że się jeszcze przez długie lata przeciwstawi zakusom amerykanizacyjnym. Wciąż bowiem wyrastają tam ludzie owiani duchem polskim, a jednak dostosowani do nowoczesnych warunków amerykańskich. Odwiedziłem także Villa Maria, duży zakład wychowawczy pod kierownictwem sióstr Felicjanek. To było dla mnie tym ciekawsze i przyjemniejsze, że przełożoną tego wspaniałego gmachu zbudowanego kosztem miliona dolarów jest Matka Gertruda. Ona to, jako młoda zakonnica, uczyła mnie w małej szkółce parafialnej w Hilliards, Michigan. Po tylu latach znów żeśmy się tu spotkali, mile wspominając te czasy, gdy rózga była często w robocie.

W pobliżu miasta Buffalo znajduje się jedna z największych atrakcyj świata — wodospad Niagara. Pojechaliśmy dwadzieścia kilka mil za miasto nad rzekę Niagarę, łączącą jezioro Erie z jeziorem Ontario by ten cud zobaczyć. W tym właśnie miejscu tak się ułożyły grube, twarde pokłady wapienia, iż rzeka łącząca te dwa jeziora w wartkim pędzie zatacza się półmilowym porochem i wali w przepaść ogromnym wodospadem w kształcie podkowy. Ten imponujący wodospad — jeden z trzech największych na kuli ziemskiej — można oglądać tak ze strony amerykańskiej, jak również kanadyjskiej, a nawet ze strony kanadyjskiej jest on daleko większy i piękniejszy. Eksperci obliczają, że szerokim, półmilowym niemal korytem rzeki Niagary płynie dwadzieścia

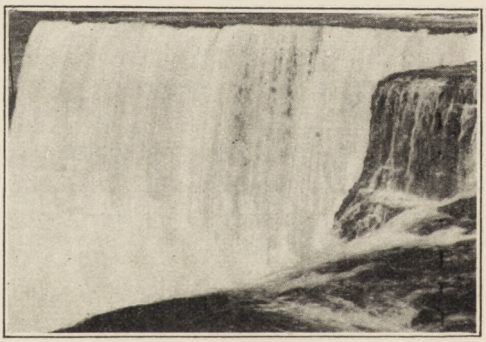

Wodospad Niagara

milionów galonów wody na minutę. Wysokość wodospadu wynosi 165 stóp. Mamy coprawda w Stanach Zjednoczonych dużo wyższych wodospadów, bo niektóre mają ponad tysiąc stóp wysokości, ale większych, bardziej imponujących nie mamy. Szerokość rzeki, potęga głębokiego, pieniącego się strumienia czyni z wodospadu Niagary jedno z nadzwyczajnych widowisk świata. Niagara w narzeczu Indian oznacza "grzmiące wody," boć już z daleka słychać ten stały, potężny, niczym niewstrzymany grzmot wodospadu.

Stan wziął brzegi wodospadu w swe ręce. Urządził tu wygodny park, porobił, ścieżki, schody, przejścia tak, aby turyści mogli go oglądać z różnych punktów. Kursują tu nawet małe okręciki, którymi wycieczkowcy mogą podpłynąć pod wodospad. Po stronie kanadyjskiej chciwi ludzie oddzielili część wody i zaprzęgli ją do wytwarzania prądu elektrycznego. Uczynili to jednak tak zgrabnie, że w niczym nie uszkodzili majestatycznego wyglądu wodospadu. Rząd angielski zbudował tu pomnik ku czci naszego rodaka, inżyniera Kazimierza Głogowskiego.

Liczni awanturnicy rzucali się w otchłań wodospadu w beczkach. Niektórzy wyszli cało, inni zaś życie postradali. Tu także przychodzą samobójcy, aby w przepaści wodospadu życie zakończyć. Wiadomo, że z całej Ameryki zjeżdżają się tu młode małżeństwa, by chociaż kilka chwil ze swych miodowych miesięcy spędzić nad brzegiem Niagary. Pono trzy miliony ludzi z rozmaitych stron świata, rok rocznie przyjeżdża tu, by podziwiać te przepiękne, a równocześnie imponujące, a nawet przerażające widowisko — majestat i potęgę wody!

Dla mnie, po stronie kanadyjskiej, jest jeszcze jedno miejsce, może dla innych i nie ciekawe, a jednak pełne bardzo miłych wspomień z czasu wojny światowej. W mej podróży nie mogłem chyba pominąć obozu, w którym się ćwiczyli i przygotowywali do walki o wolność polscy ochotnicy z Ameryki. Pojechałem więc tu kilkanaście mil do Niagara on the Lake, małej mieściny, położonej przy ujściu rzeki Niagary do jeziora Ontario.

Przed laty dwudziestu pełno tu było życia i rozgwaru wojennego. Każdy pociąg i autobus przywoził tu transporty ochotników do tworzącej się polskiej armii ochotniczej. Na zew powstającej Ojczyzny spieszyli tu Polacy ze wszystkich stron kraju. W wielkich miastach rzucali warsztaty pracy, tysiącznymi gromadami zgłaszali się na ochotnika. Szli oni z kopalń pennsylwańskich, szli ze stepów Minnesoty i Wisconsynu szli z lasów, szli z wiosek, szli skądkolwiek, byle tylko służyć w polskim wojsku, byle tylko walczyć za Ojczyznę!... Wstępowali do szeregów lekarze, kupcy, klerycy, robociarze, drwale, podążali do tego obozu także księża, by naszym wojakom głosić słowo Boże, by w nich rozpalać ogień miłości Ojczyzny... Jednym słowem

szli — wszyscy, którzy Polskę kochali, którzy miłość Ojczyzny w twardy, realny czyn przekuwali!...

Wtenczas pełno tu było życia. Budowano coraz to więcej baraków, kantyn, kwater dla oficerów i żołnierzy. Rząd angielski dostarczał umundurowania, zaopatrywał w żywność, dał do dyspozycji oficerów angielskich pod wodzą pułkownika Le Pan, by ćwiczyli ochotników. Wkrótce mieliśmy już swoich oficerów, wyćwiczonych w szkołach angielskich. Wielu z nich, jako Sokoli, byli już obeznani z musztrą wojskową. Po pierwszych przygotowaniach wysyłano transport za transportem do Nowego Jorku, a stamtąd do Francji. Tam ich uzbrajano, ćwiczono i wysyłano na front w Szampanii. Dobrze się spisali we Francji, a jeszcze lepiej w Polsce. Dobre, dzielne, karne były to wojaki, owiane wprawdzie tą amerykańską swadą, ale o szczerze polskich sercach. Ponad dwadzieścia sześć tysięcy żołnierza przeszło przez obóz Niagara on the Lake.

Między innymi i ja się tu znalazłem. Chociaż w Ameryce się rodziłem, tu się wychowałem, nigdy przedtem w Polsce czy też zaborach nie byłem, jednak stara, polska krew żołnierska się odezwała i z poczucia obowiązku stanąłem w szeregu, by jak najwydatniej służyć niewolą i wojną znękanej Polsce!...

Wróciłem więc na miejsce, w którym chwilowo dzieliłem losy polskiego ochotnika. Jeszcze okiem duszy i wspomnień widzę te zastępy dziarskie, owiane entuzjazmem, z niecierpliwością czekające chwili wyjazdu do Francji. Chcieli bowiem czym prędzej stanąć na froncie i walić wroga.

....Po śniadaniu brać wyciągła na ćwiczenia dwójkami, czwórkami, szeregami, kompaniami maszerowała, uczyła się robić bronią, hartować się w trudach obozowych... Pamiętam te codzienne inspekcje, te badania lekarskie, boć "hiszpanka" śmiertelną urządzała wtenczas kośbę. Odczuwam te zastrzyki przeróżne jakie nam za skórę pakowano, na tyfusy, febry i gorączki, gardła jodyną smarowano... W obozie polskim zdrowotność procentowo była daleko lepsza, aniżeli w obozach amerykańskich. Twarde a krzepkie to były chłopaki. Takich się żadna choroba nie imała... Najwyżej jakaś dziewczyna się do takiego zucha przyczepiła i chociażby paczkę papierosów mu przyniosła ...Oj miłe to wspomnienia i radbym pamięci puścić wodze, ale czas i okoliczności nie pozwalają. Zresztą już i tak przedłużam zbytnio tę podróż. Milszy mi jednak ten kawałek kanadyjskiej ziemi od wielu naszych najwspanialszych parków narodowych, gdyż tu w najpiękniejszej barwie zakwitł — Zbrojny Czyn Wychodztwa!...

Wróciłem. Nic już tu jednak nie zastałem ze słynnego kiedyś obozu polskiego. Szałasy rozebrano. Zaledwo tu i tam sterczała jakaś

stara rudera. Pozostał tylko... cmentarz. Spoczywa na nim kilkudziesięciu polskich ochotników, którzy, jak głosi napis na granitowym krzyżu, — "życie oddali za Polskę." Cmentarzyk ten, tuż przy drodze ogrodzony jest żelaznym płotem. Szeregiem tu leżą nasi koledzy!... Przy każdym grobie kamienna tabliczka, a na niej wyryte nazwisko ochotnika. Na środku cmentarza umieszczono duży, granitowy krzyż, a w nim, w małym wydrążeniu, wisi "Krzyż Walecznych," złożony przez generała Józefa Hallera w uznaniu za pracę i poświęcenie tych niedoszłych obrońców Ojczyzny. Przy krzyżu leżało pełno pięknych bukietów z lilij i róż, złożonych przez organizacje i towarzystwa pol-

Cmentarzyk w Niagara on the Lake

skie z Buffalo. Na dzień wieńczenia grobów przybywa tu z Buffalo ponad 30,000 ludzi, by złożyć wieńce na grobach polskich żołnierzy. Jestem przekonany, że Polonia buffaloska nigdy nie zapomni o tych szarych żołnierzykach i ochotnikach, którzy spiesząc Ojczyźnie z pomocą, tu legli, niosąc jej życie w ofierze.

Przepiękny był dzień, w którym tu przybyłem! Tak cicho... ciepło, tyle słońca... ozłacało promieniami każdy grób i nagrobek polskiego żołnierza-ochotnika... Nie mogłem się z tego miejsca oderwać! Tak pragnąłem tym zgasłym żołnierzom powiedzieć, że trud ich nie był na daremno, że Polska jest, że jest wielka, postępowa, mocarna! Ma ona swe trudności do zwalczenia, zresztą jak każdy naród,

ale olbrzymie poczyniła już postępy. Chciałem im powiedzieć o bohaterskich czynach tej "Błękitnej Armii" we Francji i Polsce, pod Lwowem, na Kresach, pod Warszawą... Może teraz w Polsce nie wszyscy doceniają rolę jaką odegrała nasza armia ochotnicza, ci "błękitni żołnierze," ci — jak ich teraz zowią — hallerczycy! Historia, bardzo powoli i z mozołem pisze swe kroniki, w pamięci utrwala doniosłe wypadki historyczne; ona to odda każdemu uznanie i umieści go w poczcie dzielnych synów i bohaterów narodu!...

Długo się pogrążyłem w tych myślach, wśród cmentarnej ciszy... Przerywała ją niekiedy brzękiem pracowita pszczółka, gdy w kielichach białych lilii skrzętnie szukała złotego pyłku, tego pokarmu dla młodych pszczelich pokoleń. Tu, w tym zapomnianym zakątku olbrzymiej Kanady, pozostawiła wojna swe piętno. Polska zaś ma dowód na małym wojennym cmentarzu, że Wychodźtwo o niej nie zapomniało!....

Po stronie amerykańskiej, vis-a-vis małej mieściny Niagara on the Lake, znajduje się fort Niagara. Ponieważ był to kiedyś ważny punkt strategiczny, kontrolujący okręty płynące na Wielkich Jeziorach dlatego też La Salle w roku 1669-ym zbudował tu małą strażnicę. Kilkadziesiąt lat później placówkę znacznie rozbudowano i uzbrojono. W roku 1759-ym Anglicy ją zdobyli. Tu właśnie pękło pierwsze ogniwo całej serii twierdz i strażnic zbudowanych w Ameryce przez kolonistów francuskich. Sięgały one od Quebeck'u, wzdłuż Wielkich Jezior, następnie rzeki Ohio i Mississippi aż hen do Nowego Orleanu. Po zajęciu fortu Danonville, który Anglicy przechrzcili na fort Niagara, zaatakowali później fort Ticonderoga — ważną placówkę francuską nad jeziorem Champlain a teraz bardzo cenny zabytek historyczny. Zabrano też Francuzom Du Quesne, obecny Pittsburg, i tak krok za krokiem, przed naszą walką o niepodległość, wyparli Anglicy swych przeciwników nie tylko z terenów objętych teraz przez Stany Zjednoczone, ale nawet z Kanady.

Podczas wojny w roku 1812-tym Anglicy znów zajęli fort Niagara jak również inne miasteczka i osady w stanie Nowego Jorku. Chociaż w pobliżu mamy niewielki garnizon wojskowy, sam fort poza historycznym zabytkiem nie przedstawia teraz żadnej strategicznej wartości. Chyba to tylko jest warte wzmianki, że na placu ćwiczeń, zamiast jednej, powiewają aż trzy chorągwie: francuska, angielska i amerykańska, ku uczczeniu tych, którzy ten skrawek kraju mieli kiedyś w swym posiadaniu.

W roku 1815-tym zbudowano kanał z Buffalo do Albany. Łączy on Wielkie Jeziora z rzeką Hudson, a przez nią z oceanem. Zanim zbudowano kolej New York Central, kanał ten, którym ciągniono duże tratwy naładowane towarami i kolonistami, odgrywał ważną

rolę w naszym rozwoju i życiu ekonomicznym. Teraz, chociaż jest jeszcze w użyciu, ale już w rachubę się go nie bierze.

Ruszając w dalszą drogę zatrzymaliśmy się na noc w mieście Rochester, słynnym z zakładów krawieckich, a także fabryk przyborów fotograficznych — Eastman Kodak Co.

Stanęliśmy kwaterą u gościnnego i energicznego ks. Józefa Balceraka, proboszcza jednej z tutejszych parafii. Chociaż tu dopiero pracuje rok czy dwa, ale już dużo tu zdziałał, boć jest to taki prawdziwy typ polsko-amerykańskiego proboszcza. Jego nader sympatyczny wikary, ks. Jan Wołoch obwiózł nas swym autem po mieście. Zawiózł nas do seminarium, w którym się kształciło dużo księży polskich, pokazał większe fabryki, ale co nas najwięcej zaciekawiło, to wspaniałe parki miejskie, ciągnące się wzdłuż brzegów jeziora Ontario.

Okolica, którą teraz jedziemy z Buffalo do Albany, jest bardzo urodzajna, przytym w wysokim stopniu uprzemysłowiona. Doliny rzek Genesee, Mohawk, Cherry, jak również bardzo malownicze okolice wąskich a głębokich jezior t. zw. "Finger Lakes," może są najpiękniejsze, a zarazem najurodzajniejsze w całym stanie. Tymi to dolinami przedzierali się ku zachodowi pierwsi pionierzy-osadnicy. Tomy całe możnaby napisać o ich trudach i walkach z plemionami Irokezów, Seneków, Oneidów i innych wojowniczych szczepów, które z zaciekłością broniły swych siedzib, rybnyh jezior, rzek i w zwierzynę obfitujących lasów. Cywilizacja, a szczególnie lepsza broń i organizacja białych zniszczyła Indian. Pozostały po nich tylko nazwy rzek, miast i jezior.[1])

Ponieważ tym właśnie szlakiem posuwali się także ku zachodowi nasi polscy pionierzy ze Śląska i Poznańskiego, dlatego też niemal we wszytkich większych miastach jak Rochester, Utica, Syracuse, Rome, Schenectady i Albany, a także mniejszych miasteczkach powstały liczne osady polskie.

Zatrzymałem się dłużej w miasteczku Rome jedynie z tego względu, że to kiedyś była bardzo ważna placówka pionierska, a nawet strategiczna. Strzegła jezior i rzek, którymi Anglicy mogli zapuszczać swe szlaki w głąb kraju. Podczas wojny o niepodległość zbudowano tu silną twierdzę fort Stanwix. Bronił go przed Anglikami bardzo czupurny generał, nazwiskiem Gansevoort z pochodzenia Holender. Jego pomnik znajduje się w parku miejskim, gdzie kiedyś była twierdza.

Generał St. Leger przeprawił się przez jezioro Ontario i rzekami zapuszczał się w głąb kraju z tą myślą, że dopłynie do miasta Albany.

1. Walter E. Edwards — "Drums on the Mohawk."

Tu jednak biedaczysko ugrzązł, a po dłuższym oblężeniu fortu wrócił, skąd przyszedł. Obrona fortu dopomogła naszym do odniesienia świetnego zwycięstwa pod Saratogą.

Kilka mil za miastem, w małym, przydrożnym parku wznosi się wysoki obelisk. Tu znów znajdujemy się na polu bitwy z czasów walki o niepodległość. Podczas oblężenia fortu Stanwix, milicja z okolicznych wiosek, pod wodzą generała Herkeimera, pospieszyła z pomocą oblężonym. W tym właśnie miejscu stoczono całodzienną bitwę między wojskami generała St. Legera, a tutejszymi kolonistami. Walczono w gęstym lesie. Jednym z pierwszych, którzy w bitwie odnieśli rany, był właśnie generał Herkeimer. Kula nieprzyjacielska strzaskała mu kolano. Kazał się więc posadzić pod drzewem i wsparty na siodle, bezustannie paląc fajkę, obserwował przebieg bitwy, wydając rozkazy. Między innymi wydał tedy rozkaz swym żołnierzom by stawali w dwójkę za drzewami, i wtenczas, gdy jeden strzelał, drugi z nabitą bronią czekał na zbliżającego się nieprzyjaciela. Chociaż nie zdołano przełamać linii nieprzyjacielskich, jednakowoż załoga będąc poprzednio powiadomioną o zbliżającej się odsieczy, urządziła wypad. Zaopatrzono się w niezbędną żywność i zapasy wojenne w obozie nieprzyjacielskim. To im pomogło do przetrwania oblężenia i ostatecznego zwycięstwa.

Tyleśmy w tej podróży zwiedzili pól bitew, tyle oglądaliśmy pomników, iż gotów ktoś pomyśleć, że na tym punkcie mam pewną słabość. Jednakowoż nie tyle ciekawość odgrywa tu rolę ile raczej historyczne znaczenie. W mym pojęciu, wojny należałoby porównać do egzaminów, jakie student składa po skończeniu nauk. Poszczególne bitwy są jakoby przedmioty, a wojny to... matura składana przez naród. Albo ją zdał, albo jej nie zdał. Jeżeli jej nie zdał i przegrał wojnę, znów wraca do spisków, do walk podziemnych, do powstań, przygotowując się do... powtórego zdania matury, czyli do ostatecznego zwycięstwa. W przeciwnym razie do ewentualnej zatraty i wchłonięcia przez inny silniejszy od siebie naród!

Późno wieczorem dotarliśmy do miasta Schenectady, słynnego z fabryk lokomotyw i maszyn elektrycznych. Zakwaterowaliśmy się u miłego kolegi ks. Franciszka Renia. Ks. Wojcieszczuk pozostał na parę dni, ja zaś już w Rochester byłem telefonem wezwany do Wilkes Barre, by tam przemawiać na obchodzie ku czci Kazimierza Pułaskiego. Tu też mieliśmy się rozstać po czteromiesięcznej podróży. Jako że podróżowaliśmy tyle miesięcy bez najmniejszego wypadku w przykładnej zgodzie, postanowiłem mu zafundować pożegnalny obiad i to z szampanem. On się oczywiście bardzo chętnie na to zgodził. Wyszukaliśmy więc w mieście najlepszą restaurację, jakiś podziemny ratskeller, by jak należy turę naszą zakończyć. Przeglądając jadłospis,

zaraz na wstępie zauważyłem: "pig knuckles and sauerkraut" czyli świńskie kolanka z kwaśną kapustą. Do tego był także prawdziwy pilzner. Chociaż nie mam najmniejszego nabożeństwa do Czechów jednak robię wyjątek, gdy przyjdzie do "pilznera." Zrezygnowaliśmy ze szampana, boć byłobyto grzechem wołającym o pomstę do nieba zapijać szampana z kwaśną kapustą i kolankami, piwo zaś w takiej kompanii tworzy zupełną harmonię. Po kolacji zajechaliśmy na plebanię ks. Renia i tam znów do późnej nocy spędziliśmy czas na miłej pogawędce.

ROZDZIAŁ XXV.

## Zagłębie węglowe - Norwich - Zakończenie.

Rano, miły gospodarz, ks. Franciszek Reń, wraz z ks. Wojcieszczukiem, który się tu na dni kilka zatrzymał gwoli wypoczynku, odprowadzili mnie autem za miasto i pożegnali. Odtąd już sam kończyłem tę długą podróż samochodową. Pokryliśmy bowiem bez jakiegokolwiek wypadku ponad 18,500 mil, nie licząc w to przejazdów okrętami i samochodami kolegów i przyjaciół, którzy nas po swych miastach obwozili.

Cały niemal dzień jechałem do Wilkes Barre w kierunku południowo-zachodnim, wśród bardzo malowniczych, górzystych okolic, wzdłuż brzegów rwących, górskich potoków i rzeczek. Od czasu do czasu mijałem drzemiące wioski i małe, malownicze miasteczka. W dolinach ciągnęły się starannie uprawiane fermy, na których rosła kukurydza, zieleniły się sady owocowe, przeważnie jabłonie i wiśnie, a na łąkach pasły się stada bydła. Niekiedy też napotykałem duże kurzelnie. Rolnicy mają tu doskonały rynek zbytu, gdyż Nowy Jork z okolicznymi miastami pochłania wszystko, co wyprodukują tutejsi rolnicy, a nawet stany zachodnie. To też gospodarze nie mają tu najmniejszej trudności ze sprzedażą swych ziemiopłodów.

Miasto Binghampton, na granicy Pennsywanii i Nowego Jorku, jest większym centrum fabrycznym. W kotlinie rzecznej rozrosły się ogromne fabryki obuwia Endicott Johnson. Opowiadał mi ks. Kazimierz Piejda, proboszcz tutejszy, że firma ta wyjątkowo dobrze obchodzi się ze swymi robotnikami. Ma tu dla nich bezpłatne szpitale, lekarzy; żony robotników mają przy połogu darmo opiekę lekarską. Fabrykanci urządzili dla młodzieży kluby i pola atletyczne; dali miastu duży park, w którym ludność może po całotygodniowej pracy swobodnie wypoczywać. Opowiadano mi tam też ciekawy epizod. Oto pewnego razu policja tamtejsza się skarżyła, iż młode, zakochane pary okazują w parku zbyt dużo zapału miłosnego, szczególnie wieczorami. Gdy się o tym dowiedział właściciel fabryki i fundator parku, natychmiast polecił aby policji do parku nie wpuszczano, by robotnikom a szczególnie młodym ludziom nie przeszkadzała. Nic więc dziwnego, że zakłady fabryczne Endicott Johnson nigdy nie miały

października czyli w "Dniu Pułaskiego," miejscowy pułk kawalerii wydaje obiad na cześć Pułaskiego i na uroczystość tę zaprasza Konsula polskiego wraz z wybitnymi przedstawicielami tamtejszej Polonii. — Przyznać trzeba, że bardzo to piękny i serdeczny giest ze strony sfer wojskowych. — W opisie moim o Sawannie zaznaczyłem, że mówca p. C. J. Margiotti nietylko podniósł zasługi naszego rodaka, ale zarazem podkreślił fakt ten, że Pułaski był najwyższej rangi oficerem w armii amerykańskiej, walczącej o niepodległość, który oddał życie na polu bitwy za wolność amerykańskiego narodu!

Gmach Unii Polskiej

Ja również będąc tu dobrze znanym z mych artykułów w "Górniku," wygłosiłem mowę po polsku i po angielsku. Zachęcałem publiczność a szczególnie młodzież do zachowania mowy, kultury, zwyczajów, a przedewszystkiem ducha polskiego! Podkreśliłem wtenczas, jak zresztą zawsze gdziekolwiek przemawiam, że Polacy mają tu prawo obywatelstwa, kupione znojem, trudem, bohaterstwem i krwią naszych rodaków, którzy tu już przybyli w zaraniu historii tego kraju. Niektórzy z naszych mniej uświadomionych rodaków odczuwają niekiedy pewną "niższość" wobec innych grup narodowościowych. Wszędzie to poczucie niższości zwalczam, podnosząc ducha polskiego, gdyż pod każdym względem, jako część wielkiego polskiego narodu i jako grupa imigracyjna możemy się szczycić czynami przodków i naszą

własną pracą i dobytkiem. Trzeba tylko dalej iść i pracować tak, jak tamci dla dobra sprawy naszej pracowali.

Podczas tego dorocznego Dnia Unijnego zaznajomiłem się z wybitniejszymi przedstawicielami i przedstawicielkami tutejszej bardzo dzielnej Polonii. Złożyłem także wizytę ks. prałatowi A. Zychowiczowi w Scranton, oraz szeroko znanym ze swej działalności narodowej księżom J. E. Gryczce z Kingston i ks. Fr. L. Kasaczunowi ze Sugar Notch. Te dwa "majnerskie" miasteczka znajdują się w bliskim sąsiedztwie Wilkes Barre i księża ci biorą bardzo czynny udział w życiu narodowym i religijnym tutejszej Polonii.

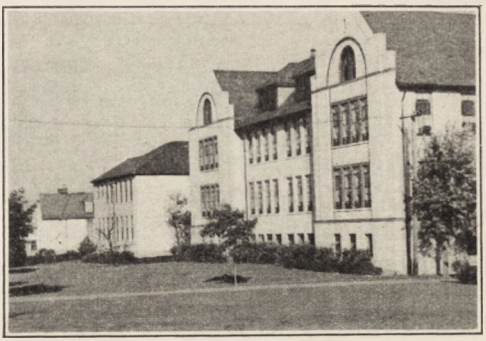

Polski Sierociniec

Następnego dnia zwiedziliśmy Sierociniec Polski, a potem biura, drukarnię i plac we śródmieściu, na którym zbudowano piękny Dom Unijny kosztem stu tysięcy dolarów, a także miejsce w parku gdzie ma stanąć pomnik Pułaskiego. Plany na gmach unijny przygotował architekt polski z Buffalo, p. J. E. Fronczak.

Po kilkudniowej wizycie w tych stronach ruszyłem dobrze mi już znaną drogą do Nowego Jorku przez Pocono Mountains. Zatrzymałem się na obiad w pięknym, przydrożnym zajeździe, słynnym z wyśmienitej kuchni. Całkiem przypadkowo dowiedziałem się, że właścicielem tego hoteliku i znakomitej restauracji "Tannersville Inn" jest p. L. Maślak, Rusin z pod Lwowa, mówiący dobrze po polsku. Przez wiele lat wraz z żoną pracowali jako kucharze w różnych hotelach i restauracjach, a później kupili ten lokal i świetnie im się powodzi. Opowiadał mi też właściciel, że w soboty i w niedziele zjeżdżają do nich setki gości, aby się objadać polskimi specjałami. Wszędzie po Stanach Zjednoczonych napotyka się Polaków, chociaż niejeden gwoli interesu, niepotrzebnie zmienia nazwisko swe, że często trudno nawet domyślić się że to Polak.

Wpadłem znów w nowojorskie mrowisko. Wolę jechać sto mil przez zachodnie prerie, aniżeli dziesięć mil przez miasto Nowy Jork, chociaż i tu każdy wybiera tylko te najwygodniejsze drogi i bulwary, a którymi nie mniej jednak bezustannie pędzi szeroka fala przeróżnych samochodów. Najgorzej jest z autami ciężarowymi, gdyż niektóre z nich są niemal tak duże jak europejskie wagony kolejowe. Ale że już nieraz tędy jechałem, więc nawet podczas tego wielkiego ruchu, jaki tu w czasie dnia panuje, za półtorej godziny, jadąc z powrotem

przez most Waszyngtona, wydostałem się poza miasto. Możnaby powiedzieć, że począwszy od rzeki Hudson aż do miasta Stamford w Connecticut czyli na przestrzeń czterdziestu mil, wciąż jedzie się z miasta do miasta — stanowiących przedmieścia Nowego Jorku. Jednym z wielu jest New Rochelle. Zamieszkuje tu zamożniejsza klasa ludzi — bankierzy, kupcy, przemysłowcy i inni, którzy codziennie pociągami czy też autami jadą do biur w metropolii a wieczorem wracają, by tu zażywać świeżego powietrza i wypoczynku.

Pociągała mnie tu bardzo serdeczna, a i Czytelnikowi tej książki znana już rodzina polska, państwo Gośniewscy. Wszak to od nich turę tę rozpocząłem. Tu był mój pierwszy tak miły przystanek, o którym na wstępie książki wspomniałem. Tu też wypadało się teraz zatrzymać i zdać chociażby krótkie relacje z czteromiesięcznej podróży. Serdeczni gospodarze byli w domu i z radością witali mnie w swej wspaniałej rezydencji. Przy kolacji, w miłym kółku rodzinnym, opowiadałem o moich przygodach w podróży. Znów przy butelce szampana gwarzyliśmy do późnej nocy. Tu też, poraz pierwszy od miesięcy nie spieszyłem się, nie przeglądałem map, nie szukałem ruin, cmentarzy, pomników, zabytków, pól bitew i tego wszystkiego, za czym goniłem przez cztery miesiące.... Czułem się jak w domu. Nastąpiło to odprężenie nerwowe po tak długiej a wyczerpującej — chociaż pod wielu względami bardzo miłej — podróży.

Z New Rochelle do Norwich już tylko sto kilkadziesiąt mil. Droga dobrze mi znana boć często nią podróżuję. Przed czterema miesiącami jechaliśmy tędy. Była wtenczas wiosna, drzewa okryte zielenią młodości, wszędzie pełno kwiatów. Wracamy, gdy spokojna, barwna jesień chwyta krajobraz w swe objęcia i zaczyna przymrozkami, niby delikatnym pędzlem, rzucać jesienne barwy na liście drzew i krzewów.

Rezydencja Państwa Gośniewskich

O zachodzie słońca wróciłem do domu, do starego, zacisznego Norwich, o którym warto także chociażby parę słów wspomnąć. Przed dwustu pięćdziesięciu laty założyli je koloniści angielscy . Tu łączą się trzy mniejsze rzeki, tworząc niedługą, ale spławną rzekę Thames. Zamieszkiwały tu kiedyś plemiona Mohikanów. A w jednej z dzielnic miasta gdzie rzeczka Yantic płynie głębokim parowem, odbyła się w zaraniu historii tej osady duża bitwa między wojownikami Mohikanów, a Naragan-

setów. Mohikanie pod wodzą Uncasa zadali klęskę przeciwnikom, z których wielu zginęło w tym właśnie głębokim parowie. Pochwycono też wodza przeciwników Montonohmę i mimo protestów białych osadników, Uncas własnoręcznie go zamordował i zjadł jego serce czy też wątrobę. U tutejszych Indian było mniemanie, jeżeli zwycięzca zjadł część ciała swego przeciwnika, przez to samo nabywał jego zalet. Montonohma był odważnym wodzem i Uncas, bohater powieści Fenimora Cooper'a "Ostatni Mohikanin," zdołał go tylko podstępem pokonać. Tu też jest on pochowany na małym cmentarzyku, w pobliżu pola bitwy, na którym odniósł tak świetne zwycięstwo. Ponieważ biali zakupili od Mohikanów ziemie na których teraz rozbudowało się trzydziestotysięczne miasto, więc też we własnym interesie sprzyjali Mohikanom. Tuż za miastem, nad brzegiem rzeki Tamizy (Thames), była kiedyś twierdza Mohikanów, fort Shantook. Zachowano dotąd ten szeroki ostrokół, jako pamiątkę historyczną. W tym to forcie przez pewien czas oblegali Naraganseci Uncasa i jego wojowników. Biali pospieszyli mu z pomocą, zaopatrując go w żywność. Gdy więc Mohikanie na dzidach wystawili duże połacie mięsa, Naraganseci widząc, że ich głodem nie pokonają, a ostrokołu także zdobyć nie mogli, odstąpili od oblężenia.

Przed stu laty, gdy po "siedmiu morzach" płynęły szybkie żaglowce (clipper ships) przywoziły towary zagraniczne, a wzamian zabierały manufaktury tutejsze, by je po dobrej cenie wymienić na rum i inne produkty krajów południowych. Należyte wykorzystanie siły wodnej tu i w okolicznych miasteczkach, dogodny port przyczyniły się do rozwoju fabryk płóciennych i sukiennych. Norwich posiada duże fabryki płótna t. zw. "katynówki," pozatym fabryki sukna, jedwabiu, butelkownię w której wyrabiają i po całym świecie rozsyłają t. zw. "thermosy." Są tu fabryki miedzi, pudełek papierowych i wiele innych pomniejszych fabryczek.

Pierwsi osadnicy polscy przybyli tu przed czterdziestu laty. Znaleźli oni zatrudnienie w tutejszych fabrykach i dlatego zaczęły się tu zjeżdżać coraz to większe gromady, gdyż każdy przybysz sprowadzał swych krewnych i znajomych. W Norwich zamieszkuje około 900 rodzin polskich. Skupiają się one głównie przy parafii św. Józefa, której jestem proboszczem od lat trzynastu. Lud to bardzo poczciwy. Pochodzi przeważnie z okolic Suwałk, Augustowa, trochę od Grodna, Wilna, a także kilkadziesiąt rodzin z Małopolski. Dobry, spokojny, pracowity to naród. Pragnąłbym aby jeszcze szybciej szedł z postępem czasu, aby był więcej agresywny, ale i tak w tym krótkim czasie dużo tu zdziałał. Toć przyszła tu ta brać nasza tylko z tymi dziesięcioma palcami. Zarobki były marne. Ale nasi ludzie są przyzwyczajeni do trudów. Pracował mąż, pomagała mu żona i dzieci, gdy dorosły.

Więc też wielu dorobiło się mienia. Posiadają oni własne, wygodne domki a niejeden "uciułał" sobie większą sumkę i złożył do banku na "szarą godzinę." Mamy tu też liczny zastęp małych sklepikarzy tych polskich "groserników i buczerów," a teraz nawet kilku "tawernistów." Przed dwudziestu laty założono polską korporację pod patronatem Kościuszki i Pułaskiego, która prowadzi dobrze prosperującą pierwszorzędną piekarnię. Posiada ona murowany gmach, w którym się znajduje sala na zabawy i uroczystości narodowe, oraz parę sklepów i klubów. Pan Piotr Wrona prowadzi dużą masarnię i handel wędlinami. Podczas wojny Polonia tutejsza złożyła także swój dar krwi i mienia, gdyż dużo młodzieży wstąpiło do armii polskiej i amerykańskiej. Jak na pierwsze pokolenie zrobiono dużo. Mam nadzieję, że synowie i córki tych pionierów tu już wychowani w dalszym ciągu poprowadzą pracę i z czasem zajmą w mieście lepsze posady jak i stanowiska polityczne.

Niemal że w centrum miasta znajduje się posiadłość parafii św. Józefa. Na małym wzgórzu wśród dębów, wiązów, lip i sosen, w 30-tu latach powstały wygodne i piękne zabudowania parafialne: kościół, szkoła, plebania i klasztor dla Sióstr. Przed 35-ciu laty gdy się tu zebrała większa gromadka Polaków, zaczęto mówić o własnym kościele i parafii. Tak zresztą było wszędzie. Wybrano więc odpowiedni komitet, który upatrzył sobie właśnie ten górzysty, skalny kawał ziemi obejmujący kilka akrów, jako najdogodniejszy na kościół; a że w dodatku był we śródmieściu, więc też każdemu było dogodnie tu się dostać. Bez wielkiego rozgłosu zakupiono go za tanie pieniądze. Opowiadał mi jeden z członków pierwszego komitetu, że po przeprowadzeniu zakupna gruntu tak dla nas korzystnego, z wielkiej "kuntentności" zakupiono także kilka butelek . . . wódki. Zebrała się więc brać wieczorem, już na posiadłości parafialnej, usiedli pod rozłożystymi drzewami i pili na "pomyślność" swej parafii, snując plany budowy kościoła, szkoły i innych zabudowań. Z małych i skromnych początków wyrosło wielkie dzieło, które jest chlubą nietylko tutejszej Polonii ale także miasta i stanu. Majątek parafialny przedstawia obecnie wartość około ćwierć miliona dolarów.

Ponieważ obwiozłem was po całej Ameryce, niech mi więc na zakończenie będzie wolno oprowadzić was po naszej własności parafialnej. Niezawodnie wielu z czytelników, szczególnie w Polsce, nie ma nawet pojęcia jak te parafie polskie w Ameryce powstawały i z czego się one utrzymują. A przecież dotąd były one naszymi twierdzami polskości i wiary.

Kościół mamy wprawdzie drewniany, zbudowany przeszło trzydzieści lat temu. Wtenczas trudno było rzucić się na bardziej kosztowną budowę. Zato wnętrze skromnej świątyni jest gustownie urzą-

dzone i zaopatrzone we wszelkie paramenta kościelne. W niedzielę mamy cztery Msze św. i cztery kazania. Nieszpory po południu o 3-ej a po nabożeństwach zebrania towarzystw. Dawniejszą szkołę, znajdującą się pod kościołem, przerobiliśmy na salę parafialną na zebrania, tam też urządziliśmy jadalnię i kuchnię w której podczas tygodnia Siostry Nauczycielki przygotowują obiady dla dzieci. Czasami towarzystwa urządzają tu wspólne śniadania czy bankiety, zakąski po zebraniach lub wieczorkach. Tuż obok jest nowy, obszerny i wygodny klasztor. Przy klasztorze zbudowaliśmy małe stawiki, w których rosną lilie wodne i pluskają się złote rybki. W skale wykuto piękną grotę, w której znajduje się statua św. Teresy rzeźbiona we Włoszech z kararyjskiego marmuru. Pozatym na posiadłości kościelnej p e ł n o klombów, szpalerów, tarasów obsadzonych kwiatami, krzewami i drzewami owocowymi.

Kościół i plebania w Norwich, Conn.

Przejdziemy teraz do szkoły parafialnej, jednej z najpiękniejszych w tej części stanu Connecticut. Trzypiętrowy gmach, murowany z cegły, betonu i materiałów ogniotrwałych. Budowałem go temu lat dwanaście, wkrótce po objęciu parafii. Siedmnasto-klasowa szkoła wraz z umeblowaniem kosztowała $130,000. W suterenach czyli jak tu mówimy w "basemencie" mamy centralne ogrzewanie, ustępy dla chłopców i dziewcząt, poza tym kręgielnie i dużą salę bilardową. W sezonie zimowym pełno tu życia i rozgwaru, gdyż co wieczór są tu kontesty ligi kręglarzy. Pierwsze piętro przerobiliśmy teraz na kluby dla młodzieży. Mamy też szwalnię w której prócz dzieci szkolnych pobierają naukę szycia, haftowania i innych robótek nasze panienki i starsze panie. Jednę z klas przeznaczyliśmy na piękną czytelnię i bibliotekę parafialną, z której korzystają tak starsi jak i dzieci szkolne. Czytelnicy mają do wyboru tuzin dzienników polskich i angielskich, kilka tygodników i pism ilustrowanych. Dwa wyższe piętra zajmują klasy wykładowe. Każde piętro posiada po sześć klas, ponadto są tam mniejsze ubikacje dla sanitariuszki, poczekalnie, biura itp.

Curriculum nauk tak u nas jak i we wszystkich szkołach polskich czy parafialnych jest dostosowane do programu szkół "publicznych" czyli stanowych z dodatkową godziną języka, historii polskiej i nauki

religii. Dzieci po ukończeniu ósmej klasy w szkole parafialnej przechodzą do szkół wyższych t. zw. "high schools." Wypada tu jednak zaznaczyć, że mimo najusilniejszych starań z naszej strony liczba uczniów w szkołach parafialnych stale się zmniejsza a to głównie z powodu ograniczenia urodzin, chociaż niektórzy rodzice już tu urodzeni i wychowani nie doceniają niestety wartości polskiego języka. Tacy to twierdzą, że za trudno, aby się dziecko równocześnie uczyło po polsku i po angielsku, dowodząc, że "polski język jest im niepotrzebny." Cóż z takimi zrobić, jak ich przekonać?! Chcielibyśmy na długie jeszcze lata wstrzymać zalew amerykanizacyjny, ale często bezskuteczne są nasze wysiłki. Robi się jednak co można.

Polska szkoła parafialna w Norwich, Conn.

Ponieważ "ma się ku wieczorowi" dnia, podróży, a nawet... życia, więc jeszcze zapraszam was mili czytelnicy i książkowi towarzysze podróży na plebanię by chociaż chwilkę z wami pogwarzyć o różnych sprawach.

Może niejeden zapalając hawańskie cygaro, które mam zawsze dla gości, chociaż sam od lat należę do "nie palących" — zapytałby się: — co sądzę o sytuacji politycznej i ekonomicznej w Stanach Zjednoczonych?!... Bardzo to obszerny temat i nie można go w kilku słowach rozwiązać. Ale na ogół biorąc, powiedziałbym, że kryzys ekonomiczny mija, chociaż wciąż mamy na tym polu poważne trudności, a mają je także wszystkie narody. Politycznie i ekonomicznie wchodzimy na nowe drogi. Zwraca się tu teraz więcej uwagi na tego szarego, "zapomnianego człowieka." Rząd przeprowadza razmaite projekty, obliczone na dalszy dystans, aby dać ludziom zajęcie przy budowie dróg, tam i mostów, czy też przy zabezpieczeniu stepów zachodnich przed niszczącymi zawiejami piaskowymi. Tak w stanach wschodnich jak i zachodnich zaprowadza się kontrolę rzek, by ratować mienie przed powodziami, a także by wzbogacić kraj, wykorzystując jego naturalne zasoby, szczególnie siłę wodną. Z tego względu jedni uważają prezydenta F. D. Roosevelta za człowieka genialnego, inni zaś sądzą, że to radykał, który kraj nasz pogrąża w długach. Może jednak lepsze są długi aniżeli rewolucje.... a i do tego przyjśćby tu mogło, gdyby rząd nie wglądnął na czas w sprawy ekonomiczne.

Co będzie z wychodztwem? Jak ono zapatruje się na sprawy polskie?! — Na ogół biorąc, wszyscy starsi obywatele, szczególnie ci

co się na polskiej urodzili ziemi, zawsze się żywo interesują Polską, jej rozwojem i tężyzną. Przypuszczam, że w razie niebezpieczeństwa pospieszyliby jej z jakąś doraźną pomocą, może więcej finansową niż ofiarą krwi. Większość młodzieży polskiej — już trzecie pokolenie tu zrodzone i wychowane — wie o Polsce bardzo mało, a sprawami polskimi jeszcze mniej się interesuje. Wyjątek stanowią ci, co pracują w organizacjach lub chcą zająć jakieś lepsze stanowisko polityczne, nauczycielskie albo handlowe. Tych jednak w proporcji do ogółu jest niewielu. Niektóre osiedla polskie przeciwdziałają prądowi asymilacyjnemu przez organizowanie harcerzy, związków młodzieży itp. Polskość jednak najbardziej ginie w kółku rodzinnym gdzie język angielski już się rozpanoszył, a brak nam Matek-Polek.

— Czy na długo jeszcze zachowa się język i duch polski na Wychodztwie?... Język i duch polski zachowa się tu jeszcze czas dłuższy, mimo że zanik postępuje w coraz to szybszym tempie. Powiedziałbym nawet, że nie tyle nas zniszczą wpływy czy to rządu czy hierarchii kościelnej, ile raczej samo życie. Wiadomo, że od czasu zamknięcia immigracji nowych sił narodowych nie przybywa nam, a starych, tych co od lat wielu na niwie narodowej pracowali, stale... ubywa. Śmierć wciąż przerzedza szeregi działaczy. Za następnych lat dziesięć, dwadzieścia, zmiecie ona większość tych z pośród księży i świeckich, którzy pracowali w obronie polskości. Nikt ich tu już nie zastąpi. Zajmą miejsce nowi, młodzi ludzie, ale ci już całkiem inaczej na sprawy się zapatrują. Oni nie widzą korzyści w dalszej łączności z Polską. Tu ich Ojczyzna, tu będą szukali kawałka chleba i kariery.

Bolesne to, ale prawdziwe. Prawom przemiany i asymilacji podlegają jednostki i społeczeństwa. Ziarno ludu polskiego rzucone na ziemię amerykańską, zakwitło i już wydało owoc, teraz... umiera. My "starzy" póki sił starczy może nawet tym intensywniej pracować będziemy nad zachowaniem ideałów i kultury polskiego narodu do chwili, gdy śmierć rzuci nas na ten ostatni stracony szaniec!...

Zdaje się że w zaraniu tutejszego życia narodowego popełniliśmy tę zasadniczą wadę: łączyliśmy interes z narodowością. Łączyliśmy sprawy materialne ze sprawami ideowymi i dlatego jedno i drugie na tym ucierpiało.

Liczba dzienników i tygodników polskich także stale się zmniejsza. Młodzież czasopism polskich nie czyta. Najprzód dlatego, że nie zna języka, a powtóre, że za tańsze pieniądze dostaje obszerniejszy dziennik angielski i ma wiadomości światowe daleko prędzej, niż w gazecie polskiej. Więc i dla prasy polskiej horoskopy nie są bardzo pomyślne.

Przez pół wieku kładliśmy w życiu narodowym nacisk na polskie przedsiębiorstwa i stowarzyszenia asekuracyjne. Nie tworzyliśmy

natomiast towarzystw i organizacyj, mających na celu wyłącznie pracę czysto narodową lub oświatową, chyba że weźmiemy pod uwagę drobny fakt, iż każde, nawet najmniejsze towarzystwo umieszczało w konstytucji swej paragraf o "szerzeniu oświaty i ducha polskiego." Natomiast Niemcy, Włosi, Żydzi i inne grupy narodowościowe mają takie właśnie zrzeszenia, których zadaniem jest podtrzymywanie ducha i szerzenie kultury czy innej pracy ideowej danej grupy.

Zato od lat kilku odczuwamy pewną dodatnią współpracę ze strony rządu polskiego jak n. p. wysyłanie młodzieży akademickiej do Polski na kursa letnie. Wysyłamy też teraz z wielkimi ułatwieniami co do podróży okrętowej zastępy sióstr nauczycielek, kleryków, harcerzy itp. Na kredyt rządu należy podkreślić fakt ten, że tu przybywa gromada ludzi chętnych do pracy oświatowej, nauczycieli, profesorów, ludzi zajmujących się teatrami amatorskimi, tańcami ludowymi, sztuką polską itp. Coraz liczniejsze są "Noce w Polsce," podczas których na cele oświatowe i propagandowe występują pierwszorzędni artyści, zyskując uznanie nietylko wśród Polaków ale także — co jest nader ważne — wśród wpływowych Amerykanów.

Trzeba już jednak — kończyć tę podróż książkową. Jeżeli czteromiesięczna tura autem była trudna i wyczerpująca, chociaż interesująca, to podróż książkowa była daleko trudniejsza. Napisać książkę tego rodzaju i tych rozmiarów i to w przeciągu jednego roku, w moich warunkach było zadaniem nader trudnym. Trzeba było czytać tomy całe, wertować stosy broszur, zaglądać do podręczników i encyklopedii, przygotować klisze i mapy, czynić starania o zwolnienie książki od cła, pisać listy tu i tam po Ameryce i do Polski co do kolportażu i innych spraw połączonych z wydaniem i nakładem książki. Wielki ciężar wziąłem na swe barki, zwłaszcza że nie wchodzi tu w grę sprawa... robienia pieniędzy, ale raczej zrobienia... dobrej roboty. Może nieraz zdawało się czytelnikowi, że ten "piszący szofer" to człowiek płochy, jakiś lekkoduch, który drwi ze wszystkiego i ze wszystkich. Tak jednak nie jest. Może tu i ówdzie przesadzałem, posługiwałem się humorem, rubasznością, facecją, ale jedynie, żeby wam tę podróż książkową uprzyjemnić a równocześnie podawać nietylko pożyteczne wiadomości o Stanach Zjednoczonych, ale częstokroć przez głębsze refleksje, a nawet satyrę karcić zło i zniewalać czytelnika do zastanowienia się nad niejednym życiowym zagadnieniem.

Poza książką pisuję każdego tygodnia kilka szpalt "gawęd" do dwóch tygodników. Z zainteresowaniem czyta je w Ameryce kilkadziesiąt tysięcy ludzi. To moja druga ambona. A przytym jest przecież także parafia, a więc nabożeństwa, sprawy kancelaryjne, konfesjonał, ambona... Gdy rozchodzi się o sprawy parafialne i pro-

boszczowskie, jestem pedantem. W kościele nabożeństwa odprawiają się punktualnie, do minuty, w szkole porządek musi być bezwzględny i wszędzie sam zaglądnę, wszystkiego dopilnuję.

Rok cały borykałem się z tą mozolną, chociaż pod wielu względami wdzięczną i owocną pracą autorską. Trud był tym większy, że trzeba było brnąć przez druty kolczaste... nowej pisowni. Zadała też ona niejedną bolesną ranę tej książce. Wkrótce po powrocie z podróży napisałem kilka rozdziałów i oddałem do druku. W tym czasie miły i życzliwy mi p. Kazimierz Pilarz z Warszawy, jako były wojskowy, domyślił się, że czeka mnie zasadzka w formie... nowej pisowni. Pospieszył mi więc na ratunek, przysyłając mi mały słownik Arcta — "nowej pisowni." Gdy zaglądnąłem do tego "najnowszego" słownika, poprostu zdębiałem. Właśnie pisałem wtenczas o Indianach i z przerażeniem zauważyłem, że ci biedacy znów przeszli ciężką operację... "Ucięto im u dołu" i przerobiono "j" na "i". Więc też czymprędzej wyrwałem tomahawk staremu Powhatanowi i zacząłem bez miłosierdzia "skracać" co trzeba. Gdy ten zmasakrowany rozdział, poprzednio już na linotypie złożony, przyniosłem do drukarni, o mało że nie stało się nieszczęście. Właściciel drukarni p. Dearden popatrzał na mnie ze zdumieniem i powiada: — "Toć ja myślałem, że ksiądz chce napisać książkę "bez błędu," a tu co słowo to poprawka.?!" A że to były oficer i weteran wojny światowej, czując zatem wstręt do kuli, pobiegł do apteki po truciznę. Dali mu butelkę wódki a ten myśląc, że to trucizna, duszkiem ją wypił ale zamiast śmierci, doznał tylko lekkiego delirium. Stary siwowłosy zarządca Sykes gdy "nową pisownię" zobaczył, tylko zezem na mnie popatrzał wdział marynarkę i poszedł szukać dynamitu, aby całą budę wraz z maszynami wywalić w powietrze. Na szczęście dynamitu nie znalazł. Najgorzej jednak było z dwoma polskimi zecerami. Stanisław Mikuszewski wyciągnął słownik Arcta, i jak każdy człowiek, gdy go mordują, szuka ratunku, tak i on broni się słownikiem i powiada: — "Księże, Arct mówi, że Indianin pisze się przez "j." "Bracie, powiadam, z tym biednym Indianinem to cała historia. Kiedyś pisało go się przez igrek czyli "y," następnie przekuto tę twardą, niezgrabną literę na płynne "j," ale teraz i tego nie dość! Więc w czasie gdy ja się uganiałem po stepach i pustyniach to we Warszawie czy Krakowie Akademia rozprawiła się z Indianami i wszystkimi pisarzami, tak, że teraz i ja sam całkowiecie zbaraniałem." Mój zecer słysząc to wszystko siarczyście zaklął, wyleciał z drukarni jak opętany i podobno z rozpaczy się ... ożenił. Od tego nieszczęścia nie zdążyłem go uratować. Za to jego kolega rozpłakał się i wstąpił do zgromadzenia ks. Saletynów, pod opieką Matki Boskiej Płaczącej. Tego jednak sposobem Zagłoby wydostałem z klasztoru.

Żarty żartami, ale z tą pisownią mieliśmy kłopot wielki. Dzięęki temu stałem się zagorzałym kolektorem słowników. Zauważyłeem gdzieś wzmiankę, że w razie "wątpliwości" należy popatrzeć do słownika. Więc teraz porównuję wszystkie polskie słowniki i widzę, że co jeden to inny. Dla przykładu weźmy chociażby takie zwykłe, łatwe słowo jak "ruż." Mam tych słowników jak wspomniałem — mocc a między tymi aż trzy słowniki Arcta a więc: mały "nowej" pisowrni, średni i duży dwu tomowy, za który zapłaciłem uczciwych dwanaśccie dolarów. Jeden z nich podaje — "ruż i róż," drugi "ruż" a trzeeci "róż." A więc — zgadnij Jezu kkto Cię bije.

Ks. S. Włodarczyk przy korekcie

Niemniej wdzięczny jesteem ks. prof. S. Włodarczykowi, któ̇ry robił korektę i przeglądał rękopiis. Nawet podczas naszej dwutygoodniowej wycieczki do Kanady oboowiązku tego nie zaniedbał. "Chwyyciłem" go aparatem w momenciie, gdy przed kabiną turystyczną rrobił korektę i patrzał na rękopis przez "czarne okulary." —

Chociaż — jak wynika z powyższych relacyj — trudności wieelkie, chociaż ubywa nam w Ameryce czytelników polskich, mimotto trzeba dalej pracę tę prowadzić, bo zawsze znajdą się zastępy tych, dla których będzie ona z pożytkiem.

"Musimy siać ... Choć grunta nasze marne
Choć nam do orki pługów brak i bron...
Musimy siać ... choć wiatr porywa ziarna
Choć w ślad za siewcą kroczą stada wron...
Musimy siać..."

W Polsce byłem poraz pierwszy w zaraniu Jej niepodległości, bbo w styczniu 1919-go roku. Przemawiając na licznych wiecach zauwaażyłem, że lud nasz z ogromnym zainteresowaniem słuchał mych opoowiadań o Ameryce. Postanowiłem sobie wtenczas, że o ile nadarzzy się sposobność napiszę książkę o Ameryce. Przyrzeczenia sobie daneego święcie dotrzymałem. Po przeczytaniu obu moich książek turyystycznych czytelnik będzie miał dobre pojęcie nietylko o Stanach Zjednoczonych ale także o wychodztwie polskim. Mam zatem nadzieeję, że ta podróż książkowa zbytnio go nie znużyła. —

Na tym kończę. Żegnając was serdecznym uściskiem dłoni, raad jestem, że miałem tak miłe i życzliwe towarzystwo. Smutno mi, żże

trzeba się z wami rozstać. Cieszyć się jednak będę, jeżeli moi czytelnicy znaleźli na tych kartkach trochę słońca i radości, nieco zachęty do pracy i jeżeli się dowiedzieli czegoś dobrego, pożytecznego o tym wielkim kraju i jego ciekawej historii. Częstokroć pisałem nie tyle piórem ... ile raczej sercem, które szczerze kocha naród polski, które niczego nie żąda dla siebie ale raczej wydobywa z siebie co ma, by do wiedzy i piśmiennictwa polskiego dorzucić tę małą i skromną cegiełkę. Aż nadto hojna spotka mnie nagroda, gdy się dowiem, że praca ta nie była na marne, ale że niosła ona światło, radość i wiedzę do serc miłych Czytelników, a szczególnie młodzieży, którą posadziłem tuż przy mnie i która z ręką na kierownicy serca mego podróż tę odbyła.

— KONIEC —

# SPIS ROZDZIAŁÓW:


Str.

Rozdział I.
New Rochelle - Pole Bitwy - Cztery Stany 115

Rozdział II.
Pierwsi Koloniści - Pocahontas - Monitor i Merrimac 224

Rozdział III.
Norfolk - Hampton Institute - Yorktown - Williamsburg 333

Rozdział IV.
Bitwy pod Richmond - Petersburg - Dwie Karoliny 446

Rozdział V.
Charlestown - Sawanna - Fort "Pulaski" 558

Rozdział VI.
Cmentarz Bonaventure - Georgia - Terpentyna - Floryda 773

Rozdział VII.
Jacksonville - St. Augustine - Aligatory - Korona 884

Rozdział VIII.
Daytona - Orlando - "Śpiewająca Wieża" - Miami 997

Rozdział IX.
Tamiami Trail - Tampa - Festyn Gasparylli 1111

Rozdział X.
Średnia klasa - Połów gąbek - "Srebrne" źródło - Zachodnia Floryda 1225

Rozdział XI.
Pensacola - Alabama - Mobile - Polowanie na kaczki - Kolonia francuska 1337

Rozdział XII.
Nowy Orlean - Zabytki - Chalmette - Mardi Gras 1550

Rozdział XIII.
Mississippi - Louisiana - Baton Rouge - Teksas 1778

Rozdział XIV.
Kolonizacja - San Jacinto - Galveston - Polskie osady 1992

Rozdział XV.
Dallas - Wystawa - Rodeo - Alamo - Obozy Wojskowe 2008

Rozdział XVI.
Osady polskie - Panna Maria - Wrażenia - Poglądy Konsula 2221

Rozdział XVII.
Dolina Rio Grande - Larredo - Historia Meksyku 243

Rozdział XVIII.
Topografia - Monterey - Saltillo - Walka byków - Polka 266

Rozdział XIX.
Zachodni Teksas - Nowy Meksyk - Pieczary Karlsbadzkie 284

Rozdział XX.
San Diego - Los Angeles - Paso Robles - Park Sekwoi 308

Rozdział XXI.
Boulder Dam - Grand Canion - Skamieniałe lasy - Mesa Verde 335

Rozdział XXII.
Północna Utah - Wygasłe wulkany - Yellowstone - Zephyr 355

Rozdział XXIII.
Santa Fe - Omaha - Winona - Rybołówstwo 378

Rozdział XXIV.
Muzeum Zjednoczenia - Kolegium św. Jana Kantego - Cambridge Springs - Buffalo 397

Rozdział XXV.
Zagłębie węglowe - Norwich - Zakończenie 423

Spis 438

# UWAGA!

Częstokroć podczas tej podróży książkowej odsyłałem czytelnika do mej poprzedniej pracy turystycznej p. t. "Samochodem przez Stany Zjednoczone" (2 tomy 800 stron druku, ilustracje i mapa). Może więc nie będzie od rzeczy jeżeli tu zrobię chociażby tylko krótką wzmiankę o niej ze względu na tych czytelników, którzy jej jeszcze nie czytali.

Napisałem ją przed trzema laty i to w tym celu, aby czytelnika zaznajomić z najważniejszymi połaciami kraju, aby go prowadzić przez okolice przemysłowe, wielkie miasta, osady polskie a przedewszystkiem przez wielkie a tak piękne parki narodowe.

Jak już powyżej zaznaczyłem dzieło to obejmuje dwa duże tomy. Pierwszy prowadzi czytelnika z New London i Norwich na zachód aż do Vancouver w Kanadzie a następnie wzdłuż oceanu Spokojnego przez stany: Washington, Oregon i Kalifornię do miasta Los Angeles. Zaś drugi tom opisuje drogę powrotną przez pustynie, niektóre parki narodowe, góry Skaliste, szerokie stepy, urodzajne fermy, ludne miasta, pola bitew, osady polskie i całą Nową Anglię. Niniejsza książka jest tylko uzupełnieniem tamtej.

Krytycy i prasa w Polsce jak również w Stanach Zjednoczonych jak to z poniżej zamieszczonych recenzyj można wnioskować, odniosła się do tej książki turystycznej bardzo przychylnie tymsamym zniewalając mnie do dalszej pracy w tym kierunku. Tu przytaczam w skróceniu chociażby tylko kilka recenzyj o książce:

**A. Grzymała-Siedlecki.**

"Arcypolak w sposobie odczuwania rzeczy i stylista przedziwnie polski ... Książka od której jasno się w pokoju robi, gdy się ją na stole otworzy."

—**Kurjer Warszawski.**

**Kornel Makuszyński.**

W swej recenzji znany pisarz i humorysta polski Kornel Makuszyński uważa książkę "Samochodem przez Stany Zjednoczone" za rodzaj Baedekera, którego każdy przeczytać powinien, kto się do Ameryki wybiera.

—**A. B. C.**

**Kazimierz Pilarz.**

"Barwami tęczy malowane obrazy czarów przyrody amerykańskiej zwłaszcza w opisach kilkudziesięciu parków narodowych, gór Skalistych i Sierra, lodowców, kenjonów, gejzerów ... przez często podkreślany czyn — współczynnik porównawczy ze stosunkami w Polsce pozna Stany Zjednoczone i Polonję amerykańską jakby na dłoni ... Zaiste warto przeczytać."

—**Słowo Częstochowskie.**

omanek.

"Ks. Icieka pamiętam doskonale. Było to zaraz w pierwszych miesiącach istnienia niepodległej Polski. W ogromnej sali Sokoła krakowskiego przemawiał rodak z Ameryki. Mówił z bajeczną adą kilka godzin. Oryginalnego tego języka amerykańskiego nie mogliśmy się nasłuchać. Raz raz wybuchaliśmy śmiechem. To niezrównany rodak z Ameryki sypał najnowszemi kawałami made in U. S. A." Po tylu, tylu latach przypomina się znowu ks. Iciek. Tym razem przemawia do nas z zadrukowanych kart. Jak żywy! Ciągle bowiem ten sam, wesoły, pełen temperamentu facecjonsta objawiający swój zdrowy amerykański rozum i humor."

—Ilustrowany Kurjer Codzienny.

**Ludwik Leśnicki.**

"Książka czyta się cudownie lekko. Potoczysty i prosty styl czyni ją przystępną dla Polonii amerykańskiej. Humor i ujęcie rzeczy właściwy ks. Iciekowi, wynosi dzieło to do książek edukacyjnych w sposób bardzo przystępny i w taki sposób iż czytelnik z przyjemnością uczy się poznawać Stany Zjednoczone Nie można się od niej oderwać nawet gdy się późnym wieczorem lub nocą przeznaczoną na spoczynek ją czyta."

—Wiadomości Codzienne.

**Wiktor Alski.**

"Wszystko jest absolutnie dobre, ciekawe, i choć wyszło z pod pióra tu zrodzonego amerykanina — tak polskie.

Czy się czyta wysoce charakterystyczny rozdział w tomie pitrwszym o parkach narodowych, czy wzruszający opis o bitwie pod Gettysburgiem, znajdujący się w rozdziale XI, tomu drugiego, wszędzie widzi się pisarza, który wykazał talent świetnego obserwatora."

—Pittsburczanin.

**Prof. Tomasz Siemiradzki.**

"Język poprawny, styl barwny naszpikowany specyficznym polskim humorem, obserwacje ścisłe i dokładne nadają tej książce dużą wartość nietyklo dla czytelników w Polsce, którzy mają sposobność zapoznać się dobrze z Amreyką, lecz i dla Polaków zamieszkałych w Ameryce Ustępy takie jak opis parku Yellowstone można zaliczyć do wybitnych zjawisk w polskim piśmiennictwie."

—Wiadomości Codzienne.

**H. Chmieliński.**

"Książka ks. Icieka stanowić będzie dla polsko-amerykańskiej literatury bardzo wspaniały dobytek i dorobek Opis krajobrazów ameryańskich obejmujący całe obszary tej ziemi jest wierny, a czyta się lekko bo jest w nim coś przyciągającego i przykuwającego naszą uwagę. Wzmianki historyczne czyta się w niej z takiem zainteresowaniem jak beletrystykę."

—Kurjer Codzienny.

**Karol Piątkiewicz.**

"Ks. S. A. Iciek w wolnych chwilach od duszpasterzowania zabrał się do literatury i napisał w dwóch tomach książkę o Stanach Zjednoczonych, która odrazu szturmem wzięła krytykę literacką w Polsce i weźmie bez wątpienia czytelników w Ameryce. Tu zrodzony, na ziemi amerykańskiej, pisze ks. Iciek doskonale po polsku, język polski jego pochodzi z duszy, a gawędzi tak mile, jakby się słuchało chwilami starego Zagłoby, spijającego miód pod lipami."

—Dziennik Związkowy.

**Jan Przyprawa.**

"Samo przerzucenie tego bogatego ilustrowanego dzieła i przeczytanie kilku więcej nas interesujących opisów uprawnia nas do stwierdzenia, iż jest ono wysoce interesującym "Baedekerem" polskim po Ameryce. Podaje w koloraturowych opisach to, co każdy Polak winien wiedzieć nietylko o piękności i cudach przyrody tego kraju, ale także i stanie posiadania polskiego na olbrzymiej przestrzeni tych przeszło 30 stanów, jakie przejechał, zwiedził i opisał ks. S. A. Iciek."

—Monitor.

**Zbigniew Krygler.**

"Książka księdza Icieka napisana żywo, barwnie, z humorem właściwym autorowi jest niewyczerpaną kopalnią wiadomości o Stanach Zjednoczonych A. P."

—Kwartalnik "Polacy Zagranicą."

**Ernest Liljen.**

"Bystry obserwator, gorący wielbiciel przyrody, podaje czytelnikowi niezmiernie dużo pouczającego materjału nietylko z tego co widzi, ale łączy wrażenia te z notatkami historycznemi, geologicznemi, ekonomicznemi i statystycznemi, pouczając na każdym kroku czytelnika w tak przyjemny sposób, że czytelnik korzysta jak gdyby z autorem razem odbywał tę wielką podróż. Nic w tych pouczeniach niema szkolarstwa i bakalarstwa, nie narzuca się autor na guwernera i mentora. Opowada swobodnie i naturalnie o tem co ukochał. W tem jedna tajemnica wielkiej magnetycznej siły książki księdza Icieka."

—**Gwiazda Polarna.**

Książkę "Samochodem przez Stany Zjednoczone" można w Polsce nabyć we wszystkich pierwszorzędnych księgarniach lub też pisząc wprost do wydawców: Zakład Wychowawczy św. Michała Archanioła, Miejsce Piastowe, Woj. Lwowskie. W Stanach Zjednoczonych albo w księgarniach polskich lub też pisząc wprost do autora — Rev. S. A. Iciek, Norwich Conn. Cena ustalona w Polsce 10 zł. w Ameryce $2.00.